



Deirdre Purcell



Tajemnice

Pokój na wieży

Czas płynie bezlitośnie. Nie zważa na nasze działania ani protesty.

W tych okropnych miesiącach pod koniec roku 1944 i na początku 1945 od początkowego niedowierzania przeszłam do wściekłości, a potem rozpacz. Dopiero po upływie paru lat udało mi się zaakceptować fakt, że nigdy mnie stąd nie wypuszczą i niemal na pewno przyjdzie mi umrzeć, nie opuściwszy już pokoju na wieży w Whitecliff.

To miejsce zawsze nazywaliśmy pokojem na wieży. Nazwę tę musiał wymyślić ktoś obdarzony wyobraźnią, gdyż był to po prostu największy z naszych strychów, w przeszłości zamieszkiwany przez służące i chłopców kredensowych. W dzieciństwie pozwalano nam - mnie oraz moim braciom i siostram - tam się bawić. Pomieszczenie to było na tyle oddalone od głównych pokoi zajmowanych przez rodziców, że mogliśmy hałasować tu do woli. Bawiliśmy się na przykład w berka lub graliśmy w kulki na podłodze z surowych desek. Przeszukiwaliśmy też stojące tam kufry, lecz prawdę mówiąc, nie znaleźliśmy zbyt wielu interesujących rzeczy. Jedynie jakieś stare narzędzia ogrodnicze, zużyte sprzęty kuchenne oraz mapy i książki o Afryce, Azji i Ameryce Południowej, należące kiedyś do naszego dziadka - kupca herbacianego, który korzystał z każdej okazji, by odwiedzać plantacje swych dostawców.

Dawno temu, zanim jeszcze nasza rodzina się tu sprowadziła, ktoś zainstalował w pozabawionej okien izdebce obok prowizoryczną toaletę, w której prowadziliśmy bitwy wodne. Drżeliśmy przy tym ze strachu, że mama lub tata odkryją, co robimy. Niani się nie baliśmy nigdy - a przynajmniej nie tak bardzo - gdyż to właśnie do niej biegliśmy, gdy ktoś otarł kolano lub potrzebował pomocy w którejkolwiek z licznych kryzysowych sytuacji dzieciństwa. Ta postawna kobieta pochodząca z Rathlinney, wioski w pobliżu naszego domu, miała złote serce. Dawała nam czasem klapsy, ale nigdy zbyt mocno, a jeśli rodzice znajdowali się w zasięgu słuchu, konspiracyjnym mrugnięciem zachęcała do przeraźliwego krzyku, jakby ktoś obdzierał nas ze skóry. Niania była zadowolona z pracy u nas. Nie wyszła za mąż, a z całej rodziny został jej tylko brat kawaler. Od urodzenia miała na twarzy szpecące

znamie, które ona sama nazywała truskawką. W mojej pamięci jednak pomarszczona skóra na całym policzku była jaskrawopurpurowa. Niania mieszkała z nami do czasu, gdy ja, najmłodsze dziecko w rodzinie, skończyłam czternaście lat, i rodzice zdecydowali, że jej pomoc nie jest nam już potrzebna.

Często o niej myślę, nawet teraz.

W pokoju na wieży nie było nigdy porzuconych zabawek, gdyż te, którymi się już nie bawiliśmy, oddawano biednym dzieciom.

Nie potrafiliśmy zrozumieć różnicy między nami a owymi „biednymi dziećmi”. Nasz ojciec prowadził firmę pod nazwą Sklepy Wielobranżowe Rathlinney. Wiedzieliśmy, czym się trudni. Sprzedawał artykuły spożywcze, alkohole i wina, opał, odzież oraz artykuły pasmanteryjne. Był też dostawcą artykułów żelaznych, narzędzi rolniczych, obuwia i wyrobów modniarskich. Mieliśmy nianię, mieszkaliśmy w obszernym domu - tego także byliśmy świadomi. Mimo to nasze życie wydawało nam się znacznie uboższe niż innych dzieci ze szkoły. W Whitecliff zawsze hulały przeciągi, a zimą robiło się tu na dodatek zimno i wilgotno, wszyscy więc cierpieliśmy z powodu odmrożeń i ciągle byliśmy przeziębieni, chodząc po kamiennych bądź drewnianych podłogach, na których nie leżały dywany. W naszym domu nie było przytulnych otomanek ani opalanych torfem kominków, jakie widywaliśmy przez okna domków w Rathlinney, lecz jedynie potężne, ciężkie krzesła i sofy, długi brązowe stoły, monumentalne, na wpół puste kredensy i serwantki.

Tata, bogobojny, zdrowy mężczyzna, dla którego komfort zupełnie się nie liczył, ograniczał zużywany opał, ostrzegając nas przy tym, że bezsensowne marnotrawstwo prowadzi do bolesnego niedostatku. Przykręcał także płomień lampek gazowych tak bardzo, że nie mogliśmy wieczorami czytać.

Podczas posiłków musieliśmy zjadać wszystko z talerzy do ostatniego okruszka, „gdyż wy, dzieci, możecie już nigdy nie ujrzeć tak dobrej strawy”. Ani ja, ani moje siostry nie miałyśmy szans ubrać się modnie. Choć mama umiała szyć, dzięki czemu utrzymywała garderobę swoją i ojca we wzorowym porządku, to kołnierzyki od koszul chłopców przyszywała tak długo, aż materiał przetaił się zupełnie i nadawał się jedynie na ściereczki do kurzu. Dziewczęce ubrania reperowała w nieskończoność, a gdy robiły się zbyt małe na którąś z nas, przerabiała je na następną z córek. Byłam najmłodsza, więc nigdy nie miałam nowej sukienki ani płaszczyka.

W naszym dziecięcym mniemaniu byliśmy więc równie biedni jak wszystkie inne rodziny w okolicy. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego w szkole dokuczano nam z powodu akcentu, który rzekomo był wytworny, i mówiono, że jesteśmy jak „dwa i pół pensa patrzące z góry na dwupensówkę”. Kiedyś wspomniałam o naszej niani, ale koledzy i koleżanki wybuchnęli takim śmiechem, że nigdy więcej nie popełniłam tego błędu. Mieszkanie w Dużym Domu oznaczało w irlandzkiej wiosce samotność.

Zanim zostałam zamknięta w pokoju na wieży, usunięto stamtąd wszystkie kufry, stare wieszaki oraz wszystkie inne rupiecie. Rodzice urządzili go z niespotykaną starannością. Ojciec zamontował nawet w toalecie porządną umywalkę, ustęp ze zbiornikiem i spłuczką, a także małą wannę.

Nie zdając sobie sprawy, co mnie czeka, brałam udział w owych przygotowaniach, przekonana, że w pokoju tym będą mieszkać goście. Z perspektywy lat widzę, iż mogła to być jedynie mrzonka, gdyż nas, Shine'ów, odwiedzali niemal wyłącznie znajomi taty, których od czasu do czasu zapraszał na kolację. My również nie przyprawialiśmy kolegów. Kiedy więc poproszono mnie o wybór tapety spośród próbek przyniesionych przez ojca któregoś wieczoru, ucieszyłam się, że ktoś liczy się z moją opinią. Czułam wtedy właściwie coś więcej niż radość - byłam wprost zachwycona, uznając to za znak, że rodzice skłonni są mi przebaczyć.

Pokój miał sześć metrów na cztery - wiem to na pewno, w końcu przeszłam go tyle razy - a jedno okno, sięgające od połowy ściany niemal do sufitu, znajdowało się tak wysoko, że aby przez nie wyjrzeć, musiałam stanąć na krześle. Od zewnątrz przesłaniały je kraty, lecz do dziś nie wiem, po co zostały tam umieszczone. Whitecliff wznosi się na trzy piętra nad piwnicą, do czego dochodzą jeszcze strychy, ciągnące się nad całym budynkiem. Każdy mądry włamywacz czy inny nieproszony gość, który odważyłby się stawić czoło strzelbie ojca, wszedłby po prostu przez niedopasowane drzwi frontowe lub okna na parterze, o futrynach tak zniszczonych (jeszcze zanim mnie uwięziono) przez słońce, deszcz i wiatr, że wyjęcie ich z zawiasów wymagałoby jedynie użycia dobrego śrubokręta.

Jeśli chodzi natomiast o podwórko od tyłu, które mogłam obserwować, nikt nigdy nie odważył się nawet przejść pod moim oknem, gdyż nasze grunty, ogrodzone z obu stron drutem kolczastym, ciągnęły się do krawędzi klifu, schodzącego pionowo na siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt stóp w dół. (Dziś myślę, że było to dwadzieścia czy też dwadzieścia pięć

metrów - trudno mi przyzwyczać się do nowych miar).

Whitecliff ma ponad dwieście lat, więc mogłam snuć najróżniejsze przypuszczenia tłumaczące obecność krat w tym właśnie oknie - należącym do jedyne go więzienia w całym domu. Być może, właśnie ze względu na trudny dostęp z zewnątrz pokój ten mieścił niegdyś skarby rodzinne. A może okno zakratowano z obawy, że wiejscy uwodziciele skorzystają z okazji i wspinając się po linie skróconej z prześcieradeł, przyjdą zabawić się ze służącymi.

Możliwe, że trzymano tu zamkniętą ciotkę-wariatkę albo czyjąś pierwszą żonę, która postradała zmysły, a kraty służyły do ochrony jej zdrowia i życia. Czy też do ochrony reputacji rodziny - na wypadek gdyby owa nieszczęśnica rzuciła się z okna.

Choć może się to wydawać mało prawdopodobne, a nawet niezrozumiałe, z czasem doszłam do wniosku, że mój pokój jest całkiem przyjemny, a kiedy udało mi się zaakceptować swoje położenie, odkryłam, że w mgnieniu oka - tak, aż tak szybko - stałam się wolna.

Dobrze pamiętam ten moment, choć nie umiałabym podać dnia ani roku.

Bardzo długo, przez wiele lat, regularnie nakręcałam zegarek, który dostałam od wuja Samuela na szesnaste urodziny. A potem powoli zaczęło do mnie docierać, że czas nie ma żadnego znaczenia dla osób, które nie mogą decydować o swoim losie. Położyłam więc zegarek na półce, i od tej pory kierowałam się wyłącznie cyklami światła i ciemności, ciepła i chłodu, burzami i czasem spokoju - oraz punktualnie przynoszoną tacą z posiłkiem.

Ogrody Whitecliff rozciągają się od frontu i po bokach domu. Wąski pas ziemi pomiędzy tylną ścianą a brzegiem morza pokryty jest kamieniami i trawą, więc mijające pory roku nie wnoszą tu nic nowego. W związku z tym, stojąc na krześle, kolejne pory musiałam rozpoznawać na podstawie zmian na niebie, morzu i w położeniu słońca. Nauczyłam się dostrzegać je niemal przy każdej pogodzie, i tylko naprawdę gęste chmury mogły mi przeszkodzić. Nauczyłam się także rozpoznawać położenie osi ziemskiej na podstawie położenia miejsca wschodu i zachodu słońca względem mojego okna. Zaprzyjaźniłam się ze słońcem i z morzem.

Moje wyzwolenie nastąpiło całkiem znienacka.

Stało się to w środku zimy, blisko południa. Tego dnia po poszarpanych chmurach na niebie biegały konie morskie. Jak zwykle stałam na krześle przy oknie, usiłując dostrzec ślad życia pośród kamieni na krawędzi urwiska. Z pewnością coś się tam poruszyło. Nornica? Mysz polna? Dziki kot, a może królik, tak rzadki o tej porze roku? Starłam się nie od-

dychać, by nie wykonać najmniejszego ruchu.

Tak, jest tam. Byłam bardzo przejęta. O, znowu - to królik! Na pewno królik...

Widziałam, jak stworzonko siada na tylnych łapach. Uszy leżały mu na grzbiecie, z rzadka tylko drgając, a małe przednie łapki zwisały przy brzuszku. Zwrócone przodem do Whitecliff, z uwagą przyglądało się szarym ścianom domu.

Staralam się dostrzec wszystkie szczegóły - oczy i pyszczek tak ruchliwy, jakby zwierzak nieustannie coś jadł.

A może to wcale nie jest królik? Może to zając, tylko taki nieduży - odwróć się, małeństwo, pokaż ogonek, pokaż tylne łapki - no, odwróć się, proszę...

A wtedy nagle chmury się rozstąpiły i musiałam zamknąć oczy. Okno wychodziło na wschód, więc w te krótkie dni słońce oślepiało mnie od razu.

Otworzyłam oczy, dopiero gdy słońce ponownie skryło się za chmurami. Królika, czy też zająca, nie było już jednak widać, mimo że rozglądałam się niezwykle uważnie. Uciekł albo skutecznie się ukrył.

W takiej sytuacji jak moja najmniejsze niepowodzenie urasta do rozmiarów katastrofy. Rzuciłam się z krzesła na łóżko. Złapałam z wściekłością karafkę z wodą, by rzucić nią w okno, nie troszcząc się ani trochę o hałas, ani o los szkła, a potem dotarło do mnie, że gniew ma sens tylko wtedy, gdy jest w pobliżu osoba, na którą się gniewamy.

A kto mógł zareagować w mojej sytuacji? Tapeta? Same ściany? Człowieka przypominał jedynie Śmiejący się Kawaler, na zawsze zamknięty w taniej drewnianej ramie. Spojrzeliśmy na siebie. Nie przestawał się śmiać. Ja także wybuchnęłam śmiechem, a cała wściekłość wypłynęła ze mnie niczym woda z sita.

Tego ranka dostałam świeżą pościel i leżąc na poduszkach, czułam zapach woreczków z lawendą, które mama rozwieszała w bielizniarce. Był przyjemny i kojący.

Spojrzałam na swój pokój, jakbym widziała go po raz pierwszy. Ujrzałam tynk, odpadający z sufitu jak zeszkrobane nożem masło, spłowiałe, lecz nadal radosne bukietki niezapominajek na wybranej przeze mnie tapecie, delikatne kolory orientального jedwabnego dywanika na podłodze, błękitny aksamitny podnózek z jedwabnymi frędzlami, stół i krzesło, materiały do pisania i tamborek z płataniną różnobarwnych nici, a także błyszczący czerwony szal, który robiłam na drutach jako prezent świąteczny, jeszcze nie wiedząc dla kogo.

Książki o ptakach, atlasy i słowniki stały na baczność w biblioteczce. Obok znajdowa-

ło się łóżko na uroczych żelaznych nogach, a za nim kominek wyłożony drogimi niebieskimi kaflami.

A tam stała moja lampa naftowa - owa magiczna latarnia, dzięki której godzinami obracając i skręcając palce, by układały się na moje żądanie, w dowolnej chwili mogłam tworzyć cienie kangurów, słońi, króliczków wielkanocnych, a nawet panów w kapeluszach.

Potrafiłam docenić biegłość, z jaką w masywnych dębowych drzwiach zostało wycięte zamykane okienko do podawania posiłków, od zewnątrz wyposażone w zasuwkę. Kiedyś, na początku, marzyłam, aby wyrwać drzwiczki z zawiasów i prześlizgnąć się przez otwór. Nawet spróbowałam tego dokonać, ale robiły za dużo hałasu, i choć byłam oddalona od reszty mieszkańców domu, wiedziałam, że usłyszą. Zasuwka także była niezwykle mocna. Nie przeoczyli niczego.

W dniu mojego wyzwolenia zobaczyłam też obrazki, które pozwolono mi tu zabrać. Na ścianie za moimi plecami para pręgowanych kociąt bawiła się kolorowymi kłębkami bawełny. Obok drzwi wisiał obrazek przedstawiający jesienny las, we wnęce przy kominie zaś przysiadł pastelowy anioł stróż, który spomiędzy rozłożonych skrzydeł uśmiechał się do mnie niczym zwariowany wujek. To był prezent od niani.

Byłam oderwana od świata - Violet szybująca nad ziemską powłoką Violet.

I wtedy usłyszałam ten głos. Przysięgam. Usłyszałam szept, tak wyraźny jak szum morza na kamykach u stóp klifu: „Violet Shine, odpocznij już...”.

Nagle niebo ponownie zasnuło się chmurami i wszystko było jak wcześniej. Leżałam na łóżku, słuchając gradu uderzającego w kraty na oknie, a jedynymi obrazami w wieży były opisane przed chwilą reprodukcje i ryciny.

Nie martwiło mnie, że mój umysł płata takie figle, zdążyłam się już do tego przyzwyczaić. Czasem, kiedy nie mogłam spać, słyszałam szelest tapet, przekomarzających się z deskami podłogi, które skrzypiały w odpowiedzi. Niekiedy mówiłam coś do wszystkich tych martwych przedmiotów wokół tylko po to, by sprawdzić, czy nadal mam głos. (Czasem nawet słyszałam odpowiedzi. W dwudziestym pierwszym wieku chętnie spotkałabym się z kimś, kto przetrwał kilka dziesiątków lat w samotności. Chciałabym porównać notatki z owych zaburzeń i iluzji).

Jednak pewien element owego wydarzenia zawierał głęboki sens. Violet Shine, dlaczego nie miałabyś teraz odpocząć?

Rzeczywiście, dlaczego?

Z pewnością nie byłam najbardziej godną pożałowania istotą na świecie ani nawet w Irlandii. Miałam wystarczającą ilość jedzenia, światło i wygody. Nikt nie prześladował moich myśli ani nie ograniczał wyobraźni. Zaspokajano wszystkie moje potrzeby poza tą jedną: nie mogłam stąd wyjść.

Pomysł, żeby odpocząć od nieustannej irytacji, wydał mi się pociągający. Z pewnością oznaczał jedno - że najgorsze już za mną. Nie mam wpływu na przyszłe wydarzenia, więc nie warto pielęgnować w sercu żalu o to, co minęło.

Moje zmysły wyostrzone były zapachem lawendy i szarego mydła, którego mama używała do prania, i dotarło do mnie, że poddaje się coś dotychczas nieugiętego. Stałam się wolna, i chociaż oni wygrali bitwę, to właśnie do mnie należało zwycięstwo w całej wojnie.

Bezsilna, lecz podekscytowana, zeskoczyłam z łóżka i ponownie weszłam na krzesło, aby spojrzeć przez kraty i grad na koziółkujące w powietrzu mewy, odważne nurki i kaczki spoglądające ufnie w ciemnoszare niebo, na morze pełne fok.

Pieśń łabędzia

Mam zaszczyt przedstawić sąsiadów osiedla Cruskeen Lawns - łabędzie krzyczące, bernikle obrozne, nieśmiałe lisy oraz rybiki cukrowe... - fuj!

Claudine, skup się!

Czy rybik to jakiś żuk czy też skorek? Z całą pewnością w Cruskeen Lawns nie zabraknie zwierząt. Szczególnie z gatunku gryzoni. Kiedy ostatnio tam byłam, dookoła roztaczało się tylko błocko o głębokości półtora metra, a jedynym dźwiękiem był szum pomp wyciągających niezmiernie ilości ciemnobrunatnej wody z fundamentów. Nic więc w tym dziwnego, że wolę się skoncentrować na ptaszkach i pszczołkach. Usiłuję tylko zachęcić tych biednych frajerów do patrzenia wyłącznie na niebo.

Cholera, znowu telefon.

- Słucham. O, cześć, Tom. Właśnie pracuję nad prospektem Lawns. O co chodzi?

Przez następne trzy minuty nie udaje mi się wtrącić ani jednego słowa. Mój szef, Tommy O'Hare, prosi o obejrzenie jakiegoś starego domostwa, które jego zdaniem w najbliższym czasie zostanie wystawione na sprzedaż.

- Jeśli pojedę tam sam, konkurencja będzie się mieć na baczności, ale ciebie nikt nie będzie przecież podejrzewał.

Twarz i szyję oblewa mi fala gorąca. W myślach mówię: dzięki, Tommy, cholernie wielkie dzięki za zaufanie. Pracuję w tej branży zaledwie ponad pięć lat...

Jak się okazuje, domostwo to Whitecliff, zaczynam więc słuchać uważnie.

- Znam to miejsce. Jest opuszczone. Skąd wiesz, że będzie na sprzedaż?

- Mam swoje źródła.

- Budynek stoi pusty od lat. W środku jest pewnie pobojuwisko. Nie słyszałeś przypadkiem jakiejś związanej z nim historii...?

- Zapomnij o historiach. Zapomnij o domu, skarbie. Otacza go ponad siedem hektarów gruntu.

Niemal słyszę, jak mu ślinka cieknie. Siedem hektarów ziemi na wybrzeżu w regionie North County Dublin to sen dewelopera. Bliżej Dublina niż Cruskeen Lawns.

- Do kogo należy?

- Nie wiem dokładnie, ale spróbuję znaleźć właściciela w ewidencji gruntów. Słyszałem, że to jakiś stary kutwa czy też kochany staruszek z zachodniej Irlandii. A ponieważ czas nagli, chciałbym, abyś tam pojechała, gdy tylko uporasz się z tymi papierami. Poniu-chaj tam trochę, obejrzyj te grunty. Wiesz, na co zwracam uwagę...

- Sądzę, że na tym etapie...

- Mądra dziewczynka, bardzo mądra. Zostawię cię z tym, dobrze? Daj znać, jak już wszystko obejrzysz, co? To może być nasze pięć minut. - Rozłącza się.

Tommy O'Hara pochodzi z Dublina, gdzie na Camden Street jego rodzice prowadzili maleńki sklepik z warzywami. Ciągłe posługuje się gwara, nie tylko dlatego, że czuje się dumny ze swoich korzeni. Jest przekonany, że klienci miękną, słysząc dubliński akcent - „Prawdziwy, Claudine, jak mama i tata, a nie jak twój, nowomodny, półkalifornijski”. Nie ożenił się, chociaż ciągle mu powtarzam, każda kobieta chciałaby złapać takiego mężczyznę.

W branży zdominowanej przez firmy o zasięgu krajowym bądź lokalnym, a nawet

międzynarodowe zrzeczenia, Tommy jest prawdziwym indywidualistą: niezależny przedsiębiorca, który nie chce się zrzeczać. Nie zmienia to jednak faktu, że zawsze chce zyskać jak najwięcej. Firma „Doradcy rynku nieruchomości O'Hare” jest abonentem biblii internetowej wszystkich sprzedających i kupujących - myhome.ie - lecz przy tak zwariowanym rynku nieruchomości w okolicach Dublina wszyscy otrzymujemy z tego serwisu informacje o tysiącach prawdziwych perełek, więc nasza firma korzysta głównie z poczty pantoflowej i ogłoszeń w lokalnych gazetach. Grunty budowlane w Cruskeen Lawns udało nam się złapać dzięki szkolnej znajomości Tommy'ego z jednym z głównych przedstawicieli Greenparks, konsorcjum usiłującego zagospodarować ten teren, i jest to obecnie największe z naszych przedsięwzięć. Jednak choć nie należy lekceważyć wartości procentowych, nie zarabiamy nawet ułamka tego, co dostaną deweloperzy. Jeśli więc uda nam się sprzątnąć posiadłość Whitecliff przed nosa tych wielkich szych, może w przyszłości będziemy mogli robić coś większego. Teraz nie mamy nawet własnej wystawy ani biura - każde z nas pracuje w swoim mieszkaniu.

- Wiesz, Claudine - ciągnie Tommy - jeśli to wyrwiemy, zależnie od stanu domu, możemy tam zrobić nawet coś na kształt luksusowego hotelu otoczonego domkami letniskowymi i dobrze rozplanowanym parkiem. Zarobimy krocie. I wiesz co? Można tam urządzić nawet pole golfowe. Kiedy już zobaczysz to miejsce, sprawdź, czy dom nie figuruje w spisie zabytków czy czymś takim.

Nie jestem już na niego zła - co prawda Tommy to wstrętny mały sęp, ale jest mój. Ma pewne ambicje polityczne (nieprawdaż, Tommy?), jest członkiem miejscowego *cumann* partii Fianna Fáil, bywa na wszystkich pogrzebach w promieniu czterdziestu kilometrów. Jest też wrażliwy i obniża opłaty klientom, którzy ze łzami w oczach zawierają pierwszą tego typu transakcję.

- Pojadę tam, tylko najpierw skończę prospekt i pokażę klientowi ten domek w Rush. Jestem tam umówiona o wpół do trzeciej.

- Chrzań domek, pojadę za ciebie. Jak tylko przygotujesz to coś dla Greenparks, leć do Whitecliff. O wpół do siódmej mam spotkanie *cumann*, więc musisz zadzwonić wcześniej.

- Rozumiem, Tommy.

- Przepraszam, przepraszam. Muszę zniknąć - pa pa.

- A nie chcesz przypadkiem znać nazwiska klienta zainteresowanego domkiem w Rush?

Musi być naprawdę napalony na Whitecliff, jeśli zapomniał zapytać o nazwisko potencjalnego nabywcy.

- Cholera, pewnie!

Słyszę szelest gazety. Robi notatki na marginesach i chusteczkach higienicznych, na wszystkim, co akurat ma pod ręką, nie wyłączając własnego rękawa.

- Daj.

Kiedy się wreszcie rozłącza, z westchnieniem wracam do przerwanej pracy. Czy można przedstawić jako romantyczne obiekty pożądania dwanaście bloków z apartamentami, mieszkaniami dwupoziomowymi i zabudową szeregową? A przynajmniej jako obiekty zupełnie odmienne od dziesiątków tysięcy identycznych domów na sprzedaż. Kiedy na przykład spojrzymy w prawo, nasz wzrok napotka następny pas bagien, gdzie królują dźwigi i koparki, pracownicy budujące fundamenty konkurencyjnego osiedla, o mniej więcej tak samo gęstej zabudowie, które zostanie nazwane North Water Plains.

Dobra. Piszę dalej: „Poszybuj wolny jak mewa do Cruskeen Lawns...”. Źle. To tylko przypomni klientom o kredytach, ciężących im u szyi jak głąz...

„Masz dość spalin czyhających za drzwiami twojego domu? Dość dojazdów do pracy? Może warto budzić się, słysząc pieśń łabędzia, a wieczorem mieć w uszach jedynie głosy ptaków morskich i świergot szpaków na gałęziach? Może warto oglądać złociste zachody słońca na różanym niebie? I oddychać swobodnie nie tylko na zewnątrz, ale także w środku naszych niezwykle przestronnych apartamentów...”.

Hmmm... No, może i tak... Ale czy łabędzie śpiewają? A jeśli chodzi o niebo - gdzież by indziej mogło zachodzić to cholerne słońce? W każdym razie osiedle ma okna od wschodu. A te „niezwykle przestronne apartamenty”?

Czasem podczas oprowadzania klientów po obiekcie mam ochotę wsunąć miarkę w rękę tych biednych ofiar, zbyt przejętych, by spostrzec, że w niektórych wypadkach meble, robione na miarę, są mniejsze niż normalne, bo wtedy pokoje wydają się większe. Czuję się tak, jakbym dawała solidnego kopa tej ich nadziei. Te błyszczące oczy i potajemne przytulanie, kiedy wydaje im się, że nie patrzę...

A po jaką cholere piszę to gówno? Mam czterdzieści jeden lat, a mój angielski jest ta-

ki sobie. Chciałabym wymóc na Tommym zgodę na przekazanie tej części mojej pracy profesjonalnej firmie zajmującej się PR lub marketingiem, choć to pomniejszyłoby nasze dochody. „Świetnie sobie radzisz ze słowami, Claudine. Jesteś prawdziwą mistrzynią słów. A ja dostaję apopleksji na samą myśl o napisaniu zwykłego listu...”. Cóż, pochlebstwa już mu się kończą.

Gapię się ponuro na owoc swoich wysiłków reklamotwórczych. Co mogłabym robić, gdybym odeszła z branży? Nie chcę być nauczycielką - a mój licencjat, choć całkiem zasłużony, i tak by do tego nie wystarczył. Musiałabym wrócić do college'u i zrobić magisterium z nauczania początkowego. Precz, głupi pomysły. Na komputerach znam się tylko o tyle, o ile, umiem je obsługiwać w razie potrzeby, ale nie chcę się tego uczyć na większą skalę. Odpadają więc wszelkie prace biurowe, a przynajmniej wymagające czynności innych niż te, które wykonuję teraz. A gdybym postanowiła znaleźć sobie zajęcie w barze kanapkowym czy kiosku, Bob aż spieniłby się z wściekłości. Chybaby mi się to podobało - mało wymagająca praca, mogłabym cały dzień gawędzić z ludźmi i organizować różne rzeczy. Moim zdaniem jestem w tym dobra. A jak zareagowałiby kumple?

- Jak się ma twoja żonka, Strongy? (Nazywamy się Armstrong).
- Cóż, zajęła się... eeee... handlem detalicznym...
- Otwiera sklep? Fajnie masz, Strongy!

Na Boga, Claudine, napisz wreszcie ten prospekt. A co powiedziałby tata, widząc cię w koszuli nocnej o wpół do dwunastej w południe? Zawsze ubierał się wytwornie i pedantycznie, a po ósmej rano nikt, nawet Pamela, nie miał już prawa snuć się po domu w piżamie, nieprzygotowany do pracowitego dnia.

Zaciskanie pętli

Wreszcie mogę zostawić Greenparks i Cruskeen Lawns samym sobie. Tekst reklamowy wysłałam już ubrana i w pełni gotowa do wyjścia, nie czekając na odpowiedź.

Dzień jest piękny, i tak naprawdę z przyjemnością spędzę go na świeżym powietrzu, bawiąc się w detektywa. Whitecliff jest niezwykle atrakcyjnym miejscem i to bez względu na swój obecny stan. Pierwszorzędna nieruchomość, jak zwykle mówimy, i tym razem opis jest zgodny z prawdą. Na dźwięk tej nazwy pieką mnie uszy nie dlatego, że słyszałam ją już z ust ludzi z branży czy widziałam z daleka, lecz dlatego że ten dom od dawna bardzo mnie ciekawi.

Moja pamięć to wielki dziurawy wór, z którego wylatują rzeczy ważne, a zostaje w nim dziwaczny, czasem błahy szczegół zwykłej rozmowy. Nazwa Whitecliff pojawiła się wiele lat temu w niedzielę rano, podczas śniadania. Jadłam je z tatą i Pamelą w hotelu Royal Marine w miejscowości Dun Laoghaire w pobliżu Dublina. W sobotnie i niedzielne poranki dość często jadaliliśmy w luksusowych hotelach. Tata uważał, że ze względów zawodowych powinien być w takich miejscach („Nigdy nie wiadomo, kiedy dzięki przyjacielskiemu pozdrowieniu zyskasz nowego klienta, kotku!"). - Poza tym jednak sprawiało mu to przyjemność, ponieważ był bardzo towarzyski.

Wydaje mi się, że mogłam mieć wtedy jakieś piętnaście czy szesnaście lat, więc tamto śniadanie musiało być pod koniec lat siedemdziesiątych. Nie słuchałam rozmowy taty z Pamelą, lecz ożywiłam się, słysząc, że kolejny raz zaczynają sprzeczkę, która trwała w naszym domu od kilku miesięcy.

Mieszkaliśmy wówczas w Glenageary, ale od dłuższego czasu była mowa o przeprowadzce do lepszego domu - nasz nigdy się Pameli nie podobał.

- Północ wcale nie jest zła - oświadczyła tego ranka, trzepocząc przy tym pociągniętymi tuszem rzęsami i machając włosami związanymi w koński ogon. - Tam jest kilka świetnych domów. Na przykład - rzuciła nóż i widelec na obrus, sięgnęła ręką pod stół i wyciągnęła z torebki skrawek papieru - co myślisz o tym? To Whitecliff. Byłby świetny.

Fantastyczny widok na morze, wielki salon. Jakie przyjęcia można tam urządzać! Są nawet pokoje na poddaszu. Od jakiegoś czasu stoi co prawda pusty i zapewne wymaga remontu, ale to chyba nie problem? I dookoła kilka hektarów ziemi. Mógłbyś pobudować garaże dla swoich ukochanych starych aut... - Zamilkła nagle. Była tak podniecona, że wcześniej nie zauważyła reakcji taty. Ja zauważyłam.

- Skończyłaś? - zaczynał się denerwować.

- Christy...

- Nie ma mowy. Koniec tematu. - Spojrzał na mnie z uśmiechem. - Wszystko w porządku, kotku? Dobrze się bawisz?

- Tak, tato, jest świetnie. Zgadzam się z tobą, tatusiu. Wcale nie chcę przenosić się na północ. Jeśli jednak musimy się przeprowadzać, Sandycove jest super.

Posłałam mu uśmiech jak z reklamy pasty Colgate, a kiedy znowu zajął się jajecznicą, już znacznie mniej przyjaźnie wyszczerzyłam zęby do macochy.

Cóż, byłam złośliwym, rozpieszczonym bachorem. I oględnie mówiąc, nie przepadałyśmy za sobą z Pamelą. Prawdę mówiąc, nigdy nie dałam jej szansy i choć wmówiłam sobie, że poślubiła mojego ojca wyłącznie dla pieniędzy, tak naprawdę nie potrafiłam jej wybaczyć, że muszę się z nią dzielić tatą. Pierwszego dnia naszej znajomości uznałam, że jest u mnie spalona, i nigdy nie zmieniłam zdania. (Wierzcie mi, czterolatki potrafią podejmować takie decyzje - jestem tego najlepszym dowodem). Tata otoczył nas dwoje jakby zaczarowanym murem, a kiedy ona robiła wyłom, ja zajmowałam pozostałą część życia ojca, usiłując się jej pozbyć i załatać wyrwę.

Pamela wkroczyła w moje życie, gdy obchodziłam czwarte urodziny.

- Królewno, masz ochotę iść do cyrku z tatusiem i jego przyjaciółką?

Chociaż byłam dzieckiem, bez trudu poznałam, co się święci, i straszliwie mnie to zdenerwowało. Co gorsza, ta kobieta wyszła za tatę trzy miesiące później, na wyspie Barbados, w obecności mojej i dwojga świadków - służby hotelowej. Pomimo łąpówki w postaci „fantastycznych wakacji”, miniaturowej sukni ślubnej, z welonem i bukietem, byłam dość posępną druhną.

Zachowałam tamten epizod przy śniadaniu w pamięci w nadziei, że się dowiem, na czym polegał problem. Jednak w ciągu następnych kilku dni nie byliśmy sami nawet przez chwilę i cała sprawa uciekła mi z głowy, przynajmniej na jakiś czas. Potem, może za dwa

miesiące, a może później, mieliśmy się przeprowadzić do „wspaniałego domu w Sandycove, wielkiego jak te dwa, Claudine, i to nad samym morzem. Spodoba ci się. Wszyscy znajomi będą ci zazdrościć”.

Jakiś czas później zagadnęłam tatę o jego dziwną reakcję na wzmiankę o Whitecliff, lecz nie uzyskałam odpowiedzi („Jaka reakcja? Nie wiem, o czym mówisz, kotku!”), co tylko potwierdziło moje przypuszczenia, że znał tamten dom. Zdażyliśmy się już jednak zadowolić w Sandycove, schowałam więc pytania do szuflady i zapomniałam o nich na wiele lat. Wróciły dopiero wtedy, gdy już pracowałam w handlu nieruchomościami i usłyszałam gdzieś tę nazwę - teraz jednak tata od dawna nie żyje i nikt nie odpowie na nurtujące mnie pytania.

Agenci nieruchomości rzadko rozmawiają o czymkolwiek innym niż same nieruchomości, więc i Whitecliff pojawiał się od czasu do czasu - jako świetne miejsce do zagospodarowania, lecz nigdy jako obiekt ewentualnej transakcji. Zawsze też takim wzmiankom towarzyszyły szokujące plotki: jakaś żona któregoś z właścicieli tego domu oszalała i poszła do domu wariatów. Na Whitecliff ciąży jej klątwa i nawiedzają go duchy. Koniecznie trzeba wezwać księdza, żeby się ich pozbyć, zanim ktokolwiek będzie mógł tam zamieszkać.

Nie, nie oszalała, nie poszła do domu wariatów i przede wszystkim nie była żoną, tylko córką: popełniła samobójstwo, a jej krzyk można usłyszeć w czasie pełni księżyca. Słyszałam nawet, że pewna na pozór godna szacunku rodzina kupiecka z Rathlinney, jednej z wiosek na północy hrabstwa North County Dublin, zaczęła ją czcić - słyszałam to od ludzi w średnim wieku, specjalistów w naszej branży, którzy mówili o tym całkiem poważnie. Jeden z nich powiedział mi przy piwie, patrząc znad okularów w rogowej oprawie, że jego zdaniem domostwo było nawiedzone przez *banshee*, ducha kobiety, którego zawodzenie zwiastowało śmierć.

Może więc owe plotki zniechęciły tatę do tego domu. A może, w czasach gdy handel samochodami nie był tak bezlitosny i wyspecjalizowany jak obecnie, mój ojciec, będący wówczas u szczytu kariery, handlował z mieszkańcami Whitecliff. Był świetny w swojej branży, a jego sława rozciągała się poza granice miasta po całym Leinster. Może miał jakieś złe doświadczenia z ludźmi z tamtej posiadłości.

Zastanawiam się, skąd Tommy wie, że dom będzie na sprzedaż. Jeśli zmienił właściciela w czasie, gdy Pamela machała tacie przed oczami ofertą sprzedaży, nowi nabywcy

niewiele tu zrobili. Kiedy ostatnio byłam w tej okolicy, teren wokół pokrywała gęsta dżungla jeżyn, paproci i janowców. Bluszcz i budleja już oplótły dom - to wielkie gmaszysko - do takiego stopnia, że z plaży poniżej nie dało się określić, czy jest on cały.

Jadę teraz w kierunku wybrzeża, a wszystkie te myśli przenoszą mnie wprost do taty.

Uwielbiałam go, nie da się tego nazwać inaczej, i do tej pory, cierpiąc z powodu jego śmierci, jednocześnie wściekam się czasem na niego, że mnie opuścił. Zmarł nagle, po czym okazało się, w czasie potwornych dni i tygodni po jego śmierci, że choć zaczął już zmieniać testament (powiedział mi nawet: „Lepiej późno niż wcale, kotku, co? Jestem zbyt zajęty. Kto zresztą umiera od razu? Z całą pewnością nie ja!"), nie dokończył go i nie podpisał. W związku z tym jedynym wiążącym dokumentem był pierwszy, sporządzony wiele lat wcześniej, w którym ojciec zapisał wszystko swej „ukochanej żonie”.

Oszalała z wściekłości na tatę, Pamelę i cały świat, walczyłam z nią w sądach o to, co w moim odczuciu słusznie mi się należało. Odniosłam jednak tylko połowiczny sukces: to ona była żoną mojego ojca, ja zaś byłam już dorosła i, zdaniem sędziego, dobrze wykształcona, a to zapewnił mi za życia tata. Sędzia zezwolił, żebym kupiła sobie dom, aby móc żyć w warunkach, do jakich byłam przyzwyczajona. Zdecydował ponadto, że koszty sądowe zostaną pokryte z majątku ojca. Tak więc nie wszystko poszło po myśli mojej macochy, z czego się zdecydowanie cieszyłam.

Wiem, że brzmi to strasznie, lecz takie są fakty i nie mogę ich zmienić. Wiem również, że już dawno powinnam wyrosnąć z tej dziecinady, lecz nawet teraz, gdy nie jestem skazana na ciągłe towarzystwo Pameli, każde wspomnienie o niej przywołuje tamto uczucie niechęci. Chyba jest mi potrzebna jako nemezis, worek treningowy, na którym mogę wylądować całą frustrację i uczucie pustki. Wielokrotnie próbowałam dać sobie z tym spokój, zignorować ją, lecz nigdy mi się to nie udało, Ale to się zmieni. Wkrótce. Przysięgam. Już nawet poczyniłam pewne postępy. Potrafię się przyznać, nie bez wstydu zresztą, że traktowałam ją jak kozła ofiarnego. W środku nocy, kiedy nikt nie widzi wyrazu mojej twarzy, przyznam nawet, że po śmierci taty to ja wywoływałam sprzeczki. Gdyby nie moja zawziętość, być może doszłybyśmy do porozumienia.

W pewnych kwestiach miałam jednak rację. Moje podejrzenia, że zawsze zależało jej na majątku taty, potwierdziły się, kiedy niespełna rok po jego śmierci sprzedała firmę oraz dom w Sandycove i wyjechała na stałe do Miami. Dowiedziałam się o tym z listu, do które-

go dołączyła czek na pięć tysięcy dolarów i życzenia pomyślności dla mnie i Boba. Wrzuciłam wszystko do kosza, lecz Bob postanowił uratować zarówno list, jak i czek, uznając, że pieniądze mogą nam się przydać.

- Ona tylko chce uspokoić sumienie, Bob! - zaprotestowałam. - Co to jest pięć tysięcy? Z majątku wartego miliony!

- Wcale mnie nie interesuje, co ona chce, Claudine - odparł mój mąż. - Mamy debet na koncie.

Musiałam skapitulować. W owym czasie, choć hipoteka naszego domu była już czysta, płacenie rachunków i utrzymanie go było dla nas sporym obciążeniem i ciągle brakowało pieniędzy. Odbiłam sobie jednak przyjęcie tego czeku i wcale jej za niego nie podziękowałam (co za wstyd).

Kiedy wracam myślami do lat po śmierci taty, ten czas kojarzy mi się z obrazkiem z mojej Biblii dla dzieci, na którym Lucyfer, najważniejszy anioł, spadał z sielankowej światłości i chwały wprost w kłębiącą się ciemność, rozjaśnioną jedynie płomieniami, z której dochodziły przeraźliwe wrzaski. Kiedy tata umarł, byłam takim aniołem. Być może brzmi to zbyt dramatycznie, lecz właśnie tak się czułam.

Mądrzy ludzie mówią, że nie należy podejmować żadnych ważnych decyzji w ciągu dwóch lat po śmierci ukochanej osoby. Mnie jednak, mimo bezkresnej rozpacz, opanowała myśl, że muszę całkowicie uciec od dawnego życia i zacząć wszystko od początku. Postanowiłam opuścić Dublin i interpretując wspomniane przez sąd „warunki” po swojemu, szybko znalazłam przestronny dwupoziomowy dom. Na parterze znajdowały się salony, kuchnia i dwie połączone ze sobą sypialnie, a na piętrze gabinet, pokój kąpielowy i jeszcze dwie sypialnie. Rezydencja ta powstała na terenie stadniny koni, podzielonym teraz na kilka osobnych działek. Osłaniało ją wzgórze leżące między miejscowościami Garristown w północnym Dublinie a Ardcath w hrabstwie Meath. Front domu wychodzi na żyzne pola i łąki ciągnące się w stronę morza, błyszczącego niczym platyna za dźwigami stojącymi w porcie Droghedy. Jeśli powietrze jest tak przejrzyste jak dziś, na horyzoncie widać pasmo Mourne i wzgórze na przylądku Cooley. Kiedy już załatwiliśmy niezbędne formalności związane z zakupem, wzięliśmy z Bobem skromny ślub, po czym wprowadziliśmy się do tego domu. Na początku leczyłam duszę urządzaniem domu i odkrywaniem niewątpliwej radości płynącej z seksu. Kiedy poznaliśmy już tajniki tej sztuki, nasze łóżko śpiewało, dzięki czemu za-

pomniałam o dręczącej mnie rozpacz.

Pędzę teraz po estakadzie nad ujściem rzeki w pobliżu Malahide. Widać nie tylko stada ptaków, których używamy jako reklamy, nie tylko dźwigi - „nasze” w Cruskeen Lawns i „ich” w North Water Plains, lecz także otwarte morze rozciągające się za apartamentowcami osiedla Malahide Marina. Choć może się to komuś wydać dziwne, dusze moich rodziców zawsze wyobrażałam sobie bawiące się na niebie nad morzem. Jakimś morzem. Każdym morzem...

Muszę się zatrzymać. Te wszystkie myśli sprawiły, że znowu dopadł mnie smutek. Ciągłe mnie zaskakuje, mimo że od śmierci taty minęło już ponad dwadzieścia lat. Mam mgłę przed oczami, włączam więc światła awaryjne i zatrzymuję się na poboczu, by dojść do siebie.

Ostatnio odkryłam, że napady smutku są podwójne: oplakując tatę, oplakuję też ją, mamę, która zmarła w wieku zaledwie czterdziestu lat, wydając mnie na świat. Aż nieprawdopodobne, że gdyby żyła, miałaby teraz osiemdziesiąt jeden lat - w moich oczach na zawsze pozostanie uśmiechniętą i szczęśliwą młodą kobietą z czarno-białych fotografii ślubnych, ubraną w kostium z lat czterdziestych i toczek.

Żałuję, że nie dowiedziałam się więcej o niej i jej rodzinie. Tata jednak odpowiadał tylko na moje dziecinne pytania o jej wygląd i zapach, zapewniając przy tym o jej nieustającej miłości. Choć bez wątpienia ciągle mamę kochał, nigdy, nawet kiedy już dorosłam, nie mówił za dużo o jej życiu i rodzinie. Zapewne miał swoje powody - mogę tylko zgadywać, że dotyczyły jego własnego bólu i ponownego małżeństwa z Pamelą, która mogła być zazdrosna, że kochał kogoś bardziej niż jej zuchwałą osóbkę. (Nie zapominajcie, że moim opiniom w tej kwestii niekoniecznie można ufać).

Ojciec był dużo starszy od mamy, a mimo to pozostali mu jacyś krewni, których nigdy nie odwiedzaliśmy, rozsiani po całym kraju. Z rodziny mamy nie żył już nikt - tak przynajmniej twierdził tata. Czasem pokazywał niewyraźne stare fotografie członków swojej rodziny, lecz nigdy nie widziałam żadnego z kuzynów mamy: „Nie przywiozła ze sobą takich rzeczy, kotku, tylko te fotki z college'u, które już widziałas”.

Tata twierdził, że jestem wierną kopią mamy. Kiedy miałam dwanaście czy trzynaście lat, usiłując znaleźć owo podobieństwo, studiowałam uważnie ich ślubne zdjęcia, portrety zrobione u fotografa w dniu zaręczyn, fotki z miesiąca miodowego na południu Francji i

tych kilka, dokładnie cztery, zdjęć z college'u. Jedno z nich musiało zostać zrobione na przyjęciu - w tle widać sporą grupę ludzi - na którym chyba świetnie się bawiła, jako że uśmiechała się uwodzicielsko przez ramię. Niewiele jednak swoich cech, poza wzrostem i włosami, udało mi się u niej znaleźć.

Rodzice pobrali się w Paryżu. „Na świadków poprosiliśmy kelnera i barmana z bistro, w którym jedliśmy tego dnia obiad, kotku. Nie znali angielskiego, więc wszystko tłumaczyliśmy na migi. Ale było śmiesznie!” - a z perspektywy czasu, na podstawie kilku niekontrolowanych słów, które się tacie wymknęły, sędzę, że rodzina mamy nie zgadzała się na ich małżeństwo.

- I tak nie przyjechaliby na ślub, nawet gdyby odbył się na miejscu. Raczej mnie nie lubili.

- Dlaczego, tato? - Byłam oburzona na samą myśl, że ktoś mógłby nie lubić mojego najwspanialszego ojca.

- Wydawało im się, że jestem dla niej za stary, wiem to, zresztą czasem ludzie nie potrzebują żadnego powodu, aby kogoś nie lubić.

Pierwsze dwadzieścia jeden lat swojego życia przetańczyłam u boku taty, który poza mną świata nie widział i zastępował mi także mamę. Wystarczał mi za nich dwoje, i szczerze mówiąc, mamą nie interesowałam się za bardzo, dopóki nie było za późno. Od czasu do czasu bez zapału postanawiałam się dowiedzieć o mamie czegoś więcej: tata powiedział mi na przykład, że jej rodzina miała ziemię, więc na początek można by poszukać w jakichś organizacjach zrzeszających rolników. Bez trudu mogłam też zdobyć akt urodzenia mamy. Zawsze byłam jednak zbyt zajęta innymi sprawami i brakowało mi zapału, by osiągnąć cel. A może teraz nadszedł właściwy czas, by zacząć poszukiwania, myślę, szukając w schowku chusteczek.

Jeszcze nie zdołałam się przyzwyczaić do tęsknoty za mamą, i tak naprawdę nie umiem nazwać tego, co czuję, gdyż nie wiedząc, kim ani jaka była, tylko niejasno zdaję sobie sprawę, za czym tęsknię. Noszę jej pierścionek zaręczynowy, obrączkę oraz złoty łańcuszek i nigdy ich nie zdejmuję, lecz poza tym pozostało mi po niej niewiele. Być może sweter, buty czy torebka powiedziałyby mi o niej coś więcej, skrupulatna Pamela usunęła jednak z domu wszystkie rzeczy swej poprzedniczki. Jeśli zaś chodzi o zgromadzone przez moją mamę bibeloty czy inne rzeczy do domu, w tym strasznym okresie po śmierci taty - mło-

da, zrozpaczona i rozgniewana - przenosząc się do swojego nowego domu i nowego życia, zabrałam ze sobą jedynie album ze zdjęciami z Sandycove. Do dziś żałuję, że tylko tyle.

Cóż, jestem sierotą, mówię do siebie w myślach, śmiejąc się przy tym przez łzy żalu nad własnym losem, ale tym razem ironia nie pomaga mi się pozbierać.

Dzień śmierci taty, dzień moich dwudziestych pierwszych urodzin, stał się dla mnie początkiem nowej epoki. Kilka dni później, na pogrzebie, miałam poczucie, że znalazłam się na mieliźnie pośrodku wartkiej rzeki. Z mojej prawej strony rozpościerała się przyszłość pełna nieznanymi niebezpieczeństw. Z lewej strony natomiast poplątana, gorączkowa przeszłość - życie z tatą - wciągała mnie w swój nurt jak głęboka rzeka, usiłując jeszcze osłabić moją wątłą chęć życia.

Bob, w tweedowym garniturze, który wisiał na jego chudych młodzieńczych ramionach, przyszedł tego dnia do kościoła. Spotykaliśmy się już wcześniej, lecz teraz podniosłam stawkę. To znana historia. Dziewczyna z college'u spotyka przystojnego sprzedawcę, który pracuje w firmie jej tatusia, flirtuje z chłopakiem, zakochuje się i wkrótce, w chwili załamania, błaga go, by się z nią ożenił, gdyż nie może znieść pustki. Mąż, kochanek wypełnia ową przepaść, jak głosi baśń - i tak się też stało, choć na krótko, ze mną, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy łóżkowe.

Czasem wydaje mi się, że na twarzy mojego męża widzę wyraz zawodu, gęsty jak mgła, lecz składam to na karb rozczarowania; miał nadzieję, że wiążąc się ze mną, zwiąże się też z firmą. Kiedy jednak Pamela zwinęła interes, musiał rozejrzeć się za inną pracą. Choć ciągle pracuje w tej samej branży, jest dyrektorem wykonawczym, a nie właścicielem. Nigdy jednak nie narzeka, pogodził się z tym. W tym roku humor mu się poprawił, gdyż jego firma przeniosła się z luksusowych, lecz zrujnowanych pomieszczeń w centrum Dublina do nowoczesnego salonu w nowym centrum motoryzacji w pobliżu lotniska w Swords. Cały ten kompleks ciągle jeszcze przypomina plac budowy, lecz pomieszczenia Boba są już gotowe, więc to on będzie czerpał korzyści płynące z faktu, że jest pierwszym dilerem w centrum. Nowa siedziba firmy jest też bliżej domu, więc Bob nie będzie już musiał wystawać na potężnym parkingu, w jaki każdego ranka zmienia się pas dróg dojazdowych obok miast-sypialni otaczających Dublin.

Ostatnio parę razy przemknęło mi przez głowę pytanie, co właściwie trzyma nas razem. Dzisiaj, może z powodu mojego płaczliwego nastroju, dociera do mnie, że być może

mylnie odczytywałam jego rozczarowanie, jeśli to w ogóle jest to. Być może wcale nie chodzi mu o życie zawodowe, tylko o nasze małżeństwo. Czy obecnie któreś z nas wie, o czymśni drugie?

Kiedy byłam młoda, w mojej sentymentalnej wizji małżeństwo (oczywiście nie taty i Pameli!) przedstawiało się jako dwie złączone łodzie, płynące z prądem po szerokiej rzece o nazwie Nadzieja w kierunku portu o nazwie Szczęście. A może takie rzeczy się nie zdarzają? Może nawet w najtrwalszych związkach te łódki podążają dwoma różnymi nurtami z różną prędkością i spotykają się tylko czasem, kiedy przypadkiem trafią na spokojną toń.

Do diabła, Claudine, chyba czytasz za dużo magazynów dla kobiet! Weź się w garść. Jesteś więc sierotą - w twoim wieku to całkiem dobry układ! Jesteś zdrowa i dość dobrze ci się wiedzie, masz nieźle zarabiającego męża, z którym się potrafisz dogadać. Masz też pracę, która choć nie jest szczególnie ciekawa i nie przynosi kokosów, nie zmusza cię do siedzenia za biurkiem. Połowa ludzi na świecie oddałaby dużo za tyle szczęścia.

Wycieram nos, a obok mnie trwa nieprzerwany ruch samochodów ryczących, mrugających lusterkami i pobłyskujących kołpakami na kołach. Nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

Cóż, nawet ja sama nie spojrziałabym na siebie - na ten pochlipujący kłębek sprzeczności.

Pożegnanie z Matthew

Po kilku miesiącach spędzonych w pokoju na wieży poprosiłam, z dobrym skutkiem, o swoją wiolonczelę. Było to w lutym, zbliżały się moje siedemnaste urodziny, a jak już mówiłam, początkowo nie godziłam się ze swoim położeniem i go nie akceptowałam, w związku z czym wiele moich dni wypełnionych było goryczą. Kto wie, przemknęło mi przez myśl kiedyś zaraz po przebudzeniu, może muzyka mi pomoże.

A oto moja rodzina, moja była rodzina.

Moim ojcem był Roderick Shine, jedynak, który odziedziczył po swoim ojcu Whitecliff i rodzinną firmę. Fiona, moja matka, dość niestosownie zwana Muszką, urodziła się w Dundonald na północy Irlandii. Nie mam pojęcia, jak się poznali - nigdy nie mówili o swoich prywatnych sprawach przy nas i nie zachęcali nas do zadawania pytań. Wszyscy dziadkowie zmarli, zanim się urodziłam, i wedle naszej wiedzy mieliśmy tylko jednego żyjącego krewnego, samotnego brata mojej matki, wujka Samuela - po którym imię odziedziczył mój brat Samuel.

Wujek Samuel, właściciel pubu, był moim ojcem chrzestnym. My, dzieci, cieszyliśmy się z jego corocznych lipcowych wizyt nie tylko ze względu na hojne prezenty, lecz także na zaraźliwy dobry humor, który wuj wnosił do naszego spokojnego domu. Zarówno charakterem, jak i wyglądem wujek krańcowo różnił się od naszej mamy. Oboje byli niscy, lecz mama była drobna i bez wyrazu, wujek natomiast tęgi. Miał czerwoną twarz i donośny głos, oczy niknące wśród zmarszczek, kiedy się śmiał, i serdeczny śmiech okraszony zapachem piwa. Zaraz przekonacie się, że miałam dług wdzięczności wobec niego.

Być może to ów brak krewnych sprawił, że nasi rodzice dochowali się siedmiorga dzieci.

Moją najstarszą siostrą była Johanna, która w ostatnim czasie została moją najlepszą przyjaciółką. Po niej następowali Marjorie, Samuel młodszy, potem bliźniaki James i Thomas, po nich Matthew i wreszcie ja, ochrzczona jako Violet Jane. Wszyscy urodziliśmy się na początku roku: Johanna, bliźniaki i Matthew w styczniu, Marjorie, Samuel młodszy i ja

w lutym. Niania mówiła, że woda w Whitecliff musi mieć jakieś szczególne składniki.

Do końca 1945 roku zmarło trzech spośród moich braci.

Matthew nie udało się wygrać z gruźlicą, kiedy miał zaledwie sześć lat. Zmarł 22 lutego 1933 roku, a nas, dzieci, poddano kwarantannie. Część swoich piątych urodzin, dwa dni później, spędziłam, przyglądając się zza szyby, jak pracownicy firmy pogrzebowej wynoszą trumnę z domu.

To był mój pierwszy kontakt ze śmiercią i zwłokami. Nie było w rodzinie zmarłych dziadków ani babć, których należałoby całować i oplakiwać, nigdy też nie widziałam kurczaka ze skręconym karkiem i nie słyszałam kwiku szlachtowanej świni. Na części gruntów uprawialiśmy warzywa, mieliśmy też sad i szklarnię z pomidorami, lecz nie trzymaliśmy żadnych zwierząt, nawet kur. Może się to wydawać dziwne, jeśli wziąć pod uwagę nasze skromne warunki życiowe, lecz mama nie znosiła brudu i nie potrafiła zrozumieć, po co miałyby zajmować się bydłem czy drobiem, jeśli będąc głównymi kupcami we wsi, mogliśmy kupować tańsze produkty od wszystkich dostawców w okolicy. Mieliśmy co prawda koty, lecz nie wolno im było wchodzić do domu. Nawet w ogrodzie nie mogliśmy dawać im mleka ani ich głaskać, żeby nie przyzwyczajały się do nas. Mama tolerowała koty jedynie dlatego, że w jej odczuciu odstraszały myszy i szczury. Nie dostawały zbyt dużo jedzenia i musiały same się troszczyć o siebie.

Jak większość dzieci błagaliśmy rodziców o psa, lecz mama była nieugięta: „Ta rodzina nie potrzebuje psa, gdyż w domu nie ma nic interesującego dla złodziei”. Tata zastanawiał się kiedyś nad kupnem konia, ponieważ mieliśmy dużo pastwisk, które wydzierżawiali mieszkańcy wioski. Koło domu stała nawet niewielka rozpadająca się stajnia z trzema boksami, lecz mama nie zgodziła się również na konia.

Kiedy więc Matthew umarł, byłam przerażona i tamte dni przed pogrzebem i po uroczystości wciąż przemykają mi przez pamięć jak w kalejdoskopie.

Potrafię na przykład szczegółowo opisać, jak w dniu śmierci Matthew, zanim przywieziono go z sanatorium do domu, niania zatrzymała wahadła dwóch zegarów.

- Co się stało, nianiu? Co się stało? - Szłam z płaczem za nią do holu, gdzie zatrzymała zegar po dziadku, a stamtąd do salonu. Wzięła mnie na ręce i przytuliła swój zniekształcony policzek do mojego. Pamiętam, że był mokry.

- W najbliższym czasie musisz być najlepszą dziewczuszką na świecie, Violet - powie-

działa. - O Boże, Boże, twoi biedni, biedni rodzice...

W tym momencie do pokoju wszedł tata i mimo oszołomienia zauważyłam, że trzyma zwoje czarnej tkaniny. Niania wytarła oczy w rękaw sukni i postawiła mnie na podłodze.

- Biegnij teraz do Johanny - przykazała. - Jest w kuchni i da ci mleka. Pamiętaj, masz być cichutko jak myszka.

Wzięła część materiału od taty i gdy ojciec zakrywał obraz wiszący naprzeciwko potężnej sofie, niania przyciągnęła krzesło do kominka, by móc zasłonić wiszące nad nim lustro.

Zamiast pójść do kuchni, pobiegłam na górę, do mamy. Nawet dziś potrafię sobie przypomnieć gęstą ciszę panującą za zamkniętymi drzwiami jej pokoju i jeszcze bardziej niezmaconą ciszę otulającą resztę domu; nadal pamiętam ciepło drewnianej futryny rozgrzewającej się od mojej twarzy przytulonej do drzwi.

Sytuacja na dole wcale nie przedstawiała się lepiej. W kuchni zalana łzami i zeszywniała z bólu Johanna szorowała zlew, jakby nie był już tak czysty, jak nowy talerz z porcelany. Podbiegłam do niej i złapałam ją za nogi.

- Niania mówi, że masz mi dać mleka - chlapałam, nie wiedząc dlaczego jestem smutna.

- Usiądź przy stole, Violet - poleciała szorstko siostra. A potem, zamiast mnie przytulić, pognęła do spiżarni, zdjęła gazowe przykrycie z jednego z dużych białych dzbanków i naląła mleka do miski.

- Proszę - powiedziała, stawiając ją na stole.

- Nie chcę tego - zapłakałam.

- To nie pij.

Zabrała miskę ze stołu, wylała mleko do zlewu i ponownie zajęła się szorowaniem. Było to tak niepodobne do niej, że przestałam płakać i poczułam w piersiach coś zimnego i oślizgłego. To musiał być mój pierwszy świadomy kontakt ze strachem.

Choć Matthew umarł w zwykły dzień, wydawało się, że to niedziela. Moi starsi bracia i siostry wrócili ze szkoły. Ojciec zamknął sklep w Rathlinney, a niania miała nas ubrać w odświętne rzeczy.

Ponadto, zamiast jeść z nianią w kuchni jak co dzień z wyjątkiem niedziel, poszliśmy do jadalni, gdzie niania napaliła już w kominku i nakryła stół. Zapach i smak jabłek ciągle

przypomina mi tamto trzaskanie płonącego drewna, jedyny dźwięk zakłócający śmiertelną ciszę tego popołudnia, gdyż w kominku paliliśmy wtedy polanami ze ściętej jabłoni.

Kiedy firma pogrzebowa późnym popołudniem przywiozła ciało z sanatorium, zostaliśmy wysłani do swoich pokojów. W tym czasie łóżko Matthew przeniesiono na dół do rzadko używanego salonu. Dopiero później, ściskając nianię za rękę, wraz ze wszystkimi zesłam, aby zobaczyć brata. Wszystkie sofy i krzesła stały pod ścianami i tylko ubrany na czarno tata siedział w nienaturalnie wyprostowanej pozycji obok zmarłego. Matthew leżał otoczony bielą: biała koszula nocna, biała poduszka, śnieżnobiała kapa. To nie był Matthew, którego znałam. Z przerażeniem przyglądałam się temu, co zostało z mojego brata: kościom wystającym spod naciągniętej, poszarzałej skóry, cienkiej siennej kresce w miejscu ust, cienkim i niemal przezroczystym powiekom, które wprost nie mogły zakryć zapadniętych oczu.

Płomienie setek - a może to tylko mnie tak się wydawało - świec migotały w przeciągu. Z tych świec spływał воск. W ich ciepłe wełniana sukienka zaczęła mnie drapać. Mimo że poranek był ładny, teraz krople deszczu niesione podmuchami wiatru najpierw uderzyły w okna w jednym końcu pokoju, a zaraz potem w drugim, więc cała nasza rodzina, dom i biedny Matthew - wszyscy znaleźliśmy się jakby zamknięci w szalonym kręgu.

- Powinnaś go pocałować, Violet - wyszeptała mi niania do ucha, schylając się przy tym nisko. - Bądź grzeczną dziewczynką, tak właśnie powinna postąpić prawdziwa chrześcijanka.

Na samą myśl o tym zaczęłam płakać i wyciągnęłam do niej rękę, żeby mnie przytuliła.

- Ciiiiii - uspokoiła mnie niania.

Moi bracia i siostry po kolei podchodzili pocałować Matthew. Thomas i James nie kryli łez, Samuel młodszy zaś, jako najstarszy z dzieci, zdradzał się tylko czkawką. Johanna i Marjorie były spokojne, lecz łzy spływały im po policzkach.

Schowałam twarz w miękkiej, pulchnej szyi niani. Zawsze pachniała różami (teraz przypuszczam, że to był zapach jej pudru).

- No, idź, Violet. Trzeba to zrobić - wyszeptała.

- Nie!

Byłam jednak posłusznym dzieckiem i po dalszych namowach zgodziłam się go dotknąć. Trzymając się jedną ręką bluzki niani, pochyliłam się i dotknęłam dłoni Matthew,

splecionych na kapie. Aż odskoczyłam - to nie były palce mojego brata, lecz coś tak ostrego i twardego jak pazury małego kotka.

Ogarnęła mnie prawdziwa panika. To nie był mój rumiany braciszek, najbliższy mi wiekiem, z którym jeździliśmy na miotłach w pokoju na wieży. Pisnęłam z przerażenia i niania musiała wyprowadzić mnie z pokoju.

Nie przypominam sobie, co prawda, żadnej uroczystości w kościele, lecz pomimo swojego młodego wieku i odległości w czasie, wyraźnie pamiętam niewielki, straszny orszak towarzyszący Matthew w ostatniej drodze następnego dnia. Drzewa okryte były liśćmi, a na niebie świeciło słońce; naszego trawnika nikt nie kosił od kilku tygodni i pobłyskujące żółtą traw falowały na wietrze.

Mama nie pozwoliła nam iść na cmentarz, więc kondukt pogrzebowy składał się z trzech samochodów: karawanu z błyszczącymi ozdobami, starego czarnego samochodu księdza i samochodu ojca, w całkiem niestosownym żółtym kolorze. Mama, siedząca obok taty, miała twarz zakrytą woalką.

Kiedy pojazdy ruszyły ku bramie, byłam zupełnie zdezorientowana. Poprzedniego dnia niania, która teraz siedziała obok mnie przy oknie, zapewniała, że Matthew pójdzie prosto do nieba. Nie widziałam jednak żadnego znaku, że tak się stanie: ciągle zamknięty był w białym pudle i jechał wolno karawanem, jakby to był jakiś stary traktor.

Widziałam, że wieko trumny zostało zabite gwoździami. Jak stamtąd wyjdzie? Poczulałam w piersiach przerażenie ciężkie jak kula lodu i ognia.

- Kiedy wyjdzie, nianiu?

- Ciiiiiii, kochanie! - Wzięła mnie na kolana i przytuliła. - Pożegnaj się z nim teraz. Pożegnaj się najcieplej, jak potrafisz. I nie martw się, jak się dostanie do nieba. Kiedy słońce zajdzie dziś wieczorem i wszyscy już pójda spać, Bóg weźmie Matthew w ramiona i zabierze prosto do góry. Swoje dzieci zawsze zabiera do siebie w tajemnicy. Tam, na górze, jest dobrze, Violet. Nie ma szkoły, nie ma żadnych zakazów, nie ma obowiązków, tylko sama zabawa. Bóg wie, że wszyscy pragną iść do nieba, i nie chce smucić braciszków i siostrzyczek, którzy muszą poczekać na swoją kolej.

Choć ciągle przyglądałam się jadącym powoli samochodom, zastanowiłam się też nad słowami niani.

- A z kim będzie się tam bawił? Chcę z nim iść.

- Musisz poczekać na swoją kolej. Tam jest już dużo innych małych dzieci i tak dużo zabawek, że Matthew nie będzie miał czasu na nudę. Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką tu, na ziemi, kiedy Bóg przyjdzie po ciebie, Matthew będzie czekał u bram nieba i pokaże ci wszystkie najlepsze zabawki i najwspanialsze miejsca. Ucieszy się na twój widok, dziecko.

Brzmiało to rozsądnie, nawet zachęcająco i moja panika trochę się zmniejszyła.

- A skąd Bóg będzie wiedział, gdzie go znaleźć dziś wieczór po zachodzie słońca?

- Psssst! - fuknęła niania, a potem musiała wytrzeć nos w jedną z wielkich chustek, którą zawsze miała przy sobie. - Czego cię uczą w szkółce niedzielnej, Violet Jane Shine? Bóg wszystko potrafi. Powinnaś to wiedzieć.

Samochody dotarły już prawie do zakrętu naszej drogi.

- Mam pomachać, nianiu?

- Właśnie tak powinnaś zrobić. Pomachaj bratu, Violet.

Kiedy więc moi bracia i siostry płakali i tulili się do siebie przy pozostałych oknach, ja machałam ochoczo ze swojego miejsca. Wyobraziłam sobie te wszystkie zabawki, nawet zestawy kolejki, które czekały na Matthew w niebie.

Następny był pogrzeb Jamesa, jedenaście lat później. Wydarzyło się to w lecie owego nieszczęsnego 1944 roku. Bliźniacy zaciągnęli się razem do wojska w Belfaście tuż po osiemnastych urodzinach w lutym poprzedniego roku, gdyż tata zdołał ich przekonać, by nie robili tego wcześniej. Podobnie jak wszyscy młodzi mężczyźni chcieli iść do wojska jak najszybciej i mieli zamiar skłamać w kwestii wieku.

Kiedy otrzymali powołanie, pożegnałam się z nimi dość niefrasobliwie, gdyż byłam już wtedy zakochana w Coleyu Quinnie, i jeśli nie myślałam o tym, jak się z nim niespostrzeżenie spotkać, marzyłam o jego włosach, oczach, twardych i silnych dłoniach, gładkich białych ramionach i szerokich plecach. Gdy więc James i Thomas przyszli oznajmić, że zostali wezwani, aby walczyć o wolność, uściskałam ich obu, powiedziałam, że będą świetnie wyglądali w nowych mundurach i otrzymawszy zapewnienie, że po szkoleniu przyjdą na przepustkę, życzyłam im szczęścia i stwierdziłam, że wtedy się spotkamy.

- I tak nie zobaczycie żadnej bitwy. Wszyscy uważają, że wojna się skończy przed Bożym Narodzeniem - mówiłam te słowa beztrąsko, papugując to, co usłyszałam od dorosłych i Coleya Quinna. Coley, którego rodzina dzierżawiła od nas pastwisko, pracował w mleczarni, gdzie słyszał wszystkie najnowsze wiadomości.

Pan de Valera trzymał nas, Irlandczyków, z dala od tej odrażającej wojny i dopóki nie zaczęła ona dotyczyć nas bezpośrednio, była jedynie powodem do irytacji: oznaczała, że musieliśmy spędzać wieczory przy zaciągniętych zasłonach bądź zamkniętych okiennicach i że jako kupcy nie byliśmy w stanie zdobyć wystarczających ilości herbaty, cukru, opon rowerowych ani nafty do lamp, aby zaspokoić potrzeby klientów, a nawet własne. Coley mógłby wynieść dla mnie trochę masła, lecz wtedy rodzice dowiedzieliby się o naszym związku, więc udawałam oburzenie: „Coley, nie teraz, kiedy nasi żołnierze głodują”.

Ojciec uwielbiał pana de Valera nie tylko ze względu na jego ideały republikańskie. Zdaniem ojca, mieli takie same poglądy na problemy społeczne i moralne naszego kraju. Całkiem przypadkowo, w Dniu Świętego Patryka w ubiegłym roku, tata nie miał ochoty słuchać jakiejś nudnej jego zdaniem audycji w BBC i zmieniając stację, trafił na trzeszczące wystąpienie pana de Valera, który przedstawiał argumenty na poparcie swej wizji Irlandii. Jeśli dobrze pamiętam, pan de Valera wyznał wtedy, że pragnie, abyśmy mogli żyć zgodnie z wolą Boga, i że nasz kraj powinien jaśnieć od przytulnych domostw i dźwięczeń okrzykami zdrowej i silnej młodzieży. Ojciec często przytaczał ten fragment i przez pewien czas, ze względu na swój związek z Coleyem, drżałam z rozkoszy na samą myśl o tym, co powiedziałby o nas pan de Valera, a w praktyce tata.

Później miałam dość wolnego czasu, by żałować tamtego krótkiego pożegnania z braćmi: Jamesem, podekscytowaną wspaniałą przygodą, i spokojnym Thomasem, który udawał taką samą beztroskę. Nie byli jednakowi pod względem fizycznym, mieli też różne osobowości. Thomas zawsze robił to samo, co jego bardziej ekstrawertyczny bliźniaczy przywódca i jak podejrzewam, do wojska zaciągnął się również tylko dlatego, że James uważał to za fantastyczny pomysł.

Kiedy wysłano ich na front, trzy miesiące po zakończeniu szkolenia, biedny James tylko dwa dni uczestniczył w walkach. Został zabity o zmierzchu podczas ostrzału swojego stanowiska. Na wiadomość o tym wylałam wiele łez, lecz jak sądzę, nadal jeszcze nie pogodziłam się wówczas z uwięzieniem. Ta śmierć, obok straty ukochanego, stała się moją codzienną obsesją, wypierając wszelkie inne katastrofy.

Nie było mi łatwiej, kiedy Thomas także zginął w trakcie walk pod koniec wojny w 1945 roku. Żyjąc w zamknięciu, z poczuciem winy rozciągającej się na całą wieczność, nie mając przy sobie Coleya Quinna czy kogokolwiek mi bliskiego, wybuchnęłam rześistymi, a

nawet teatralnymi łzami. Tę najświeższą tragiczną nowinę usłyszałam w nocy, w czasie pełni księżyca, i wznosząc zapuchnięte oczy ku pełnemu współczucia światłu wlewającemu się przez okno mojego więzienia, pewna byłam, że zwariuję.

Dostałam już wtedy wiolonczelę i przez kilka dni po śmierci Thomasa usiłowałam spożytkować swój nieskończony czas wolny na skomponowanie elegii dla trzech zmarłych braci. Udało mi się jedynie stworzyć straszliwy hałas, pogarszający jeszcze moją bez nadziejną sytuację. Nie miałam talentu ani doświadczenia w zakresie kompozycji, a moja gra na wiolonczeli przypominała raczej wycie *banshee*.

5

Poranek

Nasz wspólny, taty i mój, ostatni dzień zaczął się tak radośnie. Choć nie znałam jeszcze wyników egzaminów końcowych, byłam pewna, że dobrze mi poszło i mogłam się bawić tak wspaniale, jak jeszcze nigdy w życiu.

Nawet pogoda mi sprzyjała: byłam zbyt podekscytowana, by spać, i obudziłam się dziesięć po piątej, kiedy promienie wschodzącego słońca zalewały mój pokój. Wskoczyłam z łóżka. Dwadzieścia jeden, pomyślałam, biorąc głęboki wdech i odsłaniając ciężkie story. Nasz dom od zatoki dzieliła jedynie droga: z okien widziałam opisaną przez Jamesa Joyce'a wieżę Martello na jednym cyplu oraz długi palec mola w Dun Laoghaire, wskazujący na Anglię, z drugiej strony. Świat defilował przed moim oknem i gdybym stała w nim wystarczająco długo, któregoś dnia mogłabym zobaczyć nie tylko flotyllę rodzimych jachtów należących do klubów położonych wzdłuż drogi, lecz także statki morskie z całego świata, potężne promy przewożące samochody i kontenerowce, barki węglowe oraz inne statki pasażerskie i towarowe, dmuchające parą w drodze do dublińskiego portu i wypływające stamtąd.

Tego ranka jednak przed naszą bramą nie stał żaden golf.

Popatrzyłam na pustą drogę, przyjrzałam się też spokojnemu morzu w kolorze pierwiosnków. Byłam odrobinę rozczarowana, gdyż od czasu do czasu wspominałam, że na

urodziny chciałabym dostać zielonego sportowego golfa, którego widziałam na podjeździe w salonie taty.

Jeszcze jest mnóstwo czasu, pomyślałam. Pewnie chce do niego załadować skrzynki szampana i baloniki.

Nie czułam się winna, że proszę o tak drogi prezent. W końcu dwadzieścia jeden lat kończy się tylko raz w życiu i mnóstwo moich przyjaciół na dwudzieste pierwsze urodziny dostało samochody sportowe, a komuś nawet rodzice kupili mieszkanie w nowoczesnych blokach, które właśnie zaczęły się pojawiać w niektórych dzielnicach Dublina. Podniosłam okno i wdychałam poranne, słone powietrze. Dwadzieścia jeden! Powtórzyłam tę magiczną liczbę kolejny raz. Wydawało mi się, jakby dopiero wczoraj tata podrzucił mnie po raz pierwszy do ogromnej szkoły, a dziś już jestem taką staruszką. Byłam dorosła: mała dorosła dziewczynka tatusia, na progu najlepszego dnia w swoim życiu; dnia wypełnionego życzeniami, prezentami i przyjemnościami, ukoronowanego wieczornym przyjęciem. W przeszłości często czułam ukłucia zazdrości, słysząc o hucznych imprezach rodzinnych w domach moich przyjaciół - zwykle zazdrość mijała bez śladu na wieść o kłótniach! - lecz tego dnia brak rodziny działał na moją korzyść. Jako że nie miałam żadnych starych ciotek i wujków ani innych staruszków, których po prostu trzeba by zaprosić, na przyjęcie przyjdą jedynie moi przyjaciele i urządzimy sobie bał. Myśląc o naszej młodości, zastanowiłam się przez chwilę czy dwie, jak wyglądałaby i zachowywałaby się moja mama, gdyby była tu ze mną. To pytanie umknęło jednak równie szybko, jak się pojawiło. Przecież nigdy jej nie widziałam...

Wybrałam czarno-białe dekoracje, aby Królowna Śnieżka mogła błyszczeć na ich tle; wszyscy inni mogli przyjść w łachmanach. Będzie tata, co oczywiste, i Pamela, i kilku najważniejszych klientów, których zdaniem taty należało zaprosić: „Na pewno ci to nie przeszkadza? Nie zostaną długo. Nie zepsują twojego przyjęcia”. Były kwiaty i firma cateringowa, i krzesła w namiocie z tyłu domu - to na posiłek. Parter domu został opróżniony z mebli i przygotowany na dyskotekę. Pogoda, przynajmniej teraz, także dopisywała. Tego ranka byłam chora z podniecenia.

Najpierw jednak musiałam zjeść lunch z tatą i Pamelą w dużej, ekskluzywnej sali jadalnej Berkeley Court.

Wybrane przeze mnie miejsce na urodzinowy lunch było dla taty zaskoczeniem.

- Jesteś pewna, kotku? Byliśmy tam mnóstwo razy, a dwudzieste pierwsze urodziny są ważnym wydarzeniem w życiu każdego. Zabiorę cię wszędzie, nawet do Paryża. Jeśli wylecimy wcześniej rano, będziemy z powrotem na twoje przyjęcie.

- Tatusiu, zostaw to mnie. Chyba muszę to jeszcze przemyśleć.

Udawałam przejętą, przez następnych kilka dni drażniłam się z ojcem, że muszę teraz traktować świat bardziej poważnie, i zamiast pozwolić mu się zabrać do Paryża, powinnam zacząć się zajmować naszą rzeczywistością. Powinniśmy wobec tego wybrać miejsce, gdzie ludzie mniej uprzywilejowani niż my zmuszeni są jadać: jakąś knajpę z wejściem wprost z ulicy, ze stolikami bez obrusów, położoną na końcu paskudnej dzielnicy.

Jednak pomimo owych przekomarzań urodzinowy lunch od początku miałam zamiar zjeść w hotelu Berkeley Court. To było nasze miejsce, taty i moje, i byłam pewna, że wyborem właśnie tego hotelu na lunch w najważniejszym dniu swego życia sprawię ojcu przyjemność. Do Berkeley zawsze zabierał mnie i Pamelę podczas ważnych okazji. Podawano tu potężne kawały pieczonej wołowiny, poprzerastane tłuszczem niczym mapa, czarne z zewnątrz, a mięciutkie i soczyste w środku. Poza zielonym groszkiem i potrawą z duszonych warzyw serwowano tu także dobrze znane warzywa jak rzepa czy kapusta. Sztućce były tak ciężkie, że podczas ich przenoszenia w koszyku można było nabawić się przepukliny. Nawet jako mała dziewczynka nie czułam się w najmniejszym stopniu przerażona panującą tu ciszą, srebrnymi kopolami na talerzach, masywnym wózkiem ze słodyczami, szepczącymi kelnerami - nie, czułam się raczej bezpieczna, spokojna i wytworna, jakby nic nigdy nie mogło mnie zranić pod osłoną grubych ścian i firan.

Ciągle było zbyt wcześnie, by zadzwonić do kogokolwiek. Odeszłam od okna, usiadłam na łóżku i objęłam rękami kolana. Wymieniłam w myślach wszystkie dary otrzymane od losu, ze zdrowiem włącznie, superhojnym tatą i przystojnym chłopakiem, będącym u szczytu kariery. Nie mówiąc już o dobrych wynikach egzaminów.

Byłam świadoma przywilejów swojego wychowania, szczególnie jeśli chodzi o wykształcenie. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, w jaki sposób niektórym moim kolegom z uczelni udaje się przebrnąć przez kolejne lata. Angielski na uniwersytecie w Dublinie nie należał do łatwych kierunków, nauka wymagała sporo wysiłku, ale niektórzy studenci poza uczęszczaniem na wykłady i ćwiczenia oraz terminowym oddawaniem prac musieli jeszcze za marne grosze myć tłuste naczynia lub wykonywać inne prace, aby zarobić na jedzenie.

Kiedy rozmyślałam o tak przygnębiających rzeczach, przypomniła mi się natychmiast przypowieść o ukochanym synu, na którego powrót zabito tłuste cielę. Ja czułam się równie kochana i nie było w tym mojej winy, prawda?

Gdy byłam młodsza, w wolne dni lub podczas wakacji tata zabierał mnie wszędzie ze sobą, nawet w podróże służbowe. Kiedyś spędziliśmy fantastyczny weekend w Londynie, a przed powrotem do domu zrobił sobie wolne popołudnie i pojechaliśmy pociągiem do Brighton.

- Coś sobie obejrzymy - powiedział tamtego ranka ze śmiechem, jak zwykle poświstując niczym astmatyk. - Jesteśmy wyspiarzami i oglądanie zabytków świata powinno być obowiązkowe. Rząd powinien nam fundować wycieczki na wieżę Eiffla, do Tadź Mahal, Wielkiego Muru w Chinach i Wielkiego Kanionu. Przystań w Brighton to trochę mniejszy kaliber, kotku, ale od czegoś trzeba zacząć.

Miałam wtedy jakieś jedenaście lat i nigdy nie zapomniałam tej wycieczki.

Włączyłam teraz radio przy łóżku i położyłam się ponownie na poduszkach, myśląc o wspaniałym życiu, jakie mam przed sobą.

Zastanawiałam się, czy Bob się już obudził i jaki prezent dla mnie przygotował. Miałam się z nim spotkać później na kawie w Royal Marine. Miałam nadzieję, że przyniesie ze sobą prezent.

Jeszcze „tego” nie robiliśmy. Przytulaliśmy się i pieściliśmy, ale nie poszliśmy „na całość”. To była moja wina - coś, sama nie wiedziałam co, mnie powstrzymywało. Może chodziło o moje wyznanie - byłam protestantką - dość powściągliwe w tych sprawach. Może z powodu naszej niewielkiej liczebności w Irlandii wydaje nam się, że musimy szczególnie dbać o reputację. Bez względu jednak na przyczynę, czułam, że nie powinnam iść ze swoim chłopakiem do łóżka przed ślubem i że tata byłby rozczarowany, gdyby się o tym dowiedział. A dowiedziałby się na pewno, zawsze tak było.

Tego dnia nie mogłam się wprost doczekać spotkania z Bobem. Może zada pytanie, na które czekałam. Może przyniesie ze sobą do Royal Marine pierścioneł, wyjmie go z kieszeni i wrzuci do kieliszka szampana albo ukryje w kanapce. Mogłabym się wieczorem pochwalić przyjaciółkom, myślałam pełna szczęścia. Nie pokażę go wszystkim od razu, nie ogłoszę niczego publicznie. Nic z tych rzeczy. Tylko będę wymachiwać pierścionkiem, żeby olśnić dziewczęta.

Puściłam wodze fantazji. Po ślubie poradzimy sobie bez trudu. Parę miesięcy temu tata awansował Boba na starszego sprzedawcę, co wiązało się ze znaczną podwyżką pensji i wzrostem prowizji. I nawet gdyby mnie nie udało się znaleźć dobrej, przyzwoicie płatnej pracy, tata nie pozwoliłby nam zginąć. Dałby nam pieniądze na apartament w jednym z tych nowych budynków. A może nawet na dom - choć mieszkanie w apartamencie brzmiało tak snobistycznie i wielkomiejsko...

Przyznawałam w duchu z poczuciem winy, że czasem dobrze jest nie mieć rodzeństwa, a do tego być dziewczyną.

Wszystko to oczywiście działo się pierwszego czerwca 1983 roku, w dniu, w którym zawalił się cały mój świat.

6

Człowiek z nożem

Z dala od autostrad, dróg krajowych i lokalnych, North County Dublin - czy też Fingal, jak nazywa się ten region, odkąd cały okręg podzielono na trzy mniejsze - jest labiryntem wąskich, krętych drózek, ścieżek i ślepych podjazdów. O tej porze roku, nie zważając na starania władz, rosnące wzdłuż poboczy krzewy i trawa wdzierają się na jezdnie tak usilnie, że nieświadomy turysta podejrzewać będzie z pewnością działania szajki szalonych projektantów dróg, którzy sprzysięgli się, by zwieść go lub ją na manowce.

Są też plusy, rzecz jasna: trawa z boku, poprzetykana naparstnicą, jaskółczym zieleń, stokrotkami - gdzieniegdzie nawet pękami purpurowych maków - jest nieprawdopodobnie zielona. Za nią znajdują się gęste płoty z krwawnika, wierzb płaczących, głogów oraz leszczyn. Rosną w zastraszającym tempie. Ten rok jest wyjątkowo łaskawy, wilgotny i ciepły. Bez wątpienia to tak zwane globalne ocieplenie. Zapraszam!

Właśnie się zgubiłam. Whitecliff widziałam dotychczas tylko z oddali. Dom wznosił się wysoko nad nami, kiedy wraz z Bobem i Jeffreyem, naszym kundelkiem, spacerowaliśmy po plaży. (Wiem! Imię wymyślił mu Bob. Kiedy dostaliśmy psa, Bob czytał właśnie książkę pod tytułem „Abel i Kane” Jeffreya Archera, jedną z chyba trzech powieści, przez

jakie w życiu przebrnął. Nie miałam siły się z nim kłócić).

Zaliczyłam już dwa ślepe zaułki. Najpierw trafiłam do bramy jakiegoś gospodarstwa, a potem do zapchanego złomem warsztatu naprawy samochodów i wszelkich innych maszyn. Choć pamiętałam ostrzeżenie Tommy'ego: „Tylko niech nikt się nie dowie, po co tam przyjechałaś, Claudine. Wiesz, jacy są ludzie na wsi”, kusiło mnie, aby zapytać o drogę, lecz postanowiłam jeszcze raz spróbować samodzielnie tam trafić.

Tommy jest niekiedy melodramatyczny, lecz mnie to nie przeszkadza: czasem życie jest dzięki temu bardziej interesujące, a teraz zachowuję się właśnie jak szpieg na terytorium wroga.

Zwalniam i usiłuję się zorientować, gdzie jestem. Krzaki z prawej strony, krzaki z lewej, a przede mną powyginany znak drogowy ostrzegający przed ostrymi zakrętami. Do diabła z tym, myślę. Całkiem spokojnie, mogę chwilę odpocząć. Zjeżdżam na pobocze, wyłączam silnik i opuszczam szyby, żeby poczuć całą gamę aromatów irlandzkiego lata. Pachnie ono zjełczalym tłuszczem i słodyczą; połączenie zapachu kiszzonej paszy dla zwierząt, szlamu i ciepłych jeszcze krowich odchodów z wonią dziewiczej trawy, soków drzew, dzikich kwiatów - a ponieważ wszędzie jest blisko do morza, w tej mieszance można wyróżnić także zapach ozonu.

Nie ma wiatru. Nie ma samochodów, traktorów, maszyn budowlanych ani koparek, gdyż wszyscy w okolicy jedzą teraz obiad: tutaj ci, którzy nie jeżdżą do pracy do miasta, jedzą główny posiłek w środku dnia. Właściwie nie słychać nawet ptaków, od czasu do czasu jedynie dobiega stłumiony ptasi świergot. O tej porze roku ptaki są zajęte czym innym i nie marnują czasu na śpiewanie, najbardziej więc słychać pszczoły bzyczące w krzakach oraz muchy brzęczące nad plackami krowich kup na lśniącym asfalcie.

Patrzę, jak dwa motyle siadają na jednym białym kwiatku i każdy walczy o prawo do niego. Takie jest życie, myślę, i wyjmuję swój lunch, paczkę słodkawych tajskich chipsów o smaku chili. Powinnam rzucić cały ten zgiełk, firmę, w której pracuję, i wszystkie sprawy, aby zająć się własnym ogrodem, chodzić w legginsach i wygodnych butach, z parą uroczych labradorów u boku.

Podnoszę mapę z siedzenia pasażera. Whitecliff leży na obrzeżach okręgu o nazwie Maghcolla, wśród gęstej pajęczyny dróg i pól. Cały problem polega jednak na tym, że nie wiem, gdzie jestem - być może sto metrów, a może sześć kilometrów od celu swoich poszu-

kiwań. Może powinnam wrócić do Rathlinney, gdzie zatrzymałam się po benzynie, i zacząć wszystko od początku.

Nie byłam w tej wiosce już od paru lat. To jest, czy też było, jedno z owych szczególnych miejsc położonych z dala od głównych szos, i trudno trafić do niego przypadkiem, w drodze od punktu A do punktu B. Tam po prostu trzeba chcieć jechać.

Choć firma Tommy'ego O'Hare nic tu nie budowała, wiem już od dawna, że ta miejscowość, podobnie jak większość niewielkich osad w Fingal, przekształciła się w sypialnię dla osób pracujących w mieście. Wjeżdżając do centrum, byłam jednak zaskoczona skalą zmian, jakie tu zaszły od mojego ostatniego pobytu. Tam, gdzie dawniej były żyzne pastwiska, obecnie rozciągały się całe osiedla identycznych domów stojących w długich, idealnie prostych rzędach - ponieważ tak jest łatwiej ułożyć rury, niż gdyby miały one iść po łuku.

Dawniej Rathlinney był ośpałą wioską, lecz nie należy myśleć ze złością o mieszkańcach nowych osiedli - wieś bez wątpienia zaakceptowała zmiany. Tutejsi ludzie mogą pochwalić się nie tylko nową szkołą, lecz także kwiaciarnią, kawiarnią, żłobkiem opartym na metodzie Montessori i wstrętnie pomalowanym budynkiem poczty.

Jeśli zaś chodzi o sklep, który kiedyś nosił nazwę Sklepy Wielobranżowe Rathlinney - tak mi się przynajmniej wydaje, ale mogę się mylić - to rozwinął się w zadziwiającym stopniu.

Sklep ten zapamiętałam jako miejsce, gdzie można kupić wszystko. Był tam tylko jeden dystrybutor benzyny, za to z tyłu znajdowało się podwórko. W ponurym wnętrzu sklepu cynkowane wiadra, kalosze i polewane półmiski stały tuż obok produktów spożywczych i szuflad opisanych jako „figi damskie”. Dzisiaj w tym jasnym i nowoczesnym centrum handlowym można było nie tylko kupić jedzenie i artykuły przemysłowe, lecz także wypłacić pieniądze z bankomatu, nabyć gazety i kartki z życzeniami na każdą okazję, gorącą kawę, tradycyjny zestaw śniadaniowy, „kontynentalny” chleb, a nawet butelkę wina pochodzącego z mojego ulubionego regionu. Była też wypożyczalnia filmów na DVD. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co powiedzieliby na to dawni właściciele firmy.

Odchylałam głowę do tyłu i wsypuję sobie resztki chipsów do ust. Dzięki temu udaje mi się odnaleźć drogę do Whitecliff. Kiedy odwracam głowę, żeby strzepnąć okruszki z żakietu, w oko wpada mi jakiś jasny kształt. W rowie leży stara tabliczka, na wpół ukryta wśród roślinności.

Grunty prywatne.

Nie przejeżdżać.

Nie wchodzić.

I pomyśleć tylko, że tkwiła tu cały czas!

Dawniej to ostrzeżenie być może odstraszało potencjalnych intruzów - dziś jednak, kiedy leży wśród pokrzyw i trawy, świadczy tylko o upadku zamożnych właścicieli posiadłości, także dlatego że jedyna droga dojazdowa prowadzi zacienionym tunelem. Wyboisty trakt jest porośnięty trawą, a w zagłębieniach stoi woda nawet w ten ciepły i suchy dzień. Wygląda na to, że żaden pojazd nie przejeżdżał tędy od wielu lat. Ja też nie chcę narażać karoserii - a nie dysponuję uzbrojoną w maczety ekipą, która usunęłaby z drogi długie wąsy jeżyn.

Ponownie sięgam po mapę. Tym razem zaczynam od domu i po chwili odkrywam, jeśli się, rzecz jasna, nie mylę i właśnie ta droga prowadzi do Whitecliff, że stąd jest już blisko, najwyżej jakieś osiemset metrów.

Muszę iść na piechotę. Zabieram notes, sprawdzam, czy aparat jest w torbie, zamykam samochód i zagłębiam się w gęstwinę. Jak ja się poświęcam dla tego Tommy'ego O'Hare! Po dwóch minutach marszu mam bolesną szramę na twarzy, a moje buty na skórzanych podeszwach ślizgają się na mokrym mchu i innej mazi, o której pochodzeniu boję się nawet myśleć.

Kiedy wychodzę na litościwe światło, mniej więcej dziesięć metrów przed sobą widzę koślawą zardzewiałą bramę podtrzymywaną przez kamienne słupy upstrzone żółtymi kępami porostów. Brama zamknięta jest ciężkim łańcuchem i dużą, raczej nową kłódką. Z obu stron słupów widnieją szczątki imponującego kiedyś muru granicznego. Większa jego część już się rozpadła, ale w niektórych miejscach nadal ma około dwóch metrów wysokości.

Jak się spodziewałam, domu z tego miejsca nie widać. Zawsze patrzyłam na niego spod klifu, a linie topograficzne na mojej mapie wskazują, że grunt się tu wznosi.

Podchodzę do bramy. Na przyczepionej do niej deszczulce widnieją słowa: „Wstęp grozi”.

Jakiś żartowniś zamalował sprayem dalszy ciąg i dopisał: „zaginięciem”.

Nie umiem powstrzymać uśmiechu. Kiedyś od bramy mogła prowadzić szeroka droga

do domu, lecz teraz pozostała z niej jedynie ścieżka zarośnięta kolczastymi jeżynami i jasnożółtymi krzakami janowca oraz pochylonymi od ciągłych wiatrów drzewami. Jak mam się dostać do domu? Na wszelki wypadek potrząsam grubymi łańcuchami na bramie, ale się nie poddają, co zresztą było do przewidzenia.

Ruszam wzdłuż muru i zatrzymuję się przy każdym wyłomie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam przejścia. Właściciel tej posiadłości musi przynajmniej czasami sprawdzać jej stan. A jeśli, jak mówi Tommy, właściciel mieszka w zachodniej Irlandii, czy nie powinien komuś płacić za opiekę nad domem? Jeśli mam rację, ten ktoś z całą pewnością nie chodzi pieszo - takie rozmyślenia towarzyszą mojej mozolnej wędrówce wzdłuż muru. Przeszłam już około kilometra - idę jakieś dziesięć czy jedenaście minut - i nadal nie udało mi się znaleźć żadnego wejścia.

W końcu docieram do jednej z większych wyrw, za którą jeżyny wydają się jeszcze bardziej rozrośnięte niż do tej pory, i stwierdzam, że mam dość. Może spróbuję kiedy indziej od strony klifu. Kładę notes na jednym z kamieni i wyjmuję telefon, żeby zadzwonić do Tommy'ego.

Powietrze jest tu lepsze niż w labiryncie drózek, którymi przyszłam, lecz nadal jest bardzo cicho i stukanie klawiszy komórki wydaje się bardzo głośne.

U Tommy'ego włącza się automatyczna sekretarka. „Halo, to ja” - zaczynam, lecz nagle z przerażenia upuszczam zarówno notes, jak i telefon, który rozlatuje się pod wpływem kontaktu z ziemią - aparat, bateria, pokrywa baterii - lecz skutki upadku łagodzi mech, który porasta większość kamieni.

W odległości zaledwie kilku metrów ode mnie pojawił się jakiś mężczyzna. Wyłonił się z wysokiego na metr gąszczu jeżyn.

Twarz pokrywa mu kilkudniowy zarost, a gęste włosy na głowie, choć krótkie, są nieładnie. Spodnie podtrzymuje mu w pasie kawałek postrzępionej niebieskiej liny, jaką zwykle widuje się na nabrzeżach portów rybackich. Jest stary, a przynajmniej tak mi się wydaje; twarz ma równie pociętą zmarszczkami jak moja mapa. To mnie uspokaja, ale potem zauważam, że spośród sieci zmarszczek patrzą na mnie bladoniebieskie bystre oczy. Nieznajomy trzyma w dłoni potężny, zakrzywiony nóż ogrodniczy.

Przyglądamy się sobie nawzajem.

Mam ochotę uciekać, lecz uświadamiam sobie, że mimo swojego wieku jest ciągle

wysoki, prosty i dobrze umięśniony i prawdopodobnie biega szybciej ode mnie.

- Przestraszył mnie pan - mówię nie swoim głosem.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Claudine Armstrong. Jestem... jestem turystką.

Czy ten nóż drgnął mu w dłoni?

- Wyszłam na spacer i natknęłam się na ten mur. Chciałam tylko sprawdzić, dokąd prowadzi. Miło mi pana poznać.

Wyciągam do niego rękę. Nie zwraca na to uwagi i marszczy brwi z dezaprobatą.

- Jest pani z opieki? Gdzie ta druga? - Dopiero po chwili dociera do mnie, o czym on mówi.

- Nie, nie mam nic wspólnego z opieką społeczną.

- A co to jest? - Wolną ręką podnosi mój notes i macha mi nim przed nosem. - Jeśli jest pani z opieki, proszę im powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku. Tylko niech mnie zostawią w spokoju. Jestem zdrowy jak rydz.

Nadal mi się dziwnie przygląda - jakby mnie oceniał, a nawet przepytował. Do jasnej cholery, to jest żalosne.

- Naprawdę nie chcę panu przeszkadzać. - Mam nadzieję, że zabrzmi to stanowczo, a nawet władczo. - Przepraszam, jeśli zakłóciłam panu spokój. Czy mógłby mi pan oddać notes? - Wyciągam do niego rękę.

Przechyliła głowę na bok i nie spuszcza mnie z oka. Gra na czas.

- Proszę przejrzeć ten notes. Nie ma tam nic, co mogłoby sugerować mój związek z opieką społeczną. Ani żadną inną organizacją.

- Co więc pani tu robi?

- Już mówiłam. Jestem...

- Nie wierzę pani.

- To już nie mój problem, panie...

Opuszcza odrobinę notes.

- Jest pani bardzo ładna. Wie pani o tym?

Mam poczucie nierzeczywistości tej całej sytuacji, ale strach minął.

- Czy mogę dostać notes?

Zamiast jednak oddać mi moją własność, mężczyzna odwraca się na pięcie i nożem

tnie najbliższe jeżyny. Jestem zaskoczona, gdyż gąszcz rozstępuje się na chwilę, ukazując wąską ścieżkę. Była tak sprytnie ukryta, że trafić na nią można jedynie przypadkiem. Wpycha notes pod niemodną kurtkę.

- Napije się pani herbaty? Proszę pozbierać telefon i iść za mną. - Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. - Niepotrzebnie się pani denerwuje. Nie może pani pewnie zadzwonić na policję? - Uśmiecha się, odsłaniając zęby w nieskazitelnym stanie.

Herbata? To bardziej niż nierzeczywiste, to nie z tej ziemi - targa mną rozterka między chęcią ucieczki od tego szaleńca a przemożną ciekawością. Ciekawość zwycięża. Tak czy inaczej nie mogę przecież zostawić mu bezcennego firmowego notesu, wypełnionego po brzegi numerami telefonów naszych klientów i ważnymi informacjami o rozmaitych nieruchomościach, a także zawierającym znakomity tekst reklamowy.

- Dziękuję za zaproszenie. Będzie mi bardzo miło. - Usiłuję się uśmiechnąć, podnosząc jednocześnie elementy telefonu.

- Gotowa? - Odwraca się do mnie plecami. - Proszę iść tuż za mną, bo się pani solidnie podrapie.

Patrzy przez ramię, aż w końcu postanawiam mu zaufać i staję tuż za jego plecami. Zapach jego kurtki przebija się nawet przez intensywną woń jeżyn. Mój przewodnik wymachuje nożem na prawo i lewo, a ja usiłuję nie deptać mu po piętach. Nasz pochód do miejsca, w którym powinien znajdować się dom, musi wyglądać dość zabawnie.

Głóg

Coleya Quinna poznałam wczesnym popołudniem w piątek, 17 marca 1944 roku, w Dniu Świętego Patryka.

Po śniadaniu i powrocie z kościoła mama udała się do swojego pokoju, Johanna poszła z wizytą do sąsiadów, gdzie umówiła się ze szkolną koleżanką, która przyjechała na święto z Dublina, tata natomiast, pragnąc wykorzystać tak rzadki wolny dzień w tygodniu, zamknął się w jadalni z jakimiś papierami.

Szkołę państwową ukończyłam w czerwcu ubiegłego roku, i od września jeździłam do Balbriggan, do prywatnej szkoły, którą ukończyły też Johanna i Marjorie, na zajęcia z francuskiego, łaciny, literatury angielskiej i geografii. Opinie pisane przez panny Biggs na temat moich postępów w nauce były pozytywne, i tata obiecał, że jeśli nadal będę się uczyć tak dobrze, to zastanowi się nad wysłaniem mnie po wojnie do Francji, żebym mogła tam poćwiczyć język.

Zachwycała mnie ta perspektywa, lecz był dopiero marzec, a ja czułam się dość nieswojo w Whitecliff. Dom wydawał się większy niż kiedykolwiek, odkąd za całe towarzystwo miałam ukochaną Johannę, no i rodziców. Marjorie mieszkała w Dublinie, a bliźniacy pojechali na krótkie wakacje na północ kraju, do wuja Samuela, potem zaś mieli stawić się na szkolenie. Samuel młodszy również był w Dublinie, gdzie studiował w Trinity College.

Szczególnie męczące wydawały mi się posiłki, gdyż moja biedna siostra, cicha i nieśmiała, niezmiennie usiłowała powiedzieć coś ciekawego, tata zaś od jakiegoś czasu czytał przy stole gazetę.

Kiedy zrobił to po raz pierwszy, mama była wstrząśnięta.

- Rodericku, w tym domu nie czytamy przy jedzeniu.

Opuścił gazetę i z lodowatą uprzejmością odparł:

- Być może, Muszko. Ale zastanowię się nad tym dopiero wówczas, gdy któraś z was zacznie rozmowę na interesujący mnie temat.

Mama spłonęła rumieńcem, ale od tej chwili skupiła się na mnie. Często brakowało mi odpowiedzi na jej chaotyczne pytania dotyczące mojej nauki, posiłki jedliśmy więc właściwie w ciszy, przerywanej jedynie delikatnym dzwonieniem sztuców o porcelanę.

Kiedy w Dniu Świętego Patryka w domu zabrakło także Johanny, zrobiło się jeszcze ciszej niż dotychczas. Usiłowałam odrobić jakieś zadania z geografii, lecz nie mogłam się skupić. Nie interesowała mnie zbytnio zła sytuacja w kopalniach cyny w Kornwalii, lecz nie był to jedyny powód - coś wisiało w powietrzu. Ten dzień ciągnął się niczym posępne brunatne bagno. Uczucie niezadowolenia i zniecierpliwienia nachodziło mnie falami i trudno było je przezwyciężyć.

Wreszcie już po południu przerwałam walkę z kopalniami cyny, odsunęłam na bok zeszyty i po bezowocnej próbie napisania do bliźniaków - jakież w końcu radosne nowiny mogłam im przekazać z tego ponurego domostwa? - zeszłam na dół do salonu poszukać powieści, której jeszcze nie czytałam, albo czegoś innego, co nadawałoby się do czytania. Kiedy już tam się znalazłam, mój wzrok padł na światło na zewnątrz, podeszłam więc do okna. Usiadłam na parapecie i obejmując rękami kolana, przyglądałam się naszemu „tłumowi”, „gromadzie złotych żonkili”. Zasadził je dawno temu jeden z moich przodków, lecz teraz samoistnie rozsiały się pod bukami i po obu stronach drogi prowadzącej do bramy niczym gwardia honorowa oczekująca na przybycie ważnego gościa.

Na wprost mnie dwa wróble pracowicie dziobały żwirek przed oknem. Cóż, wprawdzie żyły krótko, lecz przynajmniej były wolne, nie tak jak ja. Miałam szesnaście lat i powinnam nie tylko mieć więcej swobody, lecz także móc samodzielnie podejmować decyzje. To niesprawiedliwe, że muszę dać się żywcem pogrzebać w tym - szukałam trafnego porównania - w tym grobowcu.

Rozejrzałam się po salonie rozświetlonym promieniami wiosennego słońca. Nie było zbyt łaskawe dla mebli i zasłon, które z wyjątkiem dnia pogrzebu Matthew, od niepamiętnych czasów znajdowały się dokładnie w tych samych miejscach. Wszystko to wydawało się zniszczone nawet w porównaniu z prostotą staroświeckich sal panien Biggs. Książki były w jeszcze gorszym stanie. Były martwe. Przeczytałam już wszystko, na co miałam ochotę.

Chciałam znaleźć jakieś konstruktywne zajęcie na resztę popołudnia, bo gdyby mama lub tata przyłapali mnie na lenistwie, musiałabym pracować nad rodzinnym dziełem, nową

kapą na łóżko.

Dotychczas męczyłam się nad podobnymi rzeczami bez słowa skargi, teraz jednak irytował mnie mój wymuszony wkład w festyn dobroczynny organizowany corocznie w naszej parafii, któremu byle wojna nie mogła przeszkodzić. Nasza rodzina zawsze dawała patchworkową kapę, która stanowiła główną wygraną na loterii.

Ściegi mamy były doskonałe, wzory inne co rok, więc loteria stała się jednym z najważniejszych punktów festynu i zawsze przynosiła duże dochody. W czasie świąt Bożego Narodzenia mama jednak się przeziębiła i w tym roku oczekiwała ode mnie i Johanny większego wkładu piracy.

Nawet pod tym względem nie byłam traktowana sprawiedliwie. Moja siostra mogła pomagać przy tak istotnych pracach jak zszywanie poszczególnych elementów według wzoru narysowanego przez mamę na papierze pakowym, ja zaś miałam podkładać pod każdy dołączany właśnie kawałek wycięte ze starych prześcieradeł fragmenty. Kawałek po kawałku - nudna i żmudna praca.

Szybko podjęłam decyzję. Nie spędzę całego święta na zszywaniu kapy, bez względu na szczytny cel tego zajęcia. Pobiegłam więc z powrotem na górę, włożyłam wełniany płaszcz i rękawiczki, a potem owinęłam głowę szalikiem. Wychodzę. Gdzieś. Gdziekolwiek.

Zapukałam do drzwi jadalni i nie czekając na zaproszenie, wetknęłam głowę do pokoju.

- Idę na spacer, tato.

Nie podniósł nawet oczu znad rozłożonych na stole ksiąg sklepowych i rachunków.

- Nie idź zbyt daleko, Violet.

- Nie martw się, tato. Przejdę się wzdłuż klifu. Może zejść na plażę. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Boli mnie głowa. - To było drobne kłamstwo.

- Dobrze już, dobrze.

Tata zdjął okulary, żeby potrzebę oczu, a ja zauważyłam, że wygląda na starszego, niż jest, a dłonie ma szorstkie i pokryte plamami. To nie ze sklepu, choć być może praca w nim też się do tego przyczyniła. Gdyby tata nie odziedziczył interesu, byłby pewnie rzemieślnikiem. Uwielbiał stolarkę i własnoręcznie naprawiał wiele rzeczy w domu, mógłby też zarabiać robieniem szafek. Gdy tylko miał czas, zamykał się w jednej z przybudówek z tokarką i

specjalnym stołem. Kiedyś ze starego cisa, powalonego przez wiatr na cmentarzu, zrobił ławkę. Zajęła ona zaszczytne miejsce przed frontowymi drzwiami domu i była podziwiana przez wszystkich naszych gości, choć nie miewaliśmy ich zbyt wielu.

- Nie wychodź na długo. Matka może cię potrzebować - dodał jeszcze tata, ciągle trąc oczy.

Zauważyłam jeszcze, że zaczął się garbić. Byłam przerażona połączeniem tych wszystkich oznak starzenia i osłabienia. Choć rodzice ciągle kierowali moim życiem, rzadko dostrzegałam w którymś z nich zwyczajnego człowieka.

- Uważaj na schodach przy plaży - ciągnął tata. - Są zniszczone i robią się niebezpieczne. Ktoś będzie musiał coś z tym zrobić. Więcej pieniędzy! Skończę w przytułku, zobaczysz. - Z westchnieniem założył okulary i pochylił się ponownie nad papierami.

Ojciec był silnym i twardym mężczyzną, który rzadko zdradzał oznaki wrażliwości, a już z pewnością nie w obecności członków rodziny. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i odpowiednią posturę. Widząc go jednak pochylonego nad kolumnami liczb, zaczęłam mu współczuć. Z czułością pomyślałam, że powinnam mu pomóc w rachunkach.

- Tato...

Skinieniem ręki kazał mi odejść. Ten gest zdławił czułość tak skutecznie, że musiałam się powstrzymać przed pokazaniem ojcu języka. I przed oznajmieniem, że uciekam z domu do haremu w Maroku. Nic takiego, rzecz jasna, nie zrobiłam.

- Powinnam wrócić w ciągu godziny - dodałam jeszcze.

Na zewnątrz gwizdał wiatr, a powierzchnia morza lśniła wspaniałymi, choć zimnymi diamentami promieni słonecznych. Ruszyłam wzdłuż klifu, przytrzymując kołnierz płaszcza dłońmi w rękawiczkach. Wichura zwiewała mi szal z głowy, a ponieważ nie mogłam go utrzymać, zdjęłam go z głowy, wepchnęłam do kieszeni i pozwoliłam wiatrowi robić, co chce.

Kiedy dotarłam do granicy naszej posiadłości, wyznaczonej drutem kolczastym biegnącym wzdłuż północnego brzegu pola morskiego, jak je nazywaliśmy, byłam już tak zmęczona, że ciężko oddychałam. Włosy z rozpleczonego warkocza biły mnie po twarzy. Byłam jednak na spacerze dopiero od dwudziestu minut i nie miałam ochoty wracać zbyt szybko do domu. Mocniej jeszcze przycisnęłam kołnierz do szyi i na chwilę przystanąłam w rogu pola, aby popatrzeć na dwa niewielkie kutry rybackie w niewielkiej odległości od brzegu. Robiły

to, co zwykle robią łodzie rybackie na morzu: widziałam mężczyzn pracujących na pokładzie, maleńkie figurki, pochylony duet. Zdziwiłam się, że są na morzu w Dniu Świętego Patryka, lecz potem uzmysłowiłam sobie, że jest wojna i brakuje żywności. Pewnie wypłynęli, aby nakarmić rodziny.

Spacer pewnie dobrze wpływał na moje zdrowie fizyczne, lecz nie poprawił mi nastroju. Dlaczego często czuję się tak źle? Dlaczego nie mogę być wdzięczna losowi i zadowolona z życia? Dlaczego nie potrafię docenić tego, co mam, jak uczyła mnie niania, kiedy byłam przygnębiona? Przecież pod względem materialnym miałam więcej szczęścia niż większość irlandzkich dziewcząt, co mama powtarzała mi przy każdej okazji. Żeby nie wspomnieć już o tych wszystkich biednych dziewczętach cierpiących wskutek wojny w wielu krajach. Byłam dość ładna, a przynajmniej tak twierdziły niania z Johanną. Nawet Marjorie, kiedy miała dobry humor, podnosiła moją buzię do światła i twierdziła, że zostałam obdarzona najładniejszą twarzą w rodzinie.

Wyliczanie wszystkich dobrodziejstw, jakie przypadły mi w udziale, wcale jednak nie pomagało, miałam bowiem ochotę wyrwać się na szeroki świat - i biec, biec, biec bez wytchnienia, a odpocząć dopiero w Londynie, Paryżu, Florencji czy Nowym Jorku. Nie po raz pierwszy wydało mi się, że to pech urodzić się irlandzką dziewczyną - czytałam o Karen Blixen, Amelii Earhart i Florence Nightingale, lecz żadna z nich nie była z pochodzenia Irlandką. Żadna nie musiała mieszkać w starym, ponurym domu jak Whitecliff, a gdyby była do tego zmuszona, z całą pewnością udałoby jej się stamtąd uciec. Żadna nie musiała mieszkać w kraju, w którym liczba zakazanych książek, nawet irlandzkich, bezustannie się zwiększała, i gdzie ze wszystkich filmów wycięto sceny pocałunków. W kraju, który właśnie w tym miesiącu został odcięty od świata w związku z blokadą irlandzkich portów. Był to efekt naszego braku zaangażowania w wojnę i teraz nie mogliśmy podróżować nawet do Anglii. Tata ostrzegł mnie i Johannę, żeby w rozmowach z miejscowymi nigdy, przenigdy nie wspominać o zaciągnięciu się bliźniaków do armii brytyjskiej:

- Nigdy nie wiadomo, jak zareagują. Musimy być ostrożni. Nie tylko z powodów politycznych. Nasz byt zależy przecież od nich.

Wydawało mi się, że wszyscy wkoło wiedzieli już o tym, że Thomas i James wstąpili do wojska - w naszej okolicy niełatwo było cokolwiek utrzymać w sekrecie - lecz nie wypowiedziałam głośno swoich przypuszczeń. Moje argumenty i tak nie zostałyby wzięte pod

uwagę - lecz Samuela młodszego, na przykład, już owszem.

Dziewczętom w tym kraju było zdecydowanie trudniej. Chłopcy mogli sami podejmować decyzje i wyruszać w świat, jeśli tylko przyszła im na to ochota, a my, dziewczęta, musiałyśmy wypełniać sobie czas całkiem przyziemnymi zajęciami w oczekiwaniu na pojawienie się właściwego mężczyzny. Na co mogę liczyć do czasu zamążpójścia? Pod żadnym pozorem nie chcę zostać darmową gospodynią jak Johanna.

Odkąd niania opuściła nasz dom, nie miałam się komu zwierzać z rozterek. Johanna była cudowna i delikatna, lecz nie mogłam jej wyznać swoich zmartwień. Zaczęłaby się o mnie niepokoić. Co więcej, zaczęłaby się bać, że powiem lub zrobię coś, co zburzy panujący w domu spokój. Dla Johanny spokój - bez względu na to, czy samoistny czy stworzony sztucznie - był najważniejszy.

Mogłabym porozmawiać z Marjorie, która się znacznie wyzwoliła od czasu wyjazdu do Dublina na kurs dla sekretarek, lecz rzadko się z nią teraz spotykałam. Niezbyt często przyjeżdżała do domu, gdyż jak przypuszczam, świetnie się bawiła w towarzystwie nowych znajomych.

Nie umiałam zawierać przyjaźni. W szkole państwowej dziewczęta trzymały się ode mnie z daleka - pełne szacunku dla naszej pozycji w tutejszej społeczności - albo były okrutne, drażniły się ze mną i szarpały mnie za włosy, gdy tylko nauczyciel odwracał wzrok. Drwiły, że jestem zbyt wielką damą, by pobrudzić sobie ręce, a nawet by je potem umyć. Wyśmiewały się nie tylko z mojej wymowy, lecz także ze słownictwa. „Patrzcie, ktoś połknął słownik, połknął słownik ktoś” - taki szyderczy wierszyk słyszałam na placu szkolnym za każdym razem, gdy użyłam słowa dłuższego niż dwie sylaby. Choć szybko się uczyłam i znałam odpowiedzi na większość zadawanych przez nauczyciela pytań, wolałam się z tym nie ujawniać, gdyż popisywanie się uważano za jeden z najgorszych grzechów w naszej szkole.

Znacznie lepiej było u panien Biggs, lecz trafiłam do nich zbyt późno. Nawyk powściągliwości zdążył się już zakorzenić na stałe, i choć jedna czy dwie koleżanki z klasy usiłowały się ze mną zaprzyjaźnić, zwykle odpowiadałam coś niewłaściwego bądź niemądrego. W rezultacie wiedziałam, czy też raczej podejrzewałam, iż tutaj dziewczęta również wyśmiewają się ze mnie za moimi plecami. Jednak nie miało to większego znaczenia, gdyż im bardziej pragnęłam mieć przyjaciół, tym bardziej zamykałam się w sobie.

Rybacy na morzu skończyli pracę na pokładzie i ciągnąc za sobą poszarpany baldachim mew, ustawili łodzie na równoległy kurs. Przyglądałam im się jeszcze parę minut, lecz ogarnął mnie niepokój (znowu!), a ponieważ nie było tam nic więcej ciekawego, zdecydowałam się wrócić do domu.

Kiedy się jednak odwróciłam, skamieniałam na widok wysokiego, szczupłego chłopaka z papierosem w kąciku warg. Przyglądał mi się z drugiej strony drutu. Wydawał się znajomy - czyżby jeden z chłopców ze wsi? Nie od razu udało mi się go rozpoznać. Miał sztywne włosy w kolorze piasku, tak niemodnie długie, że sięgały kołnierza, i błękitne oczy, jaśniejsze od moich, otoczone jasnymi rzęsami.

Patrzył na mnie zuchwale.

- Co tutaj robisz? - zapytałam bez zastanowienia i dopiero wtedy uzmysłowiłam sobie, że chłopak nie stoi już na naszym gruncie. Zasługiwałam na opinię damy z dworu. Nie pozwolił mi ochłonąć ani odpowiedzieć, lecz się zrewanżował.

- Mógłbym spytać - brzmiało to raczej jak „syptać” - cię o to samo.

Poczułam się dotknięta.

- Mieszkam tutaj.

- Tyle wiem. Bierzemy od was ziemię. Dziewięć i pół akra.

Chłopak odsunął z czoła część włosów, odsłaniając wydatny „wdowi szpic”*. Poznałam go wreszcie - był jednym z Quinnów z Rathlinney. Spotkałam go parę razy, kiedy przyszedł ze swoim ojcem zapłacić roczną dzierżawę za pastwisko. Poczułam ciepło na szyi, jak po wypiciu gorącego ponczu.

* Włosy wyrastające u nasady, nad czołem w trójkąt (przyp. red.).

- Przepraszam. Na chwilę zapomniałam, że tu jest nasza granica.

To jeszcze pogorszyło sprawę. Uczucie gorąca nasilało się, aż w końcu rumieńce wypełzły mi na policzki. Pragnęłam, aby jedna z tych kornwalijskich kopalni cyny otwarła się nagle i mnie pochłonęła, lecz jednocześnie coś w jasnym, uporczywym wzroku chłopca pomogło mi odzyskać równowagę. Wyciągnęłam do niego rękę.

- Byłam niegrzeczna. Czy możemy zacząć jeszcze raz? Jestem Violet Shine. A ty?

- Wiem, kim jesteś i gdzie mieszkasz - przerwał mi i zamiast wziąć moją dłoń, wyjął

papierosa z ust i dokładnie zgasił go o szew sztruksowych spodni. - Mam pełne prawo stać tu, gdzie stoję. To nie twoje pole.

Odzyskałam śmiałość. Jeśli ja byłam niegrzeczna, on był bardzo niegrzeczny.

- Wiem. - Cofnęłam dłoń. - Właśnie to przed chwilą powiedziałam, ale ty chyba nie słuchałeś. Przeprosiłam, lecz twoje maniery są nie do przyjęcia.

Nadal trzymał niedopałek w dłoni. Przechylił głowę na bok.

- Jest ci to wybaczone, Violet Shine - powiedział uroczyście, wciąż patrząc na mnie tak przeszywającym wzrokiem, że znowu poczułam ciepło rozchodzące się po szyi.

Dzięki Bogu, że właśnie w tej chwili wiatr zwał mi luźne pasma włosów na twarz. Musiałam odgarnąć je obiema rękami, a kiedy już mi się to udało, zobaczyłam, że chłopak się uśmiecha.

- Wietrzny dziś dzień, Violet Shine - stwierdził. - A ponieważ podałaś mi swoje imię i nazwisko, nie będę gorszy. Jestem Coley Quinn.

Kopalnie cyny w Kornwalii

Coley, Coley, Coley Quinn - Coley, Coley, Coley!

Natychmiast przestałam żałować, że jestem dziewczyną, a moje przygnębienie i niepokój minęły. Miałam teraz tyle energii, byłam tak pełna życia, że w sali lekcyjnej nie mogłam usiedzieć na krześle.

Wiosenna przerwa świąteczna w akademii panien Biggs miała się zacząć w ostatni piątek marca. Przygotowując się do wiosennych egzaminów, po raz kolejny analizowałyśmy problemy tych okropnych kopalni cyny, teraz jednak już mnie to nie nudziło. (Nudne? Kopalnie?). Temat ten poruszał każdy nerw mojego ciała. Gotowa byłam własnoręcznie przywrócić kopalniom ich dawną świetność. Bez względu na pogodę chętnie urobiłabym sobie rękę po łokcie, pracując z innymi dziewczętami przy sortowaniu rudy wydobywanej przez chłopców i mężczyzn.

Może nawet zostałabym pierwszą kobietą górnikiem. Nie troszcząc się ani trochę o

własne bezpieczeństwo, schodziłabym na dno tych śmierdzących i dusznych szybów, do najdalszych i najbardziej niegościnnych jaskiń, aby wydobyć wszystkie bryłki cyny. Mogłabym brodzić po pas w wodzie w poszukiwaniu nowych złóż i pomimo duszącego gorąca dodawałabym swoim towarzyszom odwagi. Wspólnym wysiłkiem udałoby nam się wskrzesić cały przemysł. A potem zostałabym bohaterką Kornwalii. Stawiano by mi pomniki na placach miast.

Byłabym, rzecz jasna, skromna i nie przyjąłabym tytułu szlacheckiego z rąk króla. Na frontowym dziedzińcu pałacu Buckingham (dokąd w lektyce wybitej jedwabiem zanieśliby mnie pośród wiwatujących tłumów muskularni górnicy) skłoniłabym się przed monarchą. Wiatr zwiewałby mi włosy z uroczo opalonej twarzy, nie grubymi pasmami, lecz tworząc idealną aureolę wokół mojej głowy, a ja bym się kłaniała.

- Dziękuję, Wasza Królewska Wysokość. Choć przepelnia mnie wdzięczność i stawiałam się tu osobiście, aby podziękować za ten zaszczyt, jestem tylko prostą irlandzką dziewczyną, a mamy przecież republikę. Z przyjemnością uczestniczyłam w przywracaniu do życia kopalni cyny w Kornwalii, lecz sam ten czyn wystarczy mi za nagrodę. Jestem narzeczoną Irlandczyka. Po ślubie zamierzamy zająć się wychowywaniem potomstwa i troską o nasz kraj, więc proponowane mi zaszczyty nie wchodzą w rachubę.

A wtedy król, podziwiając moją śmiałość i bezinteresowność, zwróciłby się do najbliższego dworzanina następującymi słowami:

- Ha! Co za dziewczyna!

- Violet! Violet! Violet Shine! - Panna Sarah Biggs przerwała moje marzenie. - Proszę uważać na lekcji!

- Przepraszam, panno Biggs.

Wróciłam do naszej zielono-beżowej sali. Za oknem padał deszcz, a moja koleżanka potrząsała ławką, energicznie ścierając gumką błąd zrobiony podczas nanoszenia kopalni na mapkę. Panna Biggs, niezmiękczona moją skruchą, przybrała swój najsroższy wyraz twarzy.

- Z pewnością wiesz już tak dużo, Violet Shine, że nie widzisz sensu w uczeniu się czegoś więcej. Dlatego też powinnaś pozwolić nam skorzystać ze swej wiedzy i oświecić resztę klasy, co znaczy określenie „odmiana alotropowa” w odniesieniu do cyny.

- Dobrze, proszę pani. Odmiana alotropowa to jedna z dwóch lub więcej postaci fizycznych pierwiastka. Cyna jest odmianą alotropową kasyterytu - prawie wyśpiewałam. W

nocy przerobiłam wszystkie ćwiczenia. Miłość, jak mi się zdawało, stymulowała mi umysł i serce.

Panna Biggs, zwana przez nas potajemnie Dziurawką ze względu na fatalną cerę, przyjrzała mi się badawczo. Dostrzegłam zaskoczenie w jej oczach, lecz nie chciała się poddać.

- Bardzo dobrze, Violet, lecz tego mogłaś nauczyć się na pamięć z książki. Proszę o inny przykład, bardziej praktyczny.

- Diament i grafit są alotropami węgla.

- Jestem pod wrażeniem. - Wyglądała na zawiedzioną.

Pół godziny później miałyśmy literaturę angielską z drugą panną Biggs, Lucy, znacznie spokojniejszą i delikatniejszą niż jej siostra. Jako pracę domową miałyśmy przeczytać „Wichrowe Wzgórza” Emily Brontë, a teraz omawiałyśmy styl i technikę narracji autorki.

Z nowo odkrytym zrozumieniem miłości uznałam jednak, że nadmierny nacisk kładziony na strukturę i kompozycję oraz pełne zażenowania prześlizgiwanie się nauczycielki po głębi uczucia Catherine i Heathcliffa zmieniły powieść w farsę. Gdy więc przyszła moja kolej czytania na głos fragmentu książki, kiedy Heathcliff opowiada gospodyni, że próbował zabrać ciało Catherine z grobu, wlałam w to tyle pasji i dramatyzmu, iż panna Biggs była zaskoczona.

- Dobry Boże, Violet, to było znakomite! Nigdy nie słyszałam cię tak pełnej życia.

- Dziękuję, panno Biggs - odparłam z ironicznym uśmieszkiem, po czym w pełnej zaskoczenia ciszy wróciłam na miejsce. Panna Biggs rozejrzała się po klasie.

- Niezbyt często mamy okazję słuchać takich wspaniałych występów. Poprosimy Violet, żeby przeczytała jeszcze kawałek, dziewczęta.

Moje koleżanki zgodnym chórem poparły tę propozycję, wstałam więc ponownie. Nauczycielka przebiegła palcem w dół po otwartej stronie.

- Proszę, czytaj od tego miejsca. Przeczytaj fragment, w którym Heathcliff opisuje swoje uczucia. Zacznij od: „Siedząc w pokoju z Haretonem...”*.

- Dziękuję, panno Biggs.

* E. Brontë „Wichrowe Wzgórza”, tłum. Janina Sujkowska. Wyd. Ossolineum, Wrocław 1990, s. 289 (przyp. tłum.).

Wzięłam głęboki wdech i wczułam się w czytany fragment, a deszcz bębniący w okna sali pomagał mi osiągnąć właściwy nastrój.

- „Siedząc w pokoju z Haretonem, miałem złudzenie, że spotkam ją, wyszedłszy na dwór. Gdy wędrowałem po wrzosowiskach, spodziewałem się zastać ją w domu po powrocie. Zawsze spieszyłem się w powrotnej drodze, tak byłem pewny, że ona musi być gdzieś w Wichrowych Wzgórzach. Sypiałem w jej pokoju, ale coś mnie stamtąd wyganiało... nie mogłem uleżeć! Ledwie zamknąłem powieki, zaraz stawiała za oknem albo rozsuwała ścianki łoża, albo wchodziła do pokoju, albo nawet składała swą najdroższą główkę na tej samej poduszce, co ja, jak to zwykła robić za dziecinnych lat. Musiałem zawsze otworzyć oczy, żeby ją zobaczyć. Otwierałem i zamykałem je więc ze sto razy w ciągu nocy i zawsze doznawałem zawodu! Cierpiałem katusze!”.

- Dziękuję, dziękuję, Violet - przerwała mi panna Biggs pośpiesznie, jako że rozumiejąc opisywane uczucia bohatera, właśnie się rozkręcałam.

Nauczycielka podziękowała mi raz jeszcze i pozwoliła wrócić na miejsce, po czym odwróciła się do tablicy.

- Dziewczęta, z tekstu Emily Brontë i wspaniałej interpretacji Violet dowiedziałyśmy się dziś dość dużo, aby napisać na ten temat wypracowanie.

A potem napisała na tablicy swym okrągłym, wyraźnym pismem: „Czy zachowanie Heathcliffa po śmierci Cathy świadczyło o początkach szaleństwa?”.

Jak już mówiłam - farsa.

To były ostatnie zajęcia tego dnia i kiedy pod osłoną parasoli zebrałyśmy się na przystanku autobusowym, aby rozjechać się w różne strony, zobaczyłam w oczach koleżanek szacunek.

- Świetnie czytałaś. Przygotowywałaś się w domu? Może ktoś cię uczył czytać na głos, Violet? - Te zjadliwe słowa padły z ust dziewczyny, która zawsze najlepiej z klasy zdawała egzaminy. Nazywałyśmy ją Mózgowcem.

- Daj jej spokój, Mary Quigley! - warknęła na nią Mary Kelly, a potem ze słodkim uśmiechem zwróciła się do mnie. - Przyjdiesz kiedyś do mnie na podwieczorek, Violet?

Mary Kelly, wprawdzie kompletna noga, jeśli chodzi o naukę, była jednak niezwykle piękna, a ponieważ miała trzech starszych braci, wszystkie dziewczęta marzyły, by otrzymać od niej zaproszenie na podwieczorek. Mnie spotkało to po raz pierwszy.

- Dziękuję. Przyjdę na pewno - odpowiedziałam, uśmiechając się przy tym ironicznie pod adresem Mózgowca. Zaczęło mi to przychodzić z łatwością. Nieśmiałość gdzieś zniknęła. Mogłam się stać popularna w klasie.

- Świetnie, Violet - uśmiechnęła się do mnie Mary tym swoim najpiękniejszym uśmiechem w stylu Barbary Stanwyck. - Wyjeżdżam z rodziną na Wielkanoc do Wexford, ale napiszę do ciebie i jakoś się umówimy.

W związku z rozwojem wypadków nie mogłam wykorzystać jej zaproszenia, nawet gdyby rzeczywiście przyszło.

Po pierwszym spotkaniu z Coleyem zgodziłam się, dość niedbałym tonem zresztą, że zobaczę się z nim ponownie w tym samym miejscu.

- Lubię z tobą rozmawiać, Violet Shine. Moglibyśmy to kiedyś powtórzyć, co? - zapytał. - Może w niedzielę?

Trochę się obawiałam, czy będę mogła wyjść, ale zgodziłam się bez wahania.

- Będzie mi przyjemnie.

- Świetnie.

- Do zobaczenia w niedzielę.

- Tak.

- Niedziela.

- Do widzenia...

Mimo to staliśmy jeszcze, rozmawiając. Tak długo, że straciłam poczucie czasu i niemal zostałam przyłapana przez mamę, kiedy zadyszana i potargana usiłowałam wślizgnąć się z powrotem do Whitecliff tylnymi drzwiami. Mama była w spiżarni przy kuchni, gdzie trzymała jedzenie i większe, bardziej nieporęczne garnki i rondle. Kiedy otworzyłam drzwi, ona akurat upuściła rondel, który upadł na podłogę z głośnym brzękiem, i nie słyszała, że wchodzę, udało mi się więc zamknąć drzwi z powrotem i poczekać na zewnątrz, zerkając przez okienko, czy wreszcie sobie poszła. Tego dnia los mi sprzyjał. A może nie. Okno, pod którym czekałam przy tylnych drzwiach, znajdowało się dokładnie pod oknem pokoju na wieży, dwa piętra niżej.

Tego pierwszego wieczoru, w Dniu Świętego Patryka, Johanna, która znała mnie najlepiej z całej rodziny, spytała kilka razy, czy na pewno nic mi nie dolega. Nawet tata, kiedy mówiłam mu dobranoc, zauważył, że mam zaróżowione policzki.

- Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Dobrze się czujesz?

- Tak, tato, nic mi nie jest.

- Mam nadzieję, że nie martwisz się egzaminami?

- Nie, tato. Pracowałam cały rok i czuję się pewnie. Miło, że pytasz.

Tata miał rację. Cierpiałam na swego rodzaju gorączkę - oszałamiające gorąco we krwi, które trwało w czasie całego mojego związku z Coleyem.

Przed naszym drugim spotkaniem w niedzielę targały mną, jak się nietrudno domyślić, dość skomplikowane uczucia. W myślach naładowałam je tak znaczną dozą teatralności - czy on mnie pocałuje? - że obawiałam się, iż mogę pęknąć z podniecenia i zdenerwowania. A jeśli on nie przyjdzie?

W głowie mi huczało, całe ciało świerbiło mnie z niecierpliwości, a mimo to musiałam siedzieć spokojnie podczas niedzielnego lunchu i udawać zainteresowanie miejscowymi plotkami przyniesionymi przez nianię, która przyszła nas odwiedzić. Odkąd zrezygnowaliśmy z jej pomocy, była czasem zapraszana na lunch. Aby nie przyciągać zbyt dużo uwagi rodziny, zjadłam całą zawartość talerza, zmusiłam się nawet do przełknięcia zniechęconych porów.

Był jeden groźny moment. Zatopiona w marzeniach, powoli żułam jedzenie i dopiero po chwili się zorientowałam, że przy stole zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mnie.

- Niania zadała ci pytanie, Violet. - Ojciec siedzący u szczytu zwrócił mi uwagę ze zmarszczonymi brwiami.

Zerknęłam na Johannę, lecz tylko szerzej otworzyła oczy na znak, że nie może mi pomóc.

- Przepraszam, nianiu. - Staralam się, by moje słowa zabrzmiały pokornie. - Myślałam o czymś innym.

- Ona jest taka od kilku dni - stwierdziła z dezaprobatą mama. - Niebo spadnie nam na głowy, a Violet tego nie zauważy. Co z nią zrobić?

- Jest jeszcze młodziutka, proszę pani - powiedziała z uśmiechem niania. - Proszę sobie przypomnieć, co pani robiła w jej wieku.

Przez te wszystkie lata, kiedy niania u nas pracowała, nigdy nie zwróciła się do mamy inaczej niż „proszę pani”.

- Nie martw się, słonko - zwróciła się następnie do mnie. - Pytałam tylko o szkołę.

Pośpiesznie zapewniłam ją i wszystkich przy stole, że w szkole wszystko gra. Ze zdziwienia aż podnieśli brwi, lecz nikt nie zganił użytego przeze mnie wyrażenia.

Kawę - używaliśmy wojennego zamiennika: palonej cykorii lub aromatyzowanego syropu - zawsze, nawet zimą, piliśmy w oranżerii, i dzięki Bogu, nadal uważano, że jestem na to za mała. Jak zwykle pozwolono mi więc odejść. Jeszcze musiałam tylko pomóc Johannie posprzątać ze stołu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, mamu, odrobię teraz pracę domową, a potem pójdę na spacer.

- Dobrze, dobrze. - Mama odesłała mnie skinieniem ręki. Pocałowałam nianię w zdrowy policzek i uciekłam.

Miałam się spotkać z Coleyem przy tym samym przechylonym przez wiatr drzewie przy klifie, tym razem po naszej stronie płotu, o czwartej. Nikt nie powinien za mną tęsknić, jeśli wrócę przed wpół do siódmej na kolację. Będziemy więc mieli ponad dwie godziny.

Czekał na mnie przykucnięty w trawie, osłaniając dłonią papierosa.

- Jesteś pewna, że mogę zostać po tej stronie płotu?

Na jego twarzy malowała się zuchwałość, lecz widać też było podobne do mojego zdenerwowanie.

- Oczywiście! I proszę, nie zaczynaj tego od początku...

Czy powinnam usiąść obok niego? Jeśli tak zrobię, mogę zabrudzić trawą płaszcz albo nawet spódnicę, a wtedy mama albo ktoś inny z domowników domyśli się, że robiłam coś złego. Tego ranka ubrałam się niezwykle starannie, przymierzając i odrzucając kolejne ubrania - Johanna była wstrząśnięta, kiedy przyszła sprawdzić, dlaczego opóźniam wyjście do kościoła.

- Violet, na miłość boską! Twoje łóżko przypomina świeżo otwarte stoisko na wyprzedaży!

Kiedy z wahaniem wsunęłam się pod drzewo, Coley uniósł rękę i chwycił moją dłoń.

- Siadaj. Nie chcemy chyba zwracać niczyjej uwagi, co?

I pociągnął mnie na ziemię obok siebie.

Choć drzewo chroniło nas od lodowatego północno-wschodniego wiatru, ziemia okazała się zimna. Nie było mi jednak niewygodnie. Nie przejmowałam się też ani trochę plamami; zacznę się martwić, kiedy się pojawią.

Pomimo dzielących nas trzydziestu centymetrów czułam ciepło Coleya Quinna, odbijające się ode mnie niczym od lustra.

- Muszę wrócić przed zmrokiem - wyznałam. - Ale do wpół do siódmej jest mnóstwo czasu.

- Świetnie. - Coley zajął się skręcaniem niewielkiego papierosa. - Pewnie, że tak.

Moje doświadczenie w zakresie kontaktów damsko-męskich opierało się głównie na przeczytanych książkach i rzadkich wyprawach do kina, nie byłam więc przygotowana na burzę uczuć, które zerwały się z uwięzi. Zabawa z braćmi także nie była tu pomocą. Nie miałam pojęcia, co mówić ani co robić.

Natomiast Coley jakby doskonale wiedział, jak się zachować. Oparł się na łokciu, jakby był na plaży czy nad basenem w Hollywood, i zaciągając się papierosem, zaczął opowiadać długą historię o jakimś znajomym ze wsi, który został aresztowany za okradanie skarbonki z datkami na biednych w kościele katolickim i skazany na pięć lat więzienia.

Słuchałam, lecz nic nie słyszałam. Obserwowałam usta Coleya, kiedy mówił i kiedy palił - jak się zaciskały i napinały na papierosie, a potem uchylały, aby wypuścić dym. Przyglądałam się zmarszczkom pojawiającym się wokół jego oczu, kiedy patrzył w słońce. Kiedy gestykulował, patrzyłam na jego palce - zaskakująco delikatne, ale poplamione nikotyną. Niania, nie wspominając nawet o mamie i tacie, byłaby tym zbulwersowana, jako że nikt w domu nie palił. Trudno było sobie wyobrazić, by ktoś w ogóle miał na to ochotę.

- No więc, Violet Shine, co o tym myślisz? - Coley skończył opowiadanie i przyglądał mi się badawczo. Nadal siedziałam sztywno. Plecy zaczynały mnie boleć. - Pięć lat w więzieniu - mówił dalej - dla kogoś, kto potrzebował tych pieniędzy znacznie bardziej niż niektórzy tak zwani potrzebujący w parafii. Czy macie skarbonkę na biednych w waszym kościele?

- Ja... tak mi się wydaje, ale nie jestem pewna.

Coś takiego nigdy nie rzuciło mi się w oczy. My chyba wspomagaliśmy biednych w inny sposób.

- Organizujemy zbiórki i festyny. Czy to się liczy?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - To o czym będziemy teraz rozmawiać? - Usiadł prosto i odwrócił głowę w moim kierunku. - Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Choć uważnie mu się przyglądałam, nie znalazłam na jego twarzy cienia ironii ani

złościwości.

- Myślałam, że wiesz o nas wszystko.

- Tylko tyle, ile usłyszę w mleczarni w Rathlinney. - Przy tych słowach jego akcent wyraźnie się zaostriął. - Słyszałem, że macie talerze ze złotym brzegiem. I że zjadacie przepiórki, które siedzą na gruszach w waszym sadzie - dodał, wykrzywiając usta.

- Jemy dokładnie to samo, co wy - odparłam. - A przynajmniej tak mi się zdaje. Czy twoja rodzina kupuje w Sklepach Wielobranżowych Rathlinney?

- Mamy własne warzywa - oświadczył. - Ale wszystko inne tak...

Teraz już otwarcie mi się przyglądał.

Zdarzyło się coś dziwnego: zobaczyłam siebie jego oczami, jak w lustrze. Zobaczyłam swoje ubranie: niebieską satynową plisowaną sukienkę z białym paskiem, mankietami i kołnierzykiem, czarne buty z paskiem wokół kostki i „dobre” pończochy (bawełniane, lecz przezroczyście - w owym czasie pończochy jedwabne czy nylonowe były nieosiągalne), zielony szal z wełny w dwóch różnych odcieniach, gwiazdkowy prezent ze skomplikowanym wzorem, zrobiony przez mamę.

Zrobię małą dygresję, aby opisać, kogo było widać w owym lustrze. Byłam szczupłą dziewczyną średniego wzrostu, wystarczająco próżną, by wierzyć w urodę swoich oczu - sądziłam, że są większe niż oczy innych dziewcząt i mają granatowy kolor. Moją chlubą były też ładnie ukształtowane kostki nóg. Nie czułam się tak dumna z nosa ani ust, bo uważałam, że nos mam zbyt zadarty, a usta szerokie i pełne. Tej niedzieli jednak, patrząc na siebie oczami Coleya, obawiałam się krytyki. Podniosłam dłoń do włosów.

- Czy coś nie tak? Moje włosy...

- Czy czasem je rozpuszczasz?

Ciemne, niemal czarne i mocno skręcone włosy, rozpacz niani, która musiała się z nimi zmagać, kiedy byłam mała, jak zwykle miałam splecione w ciężki warkocz. Johanna odziedziczyła włosy po mamie - jasne i delikatne - a ja i Marjorie po tacie. Gdyby nie strzygł się krótko, jego i tak duża głowa wydawałaby się jeszcze większa. Dziś dołożyłam wszelkich starań, by ujarzmić niesforne loki.

- Rozpuszczone? Czasami - wyjąkałam.

- Są gładkie jak sierść konia. Mogę dotknąć?

Serce podskoczyło mi w piersi.

- Proszę.

Coley Quinn nie poprzestał na dotknięciu moich włosów. Poprosił, żebym odwróciła się do niego plecami i powoli rozplótł mi warkocz, wygładzając każdy uwolniony pukiel z osobna. Nie potrafię opisać, co czułam - jakby całe moje ciało zanurzano na przemian w ciepłej i zimnej wodzie. Chyba zaczęłam dygotać.

Kiedy włosy spływały mi luźno po plecach, Coley Quinn odwrócił mnie do siebie, objął rękami moją szyję i szeroko rozłożonymi palcami uniósł wszystkie pukle do góry. Czułam się bezsilna, nie umiałam się sprzeciwić i pochyliłam głowę do przodu.

- Są takie piękne - powiedział ochryplym głosem, opuszczając mi kaskadę włosów na plecy. - Masz szczęście, Violet Shine. Połowa kobiet w tym kraju wydaje wypłatę męża na kręcenie włosów. - Tu głos mu się załamał i zanim się zorientowałam, co ma zamiar zrobić, puścił moje włosy, delikatnie położył mi dłoń na piersi i pocałował mnie w usta. Tym samym na zawsze zmienił moje życie.

R⁹S Konwalie

Claudine? A co to za imię? Francuskie czy jakie?

- Tak. Moja mama zmarła przy porodzie, i to ona wybrała imię dla mnie.

Starszy mężczyzna przygląda mi się badawczo i nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Po raz drugi tego dnia ogarnia mnie smutek. Tym razem wywołuje go wizja śmierci mamy podczas moich narodzin. Przełykam ślinę i dodaję:

- A przynajmniej tak twierdził tata. Ja sama nie miałam okazji jej o to spytać.

Mój gospodarz, który kazał mówić do siebie Pat, „bo tak do niego wołali za wodą, kiedy pracował na budowie”, obserwuje mnie jeszcze kilka sekund. Widocznie zauważa coś, co zakazuje mu drążyć temat, wraca więc do swojego czajnika. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam. Jest zrobiony z cyny i ma około sześćdziesięciu centymetrów wysokości. Składa się z dwóch stożków - jeden w drugim, z pustym miejscem pośrodku. Zafascynowana przyglądam się, jak Pat ze starej bańki na mleko nalewa wodę między dwie ścianki, a potem

wkłada podarty papier i kilka niewielkich patyczków do środka. Kawalek papieru i gałązka wystają nad krawędź czajnika.

- Proszę się odsunąć! - nakazuje mężczyzna, po czym zapala zapalniczkę i dotyka nią do papieru.

Po paru sekundach płomień wznosi się już wysoko i choć Pat umieścił całe urządzenie na podstawie z desek ułożonych na ceglach, ogień wydaje mi się niebezpieczny. Słyszę, jak otaczająca płomienie woda zaczyna śpiewać.

- Czy nie boi się pan, że kawałek tego zapalonego papieru może wpaść w paprocie i wywołać pożar?

- Uważam. Proszę tam usiąść i się uspokoić. - Wskazuje kciukiem zniszczony fotel przykryty żółtym nieprzemakalnym płaszczem rybackim.

- Nie potrwa to długo. Mam nadzieję, że nie używa pani cukru. Nie kupuję go, bo przyciąga insekty.

- Ale jest tylko jedno krzesło. Gdzie pan usiądzie, Pat?

W odpowiedzi idzie ciężkim krokiem do czegoś, co wygląda jak niewielki, lecz porządny śmietnik, i wyciąga trzy spłowiałe pasy ratunkowe. Układa jeden na drugim i dopiero wtedy się prostuje.

- Na tym. Będzie mi całkiem wygodnie - mówi ze śmiechem. Ma charakterystyczny śmiech, przypominający szczekanie psa.

W dłoniach czuję uspokajający ciężar torebki - to nie sen ani fikcja. Siedzę na dworze ze starszym człowiekiem, który parzy herbatę, ale również ma nóż.

Za późno na ucieczkę. Odsuwam sztormiak i siadam. Fotel, chociaż wytarty, okazuje się wygodny. Ciągłe obserwuję zręczne, spokojne ruchy mężczyzny, a jednocześnie przyglądam się temu, co jest najwidoczniej jego domem.

Znajdujemy się na polanie, może siedem metrów na dziesięć, otoczonej czymś, co w innych okolicznościach można by nazwać śmieciami - czarne foliowe opakowania po kieszonkach, wyrzucone przez morze kawałki drewna, na wpół zgniłe deski różnych kształtów i wielkości, stopy plastikowych toreb niewiadomego pochodzenia, a nawet zardzewiała łódka - lecz wszystko ma tu swe przeznaczenie. Zwinięte folie leżą w równych stertach przyciśnięte kamieniami, związane u góry worki wybrzuszyły się pod wpływem zawartości, drewno zostało posegregowane według rozmiaru - niektóre kawałki są pocięte na polana.

Obok platformy z czajnikiem znajduje się dół na ognisko, nad którym leży potężna kratka do grillowania. Za nimi stoi własnej roboty namiot, rodzaj tipi - ma niecały metr wysokości, przykrycie jest z brezentu, takiego jak plandeki ciężarówek, ułożonego na szkieletcie z gałęzi. Każdy skrawek leżącego na ziemi materiału przyciśnięty jest do ziemi dwoma rzędami dużych kamieni. Klapy wejściowe są otwarte, widać więc śpiwór rozłożony wprost na brezentowej podłodze i pastelowy obrazek z aniołem w głowach posłania.

Obok namiotu stoi koślawy stół zbity z desek. Gwoździe już dawno temu zardzewiały i zostawiły ślady na drewnie. Wokół namiotu znajdują się proste sprzęty domowe. Potężny kufer służy jako prymitywna szafka na narzędzia. Postawiono go na boku, z otwartą klapą, a w środku umieszczono haki i półki wypełnione teraz piłami, młotkiem, siekierą i drewnianym pobijakiem, a także różnymi pudełkami z gwoździami, śrubami i śrubokrętami, sznurkiem i drutem oraz przedmiotami, których nie potrafię nazwać. Kawałek brezentu, teraz zwinięty u góry, pełni funkcję drzwi.

Stojąca tuż obok lodówka z otwartymi drzwiczkami podpartymi cegłą to spiżarnia i szafka na naczynia kuchenne. Można tu znaleźć patelnię, zniszczony aluminiowy rondel, trzy holenderskie kubki, miskę, dwa talerze, kilka sztućców w słoiku po dżemie, trzy otwieracze do konserw o różnym stopniu skomplikowania, a także puszkę fasoli w sosie pomidorowym, sardynki, mleko, herbatę w torebkach, bochenek krojonego chleba, dwa opakowania margaryny, jabłko, duże opakowanie płatków kukurydzianych i kilka czerniejących już bananów.

- Podoba się pani mój szczęśliwy domek?

Mężczyzna kuca przed czajnikiem i nalewa wrzątku do imbryczka z białej porcelany, z wymalowanymi kwiatkami konwalii i złoconą obwódką. Niezwykły przedmiot w tym miejscu, myślę, porównując go z całą resztą rzeczy wokół.

- Pewnie, że tak. A ten imbryczek, nawiasem mówiąc, jest prześliczny. Czy to pamiątka rodzinna?

Natychmiast wiem, że popełniłam gafę, gdyż mężczyzna rzuca mi lodowate spojrzenie.

- Nie.

Lepiej trzymać buzię na kłódkę. Ten facet nie chce mówić o sobie - gdyby jednak zechciał, z pewnością byłoby tego niemało.

Powstrzymuję więc ciekawość i przyglądam się, jak stawia czajniczek na ziemi przede mną.

- Niech się chwilę zaparzy.

A potem nakrywa stół; przynosi kubki, mleko, dwie łyżeczki.

- Przykro mi, ale nie mam herbatników. Nie spodziewałem się gości.

Siada na stercie pasów ratowniczych, podnosi czajniczek, miesza jego zawartość i wylewa kilka kropli na ziemię, aby sprawdzić, czy herbata jest gotowa.

- Wystarczy.

Kiedy pijemy, siedzi w pozycji przybieranej zwykle przez mężczyzn pewnych siebie - pochylona głowa, kolana rozsunięte szeroko, wolna ręka zwisająca między nimi (widzę teraz, że ma długie palce o ładnym kształcie). Chyba nie chce rozmawiać, ja jednak tak.

- Świetna herbata, Pat. Odkąd pan mieszka w takich warunkach?

- No, już trochę. Odkąd wróciłem stamtąd.

- Stamtąd, czyli z Anglii?

- Tak. Z Londynu, Manchesteru, Coventry. Z budowy.

Mówi z miejscowym akcentem, w którym słychać echa miejskiej Anglii.

- Dlaczego właśnie tu?

- To prywatne - odpowiada, a jego głos nie wyraża żadnych uczuć. Może mieć na myśli zarówno prywatne motywy, jak i prywatne miejsce. Wybieram to drugie.

- Chyba nikt tu panu nie przeszkadza.

- Nie, nikt. - Patrzy w przestrzeń. - Nikt mi tu nie przeszkadza.

Wydaje się odprężony, siedzi wygodnie na groteskowej stercie pasów, ja zaś przypominam sobie, dlaczego tu jestem, i choć ten człowiek mnie intryguje, nie jest moim celem poznanie jego historii.

- Piękna pogoda, prawda?

Zapach, który słońce wydobywa z ziemi, jest wilgotny, słodki, niemal piżmowy, a powietrze aż wibruje od śpiewu skowronka, choć ciszy panującej na polnych drogach i drózkach nie zakłóca żaden dźwięk.

- Tak, tak. - Nadal patrzy w dal.

- Więc - piję łyk stygnącej herbaty i mówię celowo niedbale - ciekawy jest ten dom, Whitecliff. Szkoda, że tak niszczeje, prawda? Do kogo obecnie należy?

- Do kogo należy? - Powtarza moje słowa, patrząc na mnie w ten właściwy sobie sposób. - Nie mam pojęcia. - Wzrusza ramionami. - Pewnie kupił go jakiś nadziany deweloper. A może nie. Może nie należy do nikogo.

- Do kogoś musi. Od jak dawna jest opuszczony?

- Nie widziałem tu nikogo od lat. - Znowu wzrusza ramionami. - O takich miejscach opowiada się różne historie, głupoty, ale ludzie to lubią. Lubią się bać. - Przygląda mi się spod krzaczastych brwi.

- Historie? O, tak, słyszałam gdzieś historię o tym miejscu. Chyba o duchu, dom jest nawiedzony albo coś w tym stylu?

Kolejny pojedynek na spojrzenia. To on go przerywa.

- Jak się pani nazywała przed ślubem?

Ta nieoczekiwana zmiana tematu mnie zaskakuje.

- Skąd pan wie, że jestem mężatką?

Wskazuje na moją obrączkę.

- Ach, no pewnie. Nazywałam się Magennis.

- Kto był pani ojcem?

- Słucham?

- Imię! - mówi z odcieniem zniecierpliwienia Pat. - Jak miał na imię?

- Christopher. Chris.

Kiwa głową.

- Handlarz samochodów.

To nie jest pytanie.

- Skąd pan to wie?

- Wszyscy znali Chrisa Magennisa. Magennis Motors, prawda? Wszyscy bogacze w okolicy kupowali u niego auta. A teraz wacha kwiatki od spodu. Co za dziwny człowiek.

- Ludzie z tego domu też?

- Być może. Nie wiem na pewno, ale chyba nie. Z tego, co wiem, sprowadzali samochody z północy. Mieli je przez lata, wjeżdżali nimi do grobu. - Ponownie patrzy w górę. - Jest więc pani córką Chrisa Magennisa. Jaki ten świat mały, co?

- No tak.

Jestem rozczarowana, że nie mam nawet takich powiązań z Whitecliff. Czas wracać

do domu, myślę. Wrócę kiedy indziej i dojdę do domu inną drogą, prawdopodobnie od strony klifu.

- Dziękuję za herbatę - zaczynam, Pat przerywa mi jednak.

- Dlaczego interesuje panią Whitecliff?

Nie sposób go nie docenić. Jest co prawda włóczęgą, lecz w jego oczach błyszczy inteligencja.

- Kiedy otworzy pan mój notes, przekona się pan od razu, że pracuję w biurze nieruchomości. Lecz zanim pan nas oceni, proszę pamiętać, że nie jesteśmy potentatami. Cała firma składa się z mojego szefa i mnie. Słyszeliśmy, że ta nieruchomość może być na sprzedaż, więc szef przysłał mnie, żebym to sprawdziła.

Przez parę sekund zastanawia się nad moimi słowami. Potem powoli, ciągle pogrążony we własnych myślach, opróżnia zawartość kubka wprost na ziemię.

- Chce pani zapewne zobaczyć dom.

Niemal upuszczam swój kubek.

- Ma pan klucz?

Wstaje.

- Chodźmy. Nie mamy dużo czasu i chyba będzie padać.

Zerkam na kryształowoczysty błękit nieba, lecz idę w ślady mojego przewodnika, wylewając resztki herbaty na ziemię.

Loughshinny

Był początek kwietnia 1944 roku, a moje serce przepęniało szczęście. Zaczęła się przerwa świąteczna, obowiązków domowych nie miałam zbyt wiele, Samuel młodszy także przyjeżdżał z Trinity College na Wielkanoc i byłam pewna, że skupi na sobie znaczną część uwagi, którą rodzice w owym czasie obdarzali mnie w nadmiarze.

Egzaminy poszły mi dobrze i teraz czekałam tylko na koniec wojny, aby wyjechać do Francji - tak mówiłam rodzicom. Nie wiedzieli, rzecz jasna, że wyjazd z Whitecliff jest dokładnie ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłam. Z właściwą swemu wiekowi beztroską ośmielałam się ludzić, że dzięki jakimś tajemniczym siłom nasza izolacja od reszty Europy będzie trwać bez końca. Złudzenia te były naznaczone poczuciem winy z powodu bliźniaków. Kochałam swoich braci, choć w tamtym okresie myślałam o nich dość rzadko. Tak naprawdę nie myślałam o nikim i niczym poza Coleyem Quinnem.

W drugiej połowie marca zauważyłam, że Johanna czasami zerka w moim kierunku ze zdziwionym wyrazem twarzy, który pozwolił mi się zorientować, iż wyczuła zachodzące we mnie zmiany. Jak zwykle jednak trzymała swoje opinie dla siebie, za co byłam jej naprawdę wdzięczna.

W całym okręgu głogi rosnące przy drogach i na polach aż uginały się pod ciężarem niespodziewanie wczesnych kremowobiałych kwiatów. Układ nieregularnych zielonych prostokątów obramowanych na biało, które wraz z Coleyem oglądałam z jednego z wyższych wzgórz, wydawał mi się magiczny. Nazwał go szachownicą Boga - a tym samym dał wyraz temu, co czułam każdym włóknem swojego ciała, a mianowicie, że nie jest zwyczajnym chłopcem, lecz odznacza się szczególną wrażliwością. W owym czasie niemal wszystko mogło nam się wydawać magiczne bądź znaczące, lecz mieszkańcy okolicy nie podzielali naszych poglądów na głóg.

- Za dużo tego kwiecica w tym roku - stwierdziła niania podczas jednej z niedzielnych wizyt. A potem, kręcąc głową, dodała jeszcze: - I nigdy nie widziałam go tak wcześnie. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Może teraz to się zmieniło, ale wówczas głogi kojarzyły się ludziom z duchami, wrózkami, grobami i pogańskimi rytuałami. Rolnicy podczas orki nie usuwali ani jednego drzewka bez względu na to, jak bardzo przeszkadzało na polu. Mówiło się też, że cierniowa korona Chrystusa upleciona była z gałązek głogu, uważano więc, że przynoszenie go do domu może ściągnąć na rodzinę nieszczęście. Mama nie przywiązywała do tego żadnej wagi, uznając takie gadanie za rzymski przesąd, i ozdabiała kwiatami głogu cały dom, kiedy tylko miała na to ochotę. Dopiero wiele lat później odkryłam, że głóg symbolizuje też potężną miłość. Gdybym o tym wiedziała wcześniej, być może zostawialibyśmy sobie wiadomości i umawialibyśmy się w innym miejscu. Wtedy jednak nie przejmowaliśmy się dawnymi wierzeniami.

Wydawało mi się cudem, że nasze spotkania, niemal codzienne na przełomie marca i kwietnia, nie zostały jeszcze odkryte. Coley bez problemu mógł dostosować się do mojego rozkładu dnia. W mleczarni pracował tylko parę godzin dziennie, a szef pozwalał mu wychodzić wcześniej za każdym razem, kiedy rzekomo musiał doglądać rodzinnego bydła.

Ja też wmówiłam rodzicom, że panny Biggs zaleciły mi spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu, gdyż jakobym była mizerna. Szczególnie ojciec bardzo się przejmował sprawami zdrowia i sprawności fizycznej, więc po krótkiej wymianie badawczych spojrzeń, żadne z rodziców nie dociekało, dlaczego tak nagle i z takim entuzjazmem zaczęłam wychodzić na spacer. Tak czy inaczej wiedzieli, że nie mogę być daleko. Nie miałam własnych pieniędzy na autobus czy taksówkę, a ograniczone z powodu wojny dostawy paliwa oznaczały, że komunikacja publiczna nie działała zbyt dobrze. Kiedy więc tylko mogłam, biegłam pod nasz głóg tak szybko jak jaskółka wracająca o zmierzchu do gniazda.

Kryjówka wydawała się nam idealna. Pole, na którym rosło nasze drzewo, leżało wówczas odłogiem i rzadko kto tam zaglądał. Znajdowało się tuż nad krawędzią klifu, mogliśmy więc z trzech stron obserwować, czy nikt nie idzie, a dzięki falistemu ukształtowaniu terenu było niewidoczne z okien Whitecliff.

Tamtej wiosny nie myślałam o jedzeniu, a nawet o modlitwie. Za to mój pamiętnik rozrósł się do rozmiarów powieści.

Nie był to właściwie pamiętnik, taki z zapięciem i kłódeczką, ale jeden, a potem dwa zwykłe zeszyty szkolne. Ukryłam je w kieszeni zimowego palta Marjorie, które w perkalowym pokrowcu wisiało z tyłu w mojej szafie.

„Coley, Coley, Coley Quinn”, pisałam w swoim zeszycie, powtarzając to samo różnymi rodzajami pisma. Zamiast odmieniać czasowniki francuskie czy łacińskie, marzyłam o koronkowych welonach i wazonach z kwiatami w wiejskich kościółkach, pisząc przy tym drukowanymi literami: VIOLET QUINN, VIOLET JANE QUINN, VIOLET SHINE-QUINN, VIOLET QUINN-SHINE - a czasem także VIOLET JANE SHINE-QUINN, co nawet mnie wydawało się niepraktyczne.

Godzinami pisałam nasze nazwiska, a potem wykreślałam litery znajdujące się w obydwu. W wyniku tej zabawy powstawały takie słowa jak „lubi” czy „wielbi”. Aby osiągnąć pożądaną efekt, oszukiwałam, rzecz jasna, manipulując imionami w dowolny sposób, dodając swoje bądź Coleya drugie imię (ku jego skrępowaniu brzmiało ono Norman), lecz w żaden sposób nie udało mi się ułożyć słowa „wesele”.

Udało mi się natomiast coś innego. Słowa COLEY QUINN napisane nad VIOLET JANE SHINE pokazywały, że on mnie uwielbia, a ja go kocham; COLEY NORMAN QUINN zaś, napisane nad VIOLET JANE SHINE odwracały ten układ i teraz to on mnie kochał, a ja jego uwielbiałam. Oba stwierdzenia wydawały mi się satysfakcjonujące, gdyż miłość i uwielbienie były dwiema stronami tej samej sytuacji, czyż nie?

Wyniki moich działań wprawiały mnie w ekstazę, i podobnie jak mnisi pracujący nad Księgą z Kells, przy użyciu różnokolorowego atramentu godzinami ozdabiałam litery małymi różyczkami, stokrotkami i wszelkimi innymi kwiatami nieokreślonych gatunków.

Musiałam jednak bardzo uważać, by moja miłość, gdyż tak właśnie myślałam o swoim uczuciu, nie została odkryta. Spełniałam więc wszystkie polecenia taty i żądania mamy, zdecydowana być wzorową córką, przynajmniej w obrębie domu.

Jeśli mi się to uda, marzyłam, być może w czasie nadchodzącego lata pozwolą mi samej opuścić Whitecliff, a nawet, choć uważałam to za mało prawdopodobne, pojechać do nadmorskiego kurortu Bettystown. Ile radości moglibyśmy mieć, Coley i ja, spacerując po piaszczystych wydmach na północnym skraju plaży! Nawet gdyby Johanna czy też Samuel młodszy albo nawet oboje zostali wysłani ze mną, ośmielałam się marzyć, że udałoby mi się ich przekupić i spędzić samotnie choćby godzinę.

Pewnego wieczoru Johanna weszła niespodziewanie do mojego pokoju i zastała mnie przy rysowaniu wokół imienia Coleya serduszek przebitych strzałą. Byłam zbyt zajęta, by usłyszeć pukanie czy kroki, zanim stanęła tuż za moimi plecami.

Zakryłam napis dłonią, zamknęłam zeszyt, a potem zerwałam się na równe nogi, aby stawić czoło siostrze.

- Johanno, dlaczego mnie podglądasz? To mój pokój. Nie lubię, jak się mnie szpieguje.

- Pukałam, Violet. - Oczy jej się rozszerzyły ze zmartwienia.

- Wcale nie! Nie kłam!

- Pukałam. Naprawdę pukałam.

Mój pokój wychodził na ogród z przodu domu. Zachodzące słońce miało tego wieczoru ów olśniewający, różowozłoty kolor i odbijało się od wsuwki z motylem przytrzymującej długie, proste włosy mojej siostry. Zawsze robiła przedziałek z boku i podpinała włosy jedną z bogatego zbioru wsuwek, aby nie spadały jej na twarz, dzięki czemu wyglądała na młodszą, niż była. Zarzuciłam jej ramiona na szyję.

- Przepraszam. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam.

Zamiast jednak przyjąć przeprosiny, usunęła się i ruszyła w kierunku drzwi, jakby w obawie, że ją uderzę.

- Nie odchodź. - Poszłam za nią. - Chciałaś coś ode mnie?

- Nic ważnego. Już zapomniałam.

- Przestraszyłaś mnie. To wszystko.

Uśmiechnęła się, lecz dostrzegłam cień na jej twarzy.

Ile widziała i zrozumiała? Musiałam wierzyć, że o niczym nie powie mamie ani tacie. Wierzyłam. Wierzyłam, że nic w całym wszechświecie nie może zepsuć mojego idealnego szczęścia. Było święte. Znacznie większe niż wszelkie obawy rodziny.

Biedna Johanna, pomyślałam. Od niedawna postrzegałam siostrę przez filtr nowo nabytej wrażliwości. Miała dwadzieścia trzy lata, siedem lat temu zakończyła edukację, i nigdy nie wyraziła chęci zostania sekretarką ani nie szukała innej pracy, więc jej życie wydawało mi się nudne. Pomagała w prowadzeniu rachunków sklepowych, lecz mama uważała, że praca za ladą będzie poniżej naszego poziomu. Kiedy więc uznano, że niania jest w naszym domu zbędna, wiele obowiązków domowych spadło na Johannę.

Dlatego też wydawało mi się, że jedyną możliwością ucieczki z Whitecliff było pojawienie się odpowiedniego kandydata na męża. Ze wzniósłej perspektywy mych szesnastu lat współczułam Johannie - uważałam za niesprawiedliwe, że okoliczności zmusiły ją do życia

jak Jane Austen, podczas gdy mój ukochany i ja unosiliśmy się na skrzydłach miłości zupełnie jak bohaterowie powieści Brontë.

Choć jeszcze nie wyraziliśmy tego słowami (wątpiłam, czy Coley przeczytał tę powieść), głębia namiętności pomiędzy Catherine Earnshaw a Heathcliffem idealnie opisywała nasze uczucia. Powieść tak dokładnie odpowiadała pod tym względem rzeczywistości, że trudno mi było uwierzyć, iż została wydana w 1847 roku, tak dawno temu, niemal sto lat przedtem, zanim ją przeczytałam. Odkąd ją odkryłam dzięki lekcjom panien Biggs, wielokrotnie powracałam do ulubionych fragmentów, aż wreszcie nawet po zamknięciu książki widać było, że wybrane stronice mają inny odcień.

Oprócz bezmiaru naszej miłości były też inne podobieństwa pomiędzy tamtą historią a naszą. Na przykład kochającą, rozsądną nianię, pomimo jej zniekształconej twarzy, bez trudu można było powiązać z postacią wiernej, rozsądnej gospodyni, Nelly Dean.

Jeśli zaś chodzi o oddziaływanie wrzosowisk na Catherine i Heathcliffa, to nasz płaski, pełen pól i łąk krajobraz wydawał się w porównaniu z tamtym raczej łagodny i sielski. Były to jednak tylko pozory. Podczas burzy, kiedy wichur niosący pianę i drobinki wody uderzał w nasze okna, wyjąc przy tym tak, że trzeba było rozmawiać podniesionym głosem, kiedy fale pożerały naszą żwirową plażę i z taką siłą roztrzaskiwały się o klif, że fundamenty domu trzęsły się w posadach, bez trudu wyobrażałam sobie, że nie mieszkam w okręgu Maghcolla, lecz w cieniu wysokich urwisk North Yorkshire. Miłość do Coleya otworzyła mi oczy na świat przyrody, a także, jak mogłabym powiedzieć wspólnie z Catherine, ukazała wiele innych rzeczy.

Kiedy panny Biggs uwolniły nas przed Wielkanocą o wpół do drugiej ostatniego dnia trzymestru, niektóre uczennice, wraz z moją nową przyjaciółką Mary Kelly, postanowiły wybrać się do kina. Nie poszłam z nimi, lecz pobiegłam nie jak zwykle do przystanku w kierunku Balbriggan, lecz do następnego na trasie, skąd odjeżdżał też autobus do Rush, Skerries i Loughshinny. Wraz z Coleyem zaplanowaliśmy potajemną wyprawę.

Nie powiedziałam mamie, że tego dnia wychodzimy ze szkoły wcześniej niż zwykle, więc czekała na mnie jak zazwyczaj o piątej. Mogłam więc spędzić z Coleyem ponad trzy wspaniałe godziny. Miał rower i mógł zawieźć mnie do domu na ramie, musiał mnie zostawić, rzecz jasna, dość daleko od bramy.

W owym czasie Loughshinny było maleńkim, spokojnym portem z kilkoma zaledwie

chatkami krytymi strzechą i zakręcającą piaszczystą plażą. (Może nadal wygląda tak samo. Ostatnio byłam tam sześćdziesiąt lat temu).

Kiedy wysiadłam z autobusu, Coley czekał już na przystanku, więc pobiegłam się przywitać. Z tego, co wiedziałam, w tej wiosce nie znaleźmy nikogo. A nawet jeśli, to co z tego? Tego dnia czułam się niezwykła.

Popołudnie mijało spokojnie; siedzieliśmy na skraju wody, trzymając się za ręce, pograżeni w rozmowie przy akompaniamencie plusku powracających fal. Był odpływ i jedynie kilku mężczyzn na nabrzeżu zajmowało się linami, bojami i sieciami na homary.

Sama byłam zdziwiona, że nagle mam tak dużo do powiedzenia, tyle skrywanych dotychczas myśli do przekazania na temat swojego życia, świata i wszystkich jego problemów. Dotarło do mnie, że dziś po raz pierwszy nie czuliśmy żadnego napięcia ani zdenerwowania. Przepelniał nas spokój przyjaciół i kochanków.

Wspięliśmy się na niewielki piaszczysty, lecz porośnięty trawą pagórek nad plażą i usiedliśmy, aby odpocząć. Zaczęłam opowiadać Coleyowi anegdoty o pannach Biggs, szczególnie o Dziurawce, a potem o swojej rodzinie.

- Wszyscy liczymy, że Samuel młodszy zrobi dyplom z wyróżnieniem...

- Tak ma na imię? Samuel młodszy? - Uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Cóż, naprawdę ma na imię Samuel, ale mam wujka Samuela, więc...

- Czy mówicie do niego zdrobniale „młodszy”?

- Bezczelny! - Uderzyłam go żartobliwie (czy też smagnełam, jak powiedziałyby Emily Brontë). - I to mówi ktoś, u kogo w rodzinie wszystkie imiona są zdrabniane i kończą się na „ie” lub „y” - i co teraz? Coley, Bridgie, Ginnie, Florrie, Millie? To jak ma na imię twoja mama?

Coley, podobnie jak ja najmłodszy w rodzinie, nie miał braci, a jedynie cztery niezamężne siostry, mieszkał więc w domu zdominowanym przez kobiety. Uśmiechnął się.

- Mówiłem ci już. Moja mama ma na imię Monnie. Dla ciebie Monica.

- Monnie. Hmm. - Udałam, że się zastanawiam. - I ty masz czelność wyśmiewać się z nas z powodu Samuela młodszego?

- Hej! To nie w porządku. Co znaczy „czelność” po naszymu?

- Przepraszam. - Zapomniałam o naszej umowie: żadnych napuszonych słów. - To znaczy, że jesteś zuchwałą, Coleyu Quinn!

Chwylił mnie, łaskocząc przy tym pod pachami, i zaczęliśmy się turlać, śmiejąc się bez końca. Oczywiście śmiech przemienił się w pocałunki, lecz wkrótce przerwałam zabawę, bojąc się, że możemy posunąć się zbyt daleko.

Usiedliśmy ponownie.

W ciągu tych paru tygodni nie rozmawialiśmy za wiele o naszych rodzinach. Coley nie narzekał na brak krewnych, gdyż miał wujków, ciotki i kuzynów na całym świecie. Mówił mi, że gdy zebrali się razem, na przykład na chrzest czy też pogrzeb, natychmiast zaczynali się sprzeczać. Coley wyznał, że lubi spędzać ze mną czas nie tylko ze względu na naszą miłość, lecz także ze względu na spokój.

- Opowiedz o tym zmarłym bracie - poprosił, bawiąc się przy tym moim warkoczem, co weszło mu w nawyk.

Zwierzyłam mu się ze swojego bólu. Choć minęło już tyle lat, opowiadając o pogrzebie Matthew, miałam wrażenie, jakby stało się to zaledwie wczoraj. Smutek nadal wyciskał mi łzy z oczu. Musiałam przestać mówić.

Coley utulił mnie w ramionach i pozwolił płakać do woli. Po chwili, gdy odzyskałam spokój, powiedziałam:

- Dziękuję, Coley. Przepraszam. Mam nadzieję, że nie wprawiłam cię w zakłopotanie.

- Nie, nie wprawiłaś. - Pocałował mnie w policzek. - Nic, co zrobisz, nie wprawi mnie w zakłopotanie, Violet. Nigdy.

Odsunął się trochę i mogliśmy na siebie spojrzeć. Byłam złodowaciała, brakowało mi tchu, za to w żołądku czułam jakby świdrowanie. Widziałam, że z Coleyem jest podobnie.

Bez słów wiedzieliśmy, że to właśnie To.

Wstaliśmy oboje. Wziął mnie za rękę i poszliśmy na cypel, gdzie rozciągało się pole ozimego jęczmienia, o tej porze sięgającego nam już do kolan. Po drodze przestraszyliśmy bażanta, który najpierw pobiegł, skakał, a miejscami nawet frunął przez pole. Oglądaliśmy jego ucieczkę, śledząc falowanie łodyg - obydwójce zachowywaliśmy się tak, jakby ucieczka spanikowanego ptaka była najważniejszym wydarzeniem popołudnia. A przecież zbliżaliśmy się do swego przeznaczenia.

Kiedy Coley był pewien, że nikt nas już nie zobaczy, zatrzymał się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Na pewno chcesz to ze mną zrobić, Violet?

- Tak. Nie. To znaczy tak.

- Jesteś absolutnie pewna?

Wstrzymałam na chwilę oddech, czując się, jakbym miała w piersiach balon.

- Tak - wykrztusiłam w końcu i natychmiast dodałam - ale nie robiłam tego nigdy wcześniej.

Uśmiechnął się kącikami ust, lecz wyraz jego twarzy pozostał poważny.

- Ja też nie.

- Nauczmy się wspólnie. Będzie cudownie. Poczułam w sobie odwagę. Pozwoliłabym się Coleyowi uratować z tonącego statku. Zaryzykować dla mnie życie.

Kochanie się z nim było spełnieniem moich marzeń, choć miałam jedynie mgliste pojęcie o samym akcie. Tak naprawdę nie wiedziałam właściwie nic, a żadna z moich powieści nie była tu szczególnie pomocna, nawet jeśli się czytało między wierszami. Niewiedza nie przeszkadzała jednak nocnym marzeniom.

Odkąd spotkałam Coleya, owe marzenia nabrały większej intensywności. I tak ciężko mi było zasnąć z powodu zadziwiającej energii, która mnie wypełniała. Przewracając się więc na łóżku, układałam różne możliwe scenariusze.

Jedziemy na przykład na potężnych białych koniach przez dziką romantyczną pustynię gdzieś w Afryce Północnej. Nie ma nikogo w zasięgu wzroku, schodzimy więc z koni i zrzucamy ubrania. Stoimy teraz przed sobą nadzy i dumni. Coley bierze mnie w ramiona, jego pierś przy mojej...

Jesteśmy w maleńkiej łódce na środku bezkresnego, spokojnego morza - łódź wyłożona jest poduszkami. Coley całuje mnie w usta, a potem kładzie się na mnie i dotyka mojego delikatnego nagiego ciała...

Dalej nie było nic. Zaledwie jednak zamknęłam oczy, aby odtworzyć któreś z marzeń, nie mogłam się oprzeć pokusie dotknięcia się „tam”, wywołując doznania, których nie ośmieliłabym się opisać. Wiedziałam, rzecz jasna, że miłość fizyczna to nie tylko kontakt nagich ciał, ale co z tego?

Nie było sensu pytać Johanny, nawet ogłędnie, i nawet nie pomyślałam o spytaniu mamy, lecz odkąd poznałam Coleya, wiele razy pragnęłam, by Marjorie, ze swymi krótkimi włosami i w modnych butach, przyjechała do domu. Nawet paliła - odkryłam to, kiedy zo-

baczyłam, jak wydmuchuje dym w jednej z przybudówek.

Wcześniej jeszcze, kiedy dopiero zaczęłam snuć domysły na temat miłości fizycznej, zebrałam się na odwagę i spytałam nianię. Jej wyjaśnienia były jednak niezrozumiale oględne.

- Kiedy przyjdzie czas, dowiesz się wszystkiego. Pamiętaj tylko, że musisz czekać na swojego męża. To największy dar, jaki można ofiarować mężczyźnie, a żaden się nie ucieszy na myśl, że jego narzeczona dała go już komuś innemu. Kiedy się to już da, Violet, nie można tego odzyskać z powrotem.

Nie jestem głupia ani powierzchowna, tak mi się przynajmniej wydaje, a wyjaśnienia niani były w ogólnym rozrachunku dość jasne. Nie chciała jednak rozwinąć tematu, więc nie zbliżyłam się ani na trochę do wiedzy o tym, co tak naprawdę było między mężczyzną i kobietą.

Tamtego dnia w Loughshinny Coley Quinn wydawał mi się jednak najlepszym kandydatem do obdarowania.

Chirurgiczna precyzja

Mojesz kroczyć przez Morze Czerwone.

Właśnie ten obraz przychodzi mi na myśl, kiedy tak maszeruję za swoim przewodnikiem, gdyż jeżyny wydają się rozstępować przed nim w jakiś tajemniczy sposób, jakby na sam widok unoszącego się noża ogrodniczego - prawo, lewo, prawo, lewo. Po nierównym gruncie idzie się ciężko, żakiet przykleił mi się do jedwabnej bluzki, a po bólu łydek poznaję, że teren się wznosi. Zerkam na zachód i widzę dość duże kłębowisko chmur sunących w naszym kierunku. Ten człowiek mógł się nie mylić co do nadchodzącego deszczu.

Wspinamy się na niewielkie wzgórze i nagle naszym oczom ukazuje się dom o zasłoniętych oknach i poszczerbionych kominach dziurawiących niebo.

Pat zatrzymuje się, abym mogła do niego dołączyć.

Whitecliff oglądany ze skał bądź plaży, z odległości około kilometra, wydawał się

romantycznie smutny. Dom w stylu „ale szkoda”. I „chciałabym się do niego dorwać”. Z bliska jednak widać, że przywrócenie go do stanu używalności wymagałoby naprawdę dużych nakładów.

Przed sobą mam zamknięte na kłódkę podwójne drzwi frontowe i ganek wsparty na łuszczących się kolumnach, zamknięty trzema oknami z każdej strony. Zasłaniają je okiennice. Choć jeżyny zdołały się tak bardzo rozpanoszyć, nadal widać tu resztki żwiru. W jednym miejscu dostrzegam pozostałości półkolistego parkingu.

Pozbawione farby drzwi wejściowe, z których nikt nie zabrał nawet wytartego sznura do dzwonka, są chyba najbardziej wytrzymałym elementem domu. Futryny okien próchnieją, z sieci kominów wyrastają mocne pędy budlei, a wiekowe rynny i rury odpływowe wiszą na przerdzewiałych wspornikach. Co więcej, na niektórych wieżbach dachowych brakuje dachówek; odpadła też znaczna część zaprawy murarskiej, więc nie wiadomo, jak długo wytrzymają ściany. Nawet bez wchodzenia do środka domyślam się, że w Whitecliff są wszystkie możliwe rodzaje pleśni. Każdy deweloper zdecydowałby bez wahania, że dom trzeba zburzyć.

Przy tym jednak, choć dom wygląda smutno, z gracją dźwiga swój wiek, niby wdowiarystokratka, na którą przysły ciężkie czasy. Jej arystokratyczne ciało, łącznie ze sznurem do dzwonka przy drzwiach, prześwieca przez łachmany i strzępy. Kocham ją.

- Kiedyś w tej alei rosły buki, a pod nimi żonkile.

Te słowa potwierdzają moje podejrzenia, że mężczyzna nieprzypadkowo wybrał Whitecliff i jest z nim związany, lecz w jego głosie brzmi jakaś dziwna nuta. Przygląda mi się uważnie, jakby czekając na reakcję. Przypominam sobie jednak, że nie mam czasu ani pre-dyspozycji do odgrywania domorosłego psychologa - muszę myśleć o interesach. Nie drażę więc tematu, tylko dotykam go powierzchownie.

- Co się z nimi stało? Buki mogą rosnąć całe wieki, prawda?

- Zostały ścięte. Chyba poszły do tartaku.

Ciągle mi się przygląda. Uśmiecham się, co chyba go rozbraja. Patrzy w niebo, gdzie pierwsza chmura przysłania słońce.

- Pora w sam raz na posiłek.

- Pat, czy możemy wejść do środka?

Patrzy na mnie, jakby się zastanawiał.

- Nie jestem szaleńcem, jak sądzą ludzie, i dobrze wiem, że któregoś dnia będę musiał pozwolić im się sobą zająć. Mogę złamać nogę albo zachorować na raka. Niedługo skończę siedemdziesiąt dziewięć lat, ale dopóki chodzę o własnych siłach, chcę zostać tutaj.

- Nie mam na to wpływu, niestety. - Współczuję mu, ale co mogę zrobić? - Będę z panem szczerą, Pat. Jeśli właściciel sprzeda tę posiadłość albo zdecyduje się wybudować tutaj osiedle, wątpię, czy cię zostawi.

- Ale... - mówi z wahaniem - zanim przeciągną mnie przez sądy... - Wygląda ponuro. - Proszę. Jest mi tu dobrze.

- Widzę. - Jestem zaskoczona. Wydaje mu się, że będę miała wpływ na jego los. - Proszę posłuchać, muszę panu uświadomić, że to tylko kwestia czasu. Ten dom przyciąga uwagę inwestorów. Jesteśmy małą firmą, jeśli mój szef usłyszał, że dom może być na sprzedaż, inni z całą pewnością także to wiedzą. Wysłał mnie, żeby zdążyć przed rozpoczęciem wyścigu.

- Mmmm - zastanawia się Pat. Temperatura odrobinę spadła i teraz jest mi chłodno. - Chyba będę musiał wykorzystać, ile się da - mówi powoli - lecz z drugiej strony mogę zniknąć rano i wracać wieczorem. Nadal mam w okolicy przyjaciół. Może pani wrócić rano - ostentacyjnie wzrusza ramionami - i nie znajdzie pani po mnie śladu. Podróżuję jak ptak, bez bagażu.

- Słyszę. Mówi mi pan właśnie, że jest wolnym człowiekiem.

- Powinna pani o tym pamiętać.

- Będę.

Patrzę w górę na szare ściany domu, aż nagle pewna myśl świta mi w zakamarkach umysłu.

- Wiem, że mieszka pan tu już dość długo, ale ile to dokładnie lat?

- Idzie osiemnasty rok. Odkąd na dobre ściągnąłem zza morza.

- I nikt nie próbował pana wyrzucić?

- Kilka razy opieka. - Zerka na mnie kątem oka, a potem chrząka i pluje. - Dali sobie spokój. Nie można człowieka na siłę wysłać tam, dokąd nie chce iść.

Usiłuję nie patrzeć, gdzie spadła plwocina.

- Jak sobie pan radzi z wodą i całą resztą, i co się dzieje, kiedy pan zachoruje?

- Radzę sobie - odpowiada szorstko. - Tu jest dobra woda. A ja nie choruję.

- Nie ma pan żadnych krewnych, co?

- Moje pokolenie wymarło. Jest pochowane na całym świecie, w Chicago, Perth w Australii, Szkocji, różnych miastach Anglii.

- Z czego pan żyje? - Potem się zastanowię nad tą rozmową. - Skąd to jedzenie w obozowisku?

- Przysyłają mi emeryturę na pocztę w Rathlinney. Idę tam raz w tygodniu po pieniądze i listy.

Mam na końcu języka uwagę, że jego izolacja nie jest zbyt szczelna, sam przed chwilą przyznał, iż władze wiedzą o jego istnieniu, a jeśli wie o nim urząd pocztowy, to wiedzą wszyscy. Jednak dalej już się nie posunę. Zerkam na niego, jest bez wątpienia obdarty, lecz godny podziwu, i myśl, która gdzieś się kołaczy, wreszcie do mnie dociera.

- Być może ma pan tu status „dzikiego lokatora”. Nazywa się to bezprawne zasiedlenie i choć muszę sprawdzić, jakie prawo mógłby pan mieć do tej ziemi, wydaje mi się, że w świetle przepisów musi pan jedynie zajmować daną posesję przez dwanaście lat. Co więcej, kiedy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że jest jeszcze inne prawo, które obowiązuje wtedy, kiedy posiadłość można oficjalnie uznać za opuszczoną.

- Oficjalnie opuszczoną, co? - Gapi się na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy, który wytrąca mnie z równowagi.

- Sprawdzę to po powrocie do biura - ciągnę. - Nie będzie z tym problemu.

Ale z ciebie handlarz nieruchomości, Claudine Armstrong. Jeśli Tommy dowie się kiedykolwiek, co powiedziałaś temu człowiekowi, zamorduje cię z zimną krwią.

Tommy nie ma jednak powodu do zmartwienia.

- Nie jestem rolnikiem - odpowiada Pat. - Nie interesuje mnie ziemia. Nie potrzebuję „prawa dzikiego lokatora” ani żadnego innego. Chcę tylko, by pozwolono mi tu spokojnie umrzeć i żebym nie był nikomu nic dłużny, i żeby nikt nie był moim panem ani dłużnikiem. Ile razy mam to pani powtórzyć? Nie chcę niczego od nikogo. Chce pani wejść do tego domu czy nie? Przypominam, że nie ma tam żadnych mebli, tylko gdzieś tam stare rupiecie.

- To nic, Pat. Proszę posłuchać, nie mam ochoty nazywać pana Patem. Jak pan ma naprawdę na imię?

Zastanawia się nad odpowiedzią, wreszcie mówi:

- Colman. Ale nikt poza tymi z opieki mnie tak nie nazywa. Tędy.

Rusza przodem.

Jestem zaskoczona, że mi zaufał. Idziemy przez środek podjazdu, nadal po względnie oczyszczonym terenie wokół domu, obok poczerniałych szczątków dawno umarłego drzewa rosnącego niegdyś dokładnie na rogu.

- Następny buk?

- Taa.

- Jakby spalony.

- Pewnie błyskawica. Nie zmienia tempa.

Wychodzimy na otwartą przestrzeń na górze klifu. Tył domu znajduje się, na moje oko, mniej niż dwadzieścia pięć metrów od brzegu. Widać słupy płotów i drut na krawędzi urwiska, wszystko pochylone pod dziwnym kątem.

- Erozja?

- Taa. - Mój przewodnik szczerzy zęby w uśmiechu. - Będziemy bezpieczni przez kolejne pięćdziesiąt lat, może sto. Posuwa się około centymetra rocznie, w niektórych latach pięć centymetrów, a w innych wcale.

Stoimy teraz przy pompie, która wygląda na dobrze zachowaną, i wiem już, skąd Pat czy też Colman bierze wodę. Podchodzę i dotykam skrzynki do przechowywania mięsa umieszczonej na ścianie przy tylnych drzwiach. Drewno jest przegniłe, lecz krata na drzwiach, choć zardzewiała, zachowała się w niezłym stanie. Podnoszę wzrok.

Z tyłu, bez portyku i wykuszy, które łagodzą ścianę frontową, Whitecliff wydaje się prosty i dość surowy. Tuż pod dachem widać zakratowane okno.

- Czy na strychu są pokoje?

- Nie wiem - odpowiada krótko mężczyzna i wyjmuje pęk kluczy z kieszeni spodni, zanim zdąży zadać kolejne pytanie.

Otwiera stosunkowo nową kłódkę. Czy jest kimś w rodzaju ekscentrycznego stróża? Popycha skrzypiące drzwi, co wywołuje chrobot maleńkich pazurków na wyłożonej płytkami podłodze.

Myszy.

Staję jak wryta i zamykam oczy, aby mogły się schować. Nie znoszę ich, lecz dopóki nie muszę na nie patrzeć, nie jest tak źle. Firma Tommy'ego O'Hare często zajmuje się starymi domami, więc gdybym miała dostawać drgawek na widok każdego spotkanego stwo-

rzonka, byłabym ogromnie zdenerwowanym, a co więcej nieskutecznym pośrednikiem.

- Claudine, może pani otworzyć oczy - śmieje się chrapliwie mój przewodnik. - Brzeg jest pusty.

Stoimy w dużej kuchni w starym stylu. Jedyne meble to potężny stół zrobiony z tak grubych desek, że wygląda na niezniszczalny. Pozostał w bardzo dobrym stanie i w przeciwieństwie do bezwartościowego żelaznego pieca jest nadzwyczaj czysty. Stoi na nim kilka rzędów pudełek z płatkami kukurydzianymi, zupami w proszku i herbatą w torebkach, każde w plastikowym woreczku i przewiązane sznurkiem. Najwyraźniej zlew jest często używany, obok niego stoi następna bańka na mleko, a na parapecie nad nim butelka cifu i gąbka do szorowania. Odwracam się z powrotem do stołu. Usiłuję znaleźć jakiś neutralny temat rozmowy.

- Je pan dużo płatków kukurydzianych?

- Taaa.

Omiata spojrzeniem pomieszczenie.

- Jak widać, to jest kuchnia.

Jego ciężkie buty, takie, jak noszą robotnicy, stukają, kiedy idzie, aby otworzyć górną część niewysokich drzwiczek zamkniętych na staroświecką pionową zasuwę.

- A to spiżarnia. Dość sucha.

Zaglądam do środka. Nawet w tym świetle widać, że nie jest pusta. Nie ma tu żywności, lecz pozostały stare naczynia kuchenne, garnki i rondle, jeszcze jedna skrzynia na mięso, drewniane łyżki, trzepaczki, potężne dzbany na mleko, miski na pudding i makutry, duża metalowa miednica, chyba cynowa, lecz nie wiem na pewno - zwyczajne kuchenne akcesoria, które kiedyś były tak przydatne. Wyciągam rękę i podnoszę stary emaliowany durszlak, jakiego już teraz się nie znajdzie, a który kosztowałby fortunę w sklepie z antykami w Dublinie. Ten, kto opróżniał dom, zapomniał o spiżarni lub celowo ją pominął. Czuję nagłą falę wzruszenia, kiedy tak obracam durszlak w dłoniach - jest wgnieciony i obity w kilku miejscach.

- Proszę go wziąć, jeśli pani ma ochotę.

- Słucham? - Nie ukrywam zaskoczenia.

- Proszę go zabrać na pamiątkę.

Jego stare oczy wydają się błyszczeć w świetle wpadającym przez otwarte drzwi.

Wiem już, skąd pochodzi czajniczek do herbaty.

- Na pewno mogę? - Właściwie nie chcę tego durszlaka, a jednak chcę.

- A kto powie, że nie?

- Dobrze. - Wmawiam sobie, że po prostu chcę mu sprawić przyjemność. Śmiesznie tak iść za nim z durszlakiem w ręce przez wysoki na dwa piętra hol wejściowy, niemal całkiem ciemny, gdyż drzwi do przylegających do niego pokoi są zamknięte, okna ganku zaś zasłonięte okiennicami. Jedynym meblem jest tu zakurzony wieszak (mniej więcej lata pięćdziesiąte, nie pasuje do tego domu), choć na spłowiełej tapecie widać bardziej kolorowe miejsca, gdzie najwyraźniej stały meble; dostrzegam na przykład otwarty prostokąt stołu czy raczej dziwny półkolisty kształt w pobliżu drzwi. Nie tylko staram się wszystko zapamiętać, lecz dziwię się zmianie, jaka zaszła w moim przewodniku, który po opuszczeniu spiżarni skinął na mnie niemal rozkazująco i pokazał, gdzie mam iść.

Choć twierdzi, że nie chce i nie potrzebuje prawa własności, po raz pierwszy dociera do mnie, że być może ten człowiek nie jest stróżem, lecz właścicielem Whitecliff. Nie jest to całkiem niemożliwe, gdyż zachowuje się jak dumny gospodarz oprowadzający gościa po własnym domu. Każdy, kto zajmuje się handlem nieruchomościami, spotyka rozmaitych nieszablonowych i ekscentrycznych ludzi, więc być może ów „stary dziwak”, o którym mówił Tommy, wcale nie mieszka na północy Irlandii.

Kuchnia to zdecydowanie najlepiej zachowane pomieszczenie w Whitecliff. Salon bez wątpienia był kiedyś wspaniały, myślę, podnosząc przy każdym kroku kłęby kurzu. Choć teraz obnosi swój stan niczym wdowie szaty - są tu trzy okna wykuszowe, a także masywny kominek z kremowego marmuru i parkiet na podłodze, lecz wypaczone klepki odstają w różnych miejscach - nietrudno sobie wyobrazić, że kiedyś odbywały się tutaj eleganckie przyjęcia, a nawet bale.

- To musi być bardzo cenne.

Jestem zaskoczona, że kominek przetrwał tu tak długo i nie został ukradziony ani zniszczony. Podchodzę, by podziwiać jego zimną świetność. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam - a może się mylę? Jakieś mgliste wspomnienie kołacze mi się po głowie, lecz nie potrafię go sprecyzować. Szczególnie interesujący jest gzyms - unosi się z obu stron, niczym ramiona egzotycznej tancerki. Może został przywieziony z Dalekiego Wschodu?

- Czy ta rodzina była bardzo zamożna? Mieli sklep we wsi, prawda?

- Mhmmm.

On również dotyka gzymsu.

- Znał pan ich?

- Znali ich wszyscy w okolicy. Byli miejscowymi bogaczami.

Z salonu wychodzimy z powrotem do holu.

- Pójdziemy teraz na górę, ale musi pani uważać. Schody są bardzo śliskie.

Musi mówić głośniej, gdyż dom atakuje kanonada przepowiedzianego wcześniej deszczu.

- Jadalnię i oranżerię pokażę pani w drodze powrotnej, dobrze?

- Jak pan sobie życzy.

Szerokie, kręcone schody zrobione są z kamienia. Wydają się trochę zniszczone - nawet w półmroku widać, że środek każdego stopnia jest wytarty. Na tym polega ich urok.

- Nie zdziwię się, jeśli będzie burza! - krzyczy przez ramię mężczyzna. Idzie jakieś dziesięć czy jedenaście stopni przede mną, a jego ostatnie słowa odbijają się echem, gdyż deszcz przestał padać równie szybko, jak się pojawił.

Ze schodów przechodzimy na szeroki, otoczony balustradą podest, wystarczająco duży, by można na nim urządzić przyjęcie niezależnie od salonów na dole. Gdybym miała sprzedawać Whitecliff - z wykuszami, kominkiem i holem wysokim na dwa piętra oraz, oczywiście, kamienną klatką schodową - z tego podestu zrobiłabym jedną z głównych zalet tego domu. Nazwałabym go galerią barda. Choć nie ma tu bezpośredniego oświetlenia, to kiedy otworzy się okiennice na wszystkich siedmiu wysokich oknach drugiego piętra, całe to miejsce zostanie wręcz zalane światłem dziennym. Chciałabym napisać taką właśnie broszurę reklamową, lecz poza czysto zawodowym zachwytem czuję wielką chęć otwarcia wszystkich drzwi i okien. Chcę dać płucom tego domu, tej *grande dame*, łyk świeżego powietrza.

Jak już powiedziałam, jestem przyzwyczajona do starych, nawet bardzo starych posiadłości, i nie onieśmiela mnie wielkość ani potencjalna wartość tego budynku, lecz czuję tu coś niezrozumiałego. Nie chodzi o okiennice ani kurz, ani nawet melancholię właściwą wszystkim domostwom, które stoją puste przez dłuższy czas. To coś więcej. Rodzaj oczekiwania czy przyciągania, jakby Whitecliff znajdował się na krawędzi. Zniszczenia czy zbawienia?

Cóż za dziwaczne myśli - co mnie dziś napadło? Choć nie uważam się za przesadną ani zbyt wrażliwą, Whitecliff zdecydowanie opanował moje myśli.

Wolną ręką ostrożnie naciskam kilka elementów balustrady. Nie ruszają się. Próbuję mocniej, lecz nadal nic. Są w dobrym stanie.

- Teraz już takich nie robią. - Czyżbym mówiła do siebie? - Cóż, dzięki Bogu, przestało padać - dodaję, żeby przerwać ciszę. - Deszcz szybko przeleciał.

- Nie ma sensu wchodzić do sypialni. - Mężczyzna znowu mi się przygląda. Jego badawczy wzrok zaczyna mnie przyprawiać o gęsią skórę.

- Są bardzo podobne do siebie, choć główna jest trochę większa. Obawiam się też, że podłoga może być zniszczona.

- Ile tu jest sypialni?

- Siedem.

Czuję coś dziwnego w brzuchu, coś pomiędzy napięciem a drżeniem. Poznaję to uczucie, gdyż doświadczyłam go już wcześniej, choć nigdy z taką siłą. Podniecenie. Chcę mieć ten dom.

- Czy możemy porozmawiać z właścicielem? Starszy mężczyzna idzie do końca podestu. Zauważam, że omija jaśniejsze deski na środku, gdzie dawniej leżał dywan, aby ich nie pobrudzić butami. Sypialnia, którą mi pokazuje, wygląda dokładnie tak, jak się spodziewałam. Ma dwa wysokie okna, tapeta odpada od ścian, a nad podłogą i pod sufitem widać ciemne plamy pleśni. Colman częściowo pomylił się jednak co do podłogi. Zrobiono ją z dębowych desek, a to, że są zakurzone i że niektóre wymagają wymiany, nie umniejsza jej piękna. Napięcie w brzuchu się wzmacnia. Wydaje mi się, że mam na sobie jedwabną, plisowaną sukienkę i siedzę na dole przed marmurowym kominkiem, w którym trzaska ogień. Zieleń salonu podkreślają kremowe sofy i zasłony z kremowego adamaszku oraz przebłyски kolorów na poduszkach, obrazach na ścianach i nowych pokryciach na ławach przy wykuszowych oknach. Może w czerwone maki. Niedługo zjawią się goście, a w tle sonaty fortepianowej płynącej z odtwarzacza słyszę słaby brzęk dochodzący z odległej kuchni, gdzie wynajęci kucharze kończą przygotowywać potrawy, które podamy w oświetlonym świecami salonie.

Zegar na kominku wybija godzinę. Piję kolejny łyk koktajlu połyskującego różowo w kryształowym kieliszku, po czym odstawiam go na stolik i wstaję. Jestem gotowa. Dom jest

gotowy.

- Cóż, jeśli pani już się przyjrzała, powinniśmy iść - przerywa mi Colman.

- Przepraszam, chyba się zamyśliłam.

- Tak sędzę!

Wyprowadza mnie z pokoju, zamyka drzwi i kieruje się ku schodom.

- Jeszcze chwilkę.

Chciałam się tu jeszcze rozejrzeć. Idę ku przeciwnemu końcowi podestu i odwracam się, by móc określić jego wielkość. Kątem oka widzę tuż obok drzwi, których nie zauważyłam wcześniej. Są trochę schowane we wnęce i znacznie węższe od innych. Pewnie szafa na pościel lub schowek gospodarczy, myślę i próbuję je pchnąć. Dopiero wtedy widzę, że otwierają się na zewnątrz, więc ciągnę je do siebie.

Stoję zaskoczona i usiłuję zrozumieć, co widzę.

Wyobraźcie sobie scenę z amerykańskiego filmu, w której ktoś otwiera drzwi do piwnicy - nagle patrzycie na wąskie schody w dół zamknięte w ciasnej klatce ścian.

Odwróćcie teraz kierunki, a zobaczycie widok, jaki mi się ukazał. Ale to jeszcze nie wszystko.

Widzę miejsce, gdzie niegdyś schody łączyły się z podestem piętro wyżej. Przez dziurę w suficie nad tamtym podestem dostrzegam niebo prześwitujące spomiędzy odsłoniętej więźby dachowej oraz belek. Słyszę kap-kap-kap deszczu przez spróchniałe drewno i widzę, jak krople nabierają coraz większej prędkości, by wreszcie spaść dziesięć metrów niżej, u moich stóp.

Patrzę w kierunku strychu. Możliwość wejścia na górę została zniweczona z niesamowitą, wprost chirurgiczną precyzją. Choć na ścianach widać liczne ślady i głębokie nacięcia, nie ma zbutwiałych ani połamanych desek. Z tej klatki schodowej pozostały jedynie dwa głębokie stopnie donikąd.

Srebrzyste ryby

Po powrocie z Loughshinny usiłowałam wymigać się od kolacji, bo chciałam zostać sama w swoim pokoju. Zarówno mój umysł, jak i ciało przepełniały doniosłe wydarzenia tego popołudnia. Teraz, kiedy Coley i ja staliśmy się jednym, musiałam się zastanowić, jak to jest być dorosłą kobietą.

Byłam podniecona i przerażona zarazem. Targały mną sprzeczne pragnienia. Z jednej strony chciałam zachować swój cenny, ekscytujący sekret dla siebie, lecz z drugiej pragnęłam krzyknąć: „Patrzcie na mnie! Patrzcie wszyscy! Zmieniłam się! Zmieniłam! Czy ktoś to widzi?”.

Kiedy jednak wróciłam do domu o zwykłej porze, dzięki temu, że Coley dołożył wszelkich starań, by dowieźć mnie na czas, musiałam zachowywać się spokojnie, jakby jedyny powód do radości stanowiła perspektywa wolnych dni.

Daleko mi było do spokoju. Moje poruszenie w znacznej mierze wynikało z tego, że sam akt odbiegał od wyobrażeń. Ponieważ nie widziałam wcześniej, jak to wygląda, wyobrażałam sobie zbliżenie jako coś marzycielskiego, powolnego i romantycznego. Myślałam, że będziemy mogli pływać niczym srebrzyste ryby w swych własnych ciałach. Jednak choć Coley bardzo się starał panować nad sobą, wszystko trwało dość krótko i było odrobinę brutalne.

Chyba odgadł moje zakłopotanie, ponieważ kiedy obejmowaliśmy się potem pod osłoną falujących traw i krzewów, pocałował mnie wiele razy, pytając raz po raz, czy wszystko w porządku.

- Nie żałujesz, Violet?

- Oczywiście, że nie, Coley - odparłam czule, usiłując nie myśleć o kłuciu między udami. - Było wspaniale.

Nie żałowałam. Miałam tylko mnóstwo pytań.

- Na pewno? - Poglaskał mnie po twarzy. - Nie zrobiłem ci krzywdy? Przysięgam, że następnym razem będzie lepiej.

- Lepiej być już nie może - skłamałam. - I z całą pewnością jestem cała i zdrowa.

Popatrzyłam w górę na samotną mewę, która tak spokojnie szybowała z rozpostartymi skrzydłami na wietrze. Potem wzięłam głęboki wdech i z całą namiętnością, jaką udało mi się wykrzesać, pocałowałam Coleya.

- Kocham cię - oświadczyłam, a to wyznanie było dla mnie znacznie głębsze i poruszające niż wszystko, co się przed chwilą wydarzyło.

- A ja ciebie.

Przyciągnął mnie do siebie i przytulił tak mocno, że zabolowały mnie plecy. Po chwili zwolnił uścisk i spojrzał mi w oczy.

- Zapamiętaj, że cię kocham, Violet Shine.

W tej wirującej, przepełnionej uczuciem chwili miałam wrażenie, że rozpadnę się na kawałki niczym raca wystrzelona do gwiazd.

Nie pamiętam, którądy wracaliśmy do Whitecliff, lecz choć Coley starał się trzymać z dala od uczęszczanych dróg, ciągle się obawiałam, że jacyś znajomi mamy lub taty mogą mnie zauważyć. Przypominam sobie jednak ciężki oddech kochanka na mojej szyi i policzku oraz dotknięcia jego rąk, gdy wiozł mnie na ramie po wyboistych drogach. Choć moja potrzeba rozpamiętywania wydarzeń w spokoju była tak ogromna, mama nawet nie chciała słyszeć o tym, że mogłabym zrezygnować z kolacji, kiedy chciałam iść się położyć.

- Jestem zmęczona, mammo. Wiesz przecież, jak pilnie się uczyłam. Wcale nie jestem głodna. Wolałabym iść dzisiaj wcześniej do łóżka. Najchętniej od razu. - Ziewnęłam na poparcie swych słów.

- Bzdura. - Oderwała wzrok od kapy. - Musisz coś zjeść, Violet. Rzeczywiście jesteś zarumieniona, może to nadmiar świeżego powietrza. Dobry posiłek cię uspokoi, a w nocy możesz spać, jak długo zechcesz. Ale po kolacji potrzebuję waszej, twojej i Johanny, pomocy przy kapie. Wiesz, że mamy trochę spóźnienia.

- Och, mammo...

- Jutro możesz dłużej poleżeć.

Zawahałam się. Koniecznie musiałam iść do siebie, nie potrafiłam jednak wymyślić przekonującej wymówki.

- Jesteś chora, Violet? - Mama odłożyła kawałek kapy, splótła ręce i przybrała wyraz twarzy, jaki nazywałyśmy z Johanną iskrzącym. - Chyba nie twoja przyjaciółka, co?

Pewne dni miesiąca były w naszym domu nazywane właśnie tak.

- Nie.

Obawiałam się, że jeśli w ten sposób usprawiedliwię swoje nagłe rumieńce, to ktoś, może doktor Willis, odkryje coś, co wolałabym zachować w tajemnicy. Podobno lekarze potrafią stwierdzić, że dziewczyna nie jest już dziewicą.

- Wobec tego ustalone. Mamy dziś jajka. Idź, proszę, do kuchni i pomóż Johannie przy sałatkach.

- Czy mogę przynajmniej zmienić szkolne ubranie na coś innego, mamó?

- Nie podoba mi się twój ton, Violet. Dobrze, że zostaniesz teraz kilka dni w domu, będziemy mogli lepiej cię pilnować. Idź się przebrać. Prędko. - Ponownie wzięła kapę do ręki.

Pobiegłam do swojego pokoju i zamknęłam oczy, aby lepiej przypomnieć sobie ciepło sprężystego ciała Coleya napierającego na moje.

Gdzieś w oddali usłyszałam dzwonek do drzwi - mieliśmy taki brzęczący, połączony ze sznurem zawieszonym na zewnątrz, i tak głośny, że słyhać go było w całym domu. Ja jednak daleka byłam od zastanawiania się, kto też może dzwonić tak późnym popołudniem w piątek...

Moja namiętność, usiłująca dorównać zapałowi kochanka była po części udawana. Czulałam się, rzecz jasna, podekscytowana - to, co robiliśmy, było odważne, dorosłe i brawurowe - lecz nie tak jak on. Gdybym to robiła z kimś innym, może nawet byłabym przerażona zmianą jego pocałunków i pieszczot z czułych na niedbałe, wykrzywioną z napięcia twarzą, jękami bólu...

Nowemu doświadczeniu towarzyszyły nieoczekiwane odczucia fizyczne i łyzy: nagły żal, na przykład, połączony z obawą, że te jego wściekłe ataki mogą rozerwać mnie na pół. Byłam również świadoma, że leżę na gołej ziemi i tył spódnicy może się ubrudzić trawą, krwią lub innymi płynami, co z kolei doprowadzi do odkrycia mojej rozpusty.

Wymieniam te nieprzyjemne doznania, gdyż to one wywołały moje mieszane uczucia owego wieczoru, a wydaje mi się, że powinnam być szczerą. Nie chcę sprawiać wrażenia rozczarowanej czy zmartwionej. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Coley Quinn był moją miłością, kochaliśmy się i żadna siła na ziemi nie zdołałaby zakłócić tego, co powinnismy wspólnie odczuwać - podczas zbliżenia skoncentrowałam się więc na ciepłe jego skóry,

twardości brzucha i ud, silnym zapachu naszych ciał.

Tego popołudnia nie odważyłam się spojrzeć na jego ciało i przez cały czas przyglądałam się jego twarzy, wyrazistym kościom policzkowym, które pokochałam, trochę wilczym zębom, niesfornym włosom rosnącym na linii czoła w kształcie litery V, jak u młodzieńca z etruskiej wazy. Teraz zdałam sobie sprawę, że pragnę zobaczyć więcej.

Zdecydowałam, że następnym razem musimy znaleźć bardziej odosobnione miejsce, gdyż będziemy całkiem nadzy. Czułam, jak moje ciało pulsuje na samą myśl.

Wiedziałam, że nie mam dużo czasu, lecz już uzależniłam się od obrazów mojej wyobraźni. Więc przy wtórce szurania grabi, którymi sprzątał żwir pod moim oknem Martin, pracownik ojca, i zapachu smażonych jajek dochodzącego z kuchni piętro niżej, pośpiesznie zaczęłam rozbudowywać scenografię.

Umieściłabym nas gdzieś na leśnej polanie. Nie, może raczej na skalistym wrzosowisku. Nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, niezdolni kontrolować namiętności, przy wyciu wiatru nad naszymi głowami, będziemy ściągać z siebie nawzajem ubrania, aż wszystkie rzeczy opadną niczym flagi na polu bitwy...

Nie. Ja przejmę pałeczkę. Zmuszę Coleya, żeby zwolnił. Zmuszę, żeby trzymał ręce za plecami, a sama będę go rozbierać, guzik po guziku, do samej bielizny. A kiedy tak będzie stał, z pierśnią rozjaśnioną promieniami słońca - dzień będzie wietrzny, lecz słoneczny i ciepły - spojrzę na niego spod rozwianych włosów i poproszę, żeby rozplótł mi warkocz, jak robił wiele razy wcześniej.

„A kiedy skończysz, czy mógłbyś mi odpiąć bluzkę? Moje piersi w szkarłatnych miseczkach atłasowego stanika czekają na pieszczotę twoich dłoni. Pragną, byś je uwolnił z rubinowych muszli i pocałował...”.

Wprawdzie nie posiadałam nawet kawałeczka atłasowej bielizny, szkarłatnej ani żadnej innej, ale ten fakt nie wydawał mi się istotny. Dla Coleya zdobędę atłasy. Choć jeszcze nie wiem jak.

Pogrążona w tych fantazjach nie usłyszałam, jak Johanna puka do drzwi. Oprzytomniałam dopiero, kiedy zaczęła walić w nie pięściami.

- Violet! Violet? Co tam robisz? Kolacja czeka, a mama zaczyna się już denerwować - dostała wiadomość. Chce nam coś powiedzieć... Violet! - krzyczała.

- Przepraszam! - zawołałam. - Zdrzemnęłam się chwilę. Już schodzę.

Zeskoczyłam z łóżka.

- Pospiesz się, proszę! - krzyknęła moja siostra.

- Idę, już idę. - Ściągnęłam spódnicę i rzuciłam na podłogę.

A potem przypomniałam sobie, że mogą być jakieś ślady, więc podniosłam ją i schowałam na samym dnie szafy.

Pognałam do jadalni, gdzie wszyscy już siedzieli na swoich miejscach. Mama i tata posłali mi pełne nagany spojrzenia, lecz nie zbesztali mnie w odpowiedzi na przeprosiny i wyjaśnienie, co było pewną nowością.

- Wszyscy są głodni. Usiądź, Violet.

Mama rozłożyła serwetkę, lecz pomimo surowego głosu w jej ruchach była pewna radość, a policzki miała zaróżowione. Była zawsze blada i trzymała na wodzy wszelkie emocje, więc takie podekscytowanie stanowiło dość niezwykły widok.

Przypomniałam sobie dzwonek do drzwi i informację Johanny o nowinie.

- Co się stało? - Siadając przy stole, popatrzyłam na oboje rodziców.

Mama zerknęła na ojca.

- Dostaliśmy telegram - odpowiedziała z uśmiechem

- Telegram? - spytałam zaniepokojona, pomimo że mama się uśmiechała. W ciągu całego mojego życia dostaliśmy zaledwie dwa telegramsy, i oba dotyczyły śmierci jakichś dalekich krewnych. A w ostatnim czasie w okolicy, gdzie nie tylko James i Thomas wstąpili do wojska aliantów, telegramsy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej kojarzyły się ze złymi wiadomościami.

- Tak, Violet - odrzekł cierpliwie tata. - Dostaliśmy telegram od Jamesa. Przyjeżdżają z Thomasem w przyszłym tygodniu na tygodniową przepustkę przed wyjazdem do swego oddziału.

- Wspaniale! - Biorąc pod uwagę moją obecną radość, bez trudu mogłam wpaść w ekstazę, lecz to była naprawdę dobra nowina. Życie w domu. Hałas. Ruch. Kamuflaż. - Kiedy przyjeżdżają?

- Chyba za tydzień.

Tata przeciął nożem jedno z jajek leżących na talerzu. Mama poszła w jego ślady.

- Pozostało więc jeszcze sześć dni. Dobrze, że masz wolne, Violet. Będziecie musiały się zwijać. Musimy zdobyć jedzenie, przewietrzyć pokoje i tak dalej. A także - ciągnęła

mama, rzucając tacie następne spojrzenie - postanowiłam coś jeszcze.

- Co? - Spojrzałyśmy na nią.

- W przyszłym tygodniu urządzimy przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Samuela młodszego i aby uczcić przyjazd bliźniaków. Nie mamy zbyt dużo czasu, więc poproszę nianię o pomoc. Starzeje się, ale na pewno pomoże nam przy zorganizowaniu wszystkiego. Liczę, że się na to zgodzisz, Rodericku. Nie mamy czasu.

Mama mówiła coraz głośniej, a pod koniec jej ton był niemal rozkazujący. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie chodzi o chwilowy powrót niani, lecz o przyjęcie.

W Whitecliff nigdy nie urządzaliśmy przyjęć. Nie było nawet uroczystego obiadu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Johanny ani Marjorie. Podejrzywałam, choć nikt o tym nie wspominał, że uroczystość z okazji osiągnięcia pełnoletności przez Samuela młodszego, prawowitego dziedzica majątku, była planowana od bardzo dawna.

- Przecież on miał urodziny w lutym - zaproponował słabo tata. - A nawet jeśli się zgodzę? Mamy wojnę, Muszko. Skąd weźmiemy jedzenie? I czy nie powinniśmy poczekać, aż rzeczywiście skończy dwadzieścia jeden lat? Czy tak się zwykle nie robi?

- To musi być w przyszłym tygodniu. Bliźniaki przyjadą do domu. A jeśli chodzi o jedzenie, jakoś sobie poradzimy. Wszyscy zrozumieją - powiedziała mama tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Musimy wysłać wiadomość do Samuela do Trinity i do Marjorie, Rodericku. Zajmiesz się tym? Zrób tak, żeby nie mieli wyboru. - Spojrzała na talerz i zaczęła się bawić liściem sałaty. - Jeden Bóg wie, co z nami będzie w lutym przyszłego roku, w dniu urodzin Samuela.

Nad stołem zawisła cisza, gdyż nagle wszyscy uświadomiliśmy sobie, dlaczego mama zdecydowała się zorganizować to przyjęcie teraz.

Tata rozładował atmosferę swoją wiadomością.

- Cóż, skoro już i tak mamy tyle niespodzianek, ja też podjąłem pewną decyzję. Założymy w domu telefon. Nie możemy ciągle dostawać wiadomości od dzieci za pośrednictwem telegramów.

- Czy to nie będzie zbyt drogie, Rodericku? - Mama zmarszczyła czoło.

- Mam nadzieję, że sama dostrzegasz ironię w swoich słowach, Fiono. - Ojciec uniósł brwi. - Ile twoim zdaniem będzie kosztowało przyjęcie urodzinowe? Jeśli możemy sobie pozwolić na coś takiego, stać nas także na telefon. Mogę przecież przystosować aparat ze

sklepu. Posługujemy się nim zdecydowanie zbyt często. Rozleniwiliśmy się i używamy go zamiast nóg czy rowerów.

Telefon trafił do Sklepów Wielobranżowych Rathlinney, gdy tylko pojawiła się taka możliwość. Mieliśmy numer Rathlinney 3, trzeci w kolejności po poczcie i katolickiej plebanii.

Ten dzień obfitował w wydarzenia. Krojąc jajko sadzone, aby ciemnożółte żółtko mogło wypłynąć na talerz, przekonana byłam, że to już wszystko. Cudownie, że bliźniacy przyjadą do domu. Co więcej, podjęliśmy decyzję o przyjęciu właśnie w dniu, w którym stałam się kobietą.

W tym jednak kontekście wcale nie czułam się tak cudownie, gdyż zdawałam sobie sprawę, że przez następne dni będę uwiązana w domu w charakterze służącej do wszystkiego. A potem nagle przez głowę przebiegła mi wspaniała myśl.

- Kogo zaprosimy na to przyjęcie, mamó? Czy możemy z Johanną zaprosić naszych przyjaciół?

Johanna podniosła głowę.

- Och, mamó, mogłabym zaprosić Shirley. Z pewnością przyjedzie na weekend.

O ile wiedziałam, Shirley, dawna koleżanka Johnny ze szkoły, była jej jedyną przyjaciółką.

- Być może. - Mama uśmiechnęła się do niej. Jej dobry humor wprowadził mnie w zakłopotanie. A potem przeniosła wzrok na mnie. - A ty kogo chciałabyś zaprosić, Violet?

- Och - rzuciłam beztrąsko - kilka osób ze szkoły pańien Biggs. Mary Quigley, Mary Kelly. I kilku chłopców, rzecz jasna. Jeśli ma to być prawdziwe przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Samuela młodszego, takie z tańcami, musimy mieć równą liczbę dziewcząt i chłopców, prawda? - Wstrzymałam oddech, gdyż wszyscy troje patrzyli na mnie zaskoczeni.

- Jakich chłopców? - zapytał tata.

- Cóż - improwizowałam - Mary Kelly ma miłych braci. Od czasu do czasu widuję też niektórych kolegów ze szkoły państwowej. - Gorączkowo poszukiwałam w pamięci nazwisk. - Na przykład Peter Cronin z apteki i John Milford, którego ojciec ma mleczarnię, Coley Quinn...

Nadal mi się przyglądali. Unikałam wzroku Johnny.

- Nie wiedziałam, że chodziłaś do klasy z którymś z dzieci Quinnów, Violet - odezwała się mama. - To dobrzy ludzie, ale...

- Mamo, tato, Johanno - przerwałam jej, żeby nie musieć słuchać o tym, że Quinnowie są przyzwoitymi ludźmi, lecz nie należą do naszej sfery - to nie musi być Coley. Był wyżej ode mnie, a pomyślałam o nim dlatego, że spotykam go czasem. Zresztą tak jak innych. Przypadkiem. Tak to jest. Mieszkamy na wsi, gdzie wszyscy znają się ze wszystkimi.

Rozpędziłam się i nie zamierzałam przestać.

- I przypomniałam sobie właśnie, że rodzice Mary Kelly wynajęli dom w Wexford. Nie ma więc sensu ich zapraszać, nawet gdybyśmy znali adres. Poproszę więc Coleya, aby przyszedł z jedną z sióstr. Chyba któraś chodziła z bliźniakami do klasy. Czy to nie byłby dobry pomysł? - Nie wiedziałam, że potrafię mieć aż tyle inwencji.

- Zastanawiam się, co w ciebie ostatnio wstąpiło, Violet.

Mama zerknęła na tatę. Oboje zmarszczyli brwi, lecz sądziłam, że bardziej byli zaskoczeni moją gadatliwością niż samą propozycją.

Pohamowałam się trochę.

- Przecież nie jestem pustelnicą - powiedziałam już bardziej ugodowym tonem - chodzę do szkoły, co wiąże się z jeżdżeniem autobusem do Balbriggan i z powrotem. Pozwolicie mi iść do kina. Skończyłam szesnaście lat. Czy nie mam racji? Nie mamy mnóstwa przyjaciół i krewnych, których można by zaprosić, a jeśli chcemy zorganizować przyjęcie, wszystko powinno być jak należy, prawda? Z pewnością bliźniaki i Samuel młodszy będą mogli zaprosić, kogo tylko zechcą. Dlaczego więc mnie i Johannie nie wolno? I Marjorie także. Może ma w Dublinie kawalera? - Ryzykowałam wszystko.

Rodzice ponownie wymienili spojrzenia.

- Przemyślimy to - odparła mama. - Proszę, pamiętajcie, dziewczęta, że jeśli zgodzimy się na waszą prośbę, nie może to być wielka liczba gości. Przyjęcia są drogie szczególnie w tych ciężkich czasach, a my nie jesteśmy bogaci, choć inni tak sądzą. Pospieszcie się teraz i skończcie kolację. Mamy jeszcze dużo do zrobienia przy kapie, wiecie przecież.

- Tak, mamo. - Wzięłam do ust kęs zimnego już jajka Promieniałam.

Mam pomysł

Nie wyszło chyba źle, co? Ona naprawdę przypomina wspaniałego starego ptaka.

- Nie, było w porządku.

Stoimy z Bobem w progu domu i machamy jego matce chrzestnej, osiemdziesięcioletniej ciotce Louise, a właściwie ciotecznej babce, która powoli idzie do swego niewielkiego turkusowego daihatsu. Na specjalne zamówienie. Wszystkie samochody Louise muszą być turkusowe - najwyraźniej wytwarzają dobre wibracje.

- Jest w świetnej formie.

Mąż patrzy na mnie, szukając w moich słowach podtekstu. Bob, podobnie jak ja, jest jedynakiem, a ponieważ jego rodzice nie żyją, ciotka Louise znaczy dla niego bardzo dużo.

- Naprawdę tak myślę - dodaję, machając przy tym do Louise, która właśnie kaleczy nasz podjazd. W każdym samochodzie zużywa przynajmniej trzy sprzęgła. Jest to stały temat żartów w salonie Boba.

- Jak na swój wiek trzyma się świetnie.

- Nakarmisz psa? - pyta Bob, kiedy ciotka wreszcie wyjeżdża za bramę.

- Pewnie.

- Mecz się zaczyna...

- Przecież powiedziałam, że tak.

Zastanawia się chwilę.

- Nie odzywałaś się za wiele dziś wieczorem.

- Naprawdę?

- Podczas obiadu powiedziałaś tylko kilka słów. Czy coś się stało, Cee?

Skracanie imion i używanie przydomków jest w naszej paczce na porządku dziennym. Są więc takie pary jak Strongy i Cee, Slats i Jo-Jo, Pick i Dairine, Muddle i Claire.

- Przepraszam, Bob - mówię, zamykając drzwi. - Myślałam o czymś innym.

- Boże, ratuj. Nie cierpię, kiedy kobiety myślą! - Uśmiecha się, lecz nauczony doświadczeniem nie usiłuje się dowiedzieć, o czym myślałam, a poza tym bardzo się spieszy

do telewizora.

- Idź. Posprzątam w kuchni.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? Widzę, że myśłami jest zupełnie gdzie indziej.

- Idź, idź - popędzam go, a kiedy wreszcie zostaję sama, powracam do analizowania naszego związku. Od jakiegoś już czasu coraz częściej widzę ten nieobecny wyraz na twarzy Boba, lecz kiedy pytam, czy coś się stało, odpowiada, że myśli o pracy.

Nie jestem głupia. W każdym małżeństwie są wzloty i upadki - czy też, używając marynarskiego porównania, nasze łodzie nie płyną teraz obok siebie.

Bob, przystojny mężczyzna w świetnej formie, czasem bywa wprawdzie lekkomyślny, ale jest przy tym hojny i uprzejmy. Bywa egoistą, a ostatnio zdarza mu się przychodzić później i to w oparach alkoholu, co usprawiedliwia koniecznością zabawiania klientów. Mimo to muszę jednak przyznać, że dobrze się z nim żyje i nigdy mnie nie ograniczał. Sądzę, że gdybym go poinformowała o planach importowania masła z mleka samic jaków i poprosiła o pieniądze na podróż do Nepalu, do producenta tego masła, potrząsnąłby tylko głową z niedowierzaniem i wypisał czek. Chyba najlepiej określe jego charakter, mówiąc, że jest po domowemu poczciwy. Ze wstydem muszę więc przyznać, że wszystkie moje negatywne odczucia do niego mają źródło we mnie samej.

Dlaczego więc? Co jest nie tak? Nie jestem pewna. Spróbujmy spojrzeć na to z jego perspektywy, myślę, i powoli idę do kuchni. Co wnoszę do związku?

Jestem wierna. Choć w ciągu spędzonych razem lat odbierałam sygnały od rozmaitych mężczyzn i muszę przyznać, że czasem flirtowałam, nigdy mnie nie kusił pełnowymiarowy romans. Używam kremów i kolorowych kosmetyków, jeżdżę na rowerze treningowym, więc nadal mam dobrą figurę. Choć nasze życie intymne znacznie zwolniło - nikt nie wytrzymałby tempa z początkowego okresu! - nigdy nie okazałam niezadowolenia w tej sprawie, a przynajmniej nie wprost.

Przynoszę do domu trochę pieniędzy. Prowadzę dom tak, jak lubi mój mąż: o dowolnej porze dnia i nocy Bob Armstrong może zaprosić klienta na drinka, i żadna poduszka nie będzie wgnieciona, a żadnej płytce na podłodze nie zabraknie połysku.

Siadam przy na wpół posprzątanym kuchennym stole. Jemy tu, kiedy nie mamy gości - ciotka Louise nie zalicza się do nich - czyli w ostatnim czasie dość często. Ze względu na

nagonkę na prowadzenie auta po alkoholu koledzy i przyjaciele Boba niechętnie przyjeżdżają ze stolicy, a poza tym, ponieważ wiecie nam się teraz dość dobrze, chodzenie do restauracji nie stanowi problemu. No i kto teraz ma czas przygotowywać wielodaniowe, wyszukane posiłki?

Pochyliam się, aby poklepać starego cierpliwego Jeffreya, którego jasny łeb wystaje spod stołu, więc nie da się nie zauważyć błagalnego psiego wzroku.

- Nie zapomniałam o tobie, skarbie. Dam ci obiadek za chwilę, dobrze?

Kiedy się prostuję, mój wzrok pada na stary durszlak przywieziony z Whitecliff. Szorowałam go, aż w końcu udało mi się całkiem zniszczyć myjkę, lecz on uparcie nie chciał lśnić, i teraz siedzi niczym przykucnięty, pełen wyrzutów mały dinozaur na blacie pośrodku kuchni, pod wokami, wiązkami czosnku, pękami suszonych ziół i lawendy, które powiesiłam na „wiktoriańskiej” suszarce do bielizny.

Durszlak jest wrzodem na perfekcyjnej czystości kuchni. Przenoszę z niego wzrok na płyty nad zlewem wykonane ze stali nierdzewnej, na lodówkę z zamrażarką, która niemal potrafi mówić, i zlewozmywak - nowoczesną, gorszą kopię zlewu z Whitecliff. Czy to nie śmieszne, że współcześnie im jesteśmy bogatsi, tym bardziej małpujemy skromną przeszłość?

Dlaczego od razu nie wyrzucę tego durszlaka? Robię już krok w jego stronę, gdy nagle, całkiem nedorzecznie czuję, że nienawidzę perfekcji. Chcę nieporządku, miejsca, gdzie bez znaczenia jest ciężar sztućców i wyszczerbione talerze. Mój dom, myślę, stojąc obok kompletu półmisek Wedgwooda umieszczonych w oszklonej szafce, jest metaforą naszego małżeństwa: błyszczący, atrakcyjny, przyjazny dla użytkowników, ale pusty w środku, prawdopodobnie z braku dzieci.

To jedynie uwaga, nie powód do zmartwienia. To nigdy nie było naszym problemem, nie było również strasznym współczesnym zjawiskiem, wyborem stylu życia. Chcielibyśmy mieć dzieci, oczekiwaliśmy ich i z całą pewnością bylibyśmy bardzo szczęśliwi, że je mamy. Ale kiedy w ciągu kilku lat nic się nie wydarzyło, w końcu zaakceptowaliśmy tę sytuację. Być może, biorąc pod uwagę książki i artykuły o kobietach, które poruszyły niebo i ziemię, aby tylko zająć w ciąży, nasza akceptacja postrzegana była jako nienaturalna, nawet zimna. Wcale tak nie jest, lecz jeśli inni tak sądzą, niech będzie.

- Cholera! - rzucam w kierunku swoich stóp. Mam dość tego zapatrzania we własny

pepek.

- Chodź, Jeffrey! Chcesz obiad?

Idzie tuż za mną. Napelniam mu miskę mieszanką suchej karmy i resztek steku z obiadu. Bob i Jeffrey uwielbiają steki, jemy je przynajmniej trzy razy w tygodniu.

Pies pożera jedzenie, a ja w tym czasie opróżniam drugą miskę z wody i nalewam świeżej. Powinam sprawdzić kurki przy zlewie w Whitecliff. Powinam zapytać tamtego mężczyznę, czy dom jest podłączony do wodociągu - ale to raczej nie będzie stanowić problemu w związku z planami zagospodarowania tego terenu...

Stawiam drugą miskę na podłodze i opieram się o zlew, aby popatrzeć, jak pies cieszy się jedzeniem. Długowłosa, na krótkich łapach, wśród przodków ma zapewne teriery pszeniczne - i z całą pewnością daleko mu do ideału. Mogłabym się jednak od niego uczyć radości życia i zazdrościć mu nieskomplikowanej egzystencji. Jeść. Spacer. Spać. Jeść. Spać. Spacer. Jeffrey okazuje zachwyty za każdym razem, gdy któreś z nas bierze do ręki smycz, choć zwykle jest rozsądnym i niewymagającym domownikiem. Cieszy się również, gdy wracamy do domu, rzucamy piłkę lub otwieramy tylne drzwi, by mógł pogonić za kotami i ptakami. Dla niego początek każdego dnia to prawdziwe święto, pełne nowych możliwości w najgorszym razie wspaniałego jedzenia, spania, picia i spacerów - a także miłości.

On nas kocha. Bez względu na to, czy my go kochamy czy nie, kocha nas tak samo. Łzy same cisną mi się do oczu. Dobry Boże! Płakać z powodu psa! Zostawiam Jeffreya z jedzeniem i idę do naszej sypialni, gdzie łóżko jest jak zwykle idealnie zaścielone, szafy zrobione zostały na zamówienie, a słoiczki i buteleczki na toaletce poustawiane są według wielkości. Wyjmuję z szufladki szczotkę i gapiąc się przez swoje odbicie na to, co być może znajduje się za nim, zaczynam energicznie szczotkować włosy.

Co jest po drugiej stronie? To samo? Te same radosne uśmiechy, z którymi w imieniu OHPC namawiam klientów do sprzedaży lub kupna nieruchomości? Steki na obiad i niedzielne spacerki z Bobem i Jeffreyem? Wypadki z całą paczką do pubów i modnych restauracji w Dublinie?

Za bardzo polegam na mężu. Potrzebuję przyjaciółki lub przyjaciela.

W wieku dwudziestu jeden lat przeszłam spod skrzydeł taty pod opiekę Boba i jednocześnie zaniedbałam wszystkie przyjaźnie zawarte w szkole i college'u, choć już wówczas, mimo rozpaczki i paniki, miałam świadomość, że to może być niebezpieczne. Z upływem

czasu wmówiłam sobie jednak, że wszystko w porządku - w końcu przecież miałam miły dom i przystojnego męża. który z kolei miał przystojnych przyjaciół z dobrze dobranymi żonami i dziewczynami.

Przestaję szcztokować włosy i obserwuję swoje odbicie. Kto spośród tych wszystkich dziewcząt i chłopców obecnych na moich dwudziestych pierwszych urodzinach rzeczywiście próbował nawiązać ze mną kontakt po pogrzebie taty? Nikt, brzmi przykra odpowiedź. Lecz z drugiej strony, czy ja podjęłam jakieś wysiłki? Czy zwróciłam się do kogoś z nich z prośbą o pomoc?

Nie.

Zanim zdążyłam się pozbierać po tej stracie, co dodatkowo skomplikowały kwestie prawne związane z pieniędzmi i Pamelą, byłam już mężatką i mieszkałam daleko od Dublina. Mam mgliste wspomnienia, że na początku czasem dzwonił telefon i ktoś ostrożnie pytał, jak sobie radzę. Zawsze odpowiadałam (radośnie), że dobrze, i zawsze kończyliśmy rozmowę obietnicą spotkania i utrzymywania kontaktu. Wiedziałam, że nigdy do tego nie dojdzie, i w ciągu dwóch lat od owych nieszczęsnych urodzin telefony się urwały, a ja w relacjach społecznych stałam się jedynie uzupełnieniem Boba.

Miałam już nowy lśniący dom i bardzo aktywne życie seksualne, przyszła więc kolej na integrację z miejscową społecznością. Bob był przecież całymi dniami w pracy, i choć ja nadal uwielbiałam uprawiać seks, on wieczorem często - co zresztą zrozumiałe - czuł się zbyt zmęczony. Na początek wstąpiłam do miejscowego chóru, lecz nie było tak, jak sobie wymarzyłam, choć miałam całkiem przyzwoity głos i w młodości śpiewałam w chórze szkolnym jako alt. Chciałam zostać członkiem pewnej grupy i zyskać choćby minimum kontaktów społecznych. Szybko miałam jednak dość ukrytych walk o władzę, które dostrzegłam pomiędzy niedoszłymi przywódcami, i po cichu zrezygnowałam.

Potem wstąpiłam do stowarzyszenia dobroczynnego - podwieczorki dla chorych na alzheimera, poranna kawa w hospicjach, zabawy taneczne i konkursy w pubach na rzecz wysłania dzieci z białaczką do Disneylandu, opieka nad chorymi na raka i zaćmę - zbierałam na wszystkie możliwe cele. Po siedmiu czy ośmiu latach, gdy odkryłam jednak, że to także mi nie wystarcza, pewnego dnia w miejscowym sklepie spożywczym na tablicy ogłoszeń znalazłam napisane odręcznie ogłoszenie:

Poszukiwany asystent/-ka dyrektora lokalnej firmy.

Wymagane prawo jazdy.

Doświadczenie w zakresie prac biurowych mile widziane, ale nie niezbędne, gdyż przewidziane jest szkolenie.

Pod wpływem impulsu zadzwoniłam pod podany numer i tak poznałam Tommy'ego O'Hare.

Nasza (Boba) grupa wspólnie świętuje urodziny. Zapraszamy się nawzajem na parapetówki i przyjęcia z okazji pierwszej komunii dzieci. My, kobiety, akceptujemy turnieje golfowe naszych mężczyzn na południu Hiszpanii i w Miami. Od czasu do czasu organizujemy wyłącznie babskie wypadki do rozmaitych kurortów i wycieczki do Avoca Handweavers w Wicklow, gdzie jemy lunch i oglądamy bajecznie kolorowe kilimy oraz koce, dziwaczne sprzęty domowe i niemal przezroczyste sukienki. Skrzeczemy, przepełnione jednocześnie winą i buntem: „do diabła z nimi”, i korzystamy z naszych zapasowych kart kredytowych, przysięgając przy tym, że musimy to robić znacznie częściej.

Nie jesteśmy jednak zaprzyjaźnione. Nie wiemy o sobie nic na temat spraw, o których zazwyczaj wiedzą przyjaciółki. Najlepszym dowodem jest fakt, że wiadomość o separacji jakiejś pary w naszej grupie okazuje się zawsze szokiem. Szybko nam jednak przechodzi i bez trudu witamy owego mężczyznę i jego nową kobietę (zawsze zostaje z nami właśnie mężczyzna), którą należy zaakceptować możliwie szybko, aby zaszyć nacięcie na naszym grupowym podbrzuszu.

Z dołu dobiega triumfalny wrzask:

- Tak, tak, tak!

To drużyna Boba strzeliła gola. Kiedy odkładam szczotkę na miejsce, kieruję wzrok na pożółkłą kopertę zawierającą zdjęcia mojej mamy z college'u. Gapię się na nią przez chwilę, aż w końcu drżącymi rękami wydaję cztery niewielkie fotki. Mama przechodzi przez most O'Connell, trzymając beret, by nie pofrunął. Stoi z trzema innymi dziewczętami przed jakimś ceglany budynkiem w Dublinie. Siedzi na krześle z otwartą książką na kolanach. Na zdjęciu, któremu chcę się przyjrzeć, mama na przyjęciu flirtuje przez ramię z aparatem. Jako córka zamożnego właściciela sklepu spożywczego bądź rolnika (nigdy nie wyobrażałam sobie, by tata mógł poślubić kogoś z biedniejszej rodziny niż jego własna), praw-

dopodobnie bywała na przyjęciach w całej Irlandii. Na tym zdjęciu stoi przy kominku - widać jeden koniec gzymsu, uniesiony niczym ramię egzotycznej tancerki. Jeśli jest jeszcze jeden taki kominek, zjem rolodex Tommy'ego.

Moja mama była zaproszona do Whitecliff. Moja rodzina miała jakieś powiązania z tym domem. Wcale nie zważam na to, że mogły być to relacje tak nikle jak udział w przyjęciu - tak czy inaczej była tam zapewne więcej niż raz, a to, że zachowało się tylko jedno zdjęcie, nie ma znaczenia. Aparaty fotograficzne nie były wówczas tak powszechne jak teraz...

Z całą pewnością czuję, że ten dom mnie woła.

Dobry Boże, na stare lata robię się przesądna - ale co mi tam. Muszę koniecznie jak najszybciej porozmawiać z tym właścicielem w północnej Irlandii - nawet jeśli sam nie pamięta mojej mamy, może naprowadzi mnie na właściwy ślad, na kogoś, kto też był na tamtym przyjęciu i może ją pamiętać. Starsi ludzie często nie przypominają sobie ostatnich wydarzeń, lecz z upływem lat coraz lepiej pamiętają odległe czasy. Czyż nie jest właśnie tak?

Kolejny ryk z salonu. Kolejny gol dla drużyny Boba. Teraz jest dobry czas, aby go przyprzeć do muru, nie tylko dlatego, że jego drużyna wygrywa. Właśnie odebrał wyniki za pierwszy kwartał, a i w drugim idzie mu dotychczas całkiem nieźle. Ma szansę na premię półroczną. Wsuwam zdjęcie do kieszeni portfela, a pozostałe z powrotem do koperty i zbiegam po schodach. Zmuszam się do przyhamowania przed wejściem do salonu. Nie chcę przestraszyć Boba.

Rozciągnął się na sofie i gdy ryczący telewizor wydaje teraz ów denerwujący gwizd, który informuje o natychmiastowej powtórce, mój mąż przerzuca strony sportowe w „Irish Timesie”.

Siadam obok niego, drżąc z podniecenia.

- Czy bardzo cię to wciągnęło?

Zaskoczony podnosi głowę.

- Wiesz przecież, że tak. A co?

- Chcę cię o coś zapytać.

- Uhhhh! I chyba wcale mi się to nie spodoba, co?

Jego uwagę przykuwa jednak kolejna fala krzyków komentatora.

- Przepraszam - mówi, kiedy wrzaski stają się odrobinę cichsze. - O co mnie chciałaś

spytać?

- Mam poczekać do końca meczu?

Jęczy.

- Nie rób mi tego, Cee. Wiesz, że tego nie lubię.

- Dobrze. Chcę, żebyś mnie posłuchał przez pięć minut. Tylko pięć minut. Potem będziesz zadawał pytania, dobrze?

Patrzy na zegarek, ale się nie obrażam, bo widzę skupienie na twarzy Boba.

- Bardzo lubisz ten dom? - rzucam pośpiesznie.

- O Boże. Więc o to chodzi. Czy mieszkałbym tu, gdybym go nie lubił?

Macha ręką, obejmując gestem cały nasz dobytek, w domu i poza nim; skórzaną kanapę, plazmowy telewizor, stół do kawy wykonany w Niemczech z jednego kawałka piaskowanego szkła, wybrukowany podjazd na zewnątrz stanowiący komplet z czarnym be-
emerem.

- Sporo to wszystko kosztowało.

- Możemy tu mieszkać z różnych powodów. Dom jest uroczy, lecz pod pewnymi względami niewygodny. Nie przyjeżdża tu nikt z naszych przyjaciół. Wymigują się zawsze, gdy ich zapraszamy. Nie docierają tu autobusy ani pociągi. Ale tobie to nie przeszkadza, gdyż przeprowadzka jest zbyt dużym problemem.

- Czy to znów pora wicia gniazda? Kiedy ci minie tym razem?

- Jestem śmiertelnie poważna, Bob. Wiosna nie ma tu nic do rzeczy.

- Poprzednie dwa razy mówiłaś równie poważnie, Cee. Czy moglibyśmy to przedyskutować w sobotę czy niedzielę? Tymczasem odpowiem na twoje pytanie - lubię ten dom. I przeprowadzka jest rzeczywiście zbyt dużym problemem.

Kiwa z pobłażaniem głową i przenosi wzrok na telewizor, gdzie wszystko najwyraźniej jest jak trzeba. Potem wraca do sportu w gazecie.

Muszę przyznać, że Bob ma trochę racji w kwestii wicia gniazda. Choć nie ma to nic wspólnego z moją pracą, co roku w styczniu, a najpóźniej lutym zaczynam przeglądać czasopisma poświęcone aranżacji wnętrz i dodatki o nieruchomościach tak, jak kobiety zwykle czytają czasopisma z modą i plotkami. Dwukrotnie posunęłam się już do opłacenia ekspertyz architektonicznych i konstrukcyjnych, a potem zgłosiłam swój udział w dwóch aukcjach, lecz w obu wypadkach zrezygnowałam na ostatnim etapie. Bob znosił to spokojnie, ponie-

waż odkrył, że działał według określonego wzoru; ma wszelkie prawo nie traktować mnie poważnie. Lecz nie tym razem.

- Chciałabym, żebyś posłuchał. - Wpycham się obok niego na kanapę i odsuwam gazetę. - Tym razem jest inaczej.

- Za każdym razem jest inaczej - jęczy ponownie. - To coroczny rytuał. Wydawało mi się, że uwielbiasz ten dom, Cee.

- Bo kiedyś tak było. I nadal jest. Nie zapominaj jednak, że traktowaliśmy go także jako inwestycję. Na moje oko, i nos Tommy'ego również, jest wart przynajmniej dwadzieścia razy tyle co w momencie zakupu. Może nawet więcej.

- To normalna kolej rzeczy, Cee. Wszystko inne również podrożało.

- Ale nie miejsce, które mam na myśli. Prosiłam o pięć minut dla siebie. Jeszcze nie minęło. I mogę to przyciszyć? - Zerkam na ekran. - Ten mecz będzie trwał jeszcze pół godziny, a twoja drużyna ciągle prowadzi.

- Z całą pewnością świetnie potrafisz wybrać właściwą porę. Dobrze. - Ponownie zerkam na zegarek, lecz bez przekonania.

Biorę pilota i ściszam telewizor, a potem najszybciej i najzwieżlej, jak potrafię, opowiadam mu o domu. Przedstawiam podejrzenia związane z pleśnią, dachem, koniecznością ocieplenia i wymiany okien, jeżynami i wszystkim innym. Wykorzystuję swoje doświadczenie zawodowe.

- Bob, nie mam ochoty przez resztę życia biegać po wsiach dla Tommy'ego O'Hare. To może być wspaniała okazja. Tommy zainteresuje się ziemią, mogę się założyć. Wspominał o hoteliku, lecz kiedy zobaczy, w jakim stanie jest ten dom, natychmiast każe go zburzyć. Nie interesują go szczegóły. Mnie za to tak. Ten budynek to bez wątpienia wrak, ale właśnie dlatego sprzedadzą nam go tanio. Można z nim będzie zrobić świetne rzeczy.

- Ile będzie kosztował remont? - Patrzy prosto przed siebie.

- Milion, może półtora. Powinno wystarczyć.

- Półtora miliona? - To go przywraca do rzeczywistości. Brwi podskoczyły mu niemal pod włosy. - Plus koszt zakupu? Cee, czy ty oszalałaś?

- Całkiem zwyczajna połówka bliźniaka w Dublinie kosztuje często półtora miliona albo i więcej. - Nie daję za wygraną. - Tyle dostaniemy bez trudu za ten dom. Jedźmy obejrzeć Whitecliff. Proszę.

- Whitecliff? - pyta z oburzeniem. - To o nim mówisz? To kompletna ruina.

- Tak wygląda i chyba tak jest. Ale można go odremontować. Ręczę za to głową. Sama konstrukcja jest w porządku - albo prawie. Tam jest siedem sypialni. Musisz zobaczyć kominek w salonie. Sześć okien wykuszowych na parterze, Bob. Wspaniała galeria dla muzyków, zdolna pomieścić orkiestrę symfoniczną. Pomyśl tylko o przyjęciach, które można by tam urządzać.

- Poczekaj chwilę. Czy ty już widziałaś tą norę? Po co mi o tym mówisz? - Zaczyna się wściekać. - Nie ta skala. Mówisz o zbyt dużych...

- I jest bliżej Dublina niż nasz obecny dom - przerywam mu. - Do stacji kolejowej mielibyśmy tylko trzy kilometry.

- Oh, Claudine - Bob używa mojego pełnego imienia, to znak, że jest przerażony - właśnie teraz, kiedy wszystko zaczęło się tak dobrze układać.

- Masz swoją pracę i ciągle stanowi dla ciebie wyzwanie - naciskam wytrwale. - Ale ja potrzebuję czegoś więcej niż pośredniczenie między parą ludzi, którzy targują się o tysiąc albo nawet paręset funtów, kupując lub sprzedając maleńki domek w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Może uda mi się otworzyć niewielki hotel - wymyślam na poczekaniu - jeden z tych luksusowych pensjonatów w wiejskich domach...

- Luksusowy pensjonat? A cóż ty wiesz o hotelarstwie?

- A co wiedziałam o handlu nieruchomościami, zanim zaczęłam pracować w OHPC? Bob, proszę. Naprawdę chciałabym, żebyś się nad tym zastanowił. Czy kiedykolwiek prosiłam, żebyś coś dla mnie zrobił? Coś prawdziwego?

- A te poprzednie dwa domy, do których byłaś całkowicie przekonana, ale nawet nie przystąpiłaś do licytacji?

- Masz rację. Masz prawo tak mówić. Ale powtarzam ci, Whitecliff to co innego.

Nie jestem pewna, czy chcę powiedzieć mu o tym ostatnim elemencie, lecz decyduję się to zrobić.

- On... on do mnie przemówił, Bob. - Opowiadam mężowi o zdjęciu mojej mamy przy kominku. - Wiem, że nie jestem przesadna i ty też z pewnością nie, ale proszę, spróbuj zrozumieć, dlaczego czuję, że to dom dla nas.

Rozpaczliwym wzrokiem zerka najpierw na mnie, a potem przez okno na beemera. Na wypielegnowany trawnik - sama zieleń! - bukowy żywopłot, ogrodzenie owalne kwietniki,

na których latarnie słoneczne, niczym czarodziejskie lampy, zaczynają radośnie rozbłyskiwać o zmierzchu.

- Rozumiem, że porusza cię wszystko, co ma związek z twoją rodziną. Ale ona tam była tylko na przyjęciu.

- Tata też mógł tam być.

Nagle dotarło do mnie, że to mógł być powód zdenerwowania mojego taty. Może na tamtym przyjęciu coś się wydarzyło. Może rodzice mojej mamy go wyrzucili albo coś w tym stylu.

Bob gapi się przed siebie.

- I co z tego? Byli tam na przyjęciu. Zdecydowałaś się na ten dom po jednej wizycie? Po kilku minutach spędzonych na tym pobojuwisku?

Popełnił błąd. Wkroczył na mój teren.

- Decydowanie się na jakiś dom w tak krótkim czasie to nic niezwykłego. Naukowcy udowodnili, że decyzje o kupnie domu podejmowane są w ciągu czternastu czy siedemnastu sekund po przekroczeniu jego progu. Czy coś takiego. W każdym razie mniej niż minutę. Dlatego właśnie prosimy sprzedających o napalenie w kominku, zapalenie świec, zaparzenie kawy i upieczenie chleba. Chcemy działać na wszystkie zmysły. Usiłujemy przekonać klientów, że kupują nie tylko dom, lecz styl życia, coś nieuchwytnego, obietnicę szczęścia. Wiem, że tamto miejsce jest właśnie dla mnie, bez podpowiedzi i przedstawień. Znam Whitecliff. Znam ten dom podświadomie.

Patrzy na mnie oszołomionym wzrokiem.

- Jest jeszcze jedna rzecz. - Idę na całość. - Jest jeszcze ten facet, którego będziemy musieli przyjąć. Możemy mu zbudować jakiś niewielki domek albo coś w tym stylu. Nie jest za bardzo udomowiony, ale chyba go podziwiam. Nie mogę go wyrzucić.

- Jaki facet? - pyta słabym głosem Bob.

- Ktoś w rodzaju dzikiego lokatora. Mieszka na dworze wśród jeżyn.

Bob klepie się dłonią w kolano i wybucha niepowstrzymanym śmiechem. Nawet w moich uszach ta ostatnia informacja zabrzmiała dość wariacko. A nie wspomniałam przecież o wyrabanych schodach. Również wybucham śmiechem.

Siadam obok męża i wspólnie oglądamy mecz. Jak długo potrafimy się jeszcze wspólnie śmiać, myślę...

I jesteśmy chyba w dobrych humorach, bo nie przeszkadza nam, że w telewizji przeciwna drużyna strzela gola.

14

Wysoka Nellie

Po ogłoszeniu przez mamę nowiny w Whitecliff zapanowały zamieszanie i zgiełk. Dom był nie tylko pełen ożywienia, ale także niezwykle u nas radości, i nawet tata dał się złapać w sidła przygotowań do przyjęcia. Poprosił swych dostawców i klientów o pomoc, dzięki czemu zdobył nie tylko trochę białej mąki, ale także herbatę, prawdziwy węgiel do kominka w salonie i dwie niezwykle cenne tabliczki czekolady.

Mąka właściwie mogła wystarczyć tylko na chleb, nadal więc pozostawał problem tortu. Nawet tata nie był w stanie zdobyć wystarczającej ilości mąki, nie mówiąc już o suszonych owocach i cukrze. Niania zaproponowała rozwiązanie: przyjaciółka jej przyjaciółki, mieszkająca w Droghedzie, potrafi robić i dekorować torty z tektury tak, że wyglądają zupełnie jak prawdziwe.

- Potrzeba matką wynalazku, proszę pani - powiedziała do mamy. - Nikt nie pozna, że nie jest prawdziwy, dopóki nie spróbuje go zjeść, rzecz jasna. W tych ciężkich czasach wszyscy tak robią.

- Myślę, że wszyscy zrozumieją.

Mama usiłowała zachować spokój, lecz martwiła się innymi ograniczeniami. Na przykład tym, że okna należało zasłaniać o wpół do siódmej, nasze przyjęcie musiało się więc zacząć o piątej, aby jak najlepiej wykorzystać światło dzienne.

Odniosłam wrażenie, że zdaniem mojej mamy prawdziwe przyjęcie powinno trwać całą noc przy blasku żyrandoli. Bez wątplenia ubarwiłam to trochę - odkąd stałam się kobietą, widziałam wszystko w różowym świetle.

- Będziemy mieli dużo światła, mamó - powiedziałam łagodnie do mamy. - Mamymnóstwo lamp i łożowych świec.

Nie uspokoiło jej to jednak.

- Nienawidzę tej strasznej wojny. Jak długo jeszcze będziemy musieli to znosić? Mam dość wymyślania różnych rzeczy i radzenia sobie.

Niania z radością zgodziła się pomóc mamie i zamieszkała „na tymczasem” z nami, aby uniknąć konieczności codziennego jeżdżenia z wioski do nas i z powrotem.

Tak właśnie się wyraziła - „na tymczasem”. Rozbawiło mnie to tak samo, jak fakt, że działania zwane przez angielskiego „Timesa” wojną, w irlandzkich gazetach określane były mianem sytuacji krytycznej. Wszystko wydawało mi się nie tylko różowe i romantyczne, lecz także śmieszne, a kiedy siedziałam w swoim pokoju, często zaczynałam chichotać bez wyraźnego powodu.

Z upływem dni jednakże moje podniecenie opadło pod wpływem frustracji. Podczas pobytu niani w naszym domu zdołaliśmy się z Coleyem spotkać jedynie raz i to tylko na chwilę, ponieważ od dnia ogłoszenia nowiny Johanna i ja zostałyśmy oddelegowane do przygotowania domu na przyjazd braci i przyjęcie. Pracowałyśmy nawet w niedzielę, myjąc dzbany na wodę i szorując wanny, wytrzepałyśmy wszystkie kilimy i kapy w domu, wyniosłyśmy pościel na powietrze. Odkurzyłyśmy ramy obrazów i nogi krzeseł, wypolerowałyśmy stoły, zamiotłyśmy sypialnię, przetrząsnęłyśmy i wywietrzyłyśmy puchowe materace, a także zmieniłyśmy pościel. Cały dzień spędziłyśmy na czyszczeniu parkietu w salonie i jadalni, a kiedy oznajmiłyśmy zakończenie prac, dano nam puszki pasty Cardinal i kazano wypolerować kamienne płytki na ganku. Kiedy kończyłyśmy jedno zadanie, mama znajdowała trzy nowe. Mycie i polerowanie płytek w holu odkładałyśmy na potem, ponieważ hol był bardzo duży i zajęłoby nam to prawdopodobnie cały dzień.

Co więcej, poza momentami tuż przed snem nie miałam właściwie okazji zamknąć się w swoim pokoju i marzyć o Coleyu, gdyż po całodniowej ciężkiej pracy i zatonięciu okien musiałam się trudzić nad elementami kapy. Oszczędzaliśmy także parafinę, by mieć jej jak najwięcej na przyjęcie, więc mama zszywała samą kapę rozciągniętą na dość dobrze oświetlonym stole, lecz my z Johanną musiałyśmy siedzieć blisko siebie w kręgu bladego płomienia małej lampki. Ciągłe zasłaniałyśmy sobie nawzajem światło, i kiedy pozwalano nam wreszcie iść do swoich pokoi, widziałam podwójnie.

Nienawidziłam tej pracy. Nienawidziłam też ciszy panującej wieczorami, przerywanej jedynie tykaniem zegara lub kaszlem. Tata chciał chronić nas przed wieściami o wojnie, a BBC i stacja irlandzka nadawały jedynie odrobinę muzyki z Athlone. Wydawała mi się ona

poważna i staroświecka, lecz z radością słuchałabym nawet tego. Mama jednak upierała się, że do szycia musi mieć absolutny spokój, i zabroniła włączać radio, więc za każdym razem, gdy wbijałam igłę w materiał lub pochylałam się bliżej światła, by ją nawlec, przyrzekałam sobie, że w przyszłym roku znajdę jakiś sposób na wymiganie się od tej męczącej pracy.

Nie wypowiedziałam nawet słowa skargi, a przez cały ten czas podtrzymywała mnie na duchu świadomość, że po dalszym marudzeniu rodzice zgodzili się na zaproszenie przyjaciół moich i Johanny na przyjęcie urodzinowe Samuela młodszego.

W poniedziałek rano, po wyprawie do Loughshinny gdy do przyjęcia zostało pięć dni, byłam bardzo zdenerwowana. Johanna na górze wypisywała zaproszenia, które miały zostać wysłane po południu. Mama zatelefonowała do sklepu papierniczego Hely's po karty ze złocnymi brzegami, lecz ponieważ nie było czasu na wydrukowanie tekstu, mojej siostrze powierzono to ważne zajęcie ze względu na przepiękny charakter pisma. Moje uznano za niestaranne.

Zostałam odesłana do kuchni, gdzie miałam polerować srebra pod okiem mamy i niani, które sortowały obrusy i lniane serwetki do prania. Było mi źle, nie tylko z powodu wyczerpującej i nieprzyjemnej pracy, lecz także dlatego, że pomieszczenie całkowicie wypełniała para z kotłów stojących na piecu. Pasma włosów kleiły mi się do policzków, ubranie miałam mokre od potu. Nawet trudno mi było oddychać.

Potem mama poszła do spiżarni i stwierdziła, że nie mamy wystarczająco dużo mąki ziemniaczanej.

- Roderick wyszedł już do sklepu - stwierdziła marszcząc brwi. - Chcę to dziś skończyć. Tak dobrze by wyszło na powietrzu.

Serwetki musiały być sztywne, z kantami tak ostrym jak ostrze noża.

Odłożyłam łopatkę do ryb, którą się właśnie zajmowałam.

- Pójdę na wieś, mamó.

- Jak się tam dostaniesz?

- Pieszko, jak zwykle.

- Nie. - Mama była niezwykle stanowcza. - Znając ciebie, Violet, będziesz się guzdrać i zajmie ci to za dużo czasu. Lepiej rób to, co robisz. - Zwróciła się ponownie do niani. - Możemy uprać to teraz, nianiu, a kiedy Roderick wróci wieczorem, wyślę go po mąkę. Dodam jej sama do kolejnego płukania dziś wieczór. Musimy zaryzykować, że jutro też będzie

pięknie.

- A może wezmę rower niani? - Nie miałam zamiaru się poddać.

Choć niania zbliżała się do siedemdziesiątki, nadal wszędzie jeździła na rowerze, zwanym przez nią Wysoką Nellie. Był czarny i surowy, z wygiętym widelcem, niemal kwadratową chromowaną kierownicą i potężnym srebrzystym dzwonkiem, który polerowała tak często, że lśnił nawet w pochmurne dni. Nauczyła mnie na nim jeździć w naszej alejce.

- Jak myślisz, nianiu? - Mama spojrzała na stertę leżących przed nią serwetek. - Chyba powinniśmy wykorzystać dzisiejsze słońce.

- Co się może stać? Niech jedzie. - Niania nie podniosła wzroku znad adamaszkowego obrusu, na którym właśnie szukała płam. - Jeśli potrzebujemy mąki, to jej potrzebujemy. Będziesz uważać na drodze, prawda, Violet?

- Tak, nianiu. Nie martw się.

Zanim zmieniły zdanie, zaczęłam zdejmować jutowy fartuch.

- I przywieź trochę niebieskiej farbki do płukania - dodała mama, kiedy zwijałam fartuch. - Sądzę, że wystarczy, ale nie chciałabym, żeby zabrakło.

- Dobrze, mamó. - W jednej chwili byłam przy tylnych drzwiach. Niania zawsze zostawiała rower przy ścianie, pod skrzynią na mięso.

Już kiedy jechałam wokół domu, wiedziałam, że mój plan jest zuchwały i ryzykowny, lecz jeśli miałam złapać Coleya choćby na kilka minut, nie potrafiłam wymyślić nic innego jak zajrzeć do mleczarni, gdzie pracował o tej porze dnia. A przynajmniej powinien. Podczas weekendu byłam tak skutecznie uwięziona w domu, że nie miałam możliwości iść pod nasze drzewo i sprawdzić, czy zostawił jakąś wiadomość - a nie chciałam tracić cennego czasu i jechać tam teraz.

Zanim dotarłam do końca alei, zdołałam wymyślić całą historię. Była szyta grubymi niciami - a mianowicie, ponieważ mleczarnia znajduje się po drodze do sklepu, osobiście przekażę Coleyowi zaproszenie na przyjęcie.

Tak mocno naciskałam pedały starego gruchota niani, że byłam cała czerwona, zanim jeszcze zobaczyłam mleczarnię, czyli około dwustu metrów od pierwszych domów wsi. Aby móc odpocząć i odzyskać oddech - a także mieć poparcie dla słów, że „właśnie tędy przejeżdżałam” w drodze do sklepu, zsiadłam z roweru i zaczęłam zbierać polne kwiaty na zarosniętym poboczu.

Zbierałam zarówno pierwiosnki, jak i jakieś płaskie fioletowe kwiatki, których nie potrafiłam nazwać. Tego ranka moje zmysły były równie przegrzane jak ciało i do dziś pamiętam odległy, absurdalny ryk osła, odgłos łamanych łądyżek kwiatków, przytłumiony szczebiot ptaków na polach i pośród krzewów. I jeszcze zapachy: ziemi, zgniecionej trawy i krowich placków. Zanim spotkałam Coleya Quinna, nie zwracałam uwagi na owe dźwięki ani zapachy.

Włożyłam bukiet do koszyka przymocowanego do kierownicy i modląc się żarliwie, by Coley był w pracy, poprowadziłam rower w kierunku wsi, usiłując zachowywać się całkiem zwyczajnie. Serce tłukło mi się w piersiach i to nie tylko na myśl, że zobaczę ukochanego. Przyszłam tu tak śmiało, że tata może się o tym dowiedzieć. Świadomość tę przyćmiewała jednak przemożna lekkomyślność towarzysząca zakochaniu i szczerze wierzyłam, iż moja brawura nie będzie ukarana.

Kiedy dotarłam do szerokiego betonowego podjazdu mleczarni, pośród zajętych rozmową i palących papierosy rolników, którzy przyjechali z mlekiem, zauważyłam dwóch znanych mi z nazwiska. Byli klientami Sklepów Wielobranżowych Rathlinney (pewnie jak większość, jeśli nie wszyscy pozostali).

- Dzień dobry, Marcusie. Dzień dobry, Barney! - zawołałam i kiedy unieśli czapki, odpowiadając na pozdrowienie, zwolniłam kroku, a potem zatrzymałam się, jakby coś mi się nagle przypomniało. - Czy jest tu gdzieś Coley Quinn? Idę do sklepu, ale jeśli gdzieś tu się kręci, mam dla niego wiadomość od moich rodziców. Jaka piękna dziś pogoda, prawda?

- Tak, dzięki Bogu, mamy naprawdę piękny dzień, panno Shine - odparł mężczyzna zwany Bareyem. - Coley jest tam.

Wyciągnął rękę w kierunku szopy stojącej przy mleczarni. Kiedy spojrzałam w tamtą stronę, ujrzałam mojego ukochanego pogrążonego w rozmowie z innym pracownikiem mleczarni. Wspólnie przeglądali książkę wpływów.

Wszelkie rozmowy i żarty umilkły, gdy wszyscy mężczyźni skierowali na mnie wzrok. Pchałam rower niani w kierunku szopy, a wolne koło furkotało nadzwyczaj głośno. Coley musiał się zorientować, że zaszło coś niezwykłego, i odwrócił się ku mnie, zanim do niego podeszłam. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia, lecz tylko na chwilę, po czym z zimną krwią, której mogłam mu jedynie zazdrościć, przeprosił swego rozmówcę i zbliżył się do mnie.

- Dzień dobry, panno Shine. Czy mogę służyć?

- Dzień dobry, Coley. - Miałam nadzieję, że tamten mężczyzna, obserwujący mnie równie bacznie jak pozostali, moje płonące policzki zrzuci na karb jazdy na rowerze w pełnym słońcu. Bardzo głośno powiedziałam:

- Możemy porozmawiać? Mam dla ciebie wiadomość z Whitecliff.

- Oczywiście. Pomogę panience.

Wziął ode mnie rower niani i poprowadził go za róg budynku.

Kiedy tylko zniknęliśmy z pola widzenia, Coley zwrócił się do mnie z płonącymi oczami.

- Violet.

Wyciągnął ręce i wziąłby mnie w ramiona, gdybym go nie powstrzymała.

- Przestań! Nie rób tego!

Odwaga mnie opuściła. Takie jawne ukrycie się przed wzrokiem gapiów było szaleństwem i bez trudu mogłam wyobrazić sobie wymieniane przez nich spojrzenia. Planowałam tylko zapytać, czy uda mu się wyjść na chwilę z mleczarni.

- To był błąd - wybełkotałam. - Ale naprawdę mam dla ciebie wiadomość...

Szybko poinformowałam go o zaproszeniu na przyjęcie.

- I przyprowadź ze sobą, proszę, jedną z sióstr. Po tych słowach zaczęłam się wycofywać.

- Poczekaj, Violet, poczekaj! Chcesz, żebym razem z siostrą przyszedł na przyjęcie w twoim domu? - Słowo „zdumienie” nie oddawało jego stanu w owej chwili.

- Dostaniesz zaproszenie pocztą. - Byłam zbyt przerażona, by zostać nawet chwilę dłużej. - Słuchaj, spróbuję zostawić ci wiadomość pod drzewem.

Pocałowałam go w pośpiechu, wyprostowałam się, wzięłam rower i wyprowadziłam go zza szopy.

Coley miał dość przytomności umysłu, by natychmiast iść w moje ślady.

- Proszę podziękować rodzicom, panno Shine. Kiedy to będzie? - zawołał, gdy na oczach zafascynowanej widowni wsiadałam na Wysoką Nellie.

- W przyszły... w przyszły wtorek - odparłam łamiącym się głosem. - Przyślą zaproszenia do ciebie do domu. Pozdrów, proszę, całą swoją rodzinę ode mnie.

Usiłowałam oprzeć stopy na pedałach, lecz nie trafiłam na jeden i otarłam kostkę o

łańcuch, spróbowałam ponownie i odjechałam chwiejnie z całą godnością, jaką zdołałam z siebie wykrzesać. Osioł zaryczał ponownie, po czym usłyszałam tylko połowicznie stłumione salwy śmiechu i chichot, co jeszcze dodatkowo zaogniło moje zakłopotanie.

Krótką jazdę do sklepu wspominam jako koszmar samooskarżeń i przerażenia. Jeśli w drodze do mleczarni serce biło mi zbyt szybko, teraz chciało wyskoczyć z piersi. Było mi niedobrze i miałam zawroty głowy. W ustach czułam potworny słodkawy smak. Czy to krew? Może przygryzłam sobie język?

- Co się stało, skarbie? - Sheila, pracująca w naszym sklepie, odkąd sięgam pamięcią, podniosła głowę przestraszona, kiedy zadzwonił dzwonek i wpadłam do środka.

- Nic się nie stało - wysapałam. - Zabrakło nam mąki ziemniaczanej, to wszystko. I potrzebujemy też farbki do bielizny.

Tata, który kroił solone mięso, wytarł dłonie w rzeźniczy fartuch.

- Pogotowie mączne? - zapytał z uśmiechem.

On także poddał się panującej w Whitecliff *joie de vivre*, gdyż normalnie nie żartował. W innym czasie z radością odpowiedziałabym na tę nowość, ale nie tego dnia.

- Tak, tato, coś w tym stylu. Czekają na mój powrót.

- Proszę, Violet! - Biedna Sheila, w odpowiedzi na moją widoczną panikę, wcisnęła swe obfite kształty w kąt sklepu, gdzie stały na półkach suche towary, wzięła mąkę i farbkę, a potem właściwie rzuciła nimi w moją stronę.

- Boże, to wspaniała okazja, co?

- Tak, Sheilo. Dziękuję.

Odwróciłam się i pobiegłam z powrotem do drzwi. A potem z desperacją oznajmiłam:

- Zapomniałam ci powiedzieć, tato. Przejeżdżałam właśnie obok mleczarni i spotkałam Coleya. Zatrzymałam się, żeby mu powiedzieć, że zapraszamy go wraz z siostrą na przyjęcie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Skóra na niedźwiedziu

Nie tylko ja mam nowiny dla Tommy'ego, lecz także on dla mnie. Kiedy dzwonię do niego następnego dnia rano, na początku oznajmia mi, że dom nie figuruje na liście zabytków.

To ma swoje dobre i złe strony, zależnie od punktu widzenia. Dla mojego szefa oznacza to, że Whitecliff można usunąć z powierzchni ziemi, jeśli remont się nie opłaci. Dla mnie natomiast, że jeśli mój szef uzna ten budynek za wart nakładów, muszę działać szybko, zanim wymyśli, co z nim można zrobić.

Nie posłuchałam instrukcji i zadzwoniłam do Tommy'ego dopiero po powrocie do domu. Przed naszą rozmową chciałam wiedzieć dokładnie, jakim torem powinny iść moje własne działania.

Skontaktowałam się z nim, dopiero kiedy byłam pewna, że siedzi spokojnie na spotkaniu *cumann*.

- Zadzwonię jutro, Tom - zaświergotałam pod adresem poczty głosowej. - Przepraszam za tak późny powrót, ale nie było łatwo dostać się do Whitecliff. Udało się w końcu. Temat wymaga dyskusji. Porozmawiamy rano. Do usłyszenia!

- I co? Jak tam jest? - Jego podniecenie udziela się linii telefonicznej. - Wszłaś do domu? Ktoś cię widział?

- Nie, nikt mnie nie widział - kłamię. - To właściwie niemożliwe. Nawet przejście przez aleję prowadzącą do domu przypomina wędrówkę po amazońskiej dżungli. Mówię ci, Tom, nie było łatwo dotrzeć na miejsce, na nasze szczęście część drzew jest spróchniałych.

A potem, zanim zada kolejne pytania, opowiadam o najważniejszych moim zdaniem rzeczach: zniszczonych wnętrzach, wilgoci, fatalnym dachu, lecz staram się to robić oględnie. Nie chcę, by zdecydował się zburzyć dom, zanim go jeszcze zobaczy - a kiedy Tommy się na coś uprze, ciężko mu to wyperswadować, bez względu na fakty.

- A ziemia?

- To całkiem co innego. Wspaniałe możliwości, Tom - odpowiadam z entuzjazmem. -

Jest żyzna i sucha, ładnie pofalowana, lecz bez wyraźnie zarysowanych wzgórz. Pokryta jeżynami, paprociami i wszelką inną roślinnością.

- Ach.

Tommy nie zwraca na to uwagi, co zresztą przewidywałam. Rolnicy okresowo wypalają jeżyny w pobliżu pastwisk, aby użyźnić ziemię znajdującą się pod popiołami, lecz dla deweloperów i budowlanców chaszcze nie stanowią problemu, gdyż po prostu wjeżdża się w nie monstrualnymi maszynami i wyrywa wszystkie rośliny z korzeniami.

- À propos, poradziłaś sobie z Greenparks?

- Tak. A teraz wybieram się do ciebie. Będę za godzinę. Musimy porozmawiać.

- Ooooo! Nie złożysz chyba wypowiedzenia, co, Claudine?

- Nie, jeszcze nie odchodzę, fuksiarzu. Ale nie kuś losu.

To stały żart, chociaż jest w nim również ziarnko prawdy. Tommy się tego nieustannie obawia, a ja wiem dlaczego. Nikt inny nie wytrzymałby jego chaotycznego systemu (nie)prowadzenia ewidencji, notatek na kopertach ani tego, że upiera się przy niektórych okazjach, a całkowicie ignoruje inne. Żaden dzieciak, nawet najlepszy student z błyszczącym dyplomem w dziedzinie zarządzania nieruchomościami, tego nie ogarnie. W ciągu kilku lat wspólnej pracy ja i Tommy dopasowaliśmy się do siebie - ja potrafię przewidzieć, co zrobi, on pozwala mi pracować w dogodnym dla mnie czasie.

Tommy nigdy nie zamyka drzwi na klucz. Kiedy wchodzę, siedzi przy stoliku w wywróconej do góry nogami kuchni, w której wypchane segregatory, rolodex i prehistoryczny sumator z powyginaną rączką walczą o miejsce na blacie z czajnikiem, zastawą stołową, mikrofalówką, tosterem i puszkami jedzenia. Ponieważ przeznaczył na swoje biuro najmniejszą sypialnię w domu, nie lubi go i pracuje głównie w kuchni. Nie słyszy, jak wchodzę.

- Hej, Tom. Żona ciężko pracuje?

- Co? - Podnosi głowę.

- Nowa żona. - Wskazuję na chlupoczącą zmywarę, podłączoną co prawda, lecz ciągle ustawioną na środku kuchni, gdyż nie wepchnął jej jeszcze na przygotowane miejsce przy zlewozmywaku. Zerka na maszynę.

- Dobrze, że mnie namówiłaś, Claudie. Jest super. Siadaj.

- Przynajmniej jej używasz. - Siadam naprzeciwko niego. - Co to? - Widzę, że ślęczy

nad kupką poplamionych i niewyraźnych fotokopii.

- Ruszyłem wczoraj pewne kontakty. Wiem, do kogo należy ten majątek.

- Więc? - Wstrzymuję oddech.

- To nie żaden stary kutwa, jak ci powiedziałem, ale jakaś leciwa dama o nazwisku Collopy mieszkająca w West Cork. W informacji telefonicznej powiedziano mi, że numer jest zastrzeżony, zadzwoniłem więc do znajomego w tamtej okolicy. Najwyraźniej kopnęła w kalendarz około półtora roku temu, ale posiadłość wciąż nie została przepisana na nową właścicielkę. Wiesz, ile to trwa. Są duże zaległości. To siostra zmarłej. Pewnie również dość stara. Prawdopodobnie wszystko odziedziczyła. A może sprzedaż została powierzona wykonawcy testamentu.

- Rozumiem.

Sprzedaż za pośrednictwem wykonawcy testamentu może trwać dłuższy czas, lecz siostra zmarłej właścicielki pewnie będzie wiedziała coś o mojej matce. Tommy zerka na wymięty paragon.

- Mieszka gdzieś na Atlantyku. Mój znajomy twierdzi, że dotrzeć tam można tylko na mule, a potem łódką. - Śmieje się. - Słuchaj - dodaje - tak naprawdę nie trzeba łodzi, ale to gdzieś na wybrzeżu. - A potem proponuje to, na co sama miałam ochotę. - A może byś tam pojechała, Claudie? Udawaj, że jesteś na wakacjach. Powęsz trochę. Rozejrzyj się. Nawet jeśli to sprzedaż przez wykonawcę, nie wiadomo, co da się osiągnąć, kiedy pojedziesz i pogadasz z nią osobiście.

Myślami już jestem w samochodzie, ale nie chcę pokazać, jak bardzo mi na tym zależy.

- Tom, to duża rzecz. Może dla nas wiele znaczyć. Dlaczego nie pojedziesz sam?

- Aaa, nie. - Sprawia wrażenie przerażonego, dokładnie tak jak przewidywałam.

Dla mojego szefa wszystko poza granicami Pale to obce terytorium, czuje się źle w każdym miejscu oddalonym od południowej części miasta o więcej niż siedemdziesiąt kilometrów. Zamieszkał w przyległościach, jak je sam nazywa, gdyż handel uliczny, którym zajmowali się jego rodzice, zaczął podupadać na długo przed ich śmiercią. Jest jeszcze drugi powód. W kontakcie ze staruszkami Tommy okazuje się jeszcze bardziej delikatny niż z nowicjuszami na rynku nieruchomości i nie potrafi ubić z nimi interesu, choćby nie wiem ile razy nazywał je damami czy miłymi starszymi paniami.

- Ooo, nie - mówi. - Jedź ty. Nic nie załatwię, wiesz przecież. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią tamci ludzie. Ty sprawdzisz się znacznie lepiej. Wiesz, kobieto z kobietą, Claudie, współczucie i takie tam.

- Muszę się zastanowić.

- Wiesz co - zachowuje się, jakby mnie nie słyszał - wczoraj wieczorem na *cumann* spotkałem Ferdy'ego Mackena. Obiecał, że jeśli zgromadzimy dość pieniędzy, to nam pomoże.

Ferdy, kumpel Tommy'ego z kręgów politycznych, jest kierownikiem regionalnym jednego z większych banków.

- Mówi, że przedstawi mnie, komu trzeba.

- Skąd wiesz, że tamta posiadłość będzie na sprzedaż? Nie mam ochoty jechać taki kawał z powodu plotki.

Nie powiem mu na razie, że dla tego domu popłynęłabym na Alaskę.

- To nie plotka. Chcesz herbaty, Claudie?

Wstaje i drepcze do blatu przy zlewie, wyciąga przewód czajnika, splątany z dwoma innymi kablami, napełnia czajnik, włącza go, a potem pochyla się nad nim z uwagą, jakby wzrokiem chciał go zmusić do szybszego gotowania wody.

- Nie plotka? A co w takim razie?

Po chwili wahania zwraca się w moją stronę.

- Widziano, jak ta siostra właścicielki wchodziła do kancelarii notarialnej.

Odchylam się na krześle.

- Tyle? To cała twoja wiedza? Siostra zmarłej była u notariusza?

Stara się na mnie nie patrzeć.

- Notariusz jest spokrewniony z moim znajomym. Jakiś czas temu wyświadczyłem mu przysługę, a teraz gadaliśmy chwilkę... - Mój szef wygląda, jakby coś kręcił.

- Przypadkiem, Tom?

Nie zrozumcie mnie źle, Tommy O'Hare zasadniczo jest uczciwym człowiekiem. Taka plotka jak OHPC musi szukać interesów tam, gdzie się trafiają, i polegać na umowach zawieranych w pubach i klubach golfowych, A te, podobnie jak wszystkie inne miejsca publiczne, są także źródłem informacji. Polegamy też na własnej intuicji.

- Kim jest - pytam delikatnie - ten twój znajomy?

- On jest, eee, licytatozem.

- Czekaj no. Twierdzisz, że prawnik tej kobiety zadzwonił do swojego kuzyna, licytatora, który odwdzieczył ci się za przysługę, podpowiadając, że dom może być na sprzedaż?

- Wcale tak nie twierdę - odpowiada z pozornym oburzeniem. - Mieszkamy w Irlandii, Claudie. To mały kraj, a wiesz przecież, jak to tutaj wygląda. Ta kobieta mieszka prawdopodobnie w niewielkiej miejscowości. Być może powiedziała coś w sklepie którejś ze znajomych albo komukolwiek innemu. Albo też rozmawiała na ten temat przez komórkę w miejscu publicznym - i ktoś usłyszał. Wiesz, jak się roznoszą wiadomości...

Gotująca się woda wyłącza czajnik. Tom odwraca się i robi herbatę.

- Pamiętasz, wspomniałam ci, że chcę z tobą o czymś porozmawiać - mówię do jego pleców.

- Taaa...

- Pamiętasz, że opowiadałam ci, jak bardzo ten dom jest zniszczony, ale teren jest wspaniały, ziemia żyzna i sucha, a dla tego widoku warto umrzeć? I to nie tylko zdaniem osób kupujących po raz pierwszy, Tom. Wyobrażam to sobie jako drogą inwestycję. Domki jednorodzinne, luksusowe osiedle, rozumiesz?

- Taaaa? - Podchodzi z dwoma kubkami i spogląda na mnie bacznyim wzrokiem. - To już wiemy. Do czego zmierzasz, Claudie? - Siada przy stole.

- Zmierzam do tego, że jeśli uda nam się ubić ten interes, chciałabym, żebyś oddzielił budynek od reszty posiadłości. Rozbił ją na dwie części. Chcę mieć ten dom, może z kawałkiem ziemi dookoła. Takim, aby wystarczył do zachowania prywatności. Mówisz o przysługach, Tommy. Jesteś mi coś winien.

- Chcesz kupić ten dom? Daj spokój, Claudie. Po co ci on? Mówiłaś, że się rozpada.

- Zamierzam go wyremontować. I w nim zamieszkać.

- Chyba żartujesz! - Wybuchu śmiechem. Lecz kiedy ja się nie śmieję, on także przestaje. - Rany Julek, ty mówisz poważnie!

- Śmiertelnie poważnie. Oczy mu się zwięzają w szparki.

- Mówisz mi prawdę o tym domu? Jest tak zniszczony, jak twierdzisz?

- Naprawdę jest w kiepskim stanie.

- Czy twój mąż już wie o tym szaleńczym planie?

- Powiedziałam mu wczoraj wieczorem.

- Czy uważa to za dobry pomysł?

- Nie - odpowiadam uczciwie - ale się z tym pogodzi.

Tommy spogląda na mnie i niemal słyszę, jak pracują trybiki w jego mózgu.

- Pojedziesz do West Cork - mówi powoli. - Sprawdzisz, co się da załatwić ze starszą panią. I jeśli ubijemy interes, będziemy dalej rozmawiać. W porządku?

- Przepraszam, ale nie w porządku. Najpierw ubijemy nasz prywatny interes, a potem zgodzę się pojechać do West Cork.

- Mogę jechać sam, wiesz o tym.

- Możesz.

Patrzymy na siebie. Ciekawe, kto dłużej wytrzyma. Wreszcie Tommy uśmiecha się krzywo.

- Pani Armstrong, potrafi pani załatwiać interesy.

- Nauczyłam się od pana, panie O'Hare. - Zrywam się z krzesła i obejmuję go mocno.

- Hej, hej! - protestuje. - Nie przy zmywarce! Odsuwam się i posyłam mu uśmiech idiotki.

- Nie zawiedziesz się, Tom, przysięgam. Jeśli ta posiadłość jest na sprzedaż, to zdobędę ją dla nas. Możesz powiedzieć swojemu kumplowi, Ferdy'emu, że już ją mamy.

- Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Popatrz - przekłada papiery na stole, wybiera jeden i rzuca w moją stronę - właśnie przyszły. Twoi kumple z Greenparks nie przyjęli tego.

- Dobrze już, dobrze, popracuję nad tym jeszcze. Nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

Zrobiłam już wystarczająco dużo jak na jeden dzień. Przeglądając pokreślony panegryk na cześć Cruskeen Lawns, mówię sobie, że teraz muszę dostać się do West Cork. Nie chodzi jedynie o dom, jestem niemal pewna, że tamta staruszka знаła moją mamę, a jeśli nie spotkała mamy osobiście, to będzie mogła wskazać mi kogoś, kto ją znał.

Lampiony na drzewach

Przez kilka dni zastanawialiśmy się z Johanną nad właściwym strojem na przyjęcie, i w końcu zdecydowałam się włożyć coś białego dla podkreślenia mojej cery. Rozważaliśmy też kwestię fryzur. Czy ona ma upiąć włosy, czy ja powinnam zostawić swoje rozpuszczone. Zgodnie stwierdziłyśmy, że obie wystąpimy w rozpuszczonych. A potem gdy ja się zastanawiałam, ile różu i pudru mogę nałożyć na twarz, aby mama nie wysłała mnie do łazienki, moja siostra martwiła się o dobre samopoczucie przyjaciółki, Shirley.

- Wiem, że jest nauczycielką, Violet, ale w głębi duszy jest dość nieśmiała, wiesz? Mam nadzieję, że będzie się dobrze bawić. To mój gość, i czuję się za nią odpowiedzialna.

Działo się to dzień przed przyjęciem, kiedy na kolanach szorowałyśmy płytki w holu, aby potem je wypolerować. Na podeście nad naszymi głowami miała grać miejscowa orkiestra - liczyliśmy, że goście będą tańczyć, w związku z czym my miałyśmy przygotować odpowiednią podłogę do tańca. Johanna wykręciła ścierkę.

- Czy twoja koleżanka Mary Kelly przyjdzie?

- Jest z rodziną w Wexford, wspominałam ci już. - Zbyt późno się zorientowałam, że mówię podniesionym głosem. Denerwowałam się na wszelkie wzmianki o niewielkiej liczbie zaproszonych gości. - Ta druga, Mary Quigley, przyjdzie - dodałam.

- Zapomniałam - odparła Johanna z posępnym wyrazem twarzy. - Przepraszam.

- O, patrz, ominęłyśmy tamten fragment.

Na wełnianym dywaniku, który chronił mi kolana pojechałam w róg przy schodach. Chciałam uniknąć dalszych pytań o moich gości. Dla zachowania pozorów zaprosiłam Mary Quigley, gdyż byłam pewna, że odmówi. Ku mojej rozpaczy zawiadomiła zwrotną pocztą o przyjęciu zaproszenia. Byłam zmartwiona na myśl, że będę musiała się nią zajmować cały wieczór. Miałam jednak nadzieję, że przekonam przynajmniej jednego z bliźniaków albo Samuela młodszego, by wziął ją pod opiekę i przedstawił przyjaciółom. Chciałam bez przeszkód wykorzystać możliwości, jakie otwierały się przede mną i Coleyem.

Do tego czasu musiałam jednak być ostrożna. Sądziłam, że Johanna celowo nie

wspomniała o Coleyu Quinnie. Słyszała przecież jego imię i nazwisko tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy padła propozycja urzędzenia przyjęcia. A mimo to nie zapytała o niego, choć prace przerywały nam niemal wyłącznie rozmyślenia i rozmowy na temat osób przeciwnej płci - kogo zaprosili bliźniacy? Każdy z nich dostał cztery zaproszenia. Ilu kolegów przyjedzie z Dublina z Samuelem młodszym? Jacy oni będą? Czy przyjadą sami, czy też przywiozą dziewczęta? Byłam jednak niespokojna o to, co Johanna mogła zobaczyć w moim pamiętniku, stojąc za mną.

Mamę i tatę pochłoneły niezwykle, niemal chaotyczne przygotowania, które objęły cały dom. Kiedy na przykład tata, wysłany przez mamę, przyszedł do mnie z listą zaproszonych i musiałam wyznać, że moimi jedynymi gośćmi będą trzy osoby: Mary Quigley, Coley Quinn „i oczywiście Florrie Quinn, jedna z jego siostr”, tata nie widział w tym nic godnego uwagi. Rzucił jedynie krótki i dość żartobliwy komentarz:

- Ulżyło mi, Violet. Po tym przyjęciu z pewnością trafię do przytułku dla biedaków, więc każda osoba mniej to jakaś oszczędność. Ale co się stało z tą całą armią, którą chciałaś ściągnąć? Mama chyba sądzi, że zaprosiłaś cały batalion gości.

Byłam szczęśliwa, że krzywi się pod adresem listy, a nie moim, i wymamrotałam coś o braku większej liczby zaproszeń. A potem nie mogłam się powstrzymać od zbędnego komentarza.

- Żałuję, że zaprosiłam kogokolwiek. To przecież nie moje przyjęcie. Ale co się stało, to się nie odstanie.

- Tak, grzeczna dziewczynka - rzucił przez ramię, opuszczając mnie w pośpiechu.

Kiedy poczułam się pewniej, wróciłam do szorowania płytek u boku Johanny, która, ku mojej uldze, skierowała rozmowę na Marjorie.

Nikt nie wiedział, czy nasza siostra przyjedzie sama czy w towarzystwie. Podczas rozmowy z ojcem przez telefon w sklepie była dość tajemnicza.

- Powiedziała, że może tak, a może nie - relacjonował tata - ale poprosiła, żeby w domu było dodatkowe wolne łóżko na wszelki wypadek.

- Jeśli ona przywiezie kawalera, on może mieć inną przyjaciółkę, Johanno - drażniłam się, wyginając plecy, aby zmniejszyć ból. - Ty także możesz mieć zalotnika!

- Przestań, Violet.

Zauważyłam, że trafiłam w czuły punkt i zmieniłam temat.

- Nie skończymy tego na czas.

- Skończymy - odpowiedziała, nie przerywając pracy. - Musimy skończyć.

Choć ciężko było w to uwierzyć na dzień przed przyjęciem, nasze wszystkie działania, choć gorączkowe, były doskonale skoordynowane nie tylko dzięki naszej niewolniczej harówce, ale także umiejętnościom niani i wrodzonemu spokojowi mamy, w który zresztą zaczęłam częściowo wątpić. Podczas ciężkiej pracy i zamieszania powinna być poirytowana, ale choć często narzekała na pomysł urządzenia przyjęcia, wyczuwałam lekki ton w jej głosie, a w oczach widziałam iskry. Śmiała się znacznie częściej niż zwykle. Choć nie mam całkowitej pewności, słyszałam, jak nuciała pod nosem przy prasowaniu. Mama się cieszyła!

W owym czasie nie jedliśmy posiłków jak zazwyczaj. Mama i niania nie nalegały na siadanie do stołu o stałej porze, lecz same też pośpiesznie przełykały kanapki w otoczeniu miedzianych garnków lub obok kredensów. (Dlaczego? Obie z Johanną nie umiałyśmy wytłumaczyć, dlaczego nawet w bieliźniarce miał panować idealny porządek. Czy nasi goście zostali zaproszeni na przegląd domu?). Mama pila zupę z filiżanki, zamiast jak zwykle jeść ją łyżką z głębokiego talerza, i pozwoliła nam na to samo.

Nigdy wcześniej nie myślałam o tym, że mama mogła być kiedyś beztroską dziewczyną. Patrząc jednak, jak z radością wypełnia wszystkie obowiązki i żartuje z nianią, zaczęłam się zastanawiać, czy Whitecliff przypadkiem nie przygnębia jej tak samo jak mnie. Pamiętałam naszą wizytę w Theatre Royal w Dublinie na pokazie rewiowym - jej szczery śmiech był dla nas prawdziwym zaskoczeniem. Ku naszemu zdziwieniu mama, pomimo swych nieskazitelnym manier, śmiała się częściej i głośniej niż ktokolwiek inny na widowisku.

Powstrzymałam się od wyciągania wniosków. To była moja matka, na miłość boską, i nie chciałam zajmować się jej uczuciami, nawet obecną przemianą. Musiałam mieć się na baczności, gdyż chwila nieuwagi mogła doprowadzić do bezwiednego wyjawienia mej tajemnicy. W Whitecliff nie dyskutowało się o uczuciach, a do moich relacji z mamą idealnie pasowałoby określenie „konflikt pokoleń”, choć nikt go wówczas nie używał.

Przez cały okres przygotowań my, dziewczęta, nie wypowiedziałyśmy nawet słowa skargi. Po pierwsze, i tak byłoby to bezcelowe, a po drugie, nasze męczące stania służyły jakiemuś celowi - miałyśmy pokazać stare mury Whitecliff w jak najlepszym świetle. Choć ciężko mi było znieść ten swego rodzaju areszt domowy, zdecydowałam, że nie ma sensu

się smucić. Musiałam zachować cierpliwość, a pocieszałam się wieczorami, przelewając przygnębienie na kartki pamiętnika.

Na dzień przed przyjęciem dom pachniał jak ogród dzięki bukietom zielonych gałązek i białego głogu (głóg!), które mama porozstawiała w wysokich wazonach w różnych miejscach. Kiedy skończyłyśmy z płytkami w holu, które błyszcząły teraz tak, że można je było wziąć za porcelanę, odesłano nas na ganek. Późnym wieczorem, gdy ukończyłyśmy tę ostatnią pracę, bliźniacze kolumny - wyszorowane rozpuszczoną w wodzie sodą do prania i wytarte do sucha miękkimi ściereczkami - lśniły niczym marmur. Nie było dla nas więcej roboty. Końcowe przygotowania bufetu zostawiono na ostatnią chwilę, a cały dom był posprzątany, zarówno w środku jak i na zewnątrz.

Zawołałyśmy mamę, żeby obejrzała wyniki naszej pracy. Wcześniej upierała się, że zrobienie dobrego wrażenia na samym początku jest ważne dla atmosfery całego wieczoru. Trzymałyśmy się z boku, podczas gdy ona sprawdzała po kolei kolumny, błyszczące mosiężne okucia na drzwiach, kamienne płytki, tak gładkie, że nawet zachodzące słońce nie było w stanie wydobyć ani drobin kurzu. Wyczesaliśmy chwościk przy sznurze od dzwonka, dzięki czemu stał się gładki jak ogon kucyka. Nawet mama, mająca naprawdę wysokie wymagania, musiała przyznać, że wszystko wygląda jak należy.

- Dobrze, dziewczynki - powiedziała i popatrzyła na coraz bardziej złote niebo. - Miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma! - A potem z gwałtownością, która nas zaskoczyła i prawie poraziła, dodała: - Jak ja nie cierpię tej cholernej wojny! Na prawdziwym przyjęciu umiescilibyśmy lampiony na drzewach i pochodnie wzdłuż alei. Każde okno w domu powinno być oświetlone!

Wraz z siostrą gapiłyśmy się na nią z otwartymi ustami. To nie była ta mama, którą znałyśmy. Ta kobieta miała w sobie żar i potrafiła kłąć. Nie mogłyśmy w to uwierzyć.

Nawet ona sama nie mogła w to uwierzyć. Zerknęła na nas i zaczęła wpychać niesforne kosmyki włosów w koczek, zawsze upięty schludnie z tyłu głowy.

- Przepraszam. - Znów była spokojna i uciekała przed naszym zdziwionym wzrokiem. - Nie chciałam, żebyście myślały, że jestem rozdrażniona. I nie powtarzajcie, proszę, słów, jakich użyłam. Oczywiście, że to będzie prawdziwe przyjęcie. Patrzcie, czyż Martin się nie sprawił równie dobrze?

W ciągu tych paru dni niestrudzenie pracował w ogrodzie, by nasi goście mogli od-

nieść pozytywne pierwsze wrażenie. Na aksamitnych trawnikach z obu stron podjazdu nie było ani jednego chwastu. Martin poświęcił też wiele czasu na zagrabienie żwiru przed ganikiem w koncentryczne spirale. Mama, niewątpliwie zawstydzona swym wybuchem, ostrzegła nas, że nie wolno nam chodzić po tym placyku. Do czasu przyjęcia mamy go omijać i wchodzić do domu tylnymi drzwiami.

Udało mi się na tyle odzyskać równowagę, aby przytomnie zauważyć, że wuj Samuel, który miał przywieźć bliźniaków z koszar pod Belfastem, powinien się zjawić za chwilę.

- Jeśli nie wolno mu naruszyć żwiru, to gdzie zaparkuje samochód?

- Należy do rodziny. Będzie musiał zaparkować w alejce - odparła mama szorstko. - Tata także. Violet, zostań w holu i czekaj na nich. Jak tylko któryś podjedzie, wyjdź z domu i wyjaśnij, o co chodzi. Chcę, żeby podjazd był pusty. Tylko nie porozrzucaj tego żwiru, kiedy będziesz do nich biegła! Obejdź go szerokim łukiem po trawie.

Wcale mi nie przeszkadzała rola wartownika. Tak naprawdę, właściwie się ucieszyłam, gdyż mogłam zebrać myśli, bo przecież kiedy przyjadą za mniej więcej godzinę, żadne z nas nie znajdzie nawet jednej minuty dla siebie. Czekaliśmy nie tylko na wuja Samuela i bliźniaków, ale także na Marjorie i Samuela młodszego. Mieli przyjechać razem z Dublina i tata pojechał odebrać ich z autobusu.

- Dobrze, dziewczynki - powiedziała mama, odpinając fartuszek. - Idę już do domu. Muszę także przyznać, że w minionym tygodniu byliście niezwykle pomocne. Wspaniale razem pracowałyście. Dobra robota!

- Och, mamó, dziękuję!

Nie chwaliła nas nigdy wcześniej, więc wiedziona impulsem, zarzuciłam jej ramiona na szyję.

- Na Boga, Violet! - Ale kiedy wyplątała się z moich objęć, uśmiech nadal rozjaśniał jej twarz. - A to co było?

- Nic - odparłam bliska łez. Nie potrafiłam wyrazić swoich uczuć. Byłam zadowolona z pierwszej pochwały, z niezwykłego wybuchu mamy, z jej szczęścia w minionym tygodniu, z tego, że nasza rodzina spędzi razem weekend, że w naszym domu zapanowała radość, ale głównym powodem do szczęścia była moja miłość do Coleya i świadomość, że spotkam się z nim jutro, choć bez wątplenia oboje będziemy zdenerwowani.

Mama przyjrzała mi się z uwagą.

- Chce ci się płakać, Violet?

- Nie, mam. Wcale nie. Chyba jestem zmęczona.

- Cóż - odparła - wszyscy jesteśmy zmęczeni. Mam nadzieję, że było warto. - Ponownie zerknęła na złotorude niebo. - Czas zaciągać zasłony. I muszę zmienić to stare ubranie. Zjemy razem, kiedy wszyscy przyjadą. Niania nakrywa do stołu w jadalni. - Uśmiechnęła się ponownie do nas obu, po czym dotknęła mojego policzka. - Grzeczna dziewczynka.

Wzruszyłam się. Jak już mówiłam, nasza rodzina nie była zbyt wylewna, więc ten spontaniczny objaw miłości wycisnął mi łzy z oczu.

- Ojej! - Mama popatrzyła na Johannę, wzrokiem prosząc o wyjaśnienie. - A co zrobiłam tym razem?

- Nic, zupełnie nic - chlipnęłam. - Mówiłam już, jestem zmęczona. - Zaczęłam szukać chusteczki w kieszeni fartucha.

- Idź, mam - powiedziała moja siostra. - Zostanę z nią.

- Nie trzeba - odrzekłam, wycierając nos. - Przepraszam. Nie mam pojęcia, co mnie napadło, ale już czuję się świetnie. To pewnie z głodu i zmęczenia. Jestem głodna, a wy? Nie musisz ze mną tu siedzieć, Johanno. Na pewno chcesz się przebrać i umyć. Mogę sama poczekać na samochody. Z pewnością nie potrwa to długo.

Nie byłam zbyt delikatna. Choć obecność Johanny nigdy mi nie przeszkadzała, pragnęłam teraz zostać choć przez chwilę sama, a nie wiedziałam, jak to powiedzieć siostrze, nie raniąc jej uczuć. Ponownie zapewniła mamę, że zostanie przy mnie, więc nie miałam wyboru. Tak czy inaczej to nic ważnego.

Kiedy więc mama weszła do domu, na paluszkach Przeszliśmy przez czyściutki hol do salonu, gdzie usiadłyśmy w jednym z okien wykuszowych, dzięki czemu mogłyśmy bez przeszkód obserwować aleję. Za plecami miałam jedną z otwartych okiennic. Podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam rękami. Przez otwarte okna nad naszymi głowami do pokoju wpływała jedynie cisza, jaka czasami ogarnia świat o zachodzie słońca.

- Usłyszymy ich, zanim przyjadą - powiedziałam, podziwiając różowe korony buków.

- Johanno, popatrz, jakie piękne niebo! „Czerwień nocą pasterzom pomocą”, zapowiedź ładnej pogody na jutro. Nie lubisz tej pory dnia?

- Lubię - przyznała w zamyśleniu.

Po tych słowach ku mojej radości umilkła. W którymś momencie zorientowałam się

jednak, że moja siostra jest skrepowana.

- Czy coś się stało? - Przeniosłam wzrok z zachodzącego słońca na Johannę, która siedziała z rękami splecionymi na kolanach. Na włosach miała szal zawiązany w stylu cygańskim, i przypominała jedną z tych nieco melancholijnych postaci na obrazach Bruegla, za którymi tak przepadała młodsza panna Biggs. Na zajęcia z historii sztuki często przynosiła widokówki lub reprodukcje przedstawiające obrazy tego właśnie malarza.

- Nic się nie stało, Violet - odparła Johanna - ale...

- Tak? - zachęciłam ją.

- Chciałam pomówić o tym z tobą wcześniej, tylko że brakło mi odwagi. To w końcu nie moja sprawa. - Zaczęła się bawić fałdami spódnicy.

Od razu domyśliłam się, do czego zmierza, lecz nie chciałam już niczego ukrywać. Przeciwnie, pragnęłam, by ta sprawa ujrzała wreszcie światło dzienne. Było mi przykro patrzeć, jak Johanna szuka odpowiednich słów, lecz uparcie drażyłam temat.

- Nie twoja sprawa? Co nie jest twoją sprawą?

- Po prostu sędzę, że powinnaś jutro być ostrożna. To wszystko - wyjąkała.

- Ostrożna, w związku z czym?

- Podczas przyjęcia.

- Powiedz, o co ci chodzi, Johanno. - Zeskoczyłam na podłogę i rozprostowałam plecy.

- Wiesz przecież! - krzyknęła.

- Nie, naprawdę nie wiem.

Kiedy przyglądałyśmy się sobie nawzajem, zauważyłam, jak bardzo ją zasmuciłam, więc pełna skruchy objęłam jej szczupłe ramiona.

- Przepraszam, Johanno. Wybacz mi. Nie chciałam cię martwić. Jesteś naprawdę najlepszą siostrą na świecie. Wiem, o czym mówisz. I będę ostrożna. Obiecuję.

- Nie myślałam tylko o jutrzejszym dniu, Violet.

- Wiem.

Chciałam uspokoić ją jeszcze bardziej, ale w tym momencie usłyszałyśmy warkot silnika samochodu taty. Wiedziałyśmy, że to on, gdyż używając terminów muzycznych, pomiędzy kolejnymi brum-brum zawsze było półtremolo, jakieś dodatkowe niezbyt głośne uderzenie.

- Ja pójdę. - Zsunęłam się z siedziska. - Przebierz się, Johanno. Nie zależy mi, co o mnie pomyślą Marjorie czy Samuel młodszy. Ich zdaniem pewnie i tak nie ma dla mnie ratunku.

Johanna nie uśmiechnęła się na te słowa. Znow ją przytuliłam. To tyle, jeśli chodzi o szczerą rozmowę w naszej rodzinie, pomyślałam.

- Słuchaj, Jummie - tak nazywałam siostrę w dzieciństwie, kiedy jeszcze nie potrafiłam wymawiać jej imienia - nie martw się o mnie. I jeszcze raz przepraszam.

- Wybaczam. - Otarła oczy wierzchem dłoni. - Pospiesz się, Violet, musimy się przygotować. Samochód już dojeżdża - a nie chcemy przecież, żeby mama wkroczyła na ścieżkę wojenną...

17

Spokojnie, maleńka Violet

Wuj Samuel ze szklanką whiskey w dłoni stał w oknie salonu i patrzył na trawnik.

- Czemu nie zrobicie tu kortów tenisowych dla młodych, Muszko? Jest mnóstwo miejsca. Tamten trawnik byłby idealny.

Podczas każdej wizyty wujka Samuela, kiedy słuchałam jego rozmów z mamą, uświadamiałam sobie, w jak dużym stopniu straciła północną wymowę przez nos.

- Mam do roboty co innego niż myślenie o kortach.

Strzepnęła zabłakany pyłek z kominka. Choć była już za dziesięć piąta, mama nadal kręciła się i poprawiała, przestawiała i ustawiała.

Zdecydowałyśmy, że ze względu na początek przyjęcia o tak wczesnej porze suknia wieczorowa nie będzie odpowiednim strojem. Mama wyglądała jednak niezwykle sztywnie w dopasowanej sukience z ciemnoniebieskiego atłasu ozdobionej cekinami i z poduszkami przy ramionach. Bóg jeden wie, skąd w tych ciężkich czasach wzięła taki materiał, ale jakimś cudem udało jej się zdobyć go wystarczająco dużo - i jak znalazła dość czasu, by uszyć sukienkę i obszyć nim pantofle. Buty miały dodatkowo połyskujące klamerki.

Zapomniałam już, jaka mama jest piękna, lecz tego popołudnia, z zaróżowionymi policzkami i włosami upiętymi w podłużny kok, zgodnie z obowiązującą modą, wyglądała, jakby wyszła wprost z żurnala.

- Wyglądasz wspaniale, mamó. - Uśmiechnęłam się do niej, kiedy pociągnęła za uchwyt zasłon. - A pachniesz równie pięknie.

Mama wybrała perfumy łączące nutę cytryny i wanilii. Zostały zrobione specjalnie dla niej w staroświeckiej drogerii w Belfaście, a do nas dotarły pocztą.

- Dziękuję, kotku - odpowiedziała, zerkając w kierunku drzwi wejściowych. Potem ruszyła w ich stronę.

- Rodericku, gdzie jesteś? - zawołała głośno, aby tata mógł ją usłyszeć poprzez hałas orkiestry strojącej instrumenty na piętrze. - Johanna? I wy, chłopcy, na górze! Jesteście gotowi?

Nawet to była nowość. Mama podniosła głos!

- Tak, mamó.

Samuel młodszy minął ją i wszedł do pokoju.

- Gotów, chętny i pojętny. Dzień dobry, wujku. - Zasalutował wujowi po drodze do kredensu, gdzie przygotował sobie drinka - dżin z W. Nazwa ta zawsze mnie intrygowała, aż tego wieczoru w końcu odkryłam, że „W” to nie żaden tajemniczy egzotyczny składnik, lecz włoski wermut.

Ja byłam gotowa od wpół do trzeciej, lecz z obawy przed ponownym zagonieniem do pracy zeszłam na dół dopiero przed chwilą, aby zająć dogodne miejsce w jednym z okien i obserwować przybycie gości. Ze zdenerwowania zacisnęłam dłonie, aby ukryć drzenie, i modliłam się, by Coley nie przyszedł pierwszy. Potem dla odmiany zaczęłam się modlić, by Mary Quigley nie zjawiała się wcale, po czym wróciłam myślami do ukochanego. Co za licho podkusiło mnie, by zaprosić Coleya do naszego domu?

Wujek Samuel usiadł obok i mrugnął do mnie filuternie.

- Czy masz dzisiaj kogoś na oku, Violet? Będą jacyś chłopcy, którym powinienem się uważnie przyjrzeć? - zażartował łagodnie.

Byłam tak niespokojna, że podskoczyłam i oblałam się rumieńcem.

- O rany! - zawołał Samuel młodszy. - Trafieś w czuły punkt, wujku!

- Nie zwracaj na niego uwagi. - Wuj poklepał mnie po kolanie. - Masz rację, śliczna

maleńka dziewczynko. Nigdy wcześniej nie wyglądałaś tak pięknie i chyba dziś wieczór będziesz musiała widłami oganiać się od adoratorów.

Zaczerwieniłam się jeszcze mocniej, a wujek taktownie odwrócił wzrok i wyjrzał przez okno.

- Pogoda się utrzymuje. Powiedz, jak twoja szkoła? Chyba już ją kończysz?

- Tak, wujku.

Wuj Samuel zawsze powtarzał, że nigdy dość wykształcenia. Pamiętam te słowa jeszcze z czasów, gdy jako pięcioletnia dziewczynka siedziałam u niego na kolanach podczas któregoś ze spotkań rodzinnych.

- Przyjdzie czas, kiedy dziewczynki takie jak Violet nie będą chciały pozostać z tyłu. Mówię o uniwersytetach, chłopcy. Przyjdzie czas, kiedy w college'ach w Dublinie będzie więcej dziewcząt niż was, młodzieńcy - mówił.

Wtedy wszyscy dorośli w pokoju uśmiechnęli się na tak zwariowany pomysł.

Niania, na tę okazję ubrana na czarno i w białym fartuszkach, weszła do pokoju. Szła bardzo powoli, niosąc srebrną wazę z ponczem, którą zwykle wyjmowaliśmy jedynie na Boże Narodzenie.

- Wspaniały lunch, proszę pani. - Wujek Samuel skłonił się dwornie, co sprawiło niani taką radość, że gdyby nie bała się rozlać ponczu, z pewnością odpowiedziałaby mu dygnięciem.

- Dziękuję, proszę pana, przepraszam, że w takim pośpiechu. Ale z całą pewnością jutro zjemy prawdziwy niedzielny obiad.

Umieściła wazę na środku stolika znajdującego się przy oknie, po czym zaczęła ustawiać maleńkie filiżanki.

- Jak miło znowu mieć w domu tych wszystkich młodych ludzi, nawet jeśli tylko na tak krótko. Musimy dobrze wykorzystać ten czas.

Nianię ogarnęły emocje związane z przyjęciem, podobnie jak nas wszystkich, a może nawet bardziej, gdyż nie musiała nic udowadniać. Przez cały tydzień harowała jak koń, a teraz z radością objęła funkcję starszej kelnerki i stąd właśnie ten quasi-mundurek. Zwerbowała też miejscową dziewczynę do pomocy.

- Czy nie jest odrobinę za wcześnie na alkohol, skarbie? - Wbiła wzrok w drinka Samuela młodszego.

- Oj, nianiu, nie psuj zabawy. - Wcale się nie przejął jej słowami. - Jestem już dorosły. I czyż nie jestem gościem honorowym?

Zuchwale podniósł kieliszek do ust. Niania ściągnęła brwi i zamruczała coś do siebie.

Wiedzieliśmy, że jej ojciec wcześniej zapił się na śmierć, i choć nie uchylała się od podawania alkoholu, sama nigdy nie brała do ust ani kropli i z dumą nosiła plakietkę mówiącą, że jest dożywotnim członkiem stowarzyszenia abstynentów. Byłam ciekawa jej reakcji w wypadku, gdy któryś z członków rodziny lub gości tego wieczoru upije się i poprosi o jeszcze.

Do pokoju wpadła Marjorie.

- Chodźcie na dwór, zanim zacznie się na dobre, zrobimy sobie zdjęcie. Trzeba coś zachować dla potomnych. Specjalnie po to go kupiłam! - Machnęła aparatem. - Nianiu, ty też. I ściągnij chłopców na dół, dobrze?

Nigdy nie lubiłam pozować do zdjęć, a moja niechęć tym razem była jeszcze większa. Przerazała mnie myśl, że podczas tej czynności zostanę jak gdyby przyłapana przez Coleya i jego siostrę. Nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzę na oczach całej rodziny.

Pozowaliśmy przed gankiem najpierw w rozmaitych grupach, a potem wszyscy razem. Marjorie była urodzoną organizatorką i przed upływem dziesięciu minut wróciliśmy wszyscy do domu. Zaledwie znalazłam się na stanowisku przy oknie, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, a orkiestra na podeście, biorąc to za znak, zaczęła grać skoczną irlandzką melodię. Popędziłam na spotkanie gości.

- Ruszyli! - Wujek Samuel dla żartu dał mi kuksańca, aż podskoczyłam po raz drugi tego wieczoru.

Dzwonek zadzwonił ponownie, a niania podniosła ręce do góry.

- Co za impet! Dzisiejsi ludzie są bardzo niecierpliwi. Gdzie, do diaska, jest ta dziewczyna? - Szybko wyszła z pokoju odpowiedzieć na wezwanie.

- Spokojnie, maleńka Violet. - Wujek poklepał mnie po kolanie. - To będzie wspaniały wieczór. Baw się.

Nasi goście okazali się nadzwyczaj punktualni, w ciągu kolejnych paru minut na podjazd jeden za drugim wjeżdżały samochody, rowery i bryczki. Kilka pojazdów, zapewne wynajętych, oddaliło się natychmiast po wysadzeniu pasażerów, lecz pozostałe zaparkowały i chcąc niechcąc zniszczyły przy tym starannie wypielegnowany podjazd. Choć oba skrzydła

drzwi frontowych były otwarte na oścież, dzwonek dzwonił bezustannie, rywalizując z akordeonem i skrzypcami na piętrze - goście bez wątpienia uważali, że przed wejściem do domu należy oznajmić swe przybycie.

Przyjęcie było już w toku, do wpół do piątej przybyli niemal wszyscy goście. Nadal jednak nie było nawet śladu Coleya. Ani Mary Quigley. Zaczęłam mieć cichą nadzieję, że dopadł ją ból głowy, zęba czy inna niegroźna przypadłość - nie życzyłam jej źle - która ją zatrzyma tego wieczoru w domu. Lecz zaraz potem zadzwonił dzwonek i Mary stanęła w drzwiach - wysoka i niezgrabna w sukni z żółtej tafty i pasującej do niej opasce na włosach. Jak przerośnięty żonkil, pomyślałam ze wstrętem, i natychmiast ogarnęło mnie poczucie winy.

- Wyglądasz świetnie, Mary - stwierdziłam. - Wejdz. Czekałam na ciebie.

Rozglądała się dookoła.

- Jaki śliczny dom - powiedziała, patrząc przy tym w górę holu szeroko otwartymi oczami, a jej okulary lśniły w promieniach słońca wpadającego przez drzwi. - Jaki duży! Słyszałam, że dobrze wam się powodzi, ale nie miałam pojęcia, że aż tak. Dlaczego ty chodzisz do naszej maleńkiej szkoły?

Bez wątpienia miało to zabrzmieć zgryźliwie, lecz zamiast mnie onieśmielić, co zapewne Mary zamierzała osiągnąć, udało jej się mnie uspokoić.

- Dziękuję bardzo, Mary - odpowiedziałam słodko. - Czy chcesz, abym pokazała ci cały dom? Chodźmy do mojego pokoju, będziesz mogła się odświeżyć. Tam jest mnóstwo miejsca. Tak się składa, że mam naprawdę dużą sypialnię.

- Z przyjemnością. - Nie zareagowała na docinki, lecz nadal gapiła się na podest, gdzie pośród balustrad widać było muzykantów. - Ale może potem. - Wręczyła mi paczkę zapakowaną w brązowy papier. - To od mojej mamy. To mikstura z ziół i koziego mleka. Mama mówi, że widziała cię we wsi i wydaje jej się, że to lekarstwo dobrze zrobi twojej cerze. Wcieraj to rano i wieczorem.

- Używasz tego sama, Mary?

Bez względu na stan mojej skóry, w moim przekonaniu dość zadowolający zresztą dzięki spacerom i dobrej, prostej kuchni mojej mamy, czysta cera nie była jedną z zalet Mary Quigley. Tym razem rozpoznała afront. Zmarszczyła brwi, lecz nie zdążyła się odgryźć, gdyż złapałam ją przyjacielsko za rękę.

- Podziękuj mamie ode mnie, proszę. Przekaż jej, że będę tego używać z przyjemnością. Chodź teraz na poncz owocowy, przedstawię cię rodzinie i gościom moich braci.

- Jacy oni są? - zapomniała już o obrazie i poszła ze mną niczym młody rozbawiony piesek do salonu, gdzie byli wszyscy moi bracia w hałaśliwych nastrojach.

- Bardzo mili - odpowiedziałam. - Większość z ich znajomych to, rzecz jasna, dziewczęta.

Puściłam jej ramię i poszłam przed nią. Sama nie mogłam uwierzyć, jak okrutnie zachowywałam się wobec tej biednej dziewczyny. Przecież ją zaprosiłam. Była moim gościem, a biorąc pod uwagę nieobecność Coleya i jego siostry, może jedynym.

I to właśnie stanowiło problem - nie była Coleyem Quinnem. Przy tym jednak moje rozczarowanie walczyło z ulgą. Oczywiście bardzo chciałam, żeby znalazł się przy mnie, lecz jednocześnie z pewnych względów cieszyłam się, że go nie ma. Będą inne okazje.

Moje stwierdzenie, że dziewcząt jest więcej niż chłopców, nie było prawdą. Trzy z siedmiu osób, które oznajmiły, że są zaproszone przez Jamesa i Thomasa, faktycznie były płci żeńskiej, lecz przyszło też czterech chłopców, których mgliście pamiętałam ze szkoły państwowej. Nie uprzedziłam Mary wcześniej, kim są, i bez wątpienia oczekiwała pewnych siebie mężczyzn w mundurach, a nie synów rolników, w ciasno zawiązanych krawatach i o włosach tak mocno posmarowanych brylantyną, że jej zapach przyćmiewał zapach kwiatów ustawionych przez mamę.

Wśród gości Samuela młodszego znalazły się trzy dziewczyny i dwóch chłopców, dużo starszych ode mnie i Mary, tak że nawet ona nie mogła mieć nadziei na flirt z nimi. Było to jednak mało ważne, gdyż wszyscy, nie wyłączając Samuela, przyszli z partnerką lub partnerem. Jego dziewczyna miała włosy niemal tak krótkie jak chłopak.

Marjorie, w białej koronkowej sukni, która przylegała do jej pięknej figury, przywiozła nie adoratora, lecz koleżankę. Co więcej, następna koleżanka miała przyjechać wieczornym autobusem, tymczasem więc moja siostra namawiała wszystkich na pozowanie do zdjęć przy świetle lamp gazowych. Szczerze mówiąc, nie widziałam zbyt wielkich możliwości dla Mary Quigley.

Zdecydowałam, że najprościej będzie zacząć przedstawianie Mary od Marjorie, i odwróciłam się, by ponownie wziąć ją pod ramię. Sądziłam, że jest tuż za mną, lecz zobaczyłam ją na progu salonu.

Była wyraźnie onieśmielona.

Nic dziwnego, pomyślałam. W promieniach słońca wpadających przez okna wykuszowe pokój lśnił światłem rozszczepionym w kryształkach dwóch potężnych żyrandoli gazowych, blaskiem płomieni odbitych w lustrze świec na kominku - śmiałam również twierdzić, iż także światłem odbitym od mebli i parkietu wypolerowanego przeze mnie i Johannę! Na piętrze muzykanci grali dla samych siebie, lecz salon, zwykle tak cichy i spokojny, rozbrzmiewał rozmowami i śmiechem kupców, dostawców, okolicznych farmerów - było tam chyba czterdzieści pięć, a może pięćdziesiąt osób - którzy łączywie pili drinki, stukali się kieliszkami, wznosząc toasty za zdrowie kompanów, i żuli wykwintne kanapeczki podawane na srebrnych tacach przez nianię i wynajętą pomocnicę. Przy oknach wykuszowych stał wujek Samuel otoczony przyjaciółmi Samuela młodszego, którzy wydawali się nim zachwyceni. James i Thomas, jak zwykle nierozłączni, wyglupiali się przed kominkiem wraz z trzema zaproszonymi przez siebie dziewczętami, a synowie farmerów przyglądali się im niepewnie. W pobliżu zwykłych okien mama rozdawała niewielkie kieliszki porto i sherry paniom, wśród których była żona naszego pastora, siedzącym na krzesłach i sofach przy dwóch stolikach. Tata pogrążony był w rozmowie z pastorem i innymi gośćmi. Poznałam dyrektora banku i dwóch miejscowych lekarzy, Ryana oraz Willisa.

- Co się stało, Mary? - zapytałam, podchodząc do koleżanki.

- Nic. Tak sobie patrzę na to wszystko...

- Wejdz i poznaj gości. - Złapałam ją przy tym za rękę, lecz wcale nie po to, by poprowadzić ją do pozostałych. W jednym z mężczyzn rozmawiających z tatą rozpoznałam kierownika mleczarni. Musiał przyjść, kiedy byłam zajęta rozmową z wujkiem Samuelem. A jeśli wspomni tacie o moim zniknięciu za budynkiem w towarzystwie Coleya Quinna?

- To boli, Violet! - Mary wyrwała rękę z mojego uścisku.

Zadzwonił dzwonek. Obydwie odwróciłyśmy się, żeby sprawdzić, kto przyszedł, choć ja stałam już w salonie. W holu zobaczyłyśmy Coleya Quinna i jedną z jego sióstr.

Grom z jasnego nieba

Gdzie my, do cholery, jesteście?

Zdenerwowany Bob zjeżdża na mokre, grząskie pobocze, choć zatrzymywanie się na tak krętej drodze nie jest zbyt bezpieczne. Z trudem mogą się tu zmieścić dwa samochody i nic nie widać za zakretem. Bob skonsultował się z jakimś znajomym, który podobno zna tę część kraju jak własną kieszeń i teraz jechaliśmy trasą wskazaną przez tego faceta.

- Trzeba było zrobić to, co mówiłem od początku, i znaleźć właściwą drogę w serwisie AA.

Dzielnie powstrzymuję się od uwagi, że ja właśnie to proponowałam, lecz on mnie ofuknął.

- Murph wie, co mówi. Twierdzi, że tędy skrócimy jazdę o prawie pół godziny. Nie ma tu miast, tylko jedna czy dwie wsie. I podobno ruch także jest niewielki.

Udaje mi się również powstrzymać od przypomnienia, że kiedy przejeżdżaliśmy przez wsie Kilmichael i Coppeen, chciałam zapytać o drogę w pubie.

- Nie, nie ma takiej potrzeby - stwierdził mój mąż za pierwszym razem oraz: - nie chcę się zatrzymywać, bo nigdy tam nie dotrzemy - za drugim.

Całe popołudnie jechaliśmy w deszczu - najpierw długa i pełna napięcia podróż do Cork, podczas której, jeśli akurat nie rozglądaliśmy się w poszukiwaniu znaków ograniczenia prędkości, usiłowaliśmy uciec przed błotem i wodą rozchlapywaną przez potężne ciężarówki. Potem, po krótkim postoju na kawę i załatwienie potrzeb fizjologicznych, skręciliśmy z szerokiej drogi Cork-Killarney i wjechaliśmy na ten morderczy szlak. Jesteśmy teraz na szczycie przełęczy, wcale nie tak wysoko, jeśli wierzyć mapie rozłożonej na moich kolanach. Za tą przełęczą powinien być Atlantyk i cel naszej podróży.

Teraz widzimy jedynie białoszarą mgiełkę błota na szybach, która odbija się w świetle bezużytecznych reflektorów.

- Może powinniśmy zawrócić.

- Dzięki, Cee! Bardzo mi pomagasz.

Bierze mapę z moich kolan, patrzy na nią przez parę sekund, a potem rzuca przez ramię na tylne siedzenie. Łapie drążek biegów.

- Musiałem zgłupieć.

Eksperyment z małżeńską bliskością nie wychodzi nam zbyt dobrze.

Dlaczego Bob jedzie ze mną na tę wycieczkę w dzicz? Też się nad tym zastanawiam. Musiała mi krew uderzyć do głowy, że się na to zgodziłam.

Dyskusję o Whitecliff toczyliśmy tamtego wieczoru, kiedy ją rozpoczęłam, później, w łóżku. Była całkiem przyjacielska i, jeśli pamiętacie, podczas wspólnego oglądania meczu udało mi się przekonać męża, że powinniśmy przynajmniej spróbować. Jego ciepłe plecy przyjęły moje argumenty.

- To nic pewnego, Bob. Właściciel, kimkolwiek jest, może wcale nie chce sprzedać domu. Może mieć ochotę samodzielnie zagospodarować ten teren. A może nawet z powrotem się tam wprowadzić.

- Powiedziałem, że dobrze. - Odwrócił się, by mnie objąć. - Pod warunkiem że mnie pocałujesz. Pamiętaj, to nie obietnica. I oczywiście będę musiał obejrzeć to cholerne domiszcze.

- Nie obietnica - zgodziłam się. - Proszę tylko, żebyś miał to na uwadze. No i, oczywiście, musisz tam jechać. Któregoś popołudnia, kiedy nie będziesz tak bardzo zajęty.

Z podniecenia aż kręciło mi się w głowie. Wiedziałam, że jeśli osiągnęłam tyle, to osiągnę więcej, może nawet wyznaczony cel. Pocałowałam Boba, a pocałunek jak zwykle doprowadził do zbliżenia.

Kiedy mój mąż usnął, przebiegłam myślami wydarzenia tego wieczoru. Przekonywanie Boba - nawet w takim zakresie, jaki udało mi się osiągnąć, i to bez zbyt wielu protestów z jego strony - było znacznie prostsze, niż myślałam. Może nawet zbyt proste, przebiegło mi przez głowę, lecz odrzuciłam tę myśl jako niegodną uwagi.

Następnego wieczoru, kiedy przy obiedzie oznajmiłam, że wyjeżdżam do West Cork, mój mąż natychmiast zgłosił chęć wspólnej podróży.

- To trochę jak grom z jasnego nieba, nieprawdaż? Nie jesteś zajęty? - zapytałam.

- Zawsze jestem zajęty. Nigdy nie ma dobrego momentu. Ale nie byliśmy nigdzie razem, tylko we dwoje, od lat, Cee, i to może być świetna okazja. Oboje nie znamy tamtej części kraju. Jeśli turyści potrafią się tam poruszać, dlaczego my nie mielibyśmy dać sobie

radę?

- Ale ja chcę jechać jutro.

- Co z tego? Jestem przecież dyrektorem tej choleralnej firmy, więc od czasu do czasu mogę chyba wziąć kilka dni wolnego, żeby pobyć z żoną? Przekażę komuś swoje bieżące sprawy. A te seminaria z zarządzania, na które wysyłam wszystkich pracowników po kolei? Wracają i mówią mi, że przekazanie obowiązków to właściwa taktyka. Potrzebuję rano godziny lub dwóch przy telefonie i jestem wolny.

- Ale, Bob, to nie będą przecież wakacje - byłam szczerze zaskoczona - tylko podróż w interesach. Co będziesz robił, kiedy ja pójdę porozmawiać z tą kobietą? Musi być wiekowa. Może nawet przygłucha. Będę musiała spędzić z nią tyle czasu, ile trzeba. Być może będziemy rozmawiać godzinami - nie chcę się martwić, że się denerwujesz łażeniem po okolicy. To byłby za duży stres, mogłabym go nie wytrzymać.

Ale mój mąż miał w zanadrzu kolejną niespodziankę.

- Mogę ci pomóc ją przekonać. Sprzedawanie to mój chleb powszedni. W końcu jestem sprzedawcą.

- Daj spokój! Ty sprzedajesz samochody...

- No to co? Jeśli potrafię namówić faceta do kupna samochodu wartego sto tysięcy, choć ma jedynie połowę tej kwoty, to z pewnością uda mi się namówić starszą panią do zostania multimilionerką dzięki sprzedaży posiadłości, której zapewne nie widziała od wielu dziesiątków lat. Bułka z masłem!

- Poczekaj. Nie wiemy jeszcze, ile możemy jej zaproponować. Tommy nie wspominał o żadnych milionach. Mamy tylko pogadać, spróbować ją namówić, żeby dała nam wyłączność. Tak czy inaczej ta posiadłość nie znajduje się na terenie budowlanym...

- Tym lepiej. Zapłacimy jak za grunt rolny, a przeznaczenie zmienimy potem.

Cynizm Boba osiąga dwudziestkę w skali od jednego do dziesięciu, lecz w tym momencie mój mąż ma rację. Teraz, kiedy władze lokalne kłócą się z własnymi planistami, aby zbudować jak największą liczbę mieszkań, zmiana przeznaczenia gruntów to drobiazg. Może Bob powinien jechać? Weźmie aktywny udział w przekonywaniu starszej pani. Co więcej, ma rację, od lat nie byliśmy nigdzie sami, bez naszej grupy. Nie zasłużył na moją niechęć - w całej tej sprawie zachowywał się fantastycznie.

Z ciekawością zastanawiałam się, jak sobie poradzimy.

- Jeszcze jedno. Co zrobimy z Jeffreyem? Za późno, aby oddać go do hotelu.

- Pojedzie z nami. Zatrzymamy się tam, gdzie przyjmują gości z psami, a jeśli nam się to nie uda, prześpi się w samochodzie. Jeffrey jest psem, Cee. Spodoba mu się Cork. Te obce zapachy!

Najwyraźniej mój mąż uparł się jechać za wszelką cenę.

W porządku! Czemu nie?

Teraz poważnie żałuję tej decyzji. Bob jest w paskudnym humorze, pełzniemy w kłębowisku czegoś, co wydaje się płynną watą, i nigdzie nie dojedziemy zbyt szybko. Biorę z tylnego siedzenia pomiętą mapę i ponownie zaczynam ją studiować. Najbliższe godziny nie przedstawiają się zbyt różowo. Jeśli dobrze czytam mapę, przy tej prędkości od najbliższego hotelu czy restauracji, nie mówiąc już o celu podróży, dzieli nas przynajmniej godzina, a może więcej.

- Zatrzymaj się! - nakazuję.

- Co? - pyta mój mąż, lecz jednocześnie odruchowo wciska hamulec.

- Parę kilometrów wcześniej widziałam znak z napisem „Bandon 10”. Możemy zawrócić i jechać w kierunku tego miasta. Jest chyba dość spore. Zjemy coś dobrego i na pewno znajdziemy przyzwoity hotel. Będziemy tam za dwadzieścia minut. Niżej ta mgła nie była aż tak gęsta.

Bob wydaje się tak oburzony, jakbym chciała co najmniej donieść policji, że jego ukochana ciotka jest kleptomanką.

- Wracać?

- Dobrze. Nie chcesz wracać, to nie. Ty tu decydujesz.

Usiłuję przy tym złożyć mapę, szukam pierwotnych śladów składania i je wyglądzam.

- Chcesz jechać dalej? Możemy zawsze walnąć w jakąś krowę na drodze albo coś innego. To nie tylko głupota, Bob, to niebezpieczne.

Pochyla głowę jak wszyscy mężczyźni, kiedy głupota żon wyprowadza ich z równowagi.

- Dobrze! Sama chciałaś!

Silnik bmw ryczy, lecz jakoś to zniesie. Z braku miejsca Bob musi wykonać trójstopniowy manewr. Zaczyna zawracać, co na tej wąskiej drodze dla dużego samochodu byłoby trudne nawet przy dobrej pogodzie, a w tych warunkach staje się nadzwyczaj niebezpieczne.

Z tego, co wiemy, po obu stronach drogi mogą być głębokie rowy. Możemy też stanąć oko w oko z nadjeżdżającą z przeciwka potężną ciężarówką. Mamy włączone radio i nie słychać żadnych dźwięków z zewnątrz. Ale to był mój pomysł. Nic nie mogę poradzić na te niebezpieczeństwa. Zamykam więc oczy i trzymam się kurczowo boków siedzenia.

Bob jest dobrym i doświadczonym kierowcą, udaje mu się więc zawrócić. Ale to wcale nie poprawia mu nastroju.

- Na twoją odpowiedzialność, Cee - ostrzega, jadąc najszybciej, jak można. Jedziemy w dół ślimaka, którym dopiero co udało nam się wjechać.

Dam wam tylko przedsmak tego, jak wygląda reszta wieczoru. Znajdujemy pensjonat ze śniadaniem, a uprzejma właścicielka pozwala Jeffreyowi spać z nami w pokoju za niewielką dopłatą. Nie podają tam jednak kolacji. Zanim udaje nam się dotrzeć do centrum Bandon, jedyne miejsce, gdzie można coś zjeść, to miejscowy barek.

- Co za kraj! - zrzędzi Bob znad ryby z frytkami. - Ma tylko niespełna pięćset kilometrów długości i sto z ogonkiem szerokości, a jak długo już jedziemy? I wcale nie jesteśmy blisko! Kiedy ten rząd zacznie wreszcie działać i zrobi coś z drogami? To hańba! Trzeci świat, dokładnie tak samo. Gdybyśmy byli w Hiszpanii czy we Francji...

- Czy mógłbyś przestać narzekać? - Jestem teraz równie zdenerwowana jak on. - Uprzejmie przypominam, że sam chciałeś jechać ze mną. Gdybym jechała sama, już byłabym na miejscu, bo spytałabym o drogę.

Prowokuje mnie i nasza wspólna złość prowadzi do prawdziwej kłótni.

- Czy ty wiesz, co mówisz, Claudine? Zawsze masz rację, co?

- A kto upierał się jechać, aż w końcu nie dało się jechać dalej? Gdybyś choć raz schował dumę do kieszeni i spytał o drogę...

I dalej w tym stylu.

Tej nocy leżymy po przeciwnych stronach łoża małżeńskiego. Jeffrey, psi szczęściarz, słodko chrapie w nogach. "W takich chwilach jak ta tęsknię za mamą, kimś, do kogo mogłabym zadzwonić i ponarzekać na męża. Pozwoliłaby mi się wygadać do woli, wdychałaby solidarnie i stwierdziła, że podpisałam układ, który ma swoje wady i zalety, a ja muszę je akceptować. Wymieniłaby zapewne zalety Boba - a muszę przyznać, że ma ich wiele - pokazując mi, że to wszystko nie wygląda wcale tak źle.

Podejrzewam, że powodem, dla którego nie potrafię znieść sprzeczek ani kłótni, były

moje relacje z tatą. Nie chowam urazy, lecz każda następna sprzeczka otwiera stare rany, łącząc je podstępnie razem, aż w końcu nawet niewielkie przemówienie się mnie dobija. Choć więc pozornie jestem „przebojowa” - Bob mówi tak o mnie kolegom, jeśli nie zgadzam się z nim w ich towarzystwie, i potrafię się uprzeć przy swoim, kiedy tylko wierzę, że warto, to nie potrafię stawić czoła komuś, kto jest na mnie zły lub podnosi na mnie głos. Oczywiście osoba doprowadzająca mnie do takiego stanu z pewnością dowiedziałyby się ostatecznie o moich odczuciach. Dzisiaj pokłóciliśmy się o drobiazg, a przynajmniej wszystko tak się zaczęło, lecz przepelniło to czarę goryczy i nie mogę spać jeszcze długo w nocy. Wywracam na dziesiątą stronę wszystkie przykre rzeczy, które powiedzieliśmy sobie nawzajem, i staram się wymyślić nowe, jeszcze bardziej bolesne.

Usiłuję skupić się na interesach, na tym, dlaczego tu jesteśmy i jak podejść do starszej pani. Czy będzie pytać o dom? Ile mam jej powiedzieć? Czy uda się jednocześnie nie zmarnować jej zbyt stanem Whitecliff i wmówić, że kupując go, wyświadczymy jej przysługę?

Rozmyślałam nad tajemnicą zniszczenia schodów prowadzących na poddasze. Czy powinnam o tym wspomnieć? Czy ona o tym wie?

Oczywiście zapytałam o tę kwestię tamtego mężczyznę.

- Co się tu stało?

Podszedł do mnie ociężale, nadal omijając zabłoconymi butami jaśniejszy prostokąt podłogi, i stanął z rękami opartymi na biodrach.

- Czyż to nie prawdziwa forteca?

Zerknęłam w jego stronę. Odpowiedź wydawała mi się zbyt gładka. A jego wyraz twarzy? Zdecydowanie zbyt zdziwiony.

- Nie zauważył pan tego wcześniej?

- Nie, nigdy.

- A nie domyśla się pan, kto mógł to zrobić?

- Nie.

Zrobił parę kroków w kierunku schodów, wsunął głowę w drzwi i popatrzył w kierunku poddasza.

- I czemu ktoś miałby usuwać dziewięć czy dziesięć stopni?

Wzruszył ramionami i głosem na pół stłumionym przez drzwi, stwierdził:

- Kręcą się tu różne typy i nigdy nie wiadomo, co im się przyda.

Cofnął się i zamknął drzwi ze stanowczością, która pokazała mi, że może lepiej dać sobie spokój. Teraz jednak moja rozgorączkowana wyobraźnia zaczyna tworzyć najdziwniejsze scenariusze. Może zawiodła mnie samochwalcza zdolność oceniania ludzi i ten facet wcale nie jest tak niewinny, jak się wydaje. Może na poddaszu zostało popełnione przestępstwo. Może ciało leży tam nadal.

Gorączkowo usiłuję wrócić myślami do prowizorycznej szafki na narzędzia. Z całą pewnością ten facet miałby czym rozwalić schody.

Nakazuję sobie przestać się wygłupiać. Oczywiście on mógł to zrobić, ale prawdopodobnie nie miał złych zamiarów. Prawdopodobnie potrzebował drewna na opał. To jasne, że nie chce o tym mówić.

Usypiam dopiero dużo później.

Następnego ranka dzięki pięknej pogodzie budzimy się w jakby całkiem innym miejscu - niebo jest jasnyniebieskie, słońce zapowiada gorący dzień - a kiedy Bob po spacerze zamyka Jeffreya w samochodzie, jemy prawdziwe irlandzkie śniadanie na patio za domem. Chyba jesteśmy jedynymi gośćmi, a przy braku głosów innych ludzi ciężko znieść panującą ciszę. Nie rozmawialiśmy jeszcze tak naprawdę, jeśli nie liczyć zdawkowych: „Czy idziesz pierwszy do łazienki?” albo „Może przed wyjazdem napijemy się kawy?”.

Właścicielce pensjonatu natomiast usta się nie zamykają.

- Czyż pogoda nie jest, dzięki Bogu, fantastyczna? - pyta, nie oczekując odpowiedzi, w tym charakterystycznym dialekcie Cork o mocno falującej intonacji, napełniając nasze filiżanki kawą.

- Pewnie, że jest. - Bob szczyrzy zęby w uśmiechu. - Jakie są prognozy?

- Dobrze! Oglądałam wczoraj wieczorem i mówili, że idzie wyż znad Atlantyku i zostanie z nami na następnych parę dni. Trzeba go wykorzystać. Podróżują państwo?

- Tak - odpowiedziałam za nas oboje. - Ale mamy pewien problem. Może pani potrafiłaby nam pomóc. Jesteśmy tu po raz pierwszy.

Wyjmuję z torebki adres pani Collopy i podaję kobiecie. Kiedy odchodzi porozmawiać z mężem, zerkam na Boba w oczekiwaniu kolejnej kłótni.

- Źle zrobiłam? Nie mam ochoty spędzać kolejnego dnia w drodze na próżno.

Ma skwaszoną minę.

- Ta wczorajsza kłótnia była najgłupsza ze wszystkich durnych sprzeczek.

- Też tak sędzę - mówię. Mogę się odprężyć i powstrzymuję się od wytknięcia mężowi, że wszystko przez niego. Za to pochylam się i całuję Boba w policzek. - Uwierzmy tej kobiecie na słowo i wykorzystajmy dobrze ten dzień, co? - Przełykam głośno kawę. - Przepraszam za swoje zachowanie.

- Ja też.

Po chwili gospodyni wraca, niosąc dwa zestawy instrukcji napisanych na kawałkach papieru do drukarki: „1,5 godz.” jedną trasą, a „2 godz.” drugą.

- Ta dłuższa to trasa widokowa. Prowadzi przez Healy Pass. Przy takiej pogodzie widok będzie wspaniały. Zazdroszczę wam. Pojechałabym tam sama, ale czekam na dużą grupę rybaków z Anglii.

Dziękujemy jej, płacimy rachunek i ruszamy w drogę.

- Chyba widokowa, co? - pyta Bob. Samochód jest już uruchomiony, a my zapinamy pasy.

- Nie. - Kręcę głową. - Już straciliśmy dość czasu. Tommy będzie wściekły.

Okazuje się, że gospodyni wysłała nas z powrotem na drogę poleconą przez kolegę Boba. Miał absolutną rację w kwestii natężenia ruchu - odkąd wyjechaliśmy z Bandon, spotkaliśmy tylko jeden samochód. Po upływie dwudziestu pięciu minut ponownie wspięliśmy się na przełęcz, do której dotarliśmy wieczorem, i bez względu na uroki trasy widokowej, ta również jest jak na mój gust całkiem niezła, dziękuję pięknie.

Dokoła rozciąga się panorama, którą powinniśmy byli podziwiać wczoraj wieczorem. Łagodnie falujące wzgórza przed nami i po bokach ubrane są w zielenie, brązy i złoto oraz rozliczne odcienie wrzosów. W oddali poważne góry śpią spokojnie w czerwonawej mgiełce. Prawdopodobnie schodzą do samego Atlantyku, choć jeszcze go nie widać.

- Nieźle, co? - pyta z uśmiechem Bob i bierze mnie za rękę.

Chce mi wynagrodzić ostatni wieczór.

- Cudownie - odpowiadam z uśmiechem. Zatrzymujemy się w Glengarriff na kawę. Nie można inaczej - zbrodnią byłoby obojętnie przejechać brzegiem wspaniałej laguny. Nie jedziemy od razu do hotelu naprzeciwko, lecz idziemy na spacer brzegiem morza. Jesteśmy znów na przyjacielskiej stopie, więc bierzemy się za ręce. Obserwujemy promy turystyczne przewożące ludzi na zatłoczoną wyspę i z powrotem.

- To jest życie, co, Cee? - Bob znowu się uśmiecha.

Siadamy na niewysokim falochronie, by móc dalej obserwować życie w miejscu, gdzie flotylla otwartych łodzi odbija się w wodzie, a żeglarz zмага się z osprzętem swej dwumasztowej łajby. Jeffrey dyszy u naszych stóp.

- Cee, ty naprawdę chcesz mieć ten dom, prawda? - pyta mój mąż tak cicho, że ledwie słyszę jego słowa.

- Tak. Wiesz przecież. Bob, nie będziesz żałował, jeśli go zdobędziemy?

- Na pewno nie. Jesteś wspaniałą gospodynią, Claudine. Jesteś świetną żoną...

Ciągle trzymamy się za ręce, lecz jego dłoń nagle sztywnieje.

- Co się stało? - pytam, szukając jednocześnie odpowiedzi w twarzy Boba. Zaczerwienił się odrobinę. To rzadki widok, gdyż twarz pokerzysty to element jego pracy.

- O co chodzi?

- Claudine - uścisk jego dłoni jest silniejszy - muszę ci coś wyznać.

Podstępne macki strachu łapią mnie za gardło. Niedawno był na badaniach. Pewnie są już wyniki, lecz nie umiał mi powiedzieć. Ma raka prostaty - jest w takim wieku. Ostatnio ciągle mówią na ten temat w mediach. A jeśli się nad tym zastanowić, Bob ciągle sprawia wrażenie zmęczonego i częściej niż zwykle się zamyśla.

- Powiedz mi.

- Nie martw się...

- Powiedz...

- Obiecuj, że nie będziesz się wściekać.

- Bob, jeśli natychmiast nie przestaniesz... Wbijają wzrok w ziemię, a potem patrzy na lagunę.

- Próbuję się do tego przygotować. Nie wiem, jak zacząć.

- Po prostu mi powiedz. Razem jakoś sobie poradzimy. Muszę zapomnieć o Whitecliff. A te wszystkie wątpliwości, dlaczego właściwie jeszcze jesteśmy razem? Bzdury. Ten mężczyzna jest najważniejszą sprawą w moim życiu, to małżeństwo... Ścisła moją dłoń tak mocno, że aż pulsują mi palce.

- Przespałem się z inną kobietą.

Nie ma tego złego

Było tuż po wpół do ósmej, zasłoniliśmy już okna i ku uldze mojej mamy wiele par, głównie młodszych, zaczęło tańczyć. Podśledzałam, jak wcześniej mówiła niani, że martwi się, czy goście naprawdę dobrze się bawią.

- Goście nie integrują się ze sobą za bardzo. Spójrz, pastor nie ma z kim rozmawiać. Szybko, nianiu, zaproponuj mu kolejny kieliszek porto.

Było prawdą, że po początkowym wybuchu radości przyjęcie jakby trochę przycichło. Mama i wuj Samuel błagali Marjorie, żeby zaśpiewała nam jakąś piosenkę - miała największy talent muzyczny w całej rodzinie - lecz zdecydowanie im odmawiała. Kiedy jednak podano posiłek i kiedy wino oraz inne trunki rozwiązały języki, a także rozluźniły krawaty, atmosfera ponownie się ożywiła, a w salonie, wypełnionym papierosowym dymem i przyćmionym bladożółtym światłem żyrandoli oraz świec, podniosła się radosna wrzawa. Nawet muzykanci na piętrze, kiedy ich wysiłki zaczęły wreszcie przynosić owoce, zagrali szybciej i nareszcie zaczęło to wyglądać jak prawdziwe przyjęcie, o jakim czytałam i marzyłam.

Pomimo jednak ogólnej radości i dobroduszných docinków ze strony bliźniaków i ich przyjaciół, którzy byli zdecydowanie najbardziej hałaśliwą grupą w całym towarzystwie, nie bawiłam się zbyt dobrze. Nikt z przyjaciół Samuela młodszego nie zwrócił na mnie uwagi. I tak mi się nie podobali - pili zbyt dużo i śmiali się zbyt głośno, a jedna z dziewcząt niezbyt grzecznie określiła kolegów bliźniaków, mówiąc o nich „wieśniaki”.

Ale to nie był jedyny powód. Miałam dwa związane ze sobą problemy.

Biedny Coley i jego siostra Florrie, bardzo miła, choć nieśmiała i grubawa, stali sami w kątku. Kiedy tylko nadarzyła się okazja - podczas roznoszenia kanapek przez nianię, jej pomocnicę, Marjorie, mnie i Johannę - przedstawiłam ich mamie.

- Mamo, poznajesz Coleya Quinna? A to jego siostra, Florrie.

- Witaj, Florrie. Oczywiście, że znamy Coleya. Jak się masz? Jak się czują rodzice?

Mama wprawdzie zaprezentowała dobre maniery, lecz zaledwie Coley zdążył odpowiedzieć, odeszła do dyrektora banku i jego żony. Choć jej odejście tak naprawdę było mi

na rękę, uważałam to za niezbyt miłe. Przedstawiłam Coleya i Florrie Johannie oraz Shirley, niektórym kolegom bliźniaków, a także Marjorie, ale za każdym razem po kilku zaledwie minutach Quinnowie wracali na swoje miejsce w kącie. Pragnęłam, naturalnie, porozmawiać z Coleyem sam na sam, ale okazało się to niewykonalne. Widziałam, że przygląda mi się bezustannie, i miałam wrażenie, że zaraz się rozpadnę na kawałki z przygnębienia.

Drugim problemem, a nawet sednem całej tej niezręcznej sytuacji, była Mary Quigley. Od samego początku przykleiła się do mnie niczym pijawka. To znaczy, kiedy akurat nie kokietowała mojego ukochanego.

Zaczęło się, gdy tylko Coley i jego siostra przekroczyli próg domu.

- Nie zostawiaj mnie, Violet Shine - wyszczała, kiedy poszłam, aby się z nimi przywitać, musiałam więc zabrać ją ze sobą do drzwi.

- Dobry wieczór, Coley. Miło cię widzieć - powiedziałam, jakby był po prostu jednym z wielu gości.

Kiedy przedstawił mi siostrę, zwróciłam się do Mary, która uczepiła się mojego ramienia.

- Coley, Florrie, chyba nie znacie Mary Quigley?

Mary natychmiast zaczęła zalecać się do niego. Tylko tak można to określić. Zachowywała się nieskromnie, a nawet, moim zdaniem, skandalicznie. Ufałam, rzecz jasna, Coleyowi, i udało nam się nawet wymienić jedno czy dwa znaczące spojrzenia - z upływem czasu jednak sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Ponieważ wraz z Johanną, nianią i jej pomocnicą musiałam pełnić obowiązki gospodyni, miałam dwie możliwości - albo zostawić Mary z Coleyem, albo holować ją za sobą po pokoju, w nadziei że znajdzie sobie inny obiekt. Nie chciała jednak zostać z kimś innym.

W końcu wujek Samuel przyszedł mi z odsieczą.

- A kimże jest ta urocza maleńka dziewczynka? - zapytał mnie, kiedy po kolacji wraz z Mary kolejny raz obchodziłyśmy salon, by sprawdzić, czy wszyscy goście mają pełne kieliszki.

- To moja przyjaciółka Mary Quigley - przedstawiłam ją.

- Chodź tu do mnie, młodziutka Mary, i opowiedz mi o sobie. - Wujek mrugnął do mnie i wskazał dłonią miejsce obok siebie. - Przyglądałem się wam i zauważyłem, jak ciężko pracujecie. Wiem, że Mary bardzo ci pomaga, ale musimy teraz porozmawiać, a ty, Vio-

let, także idź sobie odpocząć. Idź i powiedz któremuś z tych młodzieńców, żeby zaprosił cię do tańca!

Popatrzyłam na niego zaskoczona. Wujek z pewnością wiedział, że w tych sprawach inicjatywa nie należy do dziewcząt.

- Ja też pójdę! - Mary zaczęła wstawać, aby stanąć obok mnie, lecz wujek mrugnął do mnie raz jeszcze.

- Mary, skarbie, chyba nie zostawisz mnie, staruszka, samego, prawda? Oczywiście mógłbym cały czas rozmawiać ze swoją siostrzenicą, ale usiądź tutaj i pozwól Violet zrobić to, co każe jej wujek. - Złapał Mary za rękę i pociągnął na miejsce obok siebie.

- Dziękuję, wujku - powiedziałam z uśmiechem i zapewniłam wyraźnie rozzłoszczoną Mary, że niedługo wrócę, po czym odeszłam.

Johanna właśnie wchodziła do pokoju z syfonem pełnym świeżej wody, podeszłam więc do niej najszybciej, jak pozwalały dobre obyczaje.

- Jeszcze nie tańczyłam - oznajmiłam błagalnie. - Aż mnie stopy świerzbią. Jedynym znanym mi młodzieńcem w tym domu, poza braćmi, rzecz jasna, jest Coley Quinn.

Wiedziałam, że wspomnianie o nim w jej obecności jest niemądre, lecz byłam w desperacji.

- Kłopot jednak w tym, że nie może zostawić siostry samej. Johanno, czy zajmiesz się nią przez chwilę? Zatańczę tylko jeden taniec, potem możemy się zamienić - dodałam. - Poproszę Coleya, żeby zatańczył także z tobą, a wtedy ja zostanę z jego siostrą - mówiłam pod wpływem nagłego natchnienia.

I zaraz potem, nie dając Johannie czasu na odpowiedź, podążyłam do miejsca, gdzie stali Coley i Florrie.

- Johanna chciałaby z tobą porozmawiać, Florrie. My natomiast, Coleyu Quinn - powiedziałam beztrąsko i bardzo głośno, z nadzieją że zabrzmiało to jak głos kogoś porwanego w wir ogólnej radości - zatańczymy!

Zanim którekolwiek z nich zdążyło zareagować, niemal zaciągnęłam zdumioną dziewczynę do siostry.

- Proszę, Johanno - oznajmiłam. - Oto i ona, jak sobie życzyłaś. Będę z powrotem za dwa takty.

Po powrocie do Coleya zdałam sobie sprawę, że zarówno wujek Samuel, jak i Mary

Quigley widzieli to przedstawienie. Dotarło do mnie, że stąmam po grząskim gruncie, lecz nie przejęłam się tym zbytnio, kierowana pragnieniem objęcia Coleya choćby na parę minut. Nie obchodziło mnie, co sobie o mnie pomyślą inni. W owej chwili podeszłabym do Coleya przed nosem taty i depcząc po stopach mamie. Wzięłam go pod rękę i wprowadziłam w tłum tańczących par, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza w świecie. Przez gruby materiał garnituru czułam, jak drży mu ramię, co jeszcze dodatkowo rozpaliło moje zmysły, i zanim znaleźliśmy się w miejscu, gdzie mogliśmy stanąć do siebie przodem, każdy skrawek mojego ciała płonął.

Nasi muzykanci porzucili na chwilę typowy repertuar irlandzkich tańców oraz staroświeckich walców i zagrali „Moonlight Serenade”, którą znałam z radia. Pary wokół nas tańczyły przytulone, więc ja także spokojnie oparłam swój policzek na policzku ukochanego.

Szybko odkryłam, że taniec nie jest mocną stroną Coleya. Poruszał się co prawda w rytm muzyki, lecz nie znał kroków fokstota ani quickstepa. Ja natomiast, wyszkolona na przerwach przez koleżanki ze szkoły panien Biggs, radziłam sobie bez kłopotu. Nie miało to jednak większego znaczenia. Jego oczy i drżenie ramion mówiły mi, jak bardzo mnie kocha. Byliśmy razem, poruszaliśmy się w rytm muzyki i ze wszystkich sił opierałam się pragnieniu, aby go pocałować. To jednak mogłoby mieć zgubne skutki.

- Och, Coleyu - wyszeptałam więc, zamiast go pocałować - kocham cię, kocham cię, kocham.

- Wyglądasz cudownie, Violet - wyszeptał w odpowiedzi. - Czy moglibyśmy się wymknąć na trochę?

- To niemożliwe - odparłam niemal ze śmiechem. - Nie żebym nie chciała, rzecz jasna - dodałam szybko, aby nie pomyślał, że mam go dość.

- Spotkamy się przy drzewie?

Rozejrzałam się dokoła, czy nikt nas nie obserwuje.

- Kiedy?

- Jutro rano, bardzo wcześnie. Czy dasz radę się wymknąć? Wszyscy będą spali do późna.

Rozejrzałam się raz jeszcze, czy nikt nie podsłuchuje, i napotkałam rozbawione spojrzenie kierownika mleczarni, który tańczył z żoną nieopodal nas. Obdarzyłam go promien-

nym niewinnym uśmiechem, na co odpowiedział przyjacielskim skinieniem głowy. Zdecydowałam, że szeptanie jest zbyt niebezpieczne, więc powiedziałam Coleyowi równie dużo wzrokiem, po czym odsunęłam się od niego i oddałam stanowczemu, lecz zmysłowemu rytmowi fokstrota, drżąc przy każdym „przypadkowym” kontakcie moich piersi z jego torsem lub biodra z jego biodrem.

Kiedy orkiestra zaczęła zwalniać tempo, zorientowałam się, że taniec się kończy, zdecydowanie zbyt szybko.

- Spróbuję przyjść - wyszeptałam spiesźnie, nie poruszając ustami i patrząc na orkiestrę na podeście. - Ale to musi być naprawdę wcześniej. O szóstej? Muszę wrócić do pokoju przed siódmą.

Rodzice i niania nie lubili leżeć za długo w łóżkach. Młodszy uczestnicy przyjęcia, czy nawet wujek Samuel nie liczyli się aż tak bardzo pod tym względem.

Gdy ucichł akompaniament bębna i cymbałów, puściłam rękę Coleya i wspólnie oklaskiwaliśmy orkiestrę.

Obok nas James, pośród śmiechu i zachęt przyjaciół, obracał wciąż partnerkę tak szybko, że z trudem udawało jej się utrzymać równowagę.

- Dziękuję bardzo, Coley - powiedziałam, kiedy głosy tamtych wreszcie ucichły, aby było mnie dobrze słyszeć. - Bardzo mi było miło. Pamiętaj, że teraz masz zatańczyć z Johanną.

- Hej, Violet! - zawołał James, podtrzymując swoją partnerkę. - Nie widziałem cię tu. Łap ją, Ginger! - krzyknął ponownie i pociągnął dziewczynę w kierunku jednego z młodych farmerów. - Zajmij się nią - a potem zwrócił się znów do mnie: - Chcę zatańczyć z moją małą siostrzyczką - oznajmił z uśmiechem. - Chodź, zatańczymy.

Kiedy więc orkiestra zagrała „Look for the Silver Lining”, brat złapał mnie za rękę, a ja ponad jego ramieniem patrzyłam, jak Coley idzie w kierunku salonu.

Nie protestowałam. Któż mógłby mieć do mnie pretensje o to, że tańczę z własnym bratem? Florrie przeżyje ten jeden taniec bez towarzystwa, pomyślałam. Cały wieczór ciężko pracowałam, zajmując się gośćmi, więc jak słusznie zauważył wujek Samuel, należała mi się przerwa.

James zawsze świetnie tańczył, toteż zanim się spostrzegłam, bawiłam się świetnie i to nie tylko dlatego, że za kilka godzin miałam się spotkać z kochankiem, lecz także ze

względu na nastrój tej chwili. Wspaniale być młodym i zakochanym, wspaniale tańczyć w otoczeniu wesołych i pełnych werwy młodych ludzi, wspaniale mieć całą rodzinę w domu wypełnionym muzyką, zabawą i radością.

Krew krążyła mi w żyłach tak szybko, jak poruszały się stopy, kiedy James zręcznie omijał inne pary. W jasnej płóciennej marynarce i białych spodniach do krykieta wyglądał wspaniale - jedynie króciutko obcięte włosy, takie same jak Thomasa, były odrobinę nie na miejscu. Thomas przesuwał się wraz z partnerką w rytmie quickstepa.

- Dobrze się bawisz, Violet? - zapytał James z uśmiechem, a ja nie bez pewnej przyjemności zdałam sobie sprawę, że jesteśmy niemal tego samego wzrostu.

- Wspaniale. Wszystko jest wspaniale.

- Wyglądasz prześlicznie. Ładnie ci w bieli, siostrzyczko. Czyż ona nie wygląda pięknie, Thomasie? - zawołał nad głowami oddzielających nas par do brata.

- No, jest śliczna! - krzyknął w odpowiedzi Thomas z szerokim uśmiechem. - Wspaniała noc! Kochany Rod! Kochana Muszka! Nie zapomnimy nigdy tego, co dla nas zrobili! - I zniknął.

- I tyle go widzieli. Ale szczerze mówiąc, Violet, będziemy musieli cię zamknąć przed tymi wszystkimi chłopakami.

- Tylko spróbuj, James, tylko spróbuj! - odpowiedziałam beztrąsko. A potem przyłączyłam się do śpiewu, czy też raczej wykrzykiwania słów piosenki, gdy niemal zagłoszyliśmy solistę na podeście.

- Nigdy nie zapomnij tej nocy, siostrzyczko - krzyknął mi do ucha James. - Obiecujesz?

- Tak, tak, tak! - odkrzyknęłam w odpowiedzi. - A ty?

- Pewnie, że nie zapomnę. - Patrzył przy tym jednak gdzieś w przestrzeń nad moim ramieniem. Miał dziwny wyraz twarzy. Zatrzymałam się i spojrzałam w tym samym kierunku. Dostrzegłam jedynie błysk ciemnoniebieskiego atłasu za drzwiami salonu.

- Co się stało, James?

- Nic. Martwię się o mamę, to wszystko. Widziałem kilka razy, jak nam się przygląda. Zaopiekujesz się nią, Violet?

- Oczywiście, głuptasie! - odparłam lekko. Sam pomysł roztaczania przeze mnie, szesnastolatkę, opieki nad naszą niezależną i groźną mamą był śmieszny. - Chodź, mamy

przecież tańczyć. - Wyciągnęłam do niego rękę, lecz wyraz twarzy mojego brata nie uległ zmianie. - Czy chodzi o wojnę? - zapytałam całkiem poważnie.

Miałam nadzieję, że zaprzeczy; chciałam uchronić przynajmniej ten jeden wieczór przed ciemną stroną życia.

- Wcale mi się to nie podoba, ale masz rację, siostrzyczko. - Tym razem twarz mu się rozjaśniła, choć wymagało to zapewne sporego wysiłku. - Co ma wisieć, nie utonie. Cieszymy się więc każdą chwilą tego balu. Jutro będziemy się martwić.

- James? - zawahałam się. Chciałam powiedzieć coś głębokiego, co dodałoby mu otuchy. Wyraziłam zaś jedynie opinię powtarzaną w całym okręgu. - Wróćcie do domu jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Wszyscy tak mówią. To potrwa tylko... zaraz, jak długo? Siedem, osiem miesięcy od dziś?

- Pewnie, że tak!

- Wróćcie!

- Wiem, wrócę. Wrócimy obaj. - I nagle James spojrzał mi prosto w oczy. - Gotowa?

- Na każde twoje wezwanie, żołnierzyku!

Tańczyliśmy z zapalem, mocno stukając przy tym w nieustępliwe płytki podłogi, aż oboje całkiem zapomnieliśmy - a przynajmniej ja - o krótkiej wycieczce w strefę cienia. Z radością zaczęłam się zastanawiać, czy Coley także sądzi, że wyglądam pięknie w tej sukience, czy podobają mu się przedwojenne sandaalki pożyczone od mamy. Czy widzi, że mam szczupłą talię i jędrne piersi.

Czy podobnie jak ja liczy, że jutrzejszy dzień przyniesie nam coś wspaniałego?

Wspólnie z bratem ponownie zaśpiewałam refren piosenki: „Poszukaj srebrnej drogi...”.

Kolejna wspaniała przygoda

Te wszystkie roztrząsania i domysły na temat naszego małżeństwa. Przejmowanie się humorami męża... Niespodziewana propozycja wspólnej podróży - „tylko ty i ja...”.

Jeffrey wyrывa się za mną, kiedy samotnie ruszam przed siebie.

Bob zręcznie wybrał czas i miejsce - daleko od domu, na dworze, wśród innych ludzi... W przeciwieństwie do psa nie usiłuje iść za mną. Nawet nie patrzy w moją stronę - siedzi ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Na wpół oślepiąca uczuciami, których nie potrafię jeszcze nazwać, pozwalam, by stopy same niosły mnie drogą. Najwyraźniej same z siebie wspinają się po schodach do hotelu, gdzie w barze zamawiam filiżankę kawy.

- Proszę uprzejmie! - Dziewczyna za kontuarem odwraca się do ekspresu. - Życzy sobie pani bułeczkę? - śpiewa przez ramię. - Prosto z pieca. Sami je pieczemy.

- Tak, proszę.

- Dać kropelkę śmietanki? - pyta z konspiratorskim uśmiechem. - I dżem?

Tak, tak, tak, wszystko mi jedno, tylko zamknij buzię. Zamiast jednak na nią nakrzyć, proszę o podanie śmietanki i dżemu. Zgadzam się też z nią, że to magiczny dzień i że przy odrobinie szczęścia będzie takich więcej, bo wszelkie znaki - delfiny, starzy przepowiadacze pogody z Dingle oraz pszczoły zapowiadają piękną pogodę.

Dopiero kiedy siadam przy stoliku, zdaję sobie sprawę, że nie mam pieniędzy. Torebka została w samochodzie.

Nie mogę myśleć o tym, co powiedział Bob, jeszcze nie teraz, zmuszam się więc do oglądania wnętrza: staroświeckich tapet, długiego mahoniowego kontuaru, dwóch mężczyzn w średnim wieku ulokowanych obok siebie na wysokich krzesłach. Obaj ubrani są w tweedowe marynarki i dziwaczne filcowe kapelusze - może fedory - w każdym razie coś w tym stylu. Kogo interesuje, co to za kapelusz? Kufle przed nimi są już na wpół opróżnione. Choć obaj siedzą blisko siebie i z pewnością są przyjaciółmi, najwyraźniej nie potrzebują słów, by się porozumieć. Szczęściarze.

Przez okno widzę Boba. Ciągłe siedzi tam, gdzie go zostawiłam, i patrzy w ziemię. Uderza mnie, jak bardzo jego raniące słowa nie pasują do tego wspaniałego otoczenia i spokoju. Ludzie na plaży zwracają się ku słońcu niczym kwiaty, uśmiechając się do siebie. Paty przechadzają się ramię w ramię, turyści różnych narodowości machają sobie z promów, zupełnie jak przedszkolaki na wycieczce.

I jesteśmy my - małżeństwo, on tam, a ja tu, przyglądam się nieistotnym szczegółom, a jednocześnie usiłuję wepchnąć w głąb siebie to oślizgłe, czarne jak smoła zdanie, które uparcie pcha się między nas.

- Proszę - dziewczyna stawia na stoliku kawę i bulki. Dwie. - Smacznego. Jeśli będzie chciała pani coś jeszcze, proszę zawołać.

- Dobrze, dziękuję.

Kątem oka widzę, jak mój mąż wpycha opierającego się psa do samochodu. Przejeżdża pod oknem baru. Szuka cienia. Zostawi psa w samochodzie z otwartymi szybami i wejdzie pewnie do środka.

Patrzę, gdzie się ukryć, lecz łapię spojrzenie barmanki, która natychmiast odpowiada mi uśmiechem, zupełnie jakbyśmy wspólnie planowały zjeść zakazany owoc. Usiłuję również się uśmiechnąć.

Słyszę stłumione szczekanie Jeffreya. Nie znosi siedzieć sam w samochodzie.

A oto i Bob. Trudno wyczytać coś z jego twarzy. Co mam zrobić? Jak zareagować? Nie czuję złości. Nic nie czuję. Poza paniką, która mnie poraża.

- Claudine, mogę usiąść?

- Oczywiście.

Wysuwa krzesło i siada naprzeciw mnie. Podchodzi do nas barmanka.

- Dzień dobry. Co podać?

Szkoda, że nie ma innych klientów. Jesteśmy tylko my i dwóch milczących mężczyzn.

- Poproszę kawę.

W głosie Boba słychać napięcie. Jest mi go żal. Na szczęście szybko się z tego otrząsam.

- Samą kawę? Nie da się pan skusić na bułeczkę czy choćby herbatnika?

- Nie, dziękuję. Tylko kawa.

- W porządku. Zaraz przyniosę.

Dziewczyna patrzy na nas z zaciekawieniem. Może wcale nie umiemy się maskować tak dobrze, jak mogłoby nam się wydawać.

Obydwoje patrzymy na sielankę za oknem.

- Wyreżyserowałeś to! - mówię spokojnie, patrząc na całującą się parę młodych turystów ze Skandynawii. Siedzą na murku w pobliżu miejsca, gdzie zmieniło się całe moje życie.

- O co ci chodzi? - Wiem, że Bob odwrócił się w moją stronę.

- O to. Nie mogłeś mi tego powiedzieć w domu? Całe to gadanie o wspólnym wyjeździe tylko we dwoje! Zaplanowałeś to, Bob. - Teraz ja także patrzę na niego. - Jesteś handlarzem, postanowiłeś złapać mnie w pułapkę, żebyś mógł mnie przekonać. Cóż, mam kiepskie wieści. Nie uda ci się. Mam kartę kredytową. Mogę wynająć samochód. Mogę nawet go kupić, jeśli będzie trzeba. Mogę sobie wziąć tyle pieniędzy, ile tylko zechcę, nawet na mercedesa. Mamy wspólne konto, pamiętasz?

Zaskoczyłam siebie samą. Czytając w brukowcach lub czasopismach o kobietach, które wszem wobec przysięgały, że zrujnują niewiernych mężów przy okazji rozwodu, myślałam zawsze: „Jakie to żalosne. Trzeba się szanować!”. Co więcej, wygłaszałam jeszcze kilka utartych banałów w stylu: „Obie strony mają te same prawa, nikt nie jest właścicielem swojego partnera, nie należy się kłócić o pieniądze” itp., itd.

- Masz prawo się złościć, Cee...

Zanim zdąży powiedzieć coś więcej, przychodzi barmanka z kawą. Dziewczyna zostawia ją na szczęście bez słowa i wraca za kontuar. Jestem jej naprawdę wdzięczna. Choć wygląda uroczo i nie można jej nic zarzucić, Chybabym ją uderzyła, gdyby otworzyła buzię. Nie czuję się już sparaliżowana i mąż ma rację w kwestii mojego gniewu - widok Boba Armstronga siedzącego przede mną sprawił, iż mój oddech jest tak szybki i płytki, że ledwie mogę złapać powietrze. Dociera do mnie, że chcę wbić twarz mojego męża w blat stołu i stanąć na niej, żeby zamieniła się w bezkształtną miazgę...

Jednak podobnie jak wcześniej trudno jest mi przełamać nawyki wtłoczone do głowy w prywatnej szkole przez nobliwe nauczycielki. Świetnie mnie wyszkoliły.

Mogłabym rozbić ten cały bar, szklanka po szklance i kieliszek po kieliszku, lecz w uszach ciągle mi dźwięczą słowa wpajane w szkole: „Co na dłuższą metę, poza poniżeniem, można w ten sposób osiągnąć?”.

- Dobrze się czujesz? - Bob wygląda teraz na przestraszonego.

- Poza świadomością, że byłam ślepą idiotką? Biedna Claudine Magennis. Taka naiwna, prosta, ufna duszyczka.

- Claudine...

- A kto to jest? - wymyka mi się bezwiednie.

Sprawdzam, czy nie słyszał tego nikt inny w sali. Mężczyźni ciągle siedzą nieruchomo. Barmanka wyciera szklanki. Ona mogła słyszeć, lecz nie daje niczego po sobie poznać. Wszystko mi jedno.

Bob patrzy na mnie błagalnie.

- Chcesz wiedzieć, kim była?

- Ooo, umarła? Przykro mi z powodu twoich kłopotów.

- Nie, nie umarła. - Znowu patrzy na swe niezwykle interesujące stopy. - I to jest pewien problem - dodaje tak cicho, że ledwie go słyszę.

Słyszę jednak.

- Urocze. Kochasz się z kobietą, która nie jest twoją żoną, a potem chcesz, żeby umarła? Ależ z ciebie szarmancki mężczyzna.

- Byłem z nią tylko raz - mówi tym samym tonem. - I z pewnością nie była to miłość. Upiłem się - i nic nie pamiętam.

- Oszczędź mi szczegółów. - Podnoszę ręce, jakbym chciała odczynić urok. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Kim ona jest?

- Nie znasz jej.

- To jakaś pociecha. Ale słucham.

- Kobieta, którą spotkałem w Galway.

- Na konferencji? - Pamiętam pijany głos mojego męża w słuchawce tamtego sobotniego wieczoru, a w tle dzikie wrzaski i śmiechy. Pamiętam, jak pomyślałam: Dzięki Bogu, że mnie tam nie ma.

- Tak, właśnie wtedy. Wcale nie jestem z siebie dumny, Cee. Zachowałem się jak ostatni dureń. Ale zanim coś powiesz, posłuchaj. To żałosne, choć to głupie słowa, ale tak właśnie wygląda prawda.

Coś wydostaje się na powierzchnię. Coś zimnego i oślizgłego. Dlaczego właśnie teraz? Czy on i Panna Puszczańska mają wspólne plany?

- Czy mogę ośmielić się spytać, czemu mówisz mi o tym właśnie teraz?
- Uwierz, Claudine, gdybym mógł cię nie ranić, gdybym mógł odciąć sobie palec...
- To nie będzie konieczne. Dlaczego, poza oczywistym powodem, że przespałeś się z tą kobietą, mówisz mi o tym?

Przygląda mi się uważnie, a ja przypominam sobie więcej szczegółów: ciche kroki na schodach, gdy wracał do domu późno w nocy, szelest zdejmowanego ubrania. Zapach alkoholu, kiedy mój mąż wsuwał się do łóżka.

- To nie był tylko ten jeden raz, co, Bob?
- Przysięgam na Boga, tylko ten jeden. Straciłem rozum, piłem już od południa. Teraz nienawidzę tej kobiety, Claudine. Ale ona... - Bob znowu patrzy na swoje stopy - wyobraża sobie coś więcej. Usiłowałem ją przekonać, jednak...

- Gdybyś ty mi nie powiedział, zrobiłaby to sama? Żołądek zaciska mi się ze zdenerwowania, lecz zachowuję spokój adwokata, który w obecności sądu musi przepytac niepewnego klienta. Jestem spokojna. Rozsądna za wszelką cenę. Żadnego straszenia w sądzie.

- Bob, ale dlaczego? O co jej chodzi? Jeśli ty twierdzisz, że to jedna noc...
- Było, jak mówię. Tylko ona mi nie wierzy, że to koniec - mówi cicho, jakby do siebie. Ma czelność okazywać żal. - Słuchaj, Claudine, wiesz już wszystko. Nie ma zupełnie nic, co mogłoby złagodzić tę wiadomość. Lecz jeśli i kiedy tamta do ciebie zadzwoni, jak straszyla, będziesz przynajmniej wiedziała, jak wygląda ta sprawa z mojej strony.

- Chyba ci ulżyło. Jakby to już był koniec całej tej historii.
- Może jestem głupkiem, ale nie aż takim. Pewnie, że to nie koniec tej sprawy. Jednak masz rację, ulżyło mi, że to już nie sekret, że mogę do niej zadzwonić i powiedzieć, że nie ma już na mnie haka. To był koszmar.

- Biedactwo!
- Taaaa. Biedactwo - powtarza z goryczą.
- Czy to już wszystko? - Jestem lodowato uprzejma. - A może jest coś jeszcze? Ta twoja kochanka nie zaszła przypadkiem w ciążę? Czy to nie wyjaśniałoby, dlaczego cię prześladowuje? Zastanówmy się, policzmy...

- Przestań, Cee! - Bob wyciąga rękę, aby powstrzymać potok słów, lecz po namyśle ją cofa. - Nie jest w ciąży.
- O, dzięki Bogu. Co za ulga! Waha się przez chwilę.

- Wielki Boże. Jest coś jeszcze, prawda? Wyduś to z siebie.

- Wiem, że zabrzmiało to niewłaściwie i wstrętne. Wiem, że zrobiłem z siebie kompletnego durnia. I wiem, że to nic nie zmieni, ale jest mi naprawdę bardzo przykro. Oczywiście mi nie uwierzysz, ale nic takiego już się nigdy nie zdarzy.

Nie mam zielonego pojęcia, jak powinnam zareagować. Nie mam doświadczenia. Nie mam kogo spytać. Gdyby tata żył... na samą myśl o tym ogarnia mnie uczucie osamotnienia, gładkiego i zimnego jak lód. Bob przygląda mi się z uwagą, a kiedy nie odpowiadam na jego słowa, wskazuje na nietkniętą kawę i bułki przede mną i pyta:

- Skończyłaś?

- Tak.

- To chodźmy stąd.

Wychodzimy z baru i wsiadamy do samochodu. Dociera do mnie, że w tym miejscu zawsze już będę myśleć o tym samym. Mój mąż na zawsze zrujnował piękno tego krajobrazu i wszystko wydaje mi się tandetne, pocałunki młodych turystów są ostentacyjne, a nie radosne, błyski zaś na powierzchni morza przypominają zakupy w tanim sklepie.

Przed uruchomieniem silnika Bob zwraca się do mnie.

- Dokąd jedziemy? Chcesz wracać do domu?

- W żadnym wypadku. - Jego pytanie dodaje mi odwagi. Choć zniknęło całe podniecenie, mam przecież przed sobą poważną misję, ważniejszą niż kiedykolwiek.

- W porządku. - Przekręca kluczyk. - Wiem, co o mnie myślisz, ale moja oferta pomocy nadal jest ważna. Cokolwiek zechcesz.

Cokolwiek zechcę. Głaszczę miękki i gładki łeb Jeffrey'a pomiędzy naszymi fotelami. Chciałabym, żeby się to wszystko nie stało.

Jeffrey liże moją dłoń. Dla niego jesteśmy razem, nasza mała trzyosobowa rodzina, w drodze ku kolejnej wspaniałej przygodzie.

Rafia

Jak masz zamiar do tego podejść, Claudine?

- Jeszcze nie wiem.

To pierwsze słowa, odkąd czterdzieści minut temu opuściliśmy Glengarriff. Wjeżdżamy do wsi, w pobliżu której mieszka pani Collopy. Są tu dwie wąziutkie uliczki zabudowane szeregiem niewysokich, piętrowych domków poprzątkanych kilkoma pubami i sklepikami. Choć wiele drzwi stoi otworem, jedynymi widocznymi mieszkańcami miasteczka są dwa zjeżone owczarki collie, które warczą na siebie na środku ulicy.

Mimo że przeszkadza mi cisza, nie zacznę mówić, choćbym nawet miała dostać za to milion dolarów. Tajemnica Boba jest jakaś nierealna - jakby działo się to w kinie albo jakby chodziło o kogoś innego. Nie kręci mi się już w głowie. Choć jestem wściekła na męża, jednocześnie jest mi to wszystko obojętne, nawet jeśli te dwa stwierdzenia pozornie sobie przeczą. Pod tym względem jestem nieodrodną córką swojego taty; „Kiedy coś się psuje, policz do dziesięciu, zanim upadniesz. A im wolniej uda ci się liczyć, tym lepiej dla ciebie, ponieważ między dziewiątką a dziesiątką może zdarzyć się coś, co doda ci sił. Nic nie jest zawsze takie samo. To jedyny pewnik na tym świecie”.

- Powinnaś mieć jakiś plan... - Boba nie zraża mój ton. Chyba nawet jeszcze go zachęcałam.

Decyduję się wyjaśnić całą sytuację.

- To już nie twoje zmartwienie. Zatrzymaj się!

Patrzy w lusterko, po czym posłusznie zjeżdża na bok i zatrzymuje się przed sklepem połączonym z pocztą. Potrzebuję dalszych wskazówek. Adres tamtej kobiety świadczy, że mieszka poza wsią.

To pora lunchu i okienko poczty jest zamknięte, lecz dziewczyna za ladą w części sklepowej zerka na mnie ciekawie.

- Pani Collopy, tak? Ona nie żyje. Czy jest pani z nią spokrewniona?

- Nie, nie jestem. Wiem, że zmarła, ale chciałabym porozmawiać z jej siostrą, jeśli to

możliwe. Jeśli dobrze rozumiem, miała siostrę?

- Tak, miała, ale chyba mówi pani raczej o jej szwagierce. Mieszkały razem przez kilka lat, ale teraz, po śmierci starszej pani, nie wiem, czy ta druga jeszcze tu jest. Dziś mamy środę, więc może być w mieście. W środy przyjeżdża do fryzjera. Proszę poczekać, zapytam Judy.

Zanim udaje mi się wtrącić choćby słowo, dziewczyna otwiera drzwi i wychodzi na zaplecze, sklep zaś wypełnia się zapachem gotowanych ziemniaków.

Przez kilka sekund z zaplecza dobiega jedynie pogłos rozmowy, a potem moja rozmówczyni wraca w towarzystwie starszej od siebie kobiety, która wyciera dłonie w ścierkę.

- Czy pani chce kupić dom pań Collopy? Dziewczyna zostaje z tyłu, a kobieta wchodzi do części pocztowej i podnosi słuchawkę.

- Zadzwoń do niej. Tak najszybciej się dowiemy, czy jest u siebie czy nie. Mam powiedzieć, że kto pyta?

- Nazywam się Armstrong, Claudine Armstrong. Ale ona mnie nie zna. Jestem tu w interesach.

- W interesach! - śmieje się pracownica poczty. - Więc lepiej ją odnajdźmy!

Patrzy na mnie uważnie i zdaję sobie sprawę, że zrobiłam błąd. W ciągu paru godzin, a może nawet minut wszyscy w okolicy będą drżeć z niecierpliwości.

- Jest sygnał. - Kobieta trzyma słuchawkę przy uchu. - Znacznie się postarzała po śmierci tamtej drugiej, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Będzie pani jej żal. Jest tam taka samotna. Lecz jednocześnie bardzo niezależna, trzeba jej to przyznać. Lubimy, kiedy przychodzi odebrać pocztę. To prawdziwa dama.

Nie wydaje mi się, naprawdę jestem na cenzurowanym. Czuję w słowach tej kobiety taki sam podtekst, z jakim spotykałam się już w wioskach w okolicy Dublina, zanim zostały one przekształcone w sypialnie dla osób dojeżdżających do pracy w mieście. Jakieś: Potrafimy się bronić. Uważaj! Przez okno widzę, jak Bob rozmawia z komórki. Przez chwilę zastanawiam się, czy zadzwonił do tamtej, lecz odzyskuję panowanie nad sobą i uśmiecham się do kobiet w okienku najbardziej czarującym z uśmiechów.

Okazuje się, że panna Collopy jest w domu.

- Dzień dobry, tu Judy z poczty. - Głos kobiety jest pełen szacunku. - Jakaś pani pyta o panią. Mówi, że w interesach. Czy mam się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi? - Słucha

przez chwilę, a potem zakrywa mikrofon wolną dłonią. - Pyta, jakie to interesy.

- Czy mogłabym sama z nią porozmawiać?

- Oczywiście. - Odkrywa mikrofon. - Ta pani sama pani powie, panno Collopy. Proszę chwilkę poczekać. - Podnosi cały aparat, wyjmuje go z za szyby i podaje mi słuchawkę.

- Halo, czy panna Collopy?

- Tak? - Ma zaskakująco silny głos.

- Nazywam się Claudine Armstrong, ale to pani już wie.

- Tak, wiem.

- Czy znajdzie pani chwilę na rozmowę o Whitecliff?

Na drugim końcu linii panuje nagła cisza.

- Panno Collopy, jest pani tam?

- Tak, jestem. Czy jest pani znajomą Johna Thorpe?

Idę o zakład, że to adwokat lub licytator. Powinam zapytać Tommy'ego przed wyjazdem.

- Znajomą jego znajomego - odpowiadam szybko. - Czy zna pani Thomasa O'Hare? To on jest przyjacielem Johna Thorpe. Prowadzi interesy w North County Dublin, w pobliżu Whitecliff, i prosił, żebym do pani przyjechała.

Znowu cisza. A potem:

- Wie pani, gdzie mieszkam?

Trudno określić jej akcent. Jest staroświecki, niczym z filmu „Spotkanie” lub innego z tych, które można obejrzeć na BBC2 w deszczowe niedzielne popołudnie.

- Mam pani adres, ale chyba Judy - posyłam kobietom promienny uśmiech przez ramię - powie mi, jak się tam dostać.

- Czekam na panią. - I cisza. Rozmowa skończona.

- Dziękuję pięknie - mówię do urzędniczki poczty. - Ile jestem winna za rozmowę?

- Och, głupstwo. - Kobieta odstawia telefon na miejsce. - Od tego tu jesteśmy. Lepiej powiem pani, jak tam dojechać. To dość daleko - dodaje. - Czy mam jechać z panią? Żaden kłopot.

- Nie, dziękuję. I tak zabrałam pani sporo czasu, a obiad czeka.

- Cóż, jeśli jest pani tego pewna. - Składa brązową papierową torbę na pół i zaczyna pisać. - Ma pani komórkę, jak sądzę?

- Tak, mam.

- Wszyscy teraz mają. Niech Bóg ma w swojej opiece czasy, kiedy mieliśmy tylko jeden telefon w mieście. Jest pani za młoda, żeby to pamiętać - mówi ze śmiechem i podaje mi papier. - Jeśli się pani zgubi, proszę do nas zadzwonić, to panią poprowadzimy. Zaraz, dam pani nasz numer... - Bierze ode mnie papier i dopisuje brakujące informacje. - Proszę przekazać pannie Collopy, że mam dla niej kacze jajka, ale musi się pospieszyć. Zapomniałam powiedzieć jej to przez telefon.

- Dobrze, przekażę. Bardzo pani miła. Dziękuję bardzo. Przepraszam, że przeszkodziłam pani w obiedzie - mówię i wychodzę, obiecując na odchodnym, że w razie potrzeby nie zawaham się prosić jej o pomoc.

Kiedy stoję w drzwiach, Bob nadal rozmawia przez telefon. Na jego widok moje odrętwienie mija bez śladu. Jeden wdech i zamiast apatii czuję wściekłość i żal. Na ból przyjdzie zapewne czas później. Otwieram drzwiczki samochodu możliwie szybko. Chciałabym usłyszeć choćby strzęp rozmowy. Odkrywam jednak, że albo Bob jest świetnym kłamcą, albo naprawdę zadzwonił do swojego biura.

- Dobrze, Jack - mówi, patrząc na mnie. - Będę miał włączoną komórkę. Nie wszędzie jest zasięg, lecz będę sprawdzał, czy nikt nie dzwonił. Możesz też zostawić wiadomość.

Jack jest kierownikiem warsztatu.

- I już po wycieczce tylko we dwoje. - Aż sama siebie nie cierpię za ten jadowity ton. Jestem prawie rozczarowana, że nie dzwonił do tamtej.

- Nie było cię tutaj - stwierdza.

- Na pewno rozmawiałeś z Jackiem?

Punkt dla mnie. Bob dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, co miałam na myśli.

- Tak - odpowiada cicho.

Zdejmuje telefon z uchwytu na desce rozdzielczej i podaje mi.

- Możesz sprawdzić wybrane połączenia.

- Nie ma takiej potrzeby, dziękuję.

- Słuchaj, muszę szybko znaleźć ubikację. Pójdę do któregoś pubu. Poczekasz chwilę?

- Nie, jeśli mam być szczerą. Chcę natychmiast dotrzeć do tej kobiety. Boję się, że się rozmyśli.

Cierp, dziecko. Cierp.

- W porządku - mówi spokojnie Bob. - Ale będę musiał skoczyć po drodze w krzaki.

Wrzuca bieg i ruszamy. Wyjaśniam mu, jak jechać, i wreszcie jesteśmy na wąziutkiej krętej uliczce wiodącej aż na przeciwny koniec rozległej wioski.

- Wiem, że się wściekasz, Cee - oświadcza Bob, nie patrząc na mnie - i masz do tego prawo. Zachowałem się jak największy głupiec.

- Bardziej jak buhaj czy królik.

- Niech będzie, choć to dość prymitywne porównanie. - Zwalnia, gdy z przeciwka nadjeżdża traktor ciągnący jakieś wystające urządzenie. Dopiero po chwili przyspiesza ponownie. - Nie potrafię cofnąć tego, co się stało. Jestem tylko człowiekiem. Popełniłem błąd, cóż, przyjmę każdą pokutę, każdą karę, z jednym tylko wyjątkiem. Nie pozwolę się poniżyć. A przynajmniej nie do końca życia.

- Teraz ja decyduję o naszym dalszym życiu, nie ty.

- To się zdarza, Claudine. - Bob wydaje się znużony. - Nie jestem pierwszym facetem, który...

- Pobiegł za pierwszą spódniczką, jaka się nawinęła?

Patrzy na mnie zaskoczony tak bardzo, że niemal wjeżdża do rowu. Te słowa przerosły również moje oczekiwania. Nie miałam pojęcia, że potrafię być aż tak trywialna. I to jeszcze nie koniec moich możliwości. W tej chwili wszystkie przekleństwa z książek, filmów i telewizji, po części wbrew mojej woli dosłownie spływają mi na język.

- Skręć w lewo - mówię drżącym głosem - przy tym znaku z napisem „Tra”, a mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej musisz skręcić w prawo. Chyba jest tu bardzo wąsko.

Pokonuje obydwa zakręty i nawet w swoim obecnym stanie nie potrafię patrzeć obojętnie na ten fascynujący widok. Po obu stronach drogi rosną okryte czerwonymi kwiatami krzaki fuksji, które ocierają się o karoserię. Zjeżdżamy w dół, w kierunku morza błękitnym Morze Egejskie, na którym rozsiane są liczne wysepki - bardziej zielone plamki. Wybrzeże jest dzikie i skaliste, porośnięte mnóstwem zatoczek i przesmyków.

- Jak daleko jeszcze? - pyta Bob, skoncentrowany na prowadzeniu samochodu.

- Ile będzie trzeba.

Wydyma usta, lecz nie odpowiada.

Zaczynam się wstydzić swojego zachowania, ponieważ Bob nie chce ze mną walczyć. Ale potem przebiega mi przez głowę myśl: Czego właściwie mam się wstydzić?

Kiedy w powieściach czyta się o romansach i zdradach, sprawy te wydają się całkiem zwyczajne i oczywiste. Czasem nawet popiera się tę „drugą” kobietę (lub mężczyznę). Naprawdę jednak nie ma nic oczywistego w świadomości, że zostałam zdradzona przez męża. Czulałam się, jakbym była z rafii, a dziki tłum napastników usiłował rozetrzeć moje ciało na strzępy, kawałek po kawałku, by sprawić mi jak największy ból.

W drżących dłoniach trzymam brązowy papier z instrukcjami.

- Powinniśmy niedługo być na miejscu. Będzie tam zielona brama, a przy niej skrzynka podpisana nazwiskiem Collopy.

- Jest! - Bob zatrzymuje samochód, a potem patrzy na mnie zakłopotany. - Naprawdę muszę iść, Cee. Posłuchaj, ty wejdiesz do środka. Ja wezmę Jeffreya na spacer, chyba chce mu się tak samo jak mnie. Załatwimy swoje sprawy, a potem dołączę do ciebie. To znaczy, jeśli chcesz.

Patrzę na niego - jest moim mężem od ponad dwudziestu lat. Nie mogę powiedzieć, że całe życie przemknęło mi przed oczami, lecz przez chwilę widzę nie donżuaną, ale zwykłego, w gruncie rzeczy porządnego człowieka, który ma zarówno zalety, jak i wady. Podobnie zresztą jak sama instytucja małżeństwa. A z pewnością jak nasz związek - sinusoida na piasku, której góry i doliny są jednakowo zagrożone przez fale życia i którą trzeba codziennie rysować na nowo. Nie jestem jeszcze jednak na to gotowa.

- Nie potrafię ci przebaczyć, Bob - mówię beznamiętnie. - Nie jestem dość silna, by po prostu uwierzyć w twoje słowa. Będziesz musiał opowiedzieć mi wszystko po kolei.

- Teraz?

- Nie. Nie teraz. Kiedy będę gotowa. A to, obiecuję, nie potrwa zbyt długo. Czy sypiałeś z nami dwiema w tym samym czasie? Wracaleś z jej łóżka do naszego?

Całkiem jakby mój język żył własnym życiem. Co więcej, bez udziału mózgu, moja ręka podnosi się i uderza Boba w twarz. Mocno. Ze względu na kąt jest to bardziej cios pięścią.

Obydwoje jesteśmy tym ogłuszeni. Bob chwyta dłonią za policzek, na którym już widać ślady uderzenia. Ja zaś prawą dłonią usiłuję rozetrzeć ból w lewej.

- Wydawało mi się, że nie chcesz o tym mówić.

Pomimo czerwonych śladów widzę, jak bardzo jest blady.

- Chcę.

Wysiadam z samochodu i trzaskam drzwiami. A potem otwieram zieloną bramę i dokładnie zamykam ją za sobą.

22

Spotkamy się znowu

Pod moim oknem rośnie cudowna magnolia. Każdej wiosny niecierpliwie czekam, kiedy wreszcie zakwitnie, i jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Potrafię przyglądać się jej godzinami i często to robię. Najpiękniejsza jest nocą, kiedy woskowe kwiaty wydają się unosić i przemykać pośród nagich gałęzi niczym widmowe tancerki oplakujące utraconych kochanków. Żałuję teraz, kiedy jest już za późno, że magnolia jest tylko jedna. Chciałabym zasadzić ich tu cały las. To dopiero byłby widok na wiosnę! Jednak nie doczekałabym już pewnie, aby zakwitły.

W moim wieku chyba wszyscy czegoś żałują - rzeczy mniejszych i większych. Nie jestem wyjątkiem.

Nie zrozumcie mnie źle. Ani przez moment nie żałowałam tego, co zdecydowało o całym moim życiu - miłości do Coleya Quinna. Nie stałam się przysłowiową starą panną, pograżoną w rozpamiętywanie wydarzeń, do których doszło na wiosnę i w lecie 1944 roku. Wręcz przeciwnie. Wspomnienia te pomogły mi przetrwać wszystkie następne miesiące i sądzę, że zapobiegły również goryczy staropanieństwa. (Muszę to wyjaśnić. Dzięki tym wspomnieniom nie stałam się zgorzkniała, lecz nie uchroniły mnie one przed zostaniem starą panną).

W moim wypadku żal jest bardziej subtelny, nawet zaskakujący. Oprócz „ważnych” powodów jak zaprzestanie gry na wiolonczeli czy brak zainteresowania zoologią i archeologią (poza czytaniem rosnącej kolekcji numerów „National Geographic”), czy też spędzenie całego życia w tym domu, są też inne przyczyny, pozornie bez znaczenia, a jednak tak drażniące, że nie sposób ich odsunąć.

Na przykład żałuję, że całe życie trzymałam wszystko „na lepszą okazję”, jak nauczono mnie w domu. W Whitecliff nawet na przyjęciu nie używaliśmy najlepszej porcelany.

Nigdy nie jedliśmy ani nie piliśmy z tych „odświętnych” naczyń, nawet w czasie Bożego Narodzenia, żeby przypadkiem czegoś nie rozbić, gdyż serwis stałby się niekompletny. „Odświętne” sztuce były zamknięte w wyłożonych sukniem pudełkach, a piękne irlandzkie prześcieradła i obrusy, które mama odziedziczyła po swojej matce i przywiozła ze sobą z Irlandii Północnej, leżały na półkach owinięte w czarny papier i wyjmowano je tylko do obejrzenia i prania podczas corocznych wiosennych porządków. Jednocześnie mama spędzała wiele czasu na naprawianiu bawełnianej pościeli i obrusów, które były w użyciu. Kiedy środek stawał się tak cienki, że niemal przezroczysty, rozcinała je na pół, a potem ponownie łączyła dwa kawałki, odwracając je.

Świadomie lub nie robiłam to samo przez wiele lat. Na przykład mój ojciec chrzestny dał mi wiele prezentów. Wspominałam już chyba o zegarku, którego używałam na co dzień, lecz poza nim dostałam trochę pięknej, choć niedrogiej biżuterii - śliczny łańcuszek ze złota, uroczą srebrną bransoletkę z lapis-lazuli, broszkę z emalii w kształcie dwóch ptaszków, przywiezioną z wakacji we Włoszech, medalion z moim imieniem i datą urodzenia wygrawerowanymi w środku. Wszystko to, wraz ze srebrnym pierścieniem i parą kolczyków z akwamarynami podarowaną przez Marjorie, kiedy wyprowadzała się z domu, leżało w skórzanych pudełeczkach w szufladce sekretarzyka nieskazitelne jak w dniu, kiedy to dostałam, żeby przypadkiem czegoś nie zgubić ani nie zniszczyć podczas noszenia.

Mama nie tylko popierała moje postępowanie, lecz wręcz pilnowała, żebym przypadkiem nie nosiła żadnego z tych prezentów.

- Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat i staniesz się bardziej rozważna niż w tej chwili, będziesz mogła stroić się w nie do woli. Wuj Samuel okazał ci tyle serca, że nie chcielibyśmy martwić go, opowiadając o twojej lekkomyślności, gdybyś zgubiła któryś z tych prezentów.

Działo się to w tygodniu przed przyjęciem, kiedy powiedziałam, że chciałabym założyć któreś ze swoich skarbów.

- Ale to będzie bal, mamó - zaprotestowałam. - I wujek Samuel też przyjedzie! Z pewnością chciałby, żebym miała coś z tych rzeczy na sobie.

W odpowiedzi zaproponowała mi własny zestaw - naszyjnik, kolczyki i pierścionek z rzeczonymi perłami.

- Żadna z twoich ozdób nie pasuje do drugiej, Violet, więc lepiej weź te maleńkie pe-

rełki. Są odpowiednie dla dziewczyny w twoim wieku i będą pasowały do sukienki. Ale uważaj na nie, proszę. Chciałabym je dostać w tym samym stanie.

Ponieważ wtedy łatwo było mnie przekonać, po chwili głaskałam już chłodne błyszczące kuleczki i natychmiast porzuciłam własne błyskotki - w owym czasie uznawałam jeszcze pasującą do siebie biżuterię za szczyt wyrafinowania.

Kiedy teraz zastanawiam się nad tym całym oszczędzaniem i łataniem, nie tylko czuję żal, lecz także złość. Takie marnotrawstwo! Przezroczyście akwamaryny Marjorie w moich pomarszczonych uszach wyglądają niestosownie, lecz noszę je bez przerwy. Noszę też całą biżuterię od wujka Samuela, choć na pomarszczonej szyi znacznie lepiej wyglądałyby szale lub apaszki, a pokryte plamami dłonie powinny się kryć w za długich rękawach swetra.

Najdziwniejsze jest jednak to, że pomimo wszystkich wad mojej mamy i całego nieszczęścia, jakie na mnie ściągnęła, żałuję również, że w tym krótkim czasie, jaki był mi dany, nie starałam się bardziej z nią zaprzyjaźnić ani nawet rozmawiać z nią na tyle dużo, by zrozumieć, jak to się stało, że mogła być tak zamknięta w sobie i surowa, a z drugiej strony tak radosna i otwarta podczas rzadkich wspólnych wypraw do teatru, a szczególnie w czasie naszego przyjęcia. Owej nocy zmieniła się w roziskrzoną bywalczynię salonów, choć raz czy dwa dostrzegłam w jej oczach cień strachu, kiedy jej wzrok padał na któregoś z bliźniaków. Być może cała owa radość była udawana, choć w takim wypadku mama musiałaby być wspaniałą aktorką. Tego się już jednak nie dowiem.

Tak to postrzegam z perspektywy wielu lat. W tamtym czasie nie interesowałam się zbyt swojną mamą, jej radościami i zmartwieniami. Odsuwałam to wszystko od siebie jako zupełnie niezwiązane z moją osobą.

Dużo myślę o przyjęciu sprzed sześćdziesięciu lat, być może dlatego, że było to ostatnie takie wydarzenie w moim życiu. Patrząc na mnie, ludzie widzą suchego owada, pomarszczoną starą kobietę. Tamtego wieczoru jednak byłam piękna, podobnie jak moja mama. Widziałam to w oczach Coleya Quinna, czułam w drzeniu jego rąk, kiedy trzymał mnie w tańcu, słyszałam w żartobliwych, choć szczerych komplementach braci - i, oczywiście, w zazdrosnych docinkach biednej Mary Quigley.

Zapomniałam wiele szczegółów, jak nazwiska gości czy jadłospis, choć mam przed oczami obraz ogórków pokrojonych w plasterki tak cienkie i przezroczyście, że wydawały się równie różowe, jak kawałki łososia, których były dekoracją. Żaden jednak element zacho-

wania Coleya Quinna nie zatarł się w mojej pamięci. Pamiętam dokładnie, gdzie stał wraz z siostrą, jak pochylał głowę, zwracając się do Florrie, i jego oczy, kiedy śledził każdy mój ruch podczas roznoszenia kanapek lub napojów.

Gdyby mnie ktoś o to poprosił, mogłabym dokładnie pokazać, w jaki sposób ostrożnie i poważnie prowadził Johannę wokół sali w takt kolejnego staroświeckiego walca, których orkiestra grała tak wiele. Pod pretekstem umieszczenia Florrie na strategicznej pozycji („Czy nie chciałabyś zatańczyć, Florrie? Jak ktoś może się dowiedzieć, że tu jesteś, skoro cię nie widać?”) zaprowadziłam ją do drzwi salonu, skąd miałyśmy świetny widok na Coleya. Niestety dołączyła do nas również Mary Quigley. Była wyraźnie niezadowolona.

- Twój wuj jest bardzo miły, ale to dość niegrzecznie z twojej strony, że mnie tak zostawiłaś.

- Przepraszam, Mary, jeśli twoim zdaniem tak właśnie zrobiłam. Wiesz jednak chyba, że do moich obowiązków należy nie tylko zajmowanie się moimi gośćmi, lecz również innymi, prawda?

- A jednym z tych obowiązków był z pewnością dziki taniec z Coleyem Quinnem?

- Mary, czy nikt cię nie zaprosił do tańca?

Nawet wtedy wiedziałam, że takie pytanie jest wstrętne, szczególnie w obecności siostry Coleya, która niczym kibic na pasjonującym meczu tenisa szeroko otwartymi oczami patrzyła to na jedną, to na drugą z nas. Buntowniczo usprawiedliwiałam się przed samą sobą, że Mary zachowuje się równie paskudnie jak ja - lecz jej skargi na moją niegrzeczność były usprawiedliwione, a to, że ją obraziłam, wywoływało we mnie całkowicie już zbędne wyrzuty sumienia. Każda z nas budziła w drugiej najgorsze cechy i tamtej nocy definitywnie zdecydowałam, że nie ma możliwości, nawet najmniejszej, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Nie widziałam jej już nigdy później, lecz wiem, że została słynnym profesorem literatury angielskiej i krytykiem tak ostrym, że w którymś momencie jej styl wywołał znaczne kontrowersje na stronach z listami czytelników w gazecie „Irish Times”. Z przyjemnością to czytałam.

Przyjęcie skończyło się szybko, z wybiciem północy. W jednej chwili wszyscy tańczyli, gawędzili i pili; w następnej zaś orkiestra przeszła z energicznego quickstepa do powolnej aranżacji piosenki „We'll meet again” Very Lynn, a wszyscy goście zebrani w holu i salonie, łącznie z siedzącymi na schodach, podali sobie dłonie i zaczęli razem śpiewać. Jedni, szczególnie młodzi ludzie zebrani wokół Samuela młodszego, którzy z oczywistych

względów nie rozważali nawet możliwości, że mogliby się już nie spotkać, kołysali się i śpiewali głośno, pozostali, w tym mama i tata, byli bardziej ostrożni.

Zostałam uwięziona między pastorem a nianią, która na chwilę porzuciła rolę kelnerki, nie mogłam więc dotrzeć do Coleya, by wziąć go za rękę. Co więcej, utknęłam w bardziej statecznej grupie uczestników balu. Nawet nie widziałam ukochanego, choć wykręcałam głowę w jedną i drugą stronę - aż w końcu mój wzrok napotkał spojrzenie mamy. Była zapłakana i zupełnie nie starała się tego ukryć. Odwróciłam głowę zawstydzona, udając, że nic nie zauważyłam.

A potem, w ciągu kwadransa, rodzice - już opanowani jak zwykle - zajęli miejsca po obu stronach drzwi wejściowych, żeby pożegnać odchodzących gości, muzykanci spakowali instrumenty, a powietrze wypełniło się słowami pożegnania, podziękowaniami i zapewnieniami, że było to najlepsze przyjęcie w życiu zaproszonych. Johanna, wynajęta pomocnica i ja zostałyśmy zatrudnione przy oddawaniu gościom należących do nich ubiorów i odprowadzaniu wszystkich do samochodów i bryczek. Kiedy ujrzałam, że Coley i jego siostra również czekają w kolejce, aby pożegnać się z moimi rodzicami, ja także stanęłam obok mamy i taty.

- Bardzo nam miło, że przyszlście - powiedziałam, podając dłoń najpierw Florrie, która bez wątplenia nie bawiła się zbyt dobrze, a potem ukochanemu. - Przekaż, proszę, wyrazy szacunku rodzicom. Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się znowu.

Ponieważ Mary Quigley stała tuż za nimi, nie odważyłam się spojrzeć na niego znacząco, lecz miałam nadzieję, że przekazałam mu wiadomość.

Tata rozmawiał z zaprzyjaźnionym kupcem, więc mama pożegnała się z Coleyem i jego siostrą, ja zaś usiłowałam odgadnąć z jej tonu, czy coś zauważyła. Czy od tej chwili rozmawiała z nim inaczej niż z pozostałymi gośćmi? Nie usłyszałam jednak niczego niezwykłego w jej głosie - poza obojętnością, lecz to nic nie znaczyło. Choć mama zawsze odnosiła się do nich, podobnie jak do wszystkich innych mieszkańców wsi, miło i uprzejmie, niania była jedyną osobą spoza najbliższych, przy której mama zachowywała się swobodnie.

Kiedy Quinnowie wyszli, zwróciłam się do trzeciego z moich gości. Usiłowałam nadać głosowi możliwie najbardziej szczerze, przyjazne, nawet pełne skruchy brzmienie. Podając jej rękę, powiedziałam:

- Mary, mam nadzieję, że dotrzesz bezpiecznie do domu. Dziękuję, że przysłaś.

Na szczęście w tym momencie przerwała mi mama.

- Miło, że przysłaś, Mary. Wiesz już, gdzie mieszkamy, więc zapraszamy ponownie.

Violet się ucieszy. Masz z kim wrócić?

- Dziękuję, pani Shine - odpowiedziała Mary po krótkim wahaniu. - Tata czeka przed domem, widzę go stąd. To było wspaniałe przyjęcie. Miło spędziłam wieczór.

Zawstydziła mnie dobrymi manierami i choć było już zbyt późno, by naprawić moje skandaliczne zaniedbanie, kiedy mama odwróciła się do innych gości, spróbowałam:

- Przepraszam, że byłam tak zajęta, że nie udało nam się porozmawiać. Spotkamy się po świętach.

- Być może. - Owinęła się szczelnie płaszczem i wyszła, pozostawiając mnie sam na sam z poczuciem winy. Ja natomiast popędziłam odnaleźć zagubioną torebkę jednej z żon farmerów.

Jeśli chodzi o poczucie winy i wyrzuty sumienia, po raz kolejny podkreślam, że nie żałuję ani jednej chwili mojego związku z Coleyem Quinnem - ani tego, że zostaliśmy kochankami, ani konsekwencji tej decyzji. Żałuję jedynie, że zabrakło mi mądrości, by właściwie to wszystko poprowadzić.

Jak już pisałam, z pokoju na wieży rozciągał się widok na piaszczysty skrawek ziemi na krawędzi klifu. Widziałam jednak odrobinę więcej, niestety nie magnolię, lecz buk rosnący koło domu. Albo posadził go któryś z przodków jednocześnie z pozostałymi drzewami wzdłuż alei, albo była to jakaś krnąbrna samosiejka. Kiedy stanęłam na palcach na krześle i wychyliłam się pod odpowiednim kątem, z policzkiem przyciśniętym do szyby, widziałam mniej więcej jedną trzecią jego korony.

Pewnego roku, około połowy maja chyba, dane mi było oglądać pojawienie się na nim pierwszych wiosennych liści. Możecie wierzyć lub nie, lecz drzewo naprawdę zazieleniło się w ciągu jednej doby - zupełnie jakbym oglądała to wszystko na zwolnionym filmie przyrodniczym.

Jednego poranka drzewo było brązowe i nagie, choć w oświetlającym je słońcu od strony morza widać było, że wszystkie gałązki pokryte są białawymi pączkami. Wczesnym popołudniem wśród gałęzi mogłam dostrzec zielonkawą poświatę, wieczorem zaś, o zachodzie słońca, drzewo było już w połowie zielone. Następnego ranka natomiast, kiedy słońce

zaświeciło znowu, dziesiątki tysięcy jasnozielonych listków trzepotały na brązowym rusztowaniu gałęzi, niczym maleńkie flagi w porannej bryzie. Wydawało mi się to cudem.

Nie jestem pewna, po co w tej chwili tak szczegółowo opisuję mało istotne wydarzenie. Być może po to, by przypomnieć wszystkim zainteresowanym moim losem, że kiedy już zaakceptowałam swoje więzienie, dostarczało mi ono również radości. Sama nie wybrałabym co prawda takiego sposobu życia, lecz kiedy już mój widok na świat zewnętrzny został ograniczony do kawałka wielkości formy na ciasto, z przyjemnością oddawałam się spokojnej kontemplacji. Co więcej, mogłam sama wybierać sposób spędzenia dosłownie każdej sekundy, z pewnymi ograniczeniami oczywiście. Z perspektywy czasu postrzegam to jako przywilej. Iluż w końcu ludzi, wiodących zwykle życie na wolności mogło obserwować, jak otwierają się pąki na drzewach?

Moje uwięzienie sprawiło również, że mogę docenić należycie wartość spacerów po lesie czy kąpiele w morzu - znacznie bardziej niż inni ludzie. Pamiętam, że niedługo po uwolnieniu, na początku 1979 roku, ukłułam się kolcem janowca i rozkoszowałam się nieoczekiwanym bólem i kroplą swojej krwi. Nawet podczas wizyty u dentysty po raz pierwszy od trzydziestu pięciu lat (była już konieczna, lecz nigdy nie przepadałam za słodyczami, a cała nasza rodzina miała mocne zęby) cieszyłam się całym tym szturchaniem i popychaniem. Zupełnie jakby wszystkie moje zmysły, dotąd uśpione, budziły się teraz do nowego życia.

Czasem w tej epoce „szybciej-szybciej” tęsknię za dniami, tygodniami, miesiącami czy nawet latami, które komuś z zewnątrz musiały wydawać się tak puste. Nikogo natomiast zapewne nie zdziwi, że przestałam się bać przyszłości w ogóle, przestałam się obawiać cze-gokolwiek. Zastanawiam się, czy tamten wspaniały buk ciągle stoi. Tylko raz udało mi się obejrzeć taki cud przyrody.

Nikommu tego nie opowiadałam. Nikt nie pytał. Jestem pewna, że ci wszyscy ludzie tutaj uważają mnie za ekscentryczkę, i nie wyprowadzam ich z błędu. Jestem ostatnim żyjącym członkiem naszej rodziny. Tajemnica pozostanie bezpieczna.

Czy podczas tych wszystkich lat na wieży byłam samotna?

Nie tęskniłam za spotkaniami z przyjaciółkami, gdyż jak już mówiłam, nie miałam przyjaciółek i nigdy nie uczestniczyłam w takich spotkaniach - lecz mimo to muszę przyznać, że byłam samotna. Tęskniłam za rodziną, szczególnie za Johanną. Rozmowy przez

okienko w drzwiach nie wystarczały, lecz mimo to z niecierpliwością oczekiwałam tych minut. Tęskniłam nawet za wieczorną pracą nad znienawidzoną kapą.

Samotności tak naprawdę nie da się opisać, a przynajmniej ja tego nie potrafię. Wydaje mi się, że stan ten jest odbierany bardzo odmiennie przez różnych ludzi. W moim wypadku był aktywny niczym płód w macicy i dawał o sobie znać w równie bolesny sposób. Dopadał mnie, kiedy się go najmniej spodziewałam. Zostawiał wstrętny smak w ustach. Chwytał za gardło. Kłuł mnie w brzuch i nogi, w miejsce między nosem a oczami.

Najbardziej dotkliwie odczuwałam samotność w chwili, gdy przez okno dostrzegłam coś fascynującego lub kiedy chciałam się podzielić z kimś jakąś ciekawą myślą, a musiałam czekać, czasem godzinami, aż ktoś podejdzie do drzwi. Jeśli to była Johanna, sytuacja układała się pomyślnie dla mnie - choć zanim moja siostra przyszła, ekscytacja odkryciem zdążyła zwykle minąć, a opowieść o tym, co widziałam, stawała się mało interesująca i zdawkowa. Często po zaskoczeniu Johanny poznawałam, że uważa moje spostrzeżenie za całkowicie błahe.

Jeśli zaś przychodziła mama, powstrzymywałam się od mówienia czegokolwiek. I tak, podając mi jedzenie lub czystą odzież, czy też cokolwiek innego, nigdy na mnie nie patrzyła. Wizyty ojca były natomiast niezwykle rzadkie i uważałam je za wielkie święto. Kiedy już tata przyszedł pod moje drzwi, wydawał się głęboko skrępowany. Odzywał się tylko po to, by spytać, czy wszystko w porządku i czy potrzebuję czegoś jeszcze poza tym, co właśnie przyniósł. W ciągu tych wszystkich spędzonych samotnie lat chyba nigdy nie odbyliśmy prawdziwej rozmowy.

Z biegiem czasu jednak zaczęłam się o niego martwić. Prawdopodobnie dlatego, że widywałam go tak rzadko, przy każdej wizycie zauważałam, że jest coraz szczuplejszy. Z całą pewnością również skurczył się nieco.

Bałam się o jego zdrowie i postanowiłam porozmawiać na ten temat z mamą. Czekałam na dogodny moment. Potrzebowałam jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

To mama jednak umarła pierwsza. Stało się to w 1977 roku, miała siedemdziesiąt siedem lat, tylko o rok więcej niż ja teraz. Pomimo pozornie słabego zdrowia do samego końca zachowała dużo siły. Całkiem niepotrzebnie martwiłam się też o zdrowie taty, który zmarł w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Gdyby nie wojna, można by nas pewnie uznać za długowieczną rodzinę.

Sprzeczką

Poranek po balu był pogodny. Nie spałam wcale tej nocy. W ostatniej chwili okazało się, że dublińscy przyjaciele Samuela młodszego muszą u nas zostać, gdyż nie przyjechała po nich taksówka, a nie udało się nam wymyślić żadnego innego sposobu odwiezienia ich do miasta - bak samochodu taty był niemal całkiem pusty. Nastąpiły więc przemieszczenia w sypialniach, a Johanna i Marjorie musiały nocować w moim pokoju.

W każdej sytuacji byłoby to niewygodne - siostry spały w moim łóżku, ja zaś na podłodze na starym materacu przyniesionym ze strychu - ze względu jednak na umówione spotkanie z Coleym takie rozwiązanie wydawało się wręcz fatalne. Jak miałam wyjść z pokoju, nie budząc sióstr? Nie byłam w stanie nawet przygotować się do potajemnego wyjścia, zabrać ubrania na przykład, nie wywołując żadnych podejrzeń.

Kiedy na dworze zaczęło się robić jasno, a moje siostry nadal spały spokojnie, ześliźnęłam się powoli z materaca i wzięwszy ze sobą suknię balową, którą rzuciłam na podłogę obok posłania, wyszłam na palcach z pokoju, krok za krokiem. Gdyby któraś się obudziła i zaczęła mnie wypytywać, miałam zamiar powiedzieć, zgodnie z prawdą zresztą, że nie mogę spać i idę na dół. Zapewne prościej byłoby wyjaśnić, że idę do łazienki, lecz jak miałabym wytłumaczyć sukienkę pod pachą?

Wyjście z pokoju zajęło mi około pięciu minut, lecz zakończyło się pomyślnie. Na chwilę zatrzymałam się na podeście, żeby uspokoić galopujący oddech. Ponieważ jednak wszystkie nasze sypialnie były wypełnione do granic możliwości, wydawało się dość prawdopodobne, że ktoś w końcu wyjdzie z którejś z nich, więc bez dalszej zwłoki popędziłam na dół - dziękując nieznanemu architektowi, który wymyślił schody z kamienia - i przemknęłam do kuchni, aby się ubrać.

Wizyta w kuchni o tak niezwykłej porze była dziwnym przeżyciem. Pomieszczenie zwykle tętniące życiem było teraz tak ciche i spokojne. Tylko cynowy budzik na półeczce nad piecem oznajmiał swą obecność dychawicznym tykaniem. Trzeba tu będzie posprzątać, pomyślałam na widok stosów brudnych naczyń i szeregów nieumytych szklanek. Tym bar-

dziej zaczęłam się spieszyć, gdyż ani mama, ani niania nie pozwolą, by taki bałagan pozostał za długo. Wstaną na pewno wcześniej. Zasłony na dużym oknie przy zlewie były podniesione, jak zwykle zresztą. Mama odsłaniała je co wieczór po zgaszeniu świateł, aby geranium w doniczkach na parapecie mogło korzystać z porannego światła. Na horyzoncie, pomiędzy morzem a niebem, widniała już cieniutka czerwona poświata. Musiałam się spieszyć.

Weszłam do spiżarni. Nie było tam okna, więc musiałam zostawić uchylone drzwi i pilnować, czy nikt nie idzie. Pośpiesznie zdjęłam koszulę nocną, zwinęłam ją nieporządnie i wcisnęłam pod odwrócony durszlak z tyłu półki, gdyż nawet jeśli nie uda mi się wrócić, zanim do kuchni wkroczy życie, akurat durszlak raczej nie będzie potrzebny do przygotowania śniadania.

A potem się ubrałam. Moja sukienka, tak elegancka i wspaniała ubiegłej nocy, teraz przypominała raczej ścierkę do naczyń, lecz Coleyowi nie będzie to przeszkadzać. Sporym ryzykiem było natomiast wyjście w srebrnych sandałkach mamy, lecz miałam nadzieję, że wystarczy mi czasu, aby je wyczyścić po powrocie.

Wychodząc tylnymi drzwiami, zapomniałam jednak, że o wschodzie słońca nawet późną wiosną, choć tak przyjemnie się patrzy na różowo-złoty świt, bywa zimno, i że lekka sukienka i odkryte sandały na gołych nogach nie są odpowiednim strojem. Dreszcze były jednak tylko częściowo wywołane chłodem - czułam się podekscytowana, przerażona i szczęśliwa, wszystko naraz. Co będziemy robić? Czy zrobimy „to” nago? Czy w ogóle „to” zrobimy?

W nocy był przymrozek i kiedy biegłam przez pole, sandały mamy z trzaskiem miażdżyły zmarzniętą trawę, która połyskiwała i migotała w promieniach wschodzącego słońca. Ja jednak nie dostrzegałam piękna przyrody; objęłam się ramionami, by się trochę ogrzać i podążałam naprzód. Na moim zegarku nie było jeszcze szóstej. Czy Coley będzie już czekał? Czy się spóźni? A jeśli wcale nie przyjdzie?

A jeżeli ktoś nas przyłapie?

Ujrzałam go pierwsza. Otulony w ciepły płaszcz patrzył na morze. Zbyt późno zorientowałam się, że przed wyjściem z domu nawet nie dotknęłam grzebienia, więc zdążyłam teraz tylko przeczesać włosy palcami, co bez wątpienia pogorszyło jeszcze mój wygląd. Cieszyłam się, że nie ma wiatru.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Tą chwilę będę wspominać jeszcze na łożu śmierci, a przynajmniej mam taką nadzieję. Zapomniałam o zimnie, pomiętej sukience, sandałkach mamy, o włosach rozczochranych i skręconych; niczym gałęzie płonącego krzaka. Oczy i policzki mojego ukochanego były zacienione; przyjemność, jaką mi sprawił jego widok, była tak ogromna, że mogłaby mnie zabić.

W ciągu paru sekund znalazł się przy mnie i zaczęliśmy się całować.

- Cała drzysz - wyszeptał i objął mnie mocniej. - Biedactwo - dodał, a potem: - Zamrzniesz na śmierć, weź to.

Zdjął płaszcz, zarzucił mi go na ramiona i zapiął tak, że ręce miałam uwięzione pod spodem.

- Ty głupiutka dziewczynko - złątał mnie, zupełnie jakby był moim wujkiem, a nie kochankiem. - Dlaczego nie wzięłaś płaszcza albo ciepłego swetra?

Mogłabym opowiedzieć mu ze szczegółami, czemu tak się stało, lecz zamiast tego wspięłam się na palce i go pocałowałam.

Pod płaszczem miał bawełnianą koszulę, więc rozkoszując się szorstkością tkaniny, wsparłam głowę na jego piersi. Objął mnie mocno i dotknął policzkiem moich włosów.

- Violet - szeptał mi do ucha - Violet... Violet...

Tak objęci kołysaliśmy się delikatnie w powolnej wspaniałej powtórce wczorajszego tańca. Wydawało mi się to tak dorosłe i głębokie. Było spełnieniem moich marzeń o miłości fizycznej bez ubrania. Nie wiem, jak długo tak staliśmy, może pięć minut. Potem Coley wypuścił mnie z objęć.

- Ucieknij ze mną, Violet. Wiem, że nasz kraj jest odcięty od reszty świata, ale da się to jakoś załatwić. Moglibyśmy dostać się na północ, a tam znajdę sposób, by dotrzeć do Szkocji, przysięgam.

- Jak Deirdre i synowie Uisneach! - zapaliłam się na samą myśl.

Ta przedchrześcijańska celtycka saga, z którą po raz pierwszy zetknęłam się w szkole państwowej, była jedną z ulubionych legend panny Lucy Biggs. Jest to opowieść o królach, krwawej wojnie i zdradzie, lecz przede wszystkim o głębokiej i trwałej miłości pomiędzy prawym bohaterem a piękną dziewczyną. (Uznałam za stosowne pominąć milczeniem tragiczny koniec, gdyż bohater i jego brat umierają otruci przez zazdrosnego króla, aby ten mógł poślubić pannę. Tak się jednak nie dzieje, gdyż Deirdre - prawdopodobnie już nie

dziewica po wielu latach spędzonych wraz z ukochanym na wygnaniu w Szkocji - rzuca się do jego grobu. Lub ginie pod kopytami koni, obejmując ciało ukochanego - zależnie od tego, którą wersję się woli).

- Tylko co będziemy robić w Szkocji? Z czego będziemy żyć? - Pytania były czysto retoryczne, gdyż pozwoliłabym Coleyowi zabrać się na biegun północny, lecz przedtem chciałam mu pokazać swą dojrzałość. - Nie mam własnych pieniędzy, Coley.

- Ale ja jestem silny i zdrowy. - Wyraz jego twarzy był ożywiony, lecz poważny. - Szybko liczę i potrafię również pracować rękami. Z pewnością w mleczarni wystawią mi dobre referencje, jeśli poproszę o nie w liście ze Szkocji. Zarobię na nasze utrzymanie.

- To brzmi tak romantycznie - zawahałam się przez chwilę, a potem zaryzykowałam: - Nie chcę, by zabrzmiało to jak wywieranie nacisku, albo narzucanie się, ale czy ta propozycja oznacza, że się ze mną ożenisz?

Ukląkł przede mną.

- Violet Shine, wyjdiesz za mnie?

Nie musiałam się zastanawiać.

- O tak! Tak! Tak!

Ze szczęścia aż zakręciło mi się w głowie. Jemu też. Wstał i pocałował mnie tak gorąco, że nie mając możliwości złapania równowagi, omal nie upadłam na plecy, ale mnie podtrzymał.

Moje szczęście zaczęło jednak przygasać, kiedy zdałam sobie sprawę, że w planie Coleya może tkwić pewien szkopuł. Całkiem spory zresztą. Od niani wiedziałam, że „mieszane małżeństwo” trudno było zawrzeć: Coley musiałby uzyskać od papieża (a może tylko od biskupa, zapomniałam, od kogo) coś, co oni nazywali dyspensą. Trwało to latami i kosztowało mnóstwo pieniędzy. To zresztą nie koniec problemów. Niania знаła mnóstwo historii o tym, jak władze kościelne odmówiły udzielenia dyspensy, lecz nawet jeśli się to udało, przed nami byłaby nadal długa droga. Musiałabym potem jeszcze przysiąc na Biblię, że nasze dzieci zostaną wychowane w wierze katolickiej i że będą chodziły na mszę co niedziela. Musielibyśmy jeść ryby w każdy piątek, a w czasie Wielkiego Postu odmawiać sobie wszelkich przyjemności.

Położyłam dłonie na piersi Coleya, aby przestał mnie całować.

- Tylko że ty jesteś katolikiem. To będzie trudne. Miał gotową odpowiedź.

- Tylko wtedy, gdy będę chciał wziąć ślub w kościele katolickim.

- Ale z pewnością...

- Violet! - Położył mi palec na ustach. - Czy naprawdę sądzisz, że pozwolę, aby weszła między nas religia?

Po części byłam oburzona, a po części podniesiona na duchu. On, katolik, porzuci dla mnie swoją wiarę? To niesłychane. Również w takim wypadku trudności musiały być podobne, tak przynajmniej zrozumiałam z opowieści niani.

- Ale czy nam pozwolą wziąć ślub? A co jeśli przypadkiem ktoś się dowie, że nie jesteśmy tego samego wyznania.

- W Szkocji nie będzie to chyba miało większego znaczenia. To nie Irlandia. Słyszałaś kiedyś o wsi Gretna Green?

- Nie.

Stałam spętana płaszczem pachnącym papierosami, jedzeniem i czymś, co kojarzyło mi się czule z „uczciwym” potem, Coley zaś rozwiewał moje obawy związane z potencjalnymi przeszkodami piętrzącymi się przed naszym małżeństwem i opowiadał o związkach skazanych na niepowodzenie, ucieczkach i słynnych oszustwach. Słuchałam go oczywiście, lecz niezbyt uważnie. Moja wyobraźnia tworzyła wizje (dyskretnych) sukni ślubnych i samej ceremonii u stóp malowniczych, smaganych wichrami gór Szkocji. Przyglądałam się również, jak usta mojego narzeczonego przy niektórych słowach składały się w małeńki dołeczek i podziwiałam idealne łuki brwi.

W owej chwili dotarło do mnie, że możemy nie być tu całkiem sami. Może jesteśmy pierwszą parą w historii, której zaręczyny oglądano przez peryskop łodzi podwodnej. Mówiło się, że krążą one po Morzu Irlandzkim. W moim obecnym stanie ducha sama ta myśl okazała się niezwykle zabawna. Czy niemieccy żołnierze tłoczyli się wokół peryskopu, aby móc na nas popatrzeć? Czy kolejno patrzyli, jak Irlandczyk oświadcza się mumii skrepowanej płaszczem? „*Achtung, Friedrich! Popatrzcie hier na der szalonego Irischer!*” Aż zachichotałam.

- Co takiego powiedziałem? - zapytał zaskoczony Coley.

- Nic, kochanie! - Jak pięknie brzmiało to słowo w moich ustach. - Nic, kochanie, nic, nic, nie powiedziałeś absolutnie nic! Proszę, odepnij ten płaszcz. Chcę cię porządnie objąć.

Zrobił to drżącymi palcami. Obydwoje wiedzieliśmy, co będzie potem, bez względu

na łodzi podwodne. Kiedy jednak rozkładał płaszcz na ziemi, podobnie jak w Loughshinny, przez głowę przemknęła mi obawa, że sukienka może się poplamieć lub całkiem zniszczyć, że Coley zrobi coś, co zostawi widoczny i jednoznaczny ślad, że w uniesieniu zapomnimy o całym świecie i wrócę do domu za późno. Wszelkie obawy jednak minęły, kiedy ukochany wziął mnie w ramiona i położył na ziemi. Potem już myślałam tylko o naszych ciałach wijących się żarłocznie, aby pożreć duszę kochanka. Tym razem dawaliśmy upust nie tylko fizycznemu pożądaniu i zauroczeniu. Jako narzeczeni składaliśmy sobie nawzajem dożywotnie obietnice i sam akt nie był gwałtowny, tylko dokładnie taki, jak powinien - fizyczne potwierdzenie kwintesencji życia, miłości, wiecznego związku.

- Mama mnie zabije, kiedy zobaczy tę sukienkę!

Spojrzałam ponuro na coś przypominającego brudną ścierkę do naczyń. Leżeliśmy obok siebie i patrzyliśmy w niebo, nierozjaśnione jeszcze na dobre promieniami słońca i tak nieprawdopodobnie czyste, że było mi tak, jakbym w nim pływała. Nie czułam ciężaru swojego ciała. Nie czułam też zimna.

- A czy musi ją widzieć? - Coley wygładził materiał na moim brzuchu.

- Może nie, może uda mi się ją wyprać. Przede wszystkim muszę ją włożyć do wody tak, by mama nie widziała.

- Już niedługo nie będziesz musiała się martwić, co myśli o tobie twoja mama czy ktokolwiek inny. Będziesz musiała się tłumaczyć tylko mnie, a ja nie będę wymagającym pracodawcą!

Żartobliwie połaskotał mnie w brzuch, aż się zgiełam ze śmiechu.

- Przestań, Coley, przestań!

Ale łaskotał mnie dalej, aż w końcu stoczyliśmy się z płaszczem na wilgotną trawę. Chętnie kochalibyśmy się ponownie, lecz ta koszmarna sukienka, zwinięta i mokra, okazała się poważnym problemem. Co więcej, zdałam sobie sprawę, jak wiele czasu minęło. Już przytomna, spojrzałam na zegarek. Ku mojemu przerażeniu był kwadrans po siódmej.

- Nie, Coley, proszę. - Odepchnęłam go i wstałam. - Muszę uciekać.

- Pójdę z tobą. - On również się podniósł.

- Nie. Nie! - błagałam. Przerażała mnie myśl, że ktoś mógłby nas zobaczyć razem o tej porze.

- Ale musimy porozmawiać, zaplanować coś! Przecież jeszcze nie widać ludzi na po-

lach. Jest bardzo wcześnie...

- Coley, proszę, nie idź ze mną. Porozmawiamy o naszych planach, obiecuję. Spotkamy się niedługo, może dziś wieczorem? Nie dam rady zostawić wiadomości, więc umówmy się około siódmej. Nie bądź tylko rozczarowany, jeśli nie przyjdę. Zrobię, co w mojej mocy.

Pocałowałam Coleya i pobiegłam najszybciej, jak mogłam. Wszelkie plany, nawet dotyczące ucieczki, nawet gdyby miała ona nastąpić już w przyszłym tygodniu, mogły poczekać - teraźniejszość była za to nadzwyczaj niebezpieczna. Chciałam wrócić do domu najpóźniej o siódmej, to była absolutna granica bezpiecznego wejścia do środka. Teraz mogłam jedynie biec i modlić się, choć tego ostatniego nie robiłam zbyt często ani żarliwie.

Piętnaście metrów od domu zatrzymałam się, aby się uspokoić i złapać oddech. Nie widziałam znaku życia, lecz byłam przecież od strony szczytowej. Aby się przekonać, czy podniesiono już rolety lub rozsunięto zasłony, musiałam obejść dom dookoła.

Nie poszłam wprost do drzwi, lecz ostrożnie dotarłam do płotu i zatrzymałam się, aby spojrzeć raz jeszcze. Wszystkie okna odbijały promienie słońca, więc nie miałam szansy, by dostrzec cokolwiek. Muszę zaryzykować, uznałam, i wymyśliłam plan, którego główną zaletą była prawdziwość w przeważającej części. Gdybym kogoś spotkała, powiem, że ze względu na tłok w pokoju nie mogłam spać i wyszłam na spacer. Aby dodać wiarygodności takiemu tłumaczeniu, zerwałam kilka niebieskich i żółtych kwiatów podobnych do bratków, które kępkami rosły wzdłuż płotu. A potem żwawo podeszłam do drzwi - z nadzieją że wyglądam raczej na potarganą przez wiatr niż rozwiązłą. Moim oczom ukazał się najprawdziwszy z koszmarów.

Kiedy weszłam do kuchni wypełnionej parą z kotłów na piecu, zwróciły się na mnie zaskoczone oczy trzech osób: mamy, niani i wujka Samuela. Mama i niania stały przy zlewie i myły naczynia. Wujek Samuel zaś siedział przy stole i trzymał filiżankę herbaty, którą przywiózł z północy.

To właśnie wujek odezwał się pierwszy.

- Punkt dla ciebie. - Wstał, przeszedł przez kuchnię i ponownie napełnił filiżankę z imbryczka stojącego obok kotłów. - Większość pozostałych odwraca się właśnie na drugi bok. Leniuchy.

- Gdzie byłaś? Popatrz na swoją sukienkę! Czy to plamy z trawy?

Mama wytarła dłonie w fartuch, a potem wyciągnęła rękę w moim kierunku.

- Upadłam - wyjaśniłam i odsunęłam się na bezpieczną odległość. Nagle zdałam sobie sprawę, jak mogę pachnieć, i nie chciałam, by mama za bardzo się do mnie zbliżyła. Podeszłam do wujka stojącego przy piecu.

- Czy jest jeszcze trochę herbaty?

Podniosłam przy tym pokrywkę i zobaczyłam, że imbryczek jest pusty. A potem rzucałam do wszystkich zebranych:

- Nie wiedziałam, że o świcie na dworze jest tak ślisko. I tak zimno. Straszna dziś rosa.

A potem zwróciłam się do wujka:

- Miałam gęsią skórkę. Widziałam nawet kryształki lodu na trawie. To aż niewiarygodne, prawda?

Wiedziałam, że przymrozki w tej części kraju zdarzają się jeszcze na początku lata, lecz teraz plotłam, co mi ślina na język przyniosła.

- To prawda - odpowiedział z tajemniczym wyrazem twarzy.

Kątem oka dostrzegłam, że mama i niania wymieniają spojrzenia. Miałam już zrobić coś głupiego, na przykład wybuchnąć płaczem, lecz w tym momencie wuj Samuel podsunął mi filiżankę.

- Nalej mi, proszę, kapkę wody z kranu - poprosił, mrugając przy tym do mnie. - Strasznie gorąca ta herbata.

Biorąc filiżankę, spojrzałam na niego z wdzięcznością i poszłam w stronę zlewu.

- Spójrz na moje sandały. - Mama nie dawała za wygraną. - Czy masz trawę we włosach?

Znowu chciała do mnie podejść, lecz jeszcze raz się odsunęłam i podeszłam do stołu z przestudzoną herbatą.

- Mówiłam przecież - rzuciłam przez ramię. - Poślizgnęłam się i upadłam.

- Ach, Muszko, daj jej spokój. - Wujek Samuel oparł swe obfite kształty o blat. - Jest tak wcześnie. Po co nam kłótnie o tej porze?

Mama ponownie nie zwróciła uwagi na jego słowa.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Violet. Co robiłaś?

- Ile razy mam powtarzać? - spytałam i ponieważ miałam poparcie wujka, a przynajmniej tak mi się wydawało, śmiało spojrzałam na całą trójkę. - Nie mogłam spać. One

chrapały tak strasznie, że uszy omal mi nie odpadły. Nie mogłam wytrzymać. Gdybyście tylko je słyszeli... Jedna z nich zupełnie by wystarczyła, aby obudzić umarłego, a w duecie są całkiem nie do zniesienia - mówiłam z przejęciem, skarżąc się tak skutecznie, że udało mi się przekonać nawet siebie samą.

- Nie trzeba było im tak po prostu kazać spać w moim pokoju. A zanim spytasz, mamo - dodałam wyniośle - wyjaśnię, że nie miałam wyboru. Musiałam założyć to, co wczoraj. Nie chciałam zbudzić Marjorie i Johanny, przewracając ubrania w szafie. Przepraszam, że tak zniszczyłam sukienkę i oczywiście wyczyszczę twoje sandały. Pójdę teraz na górę, żeby się przebrać. Najwyżej się obudzą, czy tego chcą czy nie.

- Mamy tu sporo roboty. - Niania podjęła przerwana pracę. Podniosła dwa talerze i wytarła je po kolei. - Przynieś tę sukienkę, Violet - dodała spokojnie. - Musimy ją porządnie wyprać i wysuszyć.

- Dobrze, nianiu. Gdyby nie to całe zamieszanie, zdążyłabym się przebrać. Proszę! Teatralnym gestem położyłam przed mamą bukiet już przywiedłych kwiatków.

- Zerwałam je dla ciebie, mamo. Pomyślałam, że ci się spodobają. Możesz je wyrzucić. Nie zależy mi.

Kiedy wybiegałam z kuchni, usłyszałam jeszcze zaskoczone pytanie mamy:

- Nianiu, rozumiesz coś z tego?

Nie czekałam na odpowiedź. Idąc po schodach, aż słaniałam się z ulgi. To był prawdziwy popis. Chyba mi się upiekło.

Lepiej niż w snach

Tego dnia raz jeszcze spotkałam się z Coleyem pod naszym drzewem. Wujek Samuel został co prawda u nas - miał wyjechać dopiero razem z bliźniakami - lecz po odjeździe Samuela młodszego i jego gości Thomas i James przenieśli się do swojego dawnego pokoju. Marjorie i Johanna również wróciły do swoich sypialni, zostawiając mnie samą, bez trudu mogłam więc wymknąć się z Whitecliff. Wszyscy domownicy, deklarując zmęczenie, udali się wcześniej niż zwykle do łóżek. Proponując Coleyowi spotkanie, dokładnie taki rozwój wydarzeń przewidywałam. Choć nie spałam za wiele poprzedniej nocy i powinnam być zmęczona, to w owym czasie w razie potrzeby potrafiłam wykrzesać z siebie niespożyte pokłady energii.

Po powitalnym pocałunku i uścisku ogarnęła nas niezrozumiała nieśmiałość. Sądzę, że w ciągu dnia zdaliśmy sobie sprawę z wagi naszej decyzji - tak było z całą pewnością w moim wypadku. Coley przyniósł koc, na którym mogliśmy usiąść. Objął mnie ramieniem, lecz tym razem nie czuliśmy palącego pożądania. Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywało; patrzyliśmy po prostu na morze. Zastanawiałam się, w jaki sposób poruszyć temat naszej ucieczki, i sądzę, że Coley myślał wówczas o tym samym.

Wieczór był suchy, zimny i dość ciemny, ponieważ księżyc skrył się za poszarpaną chmurą, przezroczystą jak muślin, która jednak przyćmiewała blask. Na następny dzień zapowiadano deszcz i niemal dało się go już wyczuć w powietrzu. Aż wstrząsnął mną dreszcz.

- Zimno ci? - spytał Coley i przytulił mnie mocniej.

- Nie, nie zimno. Jest mi dobrze.

Drzenie po chwili minęło. Byłam znacznie lepiej przygotowana na tę pogodę niż dziś rano. Na sukience miałam gruby wełniany sweter, na nogach skarpetki i półbuty. Było mi ciepło i dobrze.

- Co się działo, kiedy wróciłaś do domu? - zapytał w końcu.

Opowiedziałam mu całą sytuację ze wszystkimi szczegółami.

- Jesteś pewna, że się nie domyślili?

- Niemal pewna. W ciągu dnia mama spojrzała na mnie ukradkiem parę razy i nie odzywała się do mnie wcale, ale to zrozumiałe. Szkoda, że nie widziałeś, w jakim stanie weszłam do kuchni. Zły humor mamy pewnie miał wiele wspólnego z błotem na jej drogocennych sandałach. Udało mi się je jednak wyczyścić, tak że wyglądają teraz jak nowe. Cały dzień pracowałam w domu, więc nikt nie miał powodu na mnie narzekać. Z pewnością jutro wszystko wróci do normy.

- Jesteś prawdziwym skarbem, wiesz? - powiedział Coley, całując mnie w policzek. - Będiesz wspaniałą gospodynią.

Sprawdziłam, czy się ze mną nie drażni, lecz w ciemności nie udało mi się dojrzeć wyrazu jego oczu.

- Skoro już zacząłeś ten temat - odparłam trzeźwo - musimy ustalić pewną rzecz. Wierzę, że dasz radę nas utrzymać, lecz kobiety nie siedzą teraz w domu, gotując i sprząając. Wojna to zmieniła. Ja też mam zamiar pracować. Jestem równie zdrowa i silna jak ty.

- Pewnie, że jesteś! - Usiłował pocałować mnie raz jeszcze.

- Nie teraz, Coley. - Odepchnęłam go. - Ja naprawdę tego chcę. Jestem nowoczesną kobietą.

- To prawda.

- Coley, czy traktujesz mnie poważnie? - zaczynałam się denerwować. - Nie lubię, jak ze mnie żartujesz.

- Co? - zapytał zaskoczony. - Powiedziałem przecież, że możesz pracować.

- Dokładnie to mam na myśli! - wykrzyknęłam. - Nie potrzebuję twojego pozwolenia. Żyjemy w połowie dwudziestego, a nie dziewiętnastego wieku! Kobiety w całej Wielkiej Brytanii pracują w fabrykach. Kobiety w Ameryce prowadzą własne firmy, na miłość boską...

- Wiem to wszystko. I nie chcę się z tobą kłócić. Czy ja się sprzeciwiam?

Umilkliśmy na chwilę, zaskoczeni naszą pierwszą sprzeczką.

- To dla mnie ważne - powiedziałam już spokojniej.

- Pracuj, jeśli sobie tego życzysz! Nie kłóćmy się. To nie jest coś, nad czym warto by się dziś dłużej zastanawiać.

- Chyba jeszcze nad niczym nie zastanawialiśmy się dłużej - zauważyłam.

Słyszając jeszcze echa niedawnej kłótni, spojrzeliśmy na siebie nawzajem.

- Co z tego? - Coley wzruszył ramionami. - To początek podróży przez całe życie. Przygody! Poznanie się nawzajem to połowa tej przyjemności. A my właśnie się pokłóciliśmy po raz pierwszy.

Wyciągnął rękę, przykrył nią swoją pierś i delikatnie ścisnął przez grubą sweter.

- Violet Shine, czy wiesz, jaka jest najprzyjemniejsza część kłótni?

Pragnęłam, by dotknął również drugiej piersi, co też uczynił. Pochyliłam się ku niemu.

- Jaka?

- Godzenie się - odparł miękko. - A teraz zastanawiam się, jak by to zrobić.

Księżyc, choć przyćmiony, rozświetlił uśmiech Coleya i w ciągu paru sekund zdzieraliśmy już z siebie ubrania.

- Czy to normalne? - zapytałam, gdy było po wszystkim i już kompletnie ubrani leżeliśmy na kocu. Moja głowa spoczywała na piersi Coleya, on zaś wsparł brodę o moje czoło i objął mnie ramionami. Czulałam się tak bezpiecznie, jak musi czuć się ptak w dobrze ukrytym gnieździe.

- Czy co jest normalne? - Jego głos wydawał się senny.

- Że robimy to tak często. Drugi raz tego samego dnia.

- Przecież tak samo jak ty nie wiem, co jest normalne. Czy będziemy to nadal robić w wieku siedemdziesięciu lat? Nie potrafię sobie w ogóle wyobrazić, jak starsi ludzie to robią, a ty? - zapytał ze śmiechem.

- Ja też nie. - Również nie potrafiłam się powstrzymać od śmiechu. - Ale w takim razie zapewne sądzisz, że w naszym wieku to zupełnie normalne, co?

- Tak mi się wydaje. A tobie?

- Mnie też.

- W takim razie pewnie jest normalne.

- Ale to grzech...

- Tak.

- Czy martwisz się, że to grzech, Coley? Czy katolicy nie są surowi pod tym względem?

- A czyż ja się zachowuję jak surowy katolik?

- Nie.

- To dobrze. A czy wy, protestanci, nie jesteście równie surowi?

- Tak naprawdę to nie wiem. W szkółce niedzielnej uczyliśmy się o grzechu pierworodnym i tak dalej, lecz w kościele pastor nie mówi za dużo o grzechu. Mówi raczej o tym, że wszyscy powinni być dobrzy i inne takie.

- Cóż - odparł stanowczo Coley. - Nie widzę w tym nic złego. I z całą pewnością nie czuję się grzesznikiem.

- Ja też nie. A przecież gdyby było w tym coś złego, z pewnością byśmy to czuli, prawda? Czy nie po to mamy sumienie? Na przykład wstrętnie się czułam, okłamując mamę dziś rano, zawsze tak się czuję, kiedy kłamię. Lecz nie czuję się wstrętnie, kiedy się kochamy. A jeszcze mniej teraz, kiedy już przyrzekliśmy sobie być razem na wieki. - Daleka od poczucia winy pocałowałam Coleya beztrąsko. - Cóż, a może by tak jeszcze raz?

- Hej! Powoli! Daj mi zebrać siły! - Lecz wtulił się we mnie.

- Chcę cię zobaczyć nagiego, Coley - wyszeptalam, kiedy udało mi się zebrać na odwagę.

- Ale pod warunkiem, że ty też będziesz naga.

Uśmiechnął się ponownie, a we mnie krew zawrzała tak mocno, że ciężko mi było oddychać. Zaczęliśmy się rozbierać. Coley uważał, że ponieważ mieliśmy się tak naprawdę zobaczyć po raz pierwszy, nie powinniśmy się spieszyć. Pragnęliśmy zapamiętać każdą sekundę. Choć to był mój pomysł, cieszyłam się z osłony nocy - pomimo całej naszej namietności i tego, co się między nami przed chwilą wydarzyło, nie byłam pewna, czy odważyłabym się to zrobić w świetle dnia.

- A teraz stańmy naprzeciw siebie, dobrze? - Głos Coleya brzmiał tak, jakby coś ścisnęło go za gardło.

Wstałam. Patrząc na koc, ujrzałam dwie gołe stopy i muskularne łydki mojego ukochanego. Zamknęłam oczy.

- Och, Violet. - Oddychał gwałtownie. - Jesteś tak piękna, najwspanialsza, najpiękniejsza ze wszystkich kobiet na świecie. Jesteś znacznie piękniejsza i wspanialsza niż w moich marzeniach.

Pogłaskał moje włosy i choć nadal nie odważyłam się na niego spojrzeć, pochyliłam głowę, przytrzymując nią jego dłoń na moim ramieniu.

- Czy wiesz, że kiedy przychodziłem do was z ojcem płacić czynsz - ciągnął - robiłem to ze względu na ciebie. Za każdym razem modliłem się, żebyś była w domu.

Ukląkł przede mną i otoczył ramionami moją talię, a głowę oparł mi na piersiach.

- Zakochałem się w tobie, jak miałaś zaledwie dziewięć lat. - Kiedy to mówił, jego głos wibrował na mojej skórze. - Chcę, żebyś to wiedziała. Ja miałem jedenaście, a ty dziewięć lat. Kiedy cię zobaczyłem, wyglądałaś jak wróżka lub Alicja w krainie czarów, miałaś białą sukienkę z dużą błękitną szarfą i uśmiechałaś się jak... jak wschodzące słońce. Wtedy zrozumiałem, że nie mogę bez ciebie żyć.

Teraz mogłam otworzyć oczy. W ciemności jego plecy, łydki, policzek - o ile widziałam - były blade.

- Nie wiedziałam.

- Skąd mogłaś wiedzieć? - Popatrzył na mnie. - Widziałaś tylko wiejskiego chłopaka w zabłoconych butach i z brudną twarzą. Dzierżawiliśmy waszą ziemię, Violet. Oczywiście, że nigdy mnie nie widziałaś. Myślałaś, że jestem głupim wieśniakiem, niemym obszarpancem, któremu należy okazać grzeczność, bo tak zostałaś wychowana. Byłaś grzeczna dla wszystkich. Widziałem, że nie mam najmniejszych szans być z tobą. Na przykład tamtego popołudnia, gdy przyszłaś tu i zobaczyłaś mnie po drugiej stronie płotu, nie wiedziałaś nawet, kim jestem.

- Ale byłeś taki... taki... - szukałam właściwego słowa - ...taki ostry. Sądziłam, że jesteś zarozumiały.

- Umierałem w środku. Nie wiedziałem, jak się zachować ani co powiedzieć. Nie śniłem nawet o tym, że będę z tobą sam na sam i będę z tobą rozmawiał.

Głos mu się załamał. Przytuliłam mocniej Coleya, przyciskając jego głowę do piersi, i lekko go kołysałam. Sądziłam, że płacze, i w odpowiedzi łyzy pociekły również po mojej twarzy.

Byłam wzruszona, przejęta, targały mną nieznane wcześniej emocje. Nie istniało nic więcej, nic więcej się nie liczyło - tylko stworzony przez nas zaklęty krąg.

- Ciii, kochanie, ciii. Jestem tutaj. Przepraszam, jeśli cię zraniłam, zignorowałam czy obraziłam. Będę to naprawiać przez resztę życia. Nie musisz się już martwić. Zawsze będziemy razem.

Obejmował mnie w pasie tak mocno, że obawiałam się utraty równowagi.

- Ostrożnie, kochanie. - Zrobiłam krok w tył i kątem oka dostrzegłam obok nas jakiś ruch. Odwróciłam się, aby sprawdzić, co to.

Obok nas stał tata.

25

Cisy

Usiłuję rozładować złość na męża, idąc szybko niedługą, zarośniętą alejką do domu starszej pani. Przystaję jednak pod drzewem, aby się uspokoić i poukładać w głowie scenariusz działań.

Zacznijmy od początku: zanim będę mogła myśleć, muszę zepchnąć Boba i jego historię w odległe zakamarki umysłu. Poszufladkuj, Claudine, poszufladkuj... Nie cierpię tego słowa, lecz uwielbiam ideę.

Ponieważ jest to zasadniczo interes Tommy'ego, muszę poprowadzić w jego imieniu negocjacje. Zanim jeszcze przywitam się z tą kobietą, muszę również zdecydować na pewno, czy chcę uzyskać swoją działkę, biorąc pod uwagę fakt, że moje życie zostało wywrócone do góry nogami jednym tylko krótkim zdaniem z ust mojego męża. Czy nadal jestem tak zachwycona Whitecliff? Wiem, że jestem zbyt wściekła, by racjonalnie myśleć o mężu, i w tej chwili nie mam ochoty go oglądać nigdy w życiu. To impuls i moje odczucia zapewne z czasem ulegną zmianie. A jeśli nie i kiedyś się rozstaniemy? Czy wówczas chciałabym sama mieszkać w Whitecliff?

Opieram się o pień, aby pomyśleć, lecz przeszkadza mi w tym trzepot skrzydeł ptaka opadającego na gałąź. To drzewo to chyba magnolia, jeden z moich ulubionych gatunków. Pewnie wspaniale wygląda obsypane kwiatami. Stojący w głębi pobielony dom jest w dobrym stanie, duży i masywny. To dobry przykład tradycyjnego budownictwa irlandzkiego, lecz nie ma w nim nic szczególnego. Przydałaby mu się naprawa, podobnie zresztą jak podjazdowi, lecz nie jest to szczególnie dziwne, gdyż starsza pani najwyraźniej mieszka sama. Prawdopodobnie płaci komuś nawet za wymienienie żarówki. Wszystko wskazuje na to, że właścicielka należy do rosnącej grupy wiekowych osób, szczególnie kobiet, które we

współczesnym żargonie określane są jako „majątkne, lecz bez gotówki”.

W odpowiedzi na pytanie związane z Whitecliff mówię sobie: tak, z Bobem czy bez, chcę mieć Whitecliff.

Nie potrafię tego właściwie wytłumaczyć - pragnienie to nie ma nic wspólnego z wielkością, wartością ani pięknem. To raczej atmosfera i poczucie, że ten dom mnie woła.

Myślę.

Wielki Boże, to wszystko nie ma sensu... Po raz pierwszy, odkąd zdecydowałam się tu przyjechać, mam wątpliwości. Może się zdarzyć, że Whitecliff nie jest na sprzedaż i nie muszę się angażować. Cholera. Wyznanie Boba pozbawiło mnie zdolności podejmowania decyzji. Nie wiem, czego teraz pragnę.

Sprawdzam swój wygląd w niewielkim lusterku, które zawsze noszę w torebce. Nie za dużo makijażu - akurat tyle, by pokazać, że się postarałam. Włosy także w porządku, nie ma śladu niedawnych przejść. Jestem teraz spokojna czy też spokojniejsza - chyba należę do tych kobiet, które dobrze sobie radzą w czasie kryzysu, a załamują się dopiero potem.

Moja wizja wiekowej damy rozbija się w drobny mak, kiedy ta kobieta otwiera drzwi. Nie jest drżąca, godną współczucia, przygarbioną staruszką ubraną w taftę. Na nogach nie ma zniszczonych adidasów i pozwijanych skarpet. Pani Collopy jest mojego wzrostu, ale ma lepszą figurę. Ubrana jest tradycyjnie, lecz elegancko: kremowa bluzka, do której broszką w kształcie motyla przyłączone są okulary bez oprawek, prosta brązowa spódnica, pończochy i dobrej jakości buty na niewielkim obcasie. Wydaje się raczej szczupła niż chuda, oczy ma błyszczące i pełne życia. Ich wyraz zaskakująco zmienia się od uprzejmego oczekiwania do czegoś w rodzaju strachu, a zaraz potem do oceny. Zupełnie jakby oczekiwała kogoś innego.

- Pani Collopy?

Nie odpowiada.

To długie badanie wzrokiem wyprowadza mnie z równowagi.

- Mam tu chyba jakiś identyfikator.

Sięgam do zapięcia torebki, lecz ona uznaje mój gest za zbędny.

- Nie trzeba.

Wyciąga dłoń na powitanie. Uścisk ma silny i trwa on odrobinę dłużej, niż trzeba. Może jest samotna?

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać. - Staram się jak mogę delikatnie po-

kazać swój profesjonalizm. - Szczególnie, że zadzwoniłam z tak niewielkim wyprzedzeniem.

- Zapraszam. Proszę wejść.

Odwraca się i wchodzi do domu, a ja mogę iść za nią lub nie, wedle życzenia.

Zamykam za sobą drzwi i wchodzę do przestronnego salonu. Moje oczekiwania i tym razem się nie sprawdzają. Pokój jest jasny i ma dobre proporcje. Ściany są białe, a karmelowy dywan pokrywa ogromną część podłogi.

Pomieszczenie zostało urządzone ze smakiem, nie ma tu nadmiaru bibelotów, tak uwielbianych zwykle przez starsze panie, ani pamiątek. Nie ma również innych ozdób, nawet nad kominkiem. Wnętrze jest nowoczesne i neutralne, minimalistyczne nawet. Pod kątem prostym do kominka stoją dwie kanapy z granatowymi obiciami, pomiędzy nimi niewielki stolik, a dwie pasujące do niego biblioteczki zajmują nisze po bokach.

Jedynym oprócz nich sprzętem w tym pokoju jest coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej. Stoi pomiędzy oknami wypolerowana, lecz pozbawiona wszelkich ozdób. To ława w kształcie półksiężyca wycięta z pojedynczego kłosa drewna. Jest tak ciemna, że niemal czarna. Z tej strony przypomina duże otwarte S, gdyż siedzisko falą przechodzi w niewysokie oparcie, jedyną prostą linię na tym meblu. Jest ponadczasowy i prawdopodobnie bezcenny.

- Ależ to piękne, pani Collopy. - Podchodzę, aby dotknąć błyszczącej powierzchni. - Ile ma lat?

- Nie tak wiele.

Patrzę na nią. Stoi przy kominku, a jej baczny wzrok jeszcze bardziej wprawia mnie w zakłopotanie, gdyż teraz kobieta ma na nosie okulary. Musiała je założyć, kiedy się odwróciłam.

- Siedemdziesiąt mniej więcej - odpowiada cicho. Ponownie przenoszę wzrok na mebel.

- Wygląda na bardzo cenny.

I nagle przypominam sobie półksiężyc odbity na tapecie w holu w Whitecliff.

- To pamiątka rodzinna, oczywiście. Może być francuski lub włoski. Skąd pochodzi, jeśli mogę spytać?

- Nie jest francuski ani włoski i wątpię, czy jest cenny. Tata zrobił go z pnia cisu.

Przywiozłyśmy go z siostrą z Whitecliff, kiedy się tu przeprowadzałam. Poza porcelaną i pościelą, które zabrała Johanna po ślubie, to jedna z niewielu rzeczy, jakie zdecydowałyśmy się zatrzymać.

Po raz kolejny dostrzegam charakterystyczną budowę zdań.

- Pani ojciec musiał być świetnym stolarzem.

- To prawda. Usiądziemy? Napije się pani herbaty? Wyraźny sygnał. Żadnych pogawędek.

- Dziękuję, z przyjemnością.

Wychodzi z pokoju, ja zaś korzystam z okazji i oglądam zawartość biblioteczek, gdyż książki zwykle sporo mówią o osobowości ich właściciela. Te są przeważnie poświęcone przyrodzie i archeologii, tylko kilka z nich to książki o sztuce i klasyka literatury - Austen, Thomas Hardy, Thackeray. Najbardziej współczesne są powieści „Pożegnanie z bronią” i „Komu bije dzwon” Hemingwaya oraz „Herzog” Bellowa. Choć preferencje literackie tej kobiety nie są zbyt nowoczesne, jest silnym przeciwnikiem. Oczywiście zakładam, że książki należą do niej, nie do zmarłej siostry.

Wydaje mi się osobliwe, że na dolnej półce stoi kilka różnych wydań powieści „Wichrowe Wzgórze”, zarówno w miękkich, jak i twardych oprawkach. Któraś z mieszanek domu musiała w pewnym momencie życia dać znajomym do zrozumienia, że lubi tę powieść, w wyniku czego dostała ją w tylu egzemplarzach. Wiele lat temu popełniłam błąd i zaczęłam zbierać ceramiczne żółwie. Wszyscy, z Bobem włącznie, uczepili się tego, w związku z czym mam ich całe mnóstwo i nie wiem, co z nimi robić. Podczas odwiedzin znajomi oczekują, że ich prezent znajdzie się wśród innych okazów stojących na wierzchu. Zdaniem Boba...

Nie mogę myśleć o mężu. Oglądając kolejną półkę, mrużę pod nosem piosenkę: „Gdzieś jest... dum-dum-dee... tęcza... dum-sum-dee... wysoka...”. Usiłuję odsunąć myśl o Bobie.

- Czy dużo pani czyta, pani Armstrong?

Głos stojącej za mną starszej pani jest równie neutralny jak jej pokój. Odwracam się od książek i widzę, że niesie tacę - filiżanki i spodki, czajniczek w kapturku, cukier w kostkach i szczypczyki do niego. Na talerzyku leży chyba cała paczka herbatników z marmoladą.

- Mogę pomóc? - pytam radośnie i robię krok w kierunku pani domu, lecz ona już się pochyła nad stołem.

- Poradzę sobie, dziękuję.

- Tak, sporo czytam - odpowiadam, siadając na jednej z kanap. - Niestety teraz nie tak dużo, jak bym chciała. Nie mam czasu, czego bardzo żałuję. Skończyłam filologię.

- Większość naszych książek znajduje się na górze w jednej z nieużywanych sypialni. Od jakiegoś czasu mam zamiar je uporządkować, lecz jeszcze mi się to nie udało.

- Ma pani tutaj kilka wspaniałych powieści. Czy lubi pani „Wichrowe Wzgórza”?

- Czytałam to, będąc w szkole.

Nalewa nam herbatę, lecz po raz kolejny jej zachowanie każe mi zmienić temat.

- Ja również. Jak wszyscy chyba. Jaki piękny serwis.

- Dziękuję. Używa pani cukru i mleka?

Uderza mnie pewien szczegół serwisu: motyw konwalii. I rzucający się w oczy czajniczek Pata czy też Colmana. Niezbity dowód jego związków z tamtym domem - czy został zwolniony, kiedy rodzina się wyprowadziła, a mimo to pozostał wierny swoim pracodawcom? Nie mogę o tym teraz wspominać.

- Jedną kostkę, proszę, i odrobinę mleka. Muszę przyznać, że krajobraz jest tu wyjątkowo piękny.

- Też tak sędzę. To chyba jedno z ostatnich nieskażonych miejsc w Irlandii, choć tutaj również wiele się zmienia. Słyszałam, że dużo się tu teraz buduje, jak wszędzie zresztą. Proszę mi powiedzieć, pani Armstrong - delikatnie wrzuca szczypczykami cukier do swojej filiżanki - czy pochodzi pani z Dublina?

- Tak.

Dostrzegam, że zaczęłam mówić jak ona. Mam nadzieję, że nie posądzi mnie o naśladowanie.

- Z miasta?

- Tak, stamtąd pochodzę. - Celowo wyrównuję ton głosu. - Z południowej części, Glenageary, a potem Sandycove. Obecnie mieszkam jednak w North County Dublin, niedaleko Whitecliff.

Czy teraz mogłabym pokazać jej zdjęcia mamy, które przyzywają mnie z głębi torebki? Dochodzę do wniosku, że jeszcze na to za wcześnie.

Kiedy mam przed sobą herbatę i talerzyk z trzema ciasteczkami, moja rozmówczyni również siada. Niełatwo cokolwiek wyczytać z jej twarzy, lecz ponieważ nie spieszy się do interesów, nie chcę jej popędzać.

- Bardzo to miłe z pani strony. Nic nie pobije tradycyjnych ciastek. Wydawały mi się jednak większe, kiedy byłam dzieckiem. - Odgryzam kęs herbatnika. - Jak długo pani tu mieszka?

- Oj, dość długo, od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Ten dom należał do mojej siostry i jej męża, ale znalazło się tu miejsce i dla mnie. Dogadywaliśmy się bez trudu, a kiedy szwagier zmarł w osiemdziesiątym piątym, zostałyśmy tylko we dwie. To była wielka tragedia dla Johanny, dla mnie również, ponieważ on był cudowny pod każdym względem. Z upływem lat, kiedy już pogodziłyśmy się ze stratą, poczułyśmy się znowu jak w dzieciństwie. To też było miłe... - Zamyśla się. Nie patrzy na mnie, lecz na swoją filiżankę. Porusza mnie jej smutek.

- Śmierć siostry musiała być dla pani strasznym przeżyciem.

- Cóż, wciąż jeszcze nie potrafię się odnaleźć - odpowiada po chwili. A potem jej głos staje się silniejszy. - W życiu każdy wiek przynosi siłę, dzięki której można uporać się z właściwymi dlań doświadczeniami. Radzę sobie nieźle i mam miłych sąsiadów.

Znowu zapada cisza.

Siadam wygodniej na sofie i pomiędzy kolejnymi łykami herbaty ukradkiem przyglądam się swej rozmówczyni. Jest niewątpliwie stara - zdradza to szyja, ozdobiona delikatną biżuterią, widoczna nad kołnierzykiem bluzki - lecz nie sposób odgadnąć, ile ma lat. Może mieć równie dobrze sześćdziesiąt pięć jak i osiemdziesiąt. Nie pomyliłam się co do koloru jej włosów, są siwe, lecz mimo to przechodzą one moje oczekiwania. Prawdopodobnie naturalne loczki wydają się nawet niesforne. Zostały jednak dobrze ostrzyżone i wycieniowane i otaczają twarz w kształcie serca, podkreślając szeroko rozstawione, ciemnoniebieskie oczy. Teraz już zapewne trochę wypłowieły, lecz kiedyś musiały być równie intensywnej barwy jak sofa.

- Czy pomyślnie przeszłam inspekcję?

Jej twarz rozjaśnia się w pierwszym uśmiechu i widać wyraźnie, że pani Collopy nadal jest ładną kobietą, a kiedyś musiała być doprawdy zachwycająca.

- Przepraszam - odpowiadam, czując, jak ciepło ogarnia mi stopy. - Nie chciałam być

niegrzeczna.

Teraz? Zdjęcia? Nie - najpierw interesy.

- Pani Collopy - mówię, odkładając filiżankę. - Zapewne domyśla się pani, dlaczego tu jestem.

- Chyba tak - kiwa głową. - John Thorpe lub pani znajomy z North County Dublin powiedział pani, że rozważam sprzedaż posiadłości w tamtej okolicy. Muszę panią uprzedzić, że jeszcze się nie zdecydowałam.

Nie wiem nic o Johnie Thorpe, lecz zanim udaje mi się wymyślić jakieś niezobowiązujące pytanie, rozmowę przerywa pukanie do drzwi. Serce skacze mi w piersi. Poszufladkowałam sobie umysł tak skutecznie, że całkiem zapomniałam o Bobie.

- To pewnie mój mąż - wyjaśniam. - Był na spacerze z psem. Sądziłam, że lepiej będzie, jeśli nie zjawimy się u pani jednocześnie. Chętnie poczeka w samochodzie...

- Może się do nas przyłączyć.

Wychodzi. Słyszę, jak otwiera drzwi, a Bob jej się przedstawia. Wchodzą do pokoju.

- Napije się pan herbaty? - pyta pani domu, zatrzymując się przy drzwiach. - Przynieść filiżankę?

- Bardzo to miłe z pani strony, ale dziękuję, nie teraz.

A kiedy pani Collopy siada na swoim miejscu, Bob rozgląda się i mówi:

- Jaki piękny jasny pokój.

Jego słowa są idealnie dopasowane do sytuacji, takie lekkie, życzliwe. Wzmacniają zaufanie oraz - co ważne w rozmowie ze starszą panią - dają poczucie bezpieczeństwa. Na widok męża żółć podchodzi mi do gardła. Przypominam sobie jednak o stanie swoich nerwów, napiętych jak postronki udawaniem, że wszystko w porządku, i decyduję, iż lepiej mieć jakieś wsparcie. Naszym życiem mogę zająć się potem.

- Na pewno nie przeszkadzam?

Zanim zdążył usiąść, patrzy na przemian na nas obie.

- Chętnie poczekam na zewnątrz, jeśli negocjacje osiągnęły punkt kulminacyjny.

- Nie zaczęłyśmy jeszcze.

Przesuwam się na sofie, aby zrobić mu więcej miejsca. Znam prawdziwy powód obecności Boba tutaj - chce mi wynagrodzić swoje zachowanie - lecz w tej chwili nie zniosłabym nawet muśnięcia jego rękawa.

- Ale pani Callopy już wie, o co chodzi? - Bob siada obok mnie i uśmiecha się do gospodyni.

- Tak. - Odsuwam się jeszcze dalej, do samego oparcia na łokcie. - Mówiłam już, że interesuje nas Whitecliff.

- Kiedy widziała pani tamten dom po raz ostatni? - Bob pochyla się do przodu.

- Nie byłam tam od wielu lat.

- Więc nie wie pani, że to niemal ruina?

Zauważyłam, że czeka na moją aprobatę, lecz nie dam mu tej satysfakcji i skupiam się na starszej damie.

- Jestem przekonana, że stan tego domu, a nawet sam dom nie przedstawia szczególnej wartości dla deweloperów. - Kobieta uśmiecha się do mnie po raz kolejny, lecz tym razem jest to uśmiech figlarny. - Czytam gazety, panie Armstrong, i słucham radia. Oglądam też wiadomości w telewizji, lecz nawet gdybym tego wszystkiego nie robiła, mam swoich pełnomocników. Jestem więc w pełni świadoma boomu w zakresie nieruchomości w tamtej części kraju. Whitecliff to dziewiętnaście akrów pełnowartościowych gruntów pod inwestycje w bardzo popularnej okolicy.

- Tak jest faktycznie. - Bob obdarza ją próbką swojego wdzięku. Po raz kolejny zerka na mnie i po raz kolejny go ignoruję. - My jednak proponujemy, panno Collopy, jeśli to rzecz jasna nie wyda się pani zbyt aroganckie, by rozpocząć negocjacje dotyczące ogólnego zarysu transakcji, jeszcze zanim cała posiadłość zostanie wystawiona na sprzedaż. - Otwiera obie dłonie i wyciąga w kierunku kobiety, jakby ofiarowywał jej dużą paczkę. - Zalety tego rozwiązania zapewne świetnie pani zna. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe tego, co powiem, ale na tym etapie powinna pani cieszyć się swoim długim życiem, a nie zajmować gryzącymi się psami, jeśli mnie pani rozumie. Proszę mi wierzyć, gdy tylko okaże pani zamiar, nawet najmniejszy, sprzedania owych dziewiętnastu akrów, nie mówiąc już o samym domu, dopadną panią psy wszelkiego rodzaju. I nie wszystkie będą przyjaźnie usposobione.

- Jestem tego świadoma - odpowiada pani Collopy z jeszcze szerszym uśmiechem. - Lecz wydaje mi się, i pan zapewne się ze mną zgodzi, że w przeciwieństwie do tych psów, używając pańskiego określenia, jestem bezpiecznie ukryta w swojej samotni. To ja rozdaję karty, czyż nie?

Ku mojemu zdziwieniu ta kobieta zdaje się cieszyć z tej potyczki.

- Z całą pewnością tak właśnie jest. Ma pani rację.

Mój mąż pochyła się jeszcze bardziej, aby zająć jej całą uwagę, lecz przerywa nam salwa wściekłego szczekania. To niewątpliwie Jeffrey.

- Przepraszam. - Bob zrywa się na równe nogi i wycofuje w kierunku drzwi. - Musiałem chyba zostawić otwarte okno w samochodzie i wyskoczył. Przywołam go do porządku. Proszę mi wybaczyć. Ale wrócimy do tego za chwilę.

- Dobrze. - Z uśmiechem patrzy, jak Bob wychodzi z pokoju, lecz potem jej wyraz twarzy zmienia się gwałtownie. - Pani Armstrong, dlaczego pani sama interesuje się Whitecliff?

Jestem tak zaskoczona tą zmianą, że udaje mi się tylko wyjąkać coś mało spójnego na temat wspaniałych możliwości wyremontowania domu i jego wielkich walorów.

Pomija to milczeniem. Wstaje i podchodzi do okna, po czym odwraca się do mnie.

- Przepraszam za wścibstwo, ale czy mogę pani zadać osobiste pytanie?

Ponieważ stoi pod światło, trudno mi odczytać wyraz jej twarzy.

- Tak, proszę. - Czuję się niezręcznie, jakby była nauczycielką, a ja uczennicą przyłapaną na ściąganiu.

- Armstrong to nazwisko pani męża, prawda?

- Tak.

Robię się nieufna. Czyżby spotkała już wcześniej Boba. A może ona także usiłuje znaleźć jakiś związek pomiędzy nami?

- A jeśli mogę jeszcze zapytać, jak brzmi pani nazwisko panińskie?

Nie pomyliłam się. Ona też! Ponieważ kiedy jej podaję nazwisko, zamiast powiedzieć, że jej rodzina kupowała samochody od mojego taty, czy też wymyślić jakąś bzdurę, starsza dama odwraca się ponownie do okna. Ma sztywno wyprostowane ramiona.

- Dlaczego pani pyta, panno Collopy? Siedzę jak na szpilkach.

Zamiast jednak odpowiedzieć mi wprost, zadaje kolejne pytanie. Wiem, że to pytanie, gdyż słyszę jego ton, lecz wypowiedziała je, zwrócona twarzą do okna, i tak cicho, że nic nie rozumiem.

- Słucham?

Teraz odwraca się w moją stronę i widzę bladość jej twarzy, choć kobieta nadal pozo-

staje w cieniu.

- Czy pani mama miała na imię Marjorie?

26

Jagnię na rzeź

Przepraszam na chwilę, pani Armstrong - mówię, wstając. - Właśnie sobie przypomniałam, że powinnam zajrzeć do kuchni. Zrobię też jeszcze herbaty. Wrócę za minutkę.

Wyszłam z pokoju, zostawiając moją siostrzenicę samą.

Tego typu reakcja na tak ważne odkrycie może wydawać się dziwaczna, ale oto, co się naprawdę stało. Nogi wyniosły mnie same i znalazłam się w kuchni domu, w którym tyle lat mieszkałam z Johanną.

Kiedy już tam dotarłam, zrobiło mi się słabo i usiadłam na jednym z krzeseł - jak się okazuje, na krzesło Johanny. Nie przestawiałam go, nie poprawiłam nawet poduszki od czasu jej śmierci. Jestem ostatnia z naszej rodziny, a przynajmniej tak mi się wydawało, więc usiłowałam zatrzymać resztki obecności ukochanej siostry jak najdłużej. Teraz, usiłując uspokoić galopujące serce, myślę, że siadając tak bezmyślnie, na zawsze zniszczyłam jej ślady.

Dziecko Marjorie było dla mnie zawsze jakimś przypisem do dramatu Whitecliff, wiecznym niemowlęciem niemającym żadnego związku z życiem w izdebce na wieży. Cały mój świat ograniczył się do jednego tylko pokoju, skupiłam się na sobie samej. Nie ma wątpliwości, kim jest Claudine Armstrong. W jej głosie odnajdywałam echa tonu mojej siostry, a kiedy weszłam z herbatą, usłyszałam, jak śpiewa...

Wiedzieliśmy, rzecz jasna, że Marjorie wyszła za sprzedawcę samochodów, człowieka prostego, lecz o dobrym sercu, który był od niej starszy. Z jakichś przyczyn, może z powodu niechęci do niego lub dezaprobaty wobec wyboru Marjorie, a może dlatego, że mama nadal opłakiwała śmierć bliźniaków, nikt z najbliższej rodziny nie był obecny na ślubie naszej siostry w Paryżu. Nie pamiętam, kto był na jej pogrzebie, kiedy zmarła, wydając na świat córkę - kobietę stojącą teraz w moim salonie. Zauważyłam, że choć poszczególne wy-

darzenia i moje na nie reakcje pamiętam równie dobrze jak dawniej, to gdy mowa o chronologii, pamięć coraz częściej mnie zawodzi. Niekiedy czas jakby się kurczył i wydarzenia zachodzą na siebie tak bardzo, że nie sposób ich rozdzielić, a kiedy indziej rozciąga się w nieskończoność na wiele dziesięcioleci, choć logika mówi co innego. Nie wolno wam zapominać, że w ciągu lat spędzonych na wieży jedynie sporadycznie dostawałam wiadomości i zawsze były one przefiltrowane przez emocje osoby, która mi je przekazywała. Wiedziałam więc, że mama wymyśliła sobie, iż handlarz samochodów był w jakiś sposób winny śmierci Marjorie, i z tego, co wiem, zerwaliśmy wszelki kontakt z nim i jego maleńką córeczką.

O śmierci tego mężczyzny dowiedziałam się potem od Samuela młodszego. Do domu przyjeżdżał rzadko, gdyż mieszkał na północy Irlandii, gdzie prowadził pub odziedziczony po moim ojcu chrzestnym. Wciąż pamiętam opuchniętą twarz mojego brata, który zwierzał mi się przez okienko w drzwiach, że kiedy zobaczył klepsydrę w gazecie, miał zamiar wybrać się na pogrzeb, ale nie czuł się wystarczająco dobrze. Mój brat został swoim najlepszym klientem, lecz tamtego dnia nie mogłam wiedzieć, że dzień jego śmierci, w pustym pokoju nad pubem, nie jest już odległy. Nie widziałam Samuela już nigdy więcej. Dobrze jednak, że nie potrafimy przewidzieć przyszłości.

Twarz Marjorie rozmyła mi się niemal całkowicie w pamięci aż do dziś. W ostatnim czasie złapałam się nawet na tym, że mylę ją z Johanną - dziś jednak, otwierając drzwi, ujrzałam nowe wcielenie najstarszej siostry. Nie ma chyba jeszcze czterdziestu lat, a może ma trochę więcej. Trudno to ocenić dzisiaj, kiedy kosmetyki są tak dobre.

To niemożliwe, pomyślałam z początku, i uznałam owo podobieństwo za zbieg okoliczności. Każdy człowiek ma określony zestaw cech fizycznych, więc tylko najbardziej zaufani w sobie ludzie sądzą, że wśród miliardów ludzi na ziemi nie ma dwóch identycznych osób.

Jednak już kiedy prowadziłam ją do salonu, wyraźny obraz Marjorie zaczął mnie prześladować - a konkretnie wyraz jej twarzy, gdy wraz z tatą weszłam do kuchni po tym, jak zostaliśmy z Coleyem przyłapani nago.

Marjorie poszła do łóżka wcześniej, jednak nie mogła spać, w związku z czym zeszła do kuchni boso i w koszuli nocnej, by zagrzać sobie mleko.

- Co się dzieje? - zapytała, patrząc przy tym to na mnie, to na tatę, kiedy oniemiała,

zbyt przerażona, by płakać, wsunęłam się przed nim do kuchni i czekałam, aż zamknie drzwi. (Tylko sobie wyobrażam, jak wyglądałam z potarganymi włosami, w pomiętej spódnicy i swetrze włożonym w pośpiechu tyłem do przodu).

- Tato? - zapytała ponownie Marjorie, lecz w tej chwili mleko wykypiało z garnka, wypełniając kuchnię sykiem i zapachem spalenizny, zanim zdołała je zdjąć z kuchenki.

- Idź do łóżka, Marjorie - polecił tata szorstko.

- Ale co z tym? Powinnam to posprzątać.

Patrzyła na mnie wzrokiem pełnym pytań, lecz byłam zbyt przerażona, by zasygnalizować jakąkolwiek odpowiedź.

- Idź do łóżka! - powtórzył tata tonem, który wykluczał jakikolwiek sprzeciw, a Marjorie, rzuciwszy mi ostatnie, wystraszone spojrzenie, odstawiła garnek i wyszła z kuchni.

Niczym jagnię prowadzone na rzeź, ze spuszczoną głową oczekiwałam swojego losu. Nie stało się to jednak od razu.

- Ty zaś - powiedział tata z obrzydzeniem kapiącym z każdej głoski - idź do siebie. Porozmawiam z tobą jutro.

Następnego ranka byłam zbyt przerażona, by wyjść z pokoju. Nie spałam całą noc, a kiedy usłyszałam zwykłe odgłosy porannej krzątania, schowałam się głębiej pod kołdrę. Niech po mnie przyjdą, pomyślałam z brawurą, której wcale nie czułam.

Kroki niani na podeście pod drzwiami usłyszałam dopiero koło dziesiątej. Weszła bez pukania, a jej pomarszczona twarz była tak posepna, że wybuchnęłam płaczem.

- Nianiu! - Wskoczyłam z łóżka i objęłam ją w talii. - Tak bardzo się boję!

- Dobrze już, dobrze! - Poklepała mnie po plecach. - Na razie chcę z tobą tylko porozmawiać.

- Co znaczy „na razie”? - Jeszcze bardziej zdenerwowana puściłam nianię i zaczęłam szukać odpowiedzi na jej twarzy. - Kto tam jest?

- Mama, tata, Johanna, Marjorie i wujek. Nie ma chłopców... - Niania straciła panowanie nad sobą. - O czym ty, dziewczyno, myślałaś, na Boga?

- I co ja teraz zrobię? - zawodziłam.

- Ciiiiii - powiedziała uspokajająco. - Przestań robić z siebie widowisko. Jesteś już dużą dziewczynką. Wytrzesz oczy, uczeszysz się i włożysz jakieś przyzwoite ubranie. Musisz wyglądać porządnie, oto, co masz zrobić.

- Mam kłopoty, nianiu.

- Nie zaprzeczę. Gdzie twoja szczotka? - Niania podeszła do mojego sekretarzyka i wzięła ją do ręki. - Ubierz się teraz - dodała przez ramię - najszybciej jak możesz, a ja uczeszę ci włosy.

- Co oni ze mną zrobią? - Nadal wpatrywałam się w jej szerokie plecy. - Wiesz?

- Nie mnie o tym mówić. - Głos jej zadrżał, co przyprawiło mnie o kolejne dreszcze ze strachu.

- Ale wiesz, prawda, nianiu? - krzyknęłam. - Powiedz mi! Powiedz! Mam prawo wiedzieć. Jeśli mi nie powiesz, co się stanie, nie zejdem na dół. Ja - ja się zabiję!

To ją wyrwało z otępienia.

- Nie mów *ráiméis*, Violet! - odparła ze złością. - Nie zrobisz nic takiego. Sama to na siebie ściągnęłaś swoim haniebnym zachowaniem i wypijesz to piwo, jak cię uczyłam. Masz szansę pokazać, jaka naprawdę jesteś. A teraz ubierz się szybko, bo jeśli zejdem na dół bez ciebie, twoja sytuacja tylko się pogorszy.

Dziesięć minut później w porządnym, skromnym stroju i z włosami schludnie splecionymi w warkocz, stanęłam przed podwójnymi drzwiami salonu. Pomimo moich usilnych próśb niania towarzyszyła mi tylko tutaj, po czym zostawiła mnie samą. Przedtem jednak jeszcze mnie uściskała.

- Nie, nie mogę wejść z tobą, Violet. To sprawa rodzinna.

Jeszcze raz przytuliła mnie, życząc mi szeptem powodzenia, a potem otworzyła jedno skrzydło drzwi i lekko popchnęła mnie naprzód.

- Chodź, Violet, chodź.

Zaproszenie padło z ust wujka Samuela, który siedział na jednej z sof obok bladej mamy. Tata stał odwrócony tyłem przy kominku. Johanna, ze wzrokiem wbitym w podłogę, wyglądała na równie przerażoną jak ja, i tylko Marjorie patrzyła wprost na mnie. Widziałam, że usiłuje dodać mi otuchy, lecz to tylko zwiększyło moje przerażenie.

Padał deszcz, więc moje kroki na drewnianej podłodze, zagłuszane bulgotaniem w rynnach, brzmiały słabo.

- Usiądź, skarbie. - Wujek Samuel wskazał krzesło obok Marjorie. Miał łagodny głos i odetchnęłam trochę spokojniej. Może nie będzie aż tak źle, jak myślałam.

- Violet, twoi rodzice poprosili, żebym to ja z tobą porozmawiał - powiedział mój oj-

ciec chrzestny, zerkając przy tym na sztywno wyprostowane plecy taty.

- Ponieważ nie ufamy sobie - przerwała mu mama, tak wściekła, że zerwała się z sofy i gdyby wujek nie zareagował, z pewnością by się na mnie rzuciła.

- Usiądź, Muszko. - Pociągnął ją z powrotem na miejsce. - Krzyki i awantury nic tu nie pomogą. Co się stało, to się nie odstanie, i musimy się wspólnie zastanowić, co dalej. Dobrze? Zgoda?

Wujek nadal mocno trzymał mamę za ramię i spoglądał na niewzruszone plecy taty.

- Zgoda - wymamrotała mama po chwili, lecz najpierw popatrzyła na mnie tak jadowicie, jakby chciała mnie zabić.

Strąciła z ramienia dłoń brata i skrzyżowała ręce przed sobą. Schowała przy tym dłonie pod pachami, jakby po to, aby nie schwyciły mnie wbrew jej woli. Tacie nie drgnął nawet jeden mięsień.

- Violet - zwrócił się do mnie wujek poważnie - posłuchaj mnie z uwagą.

Stało się. Serce podskoczyło mi do gardła, jakby miało mnie udusić.

- Dobrze - wyszeptałam, gdyż wujek czekał na odpowiedź.

- Jesteśmy twoją rodziną - powiedział wówczas, ze szczególnym naciskiem na ostatnie słowo - i musimy zdecydować, co z tobą teraz zrobić. Rozmawialiśmy już na ten temat i mamy różne zdania. Twoi rodzice uważają, że powinnaś wyjechać z Whitecliff. Na północy jest kilka takich miejsc i prosili mnie, abym dowiedział się o nich czegoś więcej...

- Nie! - wykrzyknęłam. - Proszę, nie! Nie pojedę, wujku. Proszę, nie zmuszajcie mnie! - Myślałam jedynie o tym, że będę daleko od Coleya.

Ale wujek Samuel uciszył mnie ruchem dłoni.

- Nikt cię nie pyta o zdanie, skarbie. Wysłuchaj mnie, zanim coś powiesz. Pamiętaj, że twoim rodzicom, nam wszystkim, chodzi jedynie o twoje dobro. I wcale nie uważam, że odesłanie cię stąd jest najlepszym rozwiązaniem. Mówiłem im, że prawdopodobnie uciekniesz. - Uśmiechnął się przy tym nieznacznie, po czym włożył fajkę do ust i zaczął ją zapalać.

Czekałam. Czekaliśmy wszyscy. Deszcz tłukł o szyby, a przeciąg zgasił zapałkę. Wujek musiał zapalić następną.

Miałam wrażenie, że moje stopy stoją na dwóch nadzwyczaj ostrych brzytwach. Spojrzałam na Johannę i Marjorie w poszukiwaniu wsparcia, lecz obie patrzyły w podłogę.

Kiedy wujkowi nareszcie udało się zapalić tytoń i zaciągnąć się dymem, podjął przerwana przemowę.

- Przekonałem twoich rodziców, że nie byłabyś bezpieczna, więc odesłanie cię z Whitecliff jedynie pogorszyłoby sytuację. Ustaliliśmy więc, że jeśli dasz słowo, przysięgniesz na Biblię, że nigdy więcej nie spotkasz się z tym chłopakiem i nigdy nie wyjdiesz sama z tego domu... - Zamilkł, czekając na moją odpowiedź.

Dopiero teraz zauważyłam, że nasza Biblia, ozdobna, oprawiona w skórę księga, która była w rodzinie od wielu pokoleń, leżała na szafce. Nie wiem, czego się właściwie spodziewałam. Że zostanę publicznie - czy też w ukryciu - wychłostana? Uwięziona? Zaciągnięta na policję? Zakuta w dyby? Chcieli tylko obietnicy. Ulga, ciepła fala ulgi omal mnie nie pochłonęła i wiedziałam już, jak to jest, kiedy dostaje się ułaskawienie tuż przed egzekucją. Oczywiście, że obiecuję, w tej chwili przysięgnę im wszystko. Za jakiś czas emocje opadną, moje przestępstwo pójdzie w niepamięć i zapewne uda się jakoś ich przekonać, że można mi zaufać, a wtedy pozwolą, żebym wychodziła bez asysty. Obietnica zaniechania spotkań z Coleyem była przejściową niedogodnością. Dziękowałam Bogu. Miałam ochotę całować wujka po rękach. Znajdziemy z Coleyem jakiś sposób. Bóg to zrozumie, jest przecież Bogiem miłości, a my byliśmy zaręczeni. Powiadomię o tym fakcie rodzinę po upływie odpowiedniego czasu i wszystko będzie w porządku. Każda rodzina chciała wydać córkę za mąż, szczególnie te sprawiające kłopoty... Byłam tak szczęśliwa, że niemal podbiegłam do Biblii, aby obiecać to, czego ode mnie żądali.

- Czekamy. Co ty na to, Violet?

Z radości zapomniałam, że powinnam udzielić odpowiedzi.

- Przepraszam, wujku - odrzekłam możliwie najpokorniej. - Dobrze - spojrzałam na wszystkich zebranych - przyrzeknę na Biblię. Ale co ze szkołą?

- Koniec - odparł wujek beznamiętnie. - Poinformujemy panny Biggs we właściwym czasie. Lecz jeśli ci uwierzymy, Violet - ciągnął - mamy nadzieję, że weźmiesz pod uwagę wpływ swoich postępów na twoją biedną matkę, szczególnie teraz, kiedy James i Thomas jadą na wojnę...

- Wcale się o nich nie martwi. Ani o mnie. - Mama po raz kolejny straciła panowanie nad sobą.

- Nieprawda! Bardzo się o was wszystkich martwię! - wykrzyknęłam żarliwie, obej-

musząc tą deklaracją również tatę. On jednak pozostał niewzruszony. - Martwię się! Mamo, musisz to wiedzieć, musisz mi wierzyć!

- Dlaczego wobec tego nie pomyślałaś o nas ubiegłej nocy, kiedy przez swoją rozwiązłość wciągnęłaś nas wszystkich w błoto?

Deszcz, jak to się często zdarza w Irlandii, nagle przestał padać, a w ciszy te okropne słowa zdawały się odbijać od ściany do ściany.

- Przepraszam, mamo - wyszeptalam. - Tak mi przykro. - I nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej.

W tej nienawistnej ciszy wujek Samuel wstał ociężale, przyniósł Biblię i położył ją na niedużym stoliku przede mną. Posłusznie umieściłam obie dłonie na zniszczonej skórzanej okładce i czekałam na dalsze polecenia.

Wówczas tata odwrócił się i spojrzał na mnie wzrokiem tak pełnym potępienia, rozczarowania, nienawiści nawet, że ścierpła mi skóra. Johanna również musiała to zauważyć, gdyż zaszlochała na głos, a ja poszłam w jej ślady. Płakałam tak bardzo, że ledwie mogłam za wujkiem powtarzać słowa przysięgi.

Dlaczego wspominam to teraz, po tylu latach? Prawdopodobnie ze względu na pojawienie się siostrzenicy.

Z wyjątkiem mnie wszyscy aktorzy teatru Whitecliff są martwi - albo, jak Coley, zostali uznani za zmarłych. Załamalam się na wieść o śmierci mojego ojca chrzestnego na polowaniu. Kochalam go gorąco i w głębi serca, wiedząc, że jemu również powiedziano, iż wyjechałam za granicę, ufałam, że w jakiś sposób mnie odnajdzie i skłoni rodziców do uwolnienia mnie. Mój biedny brat nie dawał mi takiej nadziei. Choć podczas niezbyt częstych wizyt Samuel robił, co w jego mocy, aby mnie rozweselić, alkohol zbierał swoje żniwo, aż po wesołym młodym chwacie, jakim był na przyjęciu, nie pozostał nawet ślad. Im starszy i bardziej schorowany się stawał, tym bardziej bał się rodziców.

Jeśli zaś chodzi o Marjorie i Johannę, żadna z nich nie miała najmniejszego wpływu na mamę i ojca. Nawet Marjorie, która jako mężatka mieszkająca w wielkim mieście nie powinna się ich przecież obawiać, nie odważyłaby się ściągnąć hańby na nasze nazwisko, idąc na policję lub do jakiejś instytucji opiekuńczej. W obecnej epoce „otwartości i jawności” trudno to zapewne zrozumieć. Mogę powiedzieć jedynie tyle, że tak nas wychowano i żadna z nas nie odważyłaby się sprzeciwić rodzicom ani narazić ich reputacji na szwank. To

było coś, co akceptowaliśmy bez protestów - i właśnie dlatego mój postępek wydał im się tak szokujący.

Znalazłam w życiu spokój i w ciągu tych kilku lat, jakie mi jeszcze pozostały, niczego więcej nie pragnę. I oto nagle zjawia się ta siostrzenica, o której istnieniu właściwie zapomniałam, lecz która teraz chce, żebym przeżyła to wszystko jeszcze raz, i która na dodatek zamierza kupić Whitecliff! Jakież to życie jest dziwne!

Sam dom jest z pewnością pustą skorupą. Nigdy więcej nie postanie w nim moja stopa i wcale mnie nie obchodzi, co z nim będzie. Ustaliśmy z Johanną, co z nim zrobimy, i interesowało nas jedynie to, by pokrył koszty naszej wędrówki na tamten świat, mówiąc słowami wujka Samuela. Żadna z nas nie mogła znieść myśli o tym, że miałyby się stać ciężarem dla państwa.

Powinnam wrócić do salonu. Jestem straszliwie nieuprzejma. Przecież ta kobieta to moja siostrzenica. Jest równie zaskoczona jak ja. Jak bardzo chciałabym, by Johanna mogła tu być ze mną.

Bardzo za nią tęsknię, nawet bardziej niż po jej wyjeździe z Whitecliff, chociaż był to dla mnie wielki cios. Wiedziała, że tak to odczuję i ze względu na mnie niemal odrzuciła swoją szansę na szczęście.

- Co będzie z tobą, Violet? - płakała w dniu, kiedy otrzymała propozycję wyjścia za mąż. - Jak sobie tu poradzisz beze mnie?

Nie mogłam znieść jej cierpienia. Wyciągnęłam rękę przez okienko i choć serce pękało mi na samą myśl o pozostaniu tutaj bez niej, próbowałam pocieszyć ją najlepiej, jak umiałam, głaszcząc jej pochyloną głowę.

- Cicho, Johanno, cicho - błagałam. - To dla ciebie wspaniały dzień, a ja cieszę się wraz z tobą. Nie płacz, proszę.

Anthony Collopy, stolarz, którego moja siostra poznała u nas w domu, gdy przyszedł wraz ze swym pracodawcą robić nowe meble do kuchni, był ze wszech miar dobrym i kochającym mężczyzną. Ponieważ stałam się jej powiernicą podczas jego czułych, lecz dość nieśmiałych zalotów, zdążyłam się przygotować na ten dzień. Wiedziałam, że jeśli Johanna przyjmie oświadczyzny, po ślubie wyjadą daleko od Whitecliff, gdyż Anthony odziedziczył dom, właśnie ten, po swoim wuju. Wyremontował go, pragnął tu zamieszkać i otworzyć własną stolarnię w okolicy.

- Bardzo go kocham - płakała Johanna - lecz kocham również ciebie i nie mogę znieść myśli o tym, że cię opuszczę.

- Na litość boską, Johanno - odparłam z całą wesołością, na jaką mnie było stać - wcale mnie nie opuszczasz. Pogodziłam się z sytuacją. Rodzice nie pozwolą mi umrzeć z głodu, prawda? Nie chcę już tego słuchać. Możesz do mnie pisać za ich pośrednictwem. Będziemy pisać wspaniałe listy. Już się cieszę na samą myśl. Są też przecież pociągi, prawda? Będziesz mogła od czasu do czasu odwiedzać nas w Whitecliff. Jedź i bądź szczęśliwa za nas obie.

Po tych słowach cofnęłam rękę i pod pozorem konieczności pójścia do łazienki wycofałam się, aby móc opanować emocje.

Nie trzymam teraz uczuć na wodzy, to ostatnie zdarzenie przywołało wspomnienia tak żywo, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj, choć w moim wieku trzeba się pogodzić ze stratą. Wzburzenie, a nie śmierć jest teraz głównym wrogiem. To ja umrę następna i choć wcale nie czekam na śmierć, nie boję się jej.

Znowu słyhać dzwonek. To pewnie mąż mojej siostrzenicy, którego imię zdążyłam już zapomnieć. Nie mogę się tu dłużej ukrywać.

Spacer przy księżycu

Mamy się spotkać nazajutrz. Powiedziała, że jest bardzo zmęczona i na dobrą sprawę poprosiła, żebyśmy wyszli. Nie niegrzecznie, rzecz jasna. Choć widać było wyraźnie, że jest ogromnie poruszona, jej maniery pozostały nienaganne.

Tak właściwie będzie to dzisiaj, prawda? Jest niemal druga w nocy, a Bob śpi, znieczulony guinnessem. Szczęściarz z niego. Ja zupełnie nie mogę spać i zastanawiam się nawet, czy nie zabrać Jeffreya na spacer przy księżycu. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie w wiosce, której nazwy nie sposób wymówić, około dwunastu kilometrów od domu mojej ciotki. Było to najbliższe miejsce, w którym przyjmowali zwierzęta.

Jeśli już mówimy o zwierzętach - gdzieś w oddali szczeka pies. Wydaje się, że głos dochodzi z dużej odległości, słychać nawet niewielkie echo. Do tej pory sądziłam, że nasz dom w North County Dublin stoi w cichej okolicy, lecz tutaj, poza szczekaniem, cisza jest tak głęboka, że tamto miejsce przypomina raczej lotnisko w Dublinie.

Ciocia zapraszała, abyśmy zostali.

- Mam na górze cztery sypialnie, zapraszam do jednej z nich.

Widziałam jednak, że proponuje to wyłącznie dlatego, że tak wypada, a poza tym byłam równie niepewna jak ona, czy chcę zostać pod jej dachem. Obie byłyśmy bardzo wstrząśnięte. Kiedy zostawiła mnie w pokoju, w mózgu nieustannie pobrzmiwały mi słowa: Mój Boże! Mój Boże! Mój Boże!, które niczym pociągi zagłuszały wszystkie inne myśli. Nie byłam podekscytowana - a przynajmniej jeszcze nie wtedy. Nie czułam nic.

Niełatwo mi traktować tę nieznaną kobietę jak krewniaczkę. Choć nie mogę uważać się za eksperta od relacji rodzinnych, gdyż nigdy żadnej ciotki nie miałam, ona wcale nie wygląda na ciotkę. Może z czasem się to zmieni.

Do naszego wyjazdu obydwie byłyśmy nadzwyczaj ostrożne. Choć rozmawialiśmy przez ponad godzinę, rozmowa się rwała i z całą pewnością nie można jej nazwać szczęśliwym potokiem wspomnień. Sądzę, że obie jesteśmy na to zbyt oszołomione. Kiedy się czyta o takich spotkaniach po latach: „Rozdzielone po porodzie - Molly i Josh spotykają się po raz

pierwszy od sześćdziesięciu lat!", obok nagłówek zawsze widać płaczących ze szczęścia krewniaków, którzy objęci przysięgają, że nie rozstaną się nawet na chwilę... Cóż, ja z pewnością nie miałam ochoty płakać ze szczęścia. Szczerze mówiąc, kiedy ta wiadomość zaczęła do mnie docierać, wcale nie wiedziałam, co czuję. Chyba najlepszym słowem będzie „oszołomienie”. Chętnie się założę, że kiedy ja siedziałam jak posąg na sofie, ona siedziała dokładnie tak samo w kuchni, dokąd wyszła niby to zaparzyć herbatę.

Nie nazywa się Collopy, rzecz jasna. Nazywa się Shine. Gdybym miała dość rozumu, aby o to zapytać, udałoby mi się ustalić związek między nami, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę to zdjęcie przy kominku. Wiedziałam, że moja mama przed ślubem nazywała się Shine i choć nie jest to nazwisko niezwykle, rzadko zdarza się w North County Dublin. Lecz nie wpadło mi do głowy, aby zastanawiać się nad nazwiskiem Collopy. Dlaczego w końcu miałabym to robić?

To Bob spytał ją wprost, dlaczego wszyscy w West Cork znają ją pod tym nazwiskiem.

- Moja siostra po mężu nazywała się Collopy i kiedy tu przyjechałam, szwagier, Anthony, pragnąc chronić moją prywatność, mówił wszystkim, że jestem jego siostrą. Teraz oczywiście to mało ważne, co kto myśli, i kiedy zarejestrowałam się pod własnym nazwiskiem, aby odbierać zasiłek, nikt tego nie skomentował. Ale nazwisko zostało. Wszyscy w okolicy nadal nazywają mnie Collopy. - Podniosła czajniczek. - Jeszcze trochę herbaty?

- Nie, dziękuję pani. Musi pani czasem czuć się tu samotna.

Usiłował ją rozruszać. (Zabawne, ale nie myślę o nim teraz „ten szczur”. To pewnie wróci jutro rano, kiedy uda mi się pozbierać. Najwyraźniej potrafię się skupić tylko na jednym traumatycznym przeżyciu).

Tamten pies znowu szczeka, a w jego ślady idą wszystkie w okolicy. Dzięki Bogu Jeffrey nie jest na tyle głupi, by im odpowiadać. W normalnych warunkach nie słyszałabym nic, zwykle nie cierpię na bezsenność. Może powinnam owinać się w ręcznik i wyjść na zewnątrz. Księżyc świeci tak jasno, że można czytać. „Cicho, powoli księżyc ten ubiera noc w swój srebrny tren... ”*. To jeden z niewielu cytatów z wierszy, które pamiętam ze szkoły.

* Walter de la Mare, „Silver” (przyp. tłum.).

Kiedy dzwonek przy drzwiach cioci zadźwięczał wczoraj po raz kolejny, nie ruszyłam się z miejsca. Z jednej strony nie miałam ochoty wpuszczać tu Boba, lecz z drugiej bardzo chciałam podzielić się z nim nowiną. Nie weszli do salonu od razu, słyszałam ich głosy - ciotka oznajmiała mojemu mężowi nowinę.

Na pewno tak było, gdyż po wejściu do pokoju Bob skierował się wprost do mnie.

- Wszystko w porządku, Claudine?

- Mhmmmm - chyba tak właśnie odpowiedziałam i przez dłuższą chwilę nie potrafiłam złożyć dwóch słów, nie wspominając o braniu udziału w rozmowie, która wywiązała się między moim mężem a ciotką.

Muszę to powtarzać. Moja ciotka. Dobrze się to mówi. A tak wielu ludzi przyjmuje to za pewnik. W ramach pogawędki zauważyłam, że zapewne nie poznałaby Rathlinney.

- To niemal miasto.

- A sklep?

- Wiem, to była firma rodziny, prawda? Jest tam teraz potężny, gwarny supermarket.

- Ach tak - odparła, lecz odniosłam wrażenie, że to z grzeczności i tak naprawdę ani samo Rathlinney, ani żaden jego element wcale jej nie obchodzi. Utknęłam. Nie umiałam wymyślić, co jeszcze mogłabym dodać. Nie potrafiłam nawet zadać jakiegoś pytania, gdyż nie wiedziałam, co chciałabym usłyszeć. Czy to ma sens? Całkiem jakby mój mózg został kompletnie wyczyszczony.

Bob delikatnie wypytywał ją o Whitecliff i o to, dlaczego dom jest w tak opłakanym stanie.

- Obawiam się, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - odrzekła. - Nie byłam tam od dawna. Taki jest chyba zwykły los opuszczonych i zaniedbanych posiadłości. - A potem wstała i zwróciła się do mnie. - Może chciałabyś obejrzeć jakieś zdjęcia?

- Świetny pomysł!

Zerknęłam na Boba i zobaczyłam, że się do mnie uśmiecha, całkiem jakbym zasługiwała na złotą gwiazdkę za włożony trud.

- Claudine... - zaczął, kiedy ciotka wyszła z pokoju, lecz warknęłam na niego.

- Proszę, Bob! Po prostu się nie odzywaj, dobrze?

- Musimy porozmawiać.

- Teraz? - Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie.

Siedzieliśmy w kompletnej ciszy, a ja próbowałam się uspokoić przed powrotem ciotki.

Wróciła z pudełkiem po butach i położyła jego zawartość na stoliku między dwiema sofami. Wiedziałam, że powinnam zachwycać się fotografiami, lecz w moim obecnym stanie ta niewielka sterta kartoników koloru sepii - znacie zapewne takie zdjęcia, niewielkie brązowawe wygięte prostokąty - wydawała mi się niebezpieczna. Za dużo i zbyt szybko, nagły widok nieoczekiwanych krewnych. Było to zbyt obce, by dało się objąć za jednym zamachem. A jednak podnosząc pierwsze zdjęcie, poczułam, że jestem trochę podekscytowana.

Dwóch młodych mężczyzn i kobieta w letnich strojach, z lat trzydziestych lub początku czterdziestych, siedziało na leżakach na trawniku na tle krzewów. Jeden z mężczyzn palił fajkę, drugi pochylał się w stronę kobiety i obejmował ją ramieniem, lecz ta pozycja nie wydawała się szczególnie wygodna. Trudno było dojrzeć rysy twarzy, lecz wszyscy troje wyraźnie mrużyli oczy. Na odwrocie zdjęcia był podpis ołówkiem: „Mama i tata z wujkiem Samuelem, Dundonald 1939”.

- Kto to jest?

Choć bez trudu mogłam się domyślić, chciałam, żeby to ona mi powiedziała. Wyciągnęłam do niej zdjęcie.

- To są... - zawahała się - ...twoi dziadkowie i brat babci, Samuel. Mama pochodziła z północy.

Wybrała kolejne zdjęcia swoich rodziców, a potem moich wujków bliźniaków i jeszcze jednego wujka (trzy maleńkie brązowe figurki ściskające przy szyi kołnierze płaszczyków na wietrznej plaży), a potem jednego z tych chłopców samego, który stał w pumpach obok krowy.

- A to Matthew. Zmarł, kiedy miał sześć lat.

Okazuje się, że miałam czterech wujków i dwie ciotki, choć trzech wujków zmarło jeszcze przed moim narodzeniem. Nic o tym nie wiedziałam - a tata nic mi nie powiedział, cholera jasna...

Wzięłam do ręki zdjęcie mamy i jej dwóch sióstr. Wszystkie trzy stały przed wejściem do domu. To bez wątplenia Whitecliff w okresie świetności.

- To ostatnie moje zdjęcie - powiedziała ciotka obojętnie. - Tego wieczoru urządziliśmy duże przyjęcie. Johanna i ja harowałyśmy przy przygotowaniach i porządkach i dopiero chwilę wcześniej przebrałyśmy się w balowe sukienki. Marjorie i jej przyjaciółka też właśnie przyjechały z Dublina. Przywiozła aparat, a jej koleżanka zrobiła nam zdjęcie. Ta w środku to Marjorie. Ja stoję z lewej strony.

Przypominam sobie, co mam w portfelu.

- Szczerze mówiąc, to chyba mam jedno zdjęcie z tamtego wieczoru. Violet, może ty mi powiesz, czy się nie mylę. - Wyjmuję zdjęcie mamy przy kominku.

- Tak - odpowiada cicho, biorąc je do ręki. - Tak, to Marjorie, a w tle Samuel młodszy z grupą znajomych.

- Mam to zdjęcie od lat, lecz dopiero kiedy pojechałam do Whitecliff i zobaczyłam wasz kominek... - mówię zaskoczona. - Violet, straciłyśmy tak wiele czasu.

- Czas nigdy nie jest stracony, kotku. Zawsze wykorzystujemy go tak, jak umiemy.

Najbardziej osobista rzecz, jaką ojciec opowiedział mi o mamie, jeden z niewielu jej obrazów, jaki potrafię stworzyć, to jej wizerunek w dniu, kiedy się w niej zakochał. Zjawiała się w firmie taty, aby zapytać o możliwość zakupu niewielkiego samochodu.

- Znała nasz salon, skarbie, gdyż ojciec jednego z jej przyjaciół prowadził z nami wtedy interesy. Była tak piękna. Miała na głowie ręcznie robiony beret. Nosiła go tak, że opadał na jedno oko. Włosy miała takie jak ty, miękkie, błyszczące i falujące. A nogi długie do samego nieba. Za kilka pensów oddałbym jej najdroższy samochód.

Zamiast tego jednak natychmiast zaoferował jej pracę.

- Zapytałem ją wprost, czy mogłaby u mnie pracować, i zaproponowałem stanowisko sekretarki-recepcjonistki. Nie wiedziałem nawet, czy ta dziewczyna w ogóle potrafi pisać na maszynie. To nie było ważne. Na szczęście okazało się, że ukończyła kurs dla sekretarek, wiesz?

Podniosłam należące do Violet zdjęcie trzech sióstr, aby mu się lepiej przyjrzeć. Dziewczyna w środku miała ciemne, krótko obcięte włosy. Ubrana była w długą, dopasowaną sukienkę bez rękawów, białą lub w innym jasnym kolorze. Obejmowała siostry, śmiała się - wyglądała na najbardziej beztruską z nich trzech.

Dziewczyna z lewej, moja ciocia Violet, najwyraźniej była najmłodsza. Również miała na sobie białą lub kremową sukienkę. Jej twarz otaczała burza ciemnych włosów. Nie pa-

trzymała w aparat, niemal się wyrywała, jakby roztargniona i spięta. Dziewczyna z prawej, Johanna, miała włosy proste i gładkie, w porównaniu z tamtymi dwiema wyglądała poważnie, a nawet niemodnie.

Dopiero teraz dotarł do mnie sens słów cioci.

- Jak to możliwe, że to twoje ostatnie zdjęcie? Byłaś wtedy bardzo młoda.

- Miałam szesnaście lat.

- Widzę. Byłaś bardzo piękna.

- Dziękuję - odparła i nieświadomie przyjmując tę samą pozę co na zdjęciu, zapatrzyła się w dal, jakby zobaczyła coś za moimi plecami. - Kiedy się ma szesnaście lat, nie wierzy się w takie rzeczy, bez względu na to, kto mówi ci komplement.

- Ale to prawda - oświadczyłam. - Nadal jesteś piękna.

Spojrzała na mnie z uśmiechem, który rozjaśnił również jej oczy, i zrozumiałam, co jest w niej najbardziej uderzającego. Uśmiech ten podkreślał nie tylko jej twarz, lecz również całą postać, więc bez trudu dało się rozpoznać, że to właśnie ona jest tą przepiękną młodą kobietą ze zdjęcia.

- Pochlebiasz mi - powiedziała. - W moim wieku wygląd wcale się nie liczy.

- Ale, przepraszam, jeśli jestem wścibska, nie odpowiedziałas na moje pytanie. Jak to możliwe, że nie masz innych zdjęć?

Uśmiech zniknął z jej twarzy i po raz pierwszy od naszego przyjazdu Violet straciła panowanie nad sobą. Właśnie wtedy powiedziała, że jest zmęczona, i zaproponowała, by kontynuować rozmowę nazajutrz, „w porze, która będzie wam obojgu odpowiadać”.

I wtedy zaczęła nam opowiadać

Jak już mówiłam, przez dłuższy czas ta nieznana ciocia mieszkała osiem kilometrów od mojego domu. Podczas naszej drugiej wizyty opowiedziała nam o swoim życiu. Jest to historia wręcz niewiarygodna i z początku podejrzewałam, że to wymysł jej wyobraźni.

A jednak w trakcie opowieści tak szczegółowo opisała nam swój świat, przedstawiając całą historię z tak niewielką ilością goryczy, że ani Bob, ani ja nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, iż mówiła prawdę.

Gdy tylko w historii Violet pojawił się Coley Quinn, zdałam sobie sprawę, że mój „Pat”, który wyjawiał mi, że naprawdę ma na imię Colman, to prawdopodobnie tamten chłopiec. Zamierzałam powiedzieć o tym ciotce, lecz wspomnienia pochłonęły ją tak bardzo, że nie chciałam dodawać jej dalszych wzruszeń, chociaż sądziłam, że będą one przyjemne. Zdołałam utrzymać język za zębami. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale przecież w Rathlinney mogło być dwóch Coleyów w podobnym wieku - lecz jakie były szanse, że jakiś inny Colman koczował w Whitecliff? Po doświadczeniach ostatnich dni nic by mnie jednak nie zdziwiło, więc zanim rozbudzę nadzieje Violet, muszę sprawdzić, że to na pewno ten sam człowiek.

Nie wiem, czy ciocia zamierzała wyjawić nam aż tyle, gdyż drugiego dnia, po obowiązkowej herbacie, zaczęła nie od swojego romansu, lecz od opowieści o mojej mamie. Stworzony przez nią portret był tak piękny, że tylko z ogromnym wysiłkiem udało mi się powstrzymać łzy. W relacji Violet Marjorie Shine była dziewczyną pełną życia, cudowną, niezależną, inteligentną, muzykalną - i obdarzoną bardzo dobrym sercem.

Zachowanie Violet uległo dziwnej zmianie, kiedy całkiem niewinnie zaczęłam paplać na temat ślubu moich rodziców.

- Wiem, że był skromny i odbył się w Paryżu, i że ciebie nie było, lecz zapewne podobnie jak ja masz zdjęcia. Są czarno-białe i zapewne się ze mną zgodzisz, że w ogóle nie widać, czy sukienka mamy jest biała czy w kolorze kości słoniowej, a tata zupełnie nie umiał mi tego powiedzieć, więc miło by było... - Zaniepokojona przerwałam w pół słowa. Z

ciocią działo się coś niedobrego. Z trudem łapała oddech. Czy to już koniec? - Co się stało, Violet?

Siedzieliśmy jak na pierwszej wizycie na sofach w salonie, a Bob, który był z moją ciotką po imieniu od chwili, gdy po raz drugi przekroczyliśmy próg tego domu, podbiegł do niej natychmiast.

- Nic, nic. - Odsunęła go dłonią. - Przepraszam. Proszę...

Widać jednak było wyraźnie, że nie czuje się dobrze.

- Ciociu Violet, przynieść ci wody? Chciałabyś odpocząć?

Ja również usiadłam obok niej.

- Obiecywałam sobie, że nie będę tego przeżywać - wyszeptała.

- Wiesz - wtrącił się Bob, przejmując kontrolę nad sytuacją. - Claudine ma rację. Może jednak powinnaś położyć się na godzinkę. To musi być dla ciebie bardzo duże przeżycie, a jeszcze my ci siedzimy na głowie. Możemy przyjść później. Albo nawet jutro. - Spojrzał na mnie, szukając potwierdzenia.

- Pewnie, że tak. - Gorliwie kiwałam głową.

Dotarło do mnie, że Tommy O'Hare, który zostawiał mi na poczcie głosowej coraz bardziej niecierpliwe wiadomości, może mieć na ten temat własne zdanie, lecz odepchnęłam tę myśl i wraz z Bobem patrzyliśmy na ciocię. Ja nawet już wstałam.

Czekała nas jednak kolejna niespodzianka.

- Nie - odpowiedziała silnym głosem Violet, patrząc przy tym na mnie. - Muszę wam coś powiedzieć. Ten sekret jest w naszej rodzinie od wielu lat. Uprzedzam, że nie będzie to piękna historia, ale doszłam do wniosku, że macie prawo wiedzieć.

Jeśli nawet coś jej dolegało przed chwilą, to teraz już minęło. Siedziała wyprostowana, usta zacisnęła w pełną determinacji kreskę.

- Nie chciałam was przestraszyć - powiedziała spokojnie. - Proszę, usiądźcie oboje.

Po czym zaczęła mówić dalej.

Tajemnice

Po przyjęciu dom coraz bardziej pustoszał. Pierwsza wyjechała Marjorie, zaraz po mojej przysiędze. To było trudne pożegnanie, gdyż nie tylko stała się świadkiem mojego upokorzenia, lecz także знаła jego powód. Kiedy cichutko zapukała i weszła do mojego pokoju, skuliłam się pod kołdrą.

- Dobrze się czujesz, Violet? - zapytała, siadając obok mnie na łóżku. - Brakowało mi ciebie w czasie lunchu.

- Wszystko w porządku. Odejdź.

Nie chciałam jej pokazywać napuchniętej, zapłakanej twarzy. Byłam też rozżalona, że ani ona, ani Johanna nie powiedziały nawet słowa w mojej obronie.

- Chodź tu, malutka. - Szarpnęła narzutę, odkrywając mi głowę.

- Uciekaj! - Usiłowałam ponownie naciągnąć kapę na siebie, lecz Marjorie była szybsza. - Jesteś tak samo okropna jak oni! - wykrzyczałam. - Nikt nic nie rozumie!

- Violet, uważam, że to, co się stało dziś rano, było wstrętne - odpowiedziała spokojnie. - Musisz jednak pamiętać, że rodzice należą do innego pokolenia. Są wstrząśnięci twoim zachowaniem.

- A ty? - Podniosłam głowę z poduszki i zwróciłam się wprost do niej.

- Mnie jest przykro. - Obrzuciła mnie smutnym spojrzeniem. - Nie chcesz przecież, żebym cię okłamywała. Jest mi przykro ze względu na ciebie i na nich. Na nas wszystkich. Ale im przejdzie. Musisz tylko siedzieć spokojnie przez parę miesięcy. Zobaczysz sama.

Dla mnie „kilka miesięcy” oznaczało całą wieczność.

- Dobrze ci mówić, ty mieszkasz w Dublinie. Nie wiesz, jak jest tutaj. To straszne mieszkać tylko z Johanną i z nimi. Całkiem jak w więzieniu.

- Wyobrażam sobie - odparła. - Ale to tylko na jakiś czas. Nie zapominaj, że przed nimi ciężki okres. Nie mogłaś sobie wybrać gorszej pory. Nielatwo wysyłać synów na tę okropną wojnę, i musisz to wziąć pod uwagę. Spróbuj się postawić w ich sytuacji, wyobrazić sobie, jak to jest być matką i ojcem.

Jej rozwaga miała na mnie większy wpływ niż jakiegokolwiek długie tyrady. Wbrew sobie dostrzegłam racje rodziców. Nie było się jednak z czego cieszyć. Ukryłam twarz w dłoniach.

- Nie mogę się z nim nie spotykać. Nie mogę, Marjorie! Nie mają prawa...

- Być może nie są szczególnie wylewni, lecz gdyby udało ci się zrozumieć, że to tylko dla twojego dobra...

Odkryłam twarz i spojrzałam na nią wyzywająco.

- Cóż, nie znają całej prawdy. Jest moim narzeczoną. Jesteśmy zaręczeni.

- Violet! - zawołała przerażona. - Ty masz szesnaście lat!

- Mogę więc wyjść za mąż - stwierdziłam posępnie - i nikt nie zdoła mi w tym przeszkodzić.

- Och, skarbie... - Wyglądała, jakby miała ochotę mnie przytulić, lecz po namyśle zrezygnowała, pewnie dlatego, żeby mnie nie zachęcać do oporu. - Oni mają rację. Być może to zgodne z prawem, lecz dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat, będziesz potrzebować zezwolenia rodziców na ślub, a oni mają wszelkie prawo powstrzymać cię od zrobienia czegoś, co ich zdaniem nie jest dla ciebie najlepsze. - Zawahała się przez chwilę. - Nie możesz ich prowokować. Obiecasz mi to? I nie martw się, nie mam w kieszeni Biblii!

Zlekceważyłam tę próbę rozweselenia mnie. Nie warto było odpowiadać. Rzuciłam się z powrotem na poduszki i zamknęłam oczy.

- Jestem pewna, że atmosfera poprawi się jutro po wyjeździe chłopców - dodała Marjorie równie miło i rozsądnie. - Pamiętaj też, że powinnaś postawić na tatę. On ma bardziej miękkie serce, choć pozory mówią co innego. I tak bardzo cię kocha...

- Ha! - zadrwiłam. - Okazuje to w dość zabawny sposób.

- Myśl, Violet Shine! Rusz tą mądrą główką. Pomyśl, co zrobiłaś. Co on zobaczył. Jak to wyglądało. Jak bardzo rozczarowała go jego maleńka córeczka.

- Wiem. Czy sądzisz, że nie wiem? Ale, Marjorie, jak byś się czuła, gdyby nie pozwolono ci opuszczać tego domu? I nigdy nie byłaś tak zakochana jak ja...

- Dopiero zaczynasz życie. - Siostra nie chciała się ze mną sprzeczać. - Cóż znaczy parę tygodni czy miesięcy w tym czy innym miejscu?

- Miesiące? Umrę!

- Nie umrzesz. I będą inni chłopcy - dodała. - Mnóstwo chłopców.

W ten sposób jedynie potwierdziła moje podejrzenia, że ona również traktuje mnie jak dziecko. Nie miała najmniejszego pojęcia o tym, co mi się przytrafiło. Nikt z nich tego nie wiedział. Jak mógłby być jakiś inny chłopiec w moim życiu?

A potem wpadłam na wspaniały pomysł.

- Czy mogę odwiedzić cię w Dublinie?

Siadłam na łóżku; w jakiś sposób przekażę Coleyowi wiadomość, przecież nie będą mnie pilnować całą dobę. Muszą kiedyś spać. Wiedziałam, że będzie sprawdzał, czy pod drzewem nie ma dla niego kartki. Z pewnością bardzo się martwił, ale nasza miłość jest tak silna, że znajdziemy jakieś wyjście. Ufałam mu bezgranicznie.

Złapałam Marjorie za rękę.

- Pozwolą mi do ciebie przyjechać, jestem pewna. Możesz im powiedzieć, że będziesz mieć na mnie oko.

- Zupełnie jakbym nie miała nic innego do roboty. - Przewróciła oczami. - Słuchaj, Violet. Potrafisz dochować tajemnicy?

- Pewnie, że tak.

- W przyszły poniedziałek zaczynam pracować jako sekretarka i recepcjonistka.

- Marjorie, to wspaniale! Ale gdzie tu tajemnica?

- Nie powiedziałam o tym rodzicom - ostrzegła mnie. - Prawdę mówiąc, trochę się obawiam ich reakcji. Wydaje mi się, że chcieliby dla mnie czegoś lepszego niż to, co mi zaoferowano. To praca w salonie samochodowym. Nie mów im nic, dobrze? Muszę wybrać odpowiednią porę.

- Obiecuję! - Byłam równie podekscytowana jak ona. Sekretarka w salonie samochodowym! Mnie wydawało się to wspaniałe.

- W związku z tym pozwól, by wszystko ułożyło się przez parę tygodni - ciągnęła - a potem zastanowimy się nad twoim przyjazdem na weekend. Teraz jednak musisz być grzeczna. Dobrze?

- Och, Marjorie!

Zarzuciłam jej rękę na szyję i przytuliłam się mocno. Jak na osobę wychowaną w rodzinie, która nie okazuje sobie uczuć, ostatnio zrobiłam się nadzwyczaj wylewna. Nie odsunęła się, choć tego właśnie się spodziewałam, lecz również mnie objęła.

- Ja też kogoś spotkałam - wyszeptała po chwili - lecz to będzie nasza druga tajemni-

ca. Dobrze?

Odsunęłam się i popatrzyłam na jej rozświetloną twarz.

- To wspaniale! Tak się cieszę. Pomyśl tylko, obie jesteśmy zakochane! Kim on jest? Musimy teraz jeszcze znaleźć kogoś dla Johanny i będzie idealnie!

- Nie zapomnij tego, co ci mówiłam przez ostatnie dziesięć minut! - Marjorie roześmiała się, lecz potem twarz jej spochmurniała. Złapała mnie za ramię i potrząsnęła. - Violet, nie chodzi o mnie, posłuchaj. Poważnie ci mówię, żebyś ich nie prowokowała. Dużo zawdzięczasz wujkowi Samuelowi. Byłam z nimi, kiedy rozmawiali na twój temat. Najwyraźniej, poza wybrykiem z ostatniej nocy, wcześniej poszłaś się spotkać z tym chłopcem w mleczarni, bezwstydnie, na oczach całego świata!

Oślupiałam, tym bardziej że mi się wydawało, iż ta sprawa należy już do przeszłości. Marjorie przyglądała mi się z uwagą.

- Słuchasz mnie, Violet? Czy przyrzekasz, że będziesz się trzymać z daleko od tego chłopca?

- Dlaczego nie przywiozłaś swojego kawalera na przyjęcie?

- Nie wiedziałam, jak rodzice na to zareagują... - Popatrzyła w dal, po czym dodała w zamyśleniu - a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Poza tym znamy się od niedawna i za wcześnie jeszcze, by przedstawiać go jako mojego kawalera, lecz to chyba właśnie to!

- Dlaczego miałby im się nie spodobać? Kim on jest?

- Nie mogę ci powiedzieć, jeszcze nie teraz. A potem wróciła do celu swej wizyty.

- Violet, przestań zmieniać temat. Skup się i obiecaj, że nie zrobisz nic głupiego. Rodzice są u kresu wytrzymałości i tylko jeden Bóg wie, jak zareagują, jeśli ich zawiedziesz.

Zgodziłam się pośpiesznie.

- W porządku, obiecuję, obiecuję.

Skrzyżowałam jednak palce ukradkiem. Nie chciałam jej martwić, lecz miałam zamiar usunąć wszelkie przeszkody stawiane przez rodziców między mną a Coleyem Quinnem.

- Marjorie, opowiedz mi o nim, a ja opowiem ci o Coleyu...

Bez względu jednak na moje błagania ani nie zdradziła imienia swojego kawalera, którym oczywiście okazał się Chris Magennis, ani nie chciała słuchać opowieści o Coleyu. Przynajmniej jednak zostawiła mi odrobinę nadziei - nie mogłam się już doczekać wizyty w Dublinie.

Niania opuściła dom przed podwieczorkiem. Przedtem, rzecz jasna, wślizgnęła się do mojego pokoju i udzieliła mi dalszych ostrzeżeń. Wujek Samuel wyjechał wcześniej następnego ranka. Już drugą noc prawie nie spałam i tuż po wschodzie słońca usłyszałam warkot włączonego silnika i chrzęst żwiru na podjeździe. Wuj nie przyszedł się pożegnać. Było mi przykro, lecz cieszyłam się jednocześnie, że nie muszę wysłuchiwać kolejnej lawiny nawoływań do poprawy. Wyczerpanie fizyczne i psychiczne sprawiło, że byłam wręcz wyprana z wszelkich uczuć. Byłam również głodna i spragniona, gdyż przez pierwszą dobę nie wychodziłam z pokoju.

Po wyjeździe wujka w Whitecliff zostali jedynie bliźniacy. Wiedziałam, że mają wyjechać mniej więcej w południe. Tata miał odwieźć ich do Droghedy, gdzie zatrzymywał się pociąg do Belfastu. Byłam tak głodna, że kiedy koło ósmej usłyszałam skwierczenie boczku na patelni i poczułam jego zapach, zdecydowałam się zjeść śniadanie ze wszystkimi, mając nadzieję, że któryś z braci będzie odwracał ode mnie uwagę reszty rodziny.

Gdy weszłam do jadalni, mama, która akurat coś piła, odstawiła filiżankę i wyszła z pokoju, nawet na mnie nie patrząc. Zerknęłam na Johannę, błagając ją o wsparcie, lecz z jej zachowania wyraźnie wynikało, że nie może mi pomóc.

- Dzień dobry, tato - powiedziałam cicho, zajmując swoje stałe miejsce przy stole obok siostry, lecz w tym momencie weszli chłopcy, dzięki czemu tata nie musiał się głowić, jak odpowiedzieć na moje powitanie i czy w ogóle to zrobić.

James i Thomas, w mundurach, byli wypucowani, wypolerowani i wyprasowani do perfekcji, a jedyną skazę stanowiło zacięcie na policzku Jamesa. James zatrzymał się w drzwiach i spojrzał za mamą.

- Co jej się stało?

- Nic - odrzekł tata, po czym wstał od stołu, podszedł z talerzem do kredensu i z podgrzewanego półmiska nałożył sobie jajka, boczek i pudding. - Chodźcie jeść, póki to wszystko jest ciepłe.

Postanowiłam również skorzystać z zaproszenia i stanęłam za braćmi.

- Przez długi czas nie zobaczycie takiego jedzenia - zażartował tata, odwracając się w kierunku chłopców, żeby mnie wykluczyć z rozmowy. - Nie wspominając o nas samych! Przez to przyjęcie jesteśmy winni przysługi wszystkim w okolicy. Teraz następne dwa miesiące będziemy jeść suchy chleb, pod warunkiem że uda nam się zdobyć mąkę.

Jedynie Thomas zareagował na te żarty i trudno było znieść ciszę, która zapanowała przy stole.

Wracając na swoje miejsce, tata włączył radio, aby posłuchać porannych wiadomości.

- Co się stało w tym domu? - zapytał mnie Thomas szeptem zagłuszonym przez spikera, który podawał najnowsze wiadomości na temat wojny. - W czasie przyjęcia wszyscy tak dobrze się bawili, a teraz mają skwaszone miny. I chodzą na paluszkach. Czy to z powodu naszego wyjazdu?

- Nie słyszałeś? - wyszeptałam w odpowiedzi, a kiedy James układał na talerzu tyle plastrów boczku, że wystarczyłoby dla trzech mężczyzn, dodałam: - Na pewno nikt z wami nie rozmawiał na mój temat?

Nie mogłam wprost uwierzyć, że tylko oni dwaj nie zostali zwerbowani do plutonu egzekucyjnego. Thomas potrząsnął głową.

- Nie ma to nic wspólnego z wami - wymruczałam, a potem przypominałam sobie, co ich czeka - a przynajmniej nie w całości. W tej chwili jestem czarną owcą i nikt się do mnie nie odzywa.

Miałam nadzieję, że moje słowa zabrzmiały właściwie. Tajemniczo, ale beztrąsko.

- Co zrobiłaś?

Mimo woli odwróciłam się, by sprawdzić, czy tata nam się przygląda. I tak było.

- Powiem ci później. Albo spytaj Johannę. A potem głośno dodałam:

- Tato, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę śniadanie do swojego pokoju.

Równie dobrze mogłam się nie odzywać, gdyż tata bez słowa solił jajecznicę. Z pewnych względów moja decyzja była właściwa, gdyż po nałożeniu sobie śniadania na talerz mogłam się bez przeszkód oddalić z podniesioną głową.

Bliźniacy przyszli się ze mną pożegnać.

- Kto by pomyślał! - James wszedł do mojego pokoju z szerokim uśmiechem na twarzy. - Johanna nam powiedziała. Nasza maleńka siostrzyczka. Kto by pomyślał?

- Ale ona musi to odpokutować, James. - Thomas, jak zwykle bardziej przejęty, odepchnął brata, odsunął brudny talerz i usiadł na łóżku, gdzie znów się ukryłam. - Nie mamy zamiaru cię osądzać, Violet!

- Dziękuję. I nie chcę więcej o tym mówić.

- Musimy porozmawiać. - Wyglądał na dotkniętego.

- Nie, nie musimy! - Miałam dość uwag innych ludzi na resztę życia. Odepchnęłam go i stoczyłam się na podłogę. - Jeśli przyszlście tu tylko po to, by rozmawiać o moich zbrodniach...

- Nie, nie tylko! - wtrącił się James. - Tom, daj jej spokój. Reszta rodziny wystarczająco dała jej się we znaki. Możesz się uspokoić, Violet. Wyjeżdżamy za parę minut. Przyszliśmy się pożegnać. Nie chcieliśmy pominąć naszego zwierzaczka.

- Dziękuję - nadałam się. - Do widzenia.

- Nie będzie całusa na szczęście? - drażnił się dalej.

- Powodzenia. - Dotknęłam ustami jego policzka, po czym powtórzyłam to samo z Thomasem.

W tym momencie w szeroko otwartych drzwiach mojego pokoju pojawiła się Johanna.

- Wszystko gotowe. Tata czeka w samochodzie przed domem.

Ujrzałam w jej oczach łzy i zbyt późno zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje.

- James! Thomas! - Objęłam ich obu.

- Niech nikt się o nas nie martwi - oświadczył James, wysuwając się z moich objęć. - Będzie ciężko, wiemy, ale to również wspaniała przygoda. Pomyśl tylko, o czym będziemy mogli opowiadać po powrocie. Trzymaj się. - A gdy mnie przytulał, ukradkiem wyszeptał mi do ucha: - Kochaj, kogo chcesz. Tylko rób to mądrze.

- Dziękuję, James, będę - odpowiedziałam i podniesiona na duchu mogłam nawet im pomachać, kiedy wraz z Johanną wyszli z pokoju.

Odczekałam parę dni. W mojej pamięci wszystkie pokryła mgielka bezkresnego przygnębienia i niemych oskarżeń pozostałych członków rodziny. Rzadko opuszczałam pokój, co nie było w porządku wobec Johanny, która musiała wraz z mamą wykonywać wszystkie prace w domu, a wychodziłam właściwie jedynie w porze posiłków, będących dla mnie prawdziwą torturą. Żadne z rodziców nie objawiało gniewu ani nie zachowywało się niemiło. Było znacznie gorzej - oboje okazywali mi oziębłą grzeczność, kiedy prosiłam na przykład o sól lub łyżkę ziemniaków, lecz poza tym tak kompletnie mnie ignorowali, że moje krzesło równie dobrze mogłoby być puste.

Usiłowałam robić to, o co prosiła Marjorie. Próbowałam wziąć pod uwagę ich stan, lecz nie było to łatwe. Stawałam się coraz bardziej napięta i urażona - miałam w końcu całe

szesnaście lat. Nikt przecież nie umarł. Wszyscy urodziliśmy się nago, prawda? Czemuż więc, pytałam z rosnącym oburzeniem, nagość w późniejszym życiu uznawana jest za zbrodnię? I czemu miłość fizyczna ma być zła? Czy Bóg kazałby kobiecie i mężczyźnie pragnąć się wzajemnie, gdyby mieli z tego nie korzystać?

Tylko James, myśląlam, żegnając się ze mną, pokazał, że z nich wszystkich jedynie on ma jakieś pojęcie o prawdziwym, czyli nowoczesnym życiu - tak różnym od muzealnego świata Whitecliff.

Jedyną rozrywką w tym czasie było założenie telefonu, więc teraz byliśmy dumnymi posiadaczami numeru Rathlinney 9. Wykorzystując liczne znajomości, tata przeskoczył całą kolejkę oczekujących na telefon od pięciu lat. Oczywiście nic mi o tym nie powiedział, więc cała moja wiedza na temat wydarzeń w domu pochodziła z relacji lub wyjaśnień Johanny. Cisza panująca pod naszym dachem była teraz jeszcze bardziej dojmująca niż kiedykolwiek wcześniej, aparat telefoniczny wcale jej nie rozpraszał - nie zadzwonił nikt, nawet ze sklepu. Tata zarządził, że linia ma być zawsze wolna na wypadek telefonu od bliźniaków.

- Muszko, wyobraź sobie, że oni usiłują się dodzwonić, a ty gadasz z Marjorie.
- Mogą spróbować ponownie - zasugerowała mama nie bez racji.
- A jeśli nie będą mogli?

Mama nie odpowiedziała. Ta rozmowa toczyła się w mojej obecności przy śniadaniu.

Moje cierpienie wzmagał jeszcze fakt, że zamknięcie mnie w domu przypadło na czas, kiedy słońce świeciło jasno od świtu do niezwykle malowniczego zachodu.

W poniedziałkowy wieczór w drugim tygodniu po wyjeździe bliźniaków nie mogłam już znieść zamknięcia i nieustannego zagrożenia dalszymi karami. Dobrze się sprawowałam, byłam cicha i posłuszna, zszywałam elementy kapy bez słowa protestu - mama uważała moją pracę za przydatną, lecz z oglądania mnie chętnie by zrezygnowała. Pomogłam nawet Johannie po raz kolejny szorować płytki w holu, gdyż przyjęcie nie było dla nich szczególnie łaskawe. To wszystko jednak nie nadtopiło lodowej skrzyni, w której mnie trzymano.

Zdecydowałam się wykonać ruch.

Poczekalam, aż wszyscy pójdą spać, mając za całe towarzystwo myszy harcujące pod podłogą, których hałasy nie dawały mi spokoju, a potem wyslizgnęłam się po schodach na dół, po raz kolejny dziękując Bogu, że stopnie zostały zrobione z kamienia. Udało mi się wyjść bez przeszkód i sprawdzwszy po raz kolejny, czy list do Coleya tkwi bezpiecznie w

kieszeni, wyruszyłam w kierunku naszego drzewa. Po tylu dniach zamknięcia z przyjemnością poczułam na policzku powiew ostrego morskiego powietrza.

Kiedy dotarłam do rogu pola, na chwilę straciłam orientację. Nie było naszego drzewa!

Sądząc, że się pomyliłam i trafiłam w niewłaściwe miejsce, zatrzymałam się na chwilę, aby sprawdzić, gdzie jestem. Nie, to był właściwy róg - drzewo powinno tam stać, jak zawsze. Podeszłam do miejsca, w którym niedawno rosło, i odkryłam potężną wyrwę w ziemi. Cały buk, wraz z korzeniami, został precyzyjnie usunięty.

Co więcej, nie pozostało po nim zupełnie nic, nie było nawet śladów piłowania, liści, resztek korzeni. Kucnęłam i zaczęłam palcami sprawdzać ziemię. Nie znalazłam nawet jednej gałązki.

Oszołomiona usiadłam na trawie. Tylko jedna osoba mogła to zrobić - jedynie Roderick Shine miał środki i powody po temu. Było to w końcu jego drzewo na jego gruncie. Pragnął usunąć Coleya Quinna z powierzchni ziemi. W piersi zawrzała mi furia, purpurowa, jadowita wściekłość, i zanim zdążyłam zastanowić się, co robię, popędziłam już na łeb, na szyję, nie kryjąc się, przez pola w kierunku głównej drogi. Coś takiego nie mogło tacie ujść na sucho. Nie pozwolę na to! Obrałam najprostszą drogę, nie bacząc na jeżyny, osty ani pokrzywy, które smagały moje gołe nogi. Zanim przeszłam przez mur graniczny i zeskoczyłam na pobocze, owe zadrapania i ukłucia stały się dokuczliwe. Rozejrzałam się w poszukiwaniu liści szczawiu, lecz nie udało mi się ich znaleźć.

Wokoło było cicho, drogę oświetlały promienie księżyca, który sunął między chmurami. Choć jednak długi i męczący bieg uspokoił mnie fizycznie, nie miałam czasu ani ochoty podziwiać otaczającego mnie świata. Bardziej niż kiedykolwiek byłam zdeterminowana, żeby znaleźć Coleya Quinna. Musimy być razem i, co więcej, ustalić, co zrobić, aby już się nie rozłączać.

Z miejsca, w którym wyszłam na drogę, było do Rathlinney zaledwie półtora kilometra, ruszyłam więc w kierunku wsi, postanowiwszy odszukać dom Quinnów. Wiedziałam mniej więcej, gdzie się znajduje, gdyż Coley wspominał mi kiedyś, że mieszka w odległej części wsi.

- Nie można przegapić naszego domu. Tylko my mamy kapustę i marchewkę przed oknami od frontu.

Zdecydowałam, że kiedy dotrę na miejsce, jeśli nie uda mi się w bardziej subtelny sposób powiadomić Coleya o swojej obecności, po prostu zapukam do drzwi.

Nie miałam trudności ze znalezieniem tego domu i nie spotkałam po drodze nikogo. Zastukałam w dolną część drzwi - otwarta góra wpuszczała do wnętrza chłód wieczoru. Ze swego miejsca widziałam jedynie bielony korytarz, na którego tylnej ścianie na centralnym miejscu widniał obwieszony doniczkami z geranium i nasturcją obrazek, na którym rozpoznałam Najświętsze Serce Jezusa Chrystusa.

Na dźwięk mojego pukania przy drzwiach pojawiła się Florrie.

- Panna Shine! - Złapała się rękami za głowę. - Jak ja wyglądam! Szłam właśnie spać... - Potem zasłoniła dłonią usta, a następnie je odkryła i szeptem powiedziała: - Strasznie panienka ryzykuje. Proszę odejść, zanim ojciec panienkę zobaczy. Są wściekli!

- Czy Coley jest w domu? Chciałabym zamienić z nim kilka słów, jeśli można.

Z trudem mobilizowałam resztki odwagi, która coraz bardziej mnie opuszczała. Zaczynałam sobie zdawać sprawę, że to, co zrobiłam, było nie tylko pochopne, lecz szalone.

- Wyjechał do Birmingham - wyszeptała Florrie. Zerknęła ukradkiem do tyłu, a potem znowu na mnie. - Nie wiedziała panienka?

- Nie. - Usiłowałam opanować mdłości. - Co on tam robi?

Florrie ponownie zerknęła za siebie, a potem otworzyła drzwi i wyszła do mnie.

- Czy tata panienki nic nie powiedzieli? Przyszli tu do mojego taty i zagrozili zabrać pole, jeśli Coley zostanie w Rathlinney. I powiedzieli jeszcze, że możemy zapomnieć o warzywach. Przykro mi, panienko, ale nie było wyjścia. Jesteśmy biedni.

- Kto tam, Flor? - Na korytarz wyszła kobieta w średnim wieku i spojrzała na mnie badawczo. Mimo późnej pory nadal miała na sobie kwiecisty fartuch. - Dobry Boże!

Ona również się przestraszyła, kiedy jej mąż, tata Coleya, także wyszedł sprawdzić, co się stało.

- Dziękuję - odparłam z płonącymi policzkami. - Dziękuję, Florrie. Dziękuję, pani Quinn. Przepraszam, że państwa niepokoiłam. Dobranoc.

Czując trzy pary oczu utkwione w moich plecach, pobiegłam z powrotem przez wieś.

Najpierw miałam ochotę uciec do domu niani, lecz przypomniałam sobie, że nie wiem, gdzie mieszka. Nie mogłam przecież w środku nocy pukać do wszystkich drzwi i pytać o nią. Wiedziałam, co się będzie potem działo. Skierowałam się wobec tego do sklepu.

Weszłam do środka przez furtkę dla dostawców i stanęłam w półmroku przy ścianie budynku, aby się zastanowić, co zrobić.

Z Whitecliff wzięłam jedynie liścik dla Coleya. Nie miałam nawet płaszcza, a robiło się coraz chłodniej. Musiałam wracać do domu.

Udało mi się bez przeszkód dotrzeć do własnego pokoju, a kiedy leżałam już bezpiecznie w łóżku, zasnęłam kamiennym snem po długim i wyczerpującym płaczu. Obudziłam się rano na dźwięk telefonu. Gdyby nie jego ostry dzwonek, mogłabym zapewne spać całą dobę.

Wiedziałam, że będzie to trudny dzień, lecz po katastrofie, która spadła na mnie minionej nocy, wdzięczna byłam losowi, że przynajmniej nikt nie pragnie mojego towarzystwa, dzięki czemu mogę lizać rany w samotności. Nawet Johanna, która z jednej strony nie chciała denerwować rodziców, a z drugiej pragnęła okazać mi współczucie w tej trudnej sytuacji, wydawała się mnie unikać. Nie wychodziłam z pokoju i po raz kolejny poszłam spać wcześniej.

Obudziło mnie gwałtowne pukanie do drzwi.

- Rodzice pytają, czy schodzisz na śniadanie. - Usłyszałam głos Johanny.

- Naprawdę? - nie mogłam zrozumieć. Było jeszcze wcześniej, więc nie do końca przytomnie zapytałam: - Jesteś pewna?

- Przysłali mnie po ciebie na górę. Czeka na ciebie nakrycie.

Kiedy odbywałam karę, nikogo nie interesowało, czy jem czy nie. Być może nastąpiła jakaś zmiana.

Próba wytrzymałości

W połowie śniadania mama, która łamiąc własne zasady dobrego wychowania, przeglądała pismo dla kobiet, odezwała się do mnie grzecznie, choć nie oderwała wzroku od kartki.

- Violet, zjedz tosta. Mąka jest tak droga.

Zerknęłam na Johannę, ale w odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami.

Z całą pewnością mi się nie przywidziało. Atmosfera przy stole jakby się poprawiła i choć byłam wściekła na tatę, postanowiłam zachować rozsądek, jak radzili James i Marjorie. Jeszcze nie wymyśliłam, w jaki sposób dać wyraz swojemu rozżaleniu czy też zrewanżować się tacie, lecz w owej chwili zdecydowałam się zaryzykować przeprosiny i sprawdzić, co się stanie.

- Mamo, tato, tak mi przykro - powiedziałam ostrożnie, patrząc na nich oboje. - Przepraszam, że doprowadziłam do tak nieprzyjemnej sytuacji.

Mama nie przestała sączyć herbaty ani przerzucać stron czasopisma, lecz po chwili spojrzała znacząco na tatę, który zamiast przyjąć moją skrucę, powiedział coś całkiem niespodziewanego:

- Chcielibyśmy, żebyś nam pomogła w pewnej pracy.

- Słucham? - zapytałam zaskoczona. - Jakiej?

Odłożył nóż i widelec i zaczął mówić. Słuchałam, kiedy wyjaśniał, o co chodzi.

- Mamy zamiar odnowić ten dom. Nie był remontowany od wielu lat. Chyba wszystkim nam goście sprawili radość, lecz niestety, kiedy cała rodzina się zjedzie, a na dodatek musimy jeszcze przenocować służbę, brakuje nam miejsca do spania. Możemy wykorzystać w tym celu poddasze, i zdecydowaliśmy się odnowić je w pierwszej kolejności. Ja oczywiście będę doglądał wszelkich niezbędnych prac remontowych. Zawiadomię Jacka Montgomery'ego zaraz po przyjeździe do sklepu. Nie ma dużo pracy, więc pewnie przyjmie tę robotę.

To była kolejna nowość. Firma Montgomery i Synowie zajmowała się pracami bu-

dowlanymi w okolicy. Kiedyś naprawiali nasz dach, lecz ojciec narzekał, że to złodzieje.

- Violet, a od ciebie oczekujemy - ciągnął tata - że pomożesz mamie wybrać kolor ścian, rodzaj materiałów, dywaniki, bibeloty i inne ozdoby.

- Z przyjemnością, tato. - Zdziwiona, po raz kolejny skierowałam wzrok na Johannę. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie dorównujące mojemu.

- Czy ja też mogę pomóc, tato? - zapytała moja siostra. - Tak bardzo bym chciała.

- Oczywiście, że tak. Mama zamówi dzisiaj u Arnotta próbki materiałów i wzorniki kolorów. A więc wszystko już ustalone, a ja muszę iść do pracy. - Tata wstał od stołu i wyszedł.

Nie będę was zanudzać wszystkimi szczegółami wydarzeń kolejnych tygodni. Już na początku zdecydowałam, że mogę jedynie odsunąć żal i złość i rzucić się w wir zajęć, co zapewne przekona wszystkich, nawet Johannę, że wychodzę z szaleństwa związanego z Coleym Quinnem.

Tymczasem jednak układałam pewien plan, który po prostu musiał się powieść. Nie ufałam, że ktoś wyśle mój list bez otwierania, lecz teraz mieliśmy telefon, mogłam więc spróbować znaleźć odpowiedni czas i zadzwonić do wujka Samuela. Chciałam poprosić, aby zamiast prezentu urodzinowego i gwiazdkowego ofiarował mi pieniądze - a byłam pewna, że uda mi się go do tego przekonać. Miałam zamiar skłamać, że zbieram środki na studia na uniwersytecie, żebym mogła być równie wykształcona jak Samuel młodszy, a jeśli rodzice zobaczą, że pragnę tego tak bardzo, że gotowa jestem poświęcić własne pieniądze, będą musieli się zgodzić. On, który tak wysoko cenił wykształcenie, nie może odmówić.

A potem, z nieświadomą niczego Johanną lub Marjorie, a może nawet nimi obiema w charakterze przyzwoitek pojechałabym do Dublina pod pretekstem rozejrzenia się po różnych college'ach i kursach. W którymś momencie wymknęłabym się siostrze i, *voilà*, dotarła do Birmingham.

W planie tym przewidziałam również nakłonienie Florrie, by dała mi adres Coleya i nie pisnęła nikomu słowa na ten temat. Z całą pewnością parę funtów jej się przyda.

Jedyną rzeczą, której nie potrafiłam przewidzieć, była reakcja Coleya na mój widok. Wierzyłam jednak niezbitnie, że nasza miłość jest dość silna, by przetrwać tę krótką rozłąkę. Nawet gdyby początkowo obawiał się, że tata po mnie przyjedzie albo spróbuje się odegrać na jego rodzinie w Rathlinney, z pewnością znajdziemy jakiś sposób, żeby sobie z tym po-

radzić. A kiedy już pobierzemy się w Gretna Green i nasz związek stanie się legalny, wszyscy będą musieli go zaakceptować.

Prace remontowe zostały zakończone nadzwyczaj szybko; Jack Montgomery nie tylko bardzo się spieszył, lecz również miał znacznie więcej pomocników niż kiedyś.

My również ciężko pracowałyśmy nad estetyczną stroną przedsięwzięcia, a telefon okazał się prawdziwym błogosławieństwem. Zanim jeszcze robotnicy Jacka zakończyli prace budowlane, z Dublina od Arnotta przywieziono nowe łóżko, toaletkę, dywaniki i zasłony uszyte z materiałów, które pozwolono mi wybrać. Wyposażenie pokoju zostało porządnie ułożone na podeście i czekało na przeniesienie na właściwe miejsce.

Kiedy tynk wysechł, rury zostały sprawdzone, a podłoga ułożona i wyszorowana, wspólnie z Johanną pracowałyśmy wraz z dwoma malarzami. Oni malowali sufit i kładli tapety na ścianach, my zaś pomalowałyśmy listwy przy podłodze oraz futryny drzwi i okien na biało, same drzwi zaś na żółto.

Gdy podłogi były już polakierowane, Jack Montgomery i jego ludzie wrócili, żeby pownosić meble po wąskich schodach na strych, a mnie i Johannie pozwolono potem upiększyć pokój ile dusza zapagnie. Skończyłyśmy późnym wieczorem - wszystko było już na swoim miejscu, nawet pościel.

- Na tym łóżku brakuje tylko nowej kapy!

Zmęczona, lecz dość szczęśliwa stałam obok siostry na środku pokoju i obie podziwiałymy rezultat naszych działań. Było mi przykro, że wszystko już gotowe, gdyż w tym okresie moje zmartwienia pierzchały przynajmniej w ciągu dnia.

- Powinnyśmy pomóc również przy pozostałych remontach, Johanno, a może mogłybyśmy nawet założyć własną firmę dekoracji wnętrz. Mamy przecież bardzo odpowiednie nazwisko. Siostry Shine* brzmi dobrze.

* *Shine* znaczy „łśnić” (przyp. tłum.).

Mówiłam to w żartach, lecz potem do mnie dotarło, że Coley również może się w to włączyć po naszym ślubie. Będzie wykonywał cięższe prace, jak zrywanie starych tapet na przykład.

- Nie mów bzdur, Violet! - odpowiedziała Johanna z uśmiechem. - Jesteśmy dziew-

czętami! Ale rzeczywiście udało nam się przygotować uroczy pokój dla gości. Szkoda tylko, że okno jest tak wysoko. I nie podobają mi się te kraty.

Kiedy zapytałam, czy nie można ich zdjąć, bo wszystko inne jest tu takie piękne, tata odparł, że najwidoczniej pierwsi właściciele domu uznali kraty za niezbędne, być może chodziło o wytrzymałość okien położonych tak blisko dachu.

Ponieważ nie miałyśmy ochoty wychodzić, dopracowałyśmy jeszcze kilka szczegółów, a potem posprzątałyśmy niewielki podest za drzwiami. Tata, zawsze tak skrupulatny w kwestii narzędzi, zapomniał je zabrać.

- Może powinnyśmy zanieść je na dół? - zastanawiała się Johanna.

- Lepiej nie. Wiesz, jak się o nie trzęsie. Nie chciałby, żebyśmy ich dotykały. Może będzie chciał coś jeszcze poprawić w ostatniej chwili.

Zamknęłam skrzynkę z narzędziami i ustawiłam ją porządnie przy ścianie. Rozejrzałyśmy się po pokoju raz jeszcze, po czym pogratulowałyśmy sobie nawzajem efektów i zeszyłyśmy na dół.

Okienko na zawiasach

Znajomość z Colmanem (jestem więcej niż pewna, że poznany mężczyzna to właśnie on) sprawiła, że jestem zafascynowana opowieścią Violet (ona nazywała go Coleyem, ale to tylko zdrobnienie), a wyobrażanie go sobie jako pełnego uroku młodzieńca, którego ciocia najwidoczniej ma cały czas przed oczami, jest zarówno zabawne jak i poruszające. Za każdym razem, gdy wymienia jego imię, twarz jej się rozjaśnia, oczy zaś stają się większe i bardziej wilgotne. Choć jednak ciągle słucham uważnie, w pewnej chwili dochodzę do wniosku, że ta cała opowieść, choć smutna, nie jest jednak niezwykła. Z grzecznego wyrazu twarzy Boba odczytuję to samo. Nie ona pierwsza, dziewczyna z Dużego Domu, zakochała się w niewłaściwym chłopaku ani nie jej rodzice pierwsi usiłowali wszelkimi możliwymi siłami odciągnąć córkę od niego. Violet była jeszcze bardzo młoda, a myślano wtedy innymi kategoriami.

Jak wszyscy starsi ludzie, którym nie zostało już wiele czasu, moja ciocia ma dar opowiadania, pomimo upodobania do szczegółów, co prawdopodobnie jest wynikiem długiego odosobnienia. Jeśli się nie mylę, to my pierwsi spoza najbliższej rodziny słyszymy tę historię. Choć jednak niektóre fragmenty poruszyły mnie tak bardzo - łzy zalewały mi oczy, kiedy ciocia mówiła o Marjorie, mojej mamie - przy opisie remontu poddasza w Whitecliff odpływałam myślami. Kusiło mnie, żeby powiedzieć, że w tej chwili nie ma dostępu do tego pokoju, który i tak prawdopodobnie został bezpowrotnie zniszczony przez deszcze, lecz Violet wydawała się tak dumna z tamtej pracy, że nie miałam serca przerywać.

Ponieważ jednak mówi już od ponad półgodziny, słucham jej teraz, podobnie zresztą jak Bob, bardziej z grzeczności niż zainteresowania.

Zmienia się to jednak z chwilą, gdy opisuje, jak została zwabiona na poddasze, gdzie spędziła pół swojego życia. Jej ton jest taki sam jak wtedy, kiedy opisywała urządzenie pokoju. Tej kobiecie zaskakująco udało się przewyciężyć żal nad zrujnowanym życiem.

- Jak do tego doszło?

Ta historia jest tak przerażająca, że brak mi tchu.

Następnego ranka, po tym, jak skończyłyśmy z Johanną urządzać pokój dla gości, zauważyłam przy śniadaniu, że mamie coś leży na sercu. Była to sobota, a wtedy sklep otwierała Sheila. Tata wychodził do pracy później niż zwykle, więc atmosfera wydawała się dość spokojna. Rodzice wymienili spojrzenia.

- Rodericku - powiedziała mama - pojedę dziś chyba do Dublina. Skoro już skończyliśmy tamten pokój, zajmiemy się jedną z sypialni. Zabiorę ze sobą Johannę, pomoże mi nieść zakupy.

Po wyrazie twarzy mojej siostry poznałam, że decyzja ta sprawiła jej przyjemność. Ja zaś musiałam ukryć zazdrość. A potem zdałam sobie sprawę, że będę miała tylko dla siebie Whitecliff przez cały dzień. Nadzieja ta jednak okazała się płonna, bo tata oznajmił, że nie pójdzie rano do pracy i zajmie się rachunkami.

- Sheila już wie - powiedział do mamy. - Uprzedziłem ją wczoraj.

Mama z Johanną odjechały więc na stację bryczką, ja zaś miałam pozmywać naczynia. Byłam w połowie pracy, kiedy zauważyłam, że ojciec stoi za moimi plecami.

- Muszę ci coś pokazać na strychu, Violet - oznajmił. - Pójdiesz ze mną?

Wysuszyłam ręce i zadowolona z przerwy ruszyłam przed tatą na strych.

- Zostawiłeś tu wczoraj narzędzia - przypomniałam mu z uśmiechem. - Zdecydowałyśmy z Johanną, że nie będziemy ich ruszać.

- Dziękuję - odpowiedział dziwnym tonem, lecz w tamtej chwili nie zastanawiałam się nad tym zbyt.

Kiedy weszłam do pokoju, usłyszałam trzaśnięcie zamykanych drzwi. Pewna, że to wiatr, podeszłam, by je otworzyć, lecz kiedy wzięłam za klamkę, tata przekręcił klucz w zamku. Byłam zaskoczona. Pomyślałam, że pewnie coś poprawia, i go zawołałam, lecz nie odpowiedział. Potem uznałam, że może mnie nie słyszy. Waliłam z całej siły w drzwi i krzyczałam. Na próżno.

Przesuwam się na granatowej sofie. Moja wyobraźnia jest napięta do granic wytrzymałości. Obawiam się, że pęknie.

- Zamknął cię w środku?

- Niestety tak. Trzymali mnie tam do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

Zerkam na Boba. Widzę, że podobnie jak ja nie może uwierzyć własnym uszom, jednak oboje wiemy, że ciocia nie kłamie. Ton jej głosu jest tak spokojny. Mój mąż pierwszy otrząsa się z szoku.

- Kiedy się zorientowałaś, że zamknęli cię na stałe?

- Zobaczyłam, że mój pamiętnik, otwarty na obciążającym, jednoznacznym fragmencie, leży na środku łóżka - odpowiada ciocia ze spokojem. - I dostrzegłam czystą koszulę nocną ułożoną na poduszce, tę samą, którą zostawiłam pod durszlakiem rano po przyjęciu, a potem o niej zapomniałam. I jeszcze w szufladzie toaletki znalazłam opakowanie kremu firmy Ponds i nowiutką szczotkę do włosów. A w łazience mydło, dwie szczoteczki do zębów, starą i nową, dodatkowe mydło, myjki do twarzy i ręczniki. Pomyśleli niemal o wszystkim. - Bierze w dłonie filiżankę.

Przechodzi mnie dreszcz na samą myśl o tym, co usłyszałam. Dziewczyna zamknięta w aksamitnym więzieniu? Z leżącymi na łóżku dowodami winy w charakterze niemych oskarżycieli? Niczym w mitach i legendach.

- Teraz wiem - dodaje Violet, odstawiając ostrożnie spodek - że pozwalając mi wybrać tapety i te wszystkie inne rzeczy, rodzice byli przekonani, że to dowód ich dobroci. W owym czasie sądziłam jednak, że to właśnie jest najbardziej okrutne w całej tej sprawie.

Jakby zmusili mnie do wykopania własnego grobu.

- Violet, siedemdziesiąty dziewiąty rok? To... - Bob szybko liczy w pamięci. - To trzydzieści pięć lat. Jak udało ci się wydostać? I gdzie jest teraz Coley?

- Nie wiem. - Jej głos nadal brzmi spokojnie i rzeczowo. Lecz potem wyraz jej oczu zmienia się nagle. - On... On przyjechał z Anglii, z tego, co wiem, tylko raz. Jeśli nadal żyje - dodaje miękko - zbliża się do osiemdziesiątki, choć nie pamiętam dokładnie, jak dużo był ode mnie starszy, dwa czy trzy lata. Starość jest smutna. Kiedyś mogłam godzinami opowiadać o każdym skrawku ciała Coleya Quinna... - Zdaje sobie sprawę, że powiedziała za dużo, i pospiesznie zmienia temat. - Jeśli zaś chodzi o wyjście, po śmierci mamy, kiedy w domu zostaliśmy tylko ja i tata, Johanna przyjechała do niego i błagała, by mnie wypuścił. Wytłumaczyła mu, że trzydzieści pięć lat takiej kary w zupełności wystarczy i że wraz z mężem zabiorą mnie do West Cork, daleko od Rathlinney. Obiecała tacie, że nikomu nie powie, kim jestem, a przeprowadzka odbędzie się w sekrecie, aby uniknąć jakichkolwiek skandali i niewygodnych pytań, a tym samym nieprzyjemności. Zgodził się. Chyba był już zmęczony tym wszystkim. Od śmierci dzieliło go jedynie półtora roku. Marjorie, twoja mama, miała rację. To tata miał bardziej miękkie serce. Jak nietrudno się domyślić, zyskałam mnóstwo czasu na rozmyślanie i dość szybko pojęłam, że uwięzienie mnie było pomysłem mamy.

Bardziej miękkie serce?! Chciałabym się dowiedzieć, czy ten potwór, mój dziadek, kiedykolwiek wyraził żal, skruchę, objawił jakiegokolwiek ludzkie uczucia. Chciałabym się również dowiedzieć, czy moja mama i tatuś, ukochany tatuś, zostawili tę dziewczynę na pastwę losu - czy też oni także błagali o jej uwolnienie. Czy kiedykolwiek ją odwiedzili?

Uderza mnie, że została całkowicie opuszczona nie tylko przez rodzinę, ale przez wszystkich dookoła, przez mieszkańców Rathlinney, sąsiednich wsi i okręgów - mnóstwo ludzi, z których wielu prowadziło interesy ze Sklepami Wielobranżowymi Rathlinney. Jednak pomimo nagłego zniknięcia Violet, pomimo tych wszystkich opowieści o duchach i plotek, które dotarły nawet do mnie tyle lat później, w tamtym czasie nikt nie interesował się ani nie miał odwagi wyjaśniać tajemnicy otaczającej Duży Dom.

- Ludzie w okolicy musieli wiedzieć, że dzieje się coś dziwnego, zadawali nawet pytania. Wtedy nic nie dało się ukryć.

- Rodzice przyszli do mnie dość szybko. I była to jedna z ich nielicznych wspólnych wizyt. Powiedzieli mi przez okienko...

- Okienko? Jakie okienko?

- Tata był dobrym stolarzem. - Ciocia wskazuje głową na cisową ławę. - Kilka godzin później, jeszcze pierwszego dnia, wrócił na strych i wyciął porządne okienko pośrodku drzwi. Dlatego właśnie na podeście zostały narzędzia. Choć w drzwiach był już zamek, to teraz wprawił również kłódkę od zewnątrz.

- Co mu powiedziałaś? Kiedy wycinał tę dziurę w drzwiach, musiałaś go przecież widzieć.

- Chyba będziesz musiała dojść do tego sama. Byłam wyczerpana płaczem, lecz błagałam i wylałam, i żądałam, by mi powiedział, jak długo mam pozostać w zamknięciu. W końcu zmęczyłam się tak bardzo, że nie mogłam już wydobyć z siebie głosu.

- A on cały ten czas tylko piłował i wbijał gwoździe?

- Tak. Ale teraz sądzę - dodaje ciocia, przenosząc przy tym wzrok na okno - że to, co robił, było równie trudne dla niego, jak dla mnie.

Bob zaciska dłoń w pięść.

- Dlaczego go nie uderzyłaś? Ja bym tak zrobił. Ciocia wydaje się zaskoczona.

- Mój Boże, nie. Był moim ojcem. Nie mogłabym tego zrobić.

Udaje mi się go powstrzymać.

- Mów dalej, Violet.

- Kiedy już okienko zostało wycięte i oprawione, tata powiedział mi, jak będzie wyglądać moje życie w więzieniu - ciągnie swą opowieść obojętnym, wyważonym tonem. - Mieli mnie karmić tym samym, co jedli pozostali członkowie rodziny, prać moje rzeczy. Miałam dostawać wszystko, o co poproszę, w granicach rozsądku, rzecz jasna. Będę jedynie pozbawiona wolności. A potem wyjaśnił mi, dlaczego podjęli taką decyzję. Rano po mojej wizycie w domu Coleya jego ojciec poszedł na pocztę i zadzwonił do nas, aby powiadomić rodziców o mojej wyprawie.

- To chyba najgorsze ze wszystkiego. - Nie mogę tego słuchać.

- Nie oskarżam już tamtego człowieka - odpowiada ciocia spokojnie. - Oczywiście na początku było inaczej. Szczerze mówiąc, winiłam cały świat za to, co przyszło mi znieść. Czas jednak płynie, wiecie przecież, a jak powiedziała mi Florrie tamtej nocy, Quinnowie

byli biedni. Chodziło o środki do życia, a w okolicy niewiele było wówczas ziemi do wdzierżawienia, więc nietrudno zrozumieć, dlaczego on to zrobił. Nie było to zresztą konieczne, gdyż zamknęliby mnie tak czy inaczej.

Kąciki ust Violet podnoszą się w słabym uśmiechu.

- Wiecie, mój pamiętnik wypełniony był chaotycznymi myślami pobudliwej nastolatki. Między nimi jednak, na nieszczęście, znalazły się również dość dokładne opisy tego, co robiliśmy z Coleym w sensie fizycznym, gdzie się to działo i jak często. Nie pominęłam niczego. Tamtej nocy, kiedy pobiegłam do domu Coleya, nie byłam tak przebiegła, jak mi się wydawało, gdyż mama, która jeszcze nie zasnęła, usłyszała, że wyszłam. Wstała, zajrzała do mojego pokoju, znalazła puste łóżko i zauważyła na toalecie mój pamiętnik, który pisałam tego wieczoru. Zwykle trzymałam go w ukryciu, lecz w tamtym okresie byłam tak... - Milknie i bez trudu można się domyślić, co widzi. - Stałam się nieostrożna - kończy to, co zamierzała powiedzieć.

Siedzimy bez słowa. Nie wiemy, co powiedzieć.

Po chwili ciocia znowu zaczyna opowiadać.

- Mama oczywiście przeczytała pamiętnik, a potem zabrała go i pokazała tacie. On również wszystko przeczytał. Tamtej nocy wspólnie zdecydowali, co ze mną zrobić. Choć ja, rzecz jasna, nie domyślałam się niczego, to zanim wślizgnęłam się do domu, decyzja była podjęta, a mój pamiętnik leżał dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, aby nie wzbudzać moich podejrzeń. Telefon pana Quinna był *de trop*, jak mówią Francuzi.

- To, co zrobili, każąc ci wierzyć, że jest coraz lepiej, angażując cię w urządzenie pokoju, było takie... takie... - Nie mogę znaleźć właściwego słowa. - Takie... wyrachowane - sugeruję słabym głosem.

- Z tej perspektywy może się tak wydawać - dostrzegam jej nieruchome spojrzenie - lecz miałam tyle lat na przemyślenie wszystkiego. Zapewne im się wydawało, że czeka mnie samozniszczenie.

- Nie powinnaś patrzeć na to z ich punktu widzenia! Miałaś szesnaście lat! I dlaczego trwało to aż tak długo? Mogli cię wypuścić, kiedy stałaś się pełnoletnia.

- Jak mogli to zrobić? Jak mieli mi zaufać, że nie pójdę na skargę? Cała nasza rodzina miałaby wówczas kłopoty, Claudine.

- Zrobiłabyś to? Poszłabyś na policję?

- Prawdopodobnie nie. Nie mieli jednak pewności. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, lecz musisz wziąć pod uwagę całą tę sprawę i tamte czasy. Wszyscy uwięźliśmy w labiryncie bez wyjścia. Jestem pewna, że oni również cierpieli.

Ponownie zapada milczenie. Nie mogę znieść jej wyrozumiałości. Nie wiem, o czym myśli Bob, lecz ja, słuchając tej historii, połykałam łyzy wściekłości. Ze strachu, że zrobię z siebie widowisko, podsuwam Violet przerwany wątek.

- Możemy się cofnąć odrobinę? Wspominałaś, że kiedy tata zrobił okienko w drzwiach, przyszli do ciebie oboje. Co powiedzieli?

- Mama mówiła. Oznajmiła, że jedynie najbliższa rodzina wie i będzie wiedzieć, iż dla własnego bezpieczeństwa zostałam zamknięta. Dokładnie tak powiedziała. Dla mojego bezpieczeństwa. Powiedziała też, że ponieważ wszyscy w okolicy wiedzą, dlaczego Coley Quinn tak nagle wyjechał do Anglii, bez trudu uwierzą również, że ja też zostałam wysłana za granicę, do krewnych w Ameryce.

- Ale była wojna. Czy nikt się nie dziwił? Nie można było wtedy podróżować normalnie.

To Bob.

- Nie wiem, w jaki sposób Coley dostał się do Anglii, lecz jeśli chodzi o mnie, musicie pamiętać, że pochodziłam z jednej z najbardziej wpływowych rodzin w okolicy. Pamiętajcie też, że mama przyjechała z północy, gdzie nadal mieszkał wujek Samuel. Dla mieszkańców okolicznych wsi północ była niemal jak zagranica, a ludzi stamtąd uważano za obcych. A kiedy dodać do tego pogląd, że tacy jak my rządzą się innymi prawami lub mają kontakty pozwalające obejść prawo... Tak czy inaczej nie wiem, czy ktokolwiek się czegoś domyślał. Nie przybył mnie uratować żaden rycerz w błyszczącej zbroi ani żadnej innej. Sądzę jednak, że rodzice naprawdę wierzyli, że robią to wszystko dla mojego dobra. Wówczas miałam tylko jeden cel i byłam bardzo samowolna...

- Nie rozumiem, jak możesz o tym mówić tak spokojnie. - Niemal toczę pianę z ust. - Zaprowadziłabym cały świat i wszystkich ludzi do sądu!

- Jak? Jaki miałam kontakt z kimkolwiek? Jedyłą osobą spoza najbliższej rodziny był lekarz, na tyle zaufany, że nie pisnąłby słowa na ten temat.

- A siostry? - Moje zdanie na temat mamy jest w tej chwili mało pochlebne. - Bracia? Ojciec chrzestny?

- Uspokój się, Claudine. Denerwujesz ciotkę.

Bob sadza mnie z powrotem na fotelu, z którego niemal zeskoczyłam w bezsilnej złości. Dobrze, że to zrobił, gdyż dopiero teraz zobaczyłam dwie czerwone plamy na policzkach Violet. Lojalność wobec rodziny jest niezgłębioną tajemnicą, a ja ośmielałam się wystawić ją na próbę. A dwóch jej pozostałych braci było gdzieś na polu bitwy.

- W obecnych czasach - mówi ciocia, ponownie patrząc w okno - zgadzam się, że trudno byłoby zaakceptować coś takiego. - Wzrusza ramionami. - Może teraz jest inaczej, nawet jeśli natura ludzka nie zmieniła się zbyt wiele, lecz kiedyś rodziny miały swoje sekrety. Nie oczekuję, że to zrozumiecie.

- Ale ja próbuję zrozumieć. Naprawdę próbuję...

Violet wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni zaciśniętej w pięść.

- Nie wolno ci surowo oceniać swojej ukochanej mamy - mówi, najwyraźniej rozumiejąc, co się ze mną dzieje. - Marjorie była miła, dobra i mądra. Odwiedzała mnie często, nawet kiedy była już w ciąży, Claudine... - Wzdryga się, jakby na wspomnienie czegoś niezwykle bolesnego.

- Violet, proszę, nie denerwuj się.

Nienawidzę się za to, że każę jej przez to przechodzić. Ale jednocześnie, spragniona nawet najmniejszych okruszków informacji o mojej mamie, nie chcę, żeby przestała mówić.

- Wiele potrafię znieść, Claudine. - Ton jej głosu ponownie jest rzeczowy i spokojny. - Jak bardzo twoja mama cieszyła się na twoje narodziny! Podczas ostatniej wizyty, tuż przed pójściem do szpitala, wprost tryskała radością. Uparła się, aby przyjechać do Whitecliff, choć lekarze ostrzegali ją przed podróżą ze względu na wyboistą drogę. Cierpiała na jakąś odmianę anemii i następnego dnia miała iść do szpitala i już do końca ciąży leżeć z uniesionymi nogami. Tamtego dnia powiedziała: „Nie przeszkadzałoby mi, gdybym przez resztę życia musiała zostać w szpitalu. Nadal nie mogę w to uwierzyć. W moim wieku! Czekaliśmy tak długo, że niemal straciłam nadzieję! Następnym razem przywiozę swojego synka. Podam ci go, żebyś mogła potrzymać. Czyż nie będzie ekstra?“. Marjorie zawsze używała najnowszego slangu Dublina. Była przekonana, że będziesz chłopcem. Oczywiście żadna z nas nie podejrzewała, że nie spotkamy się już nigdy więcej. Miała nadzieję, że kiedy przyjedzie następnym razem, wszystko wróci do normy. „Jestem całkowicie pewna, że to twój ostatni rok w tym pokoju, Violet“ - mówiła przy każdej wizycie. A moja biedna Johan-

na musiała mieszkać z rodzicami, dopóki nie zjawił się Anthony.

Chłodny, spokojny salon Violet wydaje mi się nagle duszny i przytłaczający. Tata nie potrafił opowiadać, więc obraz mojej mamy, który rysuje mi się teraz, jest znacznie bardziej wyrazisty i wzruszający niż to, co on usiłował mi przekazać. Nie chcę zapomnieć nawet najdrobniejszych szczegółów.

- Czy mój tata wiedział, co się z tobą dzieje? - Z trudem zmuszam się do zadania tego pytania, lecz jednocześnie czuję, że muszę poznać prawdę: jeśli wiedział, to jego wybuch przy stole, kiedy Pamela wspomniała o Whitecliff, był zrozumiały. Czyżby miał poczucie winy, że nic nie zrobił, aby pomóc Violet?

- Nie, nie powiedziała mu. Czuję, że jeśli on się dowie i zdecyduje działać, na rodzinę spadnie jeszcze gorsze nieszczęście, kara na przykład. Nie dałoby się uniknąć skandalu, a jak już z pewnością zdołaliście się zorientować, moi rodzice się go obawiali i pozostawili nam swój strach. Marjorie nie była pewna, czy postępuje słusznie, lecz ja utwierdziłam ją w tej decyzji, doskonale rozumiejąc jej dylemat.

- Violet, jest jeszcze jedna kwestia. Tata powiedział mi, że moi dziadkowie umarli. Dlaczego mnie okłamał?

Ogarnia mnie przygnębienie. Może piedestał, na jakim postawiłam tatę, powinien być niższy. Violet się waha.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Musisz zrozumieć, że teraz, kiedy Marjorie nie żyje i nie może... - Patrzy w podłogę. - To dla mnie trudne...

- Przepraszam, Violet. Jeśli nie chcesz mówić nic więcej...

Może ją dręczę?

- Możliwe, że usiłował cię przed nimi chronić. Być może wytłumaczenie jest aż tak proste, może nie chciał, aby mieli na ciebie jakikolwiek wpływ. - Podnosi wzrok. - Atmosfera w Whitecliff... - Ponownie robi przerwę. - Wiem, że kiedy razem z Marjorie przyjechali powiadomić rodziców o zaręczynach, nie spotkało ich zbyt miłe przyjęcie. Powiedziała mi o tym Johanna, nie Marjorie, która najwyraźniej była rozdarta między rodziną a narzeczoną. A Johanna nigdy o nikim nie myślała źle, więc bez wątplenia nie wyjawiała mi całej prawdy. Być może rodzice nie tylko nie przyjęli Marjorie i twojego taty z radością, lecz okazali im wręcz wrogość. Z jakichś powodów on już nigdy więcej, o ile wiem, nie przyjechał do Whitecliff.

- Dlaczego go tak potraktowali? Był cudowny! Pytałaś ją o to... mam na myśli moją mamę?

- Obawiam się, że nie potrafię odpowiedzieć dlaczego. - Wzrusza ramionami. - Pytałam Marjorie, czemu jej mąż nie przyjeżdża, i choć najwyraźniej sprawiłam jej tym przykrość, potwierdziła, że rodzice go nie lubią. Powiedziała również, mam nadzieję, że nie będziesz zła, że kiedy twój tata raz na coś się uprze, trudno go od tego odwieść. Wiedziała już, że jeśli bardzo starała się go przekonać, twój tata stawał się nerwowy. Nie chciała się z nim kłócić. A ja nie drażyłam tematu. Nie chciałam marnować naszego cennego czasu denerwowaniem jej. Chyba więc nigdy się nie dowiemy, czemu rodzice nie lubili twojego taty. Być może chodziło o to, że jest znacznie starszy od Marjorie, a może o jego wyznanie. Był chyba katolikiem, prawda?

- Niepraktykującym, a mnie wychował w religii anglikańskiej - odpieram atak. - Mówił, że to przez szacunek dla mamy, lecz nie chodziliśmy do kościoła zbyt często.

- Dzisiaj trudno w to wszystko uwierzyć - odpowiada ciocia powoli. - Szczególnie w to, że przez tak długi okres udawało im się ukryć mój los przed światem. A zanim o to zapytasz, chciałabym dodać, że twoja mama bardzo cierpiała z powodu mojego zamknięcia oraz dlatego, że nie mogła o tym powiedzieć twojemu tacie. „Nie lubię mieć przed nim tajemnic, Violet. To nie jest w porządku” - mówiła przy każdej wizycie. Aby zachować przed mężem pozory, że jestem za granicą, musiała nawet uciekać się do pewnych podstępów. Na przykład wysyłała kartki świąteczne i życzenia urodzinowe na fikcyjny adres w Ameryce i celowo nie podawała adresu zwrotnego.

- Jak udawało jej się wyjaśnić fakt, że nie odpisujesz?

- Chyba twój ojciec tego nie zauważył - odpowiada ciocia z kwaśnym uśmiechem. - Zawsze był bardzo skupiony na pracy.

Milknie na chwilę, jakby po to, by te wszystkie informacje do mnie dotarły. A potem odzywa się ponownie.

- Jeśli chodzi o mnie, nie musisz mi współczuć, skarbie. Nie jestem w końcu bez winy, a do chwili, w której spotkałam Coleya Quinna, miałam przecież spokojne i dostatnie dzieciństwo. Chyba najlepszym określeniem byłoby „złote”. I już dawno temu pogodziłam się z tym wszystkim.

- Jak ci się to udało? Jak ci się udało pogodzić z taką potwornością?

- Uwierz mi, że się udało. W pokoju na wieży miałam wszystko, czego trzeba do wygodnego życia. Najgorsza była samotność, ale i do niej można się przyzwycząić. Zaczęłam dużo czytać. Nigdy mi nie żalowali książek. - Usta jej drżą ponownie. - Zastanawiałam się często, w jaki sposób tata wytłumaczył naszemu bibliotekarzowi nagłe zainteresowanie romantycznymi powieściami. To cała historia. - Siada ponownie. - Rozdrapując swoje życie, opisuję być może zbyt wiele szczegółów, lecz uważam, że macie prawo znać historię naszej rodziny.

- Czy możesz uczciwie powiedzieć, że im przebaczyłaś? Tak naprawdę? - Nadal jestem podminowana.

- Tak! Dawno temu. Rodzice już się nie dowiedzą o mojej rozpacz, więc po co miałabym pielęgnować w sobie żal? - odpowiada ciocia ze śmiechem.

Nie przyłączam się do niej.

Wszystko to jest tak przygniatające. Muszę wyjść i zostać sama, aby uporządkować myśli.

Bob jak zwykle myśli o kwestiach praktycznych.

- A miałaś krewnych w Ameryce? Masz ich nadal?

Nie przewidział odpowiedzi na to pytanie.

- Krewni w Ameryce? Nie wiem. - Patrzy nam prosto w oczy. - Mieliśmy tam krewnych, dość dalekich zresztą, z którymi utrzymywaliśmy kontakt jedynie w okresie Bożego Narodzenia. Chyba mieszkali w Nowym Jorku lub New Jersey, lecz pewnie już nie żyją. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Dzięki niej zrozumiecie, z czym musieli się uporać moi rodzice. Miałam dziecko. Córkę.

Druga nad ranem

Dziecko Coleya urodziłam o drugiej nad ranem jedynie w obecności lekarza rodziny. Rodzice mogli mu zaufać, że nie zdradzi sekretu. Nie był bez winy, gdyż natychmiast po porodzie owinał dziewczynkę w kocyk i zabrał ją ode mnie. Błagałam, bym mogła ją po-trzymać choćby przez chwilę, lecz nie chciał o tym słyszeć.

- Będzie ci tylko jeszcze ciężiej, Violet. Musisz zapomnieć o tej nocy. Niech twój umysł leczy się wraz z twoim ciałem, bo w przeciwnym razie resztę życia spędzisz pogrą-żona w żalu i z urazą w sercu.

Choć pamiętam każdy szczegół porodu i wszystkie skurcze, z trudem potrafię sobie przypomnieć chwilę, gdy kilka miesięcy wcześniej doktor oznajmił mi, że jestem w ciąży. Informacja ta, wypowiedziana beznamiętnym tonem, wydawała się tak niedorzeczna, że za-nim udało mi się zrozumieć jego słowa, pakował już swoją torbę. A tego, co jeszcze mówił, nie pamiętam wcale.

Był lekarzem całej naszej rodziny od wielu lat. Mieszkał w naszej parafii i choć w czasie wojny miał dodatkowe racje benzyny, wolał jeździć bryczką zaprzęgniętą w konia. Miał eleganckie maniery oraz opinię człowieka prawego i niezawodnego, a także, co było dla nas najważniejsze, nie dzielił się z nikim swoimi myślami. Poglądy miał, nawet jak na owe czasy, staroświeckie, i choć nigdy nikogo nie pouczał, dawał do zrozumienia, kiedy by-łam jeszcze małą dziewczynką, że nie popiera kobiet pracujących zawodowo.

Od jakiegoś czasu czułam się źle, nie miałam ochoty na jedzenie i wymiotowałam, aż w końcu rodzice poprosili go, aby mnie zbadał.

Mama przyszła wraz z nim do mojego pokoju. Nie zamknęła drzwi i przez chwilę miałam ochotę rzucić się do ucieczki, lecz wiedziałam, że nie uda mi się pobiec daleko.

- Połóż się na łóżku, Violet - zalecił, a potem rozejrzał się dokoła i dodał: - Jaki uro-czy pokój.

- Tak - odrzekła mama zgodnie. - Violet i jej siostra same wybrały kolory. I był to do-bry wybór.

Ośluchał mnie i wykonał inne zwykłe czynności, a potem poprosił, żebym się rozebrała.

- Możesz się przykryć prześcieradłem, jeśli chcesz - dodał delikatnie.

Nigdy wcześniej nie byłam badana w ten sposób, więc było to tak szokujące doświadczenie, choć muszę przyznać, niebolesne, że trudno sobie to nawet wyobrazić. Przez cały czas miałam też świadomość, że mama siedzi w kącie pokoju na fotelu.

- Tak, Fiono, obawiam się, że to prawda - zwrócił się doktor do niej po skończonym badaniu. - Z całą pewnością jest w ciąży.

Zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami, ja zaś nadal siedziałam pod prześcieradłem podciągniętym aż pod brodę. Czułam się tak zażenowana i upokorzona jego wtargnięciem w tę sferę mojego ciała, którą znał jedynie Coley Quinn, że nie dotarły do mnie konsekwencje słów doktora. Dopiero kiedy odłożył słuchawki i ujrzałam w oczach mamy wściekłość, pojęłam całą powagę sytuacji. W ciąży?

Nie ma sensu opowiadać o uczuciach, które targały mną w ciągu następnych dni, tygodni, a nawet miesięcy. Język nie ma dość słów na określenie mojej rozpacz. Ponieważ powiedziano mi, co się stanie z dzieckiem - miało zostać oddane jakiejś amerykańskiej rodzinie, którą wcześniej znalazła za pośrednictwem sierocińca, co było w owym czasie powszechną praktyką - przez całą ciążę nie mogłam myśleć o nim inaczej niż jak o kropli, która niczym szkodliwy pasożyt zawładnęła moim ciałem. Usiłowałam przekonać siebie samą, że pragnę jedynie, by to wszystko skończyło się jak najszybciej.

Jednak wraz ze zbliżającym się terminem porodu przestałam traktować swoje dziecko jak kroplę. Kiedy tak kopało i kręciło się, wyobrażałam je sobie jako miniaturkę Coleya. Śpiewałam mu w środku nocy i opowiadałam o miłości jego rodziców. Szczegółowo opisywałam swe uczucie do Coleya i przepraszałam za jego nieobecność. „Gdyby wiedział, że jesteś - szeptałam - nie powstrzymałaby go żadna góra ani żadna rzeka”. Raz po raz błagałam dziecko, by o mnie nie zapomniało.

Poród był trudny, przez większą część czasu rodzice, uznając słusznie, że nie będę próbowała uciec, pozwolili Johannie być przy mnie. Nie miała żadnego doświadczenia ani jako pielęgniarka, ani położna, lecz robiła, co w jej mocy, ściskając mnie za rękę i podtrzymując na duchu w najcięższych chwilach.

Doktor Willis przyjechał koło północy i zajął się mną. Ponieważ obie byłyśmy wy-

czepane, odesłał moją siostrę do jej pokoju, by mogła odpocząć.

- Zostanę przy niej, dziecko. Zawołam cię za godzinę.

Nie zrobił tego jednak, a po porodzie byłam zbyt wyczerpana, by mu o tym przypomnieć.

Nadal prześladuje mnie pierwszy krzyk mojej córeczki, ten przerażony, przerywany krzyk zwierzątka złapanego w sidła. Kiedy jednak wynosił ją z pokoju, była spokojna.

- Obudzę twoją siostrę i przekażę jej nowinę - powiedział, zanim zamknął za sobą drzwi. - Twoi rodzice czekają na dole.

A co z Coleyem Quinnem? - miałam ochotę krzyknąć, lecz oczywiście tego nie zrobiłam.

- Odpoczywaj teraz - ciągnął lekarz. - Możesz być pewna, że będzie miała dobre życie. Pojedzie do bogobojnej rodziny.

Doktor Willis był katolikiem, więc zastanawiam się, czy „bogobojna” oznaczało moją wiarę.

- Pocieszaj się tym, że wyrosnie na szczęśliwą małą Amerykankę, która będzie miała wszystko, czego tylko może pragnąć mała dziewczynka. - Tak brzmiały jego ostatnie słowa tamtej nocy czy też ranka.

Mała zapłakała ponownie, kiedy znosił ją po schodach, lecz potem doktor zamknął drzwi i już nie słyszałam, jak wyruszyła w podróż.

Telewizja może wiele nauczyć

Wracamy z Bobem, wstrząśnięci, do naszego pensjonatu, niosąc rybę z frytkami, którą kupiliśmy po drodze.

Violet nie znała nazwy sierocińca, nie wiedziała, w jakim był hrabstwie („nie powiedzieli mi”). Ta opowieść wyjaśniała, dlaczego o wizytach mojej ciężarnej mamy opowiadała z takim smutkiem. Po tym, co ją spotkało, widok siostry, która tak bardzo cieszyła się swoim stanem, musiał być dla niej prawdziwą torturą.

Bez wątpienia nie była pewna daty urodzenia córki. Tłumaczyła:

- Musicie zrozumieć, że daty nie znaczyły dla mnie prawie nic, a w moim wieku czas się skurczył, a wydarzenia ponakładały na siebie. Z całą pewnością działo się to w okolicy Bożego Narodzenia, chyba przed świętami, bo mama powiedziała coś o tym, że ja jak zwykle muszę wszystko zepsuć w takiej chwili.

Nie miałam okazji powiedzieć jej o mężczyźnie, który moim zdaniem był Coleyem Quinnem, lecz może dobrze się stało. Sądziłam, że najlepiej będzie najpierw sprawdzić, czy to naprawdę on, zanim powiadomię ciotkę o jego powrocie. Możecie sobie wyobrazić, jak się czułam - miałam nie tylko nową ciotkę, lecz również nową kuzynkę, która żyła w jakimś nieznanym miejscu na ziemi. Tego, co się przydarzyło Violet, nie sposób było ogarnąć. W tej chwili bez trudu potrafiłam zapomnieć Bobowi jego niewierność.

Zanim wyszliśmy, zapytałam jeszcze Violet, czy wie, gdzie przebywa jej córka.

- Nie - odparła, kręcąc głową. - Ameryka jest tak ogromna, a ja nawet nie wiem, jak małej dano na imię.

- Jeśli to dziecko urodziło się na Boże Narodzenie w czterdziestym czwartym - mówię do Boba podczas posiłku - ma teraz pięćdziesiąt dziewięć lat, Violet zaś mówi o córce tak, jakby ciągle była maleńka.

- Bo w jej wyobraźni taka właśnie jest. To zrozumiałe. I bardzo smutne.

Takie emocje są do niego niepodobne, więc patrzę nań ostro, lecz najwyraźniej mówi szczerze.

- Bob, czy powinniśmy zaproponować, że pomożemy jej odnaleźć córkę?

- Ona sama musi zdecydować.

- Taaaaaak - zastanawiam się. - Przecież bardzo ją skrzywdzono. Czy ktoś taki jak ja nie powinien jej pomóc? W końcu jestem jej siostrzenicą. A czyż nie byłoby wspaniale, gdyby mogła spotkać się z córką na tym etapie swego życia?

- Najpierw trzeba sprawdzić, czy tego chce, Cee. Nic na siłę. Twój przyjazd wystarczy jak na jeden tydzień, a nawet miesiąc, nie sądzisz? Wydaje mi się, że Violet zaczęła się przyzwyczajać do swej spokojnej starości i chociaż chciała się z tobą spotkać, być może uznała cię za dar losu, wcześniej nie była zbyt zachwycona. Jest wolna od tylu lat. Gdyby chciała odszukać córkę, już by to pewnie zrobiła.

- Być może nie wie, od czego zacząć.

- Trzymano ją w zamknięciu przez wiele lat, to prawda, lecz nie wygląda na osobę bezradną.

Bob zrzuca z talerza resztki jedzenia.

Jemy, czy też raczej bawimy się posiłkiem, w przesadnie ozdobnej jadalni. Jesteśmy w bungalowu, a brzęk sztućców i garnków dochodzący z kuchni na drugim końcu korytarza daje nam pewność, że gospodyni nie może nas usłyszeć. Bob słusznie mnie ostrzega, bo zawsze rzucam się, aby załatwić różne rzeczy dla innych. Szczególnie w takich chwilach, gdy dzięki moim działaniom mogę choćby na chwilę zapomnieć o wstrząsających faktach. Na przykład zaraz po śmierci taty (zanim poznałam jego testament) namówiłam Pamełę, żeby zwolniła ogrodnika i przez jakiś czas już od świtu kosiłam, przycinałam, odchwaszczałam i grabiłam ogród w Sandycove. Robiłam jedynie krótkie przerwy na jedzenie i herbatę, a o zachodzie słońca padałam na łóżko.

Wybuchnę, jeśli zaraz czegoś, czegokolwiek nie zrobię.

- Tak, ale sam twierdzisz, że przez wiele lat była zamknięta i nic nie robiła samodzielnie. Czy to nie zniszczyłoby każdego? Mówimy w końcu o mojej kuzynce. Chciałabym ją znaleźć.

- Powiem jeszcze jedno, a potem nie będę się odzywał. - Bob bawi się plastikowym widelcem. - Co będzie, jeśli znajdziesz tę kobietę, Violet narobi sobie nadziei, a potem okaże się, że tamta nie chce mieć z nią nic wspólnego? Wiesz, że może się tak zdarzyć. W naszym świecie nie ma zbyt wielu historii o szczęśliwym zakończeniu. A jeśli Violet się do-

wie, że znalazłaś jej zaginioną córkę, lecz nie udało ci się przekonać tej kobiety do kontaktu z matką, czyż to wszystko nie będzie jeszcze gorsze? Ma ciebie. Poświęć trochę czasu na to, by ją lepiej poznać.

- Można uchronić ją przed rozczarowaniem. Nie powiemy Violet, że zaczęliśmy działać. To będzie niespodzianka.

- Znowu tajemnice?

- Ale tym razem przyjemne.

- Czy potrafisz to zapewnić? Jest jeszcze jeden problem. A jeśli ta córka zgodzi się na spotkanie, a potem się okaże, że chodziło wyłącznie o kasę? Twoja ciotka dostanie mnóstwo pieniędzy za Whitecliff. A po jej śmierci ten dom tutaj również nie zostanie sprzedany za mniej niż milion, jak sędzę.

- A jeśli jej córka jest najmilszą istotą pod słońcem? Jeśli od czterdziestu lat szuka swojej matki?

Jeffrey leżący u moich stóp zrywa się na cztery łapy, a potem pada ponownie na podłogę. Ciągnę go za ucho, a wtedy liże mi dłoń.

- Słuchaj - mówi Bob - jeśli naprawdę chcesz iść tą drogą...

- Chcę. Tylko wiesz co, zapytam najpierw Violet. Jeśli sprawi jej to przykrość, wycofam się.

- Pomogę ci, ile będę mógł, jeżeli się zgodzi - obiecuje Bob, a po chwili pyta: - Czy mi wybaczyłaś?

- To nie w porządku - odpowiadam, patrząc na niego. - Wykorzystujesz sytuację.

- Pewnie, że tak. Czy na moim miejscu nie zrobiłabyś tego samego?

Jego szczerłość mnie rozbraja. Nie powinnam mu przebaczyć, lecz dobrze, że jest tu ze mną.

- Wiesz co, nie chcę o tym teraz myśleć. Ostrzegam jednak, że nie ominie cię pogadanka na ten temat. Muszę tylko być gotowa.

- Wiem. Ale czy tymczasem mi wybaczysz? A przynajmniej spróbujesz?

Nie lubię, kiedy się mnie popędza.

- Dobrze, jednak to tylko zawieszenie broni. I wyłącznie pod warunkiem, że nie był to wielki, potężny, poważny romans...

- Możesz mi wierzyć! - odpowiada i wydaje dźwięk przypominający śmiech, lecz tak

ponury, że brzmi bardziej jak prychnięcie. Co najśmieszniejsze, wierzę mu, ponieważ spoj-
rzał w prawo. Oglądam „Kryminalne zagadki Las Vegas” i stąd wiem, że jeśli podejrzany, a
w tym wypadku przestępca, podczas przesłuchania patrzy w prawo, to przypomina sobie
wydarzenia. Kiedy patrzy w lewo, to znaczy, że je wymyśla. Telewizja może nas wiele na-
uczyć.

Dzwoni mój telefon. Patrzę na świecący ekranik, to numer Tommy'ego O'Hare. I jesz-
cze raz.

- Chyba odbiorę. Prawdopodobnie już zostałam zwolniona. Słucham, szefie?

Czekam, nie reagując na stek przekleństw i pretensji, który leci mi do ucha. Dopiero
kiedy Tommy trochę się zmęczył, mówię:

- Zrozumiesz, jak ci opowiem, co się tu działo.

- Lepiej, żeby to były pomyślne wieści.

- Są. Przynajmniej dla mnie.

A gdy kończę opowiadać, możliwie zwięźle i z pominięciem bardziej drastycznych
szczeólów, reaguje dokładnie tak, jak przewidziałam.

- Oczywiście, że się cieszę, Claudine. Ale jak wobec tego wygląda sprawa Whitecliff?
Rozmawiałaś z nią o tym?

- Po to tu przecież jestem, prawda? Miałaś rację co do zatwierdzenia testamentu. Dom
jeszcze do niej nie należy. Ale będzie.

- I sprzeda go nam?

- Obie jesteśmy wstrząśnięte tym, co się stało. Czy uważasz, że mogłam ją naciskać?
A poza tym ja również bardzo to przeżywam.

- Czy dziś nic nie może być proste? Nie rezygnuj, dobrze? I, hmmm, gratulacje... jeśli
to dobre słowo.

Ponieważ znam Tommy'ego tak dobrze, przed oczami staje mi jego trochę skrzywiona
twarz, gdyż mój szef usiłuje nie okazać swojej irytacji.

- Informuj mnie na bieżąco.

- Dobrze.

Wyłączam się, odsyłając OHPC i problemy związane z nieruchomościami w niepa-
mięć. Odwracam się do Boba i podejmuję przerwany temat.

- Czuję się skrzywdzona i wściekła, Bob. Minie dużo czasu, zanim pogodzę się z tym,

co zrobiłeś. Po powrocie do domu przeniesiesz się do jednej z pustych sypialni.

- Ale spaliśmy razem zeszłej nocy - przypomina, całkiem zresztą rozsądnie.

- Ty spałeś. Ja nie. I nie rozmawiamy o ostatniej nocy. Chodzi o to, co będzie po powrocie do domu.

- Nie rozumiem, lecz zakładam, że masz rację. Wygrałam.

- Zgadza się więc, że powinniśmy zapytać Violet o zdanie, zanim spróbujemy szukać jej córki. Od czego zaczniemy, jeśli się zgodzi?

- Od Urzędu Stanu Cywilnego - odpowiada Bob bez namysłu. - Dziecko na pewno zostało zarejestrowane. Do uzyskania paszportu potrzebny był przecież akt urodzenia.

- Ale też mogli ją wpisać do paszportu jednego z przybranych rodziców, jakby była ich rodzoną córką. Tak się robi z noworodkami.

- I do tego także potrzebny był akt urodzenia.

- Mogli go podrobić.

- Podrobić, Claudine? Spróbuj poskromić swą bujną wyobraźnię i pomyśl rozsądnie. Masz lepszy pomysł?

Nie mam, oczywiście. Tylko nadal chcę coś zrobić. Cokolwiek, co sprawi, że przestanę się za bardzo zastanawiać. Szczególnie jeśli pomyślę o tacie, na pierwszy plan, zupełnie jak plamy oleju na morzu, wysuwają się słowa „uparty” i „nerwowy”. Wiedziałam, że ma obie te wady, lecz w swym uwielbieniu wołałam o nich zapominać.

- Wiesz, zadzwonię do Violet i zapytam, czy chce, żebyśmy coś zrobili w sprawie dziecka. Najlepiej zacząć od razu, nie sądzisz? - A na widok grymasu na twarzy Boba dodaje: - Nie martw się, będę ostrożna.

- Pamiętaj, co powiedziałem, Cee. Ludzie wścibscy i ci, którzy chcą kogoś na siłę uszczęśliwić, często dostają po nosie. Może nie zareagować tak, jak tego oczekujesz.

- Będę uważać.

Wybieram numer cioci. Kiedy odbiera telefon, wydaje się zaspana.

- Przepraszam, że cię obudziłam, Violet. Mówi Claudine.

- Nic nie szkodzi.

Ale to nie takie proste. Widocznie poszła się położyć zaraz po naszym wyjściu. Na pozór wydaje się osobą elegancką, dynamiczną i pełną energii, lecz teraz, w tym słabym głosie, słyszę wszystkie przeżyte przez nią lata. Bob ma rację. Potrzebuje czasu.

- Przepraszam, ciociu - mówię szybko - chciałam tylko raz jeszcze przyrzec przed wyjazdem, że będziemy w kontakcie i niedługo się spotkamy. A jeśli będziesz czegoś potrzebować, zadzwoń.

34

Zużyta torebka po herbacie

Tym z Greenparks podobała się twoja reklama Cruskeen Lawns, Claudie. - Tommy rzuca mi kartkę przez stół, jeszcze zanim zdążę odłożyć torebkę. Biorę w dłoń papier nadal upstrzony czerwonymi skreśleniami, lecz tym razem są tam również sugestie i wykrzykniki, niczym egzotyczne żuki na marginesie.

- Udało ci się! - Podnosi telefon i przewraca wizytówki rolodexu w poszukiwaniu właściwego numeru. - Przygotuj kilka niepokreślonych kopii i gotowe.

Zachowuje się tak, jakbym przyszła do pracy o zwykłej porze, a nie o drugiej po południu.

Całe rano albo gorączkowo sprzątałam, albo siedziałam nieruchomo na tapczanie lub krześle i gapiłam się przed siebie, usiłując uporządkować myśli i uczucia. Jedno wiedziałam na pewno: Greenparks i Cruskeen Lawns nie interesowały mnie w tej chwili w najmniejszym nawet stopniu, podobnie zresztą jak inne zaplanowane prace. Potrzebuję więcej czasu, abym mogła wszystko sobie poukładać. Oczekiwałam wyrzutów z powodu długiej nieobecności, lecz Tommy jest bystry i zna mnie na wylot. Wie, kiedy naciskać, a kiedy lepiej się wycofać. Inicjatywa należy do mnie.

- Tom, musimy porozmawiać.

- Już się boję! - odpowiada z szerokim uśmiechem i wybiera numer.

Dwie godziny później, gdy już się uporałam z papierami dla Greenparks i umówiłam trzy spotkania na następny dzień, jestem w drodze do Whitecliff, aby odnowić znajomość z Patem/Colmanem. Zapewniam się w myślach, że przecież nie zamierzam się wtrącać ani nikogo uszczęśliwiać na siłę - chcę po prostu ustalić pewne fakty. Pragnę tylko się dowiedzieć, czy to on jest mężczyzną z opowieści cioci.

Początkowo Tommy usiłował wybić mi to z głowy.

- Muszę ci powiedzieć, Claudine, że zachowujesz się jak tajemnicza dama. Po co tam znowu jedziesz?

- Chcesz kupić tę ziemię, prawda? Ta kobieta jest moją ciotką, zapomniałeś? Ufa mi - dodaję, zastanawiając się przy tym, czy dotarło do niego, że jestem osobiście zainteresowana posiadłością, nawet bardziej niż dotychczas.

Nie daje tego po sobie poznać.

- Dobrze - mówi niechętnie. - Ale nie znikaj mi tym razem, dobrze? Nie wyłączaj telefonu.

Obiecuję go posłuchać.

Jestem zdenerwowana. Tym razem jadę wąską drogą wzdłuż brzegu morza od strony Rathlinney i dojeżdżam do domu od północy. Na widok muru granicznego niemal puszczają mi nerwy. Wiem, że nie wolno mi się spieszyć (nie wchodzi w grę żadne: „Pamięta mnie pan? Wiem, kim pan jest naprawdę. Violet Shine żyje i mieszka w West Cork”), i nie mam zamiaru zrobić nic takiego. Czemu więc się denerwuję? Wysiadł mi instynkt samozachowawczy - cholera, nie jestem niczego pewna.

Zatrzymuję samochód, aby się zastanowić, lecz im dłużej myślę i staram się przewidzieć reakcję Coleya na wieść o Violet i jej córce, tym mniej jestem pewna słuszności swoich działań. Jestem bliska decyzji o powrocie do domu, ale wymyślam sobie od mięczaków. Mam dobre zamiary i jeśli będę ostrożna i delikatna, nie ściągnę na nikogo kłopotów.

Jestem tu. Mogę wejść i porozmawiać z tym mężczyzną. Zdam się na intuicję. Jeśli to Coley, powiem o tym cioci, jeśli nie, nikt nie ucierpi. Nie ma pośpiechu. Najlepiej będzie nie mówić dziś za dużo. Pozwolę mu kierować rozmową i zobaczę, co się stanie.

Podjeżdżam do miejsca, w którym zobaczyłam go po raz pierwszy, parkuję samochód i wzięwszy ze sobą parasol, przeskakuję przez zniszczony mur. Brawo! Odgarniam parasolem jeżyny, spod których widać ścieżkę. Powoli dochodzę do miejsca, gdzie piliśmy wtedy herbatę. Nic się nie zmieniło. Nie ma tylko śladu Coleya Quinna ani jego rzeczy.

Początkowo podejrzewam, że musiałam się pomylić i pójść niewłaściwą ścieżką, lecz po chwili zauważam poczerniały ślad po ognisku i odcisnięty w ziemi zarys kufra.

Pamiętam zapewnienia Coleya, że podróżuje bez bagażu i jest w stanie zniknąć bez śladu. Kiedy pochylałam się nad ziemią, znajduję jedynie zużytą torebkę herbaty.

Drobne przyjemności

Widziałam, że są wstrząśnięci. Jednak kiedy zaczęłam mówić, nie mogłam się powstrzymać i wyjawiałam im znacznie więcej, niż zamierzałam. Być może powodem mojej zbytnej szczerości był fakt, że nie opowiadałam tego nikomu. Trudno mi jednak uwierzyć, że po tylu latach powściągliwości tak łatwo wyjawiałam historię swojego życia osobom prawie mi obcym - i to jeszcze w sposób tak jednostronny, szczegółowy i trywialny. Po upływie jednej zaledwie godziny od ich poznania popisywałam się, jakbym ciągle była nastolatką.

Obawiam się również, że nie udało mi się wystarczająco im wytłumaczyć, jak bardzo świat sprzed lat sześćdziesięciu różnił się od obecnego, szczególnie pod względem stosunku rodziców do dzieci. Zrobiłam ze swoich rodziców potwory. Nie należało tak o nich mówić. Moja siostrzenica zasługiwała na lepsze wprowadzenie w sprawy rodziny, a ja powinnam była opowiedzieć o tych wszystkich drobnych przyjemnościach, które spotkały mnie w pokoju na wieży.

Na przykład jednej szczególnie mroźnej zimy mama przysłała na górę najnowszą kapę, jak na ironię przypominając mi tym samym to, co powiedziałam do Johanny, kiedy skończyłyśmy urządzać pokój - że brakuje tutaj tylko nowej kapy. Mama dołączyła do niej informację o tym, że już skończyła je robić i ta jest ostatnia. Zrozumiałam znaczenie tego gestu; wszyscy wiedzieliśmy, jak dużą wagę przywiązywała do uczestnictwa w kweście, a tym samym do tego, jak postrzegają ją inni członkowie parafii. Jestem przekonana, że tym podarunkiem chciała mi ofiarować gałązkę oliwną, może nawet błagała o przebaczenie. Wiedziałam, że zdrowie zaczyna jej szwankować.

Przywiozłam tę kapę ze sobą tutaj, do domu Johanny. Leży na moim łóżku, a w ciepłej noce wydobywa się z niej nikły zapach cytryny i wanilii, głównych nut perfum, których używała moja mama. W takich chwilach trudno mi się otrząsnąć z żalu, chyba znacznie trudniej, niż gdybyśmy za jej życia byli w cieplejszych stosunkach.

Mogłam im również powiedzieć o chwili, gdy tata przyszedł pod moje drzwi, otwo-

rzył okienko i podał mi jedzenie. Potem jednak, zamiast jak zwykle powiedzieć kilka uprzejmych słów i zamknąć klapę, po prostu oparł się o futrynę i stał tak dłuższą chwilę.

- Co się stało, tato? - zapytałam przestraszona.

Zdażyłam już pogodzić się ze swoją sytuacją i zaczęłam ją traktować jak coś normalnego, lecz jakakolwiek zmiana codziennej rutyny mnie przerażała.

- Violet... - powiedział i umilkł, a potem chwycił mnie za rękę tak gwałtownie, że upuściłam talerz.

- Tato, co się stało? - krzyknęłam. - Boli mnie to.

- Przepraszam - powiedział i puścił mnie. - Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

- Czy coś jest nie tak?

- Nie, wszystko w porządku - odparł cicho, lecz zauważyłam, że szczęka mu drży, jak zwykle w chwilach wzruszenia. - Nic i wszystko - dodał.

A potem szybko zamknął okienko, lecz wiedziałam, że zaszło między nami coś niezwykłego.

Zrozumcie jednak, jak trudno przekazać ładunek emocji wynikających z pozornie tak nieważnych i ulotnych incydentów. Kiedy wpatrywałam się w zamknięte okienko i słuchałam kroków ojca na schodach, byłam zarazem zmartwiona i wniebowzięta. Wniebowzięta, gdyż tata usiłował mi coś powiedzieć, lecz jednocześnie zmartwiona ze względu na niego. W tamtej chwili cierpienie było niemal namacalne i chyba raniło moje serce bardziej niż jego. Przez wiele lat na wspomnienie tego pozornie drobnego faktu roniłam gorzkie dorosłe łzy. Słowami nie potrafię opisać powodu - prawdopodobnie mógłby to oddać film.

Jak więc widzicie, moi rodzice nie byli ludźmi bez serca. Dla równowagi powinnam więc opowiedzieć mojej siostrzenicy i jej mężowi o tych wydarzeniach i wielu innych.

Zastanawiam się, czy uda mi się zaprzyjaźnić z Claudine. Ona, widzę to już teraz, chce tego, lecz mnie będzie zapewne trudniej, gdyż nie jestem przyzwyczajona do kontaktów z ludźmi.

Dobry Boże, powiedziałam im nawet między wierszami, że w pamiętniku opisywałam szczegóły swoich intymnych spotkań z Coleyem...

Spaliłam ten zeszyt. Na początku mego uwięzienia pisałam bardzo dużo, lecz potem przestałam. Anno Frank, jakie mamy ograniczone sposoby przedstawiania frustracji i przygnębienia. Bez stymulacji z zewnątrz znudziłam się pisaniem, jeszcze zanim zdażyłam się

pogodzić z sytuacją. Kiedy przyjechałam tu z Johanną, nie chciałam kontynuować pamiętnika, by nie wpadł w niepowołane ręce, przy pierwszej okazji więc wrzuciłam go do kominika, gdzie ku mojej radości skręcił się i poczerniał. Wypuściłam swą przeszłość przez komin i poczułam się jakby lżejsza.

Przeszłość jednak powróciła, by dręczyć mnie w dzień i w nocy. Ubiegłego wieczoru zaledwie udało mi się zasnąć, a już budziły mnie strzępy snów, które natychmiast zniknęły. Pamiętam jedynie kilka obrazów - trumnę mojego małego braciszka, wymyśloną twarzyczkę mojej córki, niebieską suknię mamy, tatę ślęczącego nad rachunkami i dokumentami, Coleya i siebie leżących w polu nad brzegiem morza w Loughshinny. Od śmierci Johannы byłam dość spokojna, lecz teraz poruszono pokłady bólu zalegające pod moim uładzonym życiem. Taki wstrząs i podniecenie są denerwujące i wywołują stres. Umawiając się z panią Armstrong na spotkanie w sprawie Whitecliff, nie spodziewałam się podobnego rozwoju wydarzeń. Wizyta obojga bardzo mnie zmęczyła. Dlaczego musiałam skomplikować to wszystko jeszcze bardziej wzmianką o mojej malutkiej córeczce?

Powinnam właściwie wyjaśnić, dlaczego po opuszczeniu pokoju na wieży nie usiłowałam jej odszukać. Powiedzieć, że po tak długim odosobnieniu musiałam uczyć się wykonywać najprostsze czynności - wysyłać listy, decydować, jaki rodzaj chleba kupić. Ponadto udało mi się przekonać samą siebie, że byłoby egoizmem niszczyć stabilność jej życia po tak wielu latach.

Do tej chwili całkiem dobrze potrafiłam uporać się; z emocjami, tak przynajmniej sądzę. To dziecko istnieje w krwawych wspomnieniach mojego brzucha, w rozbrzmiewającym w uszach wspólnym krzyku i w wyobrażeniach o dobrym, poukładanym życiu, jakie wiedzie w Ameryce. Naprawdę wierzę, że powinno tak pozostać; moja córka nie powinna być narażona na opowieści, których musiałaby wysłuchać.

Ale czy na pewno? Może tęskni za mną tak samo, jak ja za nią w chwilach, gdy wsłuchuję się w siebie?

Pojawienie się siostrzenicy kazało mi się zastanowić, czy moje rozsądne myślenie i tchórzliwy wybór spokojnego życia zawsze były najlepszym rozwiązaniem.

Zawodowe zainteresowanie, jakie Claudine żywi wobec Whitecliff, komplikuje sprawę. Będę niedługo potrzebować sporo pieniędzy, a posiadłość musi mi je zapewnić tak czy inaczej. Do niedawna nie miałam z tym kłopotu. Państwo było dla mnie łaskawe. Żyję

skromnie, więc zasilek wystarcza na pokrycie moich potrzeb. Na Boże Narodzenie dostaję dodatkowe pieniądze. Nie muszę płacić abonamentu za telewizję, nie muszę kupować biletów na pociąg ani autobus, dostaję dodatek na światło i opał. Ponieważ nie piję ani nie palę, nie mam samochodu i nie potrzebuję rozrywek, żyje mi się całkiem wygodnie.

Dom Johanny i Anthony'ego jest jednak stary i pełen przeciągów, a jeśli sędzić po huku, jaki słychać na górze w czasie wiatru z południowego zachodu, dach wymaga naprawy. Drewniane okna, choć mają tyle wdzięku i tak wspaniale pasują do tego budynku, również nie są w najlepszym stanie. Zimy mamy tu łagodne, lecz bardzo mokre, z częstymi sztormami, a wiatr niosący słońną wodę zniszczy nawet najmocniejsze drewno. Również ogród i budynki gospodarcze wymagają kapitalnego remontu. Pozostaje też kwestia ogrzewania. W zeszłym roku, po śmierci Johanny, zamknęłam na zimę całą górę domu, lecz mój piec z trudem wystarcza do ogrzania tych niewielu pokoi, z których korzystam. W moim wieku przyszłość jawi się w kategoriach coraz słabszego zdrowia i niepełnosprawności. Być może do zapewnienia sobie opieki będę potrzebować wszelkich środków, jakie jestem w stanie uzyskać.

Jednocześnie uważam, że znalezienie kogoś z rodziny jest wspaniałym przeżyciem. Oczywiście nie powinnam dać się ponieść emocjom - mam siedemdziesiąt sześć lat, więc czy wytrzymam tak silne wzruszenia i radykalne zmiany? Przyznaję, że sama myśl o tym napełnia mnie zarówno podnieceniem jak i strachem; z kimś takim jak Claudine z całą pewnością nigdy nie będę się nudzić.

Czyż to nie dziwne, że Claudine ruszyła natychmiast w kierunku cisowej ławki zrobionej przez tatę, choć z całą pewnością nie miała pojęcia o więzach łączących nas obie? Obecność tej ławy w moim salonie to osobna historia, której nie będę w stanie należycie opowiedzieć mojej siostrzenicy, a która wspaniale pokazuje to, co usiłowałam powiedzieć o ubóstwie słów.

Kiedy opuszczałam Whitecliff z moją siostrą, przyjechał po nas jej ukochany Anthony. Johanna, podobnie jak Marjorie, przez te wszystkie lata trzymała moje uwięzienie w tajemnicy przed mężem, lecz wtedy, uzyskawszy wcześniej od niego obietnicę, że nie poczyni w związku z tym żadnych kroków, powiedziała mu o mojej sytuacji.

Anthony, przekonany, że mam jakiś dobytek, nawet sprzęty czy pościel, przyjechał swoją furgonetką, tą samą, którą woził meble. Czekał na nas na zwirowanym podjeździe

przed domem, gdy Johanna pomagała mi zebrać drobiazgi, które pragnęłam wziąć ze sobą. Było ich niewiele. Nie miałam ochoty wziąć nic poza przedmiotami osobistymi, w ostatniej chwili jednak ściągnęłam z łóżka kapę, o czym już zresztą wspominałam.

Kiedy otworzyły się drzwi mojego więzienia (drewno napęczniało i musieli się z nimi mocować tata i Anthony) i przekroczyłam ich próg, pojawiła się całkiem niespodziewana trudność. Spojrzałam w dół, na kilkanaście stopni wiodących na podest poniżej. Może wydać się to nieprawdopodobne, lecz tak długo nie chodziłam po schodach, że nie wiedziałam, co robić. Przestraszyłam się. Patrząc w dół, miałam wrażenie, że spadam, nawet trochę się zachwiałam, i gdyby nie Johanna, która mnie chwyciła, pewnie bym upadła. Musiała potem iść obok, żeby mnie sprowadzić na dół. A kiedy stałam już bezpiecznie w holu, z kapą w objęciach, wyniosła resztę moich rzeczy, tylko dwie walizy, przez drzwi frontowe do furgonetki.

Nie poszłam od razu za siostrą. Tata siedział w salonie oświetlonym jedną tylko lampą. Przez drzwi widać było jego sylwetkę w fotelu przy kominku, lecz nie widziałam nic więcej. Nie wiedziałam, czy powinnam do niego wejść, zawołałam tylko:

- Tato, wyjeżdżam!

Jakby się poruszył w fotelu; czekałam na odpowiedź, lecz kiedy jej nie otrzymałam, z niespodziewaną przykrością poszłam za siostrą. Padało, pamiętam, i musiałam pobiec przez żwir do furgonetki.

- Wszystko już masz, Violet?

Kiedy wsiadłam do samochodu, Anthony pochylił się nad Johanną siedzącą między nami. W tym dniu widziałam go po raz pierwszy i pod każdym względem zgadzałam się z opinią siostry o mężu.

- Dziękuję, Anthony.

Zadowolona, że deszcz pomaga mi ukryć łzy, nie odwracałam twarzy w stronę mojego szwagra. Usiadłam z kapą na kolanach obok Johanny i zamknęłam drzwi. Dziwnie było czuć łzy kapiące mi z rzęs. W szoferce unosił się zupełnie inny zapach niż w moim pokoju.

- Wobec tego jedziemy.

Anthony uruchomił silnik.

Odjeżdżaliśmy już spod domu, kiedy wszyscy zauważyliśmy jakiś ruch z tyłu furgonetki. Anthony nacisnął hamulce i otworzył drzwi, żeby sprawdzić, co się stało.

- To wasz tata - oznajmił zdziwionym tonem.

Zamarłam. Czyżby ojciec nawet teraz usiłował udaremnić mi wyjazd? Wsiadłam, a ponieważ deszcz zaczął padać dość mocno, okryłam kapą głowę i pobiegłam za furgonetkę. Tata mocował się z tylnymi drzwiami, gorączkowo naciskał i ciągnął klamkę. Miał na sobie tylko koszulę, teraz już przezroczystą na ramionach od wilgoci, a deszcz spływał mu z włosów.

- Chcę, żebyś to wzięła - powiedział, ciągle szarpiąc za klamkę - ale chyba drzwi są zamknięte.

Dopiero wtedy zauważyłam przepiękną cisową ławę stojącą u jego stóp.

- Och, tato! - zawołałam i rzuciłam mu się na szyję. Kapa spadła mi z głowy i leżała teraz na ziemi, a ja po raz pierwszy w życiu tuliłam się do własnego ojca. Po chwili objął mnie i przytrzymał tak przez chwilę, zanim Anthony przyszedł otworzyć drzwi.

Kiedy wreszcie odjechaliśmy z mokrą kapą i ławą bezpiecznie ułożoną z tyłu furgonetki, obejrzałam się za siebie. W strugach deszczu ujrzałam sylwetkę taty - pochyloną i przygarbioną samotną postać na ganku Whitecliff, rozjaśnioną przyćmionym światłem padającym z boku przez niezastłonięte okno. Choć nie mam co do tego pewności, wydaje mi się, że trzymał rękę uniesioną w nieśmiałym geście pożegnania.

Pacjent

Kiedy obudziłam się następnego ranka po nieudanej wyprawie do Whitecliff, mój mózg włączył się natychmiast, wprost kipiąc od pomysłów i planów związanych z posiadłością i połączeniem Violet z córką...

Zamiast jednak jak zwykle puścić wodze wyobraźni, tym razem ją poskromiłam i nakazałam jej siedzieć cicho. Bob miał rację. Solidne podstawy mojego życia co prawda zachwiały się w posiadach, lecz nie usprawiedliwia to mojego samowolnego wtargnięcia w życie innych.

Jednocześnie taka decyzja po latach spędzonych na działaniu wydała mi się zbyt radykalnym rozwiązaniem. Wzięłam więc prysznic i kiedy Bob wyszedł do pracy, odbyłam kilka rozmów przez telefon. Szukając Colmana Quinna, zostawiłam swoje nazwisko i numer telefonu (ale tylko domowy - to była część kompromisu) w szpitalach, komisariatach policji i ośrodkach zdrowia. Na koniec zadzwoniłam na pocztę w Rathlinney, aby się dowiedzieć, czy odebrał emeryturę, lecz powiedziano mi grzecznie, że to nie moja sprawa.

Nie spodziewałam się, że któraś z tych rozmów przyniesie jakiś rezultat, lecz przynajmniej zaspokoiliam swoją potrzebę działania i uspokoiłam sumienie - możliwe przecież, że Coley uciekł z powodu mojej wizyty w posiadłości.

Po ostatniej rozmowie odłożyłam słuchawkę na miejsce i przez chwilę stałam nieruchomo w naszej słonecznej kuchni, chłonąc ciszę. Podbiegł do mnie Jeffrey i usiadł przy moich nogach. Kiedy pochyliłam się, by go pogłaskać, doszłam do wniosku, że zrobiłam już wszystko, co mogłam. Przyrzekłam sobie, że poczekam, aż los sam zdecyduje o dalszym rozwoju wydarzeń. Była to dla mnie zupełna nowość.

W drodze do pracy moje nowe ja zadzwoniło do Violet, nie po to, by drażnić temat, lecz by porozmawiać.

- Dzień dobry, Claudine - odpowiedziała radośnie na moje powitanie. - Co u was? Dotarliście bezpiecznie do domu, jak sądzę.

- Tak, ciociu Violet. - Nowością, miłą nowością, była dla mnie rozmowa telefoniczna

z własną ciocią. Dotychczas mogłam dzwonić jedynie do ciotki Boba, Louise. - Wszystko w porządku, dziękuję. Mamy wspaniałą pogodę.

- My też. Mam zamiar zjeść lunch w ogrodzie. Rozmawialiśmy o błahostkach przez kilka minut.

W końcu stało się jasne, że obie unikamy tego, co zostało powiedziane wcześniej. Muszę jednak przyznać, że z największym trudem udało mi się przezwyciężyć własną naturę i nie zadawać pytań. Skończyłyśmy jednak rozmowę, a ja zaprosiłam Violet, by „kiedyś” nas odwiedziła.

- Z przyjemnością, Claudine - i rozłączyłyśmy się, obiecując pozostać w kontakcie.

Jest pora lunchu, a ja wróciłam do domu, częściowo dlatego, że nie mam umówionych spotkań z klientami, a częściowo dlatego, że z niecierpliwością czekam na chwilę, gdy zdejmę nowe pantofle, które obtarły mi stopy podczas dzisiejszej prezentacji. Nogi bolą mnie tak bardzo, że zrzucam buty jeszcze przed włożeniem klucza do zamka. Nie podnoszę ich, niech odpokutują swoje grzechy. Rzucam papiery na stół w holu i mój wzrok pada na telefon. Miga lampka poczty głosowej. Usiłuję ją zignorować. Pewnie ktoś chce mi sprzedać tanie usługi telefoniczne lub zawiadomić, że wygrałam rejs po Karaibach...

Wchodzę do kuchni włączyć czajnik i czuję, że dłużej już nie wytrzymam.

Dwie minuty po odsłuchaniu wiadomości siedzę i gapię się na telefon, konfrontując to, jak powinnam postąpić, z tym, co mam ochotę zrobić. Moje nowe ja podpowiada, żeby zaczekać do wieczora i porozmawiać z Bobem. A stare ja kusi: „działaj natychmiast”. Jeden z ośrodków zdrowia dzwoni w sprawie Colmana Quinna. Pielęgniarka środowiskowa chciałaby ze mną porozmawiać i zostawiła swój numer. Telefonująca osoba podała właśnie to imię i nazwisko: Colman Quinn. Mój włóczęga jest więc na pewno Coleyem z opowieści Violet.

Trudna decyzja.

Postanawiam zjeść lunch i się zastanowić.

W połowie jednak przerywam i telefonuję.

- Dobrze, że pani dzwoni - odpowiada pielęgniarka, słysząc moje nazwisko. - Czy jest pani krewną Colmana?

- Nie. - Nie uważam za stosowne wdawać się w rozmowę na temat odnalezionej krewnej i naszych spraw rodzinnych.

- Dlaczego więc pani go szuka? - Ta kobieta, sądząc po akcencie pochodząca z północy, jest bardzo konkretna.

- Prawie go nie znam. Poznałam go w Whitecliff, miejscu, gdzie... rozbił obóz. Martwiłam się, że jakby... zniknął.

- Rozumiem. Cóż, to, co się stało, to najwyraźniej ręka opatrności.

Zabraliśmy wszystkie jego rzeczy. Leżą sobie bezpiecznie u nas, dopóki nie zdecyduje, co chce zostawić, a co można wyrzucić. Gdyby mnie ktoś pytał o zdanie, większość z tego powinna trafić na śmietnik...

Okazuje się, że Coley jest w szpitalu, lecz można go już wypisać. Pielęgniarka opowiada, że przechodził przez dziurę w murze granicznym podczas ulewnego deszczu i poślizgnął się na mokrym mchu. Upadł i choć udało mu się usiąść, nie był już w stanie się podnieść.

- Na szczęście - dodaje kobieta energicznym tonem - upadł na drogę, a nie za mur, bo wtedy znaleziono by go znacznie później i nie wiadomo, co by się mogło stać.

- Czy złamał nogę, miał zawał albo coś w tym stylu? I kto go znalazł?

- Jakiś mężczyzna wyprowadzał psa na spacer. Colman nie ma żadnych złamań, skrzywił jednak kostkę prawej nogi i nie bardzo może chodzić. Jest silny, więc prawdopodobnie wyzdrowieje i to całkiem niedługo. Kiedy już do nas trafił, zatrzymaliśmy go na kilka dni, żeby go dokładnie przebadać. Jak na mężczyznę w tym wieku jest w świetnym stanie.

- Kto zlikwidował jego obozowisko? Przecież...

- Nie możemy tego tolerować - przerywa mi pielęgniarka, a potem szybko przedstawia plan władz. Zwolniło się mieszkanie socjalne. - Udało mi się zdobyć je dla niego. Będzie się musiał odrobinę dostosować po tak długiej niezależności i wolności, lecz chcemy mu zapewnić schronienie przed nadejściem zimy.

- A on się na to zgodził?

Przypomniałam sobie, jak ten starszy człowiek upierał się, że chce resztę swoich dni przeżyć na ziemi należącej do Whitecliff. Mam też świadomość ironii swego pytania. Zanim dowiedziałam się tego, co wiem teraz, myślałam tak samo jak ta pielęgniarka.

- Kiedy go poznałam, twierdził, że chce resztę życia spędzić właśnie tam.

- Wymagało to pewnej perswazji - odpowiada kobieta - lecz przejdźmy teraz do bardziej istotnych spraw. To mieszkanie trzeba wyremontować, zanim Colman będzie mógł się

tam wprowadzić, lecz co z nim zrobić w tym czasie? Jak już pani zapewne wie, schroniska i domy spokojnej starości są tak zapełnione, że nie udało mi się tam nic znaleźć. Colman Quinn zajmuje łóżko dla pacjentów wymagających szczególnej opieki i musimy go stamtąd przenieść. Jak twierdzi, nie ma żyjących krewnych, którzy mogliby go zabrać do siebie.

- Pewnie to prawda. - Przypominam sobie wzmiankę o krewnych, których groby rozsiane są po całym świecie.

- O rety. To prawdziwy problem. Przyjaciele? Ktoś, kto mógłby się nim zająć. To przecież tylko kilka tygodni.

Pamiętam groźby Coleya, że spakuje manatki i pojedzie do przyjaciół „za morze”, lecz to były zapewne jedynie puste słowa.

- Nic mi o nich nie wiadomo.

Pielęgniarka wzdycha. Słyszę szelest odwracanych stron. Ton głosu wskazuje wyraźnie, że kobieta mówi do siebie.

- Ten cholerny system... To tylko skrócenie... Nie jest to najlepszy pomysł, lecz chyba moglibyśmy spróbować umieścić go w lokalu tymczasowym.

- Przez parę tygodni może pomieszkać u nas.

Wypowiadam te słowa, zanim udaje mi się je powstrzymać. Wizja tego dziko niezależnego starca, którego dachem od wielu lat było bezkresne niebo, a który ma teraz zostać upchnięty w jakimś zatłoczonym domu komunalnym w centrum miasta, tuż obok bandy wrzeszczących dzieciaków, bezdomnych narkomanów i oszołomionych poszukiwaczy schronienia, jest zdecydowanie zbyt przytłaczająca.

- Wspaniale - odpowiada pielęgniarka. A zaraz potem, zapewne bojąc się, że wycofam ofertę, jeśli tylko będę miała choćby cień szansy, dodaje: - Chwileczkę, Claudine. Pani Claudine, prawda? Poczekaj pani małą chwileczkę, a ja sprawdzę, jak wygląda sytuacja na oddziale, dobrze? Zapewnimy transport, oczywiście, i wyślemy kogoś, żeby nie musiała pani przyjeżdżać do szpitala. Sama pójde sprawdzic, jak się czuje. I spróbuję wypożyczyć wózek inwalidzki. Są na wagę złota. - Rozłącza się.

Wózek? Ta moja impulsywność. Co ja narobiłam? Ale przecież ten biedny człowiek musi gdzieś mieszkać.

- Przepraszam, Claudine, nie udało mi się dodzwonić tam, gdzie chciałam, wróć za moment... - mówi pielęgniarka po chwili. - Jeszcze chwileczkę, dobrze?

- Dobrze. Znowu się rozłącza.

Będę potrzebowała trochę wolnego, aby móc zaopiekować się tym biedakiem. Zastanawiam się, jak na to zareaguje Bob.

Bob. Na myśl o nim przez moją głowę przetacza się fala niepokoju. Dostrzegam jednak, że przynajmniej w tej chwili nie rozpaczam nad niewiernością męża. Moje nowe ja wtrąca swoje trzy grosze: „Czy to możliwe, Claudine Armstrong, że gdzieś w głębi duszy masz poczucie winy?”.

Wracam myślami do rozmowy, jaką przeprowadziłam sama ze sobą wieczorem po wizycie ciotki Louise. Pamiętam, że wątpliwości dotyczące naszego małżeństwa tuszowałam energią potrzebną do przekonania męża do zmiany domu. I teraz niechętnie muszę przyznać, że wątpliwości te dopadły mnie znowu niczym zmartwychwstały Łazarz.

Wczuwam się w jego sytuację. Być może kochanka go adorowała, siedziała u jego stóp i pochlebstwami poprawiała mu samopoczucie? Kiedy robiłam to po raz ostatni? I choć nie życzyłabym nikomu, by jego małżeństwem wstrząsnęły wydarzenia równie gwałtowne jak w moim wypadku, jednak nadeszły one w samą porę. Muszę się zastanowić nad tym, że uznałam obecność Boba przy mnie za pewnik. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy o nas? Kiedy pytałam o jego uczucia?

- Claudine? Jesteśmy gotowi... - Pielęgniarka wróciła i przedstawia mi swój plan. Truchleję. Zaproponowałam już jednak pomoc i nie mogę się wycofać. Co najdziwniejsze, moje stare i nowe ja zgodnie twierdzą, że bez względu na podświadome motywy mego działania ta propozycja jest aktem miłosierdzia.

Nie będzie łatwo. Nigdy nie miałam bliskiego kontaktu ze starszymi ludźmi, poza klientami rzecz jasna, a już z całą pewnością nie musiałam się nimi opiekować. Szczerze mówiąc, ciągle słyszę, jak pielęgniarze narzekają na swój los, i zawsze im współczułam, lecz do tej pory współczucie to było czysto teoretyczne.

Dopiero kiedy pod mój dom podjeżdża taksówka i widzę na tylnym siedzeniu siwą głowę Coleya oraz linkę przytrzymującą bagażnik niedomknięty z powodu wózka inwalidzkiego, zdaję sobie sprawę, jak niefrasobliwe wiodłam życie.

Dziękując opatrności, że rozwiązanie to jest jedynie tymczasowe - pielęgniarka zapewniła mnie przecież, że to szczególna sytuacja i Coley zostanie możliwie najszybciej przeniesiony do nowego lokum - rzucam się otwierać drzwi taksówki. Podaję swemu go-

ściowi dłoń.

- Witam pana.

- Ja również - odpowiada słabym głosem. Głosem starego człowieka.

To nie ten sam Pat, którego poznałam: silny, zwinny i z uporem znoszący niewygodę. Od naszego poprzedniego spotkania jakby się postarzał, nawet skurczył. Oczy ma mętne i bez wyrazu, skórę ziemistą, ale być może zawdzięcza ona swój odcień naprawdę okropnemu, wyświechtanemu szlafrokowi, w który go ubrano. Kiedyś było to białe frotté, lecz teraz materiał jest wytarty i poszarzały jak stara ścierka do podłogi. Widać wypisane niebieskim tuszem wyblakłe litery - „St. Mary's”. Pokryte siatką żył nogi Coleya są gołe, prawa kostka ściśle owinięta. Na prawym policzku mężczyzna ma wyraźny siniak. Włosy porządnie mu uczesano i to właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, pokazuje, jak wiele się w nim zmieniło.

- Dzień dobry! - Pomocnica pielęgniarki radośnie ogłasza swą obecność. Jednocześnie kierowca taksówki odpina linkę i wyjmuje wózek, ja zaś stoję równie użyteczna jak dodatkowy kciuk i gapię się na kobietę, która pomaga Coleyowi przenieść kościste nogi na bok, tak by usiadł plecami do wnętrza.

- To wspomniała, silny mężczyzna. Prawda, skarbie? - mówi mu wprost do ucha, podnosząc przy tym głos, zupełnie jakby był dzieckiem lub miał problemy ze słuchem. - Odpocznij sobie pan teraz w domu swojej przyjaciółki i niedługo wszystko będzie w porządku.

A potem wraz z taksówkarzem, który najwyraźniej robił to już niejednokrotnie, przenosi Coleya na wózek, przy niewielkiej pomocy ze strony swego podopiecznego.

Patrzę na to z przerażeniem. Coley przyjął te wszystkie zabiegi bez mrugnięcia okiem. Pamiętam go jako upartego mężczyznę, który dziarsko i pewnie wymachiwał nożem ogrodniczym, a teraz zachowuje się biernie jak szmaciana lalka. Jak sobie z nim sama poradzę? Pomocnica pielęgniarki rozumie moje obawy.

- Jest teraz półprzytomny. Dostał dużo środków przeciwbólowych. - Udaje, że wrzuca je do ust. - Pewnie prześpi resztę dnia. Ale nie jest z nim źle. Recepty. - Podaje mi dwie recepty i białą papierową torbę pełną buteleczek z lekarstwami. - Tu są zalecenia. Następną dawkę około szóstej, siódmej wieczorem, dobrze? I jego rzeczy.

Sięga do bagażnika i wyjmuje jeszcze jedną, tym razem większą papierową torbę. Podaje mi ją i czeka.

- Wszystko w porządku? - pyta zdezorientowana. - Wejdziemy do środka?

- Jak długo może pani zostać? - Patrzę z obawą na taksówkarza, który już wsiada do samochodu, a potem znowu na starszego człowieka, któremu opadają powieki i chwieje się głowa.

- Spokojnie. - Kobieta nie traci dobrego humoru. - Zostanę piętnaście minut. Mnóstwo czasu. - Zerka na fasadę domu. - Urocze miejsce! - A potem ponownie pochyla się nad uchem Coleya i prawie krzyczy: - Ale z pana szczęściarz!

Chwyta rączki wózka i popycha go w kierunku otwartych drzwi, po czym bez trudu pokonuje niewielki schodek.

Pielęgniarka środowiskowa uprzedziła mnie, że mój gość nie poradzi sobie jeszcze ze schodami, więc po wejściu do domu kieruję kobietę do przygotowanej sypialni na parterze. Powlokłam świeżą pościel, wyszorowałam łazienkę i otworzyłam okna, żeby wszystko przewietrzyć. Tuż przed naszym wejściem do pokoju słyszę, że w holu dzwoni telefon.

- Przepraszam, muszę odebrać.

- Spokojnie, skarbie. - Pomocnica idzie w stronę drzwi.

Dzwoni klientka przysłana przez Tommy'ego. Rozstaje się z mężem i szuka czegoś w pobliżu Skerries. Nie może być droższe niż dwieście tysięcy. Przeglądam listę i udaje mi się znaleźć nieruchomość za sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące funtów. Jest oddalona od miasta około półtora kilometra i nie prezentuje się najlepiej, lecz można ją doprowadzić do porządku. Umawiam się z klientką na jutro. Jednocześnie patrzę, jak Coley zostaje wwieziony do swego królestwa. Jak zareagowałyby moja ciocia, kobieta tak energiczna i elegancka, na widok tego wątłego i osłabionego mężczyzny?

Wpadłam po uszy. Powinnam była posłuchać Boba i nie mieszać się w nie swoje sprawy.

Zmiana stanowiska

Wystrój pokoju, w którym umieściłam Coleya Quinna, wydaje się rażąco nieodpowiedni dla mężczyzny. Nasz dom jest w większości pomalowany na nowoczesne, neutralne kolory, lecz kiedyś spędziliśmy z Bobem weekend w jednym z hoteli sieci Hidden Ireland i pod jego wpływem wykleiłam jedną z sypialni tapetą malowaną w zielone listki i pączki kwiatów. Również kapa na łóżko i zasłony są w kwiatki. Leży tu mnóstwo poduszek, a dywan ma kolor różowy: jest cudowny, jeśli ktoś lubi motywy angielskich ogrodów. Myślałam, że to będzie kiedyś pokój Louise, jeśli zdecyduje się z nami zamieszkać, i wstawiłam tam telewizor oraz fotel z wysokim oparciem, obity aksamitną różową tkaniną - podobne można spotkać w szpitalach. Jednak poza tym kobiecym wystrojem pod innymi względami dla obecnego lokatora jest to zdecydowanie najlepszy pokój w całym domu. Poprzedni właściciele mieli niepełnosprawnego syna, więc w drzwiach do pokoju i łazienki bez trudu mieści się wózek.

Popołudnie upłynęło mi na niespokojnych próbach skoncentrowania się na tekście dla OHPC, przerywanych nasłuchiwaniami, czy mój pacjent się już obudził. Kiedy wraz z pomocnicą („Wspaniały pokój - śliczna pościel! Ach!”) umieściliśmy go na łóżku, dałam mu niewielki porcelanowy dzwonek i zachęciłam, by go używał, kiedy tylko będzie czegoś potrzebował. Był tak senny, że natychmiast zamknął oczy, i nie wiem, czy zapamiętał moje słowa. Ponieważ więc nasłuchiwałam dźwięku dzwonka i co pół godziny na palcach wchodziłam sprawdzić, czy Coley nadal śpi, w ogóle nie mogłam się skupić i jeden akapit tekstu musiałam czytać wiele razy, bo nie mogłam uchwycić sensu. Muszę przyznać, iż Tommy spokojnie przyjął moje oświadczenie, że znowu potrzebuję trochę wolnego.

- Dobrze, dobrze - powiedział. - Tylko nie wyłączaj telefonu.

W lecie i tak w naszej branży jest zastój, więc nie czułam się za bardzo winna.

Jest już szósta. Za godzinę ma wrócić Bob, powinnam więc obudzić naszego gościa i zanieść mu coś do jedzenia. Poza tym musi przecież dostać lekarstwa.

Leży na plecach i cicho pochrapuje z otwartymi ustami. Widocznie było mu za ciepło,

gdyż się odkrył. Od góry ubrany jest w granatową piżamę, którą kobieta wyjęła z brązowej torby. Nie obudził się nawet wtedy, gdy na stoliku obok łóżka zostawiłam niewielką tacę z herbatą i tostem oraz szklankę wody i dwie tabletki przeciwbólowe. Uznałam, że to właśnie powinnam mu dać.

Patrzę teraz na niego z góry - dostrzegam wystające kości policzkowe w pomarszczonej, pooranej twarzy. Widać na niej przeżyte trudy i, przynajmniej we śnie, bezbronność. W Violet udało mi się zobaczyć ją samą w wieku lat szesnastu. W nim również dostrzegam przystojnego młodzieńca. Ich dziecko musiało wyrosnąć na kobietę o oszałamiającej urodzie. Być może nadal jest piękna, pomimo że dobiega już sześćdziesiątki.

A jeśli zadzwoni ciocia? Czy mogłabym dać jej do telefonu naszego gościa? O Boże!

Nie tylko Bob ostrzega mnie stale przed moją impulsywnością. Tata również powtarzał, że ta cecha kiedyś wpędzi mnie w prawdziwe kłopoty. Cóż, właśnie stoję w obliczu poważnych problemów. I pytam się bez zastanowienia, jak zwykle w trudnych chwilach, jak tata by sobie z tym poradził.

Ze zdumieniem odkrywam, że nie mam pojęcia. Przez całe moje życie uzyskiwałam bezzwłoczną odpowiedź na takie pytania. Szorstki głos taty towarzyszy mi niemal bez przerwy, lecz tym razem go nie słyszę. Głos zamilkł. Wiem, że już się nie pojawi. Jestem sama. Jestem dorosła. Na czoło wypływa mi pot, mam wrażenie, że się duszę.

Pokój znajduje się od frontu i teraz skąpany jest w promieniach zachodzącego słońca. Otwieram na oścież okna i wdycham świeże powietrze, zmuszając się do skupienia myśli na jedwabistym blasku trawy i niesfornym pęku niecierpków na klombie. Pamela ich nie znosiła. Może właśnie dlatego sadzę je co roku.

Dlaczego właśnie ona pojawiła się w moich myślach?

Jeszcze bardziej zaskakujące jest to, że nie staram się jej oceniać. Po raz pierwszy zastanawiam się, jak trudne musiało być dla niej życie poza szanćcami, które wznieśliśmy wraz z tatą wokół siebie. Przecież się starała, choć nigdy jej na to nie pozwoliłam, zastąpić mi matkę. Na początku przychodziła poczytać mi na dobranoc, lecz na jej widok natychmiast gasiłam światło. Ponawiała próby przez jakiś czas, a potem dała spokój.

Tuż przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami podarowała mi niewielką broszkę z diamentem i akwamarynem, która należała niegdyś do jej babci.

- Będzie wspaniale wyglądała przy twojej sukience, Claudine.

Nie założyłam jej i podkreśliłam to jeszcze taniutką broszką z konikiem podarowaną przez kogoś przyjaciół. A kiedy dwa dni później musiałam, dla zachowania pozorów, siedzieć obok Pameli na stypie po śmierci taty, wylałam na moją macochę cały gniew i żal, a przecież ona również zapewne była pogrążona w rozpacz. Wtedy się nad tym jednak nie zastanawiałam. Moje postęпки w młodości, którym nigdy wcześniej nie poświęcałam uwagi, są naprawdę okropne. Jak ta kobieta ze mną wytrzymała? To właśnie ona chwyciła tatę w ramiona, kiedy dostał zawału, zaledwie chwilę wcześniej zaprowadziwszy ją na parkiet. Co wtedy czuła?

Moje stare ja nie daje się całkiem odsunąć: A sprawa spadku?

Nie da się pracować w branży nieruchomości, nie zdając sobie sprawy z tego, że testamenty i zapisy są nieustannym źródłem waśni nawet w najmiłszych, najbardziej rozsądnych rodzinach. Moje niezmordowane nowe ja przypomina, że tata był rzutkim biznesmem. Kiedy poznał Pamelę, miał już przecież swoje lata. Rozpoznałby chyba łowczynię pieniędzy. Pojawia się podstępna myśl: może podobnie jak niewierność Boba, sprawa podziału majątku taty również ma drugie dno?

I teraz dzieje się ze mną coś dziwnego. Nie słyszę głosu taty, lecz zaledwie jeden przebłysk toku jego myślenia pozwala rozproszyć gorycz, dotychczas równie kłującą jak jeżyny wokół Whitecliff. Pracowicie oplatałam nią wszystkie wspomnienia związane z macochą. Przecież Pamela mieszkała z moim tatą i musiała znosić sytuację, że to ja, a nie ona, rządziłam naszym życiem przez siedemnaście lat. Należało jej się zadośćuczynienie. Być może byłaby bardziej szczodra wobec mnie, gdybym od początku nie uparła się iść do sądu.

Jeśli zaś chodzi o tatę, będę musiała, choć nie bez trudu, zaakceptować fakt, że nie był nieskazitelny święty, którego obraz sobie stworzyłam. Mógł ułatwić życie swojej żonie, lecz tego nie zrobił. Zawsze stawał po mojej stronie i mnie rozpieszczał. Kolejny raz przypominam sobie, jak Violet wspomniała o jego uporze i, choć niechętnie, przyznaję, że to prawdopodobne. Ze względu na mnie, pomimo chłodu okazywanego mu przez moich dziadków, mógł schować dumę do kieszeni i postarać się nawiązać kontakt z rodziną mojej mamy, a nie zrobił tego.

Po jego śmierci wygodnie mi było ignorować czy też odrzucać kilka innych niezbyt miłych cech: Violet wspomniała o wybuchowym charakterze mojego ojca; o tym, że irytacja z powodu drobiazgu mogła bez ostrzeżenia przerodzić się w prawdziwą burzę. To również

trzeba było wziąć pod uwagę. Nigdy nie musiałam ponosić skutków jego gwałtowności, a kiedy byłam świadkiem takiego wybuchu, z triumfem stwierdzałam, że Pamela musiała go sprowokować.

Zmiana ustalonych (nawet jeśli nieprawdziwych) poglądów byłaby trudna dla każdego, więc i dla mnie przemiana wizerunku i wspomnień o osobie, która stanowiła fundament mojego dotychczasowego życia, która dyktowała, co mam robić, jest prawdziwą torturą. Za dużo wrażeń naraz. Zastanowię się nad tym kiedy indziej. Przyrzekam. Teraz mam co robić. Zerkam na zegarek. Muszę obudzić Coleya Quinna. Śpi już ponad cztery i pół godziny.

Ale czy nie powinnam go zostawić w spokoju? Sen to najlepszy lekarz...

Przestań, Claudine. Odwlekasz tę chwilę, bo nie wiesz, co robić.

Wiem. Herbata całkiem mu wystygnie. Podchodzę i delikatnie potrząsam jego ramieniem.

Otwiera oczy, a po zaskoczonyj minie mężczyzny widzę, że początkowo nie ma pojęcia, gdzie się znajduje ani kim ja jestem.

- Witaj, Colman. Jestem Claudine. Pamięta pan? Przyjechał pan ze szpitala, aby tu zostać parę dni.

Widzę, że sobie przypomina i próbuje usiąść, lecz najwyraźniej uraził bolącą kostkę, więc krzywi się z bólu i opada na poduszkę.

- Powoli. Pomogę panu.

Po raz pierwszy w ten sposób komuś pomagam. Wsuwam mu rękę pod plecy, podnoszę go, a przy tym drugą ręką podkładam dodatkowe poduszki, aby mógł pólsiedzieć.

- Pora wziąć tabletki. - Słyszę, że mój ton małpuje głośny, radosny głos pomocnicy pielęgniarki. - Zrobiłam tosty i herbatę. Jest pan głodny?

- Dziękuję.

Spał na tyle długo, że mgła zniknęła, a głos przypomina ten, który słyszałam w Whitecliff.

- Koniec z tabletkami. - Podciąga się wyżej. - I dziękuję za łóżko. Przepraszam, że panią w to wciągnęli. Nie zostanę tu długo. Tylko na jedną noc, jeśli to nie problem, a jutro będzie mnie pani miała z głowy.

- Proszę się nie spieszyć. Mieszkanie będzie gotowe najwcześniej za dziesięć dni, tak przynajmniej twierdzą.

- Pffff - prycha szyderczo. - Nie będzie żadnego mieszkania.

Przemiana tego słabego, oszołomionego staruszka jest zadziwiająca. Poza tym, że odczuwa ból i nie może wstać, jest teraz sobą i nie muszę już koło niego chodzić na paluszkach.

- Muszę skorzystać z ubikacji. - Patrzy przy tym w stronę drzwi. - Gdzie ona jest?

- Tam, za białymi drzwiami. - Wskazuję wejście do łazienki. - Przyprawdę wózek.

- Żadnego wózka. - Zsuwa się z łóżka i wspierając się na nim, skacze w kierunku łazienki.

Kiedy zamyka za sobą drzwi, zdaję sobie sprawę, że powinnam koniecznie zadzwonić do Boba. Pewnie jest już w drodze do domu, lecz ma w samochodzie zestaw słuchawkowy, więc może swobodnie rozmawiać.

Dzwonię z holu. Słyszę, że Bob ma dobry humor, więc bez ogródek walę prosto z mostu.

- Cześć, to ja. Nie mogę mówić głośniej. Wiem, że uważasz mnie za wstrętną wścibską...

- Dobry wieczór, Cee.

- Ale to nie moja wina...

- Co nie twoja wina?

- Cóż, mamy kogoś w domu, ale ja wcale o to nie prosiłam, Bob, to się po prostu jakby... stało...

Pan na drogach

Trzeba przyznać, że kiedy Bob dociera do domu, jest już najwyraźniej pogodzony z obecnością naszego niespodziewanego gościa i poza paroma smętnymi kiwnięciami głową nie wyraża swego niezadowolenia.

Przeogląda pocztę, a potem idzie do pokoju Coleya przedstawić się i porozmawiać. Zostawiam ich samych, przekonana, że moja obecność tylko wszystko skomplikuje. Odkurzam korytarz w pobliżu pokoju, kiedy mój mąż stamtąd wychodzi z tacą w ręce.

- I jak? Jak ci się podoba?

- Miałaś rację, że jest niezależny. - Bob zamyka drzwi. - Upiera się, że opuści nas jutro, lecz to bzdura. Nie podjąłem tematu, to nie czas na to. Przyznał się, że jest głodny, więc obiecałem, że przyniesiesz mu kanapkę z wędliną albo coś takiego, a tymczasem włączyłem telewizor. Chyba nie oglądał telewizji od lat i musiałem mu pokazać, jak posługiwać się pilotem. Teraz siedzi i skacze po kanałach.

- Dzięki, Bob. - Chcę go przytulić, lecz przypominam sobie, dlaczego nie powinnam tego robić. Dotykam więc jedynie jego ramienia.

- Wiem, że nie należało stawiać cię przed faktem dokonanym. Bardzo jesteś dobry.

- Z całą pewnością zostanę świętym! - A potem z szerokim uśmiechem dodaje: - Nie musisz potakiwać.

Pół godziny później, kiedy mój pacjent dostał już kanapkę z wędliną, stoję przy jego łóżku ze zniechęconymi tabletkami w jednej ręce i wodą w drugiej.

- Pewnie pana boli i chciałby pan pospać.

- Bywało gorzej. - Oczy mu uciekają w stronę ekranu telewizora, gdzie mieszkańcy domu Big Brothera siedzą wokół rześcicie oświetlonego stawu. - I wyspałem się już.

- Wobec tego jeśli nic panu nie potrzeba, do zobaczenia rano, co?

Nie odpowiada, a kiedy mówię mu dobranoc, nie słyszy.

Następny dzień jest burzowy. Przy takiej pogodzie mam nieodpartą ochotę wskoczyć pod kołdrę i zapomnieć o całym świecie. Kiedy jednak zanoszę śniadanie Colmanowi, on,

całkiem rozbudzony, siedzi już na łóżku z pilotem w dłoni. Na ekranie kamery w domu Wielkiego Brata pokazują na zmianę kuchnię, w której dwaj uczestnicy kłócą się o resztki chleba, oraz ciemne, jakby zamglone sypialnie, gdzie jeszcze śpią pozostali.

- Dzień dobry, panie Coleyu, czy dobrze się panu spało? Niechętnie odwraca wzrok od ekranu.

- Tak, dziękuję.

Kładę mu na kolanach tacę ze śniadaniem.

- Pamiętam, że lubi pan płatki kukurydziane. Pozwoliłam sobie jednak zrobić panu również jajecznicę na toście. Może być?

- Dzięki.

Ponownie sięga po pilota i boję się, że zamierza zwiększyć głośność, a tym samym wygonić mnie z pokoju. Wyłącza jednak telewizor i patrzy na mnie oczami równie czystymi jak podczas tamtej rozmowy w Whitecliff.

- Wiem, kim pani jest.

- Co?

- Kiedy pojawiła się pani przy murze, zorientowałem się, że kogoś mi pani przypomina. Ale przypomniałem sobie, dopiero kiedy wymieniła pani nazwisko Chrisa Magennisa.

- I nic pan nie powiedział?

- Sądziłem, że pani wie. Dlaczego zabrała mnie pani do siebie?

Wyjaśniam, że pojechałam do Whitecliff, ale jego już tam nie było.

- Martwiłam się o pana. Zaczęłam szukać, to wszystko. Chyba nie mieli co z panem zrobić. To naprawdę nic wielkiego. Przecież nie mogłam pozwolić, żeby zostawili pana przy drodze, prawda? Każdy postąpiłby tak samo, a my z Bobem objamy się po tym wielkim domu tylko we dwoje.

Nalewam herbaty do stojącej na tacy filiżanki.

- Może mi pan wierzyć lub nie, lecz zaledwie parę dni temu dowiedziałam się o swoich związkach z właścicielami Whitecliff. Pamięta pan naszą rozmowę o plotkach i legendach związanych z tym domem? Powtarzałam jedynie historie, które udało mi się usłyszeć.

- Jak więc się pani dowiedziała? - Wyraz jego twarzy jest sceptyczny jak zwykle.

Przyciągam wysoki babciny fotel, tak by usiąść na wprost łóżka, żeby mógł na mnie patrzeć bez wykręcania głowy. Przez głowę przebiega mi myśl, że gdyby ten stary drań dał

tamtego popołudnia jakikolwiek znak, że mnie rozpoznaje, mogłabym się lepiej przygotować na spotkanie z ciotką. Wydaje mi się jednak, że mieliśmy zupełnie rozbieżne cele - ja chciałam zdobyć ten dom, on zaś pragnął chronić swoje terytorium.

- Jak się dowiedziałam? Nie było to trudne. Dowiedziałam się, że właściciele Whitecliff nazywali się Shine, gdyż to właśnie nazwisko widnieje na dokumentach dotyczących posiadłości. Moja matka nazywała się tak samo. Spędziłam kilka niezwykłych dni, poznając jej rodzinę.

Jestem z siebie dumna. Żadnych kłamstw, fragmenty historii, lecz same niepodważalne fakty.

- Wtedy pomyślał pan zapewne, że przysłałam powęszyć, gdyż chciałam zdobyć ten dom dla siebie.

- Oczywiście. Przecież panią rozpoznałem. Jak to się stało, że nie znała pani wcześniej rodziny matki?

- Dobre pytanie. Mama umarła przy porodzie, a jak już panu chyba mówiłam, mój tata miał własne powody, dla których nie powiedział mi za dużo o jej krewnych. Czy zaprowadził mnie pan do domu dlatego, że mnie pan rozpoznał?

- Dlaczego nie miałbym tego robić? Miała pani prawo.

- Kiedy powiedziałam, że przysłał mnie mój pracodawca, nie kłamałam. Pamięta pan, jak tłumaczyłam, że pracuję w firmie handlującej nieruchomościami?

- Pamiętam. - Przygląda mi się uważnie.

- Czy coś się stało, panie Colmanie?

- Nie, nic.

Choć z najwyższym trudem powstrzymuję się, by nie chwycić go za ramię i nie oznajmić, że moja ciocia żyje, moje nowe ja jest górą, więc postanawiam być ostrożna.

- O czym pan myśli?

- O mnie i Violet Shine w młodości. Była najmłodsza z rodzeństwa. Ona... - Zmienia zdanie. - Nie udało nam się.

- Rozumiem. - Usiłuję nie okazać emocji. - Czy dlatego zdecydował się pan zamieszkać na ich ziemi?

- Mniej więcej dziesięć lat temu dopadła mnie natrętna myśl, że może kiedyś przyjedzie obejrzeć dom, lecz nigdy tego nie zrobiła.

- Czy pan wie, gdzie ona teraz jest?

- Nie wiem - odpowiada ponuro. - Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

Czekam.

- Wróciłem z pogrzebu matki - ciągnie. - Zmarła w siedemdziesiątym roku. Pisaliśmy do siebie listy z Florrie i wiele lat wcześniej doniosła mi, że Violet Shine zniknęła bez śladu i krążą plotki o jej wyjeździe do Ameryki. Ale dopiero na pogrzebie mamy Florrie powiedziała mi, że siostra Violet, Johanna, wyprowadziła się z domu parę lat wcześniej i mieszka w West Cork.

- Wiedziała o tym?

Colman unosi brwi w zaskoczeniu.

- A dlaczego miała nie wiedzieć? Wszyscy w Rathlinney wiedzieli, że Johanna Shine wychodzi za mąż i wyjeżdża. Rathlinney była niewielką wioską, a w tamtych czasach to była ważna wiadomość. Florrie знаła nawet nazwę okręgu, w którym zamieszkała Johanna. Nigdy nie zapytałem skąd. - Milknie i widzę, że chce mi powiedzieć coś ważnego. Wydaje mi się, że wiem, co to będzie.

- Pojechał pan tam, prawda?

- Tak - odpowiada natychmiast. - Tak. Tylko raz. Wydawało mi się, że to może być jakiś ślad. Nie mogłem przecież iść do Dużego Domu na podwieczorek i zażądać, by rodzice Violet powiedzieli mi, gdzie ona jest, prawda? - Uśmiecha się blado.

- A co powiedziała panu Johanna?

- Powiedziała mi to, co wiedziała. - Spojrzenie jego oczu staje się jeszcze uważniejsze, a ja odkrywam, że gramy w skomplikowaną grę: oboje usiłujemy wybadać, jak dużo wie to drugie. Jestem lojalna wobec cioci, więc nie mogę odkryć kart. Jeszcze nie.

- Co więc powiedziała?

- Że Violet miała dziecko, dziewczynkę. I że adoptowali ją Amerykanie.

Ciężko mu o tym mówić i bardzo mu współczuję. Pragnę podzielić się z nim dobrymi wiadomościami. Lecz nie mogę, jeszcze nie mogę.

- Johanna nie powiedziała mi, co stało się potem z Violet. - Ucieka oczami na pościel, jakby coś sobie przypomniał. - Poza tym - znowu milknie na chwilę - poza tym, że właśnie dlatego Violet została wysłana do Ameryki.

- Ach tak? - Wstrzymuję oddech. - Czy poprosił pan o jej adres?

- Johanna jakby się bała powiedzieć mi coś więcej. Proszę pamiętać, że rodzice jeszcze żyli. Wtrącił się mąż Johanny. Potwierdził jej słowa. Powiedział - jeszcze bardziej opuszcza głowę - że Violet wychodzi tam za mąż.

O Boże, dobry Boże, następne tajemnice, myślę, modląc się przy tym, żeby udało mi się utrzymać język za zębami, a jednocześnie przysięgając sobie, bez względu na moje nowe ja, że nie każę temu biednemu człowiekowi długo trwać w nieświadomości.

- Tamci dwoje wiedzieli, kim jestem, rozumie pani - ciągnie ze spuszczoną głową Coley - i dlatego pytam. Jak sądzę, ten mężczyzna podejrzewał, że mogę nachodzić jego żonę, i chciał ją chronić. Chyba oboje myśleli, że pojedę do Violet i ściągnę kłopoty na całą rodzinę. Bali się rodziców, a Johanna zawsze była bardzo delikatna. Nie tak jak Violet - dodaje miękko. - Były zupełnie różne.

- Jak pan zareagował na te wiadomości?

- A co mogłem zrobić? Było już za późno, prawda? - Wzrusza ramionami, lecz nie widzę jego twarzy. - Wróciłem do Anglii. Nie miałem tu czego szukać.

- A co z pańską córką? - Usiłuję być możliwie najbardziej delikatna. - Nie próbował pan jej odnaleźć? To był rok... siedemdziesiąty? Musiała mieć wtedy ponad dwadzieścia lat...

- Nie próbowałem? - wybucha. - Co pani sobie myśli? Johanna Shine powiedziała mi, że to Willis zabrał dziecko i miał je oddać Amerykanom. A z tego, co zrozumiałem, to samo powiedzieli Violet. A więc przynajmniej jedna osoba spoza rodziny wiedziała o narodzinach mojej córki, gdyż doktor był tam owej nocy. Usiłowałem więc zdobyć jakieś informacje u źródła, u gnojówki raczej. - Ostatnie słowa wypowiada do siebie.

- Słucham?

- Ten lekarz! Pojechałem do tego cholernego doktora!

Coley, tak samo jak Violet, pograża się we własnej opowieści, a ja nie jestem pewna, czy powinnam tego słuchać.

- Usłyszałem, do diabła z nim, że nie ma go w domu, lecz nie dałem się zbyć. Jego żona nie chciała mnie wpuścić. Ale i tak wszedłem. Leżał w łóżku. Wyglądało na miękkie i wygodne, a on sam skurczył się do rozmiarów własnego cienia. Kiedyś jeździł do chorych na koniu lub powozikiem, pan na drogach, tak o sobie mówił. Ale jak go zobaczyłem tamtego dnia, daleko mu było do pana. Na mój widok natychmiast zaczął się bronić. „Nie mam

pieniędzy" - beczał jak przestraszona owca. Wziął mnie za włamywacza, który przyszedł go obrabować. A kiedy powiedziałem, kim jestem - Coley uśmiecha się kwaśno - przestraszył się jeszcze bardziej. Może i byłem wtedy trochę zdenerwowany, może nawet podпиты. Nie tykam teraz alkoholu, lecz wtedy mogłem wypić sporo. - Jego uśmiech robi się nieco nerwowy. - Usiadłem przy łóżku, niemal na samym doktorze, i powiedziałem prosto z mostu, że nie wyjdę, dopóki mi nie powie, co zrobił z moim dzieckiem. Chciałem dostać nazwiska i adresy. - Oddycha ciężko, usiłując się uspokoić. - Willis zmienił wiarę, a tacy jak on chyba bardziej boją się grzechu, a ponieważ wiedział, że umiera... może dlatego powiedział mi prawdę... sumienie, sama pani rozumie...

Milknie. W ciągu pięciu minut naszej rozmowy znikły mu z twarzy wszelkie kolory. Wygląda na wyczerpanego.

- Jeśli to dla pana za trudne... a poza tym jajka muszą być kompletnie zimne...

- Trudne? - pyta pogardliwie. - Kobieto, nie wie pani, co to trudności. Wie pani, co ten święty katolicki lekarz z nią zrobił? Z tym maleństwem?

Nie odzywam się. I tak nie udałoby mi się wtrącić ani słowa.

- Nie było żadnej adopcji do Ameryki. Ten zapchlony skunks wyjęczał, że „zgodnie z poleceniem” zabrał moje dziecko i o czwartej tej samej nocy zostawił ją przed drzwiami sierocińca z przypiętą karteczką. Potem zadzwonił do drzwi i uciekł.

Poskramianie nieposkromionych myśli

Jak bardzo chciałabym, by Johanna była przy mnie. Była tak mądra i z pewnością wiedziałaby, czy postępujemy słusznie. Wspaniale byłoby też razem podróżować. Wiedziałam, że teraz wszystko jest inne niż kiedyś, lecz nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak. Najbliższa stacja kolejowa znajduje się w odległości ponad stu trzydziestu kilometrów od domu Johanny, a ja ostatni raz jechałam pociągiem w latach czterdziestych, kiedy to sapiąca lokomotywa parowa ciągnęła wagony, a okna opuszczało się na paskach. Do przedziału wpadały ciepłe porywy powietrza pełnego sadzy i dymu.

Obecnie pociągi wydają się wygodniejsze, a z całą pewnością bardziej kolorowe. Siedzenia w wagonie są jednak bardzo blisko siebie, co daje dość klaustrofobiczne wrażenie. Brakuje mi też tego turkotu pod stopami. Pociąg mknie z zawrotną, lecz niewyczuwalną prędkością, a ja siedzę pośród plecaków i tanich toreb sportowych porzucanych byle jak wszędzie dookoła. Kiedyś przewożono opakowane w brązowy papier paczki, kosze i eleganckie skórkowe walizki ułożone na półkach pod sufitem. Wydaje mi się, że świat utracił coś wspaniałego. Może pierwsza klasa wygląda inaczej, lecz tu nawet nie można otworzyć okna, a tak trudno mi znieść zapach chrupanych przez moich sąsiadów chipsów o smaku sera i cebuli.

Nie chciałabym się wydać zbyt konserwatywna, całym sercem popieram postęp, a to jest z całą pewnością przygoda, która w innych okolicznościach sprawiłaby mi ogromną radość. Wszyscy starają się mi pomóc, wskazują właściwy kierunek i tłumaczą, co powinnam zrobić - to jedna z zalet starości. Teraz jednak jestem tak zdenerwowana, że zastanawiam się, czy nie wysiąść na następnej stacji i nie wrócić najbliższym pociągiem do domu. Przecież nikt się o tym nie dowie, a ja stracę jedynie trochę szacunku do siebie.

Moja decyzja o podróży pod osłoną ostatniej nocy wydawała mi się nadzwyczaj logiczna. Teraz jednak, im bliżej jestem miasta, tym bardziej się denerwuję. Ciągłe zmieniam zdanie - choć żołądek aż skręca mi się z podniecenia (oraz z zaskoczenia mą własną śmiałością), umysł informuje mnie, że działam nierozważnie.

Moja siostrzenica nie wie, że jestem w drodze do Dublina; szybko podjęłam tę decyzję, a kiedy usiłowałam się do nich dodzwonić dziś rano, telefon domowy był zajęty całe pół godziny, a w komórce od razu włączała się poczta głosowa, prosząc o pozostawienie wiadomości. Nie zrobiłam tego. Uznałam, że jeśli poczekam na telefon od Claudine, to opuści mnie cała odwaga. Odjedzie mi również pociąg.

Nie miałam pojęcia, jak zareaguje, lecz przecież jako nowoczesna kobieta z pewnością przyzwyczajona jest do niezapowiedzianych odwiedzin przyjaciół. Zaprosiła mnie do siebie i choć z początku chciałam skorzystać z jej uprzejmości, zmieniłam jednak zdanie i nie chcę jej się narzucać. Planuję zamieszkać w jakimś niewielkim, lecz przyjemnym pensjonacie w Dublinie.

Uważam, że przed kolejnym spotkaniem obydwie musimy się zastanowić nad tym, co się nam przytrafiło. Moja siostrzenica przez ponad czterdzieści lat żyła kompletnie nieświadoma tego, że istnieję, ja zaś nie usiłowałam jej odnaleźć. Teraz wszakże, kiedy nasze drogi się zetknęły i tylko czas pokaże, czy było to dobre czy nie, nie ma odwrotu. W moje życie, które dotychczas płynęło tak spokojnie, podczas naszej rozmowy w domu Johanny, a jeszcze bardziej po wyjeździe Claudine, wkroczyły nagle wzruszenia. Ubiegłej nocy, nie mogąc zasnąć w wiejskiej ciszy, doszłam do wniosku, że ze względu na te wszystkie zmiany nie jestem w stanie wrócić do swego odizolowanego, spokojnego świata - a jeśli ja jestem poruszona, to Claudine z całą pewnością dwa razy bardziej. Moje wyznania musiały spaść na nią jak grom z jasnego nieba. Mam obowiązek jej pomóc, prawda? Muszę wypełnić niektóre luki w jej wiedzy o matce, nawet jeśli moje możliwości w tym względzie są dość ograniczone.

Zadałam sobie pytanie, czy wykorzystuję Claudine jako usprawiedliwienie tej podróży. Odpowiedź brzmi „nie”. Jestem tu, ponieważ wzburzenie i niepokój wywołane wizytą siostrzenicy na nowo rozbudziły moje marzenia o córce i Coleyu Quinnie. Pragnienie poznania córki, zanim umrę, nie opuszczało mnie od dnia jej narodzin. W ostatnich latach się nasiliło, a jeśli to w ogóle możliwe, w ciągu tych kilku dni jego ogrom zapiera mi dech w piersiach.

Jeśli zaś chodzi o Coleya, od czasu naszego gwałtownego rozdzielenia myślałam o nim codziennie, odkrywając coraz to nowe pokłady miłości do niego. Z jego przyczyny w moim sercu pozostała krwawiąca rana - krótko przed śmiercią Johanna wyznała mi, że Co-

ley przyjechał mnie szukać u niej i Anthony'ego wiele lat wcześniej, lecz nie potrafiła przypomnieć sobie dokładnej daty. Obawiając się jego reakcji, bała się powiedzieć mu prawdę, a Anthony potwierdził historię o moim pobycie w Ameryce, dodając jeszcze coś, co musiało być dla Coleya ciosem, a mianowicie, że się tam zaręczyłam i zamierzam wyjść za mąż. Nigdy potem go już nie widzieli.

Czyniąc to wyznanie, była pogrążona w smutku i kiedy płakała w moich ramionach, ani przez chwilę nie czułam wobec niej nic poza współczuciem. Ponieważ, jak twierdziła, nie potrafiła sobie sama wybaczyć, błagała o to mnie, a ja bezzwłocznie i bez wahania spełniłam jej prośbę.

- Rachunki są więcej niż wyrównane, Johanno - pocieszałam ją, gdyż na widok jej żalu pękało mi serce. - Uratowaliście mnie wraz z Anthonym. Jesteś moją najdroższą ukochaną siostrą i przyjaciółką. I nie zamartwiaj się tak.

Nie potrafię jednak opisać, jakim ciosem była dla mnie ta wiadomość, i przez wiele dni ja również byłam przygnębiona: wydawało mi się to ostatnim aktem tragedii mojego życia, śmiercią nadziei. Nie mogłam powiedzieć siostrze, jak straszny wpływ miało na mnie jej wyznanie, gdyż z całej naszej rodziny jedynie Johanna była osobą naprawdę wierzącą, a ponieważ przygotowywała się na spotkanie Stwórcy (w taką właśnie ideę śmierci wierzyła), musiała być pewna, że wszystko w jej życiu zostało zakończone jak należy.

W późniejszych latach usiłowałam poskromić moje nieposkromione myśli o Coleyu, przypominając sobie bezustannie, że w moim wieku gorące pragnienie odnalezienia dawnej miłości byłoby absurdalne. Coley, którego kochałam, nie był przecież obecnym Coleym, podobnie zresztą jak Violet, którą się stałam (po takiej zmianie osobowości i wyglądu) nie przypominała dziewczyny, którą mu odebrano i którą sobie prawdopodobnie wyobraża. Tak więc, pomimo braku doświadczenia w tych sprawach, w przeblyskach rozsądku wiem, że moja nieustająca miłość do Coleya jest oszustwem; że uczucie do osoby, której nie ma, prawdopodobnie należy zostawić poetom. Co więcej, boję się, że nasze spotkanie mogłoby mieć opłakane skutki, więc lepiej chyba zostawić moje nieskazitelne słodko-gorzkie wspomnienia nieskażone.

Tak czy inaczej właściwie nie ma możliwości ponownego spotkania, więc pragnienie to jest całkowicie bezsensowne. A jednak wciąż mnie dręczy.

Od chwili pojawienia się Claudine Armstrong na progu mojego domu jestem przeko-

nana, że nadzieja jest nieustępliwym wojownikiem, który uparł się wypłoszyć mnie z ukrycia na obrzeżach Europy Zachodniej. Szczerze mówiąc, wizyta siostrzenicy i jej reakcja na moją opowieść ukazała mi wyraźnie, w jakiej bierności byłam pogrążona przez większą część swojego życia. Chociaż znajdowałam dla niej wytłumaczenie i jeżeli to wytłumaczenie rzeczywiście istniało, trzeba z tym skończyć. Nawet jeśli jest już zbyt późno, by cokolwiek osiągnąć, uparłam się, że już dłużej nie będę się zachowywać jak leniwiec, i dopóki wystarczy mi energii, wszystkimi siłami będę starała się zrobić to, co powinnam uczynić wiele lat temu.

Jeśli poproszę, bez wątpienia Claudine i jej mąż nie odmówią mi pomocy. Obydwoje z pewnością są bardzo zaradni. Nawet wtedy jednak może się zdarzyć, że poszukiwania mojej córki czy wiadomości o Coleyu nie przyniosą rezultatu, lecz będę mogła spocząć w grobie ze świadomością, że przynajmniej spróbowałam.

Boję się, że Claudine i jej mąż nie potrafią zrozumieć, dlaczego dotychczas nie zaczęłam szukać córki. Jedną z przyczyn jest zrozumiała nawet dla najbardziej przypadkowego obserwatora - kiedy mnie wypuszczono, byłam zaledwie na wpół ukształtowaną istotą ludzką o dojrzałym intelekcie, lecz całkiem zamrożonych uczuciach. Jak więc wyjaśniłam mojej siostrzenicy, doszłam do właściwych czy też niewłaściwych wniosków, że rozpoczynając te poszukiwania, zaspokoilibym jedynie własne pragnienia, a wprowadzanie zamętu w, jak wierzyłam, spokojne życie z dobrymi rodzicami, których uznawała za swoich, byłoby z mojej strony samolubne. Może psycholog powiedziałby mi, że to dorabianie sobie teorii bądź obawa przed odrzuceniem - teraz to i tak nie ma większego znaczenia. Nie będę dłużej skazywać się na tęsknotę za córką.

W moim sercu jest nadal niemowlęciem, lecz kiedy nie mogłam spać zeszłej nocy, pogodziłam się z faktem, że ma ona teraz blisko sześćdziesiąt lat.

Oczywiście znam jej wiek z dokładnością do kilku dni i na każde Boże Narodzenie zaznaczam jej urodziny. Ubiegłej nocy uświadomiłam sobie jednak coś ważnego: bez względu na popularnie głoszony pogląd, iż młodość może trwać do samej śmierci, i na te wszystkie slogany głoszące, że „czterdziestka to nowa trzydziestka” czy też „sześćdziesiątka to nowa pięćdziesiątka”, sześćdziesiąte urodziny to jednak data przełomowa. W tym wieku większość ludzi, poza nielicznymi wyjątkami, ma przed sobą mniej niż jedną trzecią życia.

Zarówno mojej córce, jak i mnie kończy się czas. „Kiedyś” zmieniło się w teraz, a po-

nieważ nieodwracalnie jest ona dorosłą kobietą, bez względu na swe wcześniejsze życie ma już prawdopodobnie własny pogląd na świat. Dlatego też, nawet jeśli ją zszokuję swoim pojawieniem się, niemal na pewno nie wyrządę jej krzywdy.

Tak więc siłą, która powstrzymuje mnie przed przesiadką do powrotnego pociągu, jest przekonanie, że największe szanse znalezienia śladu mojej córki bądź Coleya Quinna mam właśnie w tym mieście pełnym możliwości, w towarzystwie tej miłej pary, chętnej do pomocy. W pustym domu Johanny i Anthony'ego na półwyspie Béara jestem ich całkowicie pozbawiona.

40

Początek

Nie było Amerykanów? - W tle słyszę jęki i łomot maszyn. Bob odebrał telefon w warsztacie. - Ale dlaczego nic z tym nie zrobił, kiedy się już o tym dowiedział?

- Jak się już uspokoił, zapytałam go o to samo. Odpowiedź brzmiała całkiem logicznie. Nie miał pieniędzy ani pojęcia, jak się do tego zabrać. Z jego słów wynika również, że dawniej trochę za często zaglądał do butelki. Ale Bob, dlaczego twoim zdaniem moi dziadkowie zrobili coś takiego z maleńkim dzieckiem? Po tym, co mówiła ciocia, niemal rozumiem, dlaczego ją zamknęli, nawet jeśli było to straszne, ale dlaczego okłamali ją w sprawie adopcji? To przerażające!

- Któż to może wiedzieć? Ludzie mają różne motywy. Sądzę, że to jakaś pokręcona dobroć. Chcieli, żeby ich córka wierzyła, że jej dziecko czeka świetny los. Chcieli, żeby mogła dalej żyć.

- Dlaczego więc nie załatwili prawdziwej adopcji?

- To łatwiej zrozumieć, nawet jeśli jest okropne. Z całej jej opowieści wynika, że w tym domu pozory liczyły się najbardziej. Przypuszczam, że zrobili to z obawy, że dziecko się dowie, kim jest, i do nich wróci, a wtedy będzie skandal.

„Pokręcona dobroć”. Powtarzam to wyrażenie w myślach. Chyba można się tego ucześcić.

Słyszę dzwonek do drzwi.

- Muszę już iść, Bob. Zatelefonujesz do mnie, jak znajdziesz chwilkę?

Obiecuję, że tak, więc ruszam do drzwi.

- Mam nadzieję, że nie przyjechałam za wcześnie.

Na progu stoi, ociekając wodą, moja telefoniczna znajoma, pielęgniarka środowiskowa. Wiem, kim jest, gdyż rozpoznaję jej głos, choć wcale nie przypomina potężnej, apodyktycznej baby, którą sobie wyobraziłam na podstawie rozmowy przez telefon. Ta kobieta wygląda jak niewielki ptyś, jest okrągłutka i jasna. Ma około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu.

- Pomyślałam, że złapię panią przed pracą. - Strząsa wodę z parasolki, a potem patrzy na mnie. - Mieszkam niedaleko stąd, w Naul.

- Wspaniale! Proszę wejść. Nie przyszła pani zbyt wcześnie. - Przytrzymuję drzwi. - Ale dziś wiatr.

Po wymianie uwag o wstrętnej pogodzie, warunkach mieszkaniowych i drogach niszczących charakter naszego otoczenia, przez chwilę rozmawiamy w holu przed drzwiami pokoju Coleya. Informuję ją, że odmówił brania tabletek i wyraził chęć wyjazdu jeszcze dzisiaj.

- Dobrze. - Nie wydaje się tym przejęta. - Zaraz sprawdzimy.

Wręcza mi ręcznie wypisaną wizytówkę zawierającą jej imię (Rosemary cóstam, na C - ma okropny charakter pisma) i numer telefonu komórkowego na wypadek, gdybym chciała się z nią skontaktować. Potem prowadzę ją do pokoju Coleya i wycofuję się do kuchni, aby tam czekać na rozwój sytuacji, instrukcje czy cokolwiek innego.

- Fizycznie jest w doskonałej formie. - Pielęgniarka wpływa do kuchni mniej więcej kwadrans później. - Twardy jak stary but. Mam nadzieję, że nie okażę się zbyt pewna siebie, lecz chyba udało mi się przekonać go, żeby został tu jeszcze dzień czy dwa, jeśli to pani nie przeszkadza.

- W porządku. To żaden kłopot. Prawie nie odczuwamy jego obecności.

- Claudine, jest pani maleńką świętą. Zorganizujemy jakąś fizykoterapię na tę jego kostkę i proszę się nie obawiać, będzie pani mogła robić to, co normalnie. Ktoś go odbierze i przywiezie, tylko czy powierzy mu pani zapasowy klucz?

Nie waham się ani minuty. Nie mam cienia wątpliwości, że Coley Quinn jest uczci-

wym człowiekiem.

- Bez najmniejszej obawy.

- Wspaniale. Zrobię, co w mojej mocy, by przyspieszyć remont mieszkania. To najważniejsza sprawa ze względu na jego wiek i brak własnego kąta. Zdejmujemy go pani z głowy tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. I jeszcze jedno. Choć fizycznie jest w dobrej kondycji, martwi mnie jego nadmierne pobudzenie. Mówi, że to coś osobistego, ale się zastanawiam, czy nie należałoby ściągnąć tu lekarza. Może potrzebować łagodnego środka na uspokojenie. Tak się czasem zdarza - starsi ludzie przejmują się nawet drobiazgami.

Teraz ja się waham. Czy powinnam jej powiedzieć? Choć moje nowe ja zaleca dyskrecję, dawne ja krzyczy, że ta kobieta może nam pomóc. Zajmuje się w końcu ochroną zdrowia i chorymi ludźmi, więc zapewne każą jej robić rozmaite rzeczy.

- Proszę posłuchać, ja wiem, że on ma bardzo poważny powód do zmartwienia, ale to bardzo poufna sprawa i zastanawiam się, czy powinnam pani o tym mówić. Czasem wtrącam się bardziej niż trzeba w życie innych i robię prawdziwe zamieszanie. Mam przy tym jednak dobre zamiary - dodaję szybko, na wypadek gdyby zaczęła podejrzewać, że pragnę odgrywać jakąś ważną osobę.

- Proszę nie mówić, jeśli pani nie chce.

- Nie jestem pewna... Och, do licha, czy znajdzie pani czas na kawę czy herbatę?

- Zawsze. Na kawę. I cokolwiek mi pani powie, nie wyjdzie poza te ściany. Bóg jeden wie, że znam tyle tajemnic, iż wystarczyłoby ich na wypełnienie wszystkich magazynów Służby Bezpieczeństwa.

Zdejmuje płaszcz i siada na jednym z krzeseł.

Podczas całej opowieści nawet nie mruga. Skróciłam historię, pominęłam pokój na wieży - to byłoby za dużo i wcale nie jest to istotne dla sprawy. Mówię po prostu, że w czasach, gdy ciąża nastolatki była uważana za skandal, Violet po urodzeniu dziecka stała się jakby wyrzutkiem.

- Wiem, o czym pani mówi - odpowiada Rosemary energicznie. - To stara historia, prawda? Smutna sprawa. Dzięki Bogu, mamy teraz lepsze czasy, ale rozumiem, dlaczego pani ciotka nie zdecydowała się iść do domu matki i dziecka. I teraz dochodzą do nas nieciekawe wieści! - Podnosi do góry oczy. - Nic dziwnego, że biedny Colman jest trochę drażliwy. Czy chce mi pani dać do zrozumienia, że on i pani ciotka mają zamiar odnaleźć to

dziecko po tylu latach? Proszę się nie martwić. Nie znają nawzajem swoich losów... rozumiem, jaka to delikatna sprawa.

- Wydaje mi się, że bardzo by tego pragnęli, ale... - dodają bohatersko: - nie chciałabym, aby ta sprawa wyjaśniła się bez ich zgody.

- Ale pani sama też chciałaby odnaleźć tę osobę, prawda? - Rosemary uśmiecha się szeroko.

- Aż tak to widać?

- Z daleka, moja droga! Wstępne pytania nikomu nie zaszkodzą. - Wstaje i zdejmuje płaszcz z oparcia krzesła, na którym siedziała. - Nie zajmę się tym sama, lecz są teraz przecież sprawne systemy komunikacji, nowe prawo i różne inne rozwiązania.

- Szczerze mówiąc, nie wiem absolutnie nic. Tydzień temu nawet nie wiedziałam, że mam ciotkę.

Kobieta wypija resztkę kawy.

- Nic nie mogę obiecać. Nie jestem pracownikiem socjalnym, lecz wydaje mi się, że całą procedurę muszą zapoczątkować rodzice lub samo dziecko. Jestem niemal pewna, że będąc kuzynką, nie może pani tego zrobić bez pisemnej zgody biologicznej matki.

- Rozumiem. Ale gdyby mogła pani wspomnieć o tej sprawie komuś ze swoich kolegów czy koleżanek... Chodzi o cokolwiek, co mogłoby nas ukierunkować... - Nagle dociera do mnie, że moje stare ja zanadto się rozpędza, poskramiam je więc. - Najlepiej nie robić sobie zbyt wielu nadziei. Czy to mogłoby na razie zostać wyłącznie między nami?

- Pewnie. Skontaktuję się z panią niedługo. Ma pani mój numer. - Po tych słowach mój gość wychodzi.

Kiedy Bob dzwoni kilka godzin później, w tle słyszę wiadomości, więc wiem, że siedzi spokojnie we własnym gabinecie.

Streszczam mu pokrótce rozmowę z pielęgniarką i wspominam o poszukiwaniach, które sam zasugerowałam.

- Jeśli coś ustali, moglibyśmy porozmawiać z Violet.

- No pewnie - milknie, a ja niemal słyszę, jak myśli. - Zawsze można zatrudnić prywatnego detektywa. Mamy namiary jednego. Wziął od nas samochód w leasing.

- Wydaje mi się to trochę drastyczne, ale może to dobry pomysł, jeśli nie uda się inaczej.

- A może by spróbować w archiwach prasowych? Założę się z tobą, o co tylko zechcesz, o nowy samochód, Cee, że po świętach Bożego Narodzenia w czterdziestym czwartym roku ta wiadomość trafiła na pierwsze strony gazet. Porzucone dziecko? Każda taka historia jest rozchwytywana przez prasę i inne media. Dziś pokazują ją w wiadomościach telewizyjnych i reportażach, ludzie to uwielbiają. A wtedy? Wojenne Boże Narodzenie, wszyscy marzą o czymś innym niż wiadomości z frontu, a tu nagle pojawia się maleństwo w powijkach! Taka historia to prawdziwy skarb dla gazet. Gdybym był redaktorem naczelnym, umieściłbym to dziecko w żłóbku w towarzystwie osłów, kóz, krów i jagniątek, całego tego kramu. Wyobraź to sobie!

- Wspaniale!

- To jak, Cee? O nowy samochód?

- A co ja ci dam, jeśli przegram?

- Coś wymyślimy. - Wiem, że się uśmiecha.

- Do licha, wracaj do pracy i przestań tak się mądrzyć, co?

Kiedy odkładałam słuchawkę, przebiega mi przez głowę myśl, że jeśli tylko mamy taką możliwość, nadal świetnie się dogadujemy, choć nie ćwiczyliśmy tego ostatnio. Układa nam się tak, że jestem bliska wybaczenia Bobowi. Choć nie dostrzegłam tego do tej pory, przebaczenie wdarło się w moją świadomość, a teraz chucha mi w ucho waniliowym oddechem.

Miłe miejsce

Czuję się oszukana. Zamierzałam znaleźć jakiś przyjemny hotelik w bocznej uliczce, jednak z tego, co widzę, obecne ulice miasta są jeszcze gorsze od tych dawnych, wypełnione hałasem autobusów, samochodów i motocykli oraz tłumami nieuważnych ludzi. Po raz ostatni byłam tu, kiedy przyjechaliśmy do Theatre Royal. Wiem, że został rozebrany dawno temu, lecz nie potrafię nawet odnaleźć miejsca, gdzie kiedyś stał. Hałas trudno nawet opisać. Nawet O'Connell Street, na której teraz jestem, bardzo się zmieniła. Jest ukryta pod wszechobecnymi parkanami, dźwigami i innymi maszynami. Zupełnie jakby się rozpadła na pół.

Przypominam sobie, że tata miał kiedyś dobre zdanie o hotelu Gresham i niejasno wydaje mi się, że to właśnie gdzieś tutaj.

Jestem w pobliżu przystanku, na którym czeka mnóstwo ludzi.

- Przepraszam. - Podchodzę do kobiety w średnim wieku, obciążonej paczkami.
- Tak, kochana? - odpowiada i osłania ucho przed warkotem młota pneumatycznego.
- Czy mogłaby mi pani wskazać, gdzie jest hotel Gresham? - muszę mówić bardzo głośno.

- Na tamtym końcu ulicy! - odkrzykuje i wskazuje kierunek. - Po tej samej stronie. Nie da się nie zauważyć. Proszę iść prosto. Musi pani jednak na siebie uważać i nie iść za szybko. Przy tych wszystkich robotach drogowych nigdy nie wiadomo, gdzie są dziury. Ciągłe pojawiają się nowe. Całkiem, jakby się mnożyły!

Dziękuję jej za pomoc i ruszam przed siebie, trzymając się możliwie najbliżej wewnętrznej strony chodnika, żeby mnie nikt nie potrącał. Na szczęście mam ze sobą tylko niewielką torbę, lecz nawet ona wydaje mi się teraz bardzo ciężka.

Z ulgą znajduję hotel, ale zaraz po wejściu widzę, że będzie dla mnie zbyt drogi. Czuję się jednak wyczerpana brakiem snu i zmęczona podróżą i nie jestem w stanie wyjść na zewnątrz, gdzie jak widzę przez obrotowe drzwi, zaczęło właśnie padać.

Kiedy tak stoję, nie umiejąc podjąć decyzji, podchodzi do mnie niewysoki mężczyzna

w uniformie.

- Dobrze się pani czuje? Czy mogę jakoś pomóc?

- Chciałabym się napić herbaty - wykorzystuję resztki pewności siebie - ale jestem tu po raz pierwszy i nie wiem, dokąd iść.

- Nie ma sprawy - bierze ode mnie torbę - proszę iść za mną, znajdę kogoś, kto się panią zajmie. Tędy.

Wprowadza mnie do luksusowego baru, gdzie są krzesła i sofy. Wiszące na ścianach obrazy wyglądają na prawdziwe dzieła sztuki. Na jednej ze ścian znajdują się duże okna, przez które widać ulicę. Pomimo wielu gości przy stolikach jest tu cicho i spokojnie. Portier sadza mnie w rogu przy oknie.

- Proszę tu odpocząć, zaraz kogoś przyślę - obiecuje i odchodzi.

Dublińczycy potrafią być bardzo mili, myślę, siadając na poduszkach.

Następną godzinę spędzam, sącząc herbatę i skubiąc bardzo drogą, lecz niezwykle smaczną kanapkę z wędzonym łososiem. Jednocześnie przyglądam się, jak cały Dublin defiluje mi przed oczami. W tej części ulicy prace budowlane nie są aż tak wszechobecne, deszcz już przestał padać i wyszło słońce. Z przyjemnością patrzę na młode kobiety o jędrnej, opalonej skórze, które pchają przed sobą wózki z dziećmi. Odkrywam, że młodzi mężczyźni, z wyjątkiem tych w garniturach, nie dbają aż tak bardzo o modę i najchętniej noszą podkoszulki oraz wszelkiego typu dżinsy, od bardzo obcisłych do bardzo luźnych. Nikt mnie nie ponagla ani nie wygania z tego miłego miejsca i pobyt tu sprawia mi prawdziwą radość, co jest dla mnie nowością. W tym wszystkim są jednak również elementy smutku: żałuję, że wiodłam tak monotonne, samotne życie i dopiero pod koniec mam okazję zobaczyć, jak mogłoby ono wyglądać.

Natychmiast odganiam tę myśl. Po co komplikować prostą sprawę?

Fascynuje mnie para młodych ludzi przy stoliku w drugim końcu sali. Trudno mi odgadnąć ich wiek, lecz muszą mieć już skończone osiemnaście lat, gdyż piją szampana i zamówili dwie kolejne butelki. Oni również mogliby przyglądać się przechodniom za oknem, lecz są tak pochłonięci sobą, że patrzą wyłącznie na siebie, niczym ptaszki w szklanej klatce. Nie zauważyli, że przyglądam się im co najmniej od piętnastu minut.

W pewnym sensie chyba przypominają mi moją młodość, mnie i Coleya w tym wieku. Różnią się jednak od nas jak kolor żółty różni się od czerni, nie tylko wyglądem i wy-

szukaną niedbałością stroju, lecz przede wszystkim tym, że nie usiłują ukryć wzajemnego pożądania. Głaszczą się i obejmują, chichoczą i szepczą bez najmniejszego skrepowania. Co tak świętują? Zaręczyny? A może to ich miesiąc miodowy? Nie mają obrączek, więc pewnie nie to drugie.

Widzę, jak dziewczyna wstaje, bierze torebkę, całuje chłopaka i tak głośno, że nawet ja słyszę, mówi, żeby na nią poczekał, wróci za chwilę. A potem, dając mu kolejnego całusa, odchodzi sprężystym krokiem, rozglądając się przy tym po ścianach. Wyraźnie szuka toalety. Jestem zaskoczona, widząc, że spodziewa się dziecka. Nie zauważyłam tego wcześniej pod jedwabnym szalem narzuconym na czarną sukienkę z głębokim dekoltem.

Cała moja radość znika i świat na chwilę robi się czarno-biały, bynajmniej nie dlatego, że ją potępiam, to chyba jasne, lecz z powodu przeszywającego bólu. Czy kontrast pomiędzy losem tych pełnych radości młodych ludzi a moim i Coleya sześćdziesiąt lat temu może być jeszcze bardziej jaskrawy?

Teraz zauważam, że wszędzie dookoła jest coś, co sprawia mi ból. Zgrabna Amerykanka, ubrana w kurtkę z napisem „Demokracy to ja” na plecach, siedzi i wynotowuje coś z ciężkiej książki w twardej oprawie. Studentka? Czy tak mogła wyglądać moja córka mniej więcej czterdzieści lat temu, kiedy była w college'u? A jak wygląda teraz? Nawet nie znam jej imienia.

Dojrzała kobieta z radością pije wino w towarzystwie dwóch młodszych. Śmieją się głośno z jakiegoś żartu. Matka z córkami?

Ta para siedząca obok siebie. Mężczyzna trzyma długopis, oboje pochłonięci są rozwiązywaniem krzyżówki. Coley i ja w średnim wieku?

To właśnie oferuje nam życie. I tego właśnie nie dało mnie. Po raz pierwszy od wielu, bardzo wielu lat czuję wściekłość, mam prawdziwą gorączkę ze złości.

Podnoszę torbę, płaszcz, torebkę i parasol i idę do recepcji, by wynająć pokój. Muszę natychmiast zostać sama.

Sprawdzam cenę i choć jest zdecydowanie zbyt wysoka dla kogoś o takich dochodach jak moje, proszę o pokój na jedną noc. Żądają karty kredytowej.

- Przykro mi, ale nie mam. Zapłacę gotówką.

Młoda kobieta za ladą jest zakłopotana i opuszcza mnie na chwilę. Wraca z mężczyzną, który pyta, czy mam jakiś dokument. Czuję rosnącą złość, lecz podaję mu legitymację,

która uprawnia mnie do bezpłatnych przejazdów.

- Czy ma pani jakiś inny dokument?

- Nie. Czy z tym coś jest nie w porządku? - Mam świadomość, że mówię podniesionym głosem.

- Nie, nie. - Rozgląda się przy tym, sprawdzając, czy nikt na nas nie patrzy. Najwyraźniej nie chce dopuścić do sprzeczki, a zauważył, że jestem bliska wybuchu. Oddaje mi legitymację z pełnym zakłopotania uśmiechem. - Przepraszam.

Przez cały ten czas jest nieskazitelnie uprzejmy, podobnie zresztą jak recepcjonistka. Oni są bez zarzutu, to ja zachowałam się niewłaściwie. Moja złość mija w chwili, gdy mężczyzna podsuwa mi kawałek papieru i pokazuje, gdzie mam się podpisać. A potem prosi, bym zapłaciła z góry. Płacę ze świadomością, że nie zostanie mi więcej niż dwadzieścia euro.

- Dziękuję pani. Miłego wieczoru. Śniadanie zaczynamy o szóstej trzydzieści. Czy życzy sobie pani poranną gazetę?

- Nie, dziękuję.

- Pani klucz. Pokój numer dwieście dwadzieścia siedem na drugim piętrze.

Wręcza mi mały kawałek plastiku. Udaje mi się nawet nie mrugnąć okiem. Z całą pewnością nie okażę, że nie mam pojęcia, jak ten płaski plastikowy prostokąt może służyć do otwierania drzwi. Mężczyzna kieruje mnie w stronę windy.

Dziękuję mu i odmawiając przyjęcia pomocy bagażowego (mam na uwadze swój uszczuplony zapas gotówki; konieczność oszczędzania jest silniejsza niż chęć dawania napiwków), ze świadomością, że on i kobieta przyglądają mi się z uwagą, jeszcze bardziej prostuję plecy. Wiem przynajmniej, jak działa winda - jechałam nią w biurówcu pana Thorpe.

Znajduję drogę do pokoju. Na szczęście rysunek na karcie pokazuje, co trzeba zrobić, aby otworzyć drzwi, więc już po drugiej próbie udaje mi się wejść do środka. Niemal nie zauważam, gdzie jestem. Złość się ulotniła, zabierając ze sobą resztki mojej energii. Czuję się wykończona.

W ostatnich tygodniach życia Johanna miała problemy ze snem, więc lekarz zapisał jej tabletki, których część została jeszcze w szafce w naszej łazience. Połykałam jedną z nich w okresach bezsenności, doceniając ich dobroczynny wpływ. Ponieważ w ciągu ostat-

nich nocy trudno mi było zasnąć, na wszelki wypadek zapakowałam niewielką fiolkę do torby. Popijam teraz tabletkę wodą mineralną łaskawie dostarczoną przez hotel Gresham. Nieważne, że dopiero szósta.

Zaciągam ciężkie zasłony i pokój pogrąża się w półmroku, a tabletki zaczynają działać, zanim jeszcze zdążę się przebrać i wejść do łóżka. W ostatnim, porannym już śnie pierwszej spędzonej w Dublinie nocy widzę nie swoją córkę czy Coleya, lecz zaskakująco, moją mamę. Ubrana jest w strój anioła stróża z obrazka niani i unosi się nad moją wieżą w Whitecliff.

Mam przed oczami ten obraz przez kilka minut po przebudzeniu i czuję się wspaniale. Jestem lekka jak piórko pływające po bezchmurnym niebie. Chciałabym to wrażenie zachować jak najdłużej, więc wyciągając się jak długa, pławię się w ciepłe i gładkości pościeli oraz w miękkości poduszek na tym wielkim, obcym łóżku.

Powoli, jakby rozkładając origami, zaczynam przypominać sobie, gdzie jestem i dlaczego. Sprawdzam godzinę na stojącym przy łóżku zegarku o czerwonym wyświetlaczu. Choć z zewnątrz dobiega stłumiony dźwięk samochodów, jest dopiero kwadrans po szóstej. Spałam jednak ponad dwanaście godzin.

Przytulam się do poduszki, aby mój umysł, odświeżony, lecz ciągle dość niemrawy, mógł przejrzeć możliwości oferowane przez wstający dzień. Wraz z powrotem świadomości narasta pragnienie podjęcia poszukiwań. Czy powinnam zadzwonić do Claudine, kiedy tylko nadejdzie odpowiednia pora? A potem przypominam sobie raczej przyjemności niż udrękę wczorajszego popołudnia i zastanawiam się, czy zamiast angażować moją siostrzenicę natychmiast i odnowić intensywne kontakty, nie powinnam wykorzystać nieznaney dotychczas wolności, by zrobić sobie wakacje. Nikt przecież nie wie, gdzie teraz jestem.

Przy tak ograniczonych zasobach mam dość ograniczone możliwości, lecz wzięłam przecież legitymację, więc mogłabym cały dzień jeździć autobusami. Wiem też, że nie muszę płacić za wstęp do muzeów i National Art Gallery. Mam czas do wpół do szóstej, gdyż wtedy przyjeżdża mój pociąg. Jedenaście godzin, bardzo pociągająca perspektywa.

Tego ranka wszystko wydaje się jaśniejsze. Leżę w ogromnym, cudownym łóżku - wcale się nie dziwię, że za pokój w tym hotelu trzeba zapłacić aż tyle. Pranie takiej pościeli musi kosztować astronomiczne sumy. Czuję głód, co również w ostatnim czasie nie zdarza mi się często. Młody człowiek w recepcji powiedział, że śniadanie zaczyna się o wpół do

siódmiej. Będę więc jednym z pierwszych gości i zjem tak dużo, by starczyło mi na cały dzień.

Być może to efekt tabletek Johanny, lecz złość i rozpacz wczorajszego popołudnia wydają mi się teraz melodramatyczne, a ich intensywność jest dość odległym wspomnieniem. W barze pogrążyłam się w gorzkich, niepotrzebnych myślach, a teraz zadaję sobie pytanie, po co mi to właściwie było. Po co komu jakakolwiek gorycz - może ona jedynie niemiło podgrzewać krew.

Wychodzę z łóżka i napełniam wannę: mam zamiar skorzystać ze wszystkich atrakcji tego hotelu. Do ostatniej kropli zużyję zawartość niewielkich buteleczek szamponu i odżywki, po czym wysuszę włosy suszarką zamontowaną na ścianie. Wleję do wanny perfumowany płyn do kąpieli i wykorzystam wszystkie cztery ręczniki z wieszaka. Zanim się wykąpię i ubiorę, nadejdzie pora śniadania i zjem oraz wypiję, ile tylko zdołam.

Potem wyjdę w dubliński poranek. Wybiorę pomiędzy wycieczką do Howth albo Dalkey, o których czytałam tak wiele w gazetach, aby na własne oczy zobaczyć, jak żyje „druga połowa”, jak ją określają. Czy też wejdę do księgarni i poczytam tam sobie za darmo, a nawet siądę w kawiarence, gdzie nikt nie będzie mi się przyglądał ani mnie oceniał, dobrze ani źle. Korzyści anonimowości!

Wanna powinna być już pełna, lecz na skórzanej okładce karty leżącej na stoliku znajduję informację, że nie muszę opuszczać pokoju przed południem. Może dziś rano po prostu zanurzę się w luksusie tego wspaniałego miejsca.

Jakież wspaniałe perspektywy - z tą myślą wchodzę do kąpieli. Jaki piękny dzień!

Mój dobry humor jakby znika, kiedy wychodzę z wanny. W zaparowanym lustrze widzę nie beztroskiego duszka, w którego jakimś cudem udało mi się zmienić we własnym mniemaniu, lecz głupkowatą, zaróżowioną starszą kobietę o ociekających wodą włosach, zawiniętą w białe prześcieradło kąpielowe. Ta kobieta przyjechała tu z określoną misją, nie na wycieczkę. Na tę myśl wraca mi zdrowy rozsądek. Prawie. Ponieważ kiedy się przyglądam swojemu odbiciu w lustrze, dociera do mnie, że nigdy wcześniej nie miałam okazji spędzić tak beztroskiego ranka.

Dreszcz towarzyszący moim spotkaniom z Coleyem Quinnem i ich intensywność należały do innej kategorii niż to, co zaplanowałam na dziś - dziś pragnę zakosztować tego, co większość ludzi przeżywa na co dzień. Ciężko mi porzucić te plany.

Decyduję się pójść na kompromis. Resztę poranka spędzę, rozkoszując się wolnością, a dopiero po otwarciu urzędów rozpocznę poszukiwania. W porze lunchu zadzwonię do Claudine i zobaczę, co dalej.

42

Solniczka

Wczesnie następnego ranka, kiedy Coley został zabrany na fizykoterapię, przygotowuję się do wyprawy do Dublina. Zamierzam odwiedzić zarówno Urząd Stanu Cywilnego, jak i bibliotekę, gdzie znajduje się archiwum prasy, w którym muszę poszperać, zgodnie z drugą sugestią Boba. Nie moja, warto to podkreślić! Nie jakby się waliło i paliło, lecz spokojnie i powoli. Nic się nie stanie, postanawiam, jeśli trochę poszukam, tak by Violet, kiedy już zacznie tę sprawę, mogła dostać jakieś informacje o swojej córce.

W głębi serca czuję, że ciocia niedługo sama poprosi o pomoc. Jeśli mnie tak bardzo podekscytowała perspektywa odszukania kuzynki, o ileż bardziej przemożne musi być pragnienie matki, by odnaleźć dziecko, któremu dała życie? Ponieważ nie mam dzieci, trudno mi pojąć całą głębię i siłę tego uczucia, lecz potrafię sobie wyobrazić, że jest ono na równi fizyczne i emocjonalne. Choć Violet wcześniej nie zaczęła poszukiwań, jest duża szansa, że będzie chciała to zrobić teraz, kiedy wtargnęłam w jej życie.

Na myśl o tym, co mogę znaleźć, oprócz podniecenia odczuwam też strach przed tym, co mnie czeka. Nigdy wcześniej nie byłam w National Library i choć kobieta, która poinformowała mnie o procedurach zapisania się do tej biblioteki, była urocza, to nigdy wcześniej nie słyszałam słowa „mikrokarta” i nie chcę zrobić z siebie idiotki w miejscu tak uczynnym i pełnym wszelkich nowinek technicznych.

Gdy jadę do miasta, dzwoni mój telefon. To Tommy O'Hare. Umówił się w dwóch miejscach i ma kłopot. Ci z Greenparks, którzy płacą obecnie większość rachunków OHPC, mają właśnie zebranie zarządu i w ostatniej chwili żądają, by wziął udział w jego części, na co musi się zgodzić. Ale wcześniej umówił się już z angielskim klientem, przylatującym specjalnie po to, by obejrzeć pewną nieruchomość.

- Zdobyć go kosztowało mnie bardzo wiele wysiłku. Claudie, wiem, że proszę o dużo, ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Właściwie nie mogę odmówić.

- O której przyjeżdża?

- Jesteś wspaniała. - Ulga w głosie Tommy'ego niemal materializuje się w powietrzu. - Stokrotne dzięki, Claudie. Jestem twoim dłużnikiem. Wierzę, że uda ci się go przekonać. Zrób coś, prześpij się z nim czy co.

- Och, bardzo śmieszne!

A potem Tommy pyta, czy są jakieś postępy w sprawie Whitecliff.

- Tom, zadzwonię do Violet, kiedy tylko się rozłączysz. Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

I tak mam poczucie winy, że nie kontaktowałam się z ciocią od przedwczoraj.

Bez względu na konieczność (tymczasową) trzymania w tajemnicy miejsca pobytu Coleya - do czego ma on prawo - Violet powinna poznać prawdziwe losy swojej córki. Ale telefon w domu ciotki nie odpowiada. Nie mam pojęcia, czy powinnam się dziwić, bo przecież nie znam jej trybu życia. Prawdopodobnie wyszła do sklepu.

Spotkanie z klientem z Anglii przebiega pomyślnie, a po odstawieniu go na lotnisko jeszcze po drodze do domu wczesnym popołudniem relacjonuję Tommy'emu przebieg wydarzeń.

W kuchni widzę migoczące światełko automatycznej sekretarki, lecz ponieważ z pokoju Coleya słychać włączony telewizor, najpierw idę do mojego gościa.

Siedzi na krześle przy łóżku i ogląda „Judge Judy”.

- Dzień dobry, panie Coleyu. Co to? - Wskazuję na szklankę czegoś różowego i bulgoczącego na stoliku obok niego.

- Koktajl truskawkowy. - Patrzy na szklankę. - W szpitalu powiedzieli, że ważę mniej, niż powinienem.

- Wszystko poszło dobrze?

- Muszę jechać tam znowu za trzy dni. Dali mi kulę! - Wydaje się poruszony.

- Czy mogłabym to ściszyć? - Trudno mi przekrzykiwać surowe reprimendy udzielane przez sędzię Judy grubej kobiecie w średnim wieku, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkocze, więc biorę pilota.

- Teraz lepiej. Mam nadzieję, że napił się pan herbaty. Czy nie jest pan głodny?

- Nie, dziękuję. Dali mi talon na obiad w szpitalnej stołówce.

- Ale już czas na podwieczorek. Zaraz coś panu przyniosę.

- Proszę się nie kłopotać.

Unika mojego wzroku, jakby coś zbroił albo miał jakieś zmartwienie. Czekam, lecz ponieważ nic nie mówi, zostawiam go, przykazując na odchodnym, że jeśli będzie czegoś potrzebował, musi tylko zadzwonić dzwonkiem.

- A może - zatrzymuję się w progu - miałby pan ochotę przenieść się do kuchni. Mała zmiana miejsca?

- Nie, dziękuję. Tu mi dobrze. Nie mogłoby być lepiej.

- Cóż, gdyby pan zmienił zdanie...

Zostawiam go samego.

Wiadomość na sekretarce jest od Violet. Dzięki Bogu telewizor Coleya znowu ryczy na cały regulator. Trudno ją zrozumieć, w tle jest straszny hałas. Musi dzwonić z automatu.

- Tu Violet Shine - mówi, w ten okropny sztuczny sposób, jak ktoś nieprzyzwyczajony do nowych urządzeń. - Szkoda, że cię nie ma. Zadzwonię potem. Dziękuję. Do widzenia.

Rozmowa została nagrana dziewięćdziesiąt minut temu. Oddzwaniem natychmiast, lecz u niej w domu nikt nie odpowiada. Nie może przecież tyle czasu chodzić po sklepach!

Zaczynam się martwić. Może dzwoniła ze szpitala?

Claudine, nie wygłupiaj się. Gdyby była w szpitalu, nie dzwoniłaby z automatu. A poza tym nie telefonowałaby sama, tylko jakiś lekarz lub pielęgniarka.

Powinam jej kupić telefon komórkowy.

Łapię się na tym, że myślę o Violet tak, jak wszyscy myślą o swoich starszych krewnych, którymi się opiekują. To impuls. Podoba mi się. Daje mi poczucie przynależności do czegoś większego niż ja sama.

Dzwoni telefon. To pewnie Violet. Podnoszę słuchawkę i witam się radośnie. To jednak nie Violet, tylko Rosemary C, pielęgniarka. Może mi podać jedynie nazwisko i numer pracownicy socjalnej.

- Mówiłam jej o pani sprawie i czeka na telefon. Dziś jest zajęta, ale może pani zadzwonić po szóstej na komórkę. Ja na pani miejscu poczekałabym jednak do rana. An- gażujemy ludzi, sami jednak nie lubimy, kiedy nam się przeszkadza po pracy. Jak chory?

- Rosemary, dziękuję pani za pomoc. Poczekam do jutra. A Colman czuje się wspaniale. Uzależnia się chyba od telewizji.

- Mógłby się uzależnić od czegoś znacznie gorszego. Poruszyłam niebo i ziemię, żeby przygotować mu mieszkanie. Czekam na telefon w tej sprawie.

- Wspaniale.

- Muszę kończyć. Powodzenia w poszukiwaniach.

Dziękuję jej po raz kolejny i kończymy rozmowę. Kiedy piętnaście minut później wyjmuję naczynia ze zmywarki, słyszę za sobą hałas. Prostuję się - to Coley bez kuli. Trzyma się framugi, a chorą stopę unosi nad podłogą.

- Panie Colmanie! Czy coś się stało? Potrzebuje pan czegoś?

- Nie, nic. Jeśli jest pani zajęta, przyjdę potem, ale mówiła pani...

- Proszę wejść. Nie jestem zajęta.

- Dziękuję. Mogę usiąść na moment?

- Pewnie.

Wyciągam jedno z krzeseł spod stołu. Przytrzymując się ściany, Coley skacze przez kuchnię i opada na siedzisko.

- Proszę. - Podaję mu niski taboret, którego używam przy wyjmowaniu rzeczy z tylnej części kredensu. - Proszę na tym oprzeć nogę.

- Dziękuję bardzo. Proszę posłuchać, chyba zapomniałem o dobrych manierach. Powinienem podziękować pani za gościnność. Chyba nie powiedziałem tego wprost. Ale nie będę pani dłużej zawracał głowy. Nie podoba mi się korzystanie z czyjejś łaski.

Na jego widok topnieje mi serce - stary lew rzucony na kolana.

- Wiem o tym, panie Colmanie, ale nie dlatego pana zaprosiłam. Proszę sobie to wybić z głowy. Pana obecność sprawia nam radość, choć prawie pana nie widzimy. Może pan zostać tak długo, jak tylko pan zechce. Naprawdę tak myślę.

- W szpitalu powiedzieli mi, że nowe mieszkanie powinno być gotowe za parę dni.

- To wspaniale.

Powstrzymuję się jednak od dalszych zachwyków. On najwyraźniej wcale tak nie uważa. Jest niespokojny, jakby go coś gnębiło.

- Nie cieszy się pan? - Siadam na krześle po przekątnej. - Ale czy ma pan świadomość, że nie może pan dłużej mieszkać pod gołym niebem jak dotychczas? Miał pan szczę-

ście, że noga jest tylko skrecona, ale gdyby stało się coś gorszego i nikt by pana nie znalazł wśród tych wszystkich jeżyn?

- Będę musiał się trochę przyzwyczaić, ale nie lubię, jak ktoś mi mówi, co mam robić. Nie zamierzam udawać, że będzie to proste. Ale tak naprawdę nie o to chodzi. - Milknie.

- Czy mogłabym w czymś pomóc?

- Szczerze mówiąc, chciałem tylko zapytać panią o zdanie w pewnej sprawie.

- Słucham.

- Pamięta pani naszą rozmowę o mojej córce?

- No pewnie.

- Zastanawiałem się... - Zaczyna bawić się solniczką stojącą na stole. Obraca ją dookoła.

Powoli, aby zostawić mu czas do namysłu, wstaje i udaje, że sprawdzam, czy wyłączyłam zmywarę.

Po chwili wracam. Mój gość wydaje się już spokojniejszy, choć kiedy odzywa się ponownie, mówi do solniczki, nie do mnie.

- Starzeję się, rozumie pani - warczy. - Wszyscy mi to powtarzają, co doprowadza mnie do szaleństwa. Nie trzeba mi o tym przypominać, sam wiem. To... - podnosi chorą stopę do góry - jest najlepszy dowód. Ustawia solniczkę na rogu stołu. - Chciałbym ją po prostu poznać, zobaczyć, jaka jest. - Nareszcie podnosi wzrok. - Tylko jeden raz. Nie zamierzam się narzucać ani nic takiego. Tylko ją zobaczyć.

- I chce pan, żebym powiedziała, czy to możliwe?

- Tak. - Rozpromienia się z ulgi. - I jak mam się do tego zabrać.

- Proszę posłuchać, ona jest moją kuzynką, córką mojej ciotki. Sama chciałabym się z nią spotkać.

- No tak, ma pani rację! - Uśmiech na jego twarzy przechodzi w śmiech. - No pewnie!

- W tej sytuacji można skorzystać z pomocy państwa. Szczerze mówiąc, pytałam już o to pielęgniarkę, kiedy przyjechała do pana. Skontaktowała mnie z kimś, kto... kto może pomóc, jeśli o to poprosimy.

Ponieważ znam już jego stosunek do wszystkiego, co „socjalne”, wolę na razie nie wspominać pracowników socjalnych.

- Wiedziałem, że będzie pani miała jakiś pomysł! - Nagle oczy zachodzą mu łzami. -

Przepraszam. Bardzo przepraszam. - Usiłuje je wytrzeć.

Tym razem, ponieważ czuję się jak Judasz (nie powiedziałam mu jeszcze o Violet), udaję, że znalazłam na podłodze jakiś okruch. Kiedy się pochylam, by go podnieść, przypominam sobie, że ja po prostu szanuję jej prywatność. Tylko tyle.

Prostuję się. Nie mogę znieść widoku nadziei w jego oczach, nie darowałabym sobie, gdyby okazała się próżna.

- Nie ma gwarancji, że to się uda - mówię cicho. - Różnie może być. Nawet jeśli odnajdziemy pańską córkę, może nie chcieć z nami rozmawiać. Nie da się przewidzieć zachowania innych.

- Na pewno będzie chciała. Dlaczego miałyby odmówić? Możemy ją uprzedzić, że nie mamy zamiaru jej dręczyć. Możemy uprzedzić, że chcemy się z nią spotkać tylko jeden, jedyny raz.

W swej wyobraźni ten biedak już podchodzi do swojego dziecka. Tak bardzo zajęłam się bólem i tragedią Violet, że właściwie nie zwracałam uwagi na jego uczucia. Mój błąd. Czas podtrzymać nadzieję i sprawdzić, czy są ku niej podstawy.

- Zastanawiałam się, czy nie można by zdobyć jej aktu urodzenia. Założę się, że były jakieś wzmianki w gazetach. W tamtych czasach musiała to być wspaniała historia, zapewne wydrukowano nawet zdjęcia. - (Dzięki, Bob!) - Co pan o tym myśli?

- Tak naprawdę... - Coley znowu milknie. Jest czerwony, bardzo czerwony. - A może w ambasadzie amerykańskiej mogliby nam powiedzieć, co się stało z Violet?

Whiskey i ciasto

Bob, muszę mu powiedzieć! - dzwonię z naszej sypialni, więc Coley na pewno mnie nie usłyszy. - Telefonowała tu już i zostawiła wiadomość na sekretarce. Zadzwoń ponownie i Coley może się zorientować. Nigdy by mi tego nie wybaczył. Co gorsza, Violet również, a kiedy już o tym wspomniał, nie możesz mnie oskarżać o apodyktyczność ani o organizowanie życia innym!

- Uspokój się, Cee, masz rację. Musimy im powiedzieć, obojgu. Kiedy omawialiśmy ten problem, nie wiedzieliśmy przecież, że Coley zamieszka w naszej sypialni dla gości, prawda? A zanim coś odpowiesz - dodaje szybko, nim zdążę nabrać tchu - wiem, jak do tego doszło, i prawdopodobnie zaoferowałbym taką samą pomoc jak ty. Musiałabyś mieć serce z kamienia, żeby zostawić tego biedaka na pastwę losu tylko dlatego, że nie ma nikogo, kto mógłby się nim zająć. Ale musisz to zρέcznie rozegrać.

- Mam pomysł. Poczekam do twojego powrotu. Nie wiadomo, jak zareaguje. Pod maską twardziela jest bardzo wrażliwy. Problem polega jednak na tym, że to Violet powinna dowiedzieć się pierwsza, ale nie odbiera telefonu. Zresztą nie powinnam jej tego mówić przez telefon. Będę musiała tam znowu pojechać...

- Powoli. W końcu to on z nami mieszka. To jemu powiemy i poczekamy na reakcję. Jest co prawda stary, lecz w końcu dorosły i ma swoje prawa.

- Jakie to poplątane... a jeśli teraz powiesz „A nie mówiłem?”, zabiję cię!

- Nie powiem. Ale powiedziałem.

- Byłam naprawdę grzeczna i powstrzymywałam się, nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Wiem. Cee, dobrze cię znam. Ale mogło to wyglądać znacznie gorzej. Teraz martwisz się o coś, co tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Skup się na ważnych sprawach. Czy zauważyłaś, że kiedy Violet z nami rozmawiała, jej wyraz twarzy zmieniał się na każdą wzmiankę o nim? A z twoich słów na temat Coleya wynika, że oboje równie gorąco pragną spotkać się znowu. Mała niezgodność dat czy też to, kto dowiedział się pierwszy, na dłuższą metę jest bez znaczenia. Jeśli sprawa wypali, będą nam wdzięczni do końca życia.

- A jeśli nie? Mogą mieć pretensje, Bob. Violet może winić mnie!

- Hej! To moja kwestia. Chyba role się odwróciły!

- Do zobaczenia. - Odkładałam słuchawkę z uśmiechem, lecz nie trwa on długo. Przez następne pół godziny walczę z szafą w sypialni i wypełniam ubraniami kolejne worki. Wkładam do nich również niezniszczone rzeczy.

Coley po raz pierwszy przyjmuje moją propozycję zjedzenia kolacji z nami w kuchni. Początkowo trochę się wzbrania, lecz bez trudu udaje mi się go przekonać. Podczas posiłku opowiada, z przerwami i koniecznością wypytywania, o ciężkim losie człowieka pracującego „za morzem” w okresie, gdy pensje były nędzne, a zdobycie pracy zależało od kaprysu przekupnego angielskiego brygadzysty. Z opowieści Coleya wynika, że irlandzki robotnik był znienawidzony przez właścicieli kamienic i całe społeczeństwo brytyjskie ze względu na swą reputację awanturnika i pijaka.

- W niektórych dzielnicach bójkę były rzeczywiście częste i muszę przyznać, że sam nie jestem tu bez winy. Niejednej niedzieli budziłem się z obitą twarzą, nie pamiętając, jak do tego doszło. Nie zrozumcie mnie źle, byłem wysoki i silny i potrafiłem się bronić, lecz to jakby działało się bez mojego udziału. A powodem mogło być imię charta.

Zwykle nie jemy po kolacji deseru, lecz na cześć gościa wyjęłam z zamrażarki cytrynowe ciasto z bezami i podałam je na stół teatralnym gestem, kiedy zjedliśmy już lasagne.

- Mam nadzieję, że lubi pan słodkie.

- Tak. Dziękuję. Wygląda wspaniale.

Przebiega mi przez głowę myśl, że jest teraz rozluźniony i spokojny, i oby już tak pozostało. Zerkam więc na Boba, który zachęca mnie skinieniem głowy.

- Panie Coleyu, mamy panu coś do powiedzenia.

Celowo użyłam zdrobniałej formy jego imienia i najwyraźniej to zauważył. Na jego twarzy zdumienie miesza się z obawą.

- Słucham.

- Proszę się nie obawiać! To nic złego. - Siadam na krześle, żeby nie czuł się przytłoczony. - Ta wiadomość może pana zaskoczyć, lecz mam nadzieję, że będzie to uczucie przyjemne. Rozmawialiśmy o poszukiwaniach pańskiej córki, a potem pan wspomniał, że chciałby odnaleźć także Violet.

- Tak? - Zerka na Boba, a potem przenosi wzrok na mnie. Szukam właściwych słów,

ale uznaję, że muszę powiedzieć to wprost.

- Mamy dobre wiadomości o Violet. Spotkaliśmy ją w West Cork, kiedy pojechaliśmy tam porozmawiać o Whitecliff. Mieszka w domu Johannya.

W ciągu kilku sekund Coley czerwienieje od szyi po cebulki włosów.

- Ale ona nie może... Jak... - A potem robi się biały jak ściana. - Dlaczego nie powie-
dzieliście mi o tym, kiedy o niej wspomniałem?

Wyciągam rękę, żeby dotknąć jego pomarszczonej dłoni, lecz mnie odpycha.

- Jestem starym durniem, co?

- Teraz żałuję, że nie powiedziałam panu wcześniej - przyznaję się cicho. - Ale uwa-
żałam, że to nie moja sprawa. Dopiero kiedy się upewniłam, że to naprawdę pan... - Pomimo
jego reakcji zaczynam się uspokajać, gdyż wszystko zostało już powiedziane. - Musi mi pan
wierzyć, że wiadomość o moich powiązaniach z Whitecliff spadła na mnie jak grom z ja-
snego nieba, podobnie jak odkrycie, że mam żyjących krewnych ze strony mamy. A w ogóle
to Violet na to wpadła, nie ja. Przypominam ponoć Marjorie.

Mruga gwałtownie. Zaczyna to do niego docierać.

- Teraz pewnie jest pan na mnie wściekły - ciągnę. - Ale proszę się chwilę zastanowić.
To wspaniała wiadomość.

- Więc dlaczego mi pani nie powiedziała? - powtarza, lecz bez poprzedniej wrogości.
Jego umysł pracuje.

- Nie byłam pewna, czy pan jest Coleyem, o którym opowiadała. Podał mi pan swoje
imię, lecz przecież mogło być wielu Colmanów, i dopiero kiedy pielęgniarka nazwała pana
Colmanem Quinnem... Nieważne! Powiedziałam już wszystko.

- Hmmmm! - W jego oczach tli się ogień ekscytacji. - A dlaczego zmieniła pani zda-
nie?

- Pański wypadek. To właśnie on wszystko zmienił. Zaprosiłam pana do nas, bo nie
mogłam pozwolić, by trafił pan do jakiegoś obskurnego przytułku. Lecz to skomplikowało
naszą sytuację. Nie wiedziałam, co robić ani komu powiedzieć najpierw. Przez kilka dni
chodziłam jak błędna, mając nadzieję, że zdarzy się coś, co mi pomoże podjąć decyzję, i że
nie wprowadzę zamętu w życie jednego czy też obojga z was.

- Przypuszczam... - mówi, a ogień najwyraźniej rozpalił się na dobre. Patrzy na swoje
zniszczone ręce robotnika. Zaciśnięte dłonie spoczywają na kolanach. - Wyszła za męża? -

pyta cicho.

- Nie. Mam co do tego absolutną pewność.

- Czy wspominała o mnie? - Tym razem trudno w ogóle usłyszeć jego głos.

- Pewnie, że tak. - Do rozmowy wtrąca się Bob, który wcześniej się nie odzywał.

Coley podnosi głowę.

- Co mówiła?

- Odniosłem wrażenie, że według niej wasz związek miał prawdziwie biblijny wymiar - oświadcza Bob z szerokim uśmiechem, jak mężczyzna do mężczyzny, lecz Colman ponownie zwiesza głowę.

- Dobrze się pan czuje? - Pamiętając, jak zareagował, kiedy poprzednio usiłowałam go dotknąć, powstrzymuję się teraz. - Spadło na pana tak wiele...

Nie odpowiada. Bob i ja wymieniamy spojrzenia i siedzimy w ciszy. Zajmuję ręce krojeniem ciasta. A potem zauważam, że dłonie mężczyzny, nadal spoczywające na kolanach, są mokre. Płacze.

Choć odwraca głowę najbardziej, jak może, nie odpycha mnie, kiedy go obejmuję. Nie wydaje żadnego dźwięku, lecz oddech ma przerywany i drży.

- Proszę nie płakać - ale sama jestem bliska łez - to przecież naprawdę dobra wiadomość, prawda? Po tylu latach.

- Nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego, kiedy się dowie...

- Oczywiście, że będzie chciała. - Trudno mi znieść jego rozpacz. - Nie będzie pana winić za to, co ją spotkało...

- Nie wiem, o czym pani mówi! - przerywa mi, a potem przypomina sobie o dobrych manierach. - Przepraszam.

- Niech pan nie przeprasza. - W desperacji patrzę na męża.

- Colman, czy pan słyszał, co powiedziałem? - Bob korzysta z okazji. - Moim zdaniem ona wcale nie przestała pana kochać. Też tam byłem. Słyszałem, jak o panu mówi.

- Ale Violet jest piękną kobietą, damą, a ja... Kto by mnie chciał? - Pełnym przygnębienia gestem pokazuje swą chorą stopę, stare ubranie, całą kuchnię.

- Tak, jest piękna, lecz ma siedemdziesiąt sześć lat. Dla niej również czas się nie zatrzymał. - Bob wstaje. - Możemy się napić. - Rusza w kierunku barku, w którym trzymamy alkohol. - Czy wszyscy piją whiskey?

Musiał zapomnieć, co mówiłam o ciągach Colmana do alkoholu, do których zresztą sam się przyznał. Zerkam na Coleya i widzę, że cały sztywnieje. Nie moja sprawa. Jest dorosły. Lecz kiedy Bob przynosi alkohol, nasz gość odmawia grzecznie, lecz stanowczo.

- Nie, dziękuję.

- Przepraszam.

- To dobry przyjaciel, lecz straszny wróg. - Odsuwa szklaneczkę.

- Święta prawda! Mnie jednak przyda się kropelka. Cee, a tobie? - Bob stawia pozostałe szklaneczki na stole, a potem zabiera whiskey Coleya. - Wobec tego dla pana herbata?

Wylewa zawartość trzeciej szklaneczki do zlewozmywaka i włącza czajnik.

- Jesteście zażenowani moim zachowaniem. - Coley unosi łokieć i ociera oczy rękawem marynarki, a potem potrząsa głową, jakby chciał zebrać myśli. - To się nie powtórzy.

Piję łyk whiskey. Nie komponuje się ze smakiem ciasta, które zjadłam, aby się czymś zająć, kiedy zapanowała cisza. Drugi łyk jest znacznie lepszy.

- Wydaje mi się, że powinien pan spróbować skontaktować się z Violet. Co ma pan w końcu do stracenia? Z przyjemnością pana do niej zawiozę, kiedy tylko pan zechce.

Coley szuka odpowiedzi na suficie, a potem mówi:

- Dziękuję za propozycję, ale nie. Pojadę sam. - Znowu jest pełen werwy. - Mamy sobie mnóstwo do powiedzenia.

- Nie wątpię! - Z trudem potrafię wyobrazić sobie początek takiej rozmowy. - A co zrobimy, jeśli Violet zadzwoni? Wie pan, że będzie dzwonić. Zostawiła wiadomość.

- Zastanowimy się nad tym, kiedy zadzwoni.

- Dobrze. Pan decyduje. Będziemy improwizować. - Kończę whiskey jednym haustem, a potem, bardziej odważnie, pytam: - Chciałabym zapytać o jeszcze jedną rzecz. Proszę mi przerwać, jeśli nie chce pan o tym mówić. Martwi się pan, że mogłaby pana obwinić. O co właściwie?

Nie odpowiada. Siedzi nieruchomo.

- O to, co ją spotkało? To pan zniszczył schody na strych, prawda?

Jestem ostrożna, nie chcę, by pomyślał, że go oskarżam.

- Dawały mi ciepło przez wiele zimowych nocy pod gołym niebem - mówi nieco wojowniczym tonem - lecz jeśli pani czy ktokolwiek inny chciałby je odbudować...

- Nie o to chodzi. Nie mam żadnych planów w tej kwestii, a przynajmniej jeszcze nie

teraz. Mówiłam to już panu. Więc tylko dlatego, że potrzebował pan drewna?

Patrzy na mnie dłuższą chwilę i dopiero potem odpowiada.

- Claudine, to długa historia.

- Jeśli pan nie ma ochoty, proszę nic nie mówić - wtrąca się Bob, szykując herbatę.

- Jesteście dla mnie dobrzy, więc będę z wami szczerzy. Mogę opowiedzieć.

- Na pewno? - Naprawdę nie chciałabym go zmuszać. - Nie chcę, żeby pan się znowu denerwował.

- Kiedy wróciłem zza morza - nie zwraca uwagi na moje słowa - nie miałem gdzie mieszkać. Poszedłem do Whitecliff, bo dom stał pusty. Włamałem się tam. Planowałem zajmując jeden pokój. Przecież posiadłość i tak była w ruinie, więc komu to mogło przeszkadzać, że tam mieszkam? Nikomu nie zawadzałem. Wszedłem ostrożnie - dodaje sztywno. - Właściwie nie zostawiłem śladów. Tylne drzwi były spróchniałe, więc je naprawiłem.

- I co dalej?

- Oglądałem wszystkie pokoje - mówi coraz wolniej i najwyraźniej przeżywa to na nowo. - Kiedy przychodziliśmy tam z ojcem płacić czynsz, zawsze przyjmowano nas w kuchni, resztę domu widziałem dopiero po raz drugi. Kiedyś Violet zaprosiła mnie na przyjęcie z tańcami... - To dla niego ogromne przeżycie, głos mu się łamie.

- Proszę się tak nie denerwować. Claudine, daj spokój na chwilę, co? - Bob usiłuje mnie ostrzec, lecz i tym razem Colman ciągnie swoją opowieść, jakby nic nie słyszał.

- Tamtej nocy salon wyglądał pięknie, pełno było świec i kwiatów, panie we wspinających sukienkach, panowie w garniturach. Czy wie pani, że dwóch jej braci zginęło w czasie wojny? - Nagle odbiega od tematu.

- Tak.

- Niech odpoczywają w pokoju. - Zamyśla się. - Biżuteria i jedzenie, i tyle alkoholu, że można by w nim zatopić okręt. I po co to wszystko? Tamtych dwóch odeszło w niecały rok później. Dom stoi pusty, pająki mają pole do popisu. Pajęczyny, wielkie jak ślubny welon, wiszą nad kominkiem i nad oknami, i przy żyrandolach. Sprzątałem je najlepiej, jak mogłem, dość często przez cały ten czas. - Patrzy na mnie.

- I co dalej?

- I kuchnia! Kiedy wszedłem tam pierwszego dnia, zobaczyłem mnóstwo porzastawianych rzeczy, bańki na mleko, wiaderka i garnki. Pozbierałem to wszystko do spiżarni.

Teraz nie bardzo rozumiem dlaczego, ale to zrobiłem. Część naczyń, jak rondle i bańki, odłożyłem z myślą, że mogą mi się przydać. Nikt ich przecież nie używał.

Bob stawia na stole herbatę, lecz Colman nie reaguje.

- Zaglądałem wszędzie, na górze i na dole. Chciałem sobie wybrać jakiś kątek. Po drodze podnosiłem kawałki wstążek i zastanawiałem się, czy któraś z nich mogła należeć do Violet. Gdzieś zebrałem też kłęby kurzu. I słuchałem harcujących myszy. W pustym domu zawsze są bardzo głośne. W jednej z sypialni znalazłem grubego koc. Pomyślałem, że mi się przyda, więc powiesiłem go na balustradzie. A potem poszedłem na strych...

Zauważa stojącą przed nim herbatę i bierze kubek w dłoń, lecz odstawia go zaraz, nie podnosząc do ust.

- W pokoju na strychu nic nie zmieniono po jej wyjeździe. Widziałem jej rzeczy, jej łóżko, starannie zaścielone, nawet obrazek z aniołem...

Pamiętam, widziałam tamten obrazek w obozowisku Colmana.

- A potem zobaczyłem to okienko w drzwiach - dodaje. - I wielką kłódkę na skoblu. Nietrudno było dodać dwa do dwóch. Wiedziałem, że Violet Shine nie została donikąd wysłana.

- Co pan zrobił?

- A jak pani myśli? - Oczy mu płoną wściekłością. - Kupiłem cholerną siekierę. Nie tknąłem jej pokoju, nie byłoby to w porządku, więc zająłem się schodami. Porąbałem je na kawałki. Machałem siekierą, jakbym miał zamiar pociąć cały świat. Chyba nawet wrzeszczałem. - Patrzy na mnie wyzywająco. - Kiedy wróciłem tam następnego dnia, zauważyłem, że poharatałem również ściany, lecz nic nie mogłem na to poradzić. Ale ze schodami rozprawiłem się skutecznie. Jak już mówiłem, pociąłem je potem na kawałki i wyniosłem na dwór, a potem spaliłem wszystkie. Z każdym kłębem dymu na nowo przeklinałem nasienie, cały ród i dumę Shine'ów. Przepraszam panią. - Przypomina sobie, gdzie jest i z kim rozmawia. - Oszalałem.

Paraliżuje mnie nie tylko siła jego złości, lecz również wyobrażenie tego, co musiał zobaczyć na wieży. Znam ów pokój z opisu Violet. Półotwarte pudełko z przyborami do szycia, zapomniany ołówek, krzesło pod zakratowanym oknem - stała na nim, by spoglądać na słońce i morze - i łóżko, idealnie pościelone, gdyż tak właśnie Violet i Johanna zostały wychowane.

- Jej rzeczy muszą jeszcze być na górze.
- Pewnie tak - mówi Coley. - Wziąłem tylko jedną.
- Obrazek z aniołem.

Nie jest zdziwiony, że wiem.

- Ale dlaczego Violet miałyby winić pana? Że ją zamknęli?

Patrzy na mnie, jakby to pytanie nie zasługiwało nawet na pogardliwe prychnięcie.

- A jak pani myśli?

- Myślę, że nie. Że nawet o tym nie pomyślała. Gdzie pana zdaniem pojechała po wyjściu z wieży?

- Nie wiem. - Wzrusza ramionami.

- Nie próbował pan jej szukać? Nie chciał pan jechać znowu do Johanny, przecież ona mogłaby znać miejsce pobytu Violet. Żyła przecież wtedy, a pan był już u niej wcześniej.

Jaką miałyby niespodziankę, myślę, on zaś patrzy na mnie smutnym wzrokiem.

- Nie rozumie pani - mówi. - Wszystko się zmieniło. Kiedy pojechałem tam po raz pierwszy, miałem pracę, nawet jeśli nie była ona najlepsza. Lecz kiedy włamałem się do Whitecliff, nie miałem nic. Dom moich rodziców w Rathlinney został sprzedany, a rodzina rozjechała się po świecie lub wymarła. Byłem za stary, by wracać za morze. Anglia już się dla mnie skończyła, chciałem zerwać z tamtym życiem i kumplami. To awanturnicy podobni do mnie, mieszkali w miejscach takich jak Camden i byli skończeni. Moje życie znacznie się pogorszyło od chwili, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy i odkryłem, co Shine'owie zrobili z dzieckiem Violet. Dopiero kiedy zjechałem do Rathlinney na dobre i poukładałem sobie parę spraw, zacząłem wieść w miarę rozsądne życie, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. A to zajęło trochę czasu.

- Rozumiem. - Co więcej mogę powiedzieć? Życie się pogorszyło? Tych kilka słów wyrażało bezmiar samounicestwienia i chaosu, w jakim się pograżył. - Dzięki Bogu, wrócił pan.

- Tak. Kiedy więc dochodziłem do siebie, chyba po prostu odsuwałem w przyszłość poszukiwania Violet. Miałem różne pomysły. Najpierw doprowadziłem do porządku swoje zdrowie, a kiedy byłem już w lepszej formie, zacząłem szukać pracy na miejscowych budowach. Miałem nadzieję, że ktoś mnie zatrudni, lecz wtedy nie budowało się tu za wiele, a ja miałem ponad sześćdziesiąt lat. Więc nawet gdyby Violet mnie chciała, cóż mogłem zaofe-

rować takiej kobiecie jak ona? Brak pracy? Brak pieniędzy? Brak domu? Tak więc odkładałem to wszystko na potem i zanim zdążyłem się zorientować, przyszła starość, a wtedy było już za późno, by oferować Violet cokolwiek.

- Zdecydował więc pan, że nie zamieszka w domu?

- W tamtym domu? Po tym, co oni jej zrobili? Ale... - Patrzy na Boba, który sący whiskey, nie odzywając się ani słowem. Zupełnie jakby mówił właśnie do niego. - Mieszkanie na ich terenie to całkiem co innego, rozumiecie? Nawet jeśli nie było to całkiem legalne. Wprawdzie ta ziemia zawsze do nich należała, ale nie uprawiali jej sami, tylko oddawali w dzierżawę. Mój ojciec, a wcześniej także jego ojciec, wypasali tam bydło i owce. Czułem się w pewnym sensie uprawniony. Lecz prawdziwy powód był taki, jak mówiłem pani wcześniej. Ciągle miałem nadzieję, że bez względu na to, gdzie jest, Violet wróci kiedyś zobaczyć dom swego dzieciństwa. Ludzie często tak robią. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, to był dość idiotyczny pomysł. Nie wróciłyby pewnie, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Nie po tym, co oni jej zrobili. Wiem też, że mogę oczekiwać tylko spotkania z nią, nic więcej. Chcę spróbować tylko raz. Przepraszam, że się tak rozgadałem. - Bierze kubek w rękę i łapczywie pije herbatę, a potem ostrożnie odstawia go na stół.

Nadal jestem porażona. Zwykle zapominamy, że natura człowieka nie zmienia się nawet w podeszłym wieku. Traktujemy starszych ludzi jak dzieci, usiłujemy prowadzić ich za rękę, szczególnie jeśli nie są w pełni sił. Ze wstydem wspominam, że sama mówiłam do Coleya tak, jak robiła to pielęgniarzka.

- Dziękuję wam - kończy cicho, przenosząc wzrok ze mnie na mojego męża, a kiedy mamrocemy jakieś protesty, że przecież nie zrobiliśmy nic takiego, nie zwraca uwagi na nasze słowa. Patrzy na coś, co znajduje się daleko od naszej kuchni. Dostrzegam w nim nie siwowłosego starego człowieka, lecz namiętnego młodzieńca, którego opisywała nam ciocia.

Mary lub Eve

Jest już po siódmej wieczorem i choć mogłabym jeszcze wsiąść w pociąg do Cork, nie mam zamiaru tego robić. Zostaję na następną noc w Gresham. Decyzję podjęłam dziś rano i zaraz potem zadzwoniłam do pana Thorpe, aby wyjaśnić, gdzie jestem i co zamierzam, a potem wyznałam mu, że zostało mi niewiele pieniędzy. Zawiadomił więc recepcję hotelu, że zapłaci za mnie rachunek swoją kartą. Chciał też przysłać mi trochę gotówki, lecz zapewniłam, iż to nie jest konieczne - wspaniałe śniadania w hotelu są bardzo pożywne. Pan Thorpe powiedział, że dołączy te opłaty do rachunku, który przyśle mi po wszystkim, a potem życzył mi powodzenia i oferował wszelką pomoc. Ten człowiek bardzo pomógł mnie i Johannii. Nie ma żony i czasem mi się wydaje, że wypełnia puste miejsce w życiu, zajmując się tak gorliwie sprawami swoich klientów.

Po dzisiejszym dniu zostało mi zaledwie jedenaście euro i kilka centów. Dzwoniłam do pana Thorpe i do Claudine, przy czym nieuczciwie pobrano ode mnie całą kwotę, choć rozmawiałam zaledwie trzydzieści sekund. Pozwoliłam sobie na lody w Howth i wynagrodziłam się za odwagę filiżanką kawy i drożdżówką w domu handlowym Clery's, kiedy już wróciłam do centrum miasta.

To był udany dzień. Ponieważ miałam szczerzy zamiar wsiąść w popołudniowy pociąg do domu, zwolniłam pokój i zostawiłam torbę w hotelu. Wychodząc, odkryłam, że niedaleko znajduje się biuro informacji turystycznej, gdzie można kupić plan miasta. Młody człowiek pracujący tam zaznaczył mi stację Dart oraz Urząd Stanu Cywilnego, do którego udałam się najpierw.

Parę miesięcy temu, omawiając testament Johannii z panem Thorpe, sporządziłam też własny, na którego wykonawcę go wyznaczyłam. Przy tej okazji musiałam wyznać, że mam córkę, i to ona będzie moją spadkobierczynią i dostanie, w zależności od tego, jak długo będę żyła, znaczną sumę pieniędzy. Już od jakiegoś czasu zbierałam się na odwagę, by odkryć przed nim tę tajemnicę. Pan Thorpe nie mrugnął nawet okiem i przyrzekł, że po mojej śmierci („a może minąć jeszcze dobre parę lat, panno Shine!"), jeśli ja sama tego nie zrobię,

rozpocznie poszukiwania. To właśnie on podpowiedział, że do uzyskania jakichkolwiek dokumentów, na przykład paszportu czy prawa jazdy, moja córka potrzebowała aktu urodzenia.

- Gdyby więc pani miała ochotę poszukać córki, powinna pani wybrać się przede wszystkim do Urzędu Stanu Cywilnego.

Choć byłam bardzo zdenerwowana, spacer do urzędu okazał się przyjemny. Jakiś czas szłam wzdłuż Liffey Quays. Bardzo się tu zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty w Theatre Royal. Teraz jest wokół mnóstwo przeszklonych budynków, które błyszczą i wręcz oślepiają w promieniach porannego słońca. Była godzina szczytu, więc przejście przez któryś z potężnych mostów wydawało się naprawdę niebezpieczne.

Znalezienie aktu urodzenia, nawet przy tak skromnej ilości informacji, okazało się dość proste. Z pomocą uczynnego personelu szybko odnalazłam księgę z wpisami urodzin, które nastąpiły w okresie świąt Bożego Narodzenia w hrabstwie Dublin. Nie było jednak wzmianki o Rathlinney ani o mnie samej, nawet o moim tacie, choć szukałam między 1 grudnia, co z całą pewnością było zbyt wcześnie, a końcem stycznia 1945. Taką rozpiętość dat podpowiedziała mi jedna z urzędniczek.

- Czasem data urodzenia odbiega od prawdziwej, szczególnie jeśli dziecko rodzi się w domu, jest rejestrowane po upływie dłuższego czasu lub przez kogoś spoza rodziny.

Korzystając z pomocy tej miłej kobiety, rozpoczęłam poszukiwania od początku. Tym razem szukałyśmy, w wybranym okresie, dzieci płci żeńskiej, których zarówno ojciec, jak i matka byli określani jako „nieznani”. Znalazłyśmy dwie dziewczynki o imieniu Mary i jedną Eve Mary. Pierwszą Mary zgłoszono w okręgu Longford, można ją więc było od razu wykluczyć, drugą zaś oraz Eve Mary zarejestrowano w Dublinie na początku stycznia, przy czym datę urodzenia tej Mary określono na 20 grudnia, natomiast Eve Mary na 24 grudnia. Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi, kiedy zorientowałam się, że właśnie jednej z nich szukam.

Dowiedziałam się, że za każdy akt urodzenia trzeba zapłacić, lecz to by znacznie uszczupliło mój i tak niewielki majątek, więc starając się nie okazywać, co czuję, wynoto- wałam, za zgodą urzędniczki, nazwiska i adresy osób, które zgłosiły narodziny tych dwóch dziewczynek - w wypadku Mary była to straż ze stacji przy Fitzgibbon Street, a w wypadku Eve Mary siostra Benedykta, która określiła się jako przełożona jakiegoś ośrodka w New-

town w Dublinie. Byłam tak roztrzęsiona, że ręka mi drżała, i moje notatki wydawały się niemal nieczytelne.

- Czy dobrze się pani czuje? - zapytała dziewczyna. - Podać pani szklankę wody? A może herbatę?

- Nie, dziękuję. Bardzo pani miła.

Pragnęłam jak najszybciej wyjść i zastanowić się nad uzyskanymi właśnie informacjami. Wzięłam czystą kartkę i zapisałam dane po raz drugi, tym razem drukowanymi literami. W głowie, niczym dwa maleńkie werbelki, tłukły mi się dwa słowa: Mary, Eve, Mary, Eve - która z nich jest moją córką?

Podziękowałam urzędniczce i wyszłam.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, miałam ochotę przede wszystkim zadzwonić do Claudine, lecz zdecydowałam, że muszę najpierw sama przemyśleć to, czego się dowiedziałam. To ja nosiłam swoją córkę i chciałam mieć ją tylko dla siebie choćby przez chwilę. Później zadzwonię do siostrzenicy. Będę potrzebowała pomocy przy sprawdzaniu nazwisk i adresów „zgłaszających” oraz szukaniu tych osób lub kogoś, kto je znał.

Byłam przytłoczona tym, co zrobiłam i czego się dowiedziałam. Nie sądziłam, że uda mi się zdobyć wszystkie informacje tak szybko. Teraz poszukiwania stały się bardziej realne i dość przerażające. Uważaj, czego pragniesz - jakież to mądre powiedzenie. Co więcej, jakiś wewnętrzny głos ostrzegał mnie, by się nie cieszyć przedwcześnie („To przecież tylko wpisy w księdze urodzin. Jeszcze długa droga przed tobą...”), lecz udało mi się go zignorować. Jeśli nie dzwonię do Claudine, muszę zrealizować swoje plany na ten dzień.

Tak więc wraz z Mary i Eve przeszłam niewielki odcinek drogi do stacji Dart, gdzie wsiadłam w pociąg do Howth.

Nie będę was zanudzać opisami podróży, które odbyłam jeszcze tego dnia. Mam świadomość, że ogarnięta podnieceniem i dumą z siebie samej, uważałam spędzony na wędrówkach po Dublinie dzień za odpowiednik wyprawy w Himalaje, choć dla każdego mieszkańca miasta był to chleb powszedni. Doświadczyłam jednak czegoś niezwykłego: na każdym kroku towarzyszył mi ten werbel. Kiedy coś mnie zainteresowało, na przykład potężna mała na pokładzie trawlera w Howth, dźwięk ów odrobinę przycichał, lecz potem rozlegał się na nowo.

Decyzję o pozostaniu na kolejną noc podjęłam w katedrze Świętej Marii, niedaleko

hotelu, gdzie dotarłam przypadkiem. Weszłam tam z czystej ciekawości, choć pewnie także pod wpływem patronki - być może moja córka nosiła właśnie to imię.

Nigdy wcześniej nie byłam w kościele rzymskokatolickim. Wiem, że wydaje się to bzdurą, lecz za czasów mojego dzieciństwa - chociaż w naszej wsi protestanci i katolicy żyli w idealnej zgodzie - nie bywaliśmy na uroczystościach religijnych drugiego wyznania, nawet na pogrzebach. Ten kościół był przestronny i jasny, a pachniał czymś, co uznałam za kadzidło. Moje kroki odbijały się echem w głównej nawie, walcząc o pierwszeństwo ze śpiewem chóru ćwiczącego na górze.

Usiadłam w ławce z tyłu, a obok siebie zauważyłam starszego mężczyznę, który cicho pochrapywał. Choć na zewnątrz było ciepło, głowa opadała mu na kołnierz grubego brązowego płaszcza przewiązanego zwykłym sznurkiem.

Kiedy się rozejrzałam, odkryłam, że oprócz nas w kościele jest około dwudziestu osób. Wierni przyklękali, przechodząc obok ołtarza, zapalali lampki wotywnie ustawione u stóp przepięknych figur, modlili się pospiesznie, po czym wychodzili. Podobnie jak mój towarzysz z ławki nie zwracali uwagi na próbę chóru. Sądzę, że jedynie ja i być może dwoje młodych ludzi, turystów, sądząc po ich ciemnej cerze i plecakach, z których wystawały butelki z wodą, słuchaliśmy, jak dyrygent czuwa nad śpiewem swego zespołu.

To była stara muzyka. Kiedy odważyłam się spojrzeć w górę, zobaczyłam pośród chórzystów kilku chłopców. Raz śpiewali dobrze, a raz fałszowali, i wtedy dyrygent przerywał im i kazał zaczynać od początku. A potem wreszcie zaśpiewali wibrującym, olśniewającym unisono, wylewając z siebie wirujący strumień czystych dźwięków, w którym poszczególne głosy zlewały się w jedność.

Nagle odkryłam, że płaczę. Nie nad sobą ani nad moją córką, choć biorąc pod uwagę przeżycia poprzednich dni, to także mógł być powód. Prawdziwa przyczyna była niezwykle złożona. Płakałam, widząc, że świat jest tak piękny.

Mój towarzysz zachrapał, nieświadomy, że pytam samą siebie, jak długo jeszcze będzie mi dane cieszyć się tym pięknem. A kiedy już stanę przed tronem Pana, czy On mnie nie zapyta, jak korzystałam z Jego dóbr?

Jak dotychczas to niezbyt dobrze, pomyślałam, wycierając nos. Pochodzę z dużej rodziny, lecz większą część życia spędziłam w odosobnieniu; urodziłam córkę, lecz jestem bezdzietna.

Te krótkie wakacje nauczyły mnie, że coś się musi zmienić. Właśnie wtedy zdecydowałam się zostać w Dublinie na kolejną noc.

Kiedy wróciłam do hotelu, aby odebrać swoje rzeczy i zameldować się ponownie, byłam zmęczona pod każdym względem, fizycznie, psychicznie i emocjonalnie. Tym razem oczywiście nie miałam problemu z kartą kredytową. Pan Thorpe użył swojego czaru.

- Wszystko załatwione, pani Shine - oznajmił znajomy pracownik recepcji. - Umieściliśmy panią w bardzo przyjemnym pokoju. Mam nadzieję, że się pani spodoba. Życzę miłego pobytu.

Tym razem pokój nie był po prostu „przyjemny”, tylko wspaniały, podzielony na salonik i sypialnię. Ponadto na stole stał kosz pełen owoców. Czary pana Thorpe są naprawdę potężne - z tą myślą rozwiązałam buty i położyłam się na łóżku, żeby odpocząć.

Obudziłam się dopiero pięć minut temu, tuż przed siódmą.

Nadal częściowo pogrążona we śnie, poszłam do łazienki opłukać twarz wodą (na drzwiach wisiały dwa miękkie białe płaszcze kąpielowe!). Czułam, że coś się stało, lecz nie potrafiłam sobie przypomnieć, co to było. A potem zabrzmiał ponownie werbel. Mary lub Eve.

Stoję teraz w swoim pięknym pokoju przy potężnym biurku z podświetlonym lustrem nad głową. Wpatruję się w telefon, gdyż przed rozmową z Claudine muszę zebrać myśli.

Kiedy wiem, co chcę powiedzieć, podnoszę słuchawkę.

Odbiera po trzecim sygnale.

- Halo, czy rozmawiam z Claudine? Mówi Violet - usiłuję nadać swemu głosowi spokojne i zwyczajne brzmienie, co okazuje się dość trudne. - Próbowałam się do ciebie dozwonić. Zostawiłam wiadomość.

- Wiem.

Wydaje się trochę spięta, więc proponuję, że zadzwonię później.

- Claudine, to chyba nie jest najlepsza pora.

- Nie, wszystko w porządku. Dostałam twoją wiadomość, ciociu. Cieszę się, że zatelefonowałaś. Usiłowałam dozwonić się na twój numer domowy, ale nikt nie odbierał. Czy masz uszkodzoną linię?

- Szczerze mówiąc, jestem w Dublinie. Od wczoraj.

- W Dublinie? Jaka miła niespodzianka! - Claudine sprawia wrażenie zaskoczonej, a

nawet trochę zdenerwowanej. - I to już od wczoraj? - ciągnie. - Gdzie jesteś? Przyjechać po ciebie?

- Nie, nie trzeba. Nie martw się o mnie. Wiem, że zapraszałaś mnie do siebie. Naprawdę to doceniam, ale tu mi dobrze. Jestem w hotelu Gresham. Zrobiłam sobie małe wakacje, a pan Thorpe zajął się wszystkim. Następnym razem zatrzymam się u was, obiecuję. Muszę ci coś powiedzieć.

Słucha mojej opowieści o Mary lub Eve. Na koniec dodaje, że będę potrzebowała pomocy.

- Jeśli zechcesz mi pomóc, oczywiście.

- Całym sercem - odpowiada radośnie. - Wspaniale! Bob będzie zachwycony, świetnie! Szczerze mówiąc, sami się zastanawialiśmy, czyby tego nie zrobić za twoją zgodą, rzecz jasna, ale nas wyprzedziłaś. Musisz być zachwycona!

Pomimo radosnych słów i lekkiego tonu wyczuwam w głosie mojej siostrzenicy napięcie. W tle słyszę głosy dwóch mężczyzn.

- Na pewno nie przeszkadzam? Może zadzwonię później?

- Ciociu Violet, posłuchaj... - Milknie na chwilę. Po nagłym stłumieniu wszystkich dźwięków poznaję, że zakryła mikrofon. Jej głos również się zmienił, jest teraz niższy i dużo poważniejszy. Claudine wydaje się jeszcze bardziej spięta. Coś się tam dzieje. Nigdy nie lubiłam rozmawiać przez telefon. Tak trudno wyczuć, co naprawdę ktoś chce powiedzieć. Jeśli nie mogę z kimś rozmawiać twarzą w twarz, wolę pisać listy.

- Ciociu, mam nadzieję, że się nie zdenerwujesz - Claudine podejmuje rozmowę. - Ale my również mamy dla ciebie nowinę.

- Tak? Jaką? - Mary i Eve drżą w swych gniazdkach pod moim sercem. - Mam nadzieję, że to nic złego?

- Zależy, jak na to spojrzeć. Ciociu, mamy tu kogoś, kto chciałby zamienić z tobą parę słów.

Kolejna pauza. Słyszę jakiś dziwny odgłos, a po nim uderzenie, jakby słuchawka upadła.

- Przepraszam, Violet. Możesz poczekać jeszcze chwilkę? - A potem słychać ponaglący szept: - No, proszę coś powiedzieć! Czeka. Szybko, bo się rozłączy!

- Halo? - odzywa się męski głos. - Violet, czy to ty? Tu Coley. Coley Quinn.

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie należę do osób, które łatwo mdleją, lecz tym razem muszę usiąść.

45

Pochylona głowa

Telefon od Violet odebrałam w kuchni, lecz kiedy oddałam słuchawkę Coleyowi, wraz z Bobem wycofaliśmy się do pokoju z telewizorem, aby zostawić im swobodę.

Siedzimy jak na szpilkach, oczywiście ja bardziej przejęta niż mój mąż. Choć nie chcę słyszeć słów Coleya i naprawdę staram się skupić na programie w telewizji, jednym uchem usiłuję rozpoznać ton jego głosu. Nie słyszę nic, a moja wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach.

Wersja optymistyczna - wspominają. A z drugiej strony wersja pesymistyczna - on ją prosi, a ona go odrzuca. Czy go to zniszczy? Czy ją zniszczy? Zniszczy ich oboje?

Po dziesięciu mniej więcej minutach czekanie staje się nieznośne.

- Co się tam dzieje?

- Zostaw ich, Claudine. Muszą dużo nadrobić. - Bob jeszcze zwiększa głośność telewizora i muszę zachować cierpliwość.

Po kolejnych pięciu minutach, które wydają się ciągnąć w nieskończoność, Coley staje w drzwiach.

Włosy ma dziko potargane, jak gdyby szarpał je palcami, i jest straszliwie zdenerwowany.

- Chce się ze mną spotkać. Chce wiedzieć, czy mogę przyjechać do niej do Dublina.

- Jest jeszcze przy telefonie? - Zrywam się na równe nogi.

Coley trzyma kłamkę, lecz wolną dłonią zachęca mnie do wejścia do kuchni.

- Claudine, proszę się pospieszyć...

Wpadam do kuchni i już w „halo” Violet słyszę, że jest równie przejęta jak on. Jakby brakowało jej tchu. Co mam zrobić?

- Violet, chcesz spotkać się z Coleyem dziś wieczorem?

- Czy to możliwe?

- Mogłabym cię tu przywieźć...

- A czy mogłabyś jego przywieźć do mnie? - przerywa mi. - Tak będzie lepiej.

- Oczywiście. Ale jak wróci?

- To dość niezręczna sytuacja, przepraszam za kłopot, ale obawiam się, że trochę pochopnie postąpiłam w kwestii pieniędzy i zostało mi niewiele. Nie mam karty kredytowej, więc byłabym wdzięczna, gdybyś mogła dać Coleyowi pieniądze na taksówkę. Oczywiście oddam przy najbliższej okazji.

- To akurat nie problem. Z przyjemnością, Violet.

- Dziękuję. - Od razu robi się spokojniejsza, lecz martwię się o nią.

- Czy wszystko w porządku? Jesteś pewna, że ma przyjechać dzisiaj? Możemy przywieźć go do Dublina jutro. Na pewno jesteś zszokowana.

- Tak - odpowiada nieco sztywno po przerwie. - Wyjaśnił mi, jak do was trafił i dlaczego jest do tej pory, i dlaczego aż do tej pory... nieważne zresztą. Rozmawiałam z nim i to najistotniejsze. Bardzo was polubił. Jest bardzo wdzięczny. Ja również... - dodaje łagodniejszym tonem. - Claudine, masz wielkie serce.

- Na pewno nie uważasz, że wtykam nos w nie swoje sprawy? - Po raz kolejny czuję ukłucie w sercu.

- Sąsiedzi w okolicy tygodniami leżeli martwi na podłodze w kuchni, gdyż nikt nie chciał się wtrącać. Gdybyś tego nie zrobiła, skarbie, nie siedziałabym teraz w tym pięknym pokoju hotelowym, czekając na Coleya Quinna. Tak naprawdę to chyba wcale by mnie tu nie było, nawet gdybym na niego nie czekała. Nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, w ciągu tych kilku dni, odkąd cię poznałam, wywarłaś potężny wpływ na moje życie. Choć może zabrzmiało to dziecinnie, chyba wyciągnęłaś mnie z grobu, do którego weszłam za wcześnie.

Potężny? To dla mnie zbyt wiele, szczególnie jak na tę rozmowę. Coley pewnie znajduje się w zasięgu głosu.

- Violet, zrobiłam tak niewiele, tyle, ile każdy by zrobił - a potem, aby zmienić temat, pytam: - Czy Coley opowiedział ci coś o swoim dotychczasowym życiu? - Chcę ją przygotować.

- Odrobinę. Obiecał, że wszystko opowie, kiedy się spotkamy.

- Denerwujesz się?

- Jak chyba nigdy wcześniej. Cóż - dodaje ze śmiechem - może nie wyraziłam się zbyt precyzyjnie. Chyba zapomniałam, jak odróżnić zdenerwowanie od podniecenia. Wiek i doświadczenie stępują najostrzejsze krawędzie. Nie jestem zbyt spokojna, ujmijmy to w ten sposób. Ale dlaczego miałabym być zdenerwowana? Jesteśmy przecież parą starych przyjaciół, którzy mają sobie wiele do powiedzenia po długiej rozłące.

Zastanawiamy się obie nad tym stwierdzeniem.

- A może to wcale nie jest takie proste. - Jej śmiech jest bardziej radosny, szczęśliwszy, dźwięczą w nim wyższe tony.

Podobnie jak dostrzegłam namiętność młodego Coleya w złości starszego człowieka, tak w jej śmiechu słyszę echo podnieconego chichotu dziewczyny, którą kiedyś była.

- Zaraz go zawieziemy. Mam nadzieję, że to będzie wspaniały wieczór.

- Ja też.

- I jak? - Coley czai się tuż za drzwiami kuchni. - Jadę czy nie? - Wrócił do dawnego ostrego tonu, który pamiętam z Whitecliff.

- Pewnie, że tak. Czy jest pan gotowy? Patrzy na swoje zniszczone spodnie.

- Nie mogę do niej jechać w tym stroju. - W jego głosie słychać złość, lecz na twarzy maluje się rozpacz.

- Chciałby pan przymierzyć któreś z ubrań Boba? Może coś będzie pasować. Jesteście niemal tego samego wzrostu, tylko że pan wydaje się znacznie szczuplejszy. I nic *się* z tym, niestety, nie da zrobić. Zaraz sprawdzimy.

Dwadzieścia minut później pomagam Coleyowi wsiąść na tylne siedzenie bmw. Grafitowy garnitur Boba jest trochę za szeroki w ramionach, a perłowszara koszula ma za luźny kołnierzyk. Zdecydowałam, że nie powinna być biała, gdyż wzmocniłaby tylko bladość jego cery. Bładoniebieski opalizujący krawat z jedwabiu podkreśla za to kolor jego oczu. Coley zdecydowanie odmówił zabrania kuli, zgodził się jedynie, po długich namowach, wziąć jedną z lasek, które są u nas na wypadek wizyty Louise. Mimo to jednak trudno porównać tego zdenerwowanego chorego człowieka z upartym, pewnym siebie mężczyzną, którego spotkałam w Whitecliff. Kiedy siedzi już bezpiecznie z tyłu samochodu, wiedzona impulsem pochylam się i całuję w świeżo ogolony policzek.

- Wygląda pan wspaniale. Gdybym nie była mężatką, sama bym z panem uciekła.

A potem, aby go nie zawstydzić, wsiałam z przodu obok Boba.

Po drodze do miasta żadne z nas się nie odzywa. Cały dzień padał deszcz, więc kiedy wjeżdżamy na główną szosę, opony rozchlapiją wodę. Zerkam przez ramię na Coleya, lecz siedzi z głową odwróconą w prawo, wpatrzony w uciekającą trawę na poboczu.

Przed hotelem jest miejsce, gdzie można na chwilę się zatrzymać. Bob włącza światła awaryjne i oboje wysiadamy, aby pomóc Coleyowi wyjść z samochodu.

On jednak ma inny pomysł. Odsuwa nas niecierpliwie, chyba podejrzewa, że Violet obserwuje nas z okna. Kiedy więc sam staje na chodniku, prostuje się cały i wchodzi po kilku stopniach, a potem znika za obrotowymi drzwiami, tylko w niewielkim stopniu opierając się na lasce.

Idziemy za nim i zatrzymujemy się tuż przy wejściu, aby się rozejrzeć. Coley stoi tuż obok mnie. Chociaż jest sztywno wyprostowany, kątem oka dostrzegam, że rękaw garnitur Boba drży.

- Zapytamy o Violet w recepcji?

Bob odchodzi, lecz ja zauważam ciocię. Siedzi na krześle w tyle holu, w pobliżu wejścia do restauracji. Dłonie trzyma złożone na zamkniętej książce. Plecy ma proste, kolana, kostki i stopy ustawione idealnie równolegle. Ubrana jest w rozpinany srebrnoszary sweter, blad różową bluzkę i ciemnoszarą spódnicę. Jej skromna biżuteria błyszczy w świetle. Wygląda jak znana aktorka czekająca na swoją kolej. Choć bez wątplenia nas widziała, nie wstaje z miejsca.

- Bob! - wołam cicho. Słyszy mój głos i odwraca się od biurka recepcji, przy którym stanął za hałaśliwą grupą japońskich dziewcząt. - Jest tu - mówię do Coleya.

- Gdzie? - Rozgląda się na wszystkie strony. - Nie widzę jej.

A potem ją dostrzega.

Kiedy Violet widzi, że ją zauważył, wstaje z krzesła.

Coley idzie w jej stronę i właściwie nie kuleje. Laska służy mu bardziej do ozdoby. Trzyma się prosto jak żołnierz.

Bob rusza za nim, lecz go powstrzymuję.

- Nie, zostaw ich. Chodźmy.

Na zewnątrz wieczorne słońce wyjrzało zza chmur i cała O'Connell Street, wraz z robotami drogowymi, skąpana jest w jego promieniach. Zanim odejdę, zaglądam jeszcze przez

szklane drzwi. Stoją oboje przy krześle. Ona przyciska rękami do piersi książkę, on stoi niemal na baczność, a laska Louise ciągnie się z tyłu po podłodze. Choć się nie dotykają, są bardzo blisko siebie, a jego głowa pochyla się nad jej uniesioną w górę twarzą.

46

Syn farmera

Bez względu na to, co podpowiadał rozum, w moim sercu Coley Quinn na zawsze pozostał pełnym wigoru chłopcem.

Owej nocy tata tak mocno zacisnął dłoń na moim ramieniu, że pozostawił mi siniaki, lecz ja, mimo że byłam przerażona, bezustannie oglądałam się za swoim ukochanym. Od tamtej pory widywałam w snach jego postać; zbyt zaskoczony, by wstać, pozostał na klęczkach obok naszego głogu. Jego nagie ciało lśniło niczym muszla w zdradliwym świetle księżycy. Po raz ostatni widziałam go, jak osunął się na kolana i dotykał głową ziemi niczym śmiertelnie ranny koń.

Kiedy teraz staje przede mną, powitanie, jakie pośpiesznie ułożyłam sobie w myślach, odpowiednie dla dwojga starszych ludzi, nie ma sensu.

To on przerywa ciszę, lecz nie mówi nic godnego uwagi.

- Witaj, Violet. - Chyba ma równie niewiele do powiedzenia jak ja. Stoimy naprzeciw siebie, szukając zmian i znajomych cech na swoich twarzach. Nie chcę jednak zwracać na nas uwagi.

- Wejdziemy do baru, Coley?

W jego towarzystwie nie czuję się obco. Nie silę się na szczególną grzeczność ani otwartość, które są obce mojej naturze.

- Nie piję już, Violet. Ale chętnie wezmę wodę mineralną.

- Chodźmy wobec tego do mojego pokoju. Jest wspaniały, mam tam sofę, krzesło, a nawet biurko. Także czajnik i herbatę, kawę, owoce i ciastka.

- Nie będzie ci przeszkadzać, że ludzie zaczną o tobie gadać?

Brzmi to tak zabawnie, że wybucham śmiechem.

- Zobaczą tylko dwoje starszków na trzęsących się nogach.

- Wcale nie czuję się w tej chwili stary.

W jego głosie słyszeć nieśmiałość. Nie pamiętam, żeby był nieśmiały. Uśmiecham się do niego.

- Ja też nie.

Jedziemy windą i nie odzywamy się, póki nie jesteśmy w moim pokoju. Coley zatrzymuje się tuż za drzwiami.

- Miałaś rację, Violet. To świetny pokój. Zamykam za nami drzwi.

- Czy naprawdę jesteś Coleyem Quinnem?

To oczywiście pytanie retoryczne, chcę tylko usłyszeć jego imię.

- Po tych wszystkich latach... - Nieśmiałość zaczyna znikać, w jego głosie pojawia się zachwyty. - Nie możesz być nikim innym, Violet Shine. Nadal jesteś piękna.

Wyciąga dłoń, by dotknąć mojego policzka, i choć to tylko muśnięcie, czuję odciski na jego palcach, a moja skóra zapewne wydaje mu się szorstka. Zamykam jednak oczy i skupiam się na swoich wrażeniach. Oprócz podawania dłoni panu Thorpe i ludziom, którym przedstawiają mnie czasem kobiety na poczcie, nie dotykano mnie od lat. Starych ludzi się nie dotyka, chyba że robi to lekarz lub opłacony masażysta. Coley cofa dłoń i czar pryska.

Nadal stoimy przy drzwiach.

- Zrobię ci herbaty. A może chcesz wody mineralnej?

- Woda wystarczy.

Ruszam w stronę stołu, lecz do niego nie dochodzę. Odwracam się twarzą do Coleya.

- Nie wiem, jak zacząć ani od czego!

- Ja też nie. Mogę usiąść?

- Gdzie tylko zechcesz.

Siada na krześle przy biurku. Podaję mu wodę i przysuwam fotel, by usiąść blisko Coleya. Pograżamy się w dziwnej, przerywanej rozmowie, która przy gasnącym słońcu staje się coraz prostsza. Po przeszło godzinie nasze historie płaczą się ze sobą.

Opowiada o swoich losach chwilami tak zwyczajnie, że ciężko mi sobie wyobrazić, z jakimi trudnościami borykał się w Anglii: te wszystkie wspólne obskurne pokoje, hotele robotnicze, okrutny system wynagrodzeń na budowach, tupet brygadzystów, od których kaprysu zależał los mężczyzn i chłopców w takiej sytuacji jak Coleya. Ta opowieść tak bardzo

różni się od mojej historii: podczas gdy ja żyłam w dostatku, choć to nie zależało ode mnie, on, syn farmera, zmuszony był walczyć o pracę w całej Anglii.

- Trudno powiedzieć, za czym w Irlandii tęskniłem najbardziej, poza tobą, rzecz jasna! - Uśmiecha się teraz swobodnie.

- Pewnie tęskniłeś za Rathlinney. I swoją matką.

- Brakowało mi trawy, ptaków i drzew - mówi powoli. - Morza i wiatru. Nawet irlandzkiego deszczu. Uważasz mnie pewnie za stukniętego.

- Wcale nie. Kiedy więc wróciłeś?

- W... w.... - A kiedy wreszcie mi mówi, jeszcze trudniej mi pojąć, że tyle lat mieszkał pod gołym niebem w Whitecliff.

- Ale dlaczego, Coley?

- Nie wiem właściwie. Chyba po prostu tak chciałem. - Unika odpowiedzi.

Wydaje mi się, że znam powód takiego zachowania, ale boję się sprawdzić; jeszcze na to za wcześnie. Czujemy się teraz swobodniej, lecz podobnie jak podczas rozmowy telefonicznej skupiamy się na wydarzeniach z naszego życia, a omijamy rzeczy najważniejsze. Znowu pada, a blask latarni ulicznej przedostaje się przez strugi deszczu i rozjaśnia pokój. Twarz Coleya i fragment ściany pocięte są niespokojnym snopem światła.

- Zapalić lampę?

- Moim zdaniem nie trzeba. Zgadzasz się?

- Na pewno?

- Lubię ciemność. W ciemności możesz być, kim tylko zechcesz. - Teraz w jego głosie słychać inny ton. Poprzednia swoboda zniknęła.

Zapada cisza. Być może pomogę mu w tej walce, jeśli udało mi się właściwie zinterpretować ton jego głosu.

- Czy Claudine powiedziała ci, że urodziłam córkę? - pytam ostrożnie.

- Nie musiała. Dowiedziałem się wcześniej - a potem on równie ostrożnie opowiada, czego się dowiedział, i chyba uważa, że powinnam potępić doktora Willisa.

- To było tak dawno. Wówczas obowiązywały inne zasady.

Rozważa moje słowa, a później pyta:

- Nie próbowałaś jej odnaleźć?

- Kiedy opuszczałam Whitecliff, wydawało mi się, że jest już zbyt późno i byłoby to

nie w porządku wobec niej. A ty?

- Żeby mogła się chwalić znajomym, że jej ojciec mieszka pod gołym niebem? Nie chciałyby mnie znać, ale...

Źle zinterpretowałam jego myśli. Zmaga się z czymś innym, widzę to i czuję. Musi sam powiedzieć.

- O co chodzi, Coley? - Wyciągam dłoń, aby dotknąć jego kolana, a on przytrzymuje ją w swoich.

- O naszej córce porozmawiamy za chwilę - odpowiada. - Musimy ją odnaleźć, a Claudine i Bob chętnie nam pomogą. Ale jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć, zanim zaczniemy rozmawiać o tamtym.

Jego dłonie mocniej zaciskają się na mojej, aż zaczynają mi trzeszczeć kości. Zauważa to, puszcza moją rękę i przenosi ją, niczym biedronkę na liść, na moje kolana.

- Wolę siedzieć w ciemności, Violet - mówi cicho. - Nie zamierzam mieć przed tobą żadnych tajemnic, a ty może nie zechcesz mnie potem znać, ani jako partnera dla siebie, ani jako ojca naszej córki. Mimo to muszę ci powiedzieć. A będzie mi łatwiej, kiedy nie będziesz mnie dokładnie widziała.

- Nic, co mógłbyś mi powiedzieć, Coley...

- Violet, posłuchaj!

- Słucham.

- Przez telefon nie powiedziałem ci całej prawdy o swoim życiu tam. - Przesuwa dłonią po włosach, a za jego plecami unoszą się dłonie jego cienia, powiększone i zniekształcone w padającym z ulicy świetle. Przeszywa mnie strach, że jego obawy mogą być uzasadnione, że to, co powie za chwilę, może okazać się tak przerażające, iż będę cierpiała wraz z nim, a nawet, co gorsza, jego przewiny zmuszą mnie do odsunięcia go. Teraz, kiedy go odzyskałam, ciężko by mi było to znieść.

- Nie muszę znać szczegółów. Cokolwiek by to było, nie będę cię osądzać. Coley, proszę...

- Ale ja muszę ci powiedzieć i wyznać wszystko, Violet, gdyż w przeciwnym razie nie będę mógł patrzeć w oczy tobie ani sobie również. Sama zdecydujesz, czy potem będziesz chciała mnie znać i czy jestem odpowiednim kandydatem na ojca naszego dziecka.

Siedzę w milczeniu.

- Zszedłem na złą drogę, Violet - mówi Coley mocnym głosem i wyraźnie. - Czy rozumiesz, co mam na myśli? Dlatego właśnie w końcu wróciłem do domu. Dlatego mieszkałem na ziemi twojego taty. Miałem nadzieję, że jeśli pokonam dość dużo trudów, będę czysty, kiedy cię znowu zobaczę. Rozumiesz?

- Rozumiem. - Jestem poruszona, że myślał o mnie tak dużo przez tak długi czas, a czytając między wierszami, czuję ulgę, że ma tylko takie problemy. Podobnie jak chyba wszyscy, oglądałam filmy dokumentalne o życiu irlandzkich robotników w Anglii i ludziach pracujących na akord. - Coley, chodzi ci o alkohol? Pijatyki? Bójki?

- Taaa, i jeszcze więcej.

Siedzę nieruchomo. Nie widzę jego oczu: jest zbyt ciemno. Deszcz przestał padać i choć na twarzy Coleya nadal odbija się wzór z kropli, teraz się nie porusza.

- Więcej?

- Nie było cię tam, Violet - płacze. - Wtedy wierzyłem, że jesteś w Ameryce, że wyszłaś za męża. Myślałem, że odeszłaś ode mnie na zawsze! Było mi wszystko jedno, co robię...

- Czy chcesz mi powiedzieć, że miałaś inne kobiety?

- Żadna z nich nic dla mnie nie znaczyła. Zawsze byłem pijany. Nie potrafiłbym wymienić imienia nawet jednej z nich. Ty byłaś moja na zawsze, moja czysta, śliczna Violet. Lecz ciebie nie było. Przepraszam, może nie powinienem ci tego wszystkiego mówić, ale musiałem. Pójdę już.

Usiłuje wstać, lecz potyka się i niemal przewraca. Chwyta za róg biurka.

- Cholera! Gdzie ta pieprzona laska?

Wstaję powoli i zapalam najbliższą lampę przy oknie. Czuję, że werbel, który ucichł na cały wieczór, teraz odezwał się ponownie. Coley patrzy w światło jakby oślepiiony. Znalazł laskę i opiera się na niej całym ciężarem.

- Jesteś durniem, Coleyu Quinn. - Odsuwam się od lampy i powoli idę w jego stronę. - Tyle hałasu... czekałam, aż wyznasz, że jesteś mordercą czy coś w tym stylu. - Czuję się wyższa, niż naprawdę jestem. Czuję się niezwykła, mam swoją własną armię, jestem panią swojego królestwa.

- Jakim mordercą? - Wydaje się zbity z tropu.

- Nawet gdybyś miał tysiąc kobiet co noc, nie ma drugiej takiej miłości jak nasza. Nie

obchodzi mnie, czy był to milion kobiet, czy milion milionów pomnożone przez milion.

Wyraz jego twarzy jest niemal komiczny. Moja reakcja prawdopodobnie okazuje się dokładnie przeciwna do tej, której oczekiwał, przygotowując swoją spowiedź. Nie zachowuję się tak jednak, aby zwiększyć dramatyzm sytuacji, ani po to, by go pocieszyć czy też zatrzymać przy sobie - naprawdę tak właśnie czuję. Nie interesowałoby mnie nawet, gdyby był z każdą istotą płci żeńskiej w całej galaktyce.

Możliwe, że mój stosunek do całej tej sprawy byłby bogatym polem do badań dla psychologa. Może to przywilej podeszłego wieku - łatwiej wówczas przyjąć świat takim, jaki jest, i nie próbować go zmienić zgodnie z własnymi pragnieniami, lecz podejrzewam, że to podejście zawdzięczam długiemu odosobnieniu. Nie wiem, dlaczego wierzę, że prawdziwa miłość, odporna na wpływy świata zewnętrznego, naprawdę istnieje. Takiej miłości, jeśli już przyjdzie, nic nie jest w stanie zniszczyć. Przetrwa rozłąkę, zewnętrzne przeszkody, a nawet wysiłki samych zakochanych, aby ją zniszczyć czy stłumić.

Przeżyje nawet śmierć. Mogłam nigdy więcej nie spotkać Coleya Quinna na ziemi, lecz i tak bym go kochała. Nie przestałam nigdy wierzyć, że on podziela moje uczucia i nasze dusze w końcu się połączą.

Kiedy się zestarzałam i zdałam sobie sprawę, jak to wygląda z zewnątrz (takie myśli są nieodpowiednie dla siedemdziesięciosześcioletniej kobiety), być może przez chwilę czy dwie zawahałam się w swoich przekonaniach. Co wcale nie oznacza, że w nie zwątpiłam. Teraz moja miłość powróciła i wcale mnie nie interesuje, co myślą inni. Czy ktokolwiek ma prawo dyktować, jakie uczucia są odpowiednie dla osoby w jakimkolwiek wieku, starej czy młodej? Starych ludzi nie można przecież odłożyć na półkę niczym akta w archiwum.

- Nie przeszkadza ci to? - Nadal patrzy na mnie, jakbym zwariowała.

- Raczej nie interesuje. I nie musisz mi powtarzać, że te kobiety nic dla ciebie nie znaczą. Wiem to. Nie mogły znaczyć. Dla mnie też są nieważne. Jesteś mój i tylko mój, i nigdy nie będziesz należał do nikogo innego. - Unoszę mu głowę i całuję go w usta.

Innymi słowy, zwykła miłość

Później tego wieczoru, w łazienkach naszych osobnych sypialni, oboje z Bobem szukamy się do snu.

Po drodze do domu zatrzymaliśmy się w Coachman's Inn w pobliżu lotniska. Jak zwykle restauracja była wypełniona pracownikami lotniska i ludźmi dojeżdżającymi do pracy z okolicznych miejscowości, którzy zatrzymali się tu, aby coś zjeść. Panujący wokół hałas utrudniał rozmowę, ale Bob poruszył kwestię Whitecliff.

- Nadal masz ochotę kupić ten dom?

- Ta sprawa musi trochę poczekać - odpowiadam szczerze. - Chyba można bezpiecznie stwierdzić, że wydarzenia przejęły nad nami kontrolę.

- A powiesz mi, jak się namyślisz? - Uśmiecha się kpiąco. - Nie chciałbym, żebyś była inna, ale czasem trudno za tobą nadażyć.

Po jednym tylko drinku jedziemy dalej. W drodze do domu Bob mówi, że powinniśmy szukać córki Violet na różne sposoby.

- Pamiętasz, kiedyś wspomniałem ci, że mamy w bazie danych prywatnego detektywa. Sprawdziłem go, cieszy się dobrą opinią. Co mamy w końcu do stracenia?

- Wydawało mi się, że wolałbyś się nie angażować?

- Oczywiście, ale mówiłem tak, kiedy to ciebie ponosiło. Bałem się, że Violet za tobą nie nadaży. Jak jednak zauważyłaś przed chwilą, wydarzenia przejęły nad nami kontrolę. Zgadzasz się więc na wynajęcie tego faceta? W końcu im szybciej znajdziemy tę kobietę, tym szybciej życie wróci do normy. Całkiem jak w sztuce, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Jest jakby smutny i zdaję sobie sprawę, że w całej tej sprawie nie brałam pod uwagę jego reakcji ani uczuć.

- Jak sądzisz? - ciągnie. - Moglibyśmy to zasugerować tym dwóm gołąbkom.

- Bob, nie bądź złośliwy!

- Nie jestem! - Jest szczerze zaskoczony. - Mówiłem tak o nich z sympatią. Na litość

boską, jestem w to wszystko wplątany na równi z tobą.

Ma rację, pomyślałam, spoglądając na niego z boku. Dostosowywał się i pomagał. Tak chyba jest w małżeństwie - na początku jest się przekonany, że partner będzie spełniać wszystkie twoje życzenia, a potem to przekonanie wali się w gruzy i rozczarowanie zmienia się w żal, który nie pozwala ci dostrzec zalet, jakie widziało się w ukochanej osobie przed tym wszystkim.

- Dziękuję, Bob.

- Za co? - Zerka na mnie nieufnie. Nie widzę jego oczu, ukrytych za specjalnie barwionymi okularami, które nosi, prowadząc samochód w nocy lub o zmierzchu.

- Nie wiem. Może za to, jaki jesteś.

Nie odpowiada, kieruje wzrok na jezdnię. Siedzę zażenowana, gdyż to, co właśnie powiedziałam, nie pasuje do innych słów, które padły między nami w ostatnim czasie, ani do spoliczkowania go. Nie chcę rozgrzeszać Boba, lecz być może przejęłam coś z podejścia Violet.

- Zastanawiam się, co się dzieje między nimi.

- Tego się nie dowiemy. Są rzeczy, których nie powinniśmy wiedzieć.

- Masz rację. - Lecz kiedy jedziemy do domu przez ciemniejące pola po obu stronach drogi, robi mi się coraz bardziej rzewnie. Choć nie widziałam ich biegnących w zwolnionym tempie ku sobie przez łąkę stokrotek, naprawdę mam nadzieję, że Violet i Coley są razem w jakiś sposób. Z całą pewnością zasłużyli na to.

Myję zęby i nadal się nad tym wszystkim zastanawiam, kiedy rozlega się pukanie do drzwi łazienki.

- Claudine, możemy porozmawiać?

Bob ma na sobie szlafrok, który kupiłam mu na Gwiazdkę. Z tonu i wyrazu twarzy mojego męża wnioskuję, że to coś poważnego.

- Czy to nie może poczekać? Jestem naprawdę zmęczona. - Mówię szczerą prawdę, bolą mnie plecy i nogi. - Czy znowu chodzi o kwestię przebaczenia?

- Częściowo tak, ale jest coś, co chciałem ci powiedzieć od dawna. Pewnie to może poczekać, ale nigdy nie ma odpowiedniej chwili, prawda? Pamiętasz, jak poprosiłaś o pięć minut rozmowy w sprawie Whitecliff? Możesz mi teraz poświęcić pięć minut?

- Wejdz. - Płuczę usta i zakręcam wodę. Jestem pojętna.

W sypialni ja wchodzę do łóżka, Bob zaś siada na fotelu, w którym czasem czytam. Światło w pokoju jest łagodne, być może dzięki przewadze koloru kremowego. Wieczorem ten pokój, oświetlony lampką nocną i światłami na toalecie, wydaje się spokojny i przytulny. Bob bawi się jednym z guzików fotela.

- Chodzi o to - mówi, a potem ciszej dodaje - ja wiem, że nie mogę równać się z twoim tatą, Claudine. Zawsze to wiedziałem.

- Co? - To wyznanie jest tak nieoczekiwane, że siedzę oniemiała.

- Słyszałaś przecież. Bez względu na to, czy zdawałaś sobie z tego sprawę czy nie, w ciągu całego naszego małżeństwa oceniałaś mnie przez pryzmat swojego ojca, a jemu nikt nie zdołałby dorównać.

Mój mechanizm obronny włącza się sam.

- Nigdy nie powiedziałam nic, co mogłoby dać ci powód do takich sądów.

- Nie musiałaś. Osobowość twojego ojca nadała ton całemu naszemu związkowi. Wiem, że twoim zdaniem powinienem być taki jak on, dbać o ciebie tak jak on. Przepraszam, że nie udało mi się osiągnąć tego, co on. Lecz jeśli nie stanie się nic nadzwyczajnego, na przykład nie wygram w totka - ciągnie z uśmiechem - to chyba muszę uznać, że osiągnąłem szczyt swoich możliwości pod względem zarabiania pieniędzy, a jeśli to ci nie wystarczy, zrozumieć.

- Co ty mówisz, jakie „zrozumieć”? Co masz zrozumieć?

- Zrozumieć, jeżeli będziesz chciała ode mnie odejść. Szczególnie po tej zdradzie. Wiem, że trochę się czołgałem przed tobą, błagałem o przebaczenie, ale zrozumieć, jeśli nie będziesz w stanie mi przebaczyć. Naprawdę. Zasługujesz na to, co najlepsze, a może ja taki nie jestem.

- Ta sprawa jest już skończona, Bob. Kocham cię! - wołam i wiem, że naprawdę tak myślę. Uciekam przed wyznaniem Boba, szczególnie wobec tych wszystkich wyrw, które ostatnio powstały w mojej ocenie taty. To takie smutne. - Słuchaj - wychodzę spod kołdry, żeby być bliżej niego - w małżeństwie nie ma nic pewnego ani naukowego. Musimy sobie radzić. Może zapomniałam, kim jesteś, i jest mi z tego powodu bardzo przykro. A także dlatego, że porównywałam cię z tatą. Może rzeczywiście tak było i muszę się nad tym zastanowić, ale to twoje uczucia są w tej chwili najważniejsze. Jeśli zaś chodzi o firmę, nie jestem, powtarzam, nie jestem rozczarowana, że nie zostałeś jej właścicielem. Wydawało mi

się, że to ty się tym dręczysz. Przyjmuje to z ulgą.

- Ja byłem rozczarowany, gdyż myślałem, że ty tego chcesz.

- Chyba będziemy musieli popracować nad umiejętnością komunikacji w naszym związku.

- Chyba tak. - Bob się uśmiecha. - Czy naprawdę mnie kochasz?

- Tak. - Wychodzę z łóżka i idę dookoła toaletki, żeby zostawić sobie czas na myślenie. A potem opieram ręce na stoliku i odwracam się w stronę męża.

- Kocham cię. I już dotarło do mnie, że umieściłam tatę na nieprawdopodobnie wysokim piedestale. - Wyznanie to jest dla mnie bolesne, lecz mówię dalej. - Byłam taka rozpieszczona. Ojciec nie powinien mi pozwolić, żebym traktowała Pamelę w ten sposób. Była jego żoną. I nie powinien mi wmawiać, że cała rodzina mamy wymarła, powinnam mieć kontakt z dziadkami. Gdyby to zrobił, kto wie... Może życie byłoby bardziej łaskawe dla Violet, a z całą pewnością dla mnie. Jakakolwiek rodzina, nawet taka jak ta, jest lepsza niż jej brak. Nigdy się nie dowiem, dlaczego to zrobił.

- Przyznajesz więc, że jednak był człowiekiem?

- Do tego się nie posunęłam. - Teraz to ja się uśmiecham, a potem dodaję ostrożnie: - Przebaczyłam ci tamto i spróbuję więcej nie myśleć o tej sprawie. O ile mi się to uda. I tak nie myślałam za dużo, miałam tyle innych rzeczy na głowie. Wybrałeś dobrą porę.

- Pewnie mam szczęście jak czarny kot - mówi automatycznie, a później się przyznaje: - nie zamierzałem o tym wspominać, ale rozmawiałem z nią. Powiedziałem, że już wiesz. Nie będzie cię nękać.

- A co myślisz o tym teraz? - Nie potrafię się zmusić do wypowiedzenia „niej”.

- Nic - odpowiada cicho Bob. - Ale to nie do końca prawda, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

- Chcę. - Może jestem masochistką, jednak wydaje mi się, że chcę.

- Ulżyło mi, że pozbyłem się problemu. Mam na myśli ją - wyjaśnia, nie patrząc na mnie. - Jest mi przykro, że musiałem cię zasmucić. I że byłem taki głupi. - Wzrusza ramionami. - To wszystko. Nie chciałbym drugi raz znaleźć się w takiej sytuacji. Może nie mówię tego zbyt często, ale jesteś dla mnie wszystkim. To wydarzenie podziałało jak zimny prysznic. Zobaczyłem, że mogę cię stracić, stracić te wszystkie kaprysy i szaleństwa, i byłem przerażony.

- Jakie kaprysy i szaleństwa? - Nie jestem zła i on to wie.

- Mam pomysł. Chcesz wyjść za mnie jeszcze raz? Poprzedni ślub nie był zbyt udany.

- Bob, nigdy wcześniej mi nie mówiłeś, że nie podobał ci się nasz ślub.

- A tobie się podobał?

- Cóż... - Przypomniałam sobie szybkie przejście przez niemal pusty kościół, samotne, bez ojca i matki, nawet bez macochy. Przede mną, w niebieskiej sukience z falbankami, szła dziewczyna, której właściwie nie lubiłam. Kościste, wywatowane ramiona Boba czekały na mnie w pierwszej ławce.

- Daj mi chwilę, Bob. Wtedy jeszcze opłakiwałam śmierć taty, denerwowałam się z powodu sprawy w sądzie - to wszystko mi nie pomagało.

- Wiem. To była długa żałoba. I brzemiennie w skutki zaręczyny.

Przyglądam mu się uważnie.

- Mówisz poważnie?

- A jak myślisz? Nie musi to być huczny ślub.

- To szalony pomysł... - Lecz już zaczęłam się nad nim zastanawiać. - Przemysłmy to, dobrze?

Idę w stronę łóżka i całuję go w policzek. Bob chwyta mnie za ramiona.

- Dziękuję, Claudine.

- Proszę bardzo. - A potem żadne z nas nie wie, co powiedzieć.

- Zaryzykuję więc jeszcze coś - mówi Bob w końcu.

- O, Boże, coś jeszcze? Czy na jedną noc nie wystarczy? - Ponownie siadam na łóżku.

- To tylko chwila. Wspomniałaś o Pameli.

- I co? - Sztywnieję na samo wspomnienie.

- Wiesz, że ją lubiłem. A teraz minęło już tyle lat... Czekaj chwilę.

Wstaje z fotela, wychodzi z mojej sypialni i słyszę, jak zbiega po schodach do pokoju, w którym śpi. Kiedy wraca, trzyma w dłoni stary portfel, do którego pieniądze są jedynie przypadkowym dodatkiem. Portfel jest gruby, ma mnóstwo kieszonek wypchanych wizytówkami, paragonami, kawałkami papieru z nabazgranymi numerami telefonów. Bob kładzie go na łóżku i przetrząsa wszystkie zakamarki, rozrzucając wokół zawartość.

- Tyle lat czekałem, żeby ci to pokazać... gdzież to jest? Wiem, że tu wkładałem...

Jestem zaskoczona.

- Co? Czego szukasz?

- Jest! - Triumfalnie wyciąga kartkę poskładaną na cztery części. Jej brzegi pożółkły ze starości. - Pamiętasz? - Rozwija i podaje mi papier.

To list od Pameli, który przysłała nam razem z pięcioma tysiącami dolarów.

- Zatrzymałeś go? - Jestem po raz kolejny zakłopotana.

- Uznałem, że możesz kiedyś potrzebować jej adresu.

Siadam na łóżku.

- Uważasz, że powinnam się z nią skontaktować. Ale pewnie już tam nie mieszka.

- Przecież mogła zostawić nowy adres.

- Może nie żyje.

- To możliwe. Cee, ja nie naciskam. Daję ci go po prostu. Jak już mówiłem, wydawało mi się, że będziesz chciała to mieć. Kiedyś.

- Jesteś taki głupiutki! W najwspanialszy ze wszystkich sposobów.

- Ty też nie jesteś taka zła. - Przegląda bałagan, który powstał po wyrzuceniu zawartości portfela na pościel. - Posprzątam to. - Zaczyna zbierać karteluszkę. - Nawiasem mówiąc - pyta zwykłym tonem - pamiętasz nasz zakład? Nowy samochód?

- Ten zakład chyba jeszcze trwa. Nie miałam kiedy iść do biblioteki.

- Zapomnij o zakładzie. Wczoraj zamówiłem samochód. Zaslugujesz na niego bez względu na wynik. I zamówiłem go, nie wiedząc jeszcze, czy mnie nie wyrzucisz.

- Och, Bob! Nie miałam takiego zamiaru... nigdy! Hej, to chyba nie jest łapówka, co? - żartuję, lecz on najwyraźniej nie.

- Nie, w żadnym wypadku. Nazwijmy to prezentem. - Sięga po moją dłoń. - Chcę ci pokazać i powiedzieć, i to po raz ostatni, bo nie mam już na to wszystko siły, że żałuję tego, co zrobiłem. Ty jesteś moim największym prezentem, Claudine. Dziękuję ci.

Bob nie jest pochlebcą. To największy komplement, jaki usłyszałam od niego w ciągu całego naszego życia. Zaczyna zbierać swoje szpargały.

- Zostaw to. - Chwytam jego głowę i przyciągam do siebie. Całuję go, tym razem w usta.

Pocałunek przeradza się w coś więcej i kochamy się, w ciszy, lecz namiętnie, w naszym własnym łóżku. Dwoje ludzi w jednakowej sytuacji, równie ułomnych i z równie dobrymi intencjami. Najważniejsze jest jednak to, że przebaczymy sobie nawzajem i rozgrze-

szamy się. Innymi słowy, zwykła ludzka miłość.

48

Przekonania

Smak ust Coleya różnił się oczywiście od tego, który tak wytrwale przechowywałam w pamięci, i choć po otrząśnięciu się z zaskoczenia odwzajemnił mój pocałunek, zachowaliśmy się skromnie. Nie byliśmy już trawionymi pożądaniem dziećmi, nie pozostałam jednak całkiem obojętna.

Przyjrzelśmy się sobie nawzajem.

- Coleyu Quinn, co będziemy teraz robić?

- A co chcesz robić? - Był poruszony. - Czy naprawdę nie interesują cię tamte kobiety?

- Naprawdę. Być może zostało nam bardzo mało czasu, kto to wie? Po co go marnować? Przeszłość jest martwa, lecz my żyjemy.

- Ty jesteś moją jedyną kobietą, Violet Shine. - Zrobił krok naprzód i wziął mnie w ramiona. Odkryłam, że drży i przytuliłam się do niego mocno.

Po tak pomyślnym początku ogarnęła nas nieśmiałość. Wstydziliśmy się swej nagości tak samo, jak wtedy pod drzewem głogu - lecz z lepszym skutkiem. Tak więc, w cichym porozumieniu, weszliśmy do wielkiego łóżka tylko częściowo rozebrani. Całowaliśmy się, przytulaliśmy i rozmawialiśmy do późna, lecz nie kochaliśmy się. Nie sądzę, że jedynym powodem był wiek. Chyba obawialiśmy się oboje, że bez względu na naszą miłość fizyczna namiętność może okazać się jedynie powierzchowna. Odnaleźliśmy się po tylu latach i teraz nam to wystarczyło.

Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, a rozmowa nie sprawiała nam trudności. Leżeliśmy obok siebie w łóżku, trzymałam pomarszczoną dłoń Coleya, a jego ciężka głowa spoczywała na moim ramieniu. Albo moja na jego. Wypiliśmy cały skromny zapas herbaty. (Rozważaliśmy możliwość zadzwonienia do obsługi, żeby przyniesiono nam herbatę i coś do jedzenia, lecz wybuchnęliśmy gromkim śmiechem, wyobrażając sobie minę biednego

kelnera na nasz widok). Taka zabawa i plany sprawiały nam radość, jakbyśmy ciągle byli dziećmi.

Skończyliśmy rozmawiać niemal o trzeciej nad ranem, kiedy Coley zasnął. Leżałam jeszcze długo, rozmyślając nad tym, co powiedział na temat naszej córki.

Sama poruszyłam temat, opowiadając o Mary lub Eve.

- To na pewno jedna z nich. Czyż to nie wspaniała wiadomość?

Coley do tej chwili był rozbawiony i zrelaksowany, lecz niespodziewanie zrobił się spięty. Nie takiej reakcji oczekiwałam.

- O co chodzi? Powiedz mi.

Usiadł tak, by móc patrzeć mi w oczy i wziął mnie za ramiona.

- Strasznie mi przykro, że właśnie ja muszę ci to powiedzieć. Wspaniale, że masz te nazwiska, z pewnością uda nam się ją teraz znaleźć, nie martw się. Ale nie było żadnego małżeństwa z Ameryki - i opowiedział mi, co się naprawdę stało.

- Nie została zabrana... Nie rozumiem.

Nie mogłam znieść bólu, jaki sprawiały mi jego palce wbijające się w moje ramiona. Niestety, rozumiałam wszystko aż za dobrze. Wpatrywałam się w Coleya, którego oczy znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od moich.

- Mogła więc cały czas być w Irlandii?

- Mogła. Albo gdziekolwiek indziej. - Rzucił się na łóżko, przyciągnął mnie do siebie i zaczął kołysać. - Wiem, ile to dla ciebie znaczy. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem zabić tego nędznika Willisa. Gdybym mógł cokolwiek zrobić, zrobiłbym to. Powinienem był coś zrobić. Zawiodłem cię.

- Nikogo nie zawiodłeś. - Jego pierś przytłumiła mój głos.

- Zawiodłem, zawiodłem, ale nie wiedziałem, gdzie jesteś.

Przycisnął mnie do siebie tak mocno, że nie mogłam oddychać. Uwolniłam się z jego objęć. Nie myślałam o doktorze Willisie. Usiłowałam pogodzić się z faktem, że rodzice okłamali mnie w tak ważnej sprawie. Ich zachowanie było tak niezrozumiałe, że nie potrafiłam go dopasować do dwóch znanych mi dobrze uczciwych osób.

Pozbierałam myśli i najlepiej, jak potrafiłam, usiłowałam przekonać Coleya do tego, co mówiłam w kontekście jego minionej „nieprawości”, a mianowicie, że patrzenie w przeszłość nie ma sensu.

- Do tej pory żyła tak, jak żyła. Mam informacje z jej aktu urodzenia. Idziemy na przód.

Powiedziałam mu też, że w gruncie rzeczy to odkrycie nie zmieniło nic w naszej obecnej sytuacji.

Nie da się wszakże jednym ruchem całkowicie odwrócić czegoś, w co wierzyło się tyle lat.

Przez większą część życia wyobrażałam sobie swoją córkę jako zdrową, szczęśliwą Amerykankę, która być może jest kimś wybitnym w wybranej przez siebie dziedzinie - jako rekompensatę mojego własnego zrujnowanego życia. Ta wiadomość zaś pozbawiła jakiegokolwiek sensu moje długoletnie usilne dążenia do opanowania instynktu macierzyńskiego - powinnam była zrobić wszystko, by odnaleźć córkę.

Bez względu na motywy postępowania rodziców, jaką różnicę z ich punktu widzenia stanowiło powiedzenie mi prawdy? I tak byłam uwięziona.

Już niemal świta. Bliskość Coleya jest tak dziwna, a jednocześnie cudownie uspokajająca. Dziwna, gdyż poza przytulaniem się do siostr w dzieciństwie nigdy wcześniej z nikim nie spałam, nie wspominając nawet o kimś takiej postury jak Coley Quinn. Jego uspokajająca siła polega na tym, że w tak trudnej chwili mam przy sobie kogoś, kto mnie rozumie.

Kiedy usnął, próbowałam dostosować swój oddech do jego i odwracałam się wraz z nim, aby zawsze przytulać się do jego długich pleców. Teraz leży częściowo owinięty wokół mnie. Jedną rękę trzyma na mojej talii, a jego brzuch i klatka piersiowa są tak blisko.

Zdecydowałam się uwierzyć, iż rodzice mnie okłamali. Będę myśleć, że kierowało nimi jakieś pokręcone współczucie. Odbierając mi wszelką nadzieję, jaką mogłam wiązać z odnalezieniem córki i stwarzając mi możliwie dobre warunki życia w więzieniu, pragnęli zapewnić mi spokojne życie.

Muszę w to wierzyć, gdyż próba osądzenia ich sprawi, że uznam oboje za wrogów, a żadne dziecko nie może tak myśleć o swoich rodzicach. To przeciwko naturze.

Seymour Brick

Po naszym nocnym pojednaniu obudziliśmy się dość późno i z powodu zamieszania towarzyszącego pospiesznemu szykowaniu się do wyjścia zanoszę śniadanie Coleyowi dopiero o wpół do dziewiątej. Nie dziwię się, że w nocy nie słyszałam jego powrotu. Spałam tak mocno, że wchodząc do kuchni, nadal czuję, jak bardzo odpoczęłam.

Zastaję puste i pościelone łóżko.

Natychmiast dzwonię na komórkę Boba.

- Nie sądzisz, że coś mogło się stać któremuś z nich?

- Zadzwoniliby wtedy. Albo zrobiliby to ktoś inny. Złe nowiny rozchodzą się szybko.

Pewnie po prostu było za późno.

- Więc został z nią?

- I co z tego? Dlaczego cię to dziwi? Mają sobie mnóstwo do powiedzenia.

- Żartujesz sobie? Czy myślisz, że oni... no, wiesz. - Odganiem obrazy podsuwane mi przez wyobraźnię.

- Claudine, to nie twoja sprawa.

- Wiem. Ale czy nie byłoby to wspaniałe?

- Do zobaczenia wieczorem. A teraz zostaw ich w spokoju. Są dorośli i mają wszystkie klepki. - Bob rozłącza się ze śmiechem.

Dzwonią na moją komórkę, kiedy rozmawiam z klientką zainteresowaną połową bliźniaka w Balbriggan.

- Przepraszam na chwilę - oznajmiam dziewczynie, która ma już jeden dom na tym osiedlu i zastanawia się nad kupnem drugiego w charakterze inwestycji. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat, jest samotna i zajmuje niższe stanowisko w bankowości. Oto nowa Irlandia.

Rozmawiam z Violet i moja ciocia wydaje się dość przytomna. Pyta mnie, jak zwykle dystyngowanym tonem, czy „ewentualnie mogłabym” przywieźć rzeczy Coleya do Gresham przed odjazdem pociągu o piątej trzydzieści.

- Zgodził się ze mną pojechać. Jego kostka jest w znacznie lepszym stanie. Czy mo-

głabyś przekazać to pielęgniarce? Oczywiście zwrócimy ci pieniądze, które mu dałaś na taksówkę, gdyż nie będą mu potrzebne. Chyba jednak musi zatrzymać laskę. Czy mógłby zostawić sobie również ubranie Boba? Oczywiście oddam garnitur do pralni.

- Violet, nie martw się tym. - Patrzę na zegarek. Właśnie minęła jedenasta. W porze lunchu idę na kolejne spotkanie, lecz popołudnie mam wolne. - Co będziecie robić przez ten czas?

- Spędzimy trochę czasu w Dublinie.

- Wobec tego do zobaczenia o czwartej. Podrzucę was na pociąg.

- To będzie... - Telefon milknie. Skończyła im się karta.

Niepotrzebnie się o nich martwiłam, myślę, i wyłączam komórkę. Mają wszystkie klepki, jestem tego pewna.

Czekają na mnie w hotelowym holu. Usiłuję zachowywać się zwyczajnie, jakby nie spali ze sobą po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat i jakbym po prostu wyświadczała przysługę znajomej starszej parze. Wydarzenia ostatniej nocy musiały mieć dla nich ogromne znaczenie, gdyż dostrzegam w obojgu ogromną zmianę. Wyglądają inaczej i często używają słowa „my”. Z tą myślą pakuję ich na tylne siedzenie samochodu wraz z jedną z toreb podróżnych Boba, do której spakowałam cały dobytek Coleya. Kiedy zbierałam jego rzeczy, odkryłam pęk kluczy i ich widok mnie rozbawił. Nie było wśród nich naszego klucza od domu, Coley z oczywistych względów zabrał go ze sobą. Pomyślałam, że ten komplet kluczy musiał pasować do zamków w Whitecliff. Miał je w kieszeni podczas wypadku.

Kiedy wleczeni się Quays Street do stacji Heuston, poruszam temat posiadłości. Tommy O'Hare znowu się upomniał.

- Ciociu, myślałaś już o tym? - pytam i w oczekiwaniu na odpowiedź patrzę na odbicie Violet w lusterku.

- Miałam mętlik w głowie - odpowiada i wymieniają z Coleyem znaczące spojrzenia - obiecuję jednak, że zastanowię się nad tym poważnie po powrocie do domu. I muszę porozmawiać na ten temat z panem Thorpe. Rozumiesz, że muszę to zrobić?

- Nie spiesz się - zapewniam, a przed oczami staje mi wykrzywiona wściekłością twarz mojego szefa.

Na peronie jesteśmy tuż po piątej. Choć pociąg już stoi i zaczyna się zapelniać, stoimy jeszcze przed bramką.

- Będę za panem tęsknić, proszę uważać na tę kostkę. - Muszę krzyczeć, gdyż pod żelaznym dachem pracuje tak wiele silników diesla. - Za tobą też, ciociu. Cieszę się, że mogłam cię znowu zobaczyć.

Violet wręcza mi kawałek papieru, efekt wizyty w Urzędzie Stanu Cywilnego.

- Wydaje mi się, że to może się przydać. - Ona również musi krzyczeć.

- Masz rację. - Pełna podziwu dla jej przedsiębiorczości wkładam notatki do torebki. - Chyba powinniście wejść i zająć sobie miejsca.

Coley usiłuje jeszcze zwrócić mi pieniądze, które dałam mu na taksówkę.

- Bob by mnie zabił, gdybym wzięła je od pana z powrotem. Tu jest wagon restauracyjny, zjedzcie sobie coś, proszę.

Coley patrzy na Violet, która uśmiecha się z zachwytem.

- Dobrze więc - mówi - ale wkrótce oddamy pani te pieniądze.

Violet dziękuje mi „za wszystko”. Przytulam ją, a Coleyowi podaję rękę. Pokazują bilety i przechodzą przez bramkę, a potem przez kilka minut patrzę, jak idą wzdłuż pociągu, szukając miejsca. Zatrzymują się co chwila, by zajrzeć przez okno do przedziału. On trochę utyka, ona idzie wyprostowana jak królowa.

Trzy dni później umawiamy się ze znalezionym przez Boba prywatnym detektywem, maleńkim człowieczkiem pochodzącym z Nowej Zelandii, który nosi fantastyczne imię Seymour. Seymour Brick.

Nie udało mi się umówić z poleconą przez Rosemary pracownicą opieki społecznej: ta kobieta zawsze pada z nóg. Ja zaś, ze względu na niedawne przerwy w pracy, usiłuję teraz nadrobić stracony czas i nie mam czasu jechać do Dublina, żeby przeszukać archiwa. Bob więc bez trudu przekonał mnie, że doświadczony detektyw będzie w stanie szybciej coś osiągnąć, jeśli w ogóle cokolwiek da się osiągnąć.

- Państwo Ehrmstrong, to delikatna sprawa - oświadcza pan Brick, siedząc za porysowanym biurkiem w niepozornym gabinecie mieszczącym się w niewielkim budynku na przedmieściach Dublina. - Mamy duże *osiongnięcia* w odnajdywaniu zaginionych osób, lecz nie działamy poza prawem. Mam nadzieję, że państwo to *rozumiom*? Jeśli *któs* chce być zaginiony, próbujemy go namówić w imieniu klientów, ale w końcu musimy dać spokój.

- Ona nie zaginęła.

- Takie przypadki traktujemy jak osoby zaginione - stwierdza detektyw rzeczowo. -

Pani Ehrmstrong, wiemy, co robić. Nie musi się pani martwić.

- Przepraszam. - Wręczam mu dwa imiona i nazwiska osób zgłaszających urodzenie dziecka, które Violet znalazła w urzędzie, a potem powtarzam sugestię Boba dotyczącą archiwalnych numerów gazet, podkreślając przy tym, że zależy nam na czasie. - Jej rodzice mają już prawie po osiemdziesiąt lat.

- Rozumiem, państwo Ehrmstrong. - Wkłada kartkę w okładkę segregatora i pisze na niej nasze nazwiska, co przywraca mi pewność siebie i mnie podnieca, choć ani wygląd zewnętrzny, ani miniaturowy trzyczęściowy garnitur detektywa nie robią na mnie dobrego wrażenia. Wpłacamy zaliczkę na poczet należności i drugą kwotę na pokrycie wydatków, a potem opuszczamy biuro.

Przez kolejne dni nadal zajmuję się pracą. Tommy ostatnio zdobył uprawnienia konsultanta do spraw hipoteki i zawałony jest papierami. Na dodatek klientom z konsorcjum Greenparks wreszcie udało się jakoś porozumieć i u nich też jest gorąco. Tak więc tylko dzwonię co parę dni do Violet, aby zapytać o jej zdrowie i o stan Coleya i aby ją zapewnić, że detektyw cały czas działa, lecz poza tym moje życie wygląda jak przed poznaniem ciotki. Ona nie przepada za pogawędkami telefonicznymi, co odkryłam dość szybko, więc nasze rozmowy są zawsze krótkie i na temat. Za każdym razem zapewnia mnie, że Coley czuje się dobrze. Pomimo nagabywań Tommy'ego nie pytam więcej o Whitecliff. Zaczęłam chronić ich oboje. Jeśli zaś chodzi o moje własne plany związane z tym domem, coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy naprawdę chcę go mieć. Nie zdecydowałam jeszcze, lecz podobnie jak wiele osób nie chciałoby mieszkać w domu, w którym ktoś zmarł, ja nie jestem pewna, czy dobrze bym się tam czuła, wiedząc, co w nim się wydarzyło.

W sobotę rano, około dziesięciu dni po tym, jak odprowadziłam ciocię i Coleya na dworzec, dzwoni telefon.

- Kto to? - Szczerze mówiąc, nie mam ochoty odbierać. Leżę jeszcze w łóżku, słucham radia, co zdarza mi się niezwykle rzadko rano, i sączę przyniesioną przez Boba kawę. Wstał przede mną, a teraz przegląda gazety, jak co sobotę zresztą. - Odbierzesz? - proszę męża. - Jeśli to Tommy, powiedz, że oddzwonię.

Odbiera telefon.

- Tak, to ja... - słucha. A potem daje mi znaki, że potrzebuje czegoś do pisania. Podsuwam mu długopis, który trzymam w szufladce szafki nocnej i przyglądam się, jak na mar-

ginesach i innych białych miejscach w gazecie zapisuje coś, co wygląda na długą wiadomość. Pewnie jakiś klient, myślę leniwie i podnoszę filiżankę do ust.

- Dziękuję bardzo. Jesteśmy bardzo wdzięczni. - Bob wydaje się kończyć rozmowę. - Będziemy w kontakcie. Przyśle pan rachunek na ten adres?

Żegna się, a potem czyta notatki.

- Cóż - mówi. - Udało się.

- Co?

- Dzwonił Seymour Brick. Uważaj teraz, Claudine. Twoja kuzynka naprawdę ma na imię Eve. Seymour mówił, że kiedy odnalazł adres w Newtown - to rzeczywiście sierociniec, teraz już zamknięty - wszystko stało się dość proste i udało mu się wpaść na jej ślad. Znalazł historię zatrudnienia, pracowała jako pomoc domowa. Na szczęście jej chlebodawca opłacał składki. Wcześniej wyszła za męża. Ma troje dorosłych dzieci, Arabellę, Willow i Rowana. Zanotowałaś? - Szczyrzy zęby w uśmiechu.

- I co dalej? - Ściskam filiżankę tak mocno, że bieleją mi palce.

- Dziwne imiona, co?

- Bob!

- Dobrze, czytam dalej - poddaje się Bob i odwraca gazetę bokiem. - Dwie pierwsze to córki, mieszkają w Dublinie. Willow wyszła za męża, ma rodzinę. Trzecie z dzieci Eve, Rowan, jej syn, mieszka w Stanach. Podobnie zresztą jak ona. Z jakichś przyczyn twoja kuzynka używa nazwiska Rennick, choć nie jest to nazwisko jej męża. Trudno w to uwierzyć, ale mieszka w przyczepie kempingowej. Mam tu adres i telefon do zarządcy kempingu. - Uśmiech rozjaśnia mu całą twarz. - Seymour twierdzi, że twoja kuzynka czeka na telefon. Dokładnie powiedział, że „będzie zachwycona”.

Niezbadane wyroki boskie

Pędzimy wraz z Coleyem Quinnem na tylnym siedzeniu samochodu Boba w kierunku domu mojej siostrzenicy. Bob odebrał nas ze stacji autobusowej w centrum miasta. Tym razem przyjechaliśmy autobusem pospiesznym, gdyż już jechaliśmy pociągiem. Autobus wydał mi się bardziej wygodny. A poza tym podróż przez miasta, a nie jedynie po ich obrzeżach, gdzie przebiegają tory, była bardziej interesująca. Przeszkadzał mi jedynie wszechobecny zapach chipsów serowo-cebulowych. Bob mówi, że od ich domu dzieli nas zaledwie piętnaście minut jazdy, a mnie ogarnia jeszcze większe podniecenie i zdenerwowanie (jeśli to w ogóle możliwe) na myśl o czekających nas wydarzeniach. Nie mam na myśli spotkania z Claudine, lecz jutrzejszy wyjazd na lotnisko na spotkanie z naszą córką.

Z ostatnich dwóch i pół tygodnia pamiętam jedynie niezwykle telefon od Claudine w sobotnie południe i jeszcze bardziej niezwykłą rozmowę z naszą córką tego samego dnia, kiedy to wszyscy troje byliśmy tak oszołomieni, że nawet słowo „plejada” nie oddaje różnorodności targających nami uczuć.

Od tamtej pory spaliśmy niewiele. Byliśmy na zmianę uradowani, przerażeni i niesamowicie zdenerwowani. Wiele godzin nocnych spędziliśmy, trzymając się za ręce, aby dodać sobie nawzajem odwagi podczas gorączkowych dyskusji na temat tego, jak powinniśmy się zachowywać wobec Eve. Wiem, że jestem wyczerpana i w którymś momencie zastanawiałam się nawet nad wzięciem jednej z tabletek Johanny, lecz zawsze byłam twarda i energiczna, niczym piła taty, więc nie zdecydowałam się na to. Pragnę wyraźnie poczuć wszelkie emocje wywołane tym niezwykle wydarzeniem.

Początkowo Coley uważał, że powinniśmy zaprosić Eve do West Cork, lecz uznałam, że będzie wolała zostać w Dublinie, blisko własnych córek i wnuków - naszych wnuków i prawnuków, z którymi też chcemy się spotkać! Mamy stałe zaproszenie do domu Claudine i Boba, lecz nie wiemy, jak długo ta wizyta może potrwać, to zależy od Eve. Chcielibyśmy spędzić z nią jak najwięcej czasu.

Coley, wyciągnięty na ciepłym, wygodnym siedzeniu samochodu Boba, bierze mnie

za rękę. Od tamtej nocy w Gresham właściwie się nie rozstajemy, a jego stała obecność odmieniła moje życie w West Cork. W pewnym sensie wróciliśmy do dzieciństwa i bawimy się w dom. Jestem wdzięczna losowi, że mam przy boku własnego mężczyznę, który mi pomaga, a nawet sam wykonuje część obowiązków domowych. Wspaniale nam się żyje razem.

Nie mam pojęcia, co na ten temat mówią dobrzy ludzie w naszej wiosce, lecz ich opinia wcale mnie nie interesuje, choć Coley - to wprost urocze - ciągle się martwi o moją reputację! Widzimy zaskoczone spojrzenia innych, jak na przykład na poczcie, kiedy w dniu wypłaty zasiłku poszedł ze mną, aby zmienić adres, na który mają przychodzić jego pieniądze. W tym dniu poczta jest zwykle bardzo zatłoczona, lecz udało nam się to przeżyć, a obie pracownice były jak zwykle miłe i powstrzymały się od komentarzy.

Choć tak bardzo czekam na jutro, jednocześnie jestem zafascynowana dostrzeganymi po drodze zmianami, jakie zaszły w otaczającym nas krajobrazie. W dzieciństwie znałam tę część North County Dublin, teraz najwyraźniej zwaną Fingal, lecz w moich wspomnieniach był to spokojny, zielony teren, poprzecinany wąskimi drózkami wijącymi się wśród wysokich żywopłotów, gdzie na rozstajach dróg wyrastały osady i wsie. Teraz zaś jest to bezkresna przestrzeń z potężnymi drogami, osiedlami mieszkaniowymi i dźwigami.

- Pewnie za twoich czasów wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej, prawda, Violet? - Mąż Claudine zauważa moją fascynację.

- To prawda.

- Wiesz zapewne, że jesteśmy niedaleko Whitecliff - mówi powoli. - Dojazd tam zabrałby nam tylko parę minut. Chciałabyś zobaczyć dom?

- Nie! - Moja gwałtowność najwyraźniej go zaskoczyła, więc się poprawiam: - Bob, nie chcę tam jechać. Claudine na nas czeka.

Z konieczności, jak już zresztą mówiłam, i dla zabezpieczenia domu Johanny w West Cork, omówiłam sprawę Whitecliff z panem Thorpe, a także, choć pokrótce, z Claudine i jej mężem. Sama wzmianka o tym, że to miejsce jest tak blisko, przeraża mnie. Być może w minionych latach moja pamięć zmieniała wydarzenia, które kiedyś wydawały mi się jedynie trudne, w coś niemożliwego do zniesienia. Tak czy inaczej nie chcę tam wracać. Nigdy więcej. Kiedy Whitecliff będzie już do mnie należeć, sprzedam posiadłość osobie, która się zgłosi pierwsza, bez względu na to, ile ten ktoś zdecyduje się zapłacić. Jeśli Claudine kupi

ten dom, to dobrze, lecz chyba nigdy nie będę jej tam odwiedzać. Nie mam jednak zamiaru mówić tego mojej siostrzenicy, aby w żaden sposób nie wpływać na jej decyzję. Ma miękkie serce i musi sama zdecydować, czy zależy jej na tym miejscu. W pewien sposób, choć sama nie chcę mieć z Whitecliff nic wspólnego, wołałabym jednak, by dom został w rodzinie.

Pan Thorpe przewidział targające mną emocje i prosi o ostrożność.

- Panno Shine, może pani zechce go zatrzymać. Będzie pani w posiadaniu najlepszych terenów na wybrzeżu, które bez wątpienia przyciągną wielu amatorów. Nie wolno pani sprzedać tego majątku za bezcen.

Ja jednak mam też własny pogląd na tę sprawę i jestem świadoma, że pan Thorpe otrzymuje wynagrodzenie za swoją pracę na zasadzie prowizji, więc wraz ze wzrostem ceny nieruchomości wzrasta jego honorarium. Nie można go w tym wypadku uznać za osobę bezstronną, więc nie zwracam uwagi na jego rady.

Jestem również świadoma, jak bardzo ta cała sytuacja jest paradoksalna: jako jedyna osoba, która w Whitecliff wycierpiała najwięcej (chyba mam prawo tak twierdzić), będę teraz jedyną spadkobierczynią majątku. Jak mówiła moja kochana niania, niezbadane są wyroki boskie.

Widzisz ją?

Na tablicy w sali przylotów na lotnisku w Dublinie wyświetliła się informacja, że samolot Aer Lingus 104 z Nowego Jorku właśnie wylądował. Jest jednak piątkowy poranek przed długim sierpniowym weekendem i zapowiedziano również kilka innych lotów, w tym jeszcze jeden ze Stanów Zjednoczonych. Możemy czekać dość długo, ponieważ nawet jeśli już ci wszyscy witający przejdą dalej, dla odmiany zrobi się bałagan w sali odbioru bagażu. Mnie i Bobowi udało się zająć pierwszorzędne miejsce na czele tłumu czekających, którzy pomimo przeraźliwie wczesnej pory są w szampańskich nastrojach. Szacowni obywatele w zabawnych kapelusikach na głowach powiewają balonami.

Violet i Coley, którego kostka już całkiem wydobrzała, siedzą z dala od tłumu. Violet ubrana jest w lniany płaszcz do pół łydki i sukienkę w kolorze mimozy, Coley zaś ma na sobie blezer, szerokie spodnie w kolorze wielbłądziej wełny i starannie wyprasowaną białą koszulę. Musieli zrobić zakupy. Zauważam, że oprócz torebki Violet trzyma jeszcze szarą kopertę.

Jest nas tu tylko czworo. Podczas rozmowy telefonicznej z córkami Eve, Arabellą i Willow, za zgodą Coleya i Violet zdecydowaliśmy, że ich pierwsze spotkanie z Eve i tak będzie bardzo wzruszające, więc lepiej, żeby nie musieli zwracać uwagi na innych, jeszcze nieznanym sobie ludzi.

Jest im z całą pewnością bardzo ciężko. Nie tylko mają się spotkać z córką po tylu latach, lecz również poznać jej losy - dowiedzieli się, że podobnie jak Eve, jej dzieci też zostały zabrane do sierocińca, kiedy wyjechała do Ameryki. Pewnie była zdesperowana i sądziła, że zostawiając je tam, da im szansę na lepsze życie. Choć okoliczności były całkowicie odmienne, podobieństwo jest zadziwiające. Wydaje mi się również, że Eve ciągle miała zamiar zabrać dzieci do siebie i „wszystko naprawić”, jak sama twierdzi, lecz tego nie zrobiła. Choć utrzymuje z nimi dość bliskie stosunki, nadal ma poczucie winy i dźwiga ogromny ciężar.

Eve i jej córki rozmawiały już wcześniej we trójkę dość długo, ale ponieważ tyle jesz-

cze mają sobie do powiedzenia, planujemy, że to popołudnie spędzi z Arabellą, Willow i wnukami, a następnego dnia wieczorem spotkamy się u nas. Urządzimy rodzinne przyjęcie.

Zbity tłum zaczyna falować, kiedy pierwsza część oszołomionych podróżników przechodzi przez odprawę celną. Nie od razu wiadomo, z którego samolotu z USA wysiedli, lecz bez wątpienia to Amerykanie - wszyscy mają blade, niewyspane twarze i noszą saszetki na paskach. Mężczyźni pchają wózki z walizami ułożonymi wysoko niczym Liberty Hall, kobiety zaś są ubrane w pastelowe stroje i jasne sznurowane buty.

Poziom hałasu ciągle wzrasta. Dzieci biegają, przewracają się, wiszą na barierkach. Kiedy za pierwszą falą podróżnych zjawia się druga, wszystkie pojedyncze dźwięki giną w głośnych rozmowach, dzwonekach telefonów komórkowych i komunikatach obsługi lotniska. Cała sala faluje i naprawdę jest niezwykle trudno, zarówno oczekującym jak i podróżnym, znaleźć właściwą osobę. Obawiam się, że Coley i Violet mogą być bardzo zdenerwowani. Oboje są tu po raz pierwszy, nigdy wcześniej nie byli na żadnym lotnisku i szczególnie Coley jest oczarowany. Z nich dwojga Violet wydaje się bardziej opanowana, lecz różnica nie jest duża. Mówię Bobowi, że idę do nich.

- Przeprowadź Eve, jak ją znajdziesz, dobrze? Wiesz, kogo szukać? - Wymieniliśmy się wcześniej zdjęciami.

Eve odnajduje się, zanim jeszcze zdążę dotrzeć do Violet i Coleya. Poznają to po wyrazie twarzy ciotki i po tym, jak zasłania dłonią usta. Przytulają się do siebie z Coleyem, który trzyma ją za rękę. Odwracam się, lecz w tłumie zbliżających się pasażerów nie udaje mi się zauważyć znajomej twarzy:

- Widzisz ją?

Najpiękniejsze słowo

Słyszałam, rzecz jasna, jak zatłoczone i ruchliwe jest dublińskie lotnisko, lecz nie spodziewałam się, że aż tak. Nie wyobrażałam sobie również, pomimo zupełnie przeciwnych opinii rozpowszechnianych przez prasę, radio i telewizję, jak bardzo może ono być nieprzyjemne. Najbardziej przemawiała do mnie wizja, że podróż samolotem jest cudownym przeżyciem.

Byliśmy oboje spięci, lecz podekscytowani. Czekaliśmy na naszą córkę na lotnisku - co większości ludzi obecnie wydaje się całkiem zwyczajne. Jestem jednak pewna, że tylko niewielu z nich będzie kiedykolwiek miało przywilej doświadczenia takiej sytuacji jak nasza. Szczególnie dla Coleya wizyta na prawdziwym lotnisku była dodatkową zachętą.

- Violet, może kiedyś moglibyśmy gdzieś polecieć? Może do Paryża?

- Będzie na to dość czasu. - Nie potrafię myśleć o niczym poza Eve.

Nie mam pojęcia, jak długo siedzieliśmy, czekając. Skończyły nam się pomysły na rozmowę i teraz ograniczaliśmy się jedynie do wymiany tak błahych zdań, jak stwierdzenie, że jest gorąco czy że czas płynie tak powoli - i teraz ta propozycja lotu do Paryża!

Byłam jednocześnie podekscytowana i pełna obaw. Strach przyprawiał mnie o mdłości. Kiedy czułam się pewnie, umiałam panować nad swoim zachowaniem niemal w każdej sytuacji, lecz to było zupełnie obce miejsce, a ja nie chciałam wprowadzić mojej córki w kłopotanie jakąś sceną.

Jak już mówiłam, z telefonu korzystam jedynie wtedy, gdy trzeba przekazać komuś ważne informacje bądź umówić się na jakieś spotkanie. W związku z tym w czasie niezwykle kosztownej rozmowy transatlantyckiej nie opowiedziałyśmy sobie z Eve o naszych losach. Wysłałam do niej natomiast długi list, w którym opisałam wszystkie znane mi fakty na temat jej rodziny i Whitecliff - pominęłam tylko jeden, za to niezwykle istotny, szczegół. O moim zamknięciu w pokoju na wieży miała jej opowiedzieć Claudine, gdyż pomimo wielu wysiłków i zmarnowanych kartek nie udało mi się tego wszystkiego właściwie przedstawić. Same fakty stawiały moich rodziców, a wraz z nimi również resztę rodziny, w negatywnym

światle. Nie chciałam, by Eve myślała o nich źle. Próbowałam spokojnie zreferować te wszystkie fakty, ale jeśli na marginesie dodawałam swój własny punkt widzenia na temat prezentowanych wydarzeń, wydawało mi się, że się nad sobą użalam albo że się wściekam z powodu tych wszystkich kłamstw, albo że jestem tak odważna i święta jak Joanna d'Arc. A ponieważ nic z tego nie było prawdą, poddałam się.

W odpowiedzi, wysłanej zanim jeszcze Claudine zadzwoniła, aby opowiedzieć mojej córce o pokoju na wieży, Eve przepraszała za brak talentu literackiego, wyjaśniając przy tym, że choć jej dzieciństwo w sierocińcu było „kamieniste”, teraz jest zadowolona z życia. Brak wykształcenia jest jednak nadal poważnym problemem. Najwyraźniej większą część życia pracowała jako pomoc domowa, gdyż jak sama twierdziła, nie nadawała się do niczego lepszego, bo stoczyła się w alkoholizm. Zastanawiałam się, czy to spadek po Coleyu. Przestała jednak pić już wiele lat temu.

Wyznała mi również rzecz najsmutniejszą ze wszystkich, a mianowicie to, że uciekła od agresywnego męża alkoholika, który na dodatek oglądał się za spódniczkami, i zostawiła na pastwę losu troje „cudownych i niewinnych dzieci”. Choć oni najwyraźniej wybaczyli jej to wszystko, sama dotąd się z tym nie pogodziła.

Nie potrafię wyrazić, jak ciężko mi było czytać te rozdzierające serce wyznania, tak odległe od życia, które sobie dla niej wymarzyłam. To wszystko zatarło się jednak. Wstałam. Serce bije mi tak szybko, że za chwilę się uduszę. Wspieramy się z Coleyem nawzajem. Jest tutaj! Nasza córka jest tutaj!

Podchodzi bliżej, a w jej wzroście, sylwetce i postawie dostrzegam Coleya i moje siostry, a nawet ojca. Nawet z odległości dwudziestu kroków z zaskoczeniem rozpoznaję oczy naszej mamy, odziedziczone przez moich braci bliźniaków - świetliście szare z ciemnoniebieską obwódką. Zawodzą wszystkie plany, hamulce i dobre wychowanie.

- Eve! - wołam i wyciągam rękę.

- Witaj, mamó! - Ściska moje dłonie. - Dzięki Bogu.

Jej oczy znajdują się na poziomie moich, jednak zamiast mnie oceniać, jak się obawiałam, są pełne miłości, lecz również strachu. Boi się pewnie tak samo, jak my.

- Żyłam specjalnie dla tej chwili, Eve - mówię, a mój głos wydaje się należeć do kogoś innego. - Nie byłam tego świadoma aż do tej pory. Tak mi przykro.

- Proszę, nie... to mnie jest przykro... zawiodłam cię tak strasznie... - Ze strachu, że się

rozplacze, zwraca się do ojca. - Ty jesteś Coley?

Coley wyciąga ręce i obejmuje ją za ramiona.

- Eve, jestem twoim tatą. - Jego głos również trudno rozpoznać, a biedna Claudine, sama zapłakana, musi nas ratować i nie pozwolić, by nasze spotkanie zmieniło się w horror.

- Nie możemy tu stać i płakać. - Ruchem ręki przywołuje Boba, który z walizką Eve w dłoni czeka z boku. To on proponuje, rozsądnie zresztą, by jechać prosto do domu na śniadanie.

Kiedy wychodzimy z lotniska w kierunku samochodu Boba, skupiam się wyłącznie na Eve, która idzie z Claudine kilka kroków przede mną. Upajam się nią całą, dokładnie obserwuję każdy jej ruch, pochylenie głowy, linię pleców. Wyobrażam sobie, że trzymam ją na rękach. Czeszę jej włosy. Ubieram ją w złote szaty - biblijny język mojego dzieciństwa pojawia się znienacka.

- Mam coś dla ciebie. - Dotykam jej ramienia i wręczam kopertę, ciepłą od moich dłoni, lecz ona zajęta jest czymś, co mówi jej Claudine, wkłada więc kopertę do zewnętrznej kieszeni niesionej na ramieniu torby.

- Później otworzę, dziękuję, mamó - mówi, po raz drugi używając tego najpiękniejszego ze wszystkich angielskich słów.

Aksamitny młotek

Jedziemy w kierunku przeciwnym do większości samochodów. Niemal wszyscy wracają do miasta. Siedzę z tyłu z Violet i Coleyem, Eve zaś, gość honorowy, zajęła miejsce z przodu obok Boba.

- Chyba Whitecliff nie jest daleko stąd? - Eve wykręca szyję, by mówić w naszą stronę. - Chciałabym zobaczyć ten dom, jeśli to możliwe.

Jestem zaskoczona. Choć pytanie brzmi na pozór całkiem niewinnie, najwyraźniej jest starannie przemyślane!

Violet sztywnieje obok mnie, zdaję sobie sprawę, że pomysł ten nie sprawia jej szczególnej przyjemności. Siedzę za Bobem, więc najlepiej widzę wyraz twarzy Eve, lecz nie potrafię go odczytać.

- To rzeczywiście niedaleko od naszego domu, ale czy nie jesteś zbyt zmęczona? Nie dokuczyła ci zmiana czasu? Z przyjemnością cię tam zawiozę, kiedy już się zaaklimatyzujesz.

- O, dziękuję ci, Claudine, lecz teraz nie zasnę, nawet jeśli uderzycie mnie aksamitnym młotkiem. Pomyślałam tylko, że jeśli już jesteśmy tak blisko...

- Nie ma tam za dużo do oglądania. To ruina. A Violet i Coleyowi z pewnością przyda się szklanka herbaty - próbuję ponownie, patrząc na dwoje starszych ludzi, oni jednak wpatrują się we własne kolana.

- To nie zajmie długo. Bob, nie będzie ci to przeszkadzać, prawda?

- Nie, wcale.

Bob, prawdopodobnie nie do końca rozumiejąc, co się dzieje w samochodzie, skupia się na zmianie pasów ruchu. Dlaczego Eve tak bardzo się uparła? Ale zanim udaje mi się powiedzieć coś jeszcze, odzywa się Coley.

- Eve, jeśli naprawdę chcesz tam jechać, mam klucze.

Miałabym ochotę go zabić. A jednak ze wszystkich pasażerów samochodu on zna Violet najlepiej. Mimo to usiłuję jeszcze ją ratować.

- Może powinniśmy się nad tym zastanowić, co? Jak przedostaniemy się przez te okropne jeżyny, żeby wejść do domu?

- Mam klucz do kłódki przy bramie. - Coley zerka na Violet.

Ona tego nie zauważa, bo siedzi z zamkniętymi oczyma. A gdy je otwiera, zaskakuje mnie mówiąc:

- Dobrze, Eve, jedźmy tam, jeśli naprawdę tego chcesz. Rozumiem. Oboje gotowi są zrobić absolutnie wszystko, co sprawi przyjemność ich córce.

Niespełna dwadzieścia minut później zatrzymujemy się przed bramą, którą pamiętam tak dobrze.

Coley, na szczęście, szybko sobie radzi z kłódką, a potem przejeżdżamy powoli przez korytarz jeżyn, podskakując na wąskiej drodze, która kiedyś była imponującą aleją prowadzącą do Whitecliff.

- Oooooo! - woła Eve na widok domu wyłaniającego się zza szerokiego zakrętu. - Claudine, wydawało mi się, że wspominałaś coś o ruinie?

- Cóż, tak niestety jest. Ściany nie są zniszczone, część wnętrza również. Pozostał tam na przykład przepiękny kominek, są także wspaniałe schody...

Reakcję Violet odczuwam mocno niczym cios. Nie mam czasu powiedzieć nic więcej, gdyż samochód staje na podjeździe przed domem.

Wysiadamy. Poranek jest cudny, spokojny i ciepły, choć trochę zachmurzony. Szare kamienne ściany domu i piękny ganek wydają się jeszcze bardziej imponujące niż kiedykolwiek.

Eve spogląda w górę na dziurawe rynny.

- Wiem już, co miałaś na myśli. Jest przepiękny, ale to studnia bez dna.

- Nie wejść do środka - oświadcza niespodziewanie Coley, podając mi przy tym pęk kluczy tak gwałtownie, że wypadają na ziemię. - Wiem, jak jest w środku. Muszę was na chwilę opuścić - rusza w stronę gąszczu jeżyn.

Widzę, że pomimo ciepłego dnia Violet drży i choć Eve jest miła, jestem teraz na nią zła. Musi przecież widzieć, co dzieje się z jej matką.

- A ty, ciociu Violet? Może jesteś zmęczona po tych wszystkich przeżyciach i wczesnej pobudce? Masz ochotę posiedzieć w samochodzie? Pokażę Eve dom.

Ale pomyliłam się co do nowej kuzynki. Podchodzi do nas i delikatnie bierze dłonie

matki w swoje. Teraz widzę, że są one ładnie ukształtowane i silne, lecz zniszczone ciężką pracą fizyczną.

- To będzie dla ciebie bardzo trudne - mówi miękko. - Będzie trudne również dla mnie ze względu na ciebie. Dlatego właśnie musimy to zrobić razem. Stawimy czoło tym demonom i dadzą ci wreszcie spokój. I wiesz co? Zanim pojedę z powrotem do domu, urządzimy tu przyjęcie. Może grill. Musimy zmienić to miejsce. Chodź - ściska dłonie Violet - nie bój się, przy mnie jesteś bezpieczna. Jesteś gotowa?

Violet uśmiecha się w odpowiedzi, lecz oczy ciągle ma pełne strachu.

- Tak - szepcze. - Przynależałam sobie, że już nigdy więcej nie wrócę do Whitecliff, ale teraz jestem gotowa.

Eve zwraca się do mnie.

- Claudine, to chyba coś, co powinnyśmy zrobić tylko we dwie. Nie obrazisz się? Nie zajmie nam to dużo czasu, choć nie będziemy się spieszyć. Masz klucz od domu?

- Pewnie. - Wręczam jej pęk kluczy. - To od tylnych drzwi.

A potem patrzę, jak we dwie kierują się w prawo, w stronę domu. Są równego wzrostu, lecz Violet jest smuklejsza. Po chwili Eve obejmuje matkę ramieniem, przyciąga ją do siebie i idą tak wzdłuż bocznej ściany, skręcają za róg i znikają mi z oczu.

Gdzie kiedyś mieszkała rodzina daleka od ideału

Moja córka przekręca klucz w zamku tylnych drzwi i wchodzimy do Whitecliff.

Ja sama nigdy nie bałam się myszy, lecz kiedy po przekroczeniu progu płoszymy całe ich stado, Eve, która do tej pory mnie wspierała, aż się wzdryga.

- Nie cierpię ich - oznajmia, ciągle stojąc przy drzwiach. - Można by się spodziewać, że powinnam do nich przywyknąć, sprzątając stare domy, lecz nigdy mi się to nie udało.

- Możesz wejść, uciekły - zachowywała się jak moja mama, teraz kolej na mnie.

- Tak, ale mogą znowu przyjść! Tego boję się najbardziej, no cóż, trudno.

Wchodzi i chce zamknąć za sobą drzwi.

- Nie, zostaw! Nie chcę być zamknięta w tym domu

- Jak chcesz. - Otwiera drzwi na całą szerokość i słońce zalewa całą podłogę w kuchni, po samą spizarnię.

Nic się tu nie zmieniło, na pozór przynajmniej. Stół w kuchni, zastawiony zapasami Coleya, jak sam to opisał, jest nietknięty, lecz w całym swym siedemdziesięciosześcioletnim życiu po raz pierwszy widzę brudną podłogę i nie czuję ciepła bijącego od pieca, który teraz jest brązowy od rdzy, a zupełnie przerdzewiały po brzegach. Z bólem dostrzegam również, że w oknie, zamiast wybielonych i wykrochmalonych firanek mamy, wisi gruba koronka pajęczyny. Szara i potargana, rozciąga się nierównymi kręgami po brudnych szybach. Wydaje mi się, że pod nieobecność doniczek geranium na parapecie całe to pomieszczenie, pomimo względnie czystego zlewu, jakby zamknęło się w sobie niczym stary, zmęczony pies, który zwinięty w kącie czeka na śmierć.

- Czy tego się spodziewałaś? - Eve patrzy w górę na brązowy, łuszczący się sufit.

- Tak.

Powoli idę na drugi koniec kuchni i otwieram drzwi do spizarni, gdzie ubierałam się tamtego ranka po przyjęciu, a potem zapomniałam zabrać stamtąd koszulę nocną, ukrytą wcześniej pod durszlakiem. Durszlaka nie widać, choć na półkach nadal stoją garnki i inne

naczynia. Zamykam drzwi, lecz zmieniam zdanie i otwieram je ponownie, a potem jeszcze dolną część. Moja córka miała rację, że demonom należy stawić czoło. Mam zamiar otworzyć wszystkie drzwi w tym domu i zostawić je tak.

Szczerze mówiąc, czuję teraz uzasadniony gniew, którego nie doświadczałam przez długi czas, może nigdy. Jestem też z pewnością bardziej pewna siebie. Choć starałam się nie myśleć o naszym domu, czasem mimo to jawił mi się jako tło horroru. Jestem tu teraz jednak, między tymi wszystkimi zniszczonymi, zwyczajnymi rzeczami, których nikt już nie będzie używał - ale dzięki nim dom nabiera swojego zwyczajnego wymiaru. Jest znowu tylko domem, w którym osiada kurz, miejscem, gdzie kiedyś mieszkała rodzina daleka od doskonałości.

Zerkam przez ramię na Eve, która ostrożnie stąpa po podłodze, i nagle pojawia się radość.

Moja córka.

Gniew nie trwał długo.

- Eve, możemy iść dalej?

Nie zamykając za sobą kuchennych drzwi, przechodzimy przez na wpół ciemny hol, gdzie wszystkie okiennice są zamknięte. Mimo to widać, że opłacił się wysiłek włożony przeze mnie i Johannę - i wszystkie nasze następczynie w polerowanie płytek. Nie ma w nich dziur, jak się spodziewałam. Były pokryte tak grubą warstwą pasty, że pomimo upływu lat ciągle lśnią pod powłoką kurzu.

- Mamo, to wspaniałe schody! Jakie piękne! - Eve spogląda na półpiętro.

- Chciałabym otworzyć okiennice. - Ciągnę najbliższą zasuwkę, lecz na próżno mujemy się z ciężkimi okuciami. Zardzewiały i potrzebne tu będą silniejsze ręce.

A potem na ścianie przy drzwiach frontowych dostrzegam kontury cisowej ławy, którą podarował mi ojciec.

- Eve, czy masz tę kopertę ode mnie?

- Pewnie, że tak.

Wyjmuje kopertę z torby. Wzięła ją ze sobą, choć Claudine proponowała, aby zostawić bagaż w samochodzie. Eve odpowiedziała jej wtedy:

- Dziękuję za propozycję, Claudine, ale możemy potrzebować chusteczek.

- Otwórz ją, proszę. To coś, co powinnaś zobaczyć. Chodź do światła. Z tego, co pa-

miętam, okna w salonie nie mają okiennic.

Pamięć mnie nie zawiodła. Choć frontowe okna są ciemne, światło wpadające do pokoju przez oszklone drzwi jest dość jasne, mimo że przytłumione grubą powłoką kurzu. Eve staje przy oknie i wyjmuje z koperty profesjonalne kolorowe zdjęcie lawy odbitej na ścianie holu, oświetlonej tak, by podkreślić czystość linii i głębię koloru. Zamówiłam je u fotografa z Béara.

- Co to? - pyta, marszcząc czoło.

- To dla ciebie. To jedyny mebel, jaki zabrałam z tego domu. Mój tata, a twój dziadek zrobił tę ławę sam. Możemy wysłać ją do Arizony. Będzie pasowała do twojej przyczepy?

- Mamo, jest piękna. Jeśli miałyby więcej niż trzy metry szerokości i trzy wysokości, poszukałabym innej przyczepy. - Przytula mnie mocno, a potem się odsuwa. - Ale jeśli to on ją zrobił, dlaczego chciałaś zabrać tę ławkę po tym, na co cię skazał?

- Trudno to wyjaśnić. Może chodzi o świadomość, że tylko ktoś, kto potrafi włożyć w coś całą duszę, jest w stanie zrobić coś tak pięknego. Eve, chcę, żebyś miała co w nim podziwiać, w nich obojgu. Kiedyś opowiem ci również o mamie, jej zapobiegliwości i gospodarności, i innych dobrych cechach. Nie chciałabym, żebyś przez resztę życia oceniała ich tylko na podstawie tego, co mi zrobili.

Mówiąc o nich w ten sposób, nie odczuwam tego, czego się obawiałam. Pomimo że autentycznie nie byłam rozżalona, bałam się, że w tym domu poczuję nieprzyjazną obecność rodziców. Zamiast tego zalewa mnie fala współczucia dla nich obojga. Czuję, że zostali wpędzeni w pułapkę przez własne czyny i tylko ja mogę ich uwolnić. To może za dużo powiedziane, może nawet cudaczne, i mam świadomość, jak dziwaczna jestem w tej chwili, lecz naprawdę czuję, że przyglądają mi się i ze strachem czekają na moją reakcję.

Nagle przypominam sobie pierwszą noc w Gresham, kiedy tabletki Johanny zaczęły działać i ujrzałam zwiewną postać mamy unoszącej się nad moją wieżą w szatach anioła stróża z obrazka niani. Zamykam oczy i mówię, że im przebaczam. Mówię szczerą prawdę. „Odejdź, mamo. Odejdź, tato. Kocham was oboje i przebaczam wam, podobnie jak i wy mi przebaczacie”.

- Violet, dobrze się czujesz? Bardzo jesteś blada. - Dotknięcie ręki Eve przywraca mnie do rzeczywistości.

- Wspaniale. Idziemy obejrzeć resztę?

Po drodze otwieram na oścież podwójne drzwi do salonu, a kiedy spacerujemy po pustych pokojach na górze, moja córka wyraźnie jest pod wrażeniem wielkości i proporcji domu.

- Gdybym to ja wcześniej wiedziała, że jestem taka bogata! - Śmieje się na widok masywnej wanny wspartej na łapach, którą Johanna musiała uznać za zbyt nieporęczną, by po śmierci taty wystawić ją na aukcji sprzętów domowych. Eve zaraża mnie swym typowo amerykańskim entuzjazmem. Właściwie dobrze się bawię, a odgłos kroków na podeście i otwieranie na oścież wszystkich drzwi sprawia mi prawdziwą satysfakcję.

A potem podchodzimy do tych prowadzących na poddasze.

- To tu. - Otwieram je. Oślepia mnie jasny blask słońca. Nie ma jednak schodów. Nikt mnie nie ostrzegł! Na widok ich dokładnie odciętych resztek domyślam się od razu, kto to zrobił.

- Mamo! - Eve z przerażeniem patrzy do góry na dziurawy dach nad podestem przy drzwiach mojego więzienia. - Cieszę się, że nie mogę tam wejść. Co oni ci zrobili! Claudine mi wszystko opowiedziała, lecz trudno było w to uwierzyć. Zupełnie jak w jednej z baśni braci Grimm.

Po raz pierwszy wspomniała wprost o moim uwięzieniu i, pośrednio, również o swoich narodzinach tam na górze. Biorę ją za rękę.

- Eve, nie wierzysz w szczęśliwe zakończenia? Spójrz na nas.

- Straciłyśmy tak dużo czasu...

- Z pewnych względów może nam to wyjść na dobre. Bardziej niż inni ludzie będziemy doceniać czas, który nam został. Jak długo zostaniesz?

- Mam otwarty bilet. - A potem, po chwili, dodaje: - Mamo, wszyscy moi przyjaciele są w Arizonie. Tam jest teraz mój dom. Trudno by mi było znowu tu zamieszkać.

- Wiem, że tego nie zrobisz. Nie o to pytałam. - Moje biedne serce, już i tak bardzo zmęczone, zaczyna łomotać mi w piersi na samą myśl o ponownym rozstaniu.

- Nie martw się. Nie wyjadę szybko. Nie tylko ty i ja musimy dużo nadrobić, mamo, choć o czymś takim nigdy nie ośmielałam się nawet śnić. Obie zawdzięczamy mnóstwo Claudine.

- Kochana Claudine - mówię z uśmiechem. - Ona jest taka, taka... - szukam właściwego słowa - ...taka energiczna!

- Dzięki Bogu, że jest właśnie taka. Ale wiesz przecież - dodaje powoli - że mam też mnóstwo pracy przy mojej trójce.

Opowiada o Arabelli, Willow i Rowanie, którego znam jedynie ze zdjęć.

- To, co im zrobiłam... ale wtedy...

- Zostawiłaś dzieci i swoje pozbawione nadziei, okropne życie. Sądziłaś, że bez ciebie czeka ich lepszy los. - Usiłuję nadać swojemu głosowi stanowcze i kojące zarazem brzmienie. W liście opowiedziała mi o okrucieństwie i nieodpowiedzialności swojego męża, a także o tym, jak zostawiła dzieci. Oskarżała się o to, że jej syn przez alkohol i narkotyki stał się wyrzutkiem.

- Ale teraz dobrze sobie radzisz. W liście pisałaś mi, że nawet Rowan zaczyna się podnosić.

- Tak mi się wydaje. Wiem jednak, że Willow nigdy mi nie wybaczy. Dlaczego miałyby to zrobić, jeśli ja nie potrafię wybaczyć sama sobie?

- Willow się pozbiera, zobaczysz. - Również z jej listu i relacji Claudine po rozmowach telefonicznych z Eve wiem, że moja druga z kolei wnuczka ciągle pogrążona jest w żalu i złości. - Porozmawiam z nią. Posłucha mnie, jestem tego pewna... - A potem braknie mi tchu. - Mówisz, że ich opuściłaś. Eve, ja ciebie również opuściłam. Wybaczysz mi?

Patrzy na mnie zaskoczona.

- Mamo, pewnie, że tak. Różnica między nami jest taka, że ty nie miałaś wyboru. Ja miałam.

- Mogłam poszukać cię wcześniej.

- Wielki Boże! - woła ze śmiechem. - Licytujemy się, która z nas zachowała się gorzej! Jakże dziwaczna z nas rodzina! Przynajmniej jednak nikt nie powie, że jesteśmy nudne.

- Któż wie, jak wygląda prawdziwa rodzina? - Dotykam jej twarzy.

Eve nadal jest ładną kobietą, a po jej chodzie i oczach poznaję, że w przeszłości musiała być prawdziwą piękną. Skóra pod moją dłoń jest jednak szorstka.

- Eve, kochanie moje, jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co cię spotkało.

- Posłuchaj mnie. - Krzyżuje ręce na piersi. - Bez względu na wydarzenia z dzieciństwa, sami kształtujemy własne życie. Nie ma powodu, by obwiniać kogokolwiek o swoje niepowodzenia. Daj spokój. Przestań obwiniać się o cokolwiek, co wydarzyło się w moim

życiu. Słyszysz?

- Tak samo zrozumieją to twoje dzieci. Skarbie, ty też nie powinnaś się dłużej obwiniać.

Przypatrujemy się sobie nawzajem. Potem Eve wzrusza ramionami.

- Samo życie, Violet. Czasem bywa okrutne. Ty przecież jedynie zakochałaś się w niewłaściwym chłopaku, a zostałaś za to zamknięta na wiele lat. To samo się dzieje w każdym mieście i wsi w tym kraju. Tak samo jest w Stanach, Afganistanie, wszędzie. - Podnosi z podłogi postrzępiony chwościk i przesuwając go między palcami.

- Już ci powiedziałam, że nie miałaś wpływu na mój los.

- Ostrożnie oddziela jedno pasmo od pozostałych. - Mogłam przecież zostać i wszystko naprawić, mamie - mówi szeptem. - Innym się to udało. Mogłam wrócić. Zawsze chciałam ich zabrać do siebie. Ale nie ma cholernego sensu dużo mówić i nic nie robić. Przepraszam za wyrażenie, wiem, że jesteś damą. Faktem jest jednak, że zostawiłam trójkę małych dzieci na pastwę losu.

- Oh, Eve! - Kiedy patrzę na jej pochyloną głowę, jestem przerażona. Tak bardzo brakuje mi doświadczenia, nie potrafię w żaden sposób jej pocieszyć. Instykt podpowiada, by ją przytulić, pozwalam mu więc przezwyciężyć powściągliwość i dobre wychowanie. Wyciągając rękę. - Chodź do mnie, moja biedna mała dziewczynko.

- Nie, nie, w porządku. - Odsuwa mnie ręką, lecz potem nagle przytula się do mnie i wybuchając płaczem.

Obejmując drżąca Eve i zalewa mnie mnóstwo uczuć, to prawdziwy pożar. Jej ból odczuwam tak mocno, jak nigdy nie odczuwałam swojego. Jestem też zła i bezsilna. Chciałabym sama wypić tę czarę goryczy, lecz to niemożliwe. (Kolejna aluzja do Biblii? Czyżbym dziś przypominała sobie dzieciństwo?). Dociera do mnie, że na tym właśnie polega macierzyństwo.

Przytulam córkę do siebie jeszcze mocniej i pozwalam jej płakać. Martwię się czymś jeszcze. Wiem, że już nigdy więcej nie będziemy ze sobą tak blisko. Nie wiem, skąd to wiem, lecz jestem tego pewna.

Jakby ona również to rozumiała i odsuwa się ode mnie.

- Popatrz tylko - mówi ze śmiechem. - Tego nie było w planach. To ja miałam cię wspierać. Tak sobie to wymyśliłam. Chyba naprawdę jestem zmęczona po podróży. - Sięga

do torby i wyjmuję paczkę chusteczek higienicznych. - A wracając do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej - wyciera nos - skoro już się odnalazłyśmy, wrócę tu znowu za jakiś czas. Nie martw się, będę przyjeżdżać regularnie. I wy też musicie mnie odwiedzić, ty i tata. Dzisiaj świat jest mały, mamó, a ja tak bardzo chciałabym ci pokazać moją część Ameryki. To wspaniałe miejsce, szczególnie pustynia, gdzie powietrze jest tak czyste. A te kolory! Wydaje mi się, że byłabyś zachwycona.

Doszła do siebie zaskakująco szybko, a ja chcę pójść w jej ślady. Nie, właściwie nie chcę. To samo przychodzi. Wspaniałe uczucie.

- Rzeczywiście, to brzmi wspaniale. Dziękuję za zaproszenie.

Przypominam sobie żartobliwą propozycję Coleya, żebyśmy polecieeli razem do Paryża. Poza odległością, czy dużo trudniej jest lecieć do Arizony? Podejrzewam, że najtrudniej będzie wsiąść do samolotu i wystartować. Cała reszta nie wydaje mi się problemem. Trzeba tylko jakoś wypełnić sobie czas, a Bóg wie, jak bardzo jestem do tego przyzwyczajona.

Zdaję sobie sprawę, że niemal niezauważalnie Przeszłyśmy, i to właśnie w Whitecliff, od rozpamiętywania przeszłości do planów na przyszłość. Zanim w moje życie wkroczyła Claudine, moje plany ograniczały się do zapewnienia sobie względnej wygody na stare lata. A teraz z córką, której nie miałam nadziei ujrzeć, omawiam możliwość podróży na pustynię na drugim końcu świata w towarzystwie ojca Eve, mojego najdroższego Coleya Quinna.

Słońce wpadające przez pustą klatkę schodową ogrzewa nas obie. Dochodzę do siebie po tych wszystkich wzruszeniach i czuję się lekka, niemal beztroska. Nie pamiętam, kiedy się tak czułam po raz ostatni. Coleya i mnie na lotnisko odprowadzi moja rodzina. Kupię drinka, ale zabronię pić Coleyowi, a sama upiję się lekko w samolocie, i Coley będzie się musiał mną opiekować. Wsiądziemy na lotnisku na pustyni, a nasza córka położy nas spać i da mi aspirynę...

- Mamó, o czym myślisz? - Jedynie czerwone obwódki wokół jej oczu zdradzają, co tu zaszło. Eve uśmiecha się do mnie z miłością.

- A czemu pytasz?

- Wyglądasz jak figlarne dziecko.

- Myślałam po prostu, skarbie, że powinnam się tobą cieszyć, kiedy jesteś blisko, i nie zastanawiać za dużo nad przyszłością.

- Ja też. - Odwraca wzrok od naszej wyspy światła, oddzielonej od mrocznego pode-

stu, i spogląda ku linii otwartych drzwi, przypominających klawisze potężnego pianina. - Wystarczy ci już? Mnie z całą pewnością. Violet - dodaje ponuro - przepraszam za tę scenę. To ja powinnam się tobą opiekować.

- Eve, nie chcę więcej słyszeć słowa „przepraszam”.

- Dobrze. Ja też nie. Zaczynamy nowy dzień. My dwie nie patrzymy w przeszłość, bez względu na moje kłopoty z dziećmi. Stoi?

- Stoi.

- Świetnie. Violet Shine, możemy iść?

- Eve, jestem gotowa.

- Czy te drzwi również zostawiamy otwarte? Jestem zachwycona - Eve szybko się uczy.

Podoba mi się, że na przemian nazywa mnie mamą i Violet. Jestem zachwycona drżeniem w piersi. Jestem zachwycona wszystkim, kropka. Po raz ostatni patrzę w górę, na tamtą studnię ukoronowaną słońcem. Nie ma już wpływu na moje życie, przeszłe, teraźniejsze ani przyszłe.

- Zostawiamy.

Drzewo

Strasznie długo ich nie ma.

- Proszę się uspokoić. Potrzebują czasu.

Bob siedzi w samochodzie i czyta gazetę, lecz ja nie robię nic szczególnego. Cieszę się słońcem.

- Tak, ale coś mogło im się stać. Ten dom nie jest bezpiecznym miejscem.

- Pójdę sprawdzić, czemu ich jeszcze nie ma. Poczekaj pan tu?

- Pójdę z panią.

Idziemy za dom, tym razem w lewo. Kiedy wychodzimy z za rogu, obok spalonego buka, dostrzegam, że Violet pochyla się nad kłódką przy tylnych drzwiach i zamyka ją kluczem Coleya. Eve stoi tuż przy niej. Ruszam w ich stronę, wołając głośno:

- Hej, moje panie! Wszystko w porządku? Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, a Eve odpowiada:

- W najlepszym. Z całą pewnością to wspomniała posiadłość, lecz jej właścicielowi nie zabraknie pracy.

Violet prostuje plecy. Spodziewałam się, że wyjdzie blada i roztrzęsiona, lecz widzę w jej oczach błysk i jest wyraźnie radosna.

- Nasza Claudine ma plany związane z Whitecliff - mówi. - Wraz ze swym przyjacielem zajmują się pośrednictwem w handlu nieruchomościami.

Co się stało w środku? Coś się zmieniło. Eve, wyraźnie zapłakana, wygląda na wyczerpaną, Violet zaś wprost tryska energią. Spodziewałam się czegoś wręcz przeciwnego. Zauważyła Coleya, który czai się przy spalonym buku.

- To ty wyciąłeś te schody, prawda? - Patrzy mu w oczy.

- Violet, ja... - Coley milknie, gdyż ona spogląda na coś za jego plecami.

- Och! Nie zauważyłam wcześniej, że podpaliłeś mój biedny buk. Coleyu Quinn, przecież to było całkiem dobre drzewo.

Stoimy z Eve za jej plecami, nie widzimy więc wyrazu jej twarzy. Sądząc jednak po

szerokim uśmiechu Coleya, Violet nie jest zbyt sroga.

- Nie mogłem tego znieść. Nie ochroniłem cię na czas, a potem zemściłem się za to na kilku rzeczach.

- Na czym jeszcze? Podejrzewam, że gdybyś nie wyżył się na czymś innym, podpaliłbyś cały dom.

Jest przerażony.

- To byłoby straszne. Wsadziliby mnie do więzienia.

- Ale myślałeś o tym, prawda? - I zanim Coley zdąży odpowiedzieć, dodaje: - Zawsze wiedziałam, że jesteś osiołkiem, Coleyu Quinn!

Przepływa między nimi coś bardzo osobistego i w pewnym sensie wraz z Eve jesteśmy w pułapce. Jeśli się odwrócimy i odejdziemy, zorientują się, że wszystko widziałyśmy.

- Violet, posłuchaj. - Najwyraźniej jeszcze nie skończyli.

- Co?

Coley zniża głos, lecz ciągle mówi tak głośno, że nie możemy nie słyszeć.

- Poszedłem na brzeg morza.

- Tak? - Violet sztywnieje.

- Tamto drzewo odżyło. Jest tak duże jak kiedyś. Musiały zostać jakieś nasiona. A może to już nie to samo.

Teraz on patrzy ponad jej głową. Udaję, że czegoś szukam w torebce, i w rezultacie nie widzę reakcji ciotki. Lecz kiedy podnoszę głowę, oboje idą w naszą stronę. Twarz Violet odmłodziła o wiele lat.

Mamie nie będzie przeszkadzać

Wszyscy byliśmy przy śmierci Violet. Nawet Eve udało się zdążyć z Arizony. Mówi się, że ludzie umierają zwykle w samotności. Violet Shine większą część życia spędziła sama, więc nie chcieliśmy pozwolić, by również umarła bez bliskich sobie ludzi.

Chciałabym przekazać jakieś godne zapamiętania słowa, które wypowiedziała w ostatnich chwilach swego życia, lecz niestety to niemożliwe. Jej mowę, tak staranną, pochłonał w ostatnim tygodniu życia nowotwór. Ale niemal do samego końca była przytomna i przenosiła pełne miłości spojrzenie z jednej osoby na drugą. Jej wzrok zawsze jednak najdłużej zatrzymywał się na Coleyu, który od wielu już dni nie opuszczał jej nawet na chwilę, poza wizytami w toalecie. Nie jadłby nic, gdybyśmy nie przynosili mu kanapek i mocnej herbaty i nie pilnowali, by wszystko zjadł i wypił. Spał pod kocem na składanym łóżku, które dyrektorka hospicjum kazała rozstawić przy łóżku chorej.

W ostatnim dniu Violet zapadła w śpiączkę. Powiedziano nam, że już się nie obudzi. Nerki przestawały funkcjonować, a przerwy między oddechami stawały się coraz dłuższe.

Upewniwszy się, że w razie potrzeby zostaniemy wezwani, wszyscy poza Coleyem dyżurowaliśmy na zmianę, aby nie przeszkadzać lekarzom. Dwie osoby siedziały z Violet i Coleyem, pozostali zaś byli w bufecie. Tylko Bob i Willow chodzili do pracy. Tommy O'Hare wykazał się wyrozumiałością, i bez przeszkód mogłam spędzać z ciocią tyle czasu, ile tylko chciałam. Zdobyć Whitecliff przypisywał mnie, lecz nie dlatego zachowywał się w taki sposób. Jako Irlandczyk starej daty, śmierć zawsze uważał za ważniejszą od interesów.

Bez skrupułów porzuciłam marzenia o zamieszkaniu w Whitecliff i teraz podejrzewam, że moje zaangażowanie się w tę sprawę było odzwierciedleniem całkiem innych pragnień. Stopniowo dochodziłam do wniosku, że nie mogłabym mieszkać w pokojach, jakkolwiek były piękne, pod tym przeklętym strychem. Violet nie miała do nikogo żalu, a ja, szczerze mówiąc, również, lecz pomimo jakichkolwiek zmian wewnątrz, krokwie i dach pozostałyby te same. Jeszcze zanim ciocia zachorowała, podjęłam taką decyzję, więc w żaden sposób nie można jej składać na karb tego nieszczęścia.

Moje postanowienie przyjęła bez emocji. Dla niej ta posiadłość była teraz jedynie majątkiem zapewniającym jej oraz Eve bezpieczną przyszłość. Oczywiście Violet nie zapomniała o Coleyu; gdyby miała odejść pierwsza, on również został zabezpieczony. Wbrew radom pana Thorpe, który sugerował wystawienie posiadłości na aukcji, ciocia przyjęła ofertę Tommy'ego. I teraz mój szef rozważał rozmaite możliwości zagospodarowania domu: w chwili śmierci Violet najbliższy był urządzeniu tam restauracji, spa i klubu golfowego o polu z dziewięcioma dołkami, wokół których pragnął zbudować ekskluzywne rezydencje. Zastanawiam się, co powiedzieliby na to moi dziadkowie.

Znowu był czerwiec, niezwykle gorący i słoneczny jak na Irlandię. Hospicjum miało kształt litery U i z trzech stron otaczał je rozległy zadbane ogród. Wczesnym popołudniem spadło trochę deszczu, więc niewielki pokój Violet przesycony był zapachem róż, wpadającym przez otwarte okna. W czerwcu tamtego roku róże w całej Irlandii były tak piękne, jak powinny być zawsze, tak bujne i ciężkie, że łodygi aż ugięły się pod ciężarem kwiatów. Nawet klomby przed naszym domem zakwitły jak nigdy.

Violet powiedziała mi o swojej chorobie, jeszcze zanim dowiedział się o niej Coley, na początku kwietnia.

- Rak trzustki jest chyba szybki. Na całe szczęście. Ale nie wiem, jak mu to powiedzieć, Claudine. On również umrze, a to nie w porządku.

Zdołała w końcu jakoś to zrobić i oboje przyjechali do nas w odwiedziny na parę dni, a potem musiała pogodzić się z faktem, że potrzebuje nieustannej opieki. Kiedy opuszczały ją siły, Coley właściwie się nie odzywał. Niewiele jadł i prawie nie wychodził z jej pokoju. Nie mógł spać z nią w jednym łóżku, była na to zbyt chora, więc kładł się na podłodze tuż obok. Nie chciał nawet materaca, zupełnie jakby swoimi wyrzeczeniami mógł ulżyć jej cierpieniu. W ostatnim dniu ich wizyty w naszym domu weszłam do pokoju i zobaczyłam, jak Coley ostrożnie wyciera miękkim ręcznikiem pot z piersi Violet.

W dniu śmierci cioci siedziałam przy jej łóżku wraz z Eve i Coleyem przez ponad godzinę. Coley trzymał i gładził jej siniejącą dłoń, Eve zaś szeptem opowiadała o życiu w Arizonie. Czułam głód - życie upomina się o swoje prawa nawet w tak tragicznych chwilach. Czuwaliśmy przy Violet już ponad miesiąc i choć mieliśmy świadomość zbliżającego się końca, zdążył wkraść się element rutyny.

Eve, nie przerywając opowieści, zanurzyła umocowaną na patyczku gąbkę w lodowa-

tej wodzie na szafce nocnej, a potem pochyliła się, by zwilżyć nią spękane usta matki. Zatrzymała się jednak w pół drogi. Violet nie poruszyła głową, lecz oczy miała otwarte i wpatrywała się w Coleya.

- Obudziła się. Zawołać pielęgniarkę? - spytała mnie poruszona Eve.

- Jeszcze nie - odrzekł Coley, choć nie odrywał wzroku od Violet. - Muszę powiedzieć jej coś na osobności, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie.

Wstałam i skierowałam się do drzwi, a Eve poszła w moje ślady. Zostawiłyśmy uchylone drzwi, tak na wszelki wypadek.

Korytarz, pomalowany na kolor bladego różu i wyłożony grubym zielonym dywanem, był pogrążony w ciszy. Nadeszła pora podwieczorku, więc wszyscy pacjenci, którzy mogli się przemieszczać, zostali przetransportowani do jadalni. Z pokoi o ciężkich drzwiach z jasnego drewna również nie dochodził żaden dźwięk.

Nie rozmawialiśmy ze sobą. Zapewne Eve, podobnie jak ja, usiłowała wyobrazić sobie, co Coley może mówić Violet, i rozmyślała o tym, co przyniesie następna doba.

Umysł jest niczym królik - nie da się go tak łatwo usidlić. W związku z naszą sytuacją rozmyślałam między innymi o panu Thorpe. Kiedy na prośbę Violet miał przyjechać, by porozmawiać z nami na temat Whitecliff, podświadomie oczekiwałam okrągłej, dickensowskiej postaci, może nawet z wąsami, a już z całą pewnością z dokładnie wypomadowanymi włosami. Z niewiadomych przyczyn na podstawie opowiadań Violet zawsze tak go sobie wyobrażałam.

Pan Thorpe podjechał przed nasz dom przyjemnie mrużącym sportowym samochodem. Kiedy się z niego wygramolił, odkryłam, że ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i nie więcej niż dwadzieścia osiem lat, a z całą pewnością nie więcej niż trzydzieści.

Jego inteligencja zgadzała się z opisem Violet, gdyż natychmiast zauważył moje zaskoczenie.

- To sportowy samochód. Oczekiwała pani kogoś bardziej dojrzałego?

- Szczerze mówiąc, owszem. Ale tak czy inaczej chciałabym podziękować panu za opiekę nad moją ciocią. Chyba wziął ją pan poniekąd pod swe skrzydła.

- Kiedy panna Shine po raz pierwszy weszła do mojego biura, zorientowałam się, że jest w niej coś niezwykłego. Pani Armstrong, moi oboje rodzice byli jedynakami, nie mam

ciotek, wujków ani kuzynów. Pani ciocia jest damą, sam chciałbym mieć taką ciotkę, osobę, która pięćdziesiąt lat temu mogłaby mnie zabrać na wyprawę po stolicach Europy - wyznał z uśmiechem. - A jednak pomimo jej pozornej samowystarczalności najwyraźniej potrzebowała kogoś, komu mogłaby zaufać oraz... - zawahał się odrobinę - ...kto mógłby pomóc jej zająć się... chyba możemy tak to określić, bardziej przyziemnym aspektem jej życia. Dostałem ten przywilej. Nie żartuję.

Uśmiechałam się na to wspomnienie, kiedy Eve chwyciła mnie za ramię.

- Słyszysz? On śpiewa.

Wsluchalam się w odgłosy. Z całą pewnością dochodziły z pokoju Violet. Męski głos.

- Co robimy? - spytała Eve. - Czy sądzisz, że już umarła, i tata śpiewa pieśń żałobną?

- To nie jest pieśń żałobna.

Z Eve deptającą mi po piętach otworzyłam drzwi. Weszliśmy i zatrzymaliśmy się tuż za progiem. Coley pochylał się nad Violet i pięknym barytonem śpiewał cicho:

Rzekła moja ukochana:

Mama mi pozwoli, tata nie zapyta, czemu nie masz roli.

Potem poszła do domu z jedną gwiazdą jasną,

niby łabędź bieluchny, co na rzece zasnął.

Oczy cioci, w czerwonych obwódkach, były otwarte i wpatrzone w niego. Błyszczwały od łez, które nie chciały płynąć.

A potem wróciła i tak powiedziała:

nie będę wesela zbyt długo czekała.

Powinnyśmy z Eve pobiec po pozostałych, byłam tego świadoma. Nie widziałam, czy Violet oddycha. Ale nie mogłam się ruszyć. Eve powiedziała mi potem, że ona też jakby skamieniała, słuchając, jak Coley, nieświadomy naszej obecności, śpiewał dalej:

Wczoraj znowu była moja ukochana.

Tak cicho stąpała, by nie zbudzić rana.

Dostrzegłyśmy, że Violet żyje. Poruszyła powiekami i odwróciła oczy od Coleya, który wciąż śpiewał:

Wyciągnęła rękę i tak powiedziała: nie będę wesela zbyt długo czekała...

Violet wciągnęła powietrze. Wydała długie westchnienie i nie poruszyła się już. Oczy miała ciągle otwarte. Coley przestał śpiewać. Czekał na następny oddech, a kiedy go nie było, z niewypowiedzianą czułością uniósł rękę i palcem wskazującym oraz kciukiem zamknął oczy zmarłej.

Usta jej opadły nieco. Coley wyjął z szafki nocnej ręcznik, zwinął go starannie i podłożył jej pod brodę. A potem wstał, pochylił się nad Violet, odsunął kosmyk włosów z jej czoła i pocałował ją.

Któraś z nas musiała wydać jakiś dźwięk, ponieważ odwrócił się i spojrzał na nas. Wydawał się spokojny. Podeszedł do okna - po długim siedzeniu w bezruchu był zeszywniały - i otworzył je na całą szerokość, by dusza Violet mogła ulecieć do nieba.

- Niedługo pójdę za nią - stwierdził i trudno było określić, czy mówi do nas, czy do siebie.

* * *

Coley nie chciał brać udziału w pogrzebie, a my nie nalegaliśmy. Nie było wiele osób, tylko jej nowa rodzina, pan Thorpe, dwie kobiety z poczty w West Cork, ciotka Boba, Louise, i Tommy O'Hare, z szacunku dla mnie i dla zmarłej. Violet została złożona w pokrytym mchem i zaniedbanym grobowcu Shine'ów, którego zardzewiałe wrota spoglądają ku wschodzącemu słońcu i morzu, zupełnie jak okno w pokoju na wieży.

Przepowiednia Coleya, że wkrótce dołączy do Violet, spełniła się. Umarł pewnego pięknego wrześniego poranka, niecałe trzy miesiące później, samotnie, lecz spokojnie, sądząc po spokoju, radości niemal, jaka malowała się na jego twarzy, kiedy Bob znalazł go leżącego na trawniku za naszym domem. Zupełnie jakby spał. Coley wstał tego dnia wczesnie i ścinał czerwone róże, a podczas upadku starał się je instynktownie chronić, ponieważ pięść trzymająca kwiaty była zaciśnięta tak mocno, że kolce poraniły mu skórę do krwi. Przedsiębiorcy pogrzebowemu nie udało się wyjąć róż z zamkniętej dłoni, więc zabrał ciało wraz z kwiatami. Lekarz stwierdzający zgon powiedział, że Coley miał udar mózgu i nie cierpiał.

Eve zdecydowała, z pomocą proboszcza z Rathlinney, że ojciec ma zostać pochowany

obok Violet w grobowcu Shine'ów. On również wita wschodzące słońce.

Byli razem tylko rok, a nawet mniej, nie licząc okresu choroby Violet, lecz przeżyli wspólnie czas pełen radości. Jeśli można powiedzieć, że śmierć jest szczęśliwa, to w ich wypadku tak właśnie było.

Przez ten krótki okres zdążyłam pokochać Violet, lecz nigdy nie czułam, że pozwala mi się do siebie zbliżyć. Wiem, że Eve zauważyła to samo. Próbowала. Mieszkała jednak w Arizonie i choć po swej pierwszej wizycie przyjechała do Irlandii jeszcze dwa razy, ten most okazał się za długi, a one miały zbyt mało czasu, aby spotkać się pośrodku. Moja kuzynka wiedziała, że matka bezgranicznie ją kocha i tęskni za nią gorąco, że nie udaje miłości podczas ich spotkań. Mimo to zgadzała się ze mną, że Violet Shine zarezerwowała pełnię swego uczucia dla jednego tylko człowieka.

Dostałam w spadku rodzinę: Eve, jej dzieci i wnuki. Violet nauczyła mnie też, jak trzeba żyć.

Niedawno pojechałam do Whitecliff. Tuż przy murze granicznym czekały buldożery i koparki, dźwigi, urządzenia wyciągowe, przenośne toalety i rusztowania. Żelazną bramę już usunięto, a kiedy przybyłam, robotnicy rozstawiali właśnie znaki ostrzegawcze i rozwijali taśmę. Brygadzista zaproponował, że wpuści mnie, bym po raz ostatni mogła rzucić okiem na dom, lecz nie chciałam.

W życiu jest tylko jedna pewna rzecz, a mianowicie ta, że wszystko się zmienia. W ciągu jednej tylko minuty może się zmienić tak wiele.
